



3.

Roanoke

24

30

17

4.

# DZWON NIEDZIELNY 5.

Pismo z obrazkami, poświęcone sprawom religijnym i społecznym, podaje artykuły ze świata katolickiego, zawiera ciekawe opowiadania z różnych kronik życia.

---

Nr 34 na 18 sierpnia 1935

## CHRYSTUS NIE DLA WYBRAŃCÓW - ALE DLA TŁUMÓW

### Świętości nie szargać

(Spowodu powieści E. Zegadłowicza)

Msza święta na najwyższym szczycie Alp

### „W pogotowiu do obrony”

powiedział Ojciec św. do katol. młodzieży niemieckiej.

Jak się odbędą wybory do Sejmu i Senatu

W sprawie ustawy o składkach kościelnych

**W rocznicę cudu nad Wisłą**

Nasi sąsiedzi: Rosja bolszewicka

**DZIAŁ ROLNICZY** Jakie starania winien czynić rolnik, aby skorzystać z akcji oddłużeniowej — Jak zaprawiać ziarno siewne

— Wiadomości gospod.

**Piękno i legendy Pienin — Polesie**

**KORESPONDENCJE:** Wysoka pow. Wadowice — Międzybrodzie Białskie — Roczyny par. Andrychów Kozy — Prokocim. — **Pore-**

**ba Żegoty mówi** (W. Kuglin)

**Z Krakowa — Z Polski — Ze świata**

---

**Dział dla młodszych „DZWONECZEK”**

---

Tu do nabycia!

**Cena 20 gr.**

Tu do nabycia!

## Świętości nie szargać!

Kiedyś na początku lata spytali, czy wieś nasza przygotowała się należycie na przyjęcie letników, ten i ów gospodarz, o chotę mając przyjmować na letnisko gości z miasta, zagadnął dowcipnie: A czy to letnik przygotował się na ten wyjazd? Jeden zaś chłop, widocznie doświadczony, odwzajemniając się za wszystkie zarzuty w prasie pod adresem wsi letniskowej poczynione, wypisał w mądrym liście całą litanję grzechów miejskiego letnika. I była tam jedna ojcowska prośba, do sumienia lekkomyślnych gości z miasta pukająca, by z sobą na wieś nie przywozili cynicznych pornograficznych romansideł, które porzucone w chacie, trzeba potem pilnie uprzątać przed umiejącą czytać młodzieżą wioskową, by nie dopuścić do zgorzenia „maluczkich“...

Otóż podobnej treści prośbę, pełną troski ojcowej, ale zarazem i przestrogi surowej, my w tej chwili w głębokim poczuciu obowiązku skierowujemy pod innym adresem. Nie do tych, co takie książki gorszące czytają. I nie do tych, co je szerzą, sprzedając, wypożyczając, czy porzucając bezmyślnie lub rozmyślnie. Sięgamy dalej. Nasza prośba zwraca się wprost do tych, co takie książki piszą.

Nie ludzimy się, by nasz głos mógł trafić do ogółu autorów powieści tendencyjnie znieprawiających czytelnika. Zgóry wiemy, że na ich sposób pisania my nie wpłyniemy. Nam idzie o co innego. Mamy wrażenie, że za tem słowem, które tu powiemy, stanąć gotowa zgodnie wieś nasza, cała ziemia krakowska, której staramy się być organem i w której imieniu pragnęlibyśmy niniejszy protest założyć.

Pisarze nasi wzięli sobie teraz za temat wieś i chłop, jego nędzę, albo szare życie miasteczka na naszym podgórzu. Jeżeli odtwarzając artystycznie ten świat, nie przedstawiają go w świetle tendencyjnie fałszywym, jak to swego czasu wytknęliśmy, np. Karłowicz, gdy patrykiem w gnojówce malował obrazowatych „ordanów i Naprawę, to owszem, będziemy temu tylko рады. Niechby jeno brał się do tego pisarz z talentem i artysta nie z bolszewickim na świat poglądem.

Właśnie pisarskich zdolności odmówić nie można i w wielu wypadkach nawet talent wysokiej miary musi się przyznać nowym powieściopisarzom, temat ten sobie obierającym, ale niestety, książki ich zieją pierwiastkiem bolszewizmu. Ile razy poruszą np. sprawę religij, to tylko w sposób, jakiego nie powstydziliby się sowiecki pisarz propagujący bezbożnictwo. To samo poniewieranie osobą duchowną i naigrzanie się z objawów wiary, wyśmiewanie praktyk kościelnych, takiesame szarganie świętości... Wszak krytyka ciągle im to wytyka, że w każdej powieści przedstawiają w najgorszym świetle np. księdza, a w najlepszym karczmarza żydowskiego, zbrodniarza, komunistę, prostytutkę...

Tak postępowali dotychczas pisarze najmłodsi, a myśmy za złe mieli starym, że zasiadając w sądach literackich, właśnie im przyznawali wysokie moralnie nagrody, temsamem torując książkom laureatów drogę do demoralizacji w jak najszerszych warstwach.

I naraz widzimy ze zdumieniem, że te kompromitujące polską kulturę nagrody dla utalentowanych deprawatorów młodzieży wzbudzić musiały zazdrość w autorach starszych, mających w literaturze już imię poważne, ba, sławę w kraju i uznana, ale

może tracących u publiczności wziętość wobec konkurencji młodych książek w rodzaju osławionej Grypy...

Mówimy to pod świeżym wrażeniem zdarzenia, które w nas budzi oburzenie i o którym tylko z przykrością mówić możemy właśnie ze względu na osobę autora. Nie chciałoby się uwierzyć, że poeta, którego lud naszych wsi podgórskich, lud tak nawskróś religijny, miał za piewę swoich umiłowanych świątków, odważy się dla dogodzenia żydowskiemu i bezwyznaniowemu czytelnikom warszawskich „Wiadomości Literackich“, prześcignąć Jalu Kurka w pornograficznych opisach życia domku publicznego w jakichś Wadowicach czy Wołkowicach...

Tamten dziewczętom z bractw różańcowych kazal podpalać w nocy dom w Jordanowie. Ten, w najplugawszy sposób sponiewierawszy stan księżowski, każe właściciela takiego domku odmawiać różaniec w najohydniejszym procederze, wogóle robi z niej pobożniśnię, obwieszając świętościami naszej religii warsztat swego grzechu... W opisach brudu moralnego tubuje się niby jaki zwyródnialec, bez potrzeby używa wyrazów rymotokowych, w najcyniczniejszy sposób głośno, jaskrawo opowiada szczegóły, które rozpustnicy w stadum ostatecznego upadku zwykli po pijanemu towarzyszom powtarzać jeno w cztery oczy...

Czytelnik, zdumiony tem, cośmy tu napisali, zapyta wreszcie, o jakim to pisarzu mowa? Czy istotnie coś podobnego mógł popełnić znakomity poeta ze starszego pokolenia literatów, które przecież nie przywykło kalać polskiej mowy babraniem się w cuchnących barlogach, a temniej drukiem ogłaszać potajemnych wypracowań sztubackich na temat wewnętrznego życia lupanarów.

Otóż piętnujemy to nazwisko, które potylekroć było wymieniane między kandydatami do Akademii i do wielkich nagród, a przed którego dziełami będziemy odtąd przestrzegali rodziców, by nie znieprawiali dorastających synów podawaniem im takiej plugawej lektury. To Emil Zegadłowicz, któremu górale wyprawiali jubileusz, któremu temi dniami młodzież podbeskidzka ofiarowała siwego konia...

Żydowscy wydawcy „Wiadomości Literackich“ może zacytniczną radą swoich filarów — Tuwima i Słonimskiego, dał jego portret, na którym Zegadłowicza siwa bujna czupryna poetycka ma za tło Wyspiańskiego witraż franciszkański św. Salomei, co się może tłumaczyć tak: Władzicie, że tego wyjątku z niewydanej jeszcze drukiem powieści „Zmora“, tak pikantnie malującego sekretny proceder prostytucji, nie pisał niedowarzony młodzik literacki, lecz autorem jego jest dojrzały poeta, którego społeczeństwo ma za pisarza katolickiego, a który od niepopłatnych już „świętków“ odwróciwszy się, poszedł do nas, w służbę gorszycieli młodej inteligencji...

Zapamiętamy sobie ten występ Zegadłowicza w nowej roli. Dziwimy się jednak, że w Polsce tak bezkarnie drukować wolno takie drwiny z państwowych ustaw o poszanowaniu moralności publicznej. Przecież prokuratorzy polscy mają teraz dyżury dniem i nocą, byleco dostrzegą, a tego jeszcze nie zobaczyli...

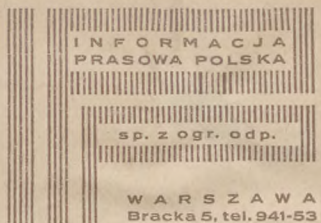
My ze swej strony spełniamy obowiązek organu ludności katolickiej, która dowiedziawszy się o tak oburzającym sponiewieraniu różańca i ohydny napadzie na stan kapłański, podnosi okrzyk protestu i groźby pod adresem wszystkich, którzy uważają się nadal w podobny sposób bezczęścić to właśnie, co dla nas stanowi przedmiot czei religijnej: Od tego swam wara! Świętości szargać nie damy!

## Na Niedzielę dziesiątą po Świątkach

EWANGELJA Łuk. XVIII. 9—14.

Onego czasu: Mówił Jezus do niektórych, którzy ufali samu w sobie, jakoby sprawiedliwi, a innymi gardzili, to podobieństwo: Dwóch ludzi wstąpiło do kościoła, aby się modlić: jeden faryzeusz, a drugi celnik. Faryzeusz stojąc, tak w sobie się modlił: Boże, dziękuję tobie, że nie jestem jak inni ludzie: drapieżni, niesprawiedliwi, cudzołożnicy: jak

i ten celnik. Poszczę dwa razy na tydzień: daję dziesięciny ze wszystkiego, co posiadam. A celnik stojąc z daleka nie chciał ani oczu podnieść w niebo: ale bił się w piersi swoje, mówiąc: Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu. Powiadam wam: zstąpił ten usprawiedliwiony nad niego do domu swego: albowiem ktokolwiek się wywyższa, będzie unижony: a kto się uniza, będzie wywyższony.



ajencja wiadomości  
z prasy w wycinkach

Wycinek z wydawnictwa

CZ

## KASZTANAMI<sup>1)</sup>

skiej te świetlane z wielkiej przeszłości naszej wykrojone niejako i przyszłości przekazane postaci — któżby, zapytam, nie pamiętał onej serdecznej rozmowy, gdy sobie ci mili staruszkowie — niewątpliwie antenaci nasi — gwarzą na przyzbie w sopli-cowskim dworze: tak, tak, panie Gerwazy — tak panie Protazy —

— ilekroć myśl moja z rozrzwinięciem dotyka tych dwu znamienitych person — tylekroć razy jawią mi się przed oczami duszy jako symbole wspólnej doli Austrii i Polski —

— Austria dziedziczka jagiellońskiego rozkwitu naszej przeszłości królewskiej — to Gerwazy, — Polska, królewskie swe dziedzictwo z cesarstwą mądrze łącząca — to Protazy; — to jasne —

— kreśląc tą parę serdecznych przyja-ciół, o ileż przewyższających inną znaną parę Gawła i Pawła, przewyższających ideą, myślą, powagą — przeczuł i przewidział nasz nieśmiertelny wieszcz losy przyszłe państwa najlaskawiej panującego nam monarchy i losy nasze wtopione w nie nierozwalnym sojuszem nie martwej litery prawa, lecz sojuszem radośnie bijących serc —

— gdy Austria mówi: tak, tak, panie Protazy — Polska odpowiada: tak panie Gerwazy —

— tę wielką naukę, wynikającą z roz-myślań moich długich nad nieśmiertelnym dziełem, jakim jest epos nasze „Pan Tadeusz“ — przekazuję wam na drogę życia —

— w chwilach zwątpień i zniechęceń, których nie szczędzi nam życie — pokrzejcie się tem niezawodnym zapewnieniem szczęśliwości i pogody ducha: tak, tak panie Protazy —

— niech to będzie wasza modlitwa; — i, pamiętajcie swego starego dyrektora, który wam wskazał znak i rzekł: *in hoc signo vinces* —

Tu rozplakał się pan dr. Baltazar Mertz niezmiernie wzruszony; szlochał; lzy duże jak pierwsze krople letniego deszczu spa-

dały głośno na katedrę; a jednak uśmiechał się jeszcze, a zachwycone jego wargi szeptały czule:

— tak, tak panie Gerwazy —

Mowa pożegnalna bardzo się wszystkim podobała.

Podczas przemówienia wzruszeni profesorowie opuścili głowy i spojerali z zainteresowaniem na końce swych bucików, jakby im chcieli powiedzieć: — oto do czegośmy doszli!

Maturzyści w najczulszych miejscach tręcałi się łokciami, podkreślając w ten sposób ważność i godność zapamiętania wspomniałych myśli w pięknej wypowiedzianych formie.

Oto niezawodnie jedna z najpiękniejszych mów, jakie danem było zasłyszeć Mikołajowi.

Ta i tamta — księdza Caneau.

Różniły się od siebie bardzo — lecz zapal i uczucie były w obu równie silne i wzniosłe.

Odśpiewaniem poważnego hymnu „Boże wspieraj“ i skoczego mazurka „Jeszcze Polska nie zginęła“ zakończyła się uroczystość.

Płasów nie było — chwila była zbyt wzniosła.

## KRUCJATA NA MISTRZA

W jakiś tydzień po owych gorzeńskich imieninach mistrza-prezesa, opisanych w 33-im n-rze „Tyg. Ill.“, otrzymałem list.

„Kochany — pisał Zegadłowicz — przesyłam Ci korektowe arkusze „Zmor“. Jak widzisz jest to dalszy ciąg autobiograficznego Żywotu Mikołaja Srebrepisanego. Autentyczne — Najautentyczniejsze!! — Za miesiąc będzie na półkach księgarskich. Narazie toruję drogę książeczce. Porozysłałam wyjątki po redakcjach. W jednym z pedagogicznych pism ukazał się rozdział o profesorze Spychałowiczu. Zaczyna być z Tobą zapowiedziany wywiad. Przyjeżdżaj!!! Twój Emil.

W dwadzieścia cztery godziny później stanąłem w Gorzeniu.

Zaraz za bramą gorzeńskiego dworu natknąłem się na gospodarza.

— Jak się miewasz — rzekłem, ściskając wyciągnięte dłonie.

— Świetnie! Doskonale! Buduję!!

Jakoż po podwórzu krzątali się murarze, a na murku oddzielającym park od gospodarskich zabudowań połyskiwało świeżym, mokrym cementem siedem wnekowatych wieżyczek.

— *Quis? Quid? Ubi? Quibus auxiliis? Cur? Quomodo? Quando?* — wyrecytowałem ze zdumieniem siedem zapytań, służących w teologii do ustalenia rozmiarów grzechu.

— *Quis?* Oczywiście — Ja — wyjaśnił.

— Ale do czego ma to służyć?

— Kapliczki dla świętków. Staną rzędem: Chrystus Frasobliwy, święta Agata, święty Bartłomiej i t. d.

— Niech będzie pochwalony — zamamrotał od bramy kobiecy głos.



Wadowice

W. Balys



Djabet

W. Balys

— Przrzekłem. Rzeczywiście — zamarkocił się poeta. — Przyjdźcie no jutro, kochani, a będzie wszystko gotowe; galantnie wypisane.

— Musisz mi dopomóc — zwrócił się do mnie, kiedy kobieta podziękowawszy odeszła. — Przrzekłem babie wiersz na jubileusz proboszcza. Zrobimy go razem. Dobrze?

— Ano dobrze — westchnąłem. — Jazda! Robimy wiersz!

Po krótkiej dyskusji stanęło na strofie safickiej. Zaczęły brzęczeć podrzucane sobie wzajemnie rymy i w kwadrans były gotowe cztery strofy. Zmieścił się w nich i „czcigodny jubilat“ i „niwa dusz“, „ziarno słów bożych“, „wieczny żywot“ a bodajże i „wiwnica Pańska“. Jednym słowem powinszowanie było jak się patrzy a Zegadłowicz spisując ostatnią redakcję mrucał:

— Ostatecznie zrobiliby to jej organista. Babina musiałaby dać za to mendel jaj i wbijać sobie do głowy częstochowskie banialuki. A to ma przynajmniej jaki taki sens.

Tymczasem od domu nadbiegły córki poety.

— Tatusiu! Tatusiu! Czy tatuś czytał o sobie w „Dzwonie Niedzielnym“?

— Nie czytałem. Dajcie! — i zaczął szperać po kieszeniach za okularami. — Zostawiłem je na górze. Przeczytaj mi, dziecko — zwrócił się do starszej, Halszki.

Siedliśmy tedy w czwórce na murku i paniuszka zaczęła czytać, jako to stała się rzecz straszna i okropna; jako poeta, sławy już pewnej zażywający, poeta chrześcijański, pieśniarz beskidzkich świątków za niecną namową Żydów, Tuwima i Słonimskiego (sic!) w błocie wszeteczeństwa zaczął się grzebać; najbezwstydniejsze uczynki ludzkie opisywać; naigrawać się z religii, znieważać duchowieństwo; miasto w którym nauki pobierał szkalować; gorszyć lud, ten lud, który mu jubileusz wyprawił i ostatnio siwego konia ofiarował w darze. Dalej był jeszcze apel do prokuratorji, ale poeta już słuchać nie chciał.

— Patrzcie! Siwka mi tu będą wymawiać — obruszył się. — Chodź, zobaczysz jak mu brzuch urósł przez ten tydzień — zwrócił się do mnie. — Karmię bydlę jęczmieniem jak za czasów Homera.

Lecz nie było mi dane tego dnia zo-

baczyć siwka. Z miasta nadbiegł jeden z młodych wielbicieli mistrza z wieścią, że na kościele jest już afisz „Dzwonu Niedzielnego“ z wjelkim tytułem: „Nie szargać świętości...“! A pod spodem drobnym drukiem: „spowodu powieści E. Zegadłowicza“.

— To ja mu wiersz robię na jubileusz a on takie afisze rozwiesza — westchnął z goryczą poeta.

— Straszne wzburzenie panuje w mieście — opowiadał przybyły.

— Ale o co właściwie? — dziwił się Emil.

Wyjaśniło się to dokładnie następnych dni. Raz wraz ktoś wpadał do dworu z wieściami z miasta.

„Dzwon Niedzielnym“ odkrył bowiem mieszkańcom Wadowie, dość mało interesującym się literaturą, że powieściowe Wołkowice, to właśnie — Wadowice...

Rzucono się na egzemplarz pisma z „Iosziwarą“. Nikomu do głowy nie przyszło, że opisane rzeczy działy się trzydzieści lat temu.

— Jakto! Więc w naszym mieście jest tak ohydna spelunka!

Zony zaczęły się teraz domyślać, gdzie ich mężowie przebywają wieczorami; ojcowie zażądali od synów dokładnego sprawozdania ze spędzanych poza domem godzin. A pani Z. urządziła swemu szwagrowi straszną awanturę, podejrzewając, że to on jest właśnie owym wujem z „Iosziwary“, prowadzącym swego siostrzeńca do domu rozpusty.

— Podobno państwo Iks się rozwodzą — donosił jeden z gości, który mrocznym wieczorem w kapeluszu weciśniętym na oczy i z podniesionym u marynarki kołnierzem zjawił się w Gorzeniu.

— Na litość boską! Przecież pan Iks jeszcze na świat nie przyszedł, kiedy te historie ze „Zmor“ działy się — protestował autor.

— Księża oświadczyli, że żaden z nich nie poświęci nowej świetlicy imienia mistrza z gimnazjum — donosił ktoś drugi.

— Liga kobiet uchwaliła protest...

— Generał B. pisze list do mistrza, że on, co go dzieckiem jeszcze pamięta, dziś nad grobem stojąc, zrywa z nim znajomość...

— Tylko prosił mnie bardzo — dorzucił ktoś — żeby mu zaraz powiedzieć jak książka wyjdzie, bo chce ją sobie kupić, nim się nakład wyczerpie.

— Grożą skargą sądową...

— Mają iść na Gorzeń...

Zegadłowicz zaniepokoił się.

— Szkoda, że mistrz zamiast tych kapli-

czek nie kazał zrobić strzelnic w murze — ubolewał któryś ze strachajłów.

— Może masz rację, do djabła — mruknął. — Słuchaj — zwrócił się do mnie. — Nie boisz się nocować sam w pawilonie?

Wzruszyłem ramionami.

— Po pierwsze: nie ja pisałem Iosziwarę. Po drugie: *ich fürchte Gott und sonst niemanden*; zwłaszcza kiedy mam broń przy sobie. A po trzecie i wogóle nie mam zwyczaju się bać, gdy przychodzi spełnić swój obowiązek. Przrzekłem w „Tygodniku“ wywiad z tobą. Więc zostanę do chwili, aż go napiszę, choćby tu całe Wołkowice konno i zbrojno przybyły robić zajazd. A póki ja tu jestem jednej szyby ci nie wytłuką. Rzekłem.

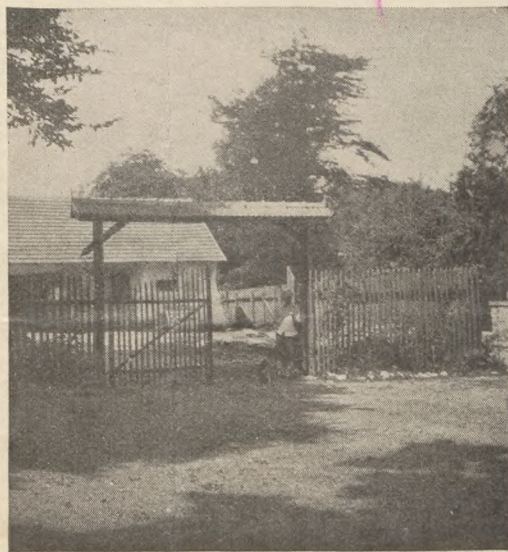
— Masz rację. Od jutra rana robimy wywiad.

Lecz człek strzela — Pan Bóg kule nosi. Kiedy była mowa o ewentualnym napadzie, w wyobraźni widziałem tłum podmiejskich drapichrustów, podobny do tego, jaki w 1918 r. organizowałem z kolegami dla antiaustrjackich demonstracyj, zdzierania dwugłowych orłów i demolowania lokali, których właściciele podejrzewano o pracę dla K-stelle. Tymczasem wieczorem nadeszła wiadomość, że podobno szykuje się demonstracyjny pochód jakiegoś żeńskiego bractwa czy czegoś w tym rodzaju.

Nazajutrz szarym przedświtem przelałem przez mur. Zamówiona cichcem we wsi furka czekała mnie o kilometr od dworu. W niecałe półgodziny siedziałem już w wagonie. Za Kalwarią odetchnąłem swobodniej.

S. E.

Brama we dworze







**INFORMACJA  
PRASOWA  
POLSKA**

**WIADOMOŚCI  
W WYCINKACH**

**WARSZAWA**  
ulica Bracka 5. Telefon 9-41-53

WYCINEK Z WYDAWNICTWA

Wiadomości Literackie (tyg.) (W-wa)

Nr. .... d. .... 1 WRZ 1935

## KOESPONDENCJA

WEWNĘTRZNE ŻYCIE LUPANARÓW

Do redaktora  
„Wiadomości Literackich”

Sympatyczny tygodnik „Dzwon Niedzielny” (nr. 34; str. 546) zaszczylił mnie czemś w rodzaju praprecenzji o niewydanej jeszcze powieści p. t. „Zmory”. Doceńm ten rekordowy wysiłek reklamowy i składam na tem miejscu redakcji „Dzwonu” serdeczne podziękowanie. Z radością dowiedziałem się, że udało mi się (nareszcie!) „w najplugawszy sposób sponiewierać stan kapłański”, że „w opisach brudu moralnego lubuję się niby jaki zwyrodnialec”; świetnie! Dobrze się również stało, że „żydowski wydawcy „Wiadomości Literackich” za cyniczną radą swych filarów — Tuwima i Słonimskiego, dali mój portret na tle Wyspiańskiego witrażu św. Salomei”; brawo! Ostatecznie wielki już czas powiedzieć to, że całe „Zmory” napisałem za namową i pod dyktatem łóz masonskich, za co otrzymałem grubszą forszę wprost z Tel-Awiwu; osobno wysłałem dyskretnie kilkanaście tysięcy od towarzysza Radka; czasem i dziadzio Boy daje mi parę złotych, mówiąc: „Pobaw się chłopcze”; nawet osławiony Sztajnsberg (osobiście!) dał mi 200 zł. zaliczki, obiecuje jeszcze 300; powiem gdy da! Za te judaszowe srebrniki „odwróciłem się od niepopłaconych już świątków i poszedłem na służbę gorszycieli młodej inteligencji”.

Kończę i stwierdzam, że wszystko co jest napisane w świetnym artykule pod skromnym i oryginalnym tytułem „Świętości nie szargać” polega na prawdzie prócz zauważenia nieco ryzykownego, jakoby kazal madame Lujzie (vide „Josiwara Wołkowicka”) w nr. 612 „Wiadomości Literackich” „obwieszać świętościami naszej religji warsztat swego grzechu”; nie mogłem tego uczynić, choćby z tego względu, że jej „warsztatu” nie widziałem; chciała mi go pokazać; owszem za jedną marną koronę walutą austriacką; a ja: nie i nie! — ot — młodość chmurna i górna! — Szlus!

Emil Zegadłowicz (G or zeń G ó r n y).

JEDYNA W POLSCE  
AJENCJA  
WIADOMOŚCI z GAZET  
W WYCINKACH  
WARSZAWA  
BRACKA 5  
TELEF. 9-41-53

**INFORMACJA  
PRASOWA  
POLSKA**

Sp. z ogr. odp.  
Zał. w 1920 r.

WYCINEK Z WYDAWNICTWA

Nr. .... d. .... 1 WRZ 1935

„Świętości nie szargać”. W sprawie poruszonej przez nas w artykule pod tym tytułem znalazło się dotychczas w prasie katolickiej pierwsze echo, a to w „Małym Dzienniku”, który swój artykuł zakończył uwaga, iż poeta Zegadłowicz fatalnym występem na łamach „Wiadomości Literackich” przekreślił swoją twórczość pisarską. Jednocześnie w warszawskim „Tygodniku Ilustrowanym” znalazł się opis pijatyki na imieninach Emila Zegadłowicza jako prezesa Związku Młodzieży Ludowej. Na pytanie dziennikarza w sprawie powieści „Zmory”, która w tych dniach wyjdzie w książce, a której wyjątkiem oczekującym pornografią zajęliśmy się wówczas, autor wyraźnie oświadczył, że jest to niezafalszowana biografia jego lat dojrzwania. Było się czem tak publicznie chwalić! „Głos Narodu” nie chce nawet o nim pisać, nazywając go poetą domu publicznego.

**INFORMACJA PRASOWA POLSKA**

GAZETA GAZET  
W WYCINKACH ORYGINALNYCH

WARSZAWA  
UL. BRACKA 5 TELEF. 9-41-53

WYCINEK Z WYDAWNICTWA  
NOWE ŻYCIE (Grodno)

Nr. .... d. .... 10 PAZ 1935

**Plugawa książka.** (Warszawa-KAP.) Ukazała się na półkach księgarskich nowa powieść Emilla Zegadłowicza p.t. „Zmory”. Jest to książka o charakterze wybitnie antyreligijnym, plugawa w swej formie i treści. Nawet imię Boga p. Zegadłowicz — wzorem pisarzy sowieckich

— pisze przez małe „b”. Należy wyrazić tylko ubolewanie, że znalazła się firma wydawnicza (Hoesicka), która tak potworną książkę puściła w świat, i że nasze władze zezwoliły na bezkarną obrazę uczuć religijnych przez autora książki.



**INFORMACJA  
PRASOWA  
POLSKA**

SPÓŁKA  
z ogr. odp.

WYCINEK  
Z  
WYDAWNICTWA  
Warszawa  
ul. Bracka 5  
telef. 9-41-53

Nr. .... d. .... 20 PAZ 1935

Książka Zegadłowicza „Zmory”, której jeden rozdział, ogłoszony w żydowskich „Wiadomościach Literackich”, dał nam powód swego czasu do zabrania głosu i wyrażenia żalu, że tak utalentowany autor zniżył się do najohydniejszej pornografji, zainteresowała nareszcie publicystów katolickich. Dziwi się Kat. Agencja Prasowa, że władze zezwoliły na bezkarną obrazę uczuć religijnych i wyraża ubolewanie, że znalazła się firma wydawnicza, która w świat puściła tak potworną książkę, plugawą w swej formie i treści i o charakterze wybitnie antyreligijnym (nawet imię Boga pisze autor przez małe „b”, wzorem pisarzy sowieckich). My się nie dziwimy, bo ta firma wydawnicza w Warszawie, nosząca niestety zawsze nazwisko Hoesicka, poważnego literata, który się oddawna wycofał z księgarstwa), jest przecież w rękach żydów, a ci właśnie szerzą (w Polsce tego rodzaju wydawnictwa. Również najpoważniejszy organ wielkopolski „Kurjer Poznański”, (który niedawno patrzył na Zegadłowicza, dzierżącemu w Poznaniu jednocześnie trzy dobre posady, redaktora „Tęczy”, dyrektora Radja i kierownika literackiego Teatru Polskiego), potraktował w sposób odpowiedni jego najnowszą powieść, która ma być dalszym ciągiem poprzednio wydanych tomów własnego i niesfalszowanego zyciorysu. Poeta-bohater tej powieści nosi tam imię: Mikołaj Srebrny; pisany, Otóż recenzent poznański krótko a dosadnie określił, że plugawa książka ta jest nie srebrem pisana, ale najpospolitszym błotem, czy czemś jeszcze gorszem.

## D Mistrz Emil w niebezpieczeństwie

Czem grozi czasem napisanie odważnej książki



Emil Zegadłowicz

Niespodzianie mamy nowego „bolszewika, żyda i masona”: jest nim — wstyd powiedzieć — świetny poeta i pisarz, głośny autor „Powsinogów beskidzkich”, Emil Zegadłowicz.

Zegadłowicz? — zapytacie zdumieni. — Jakto, przecież doniedawna uważano go za prononsonowanego pisarza katolickiego, książkę jego „Żywot Mikołaja Srebrnypisanego” wydała Księgarnia Św. Wojciecha w Poznaniu...

Niestety, istnieje dokument nieodparty: przyznanie się samego Zegadłowicza.

— Wielki już czas powiedzieć to — pisze czarno na białym mistrz Emil w jednym z tygodników literackich — że całe „Zmory” (nowa książka Zegadłowicza) napisałem za namową i pod dyktandem łóż masonskich, za co otrzy-

małem grubszą forszę wprost z Tel-Awiwu; osobno dostałem dyskretne kilkanaście tysięcy od towarzysza Radka; czasem i dziadzio Boy daje mi parę złotych, mówiąc: „Pobaw się chłopcze”... Za te judaszowe srebrniki... „poszedłem na służbę gorszycieli młodej inteligencji”...

Cóż począć z takim dokumentem zaprzędania duszy diabłu? Chyba tylko westchnąć „Apaga satanas!” i użalić się nad niechybnymi mękami piekielnymi poety...

Zegadłowicz wydał właśnie u Hoesicka grube tomisko p. t. „Zmory”, powieść autobiograficzną, „niezafałszowana, jak mówi sam, biografję lat dojrzewania”. Książka jest wulkaniczną erupcją wspomnianego talentu pisarskiego. Na tle przedwojennego miasteczka „galicyjskiego”, z jego tępa biurokracją, zapitem „ciałem nauczycielskim” z jego specyficznymi naleciałościami czeskimi i niemieckimi, z jego bidą i chandrą, obserwujemy rozwój subtelny, zdolnego chłopca, odzianego w mundur c. i k. gimnazjum państwowego w Wołkowicach. W miarę jak paski, najpierw srebrne, a potem złote, mnożą się na t. zw. stojącym kołnierzu, w

chłopcu budzi się talent poetycki. Mistrzostwo ujawnienia tego procesu nasuwa na myśl „Dawida Copperfielda” Dickensa i „Skończonogo człowieka” Papiniego. Ale kiedy Dickens nakłada sobie na usta tłumik przez poczucie mieszczańskiej moralności, a Papini mizdrzy się kokieteryjnie, by wydać się głębszym, niż jest w istocie, Zegadłowicz przemawia do nas z absolutną, bezwzględną, bezkompromisową szczerością. Niema w nim ani dickensowskiego wstydu ani papiniowskiej pozy.

Książka jest w całym tego słowa znaczeniu rewelacyjna. Zniwala przedewszystkiem artystm zastawienia sideł na rzeczywistość, tak, aby wpadła bez reszty w sieć nieporównanej prozy. Dogłębność analizy psychologicznej wieku pokwitania czyni z tej książki bezcenny dokument dla freudystów i pedagogów. A przytem jest to prawie kronika historyczna. Trudno o wlniejszy obraz obyczaju, kultury i duszy polskiej „aus dem dunkelsten Galizien”, pod rządami nieboszczki Austrii.

Teraz zrozumiemy już, co zmobilizowało bigotów, przeciw nowej książce Zegadłowicza. Straszny

jest bicz szczerości. Drobnoustrój ludzki nie znosi demaskowania własnej nędzy moralnej. Powieść roi się od figur, których religijność nie ma nic wspólnego z ich życiem. Są to u nich dziedziny zupełnie odrębne, wzajemnie nieprzenikalne, pozbawione łącznika, który remu na imię sumienie. Religijność skostniała w paciorki dewocjonaljów i żadnym echem w życiu praktycznym nie odbija się. Reprezentatywną postacią tego świata jest właścicielka zamtuza, która nad meblem swego procederu czuje potrzebę zawieszenia swej fotografii z dnia pierwszej komunji.

Zegadłowicz siedzi w swym Gorzeniu Górnym pod Wadowicami i żartuje sobie ze skłębionych nad jego głową chmur. Buduje właśnie siedem kapliczek dla świątków beskidzkich: staną w nich rzędem Chrystus Frasobliwy, święta Agata, św. Bartłomiej i inni. Od czasu do czasu zagląda do stajni, aby po klepać siwego konia, ofiarowanego mu niedawno z okazji jubileuszu przez delegację krakowskich chłopów.

A tymczasem w pobliskich Wadowicach wrze. Poczcwi mieszkańcy zrozumieli, że to ich właś-

nie skompromitował mistrz Emil. Zaczęło się śledztwo: a kto to jest wuj Waclaw, a gdzie to jest ten zamtuż. No i oburzeni są soczystością języka Zegadłowicza. Co prawda, już to trzeba przyznać, że język ten nie grzeszy pruderią. Słowo na „d” dobiega zawsze mężnie końcówki litery „a”, a ortografia sprzyja nawet wznowieniu sporu co do „ch” i „h”.

Gdy do Gorzenia Górnego przybył współpracownik „Tygodnika Ilustrowanego”, żeby zrobić wywiad o nowej powieści, zastał sytuację nad wyraz groźną. Liga kobiet uchwaliła protest, zapowiedziano skargę sądową, jakiegoś bractwo szykowało demonstracyjny pochód, na kościele wywieszono afisz z wielkim tytułem „Świętości nie szargać!”

Zegadłowicz siedział przy biurku i pisał. Co pisał? Wiersz na jubileusz... proboszcza. Jeszcze przed awanturą obiecał go pewnej babie..

Co będzie? Nie martwmy się o Zegadłowicza. W najgorszym razie ucieknie na swym siwku... do Tel-Awiwu. (ws)

M. Syrnerek



# WIADOMOŚCI LITERACKIE

T Y G O D N I K

Nr. 40 (620)

Warszawa, Niedziela 6 października 1935 r.

EMIL BREITER

## ODWAŻNA

Wielkiego rozpędu trzeba było, aby Zegadłowicz odnalazł samego siebie. Rozpędu trwającego tak długo, że wszystkim, którzy śledzili twórczość autora „Powsinogów”, wydać się musiało, iż pisarz nigdy chyba nie dojdzie do mety. A jednak doszedł — i jak jeszcze! — pierwszy taśmę przerwał i niemal wszystkich daleko poza sobą zostawił.

Jest to jedna z największych i najpiękniejszych niespodzianek naszego życia literackiego. Bo przecież Zegadłowicz był dotąd — i słusznie — poniekąd nieuznawany w świecie pisarskim. Raził w nim nadmiar nieopanowanego bełkotu lirycznego, który w rozmaitych modnych i najmodniejszych hasłach szukał swego artystycznego programu: od ekspresjonizmu do regionalizmu, od „Zdroju” do „Czartaka”, od religijnych, niby-Kasprowych uniesień do beskidzkich ballad.

Wyczuwało się, że we wszystkich poetycznych wystąpieniach, programach, decyzjach, grupowych manifestach lub dumnych osamotnieniach Zegadłowicza kryje się jakaś tajemnica, jakaś swoista prawda, która poprzez własne kłamstwo chce ostać się w walce o sztukę.

Przez własne kłamstwo, nie znaczy jeszcze przez nieuczciwość. Zegadłowicz w dużym trudzie zdobywał prawdę własnego wyrazu, bo — jak mówi p. Michał swojemu synowi — „całe współzycie ludzkie — poszczególnych osób, rodzin, warstw, narodów, państw oparte jest na kłamstwie i na strachu; niestety, niestety — trzeba czasem wtórować temu kłamstwu...”

Zegadłowicz wchodził w najrozmaitsze kompromisy z otoczeniem. Szukał swej drogi — doszedł do tej prawdy, o której mówi umierający ojciec do najdroższego syna: „Ostaniez sam — samiuteńki... Zdobyć trzeba wszystko samemu”. Nie oglądając się na nic i na nikogo, sądząc surowo wszystkich, a najsurowiej siebie, służąc tylko swym prawdziwej, demaskując fałsz, kłamstwo, hipokryzję i świętoszkostwo.

Przed jedenastu chyba laty rozpoczął Zegadłowicz wielotomowy cykl prozaiczny: „Żywot Mikołaja Srebrmpisanego”. Zaczęło się blade, pseudolirycznie, niemal po grafomańsku. W ciągu trzech lat pojawiły się trzy tomy: „Godzina przed jutrznią”, „Spod młyńskich kamieni” i „Cień nad falami”.

Od r. 1929 tom opowieści został przerwany. Zegadłowicz jakby zrozumiał i ocenił, że pierwsze trzy tomy były uderzeniem w próżnię. Głęboka i najczulsza wrażliwość artysty szukała daremnie odpowiedniej formy wyrazu — w słowie i w treści. Pisarz krążył nieustannie i niecierpliwie dookoła słowa; jakgdyby ktoś spętał jego artystyczne możliwości i kazał im spłynąć spokojem, równym korytem w banal i w liryczną prostotę.

Po siedmiu latach milczenia, pojawia się nowy tom „Żywota Mikołaja Srebrmpisanego” — „Zmory” (\*). Lecz jakże inny, jak bardzo odmienny, z absolutnie różnych wyników zainteresowań.

Coś się w pisarzu przepełniło, przełamało i zerwało. Jakieś surowe prawdy podpiły pod jego wzrok, nieznanne słowa nawinęły mu się pod pióro, inna postawa oładnęła jego psychikę. Jest to zupełnie inny Zegadłowicz, chociaż ten sam w swej biologicznej rzeczywistości. Jeżeli odmierzyć otchłanie, które rozwierają się pomiędzy tem co odczuwał autor „Cienia nad falami” a rewelacyjnym tonem jego ostatniej powieści — to chyba z najgłębszym entuzjazmem odnieść się trzeba do wytrwałego samotnika z Gorzenia Górnego, który twardem i ciężkiem doświadczeniem okupił musiał prawo swej absolutnej niezależności.

Prawo niezależności pisarza! Któż je kiedykolwiek uznał poza szczupłym gro-

nem klerków, których „za grobem zwycięstwo”. Tylko naprawdę genialni — ludzie rozumieli, że niezależność postawy pisarskiej jest jednym z najwyższych dóbr. Cóż bardziej pomnaża człowieka, podnosi go i wywyższa aniżeli swobodne myślenie o wszystkim.

Niezależność pisarska bywa zwykle nienawistnym przywilejem (privilegium odiosum). Jakże trudno wyrwać się nawet najlepszemu artyście z kręgu interesów, które związała go rodzina, kościół, państwo, organizacja społeczna i polityczna. Ile trzeba wytrwałości, odwagi, ofiarności i samozaparcia, aby — dzisiaj zwłaszcza — stanąć wszystkim w poprzek i zawołać: ja tak widzę, tak myślę i czuję!

Metamorfoza Zegadłowicza tkwi we wrodzonej każdemu artyście konieczności kształtowania życia. Należało wreszcie ukazać światu jego prawdziwy kształt, ludziom przed oczy postawić żywe zwierciadło tej samej, gestów, skrywaną namiętności, głupich grzechów i nadętej pychy.

Przemilczanie spraw najważniejszych podniesiono bowiem na wyżyny obowiązku społecznego. Stworzono tabu, które go bezkarnie nie wolno było ani dotknąć, ani dekonspirować. Już Stanisław Brzozowski rozumiał szkody, wyrządzone ludzkości i kulturze przez to że połowę życia osłonięto szczelną tajemnicą, że na cały świat doświadczeń erotycznych i seksualnych spoglądano jak — w najlepszym razie — na obiekt badań klinicznych, dostępnych tylko dla wtajemniczonych speców.

Ileż spraw zostało w ten sposób zdefiniowanych, ile fałszywie zrozumianych, ile zupełnie nieodkrytych! Cokolwiekby się myślało o freudyzmie, jedno nie ulega wątpliwości; że był on rewolucją w sferze obyczajowości ludzkiej; rewolucją — jak każda — zbyt może radykalną i jednostronną, ale zapładniającą i w wyswietleniu wzajemnych stosunków płci dotąd niezastąpioną.

Revolucja w dziedzinie obyczajowości literackiej są „Zmory”. Autor postępuje z widoczną rozważą, po dokładnym namyśle, po męsku, brutalnie, twardo i celowo. W jednostajny i monotony chór literackich zainteresowań społecznych i społecznikowskich, smaczków i przysmaków duchoznawczych, w rozmaitego typu apostołstwo klasowe, stanowe, państwowe, historyczno-polityczne lub partyjne, wdiera się głos pisarza stojącego z boku, nie związane z niczem ani z nikim. Głos bujnej żywotności, żywiołowej prawdy o rozmachu rabelaisowskim, o słownictwie twórczym, wciąż odnowa się rodzącem, odważnym aż do zaślepienia, prawdziwym aż do bólu. Głos człowieka żywego, który chce żyć i innych do życia przekonać.

Zegadłowicz nie zajmuje się formą powieściową ani nie stylizuje rzeczywistości. Na możliwy zarzut braku kompozycji powieściowej odpowiedział już w przypisach do „Cienia nad falami”: „Kompozycja: życie z dnia na dzień, narastające wedle wieczystych praw, rządzących ziemią i wszechświatem”.

To narastanie życia, które było w poprzednich tomach „Żywota Mikołaja Srebrmpisanego” raczej postulatem niż osiągnięciem artystycznym, stanowi niesamowite i zastanawiające piękno ostatniej powieści. Wyszuta z najgłębszych zamyśleń prawda o samorodnej dynamice rozwoju ludzkiego stworzenia, — od wegetatywnej bierności do świadomej siebie samej, w instynktach zaborczej, w miłości ofiarnej duszy człowieczej, — znajduje w „Zmorach” Zegadłowicza jeden z najpiękniejszych dokumentów artystycznych.

Prawdziwość i realność obrazu niezawsze są synonimem artystycznego widzenia świata. Pisarz, kształtujący rzeczywistość na podobieństwo życia, — na jego absolutne podobieństwo, — musi czegoś naprawdę chcieć. Beznamiętna kopja codzienności jest dla osiągnięcia

celów artystycznych pracą syzyfową. Artysta albo dokonuje doboru w elementach swego dostrzeżenia, albo tak głęboko zanurza się w żywiole życia, że wydobywa z niego nawet nadmiar, a więc to wszystko co uchodzi uwagi jako uboczne i bez znaczenia.

przeżyci lat ośmiu, od wstąpienia Mikołaja do pierwszej klasy gimnazjum aż do zdania matury. Rzecz dzieje się w czasie przedwojennym, w Wołkowicach, małym prowincjonalnym miasteczku galicyjskim, w okolicach Krakowa. Autor otwiera swą powieść inteligentną, po wellsow-



EMIL ZEGADŁOWICZ

Zegadłowicz nie zubaża życia. W jego ujęciu rzeczywistość naprawdę wre i kipi. Proste wydarzenia dociągnął pisarz do najbardziej skomplikowanych motywów, a motywy wydarzeń ujawnił, zde-maskował i rozłożył jakby na stole sekcyjnym.

Aby dojść do takich wyników, nie mógł Zegadłowicz cofnąć się przed zde-maskowaniem słowa. Słowo jest nie tylko środkiem porozumiewania się między ludźmi. Jest ono wyrazem charakteru, środowiska i stanów uczuciowych. Grzeczenie ufrizonowane słowo jest w większości wypadków albo zakłamaniem, albo konwencją. Czytelnik albo domyśla się rzeczy niedopowiedzianych, albo bierze mimowolny udział w maskaradzie. Doszukiwanie się poza walorem słowa jego właściwej, ukrytej treści rozstrzyga w dużym stopniu o t. zw. współpracy czytelnika z pisarzem.

Nazwać ją można grą w chowanego. Im subtelniejsza ta gra, im bardziej wymyślne przeszkody, im więcej możemy się domyślać, wyczuć, przeczuć, własną wyobraźnią dopełnić, tem pisarz jest subtelniejszy, bardziej wnikliwy, dyskretny, psychologicznie pogłębiony i t. d.

Gra w chowanego kończy się tam gdzie jest granica grzecznego słowa. Bo słowo ma w życiu indywidualnym i towarzyskim nie wspólne ze sztuką postawiła poza nawiasem obyczajności, moralności i etyki olbrzymią sferę doświadczeń, doznań i przeżyć. Od niewielu lat dopiero pisarz zdobywa tę dziedzinę niejako oficjalnie dla sztuki. Zdobywa pod wpływem przewrotów, jakie nastąpiły w naszym stosunkowaniu się do zagadnień seksualnych.

Zegadłowicz z pełnym poczuciem odpowiedzialności przywraca znakomitej części naszego słownictwa jego walor i znaczenie artystyczne. Trudno spierać się na tem miejscu, czy poniesiony zapalem odkrywcy, nie popadł w przesadę. Ale pozostał aż do końca wierny i konsekwentny swemu widzeniu i odczuwaniu rzeczywistości.

„Zmory” są historią życia młodego Mikołaja Srebrmpisanego, rozwiniętą na

sku ujętą pogładową historią świata. Rozważa stosunki międzyplanetarne i międzyludzkie, mówi o tworzeniu się państw („pan, panoszyć się, pańszczyzna”) i rzuca taką uwagę: „niewolnik, poddań, obywatel; istota tych pojęć jest jedna”. Tak przemawia tylko człowiek o zdecydowanym poglądzie na życie, raczej aspołeczny i anarchizujący. A kiedy przeprowadza schematyczny podział ludzkości na ludzi umundurowanych i nie-umundurowanych („pozbawionych wszelkiego znaczenia”), kiedy mówi o dzisiejszym ideale umundurowania całego świata, kiedy rozróżnia wśród umundurowanych tych co zabijają i tych co błogosławia zabijaniu, — dosłuchujemy się w tych zwrotach, inwektywach i określeniach dobrze nam znanych akcentów wielkiego apostoła z Jasnej Polany.

Z historycznego prologu przechodzi autor do zwykłej powieści o niezwykłych sprawach. Życie Mikołaja Srebrmpisanego, 11-letniego chłopca, wychowywanego dotąd przez ojca, wspinał się do humanisty, oddano na pastwę najgorszej szkoły galicyjskiej, rzucono w otchłań religijnego przesądu i postawiono pod ciśnieniem tysiąca atmosfer, jakie wytwarza „zbakierowana” pćciowość, tragiczne, pełne demonizmu środowisko rodzinne i frywolna koleżeńskość, dla której sprawy pćciowe są tylko tematem brutalnych rozmów lub jeszcze brutalniejszego doświadczenia.

Krok za krokiem prowadzi nas autor śladami swego małego bohatera, którego ostatecznym powołaniem ma być twórczość i poezja. Chłopiec patrzy na świat prosto i naiwnie. W Porębie Murowanej, — koło Wołkowic, — gdzie spędził swoje dzieciństwo, uczono go prawdy i „niestrachu”. Ojciec Mikołaj, emerytowany profesor gimnazjalny, kończył swój twardy i mądry żywot. Matka, Zofia, jedna z najdziwniejszych kobiet, nauczycielka mucky, córka czeskich emigrantów, Komendów, po odejściu od męża zamieszkała u złych i przewrotnych rodziców w Wołkowicach. Ale mały Mikołaj nie zamieszkał z matką. Oddano go na stancję do wujostwa Wacławów. Straszliwe to było stado, ideał „niedoskonałego” małżeństwa. Z dawnej, krótkotrwałej miłości, pozostała tylko obojętność, przeplatana nienawiścią, opętane pijactwem oraz rozpusta Wacława i chytra zapobiegliwość Wilhelminy.

Wszystkie te sprawy rozwija Zegadłowicz na szerokiach płaszczyznach epickie-

\* Emil Zegadłowicz. Żywot Mikołaja Srebrmpisanego. Zmory. Kronika z zamierzłej przeszłości. Warszawa, F. Hoessick, 1936; str. 495 i 1nl.

# KSIĄŻKA

go opisu, umiając nadać mu szczególny koloryt wisielczego humoru i dosadnej satyry.

W takim to środowisku, zdaleka od ukochanego ojca, jedynej miłości Mikołaja, przychodzi do piewszego konfliktu. Na godzinie religii ksiądz-katecheta mówi o djablach, a mały chłopiec, pamiętając nauki ojca, oświadcza prosto i bez ogródek, że „niema djabłów”. Stąd awantura, groźne wymysły, interwencja parasolki w domu, konferencje z dyrektorem i ostateczna rozprawa z ojcem. Ta rozprawa — jeden z najpiękniejszych epizodów powieści — jest już jakby błogosławieństwem chłopca spoza grobu. Odbywa się w cztery oczy. Stary ojciec z troską patrzy w przyszłość swego syna. Nie karci go, ale poucza... Świat zbudowany jest na kłamstwie... „Zdobyc trzeba wszystko samemu”.

I Mikołaj zaczyna wszystko sam zdobywać. Aż do ostatnich niemal klas gimnazjalnych, w których pojawiają się nowe typy profesorów, ludzi mądrych, inteligentnych i przyjacielskich, Mikołaj krąży samotnie po pustyni, jaką jest szkoła, dom i rodzina. Nawet matka, pani Zofja, o krótkich srebrnych włosach, nie rozumie chłopca.

Przeniesiony po śmierci ojca do domu starych Komendów, mały Mikołaj obserwuje życie swego dziadka, dziwaka, fligelhornisty, który dogorywa od trzech lat na próchnicę kości. Vlastimil Komenda nienawidzi otoczenia, zajęty jedynie zbieraniem grosza i zabezpieczeniem swej starości. A babka, wcielony szatan, czeka tylko na śmierć męża i dzieci, aby moc w siedemdziesiątym roku życia nareszcie wyżyć się seksualnie i bodaj za ostatnie złote dukaty kupować sobie kochanków.

Lata dojrzwania są prawdziwą i straszliwą zmurą. Nikt Mikołajowi ręki nie poda, nikt niczego nie wyjaśni ani nie ułatwi. Zdany na przypadek, na brutalne rozmowy z parobkami, na swawolne zabawy w gronie kolegów, 14-toletni chłopiec staje nagle w obliczu makabrycznego wyuzdania miejscowego przedsiębiorcy pogrzebowego, który na katafalku i rozścielonych suknach żalobnych załatwiał swoje „seksualne” potrzeby. Koledzy zaprowadzili Mikołaja pod szopę karawaniarską, aby przyjrzał się praktykom pana Podzwistaka. Stąd wstrząs, uraz, zachwianie równowagi psychicznej; a równocześnie w szkole katecheta grzmi przeciw nieczystości i kłamstwu, grożąc wszystkimi karami piekła.

W szeregu doskonałych obrazów maluje Zegadłowicz otchłań, w jakiej znalazł się młody i wrażliwy uczeń. Mikołaj popada w bigoterję, miewa cudowne widzenia, zaczyna uprawiać szamanizm przedmiotów i rozmaite „profilaktyczne” gusła. Chłopiec przechodzi okres religijnego pogaństwa. Strach i obłęd czają się na każdym kroku, a sny stają się koszmarem nowego, nieznanego i niczem nie dającego się pokonać pożądaniam. Ten rozdział w życiu dojrzwającego młodzieńca jest jakby skondensowaną ilustracją freudowskiej psychoanalizy.

I znowu „zdobyć trzeba wszystko samemu”.

Mikołaj wydobywa się z piekła i zamętu o własnych siłach. Pomaga mu w tem pamięć o ojcu, czytanie Pasji Chrystusowej i listy Słowackiego do matki. Równocześnie z uświadomieniem płciowem, rodzi się w nim tęsknota twórcza i potrzeba poetyckiego wyrazu. Jeszcze przechodzi głęboki wstrząs, jakim jest śmierć matki, i pierwsze dojrzałe widzenie Krakowa; jeszcze staje oko w oko z demoniczną, obłąkaną nienawiścią babki, — a ciężką chorobę płuc łamie instynktem woli do życia. Z dziecka wyrasta już młody mężczyzna. Na konspiracyjnych zebraniach koleżeńskich walczy twardo w obronie swej sztuki, rozprawia się z demagogią społeczną, i usuwa w samotność. Dystans między nim i kolegami przedłuża się niemal w nieskończoność, a „zmysł kosmiczny”, nazwany

przez Zegadłowicza najcenniejszym ze zmysłów, pozwala młodemu pocię dojrzeć i rozumieć sprawy, niedostępne jego kolegom.

Już teraz obłąkane pijaństwo wuja Wacława, seksualny orgjizm owdowiałej staruchy są ostatnim etapem „w terminatorstwie okropieństw życiowych” młodego Mikołaja. Nowe przyjaźni z profesorami-poetami otwierają przed nim nowe perspektywy, a tęsknota za czystą miłością prowadzi Mikołaja w pierwsze przeżycie erotyczne z „kobietą księżycową”, kiedy po kommersie maturalnym wyszedł samotnie na miasto. W patetycznym i może zbyt lirycznym zakończeniu prowadzi Zegadłowicz swego bohatera z ramion pięknej kobiety — nago, bez ubrania — ze środka miasta do Poręby Murowanej. Jak przed osiemnastu laty wszedł nago do domu swego ojca, tak cbećnie, po przewycięzeniu wszystkich „zmur” życia, tryumfalny, zwycięski i młody, wraca do swego domu, aby powiedzieć: „Ziemni i niebu — dzień dobry!”.

W najogólniejszych zarysach i linjach podana treść książki w żadnym stopniu nie oddaje ani jej zasadniczego tonu, ani istotnych wartości. Bo życie Mikołaja i etapy jego duchowych prób są tylko szkieletem, na którym porozmieszczał autor świetne, wnikliwe epizody realistyczne, romantyczne, liryczne i groteskowe. Skala doznań i odczuwań pisarza jest tak rozległa, jak rozległa być może czujna i wdzięczna pamięć o każdym przeżyciu nie na przestrzeni jednego dnia, ale ośmiu długich lat.

W tej skali pomieścił pisarz nietylko dosadną, chwilami nawet okrutną krytykę przedwojennego szkolnictwa galicyjskiego i wszystkich jego państwowo-religijnych obyczajów, nietylko uwiecznił i unieśmiertelnił szereg obłąkanych i rozpamiętanych typów profesorskich, nietylko postawił pomnik przyjaźni kolegom i nauczycielom (Majkowski i Znamierowski), ale wskazał gdzie leży klątwa takiego wychowania, gdzie są jego koszmarny, gdzie śmiertelny grzech i nawet zbrodnia.

A chociaż mówi o czasach przedwojennych, austriackich, o brudnych gimnazjach, zasmrodzonych dziedzińcach szkolnych, niehigienicznych klasach — ma na myśli przedewszystkiem hipokryzję społeczno-obyczajową, która słabszych łamie i zniekształca a mocniejszych odstręcza i rewolucjonizuje. To samo zagadnienie, w innej, coprawda mocno złagodzonej, formie staje i przed dzisiejszym wychowawcą. Gwałt, zadany sumieniu młodego chłopca, zawsze — prędzej czy później — gwałtem się odcisnie.

Najsilniejszą stroną powieści jest jej nurt realistyczno-groteskowy. Poetyckość przeżyć Mikołaja jest niewątpliwie wzruszająca i chwilami nawet patetyczna, lecz jak dotychczasowa liryka Zegadłowicza, bezpostaciowa i bezkształtna.

Natomiast tam, gdzie autor buduje realizm codziennego życia Wolkowic, kiedy tworzy takich ludzi, jak Wacław, Wilhelmina, stary Komenda, kiedy śledzi tajemnicze praktyki Podzwistaka albo opisuje ostatnie chwile życia obłąkanej babki, kiedy prowadzi młodego Mikołaja z wujem Wacławem do lupanaru Luizy albo opowiada przygodę Jasia Woltina z nowopolsyzanem i niezrozumiałem słowem, — rozwija taką prężność kształtu, taką wielką intuicję prawdy, wydobywa tyle siły i nastroju, że trudno otrząsnąć się spod czaru artystycznego urojenia.

Zegadłowicz jest realistą w najwyższym stylu. Rzeczywistość jego składa się ze spraw błahych i tragicznych, śmiesznych i budzących grozę. Na wszystko patrzy z pobłażaniem filozofa i uśmiechem mędrca, który zrozumiał istotny sens życia.

Mądra i odważna książka; książka poświęcona walce człowieka ze światem i z samym sobą o własny, niezależny wyraz.

Emil Breiter.

# Błoto i lazur\*

Nowa książka Zegadłowicza stanowi dla jego dotychczasowych zwolenników niespodziankę oszalałamiącą. Czy przyjemną? Wątpię. Niepokojącą — napewno.

Autor sielsko-anielskiego „Żywota Mikołaja Srebrmpisanego“ wkracza tym razem w dziedzinę zagadnień niebezpiecznie śliskich. Cowiącej, odrazu stacza się po ich pochyłości na dno, i z tego grząskiego i błotnistego (że nie powiem gorzej) dna rozprawia się swoiście z konwencjonalną moralnością, religią, ustrojem społecznym, wszechświatem i... sobą samym.

— Szczęśliwie? — Chyba raczej nie.

I dlatego że, jak wielu utalentowanych belletrystów teższym jest Zegadłowicz pisarzem, niż myślicielem — zwycięża w opisie; gubi się (gubiąc po drodze nic myśli przewodniej i zainteresowanie czytelnika) w dysertacji. I dlatego też, że zwalczając zawzięcie większość pojęć istniejących, nie umie przeciwstawić im nic prócz retorycznych wykrzykników i chaotycznych mgławic. N. p. chętnie zgadzamy się z autorem, że źle jest gdy męska ludność prowincjonalnego C. K. miasteczka, w którym toczy się akcja powieści, korzysta z niewybrednych symulacji miłości, świadczonych za skromną opłatą przez miejscowe gejsze, ale dlaczego, kiedy bohater-maturzysta, po koleżeńskim libacji, spotyka się z bliżej nieokreśloną lunaticzką, parzy z nią na rynku pod

\* Emil Zegadłowicz: „Zmory — kronika z zamierzchłej przeszłości“, F. Hoessick, Warszawa.

studnią i nagi (nie wiadomo czemu?) kroczy triumfalnie przez miasto i pole do swej rodzinnej, wiejskiej siedziby. — To ma być dobrze, szlachetnie i wzniosłe?

Bohaterem „Zmor“ jest, dobrze nam znany, lirycznie ongi poczęty Mikołaj Srebrmpisany; tematem powieści — dzieje jego lat chłopięcych. Lecz nie srebrem pisane, o nie!

Przeciętne wydarzenia i bynajmniej nie rewelacyjne przeżycia wieku dojrzewania służą autorowi za pretekst do wypowiedzenia wojny z morom, przesładowującym go najprawdopodobniej od dzieciństwa: hipokryzji kultuństwa, bezwzględnej okrucieństwu martwej dyscypliny, tepej a zachłannej chciwości dóbr ziemskich, ciasnej bigoterii. Za to i za odwagę poruszenia wielu zagadnień istotnych, doniedawna osłanianych zmorą przemilczania i uroczyście zakłamań — należałoby się właściwie Zegadłowiczowi wdzięczność. Cóż kiedy wzorem, sympatycznego sobie zapewne, Rycerza Szalonego, w ogniu bitwy pomieszał złe i dobre, szkodliwe i pożyteczne; nie obliczył ani sił własnych ani potęgi nieuchwytnego wroga — runął na wiatraki i legł zmieszany z błotem, które (zdaje się) zamierzał zniszczyć czy oczyścić.

Chryścjanizm poucza nas o mocach złych i dobrych, ścierających się w duszy człowieka, dziwnego mikrokosmosu pogrążonego w błocie a zdolnego sięgać w najczystszy lazur niebios. Zegadłowicz usiłuje negować tę dwoistość, której (jak na złość) on sam i jego bohater stanowią dowody nader oczywi-

ste. Chce znać tylko ciało i jego prawami wszystko rozstrzygać i tłumaczyć. W sposób wielce prymitywny, wręcz sztubacki zalałwia n. p. sprawę diabłów, których podobno „nie ma“. Tak powiedział Mikowi jego ukochany ojciec-mędrzec, postać w zamierzeniu autorskim niemal idealna. Gdy małe z indywidualną interpretacją katechizmu dostaje w szkole burę, a w domu lanie; kiedy ciotka-wychowawczyni przywozi go na wieś do ojca z zadaniem kary na krnąbrnego heretyka — właściwy winowajca obiecuje dyplomatycznie że, owszem, ukarze syna, ale musi z nim pozostać sam na sam. A pozostawiony — wygłasza zawiłą przemowę o wadliwości ustroju świata, nadziei na poprawę (mającą nastąpić nie wiadomo w jakim kierunku, skąd i dlaczego?) i o konieczności kłamstw, przed którymi przagnął jedynaka uchronić, lecz nie potrafi. W rezultacie: mały dostał w skórę, a stary wykreślił się sianiem. Idealizowany tato, niezbyt po dżentelmeńsku sobie poczynający w tej antydjabelskiej sprawie, może służyć jako przykład brzydkiego jezuityzmu i dostojnego zakłamania.

Jedną z (nie wiadomo czemu) najdokuczliwiej trapiących Zegadłowicza „zmor“, jest umowa społeczna, zakazująca używania słów ordynarnych i trywialnych. Najwidoczniej dreczy go od lat dziecięcych uraz psychiczny na tem tle (bo nie chciałabym pisarza bądź co bądź wysokiej miary posądzać o spekulację na skandaliczny rozgłos). Prawdopodobnie autobiograficzna jest scenka (przezabawna), w której małej chłopczyka, na nutę krakowiacka wespół zaszyszane od stajennego słowo, tchnące urokiem nowości i bezsensu. Ojciec dosłyszawszy wrzeszcząc zmodyfikowany tekst starej melodyjki, sprawia synowi tęgie wnyki i, oczywiście, niema racji. Wystarczyłaby admonicja słowna — dziecko nie

wiedziało, że źle czyni.

Ale tej okoliczności łagodzącej nie może chyba na swoją obronę przytoczyć pan Zegadłowicz. Ani nieświadomości dziecięcej, ani pobudliwości okresu dojrzewania, tłumaczącej (do pewnego tylko stopnia) niezdrowe rozrywki Mika i jego rówieśników. Na oblesną, starczą erotomanję, tak bezapelacyjnie potępioną przez autora w koszarnej osobie babki Komendowej — chyba jeszcze za wcześnie.

Nie może się też Zegadłowicz powołać na względy kompozycyjne, ani na nieodpartą psychiczną potrzebę brutalnego demaskowania ohydy życia i myśli mieszkańców prowincjonalnej C. K. miejsciny. Nic nie jest w stanie usprawiedliwić ilości drobnych opisów najbrzydliwszych funkcji ludzkiego organizmu i chorobliwego bogactwa słów najwstrętniejszych. Niby to pragnąć rozprawić się z nienawistnym sobie błotem, Zegadłowicz paprze się w niem z lubością, bawi się śliniac jak dziecko lub starzec w błoku, błotniku, błoteczku, błotuleńku. Niezliczoną ilość razy, w najwyszukańszych odmianach powtarza wyrazy niewymawialne, zohydżając podmiejskie parkany. Osławione „Słówka“ Boy'a, w porównaniu z ostatnią książką Zegadłowicza, wyglądają na podręcznik wierszyków do deklamacji dla młodych panienek.

— Odważna książka — napisał jeden z czołowych krytyków stolic. Odważna — zapewne. Zdjęcie spodni w salonie małżonki ministra spraw zagranicznych mogłoby również być dowodem odwagi. Chodzi tylko o to do czego taka odwaga ma służyć? Co się przez nią pragnie osiągnąć, czego dokonać? Trudno znaleźć na to odpowiedź w książce Zegadłowicza.

Każde dziecko, podobnie jak Mikołaj, przeżywa zanim dorośnie wiele buntów i rozczarowań. Więcej

miewa się krewnych niemiłych niż przyjemnych; w szkole — nauczycieli-manjaków, których się nie znosi, niż wykładowców z powołania, których się kocha. Niejednemu czupurnemu smarkaczowi może



Emil Zegadłowicz

się zdarzyć zatarg z pozbawionym pedagogicznego talentu katechetą. Droga stąd do uogólnień: negacji rodziny, państwowego wychowania i religii — dla umysłu trzeźwego doprawdy zbyt daleka.

„Zmory“ pana Zegadłowicza, rozrosło do gigantycznych rozmiarów ściągających oszalałego Ore-

stega Erinij — to są jego zupełnie prywatne zmory. Dla normalnych śmiertelników nie przekraczają one powszednich przykrości, które w każdym dniu strącamy z rezygnacją lub zniecierpliwieniem z drogi życia.

Przed śmiercią z obrzydzenia ratują czytelnika tej niesamowitej książki niespodzianie tu przebliski, tyle przez autora znieawidzonego mistycyzmu — rzadkie a niewypowiedziane szczęśliwe wznesienia się w zaświaty abstrakcyjnego piękna, doznawane przez kontakt z przyrodą, muzyką i poezją.

Nikt nie może Zegadłowiczowi odmówić talentu. Żałować należy, że szafuje darem tym tak nieogłędnie; biorąc pod uwagę już nie kryteria moralne, a względów rzemiosła artystycznego. Zegadłowiczowi brak, tyle ważnego dla twórcy, poczucia umiaru. Dzieło jego szpeci nietylko nadmiar sytuacji i słów obrzydliwych, — struktura powieści rozłazi się, rozmazuje w nadmiarze dygresyj i dywagacji zbędnych a pretensjonalnych.

Męczącą jest dla czytelnika wielogwarowość, jaką porozumiewają się mieszkańcy C. K. miasteczka Wołkowic, język polski kaleczony do bólu koszarową niemiecką wujka Wilhelma, śląskimi pogwarkami „tanty“ Karoliny, czeskiemi — dziadka i babci Komendów. Do tego jeszcze zbeskidzony słownik Mika z towarzyszami — istna wieża Babel. Jest w tem cel — podkreślenie regionalnego charakteru środowiska, ale za wiele jest tego, djabelnie za wiele. Ginę niemal w tem wszystkim naprawdę piękne strony książki, chlubnie świadczące, że autor ich jest przedewszystkiem poetą.

Strzępy lazuru wdeptane w błoto.

## INFORMACJA PRASOWA POLSKA

AGENCJA WIADOMOŚCI W WYCINKACH Z PRASY  
BRACKA 5 WARSZAWA TEL. 9-41-53

WYCINEK Z WYDAWNICTWA...  
DZIENNIK POZNAŃSKI 6 PAZ 1935

Nr. .... d. ....

JEDYNE W POLSCE  
BIURO WIADOMOŚCI  
PRASOWYCH  
W WYCINKACH

## INFORMACJA PRASOWA POLSKA

SP. Z O. O. ZAŁ. W 1920 R.  
WARSZAWA  
BRACKA 5 TEL. 9-41-53

WYCINEK Z WYDAWNICTWA  
KURJER POZNAŃSKI 6 PAZ 1935

Nr. .... d. ....

Emil „Emiliencja“ odezwał się...

Pan Emil Zegadłowicz, przyhołubiony w swoim czasie przez Poznań, spoczął na łonie naszej miejsciny, łapczywymi usteczkami przywarł do jej piersi i — okazał się wcale dobrym ssakiem. Utył chłopca czynna nie bylejak, dzierżąc jednocześnie posadki: redaktora „Tęczy“, kierownika progr. Radja, kierownika literackiego Teatru Polskiego itd. Jednocześnie był bardzo grzeczny, powiedziałmy, uniżony, na bożnie rączki składał, oczęta w górę wznosił i śpiewał nabożne „Godzinki“ Ale „przyszły czas“, że skończyła z nim „Tęcza“, skończyło lukratywne Radjo itd. I wtedy „godzinkarz“ albo „głędziolatek“ beskidzki okropnie się na Poznań żeźlił i Poznaniowi nozwymyślał — za to poprostu, że Poznań wierzył i nie pozwolił się dłużej doić. Kropka tedy wielki „list łobuzerski“, podpisał się jako „Emiliencja“ i strasznie się ośmieszył. Więc opuścił nje wdzięczną naszą miejscinę z protestem i zaczął okropnie budnąć. I milczał bardzo długo, kombinując, co by to należało zrobić, by jakoś utyć. I powiedział sobie: „Godzinki“ — nie! A możeby tak Goldberg-Krzywicka i Boy, albo Pitigrilli? I napisał „Zmory“, powieść antyreligijną (bo to chociaż coraz mniej, ale zawsze jeszcze modne), i plugawą (bo to chociaż coraz mniej, ale zawsze jeszcze popłaca). Książka ta wprawdzie nie „srebrem pisana“, ale najpospolitszem....

13.

# KOLUMNALITERACKA

POD REDAKCJĄ S. NAPIERSKIEGO

## OBSESJE I GWIAZDY

Po siedmiu latach Zegadłowicz przystąpił do kontynuowania autobiograficznego „Żywota Mikołaja Srebrmpisanego”. Musiały to być lata, niby owe biblijne, tłuste, płodne urodzajne. Płon ich w postaci „Zmór” świadczy nietylko o olbrzymim przełomie ideologicznym, jaki dokonał się w duszy autora, lecz o niemińszym postępie na drodze opanowywania techniki artystycznej.

Dzieciństwo i wczesna młodość stały się w ostatnich czasach ulubionym miejscem popasu, na którym zatrzymuje się nie jeden powieściopisarz w tematowej wycieczce. Nad tem zjawiskiem wartoby się kiedyś głębiej zastanowić; narazie zaznaczymy, że bez szukania w pamięci możnaby wymienić z dobrym dziesiątek książek ostatniej doby, w których autor na sposób mniej czy więcej wyraźnej autobiografii przedstawia nam swe czasy szkolne.

W powieściach tych, zgodnie z współczesnymi postulatami realizmu i psychologizmu, z konieczności i z natury rzeczy zostaje uwzględniony erotyzm okresu pokwitania. Jak dotychczas jednak przedstawiono go w ten sposób, że po kieszonkowym seksualizmie był on icdwie jakąś dziesiątą wodą, w dodatku zaparfumowaną słodką konwencjonalną sielsko-anielskością. W zerwaniu z zakłamaniem, panującym wszechwładnie w tej dziedzinie, Zegadłowicz pozostawia daleko w tyle za sobą najśmielszych poprzedników. Wykazuje wielką zaiste, odwagę nie tylko publiczną — w stosunku do opinii — ale jeszcze bardziej nam imponującą odwagę prywatną — w stosunku do samego siebie. Z poza potężnych rygli wewnętrznej cenzury potrafi wyłamać przeżycia, których najodważniejsi starają się niepomnieć, które zacierają lub przynajmniej zniekształcają w symbole nie do poznania. Zegadłowicz przedstawia nam już nie symbole, nie zwiewne aluzje, lecz jasne, jaskrawe, brutalne nieraz fakty.

Jeżeli jednak chodzi o autentyczność psychologiczną w znaczeniu nie naukowym, ale artystycznym, to należy podkreślić — jako wielką zaletę powieści — nie tyle bezwzględna szczerść w przedstawieniu faktów, co wydobycie z nich nastrojów zomorowatości, tak niezrównanie odpowiadający obsesyjnemu charakterowi tego okresu młodocianego życia.

Zasadnicza ta atmosfera jest utrzymana konsekwentnie przez cały ciąg powieści; niemniej w jej obrębie wyróżniamy dwa tony, pozostające do siebie w stosunku silnego kontrastu. Śmiały, skoncentrowany realizm opisów i charakterystyk osób przeplata się z rozdziałami lirycznymi wzlotów. Zmory mają naprzemian albo anielskie tężowe skrzydła zachwycenia, albo lyską upiorną golizną sabatowej sprośności. Wzlatujemy ku gwiazdom lub dumimy się w błocie.

Realistyczne możliwości Zegadłowicza zaliśmy z poprzednich tomów „Żywota Mikołaja Srebrmpisanego”. Lecz było to poznanie ex ungue leonem, możliwe tylko dla bardzo bystrego i nienużającego się łatwo czytelnika. Jeżeli uprzytomnimy sobie te trzy poprzednie tomy, musimy stwierdzić niewiarygodny poprostu postęp w technice kompozycyjnej. Autor tam najpierw kończył, potem zaczynał, pośpieszał, nawracał, zatrzymywał się przez dziesiątki stron przy — w oderwaniu, zresztą, bardzo pięknych — dygresjach o drukach wołkowskich, kalendarzu kwiatowym i t. d. Przypominało to manjerę romantyczną z czasów Waltera Scota lub Hugo (por. „monografię” o kanałach paryskich w „Ludziach bezdomnych”). U Zegadłowicza maniera ta wybujała do wszechwładztwa, a równocześnie wafłała wież, łącząca dygresje z właściwą treścią. Ostatecznie odnosiło się omal wrażenie, że czytamy rocznik jakiegoś np. miesięcznika bardzo poetyckiego i stojącego na znacznej wyżynie artystycznej, w którym obok wie-

lu pięknych utworów drukuje się i powieść o Mikołaju Srebrmpisanem; drukuje się w odcinkach...

„Zmory” przedstawiają się zupełnie odmienne. Jeżeli pewnego rodzaju „wie romancée” jaką jest powieść Zegadłowicza, stanowi pod względem kompozycyjnym mało wdzięczny rodzaj literacki, tem rzucony już gdzieś zarzut to trzeba przyznać, że autor zadał sobie trudu, by najlepiej wybrnąć z tego niewdzięcznego zadania. Odcinek linii życia — tym razem sam szczęśliwie bardziej wyodrębniający się — ponad to spina przezornie nieznaczną klamerką księżycowego motywu; krzywą procesu dojrzewania wykorzystuje dla piramidalnej architektury, a wreszcie, co najważniejsze, — rozlewny liryzm, rozsadzający objętość poprzednich tomów, wtlacza w rozsądne granice, czyni posłusznym elementem kompozycyjnym, wykorzystując dla nadania nastrojowi falującego rytmu. Kiedy realizm osiąga w pewnym momencie swój szczyt (onania w stodole, scena w szopie, scena w zamtuzie, śmierć babki i t. d.), tylekroć następuje liryczne napięcie.

Ta dwutonowość ma jednak nietylko znaczenie kompozycyjne. Jeśli przyjrzymy się jej bliżej, zobaczymy, że odpowiada ona jakby dwom nurtom: jeden z nich — anagógiczny — podrywa w górę; drugi ściga wodę — nostalgicznie de la boue. Ta dwoistość nadaje książce szczególny sens, czyni z niej symbol życia ludzkiego w ogólności, wyposaża w wewnętrzną plastykę, jakby w trzeci wymiar, bez którego najpoprawniej wykonane dzieło pozostaje tylko bezdusznym majstersztykiem.

Jak już wspomnieliśmy, mimo tej dwutonowości kontrastującej z sobą, zasadniczy nastrój powieści zostaje konsekwentnie utrzymany. Potrzeba utrzymania go — postulat artystyczny — skłonił autora do odstąpienia od zasadniczo bardzo sumiennie przestrzeganej autentyczności. Rozporządzając pewnym materiałem „historycznym”, mogę stwierdzić, że w powieści omal niema postaci t. zw. syntetycznych. Portretowane są indywidualia, często bez zmiany nazwiska (Znamierowski, Maykowski), przeważnie z jedną zmienioną literą. Za ledwie paru osobom dostały się nazwiska fikcyjne. Czy ludzie ci byli takimi, jak ich przedstawił autor? Otóż niewątpliwie byli i takimi także. Ulegli jednak zniekształceniu, niekiedy bardzo znacznemu, choć dokonaniem sposobem bardzo nieskomplikowanym. Zegadłowicz poprostu pominął ich cechy dodatnie. Ta deformacja w kierunku ujemnym ma swoje pełne uzasadnienie i swój cel z punktu widzenia estetycznego. Nie mogę się jednak obronić przypuszczeniu, że osiągnięcie tego celu jest czemś co w psychoanalizie zowie się sekundärer Krankheitsgewinn, a co ma swe uzasadnienie przedewszystkiem psychologiczne. Z małemi i nieznacznymi wyjątkami (poza postaciami oca wchłoniętego Ja i zidentyfikowanego z niem) wyczuwamy w stosunku do ludzi jakąś niechęć, zamiętłość, jakąś wroga pasję. Książka tchnie odwetem mafego Mikołaja do ludzi „dorosłych”. Z tem się też może łączy tak niepasujące do stylu, pantagruelowskie wymienienie nazw narządów płciowych i związanych z niemi funkcji (niemówiąc już o dobitności wyrazów w innych okazjach, bardziej umotywowanych realizmem). Czy to nie jest przypad-

kiem stwierdzonym przez Ferenczi'ego („Bausteine zur Psychoanalyse”) dziecięcy pogląd na „nieprzyzwoitość” jako przywilej dorosłych? Nie upieram się przy tej hipotezie, któraby wymagała bardziej sumiennych badań, w każdym razie wydaje mi się o wiele prawdopodobniejsza, niż rzucony już gdzieś zarzut ekshibicjonizmu.

Nie! Jeżeli „Zmory” mają być wyżyciem jakichs skłonności i popędów, to przedewszystkiem popędu agresywnego. Miłość została ściągnięta ku własnej osobie i każe tem dotkliwiej odczuwać wszelkie przykrości, wyrządzone własnemu Ja. Trąci to lekko narcyzmem. Wspomniałem o tem w reportażach, drukowanych niedawno w „Tygodniku listowanym”. Typ narcystyczny jest, zresztą, wśród poetów tak rozpowszechniony, że pod tym względem Zegadłowicz napewno nie jest pierwszy ani ostatni.

Ta cecha pozwala nam zrozumieć podłoże owej olbrzymiej przemiany ideologicznej, o której wspomnieliśmy w początku artykułu. Szerokie kręgi czytelników mogą być łatwo zaskoczone tem stanowiskiem wobec religii, które dotychczasowy „piewca świątków” zajął w „Zmorach”. Przynuszcza tu atak nietylko przeciw Kościołowi czy wyznaniowości, ale zasadniczo przeciw religii, jako wyrazowi pewnego autorytetu. Zegadłowicz bowiem wydaje zacięty bój wszelkiemu autorytetowi, krępującemu wolność indywidualną. I jakby nawet bojąc się, że ta idea walki z autorytetem niedosć jasno wyłania się z kart powieści, poświęca jej wstępny rozdział i kładzie ją tam czytelnikowi wprost łopata w głowę.

Symbolem autorytetu robi militarystyczną, biurokratyczną, wyznaniową, umundurowaną i u-

sutannioną nieboszczkę Austrię. Trzeba przyznać, że wskrzesił ją isticie cudotwórczo. Zegzemplifikował ją w „koronnym kraju Galicji”, złotokofnierzowej, radcowskiej, przytobiepaniestojącej, posiadającej (wedle starego dowcipu) naprzekór Grecji „macedonje w salonikach”, a wentyl cnoty w solidnych, owianych heimlichkeitem zamtuzach. To, co epicznie, trochę na modłę Carvantesa, pokazał Hasek w swej historii Szwajka, to powtórzył Zegadłowicz jednak w sposób bardziej skondensowany i kompletniejszy. Dał „przekrój” pewnego społeczeństwa, jego obraz — jeśli nawet odbity w krzywym zwierciadle, to posiadający wewnętrzną konsekwencję, dzięki której staje się na płaszczyźnie artystycznego odczuwania niesłychanie żywy i sugestywny. Tę sugestywność zawdzięcza też w dużej mierze niepospolitym walorom stylistycznym i językowym. Okazuje się, że Zegadłowicz włada szeregiem — dziś już nawet zamarłym — narzeczy, dialektów i prowincjonalizmem, również dobrze, jak swoją rodzimą gwara beskidzką. A przełamawszy raz anachroniczną manjerę, która czasami drażniła megaljanssem Młodej Polski ze „Zdrojem”, potrafił z dobrym efektem operować bardzo swoistą konstrukcją krótkich, dobitnych zdań.

Reasumując nasze rozważania stwierdzamy, że „Zmory” stanowią bardzo istotną pozycję w naszej literaturze lat ostatnich. Radują nas śmiałością, oryginalnością stylu, realizmem „przekroju” i psychologią, artystycznymi walorami kompozycją i tą buntowniczością, która bez względu na jej wartość czysto ideologiczną, jest cechą prawie nieodłączną wielkich talentów i podstawowych dzieł.

Stefan Essmanowski.

**olska**  
warszawa  
bracka 5  
tel. 941-53

Jedyna w polsce  
biuro informacji z prasy  
całego świata w wycinkach

Wycinek z wydawnictwa  
**PRZEGLĄD  
KATOLICKI** (Warszawa)

Nr ..... d. .... 193 r.

29 WRZ 1935

### ZEGADŁOWICZ SIĘ PRZYPOMINA

Jest już i druga sensacja ledwie co zaczętego sezonu jesiennego: wyszły „Zmory” Zegadłowicza — najpękaciejsza chyba z jego pękatych powieści. Już wtrakcie drukowania fragmentów szły o „Zmorach” przerażające wieści, prawdziwi wielbiciel talentu Zegadłowicza lękali się szczerze, że spowodu brutalnego naturalizmu powieści będzie skonfiskowana i że narazi to Zegadłowicza na niezbyt chlubny rozgłos — tymczasem wyszła...

Najciekawsze są kulisy wydania „Zmór”. Podobno najpierw miała je wydać „Nasza Księgarnia” Związku Nauczycielstwa Polskiego, ostatecznie jednak jako wydawca figuruje Księgarnia F. Hoessicka. Mniejsza o to, czy w Związku Nauczycielstwa Polskiego zwyciężyła logika, czy prosta ostrożność, ale dobrze tak jak się stało. Wydawanie w Księgarni F. Hoessicka jest symboliczne, trudno bowiem o jaskrawszy przykład firmy, któraby nie wydała najpotworniejszej rzeczy... byleby autor zapłacił. Zegadłowicz napewno nic nie zapłacił za wydanie, może i coś jeszcze dostał, ale nietrudno zgadnąć, na czem swą kalkulację opierał właściciel księgarni: na tem, że książka wywoła skandal.

Dziwne są drogi Zegadłowicza i trudne do normalnego tłumaczenia. Pisał mocno dwuznaczne utwory młody Kraszewski, tam jednak uzasadnione to było wiekiem. Zegadłowicza trudno tem usprawiedliwiać. Więc czyżby drogą skandalu chciał się utrzymać na powierzchni popularności? Czyżby aż do tego topnia nie miał skrupułów?  
J. M.

*Dwun wieśmielny*  
*13. X. 1935. n.*

Książka Zegadłowicza „Zmory”, której jeden rozdział, ogłoszony w żydowski „Wiadomościach Literackich”, dał nam powód swego czasu do zabrania głosu i wyrażenia żalu, że tak utalentowany autor zniżył się do najohydniejszej pornografii, zamierzając naręczyć publiczność katolicką. Dziwi się Kat. Agencja Prasowa, że władze zezwoliły na bezkarną obrażę uczuć religijnych i wyraża ubolewanie, że znalazła się firma wydawnicza, która w świat puściła tak potworną książkę, pligawą w swej formie i treści i o charakterze wybitnie antyreligijnym (nawet imię Boga pisze autor przez matę „b”, wzorem pisarzy sowieckich). My się nie dziwiamy, bo ta firma wydawnicza w Warszawie, (nosząca nazwisko Hoessicka, powadnego literata, który się oddawna wycofał z księgarstwa), jest przecież w rękach żydów, a ci właśnie szerszą w Polsce tego rodzaju wydawnictwa. Również najpoważniejszy organ wielkopolski „Kurjer Poznański”, (który niedawno patrzył na Zegadłowicza, dzierzającego w Poznaniu jednocześnie trzy dobre posady, redaktora „Tęczy”, dyrektora Radja i kierownika literackiego Teatru Polskiego), potraktował w sposób odpowiedni jego najważniejszą powieść, która ma być dalszym ciągiem poprzednio wydanych tomów własnego i niesfalszowanego zycioranu. Poeta-bahater tej powieści nosi imię: Mikołaj Srebrmpisan, pisany. Otóż, recenzent poznański krótko a dosadnie określił, że pligawa książka ta jest nie srebrnem piśmem, aleQUALPOLITIZMEM błotem, czy czemś jeszcze gorszem.

14.



**INF**  
**POLSKA**  
**PRASOWA**  
**MAC**  
**JA**

AGENCJA  
 WIADOMOŚCI  
 Z PRASY  
 W WYCINKACH

SPÓŁKA  
 z ogr. odp.

Warszawa  
 ul. Bracka 5  
 telef. 9-41-53

WYCINEK  
 Z  
 WYDAWNICTWA

5-ta rano (Warszawa)

Nr. d. 10 LIST. 1938

## „ZMORY“

### Wstrząsająca powieść Emila Zegadłowicza

Powieść Emila Zegadłowicza „Zmory“, która pojawiła się w druku nakładem firmy F. Hoerick, narobiła wiele wrzawy i hałasu. I nic dziwnego!

Zegadłowicz, pisarz o ideologii wyraźnie klerykałnej, poeta bardzo subtelny, ukazał w niej oblicze realisty, albo, jak powiedzą niektórzy, cynika. Mamy do czynienia z realizmem tak brutalnym, że słowami, określeniami i zwrotami tak wulgarnymi, że francuz Celine, autor najbrutalniejszej książki o wojnie, wygląda w porównaniu z metodą pisarską Zegadłowicza na niewiniątko.

Ale to jest w książce Zegadłowicza tylko pewnym dodatkiem, pewnym fragmentem. Cała powieść, opisująca szkolne lata młodego chłopca Mikołaja Srembrepisanego, spędzone w małej mieścinie galicyjskiej, bezpośrednio przed wojną, jest przepojona takim uczuciem, taką prawdą wewnętrzną, że przechodzimy do porządku nad niepotrzebnymi brutalnościami formy i języka.

Zegadłowicz ukazuje sprawę starą, jak świat i wiecznie w nas żywą: straszliwy kontrast, jaki zachodzi między jednostką subtelną, wartościową, przewrażliwioną, marzycielską, a środowiskiem, nie rozumiejącym tej jednostki. Tem środowiskiem jest w „Zmorach“ nie tylko szkoła, nie tylko nauczyciele Mikołaja Srembrepisanego, ale i całe mieszczaństwo, żyjące w małej mieścinie w biedzie, szarzyźnie i kłopotach. Ale Zegadłowicz, który dla odmalowania tego środowiska nie żałuje barw najcięższych — natomiast mówiąc każda postać tego środowiska odmalowana jest w książce z plastyką i prawdą godną najlepszego pióra — nie wysnuwa z tego wniosków tragicznych, beznadziejnych, jakby to zapewne przy takim temacie uczynił Dostojewski. Mikołaj odnajduje bratnią, najbliższą duszę w ojcu, który go bardzo młodo odumiera, potrafi również oczyszczać się, podnosić na duchu w miłości dla chorej nieuleczalnie matki. Ale i w szkole, wśród straszliwych nauczycielszakali, spotyka ludzi, którzy go rozumieją, którzy jego talentowi pisarskiemu, poetyckiemu, dają możliwość ujścia, wydzwignię-

cia się na szczyty.

W rezultacie książka ponura, upiorna, przedstawiająca w czarnych, najczarniejszych barwach świat mieszczański, działa jednakże optymistycznie, bo mówi o tem, że jednostka czysta, szlachetna, wystrzelająca ponad środowisko, nie zginie, choćby ją oblepiano nie wiedzieć jakim błotem, nie wiedzieć jaką ohydą.

Zegadłowicz jest mistrzem prozy prostej, związanej z życiem, z ziemią, z krajem, w którym żyje. Czytając poszczególne opisy, patrząc na poszczególnych ludzi, mamy głębokie poczucie, że są to ludzie z krwi i kości, zrosnięci z ziemią. Przytem sposób odczuwania ziemi, pejzażu, natury, jest najidealniej bezpośredni, daleki od wizyj, wymyślonych przy biurku.

Może ktoś powiedzieć: Cóż nas obchodzi ten świat galicyjski, ta szkoła zaborcza, te okropne zmory, pędzące nędzny żywot w upornym miasteczku? Prawda, wiele się na świecie i w Polsce zmieniło, nie ma dziś w szkołach takich okrutników i sadystów, jakich opisuje Zegadłowicz. Ale jedno pozostało bez zmian: w ustroju burżuazyjnym, opierającym się na tak teraz niewiarygodnym Zegadłowiczowi klerkalizmie i militarzynie każda jednostka jak mały Mikołaj Srembrepisany myśląca i czująca samodzielnie, szukająca własnych dróg, nie umiejąca za innymi powtarzać pacierz i rozkazać, jest przez otoczenie w imię tak zwanego porządku gnębiona, niszczone, deptana. Myli się więc ten, kto twierdzi, że już nie trzeba chłostać mieszczaństwa, nie trzeba z niego zdzierać krwawych pasów.

Postęp i zmiana polegają tylko na tem, że dawniej Mikołaj musiałby albo rozpłynąć się w bajorze łajdactwa, które go otacza, albo popełnić samobójstwo. A dziś Zegadłowicz, przeprowadzając go przez piekło, pozwala wierzyć, że człowiek wewnętrznie czysty znajdzie ratunek w każdej, najmniej sprzyjającej człowieczeństwu sytuacji.

To jest tej wartościowej, śmiałej wyrosłej z cierpienia i buntu książki wartość największa i nieprzemijająca.

..J. Werski.

JAROSŁAW JANOWSKI

## Wołkowickie zmyry

**P**OWIEŚĆ Zegadłowicza „Zmory”, stanowiąca dalszy ciąg cyklu o Mikołaju Srebrmpisanym różni się znacznie od dotychczasowej prozy poety Beskidu. Znikła nadmierna rozlewność, przechodząca chwilami w gadulstwo, postacie jakby steżały, są plastyczniejsze, a przytem po dawnemu całość oddycha poetyckim rytmem. Tylko że „Zmory” mają odstrasający, zbędny, prowokujący nalot: ekshibicjonizm poety, który jakby chciał się popisać, jakby chciał powiedzieć: — Macie mnie za beskidzkiego świątkarza, za poetę cichej kontemplacji i zadumy? A właśnie, że wam pokażę co umiem w dziedzinie drastyczności. Zakażę samego Lawrence'a, ba, co tam nie Lawrence — pójdę w szranki z autorem „Wspólnego pokoju”, Uniłowskim.

Nikt mnie nie przekona, żeby litania ordynarności, jaka pojawia się na niektórych stronicach nowej książki Zegadłowicza miała decydować o artystycznej wartości tego dzieła, jak to już próbuje udowodnić jeden z recenzentów. — Odważna książka — powiada. — Prawdę mówiąc odważną książką należałoby raczej nazwać coś przeciwnego „Zmorom”, coś co nie idzie po linii tworzącego dziś niemal szkołę, Celine'a. Tylko zastanówmy się!

Byłem pierwszym, który napisał coś przychylnego o Zegadłowiczu w „Wiadomościach literackich” (w roku 1924). Przed tem w Warszawie i w kole wpływowych sfer warszawskich Zegadłowicz miał złą prasę. Z przekąsem i drwiną mówiono o jego koledziółkach. Później przekonano się do niego jako do poety. Dopiero teraz, po „Zmorach” pasowano go na pełnego rycerza. Sprezentowano broń.

Nie chcę tu insynuować, jakoby uczyniono to tylko dla owego ekshibicjonistycznego posmaku „Zmor”. Ale gdy podnosi się do niezwyklej wyżyny styl i język tej powieści — trudno nie dostrzec, że podoba się właśnie owa „odwaga” słownika.

Styl Zegadłowicza uległ w „Zmorach” kondensacji. Pozostało uczuciowe falowanie zdań, budowanych jakby do recytacji. Trzeba rzeczywiście podziwiać skrętność obserwacji poety, który potrafi nadać ironiczny, złośliwy czy przeciwnie, nastrojowy sens zdaniom i obrazom.

Czuje się w całości bardzo osobisty stosunek poety do Mikołaja. Jego lata gimnazjalne, spędzone w Wołkowicach, prowincjonalnym mieście galicyjskim przed wielką wojną przesyca bezpośrednią znajomością rzeczy i wydarzeń.

Poeta przedstawia życie w Wadowicach, t. j. przepraszam

w Wołkowicach we wklesłem zwierciadle. Najszczegółowiej maluje ponure, sadyistyczne typy nauczycieli w pierwszej klasie gimnazjalnej. Później stosunki się widać poprawiły. Zjadliwość ustępuje sentymentowi dla niektórych profesorów, jak np. dla poety Znamierowskiego albo Majkowskiego.

Trzeba przyznać, że okres budzenia się i rozwijania młodego Mikołaja opisał Zegadłowicz z niezwykłą siłą wyrazu. Przechodzi się on wśród istnych zmyr, czując się obco wśród tych ludzi i w tem środowisku.

Ale kiedy nam powiadają, że w „Zmorach” przedstawił poeta hymn ku czci człowieka, to chyba dlatego że przedstawił maskary, mogące się przyśnić. Zrobił to niebylejak. Ale cisnął w nas garścią najbardziej ponurych scen. Odzywa się tu protest poety przeciwko niezdrowej, zatęchłej atmosferze, jedno cześnie zaś widać jakieś lubieżne babranie się w patologicznych typach i trywialnych sytuacjach.

Poeta jakby nam chciał pokazać odwrotną stronę pojęcia „kraju lat dziecińczych”, młodości. Jakby chciał ukazać jego moralne zakłamanie, fałsz, głupotę. Ale odkłamując swe wspomnienia Zegadłowicz operuje hieraz najpospolitszymi argumentami.

Trudno tutaj dyskutować z poetą. Wołkowice, streszczone do wuja Wacława, pijaka lubieżnej babki, pospolitej ciotki Wilhelminy i rozwiązłego właściciela zakładu pogrzebowego (urządzającego orgje na trumnach) to istotny koszmar. Czy Wołkowice nie miały nic więcej? Musimy się z tem zgodzić, że poeta notuje to, z czem stykał się jego bohater.

Zresztą Mikołaj nie wyraża się tym brudem. Wychodzi raczej zwycięsko z prób. To znaczy tworzy sobie swój niezależny świat, nie uznający rygorów, dogmatów, ani innych „przesądów”. Zapewne pod wpływem ojca, pełnego niewiary ale i szlachetności, przygniecionego doznaniem krzywdami Mikołaj rozumie, że musi się odgradzić od swego otoczenia. Wszystko oparte jest na kłamstwie — powiada ojciec w pięknej scenie. Temu kłamstwu trzeba zrećnie wtórować.

Podnosząc dokolną złość i mąstostkowość, tepotę i sadyzm do X-ej potęgi Zegadłowicz uprościł zadanie. Nigbezpieczniejsze są „zmyry”, mające twarze pozornie ludzkie, a w gruncie rzeczy oschłe i płytkie. „Zmory” Zegadłowicza mają rysy wyolbrzymione, lecz ostatecznie trudno mieć o to pretensje dlańnie do ...zmyr.



## „Z M O R Y”

Powiem odrazu, że książka Zegadłowicza<sup>1)</sup> jest dla mnie bardzo wielkim wydarzeniem literackim, tem radośniej, że zgoła niespodzianem. Rozpanoszyła się u nas moda stylizacji animistycznych i demonicznych w powieściach słoczonych na bardzo niski poziom kultury umysłowej. Książka stawiała się tem poczytniejszą, im powieściopisarz (powieściopisarka) cofał się dalej w prymityw do niczego nie obowiązujący, w fantastykę i metaforystykę, kapryśną, pozadziejową, przedhistoryczną. Działo się tak może dlatego, że w Polsce niema dziś pism już nie bojowych, ale choćby wyznawczych, od lat nie odzywają się żadne, choćby najcichsze odgłosy walk literackich, a krytyka staje się coraz bardziej impresjonistyczna i, co gorsza, protekcyjnistyczna.

I nagle taka wspaniała, mocna, rzetelna książka! Jej treść to odwieczny tragizm każdego prawdziwego człowieczeństwa, jej forma to nie piękniarstwo literackie, ale mądrość i dobroć. Głęboko wzrusza w niej widok dziecka wkraczającego w życie pełne tajemnic ludzi dorosłych i tajemnic jego własnego ciała. Wszystkie te sekrety trzeba poznać, zagadki porozwiązywać. Życie jest tu jak noc na grzędzawisku: niema drogi i niema drogowskazów, noga staje czasem na gruncie twardym, ale często ugina się pod nią chłonny moczars. Nikt nie podejździe do Mikołaja, do tego wrażliwego subtelnego Mika, aby go ująć za rękę i pokazać mu drogę, nieczyja pamięć niedoli dziecięcej nie przemieni się dla niego w przyjazne współczucie.

Mikołaj otoczony jest ludźmi, którzy nad nim czuwają, wychowują go i kształcą, ale jak wszystkie dzieci, i ten chłopiec jest samotny. Tkliwa bezsilna miłość umierającej matki trzepoce się nad nim i miotła jak postrzelony ptak, ale ta matka cierpi nieludzko i umiera straszliwie długo w mękach i trwodze. Stary ojciec patrzy na syna mądrymi dobrymi oczami, ale jego starość wie: świat jest zły, ludzie są głupi i podli przewaźnie, dużo trzeba wycierpieć zanim się człowiek do nich upodobni, czy przystosuje. Mik będzie sam, a przeciw niemu stanie cały świat. Jego stary dziadek Komenda umiera *in odore* —

*nie sanctitatis* — ale w atmosferze nie zaspokojonej muzykanckiej tęsknoty, a babka Aninka żyje niesyta uciech zmysłowych, które kupuje sobie drogo za oszczędności pozostałe po mężu.

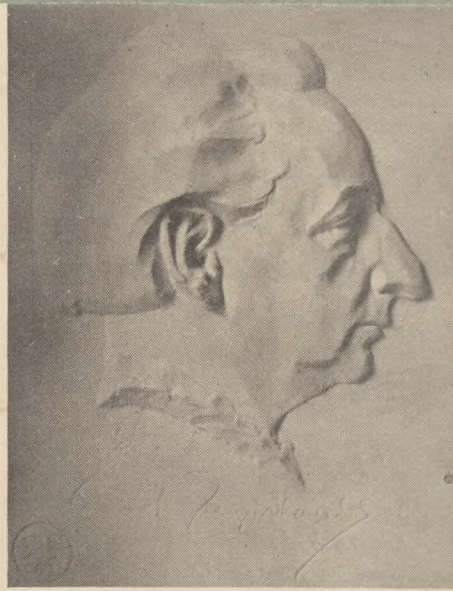
Jest jeszcze wuj Waław, w którego domu Mik się wychowuje. Jest to człowiek dobry „z kośćcami”, ale jest z siebie i ze świata wiecznie niezadowolony. Nie lubi żony swej, Wilhelminy za to, iż z jej winy nie stał się czemś, czem mógł być się stać. Ciocia Wilhelmina złapała sobie męża dla własnej wygody erotycznej i gospodarczej, ale i ją spotkał zawód. Wujostwo, u których Mikołaj mieszka, to typowe przeciętne małżeństwo dwojga obcych sobie ludzi, nienawidzących się zimno, wytrwale i spokojnie, jak nienawidzić się mogą tylko ludzie skuci z sobą nazawsze. Ciocia Wilhelmina odszkodowuje się za swoje zawody zjadliwością i drobnomieszcząnskiem plotkowaniem, wuj Waław lubi popić w miłej kompanji i połajdaczyć się, gdy nadarzy się sposobność. Mik widzi dużo ciekawego, słyszy jak wuj Waław po pijanemu przemawia krępkimi słowami ze słownika grubych nieprzyzwoitości, słyszy jego śpiewki o rydzu i jeszcze lepsze kawalki, i wszystko przyjmuje do zastanawiającej się wiadomości.

Potem szkoła. Biurokraci od wychowania i biurokrata od miłości chrześcijańskiej. Austrjackie gadanie, pycha autorytetu katechety. Biedny poczciwy Mik z prostotą zacnego serca wda się w klasie w rozmowę z katechetą o djabłach, powtórzy w prostocie serca co słyszał od swego ojca, że żadnych djabłów niema i wnetże na progu życia nawarzy sobie takiego piwa, że strach! Życie zwali się straszliwym ciężarem na barki młodego chłopca, przyjdzie choroba z męczącymi majakami i wreszcie po wyzdrowieniu krok za krokiem zacznij Mikołaj wdrażać się w życie, kumać z rówieśnikami wtajemniczonymi, łączyć się ze społecznością wiedzących.

W jego sercu zbudzi się, jeszcze nie miłość, lecz jej najśłodsze przeczucie, ale życie postawi go nieoczekiwanie oko w oko z babką, gdy ta skomlić będzie, aby stary wyga i łajdak potrosze, Podrzwistak, poszedł z nią spać, że przeciw dobrze mu zapłaci. Czasem muśnie go delikatnie jakas wizja niezemska, a wszystko zsumuje się i zsublimuje w słowo poezji, w bełkot

Emil  
Zegadłowicz

Proj. Fr.  
Suknarowski



ekstazy duszy, w cudowny gest poety, błogosławiącego światu i życiu.

Taka jest treść tej wspaniałej książki. A forma? Przy jej czytaniu niejedynem zda sobie nagle sprawę, gdzie to podziwuje się czysta liryka, znikająca z naszego życia. Na żadnej książce polskiej nie dałoby się tak dobitnie zademonstrować faktu przenoszenia się liryki w prozę, jak na tej dziwnie pięknej książce Zegadłowicza. Nie każde dzieło literackie jest dziełem poetyckim — twierdzi filozof współczesności, Jaspers. Można dodać, że niektóre dzieła literackie są żywym zaprzeczeniem poezji, ale gdyby chołziło o przykład prozy, która od pierwszej do ostatniej stronicy jest żywą ewokacyjną poezją, to przykładem takim byłoby przedewszystkiem dzieło Zegadłowicza. Jest to galerja postaci i obrazów tak wybitnie pięknych, że należałoby poświęcić im studjum specjalne.

Zapewne też czar czystej poezji działa tak cudownie, że czytelnik, obcujać z Mikołajem Srebrmpisanym, zapomina nagle o nim i z najgłębszym wzruszeniem obchodzi święto spotkania z własnym dziecięctwem i młodością. Rzeczy widziane i słyszane, czute radośnie i boleśnie, oplakane i ośpiewane w dziecięctwie i zamłodu, ukazują się tu znowu ze swojemi radościami pełnemi goryczy i z bólami dziwnie słodkimi. Bolała niezaspokojona ciekawość, obrażała wyniosła tajemniczość starszych, nęciła tajemnicza dal, ranił uśmiech kobiet, ciężką zadumą kładły się na duszy zapachy kwiatów, gwiazdy mru-gały Bóg wie o czem, wiał srebrny i zielony wiatr... Przy czytaniu książki Zegadłowicza przypominają się ciągle słowa pisarza czeskiego, Karola Czapka, który przy podobnej sposobności napisał: „Chce się paść na kolana przed świętą i wielką rzeczą, której na imię człowiek!”

<sup>1)</sup> Emil Zegadłowicz: „Zmory”. Warszawa, 1935. Nakładem F. Hoebs.

Zegadłowicz był długo literatem, to jest człowiekiem obciążonym ciężką tradycją literackiej treści i formy. Stała się rzecz cudowna: zerwał z tą tradycją, wyrwał się z jej środowiska, aby odzyskać własne najświętsze świętych: samotną prawdę i prawdziwość. Jedno z największych nawróceń, jakie znam. I rzecz osobliwa: jego „Zmory“, książka najbardziej realistyczna w literaturze polskiej, jest jednocześnie wyrazem najczystszej idealizmu. Zerwać z umówionym, pożytecznym kłamstwem treści i formy, wydobyć się spod nalotu tego wszystkiego, co „być powinno“ i rzucić mocne słowo o tem, co naprawdę jest, na to potrzeba wielkiej siły. Na wielkie dzieło sztuki trzeba wielkiego charakteru. Wobec książki Zegadłowicza jakże dobroczynnie błędnie igraszkowość talentów pozbawionych kultury umysłowej i charakteru mocy i woli!

Któż przeczyta bez głębszego wzruszenia rozmowę starego ojca z dzieckiem, które ciocia Wilhelmina przyprowadziła do tego ojca, aby je przykładnie ukarała za niewiarę w diabły! „Żyjemy w tak zwanem społeczeństwie — wywodzi ojciec, błogosławiąc syna zimną już dłonią. — Ty spotykasz się z niem po raz pierwszy — ja już od niego odchodzę — czyj los lepszy? — no twój! — czeka cię najcudowniejsza rzecz na świecie: wydobyć z zamętu siebie, a przez to innych — tych, co chcą być zratowani — niewielu ich — ale to najlepsi...“

A potem słowo o szkole współczesnej, tym instytucie tresury, wychowującej człowieka zawsze dla czegoś i dla kogoś, a nigdy dla niego samego! „Szkół, gdzieby

mógł uczyć się człowiek swego człowieczeństwa, niema na świecie i pewnie nigdy nie będzie“. Uczyć się swego człowieczeństwa! Wydobywać się z zamętu! Cóż za program wspaniały już nie dla Mika tylko oczywiście, lecz dla milionów najbardziej dorosłych ludzi!

Książka Zegadłowicza porywa i czaruje swą prawdziwością. Niema w niej ani śladu stylizacyjek na demoniczność i prymityw. Ta książka to nowa epoka i może przełom, na który tak długo i tak daremnie czekaliśmy. Mik wrasta nie w jakąś wioszczynę zapadłą, w przedmieście, czy w animizm człowieka pierwotnego, lecz w całe nieobjęte życie, w to wszystko, co dla człowieka współczesnego jest prawdą i męstwem. Przebijają się przez mroki i bezdroża ku wielkiej sztuce i wielkiej myśli filozoficznej, ale to jeszcze nie wszystko: przebijają się ku samemu sobie w myśl pięknych słów ojcowskich o wydobywaniu z zamętu samego siebie. Rozmowa ojca z dzieckiem o tem, że djabłów niema, staje się dla Mika tematem, który rozwija się w najpiękniejszy prometeizm. Jest sam i w tej samotności swojej jest cudownie mocny. Wydziera się temu wszystkiemu, co straszy, przeraża, obezwładnia, i ma odwagę przyznać się do swej wiary i niewiary, do swej miłości i nienawiści. Stawał się „duszą muzyczną“, odpowiadającą wiewom wszechświata i stawał się wolą myślącą, samodzielną, szukającą drogi do Syna człowieczego, aby mu powiedzieć, że „kłamstwem stało się wszystko, złem i potwornością...“

Oczywiście, tradycyjne świętoszkostwo rzuci się na realizm Zegadłowicza

i będzie mu zarzucać jego cudowną plastykę pewnych sytuacji, o których się nie mówi, ale to się na nic nie zdało. Te sytuacje znane są każdemu nie z literatury, bo nie literatura je stworzyła. Żadne legendy o bocianach i żadne straże nie ustrzegą młodzieńca od zainteresowań najbardziej legitymnych i bezpośrednich. Żaden młodzieniec nie odwróci się od swego Podrzwistaka, gdy nadarzy się mu sposobność do podpatrzenia jego sam na sam z jaką Rozą. A co do słownika wuja Wacława, jest on przecie najpowszedniejszy i wszystkim doskonale znany. Anatol France uważa, że jest to słownik dusz niewinnych. Zresztą Zegadłowicz nie jest samotniony: Joyce, Lawrence, Karol Czapka, Huxley, Céline, Harris, Proust... wyzwalają człowieka dzisiejszego z kompleksów wyhodowanych w nim przez ostre, ale zgoła bezskuteczne zakazy.

Trzeba oczywiście jaknajmocniej podkreślić, że w książce Zegadłowicza zdecydowany realizm kojarzy się z idealizmem najwyższego etosu. Z każdej kartki przemawia do nas staroindyjskie *Tat twam asi* — to jesteś ty! Mikołaj Srebrempisany to każdy z nas, gdy szukał prawdy i miłości i gdy drogę zagradzał nam utilitarny tradycjonalizm. Któż nie spotykał solidnych, pobożnych Lujz, osób wprawdzie publicznych, ale nawskroś porządných, czysto ubranych i rozmiłowanych w życiu prywatnem jak sama pani Waren w komedji Shawa? Przecie za niemi nie trzeba chodzić do domku „na kilometr“, bo spotyka się je wszędzie. Na Mika patrzy z upodobaniem i gotowa byłaby uczynić dla niego zaszczytny w swem mniemaniu wyjątek (*sie sind so stilllich* — taki pan maralny!), ale Mik korzysta ze sposobności i ucieka od niej.

Dopiero na końcu książki, gdy na uczcie po maturze zaczyna się austrjackie gadanie przy niezgorszej popijawie, Mik wymyka się spośród kolegów i w nocnej ciszy małego miasteczka, pod pełnią księżycową spotyka miłość. Na jego spotkanie idzie „lunatyczka“ Balbina, z którą niegdyś prowadził na moście niemą rozmowę bez słów. To już nie Lujza, od niej nie ucieknie. Burzliwie rzuca się w objęcia tajemnicy, a gdy Balbina topi następnie jego ubranie w głębokiej studni, Mikołaj „nagi, radosny, pełen w sobie dogasającej rozkoszy — odmieniony, nowy, inny — idzie drogą odwieczną do Poręby Murawanej“.

Ta nagość Mika, to zrzucenie i utopienie ubrania to symbol wielce wymowny. Zegadłowicza podziwialiśmy jako poetę, który w ramach tradycji zajmował miejsce bardzo poczesne, ale ostatecznie był jednym z wielu. Ten tedy poczesny poeta wystąpił z owych ram, sięgnął po niezaprzeczalne pierwszeństwo w pewnej dziedzinie wysokiej sztuki, zrzucił z siebie cały jałowy tradycjonalizm, i nagi, odmieniony, nowy, inny, idzie ku nam. Tego nowego Zegadłowicza już nietylko podziwiamy, lecz kochamy. I ten Zegadłowicz rewolucjonista, który wysoką sztuką dzieła swego przyemił tak wiele i tak wiele, dokonywając wielkiej niespodziewanej przemiany, zostanie. Jego książka należy do najpiękniejszych i najmądrzejszych w literaturze świata, a to dlatego, że jest jedną z najprawdziwszych, to jest najmężniejszych.

Paweł Hulka-Laskowski

29 PAZ 1935

## "Zmory" Zegadłowicza

Autor „Powsinogów beskidzkich”, szeregu tomów poezji, dramatów i powieści, były dyrektor teatru Polskiego w Poznaniu, b. redaktor wybitnie katolickiej „Tęczy” — ojciec duchowy regionalnej a ciekawej grupy poetyckiej „Czartaka”, wydał nową powieść i opatrzył ją frapującym tytułem „Zmory”.

Nie jestem zawodowym literatem i krytykiem i nie zamierzam pisać krytyki w dosłownym tego słowa znaczeniu. Chcę tylko podzielić się wrażeniami, odniesionymi przy lekturze tej — nie waham się powiedzieć — ohydnej elukubracji.

Nad tego rodzaju utworami, pretendującymi ze względu na przeszłość twórczą autora, do miana literackich, powinno się w innym wypadku przejść do porządku. Beletrystyka nasza wyprodukowała w ostatnich latach i produkuje ciągle tyle słabych i marnych rze. zy. tak mało jest w wielu wypadkach oryginalna, że pominięcie tego rodzaju produkcji milczeniem, nie jest grzechem. Specjalne cechy powieści Zegadłowicza przemawiają za tem, że zając się nią trzeba.

Powieść ma być dalszym ciągiem autobiograficznej powieści Zegadłowicza p. t. „Żywoć Mikołaja Srebrempisanego” i obejmuje okres ośmiu lat gimnazjalnych — Mikołaja. — Miejscem akcji jest galicyjskie miasteczko Wołkowice (Wadowice), a życie jego przedstawione jest przez autora w sposób tak jaskrawie ujemny, że w oczach czytelnika staje się synonimem najwstrętniejszej kołtunerji, zacofania, egoizmu i zbiorowiskiem wszelkich możliwych zbrodni etycznych i wynaturzeń.

— Modnem stało się w literaturze

naszej i obcej, zwłaszcza w ostatnich latach, tworzenie mniej lub więcej interesujących utworów na tle życia szkolnego. Pisał Perzyński, Maku-szyński, Nowakowski — pisze ostatnio Parandowski.

Dlaczego nie miał napisać Zegadłowicz?

— A że można łatwo popaść w szablony i powtarzać się, trzeba dać coś nowego, coś pikantnego. I pikanterja, mająca specyficzne cechy, to nic, która przewija się przez całą powieść.

Bohaterowie powieści Zegadłowicza to najbliższa rodzina Mika i jego koledzy. Rodzina, poza wcześniej z akcji powieści wycofanym ojcem (śmierć) i nieszczęśliwą matką Mika, to zbiór ludzi, którzy poza jedynym celem, jakim jest wyżycie się seksualne w najohydniejszej formie, użycie życia przez nurzanie się w orgjach pijackich, i gromadzenie pieniędzy — nie widzą nic. Rodzina jakichś zablakanych Czechów, jakieś typy muzealne, wygrzebane z ery przedkonstytucyjnej i nieprawdopodobnie przeniesione w czas studjów — Mika (Zegadłowicz ma dziś dopiero lat 47) — to anachronizm, do-bry w powieściach z czasów Lama i Dzierzkowskiego. Dziś razi i wywołuje niesmak i obrzydzenie.

A jeżeli rodzinka tak zacna była rzeczywiście rodzinką Mikołaja Srebrempisanego — a powieść jest powieścią autobiograficzną, co powie-dzieć o autorze, który swoich najbliższych, mniejsza o to, czy doznał od nich krzywd czy nie, w ten sposób przedstawia i robi bohaterami podejrzanej wartości sensacji?

Grono nauczycielskie gimnazjum, do którego — Mik uczeszczał, przedstawione w barwach przeważnie czarnych.

Nie myślę stawać w obronie średnich szkół galicyjskich. Kto je zna z auto-psji wie, że przeżywały różne okresy, że były w nich różne typy i typki, że są one w szkołach całego świata, że niema idealnych dyrektorów, katechetów i nauczycieli, że młodzież ocenia ich przeważnie subiektywnie, zależnie od tak fluktuujących w okresie studjów gimnazjalnych sympatyj i antypatyj.

Zegadłowicz z widocznym i łatwo wyczuwanym sadyzmem przedstawił jaskrawo typy ujemne — poświęcając ich charakterystyce wiele miejsca, zbywając natomiast typy dodatnie (poza jednym Znamirowskim) kilkoma słowami. Nie wahał się wymienić ich pełnym nazwiskiem (znamy ich wszystkich), w niezmiernym lub przez jedną tylko literę zmienionem brzmieniu, nie oszczędził ich życia prywatno-rodzinnego (niektórzy zmarli, więc bro-nić się nie mogli) — słowem użył sobie, ile tylko mógł.

I dziwne, że w tej atmosferze pedagogicznej jakoś ten Mikołaj wyrósł na człowieka, a jeżeli Mikiem jest sam autor — stał się poetą i wyniósł przecież z tej przeklętej szkoły jakieś podstawy samokształcenia, pęd do kultury i twórczości.

— A młodzież, ci koledzy — Mika! Toż to młodzieńcy, których całe zainteresowanie koncentruje się w tajnikach życia seksualnego, podpatrywania ich, babrania się w szczegółach wynaturzeń płciowych, odwiedzania domów publicznych no i... używanie i nadużywanie alkoholu.

Niewiniątkiem w tym zespole jest tylko on, — Mik — aż do pomaturycznego w łaszywą szatę poetyczną u-branego aktu miłosnego — no i... specjalną sympatją autora otoczony Zydek Adolf Silberschütz...

Czy koledzy wzięczni będą Mikołowi za uwiecznienie ich w tych niezbyt

miłych i drastycznych sytuacjach, od których roją się „Zmory” — nie wiem.

— Nie wiem, czy nie było wśród kolegów Mika i takich, którzy krwią przypieczętowali powstawanie ojczyzny, walcząc w formacjach polskich i niepolskich. Coby oni o Miku dziś powiedzieli?

Co powiedzą ich rodziny? Wymieniając niektórych, czy profesorów, czy kolegów rzucił Zegadłowicz swe anatemę na cały zakład. Czytający jego powieść ma przed oczyma jeden obraz, generalny korowód ciemieżców pedagogów i oddanych pijaństwu i rozpucie młodzieńców.

A to jest wysoce niesprawiedliwe!

Nie oszczędził Zegadłowicz naturalnie i duchowieństwa, przedstawionego w osobie katechety z jego słabostkami i w oświeceniu, jakie znamy już z różnych elukubracji żydowsko-socjalistycznych-wolnomyślicielskich. — Byłoby to jeszcze do przełknięcia.

— Ale natrzęsanie się z wierzeń prostaczków, dość częste porównywanie tych wierzeń z szamanizmem, musi oburzyć.

Jeżeli Zegadłowicz pracujący don dawna na placówkach katolickich sam nie wierzy w nic, to nie wolno mu w ten sposób traktować wiary maluczkich. Człowiek, który nawet przejdzie ewolucję od przekonań katolickich do niewiary, a jest człowiekiem kulturalnym, nie daje w ten sposób upustu swym sadystycznym nastawieniom.

Tak robi tylko człowiek mały. Małym też okazał się Mik — Zegadłowicz w swych porachunkach z własną, najbliższą rodziną, ze swymi nauczycielami, ze swymi kolegami — ba! nawet z Sienkiewiczem!

Nasuwa się pytanie: Cui bono? — napisano i wydano tę powieść, pełną jakichś niesamowitych scen, makabrycznych sytuacji, nieprawdopodob-

nych figur, których zresztą galerję zostawiła nam już Zapolska i których mamy dość. Kilka kartek przeblęsków lirycznych, przypominających dawnego Zegadłowicza, nie ratuje sytuacji.

Powieść nie jest jakimś dokumentem psychologicznym, jak to usiłują wmówić w czytelników pewnych pism literackich żydowscy krytycy (nawiasem trzeba dodać, że poprzednie tomy „Żywoć Mikołaja Srebrempisanego” oceniali niezbyt pochlebnie, dopiero ten tom w pełni ich zadowolił) — jest sadystyczną elukubracją człowieka, który zdaje się za wszelką cenę — chciał się policzyć z tymi, do których czuł jakieś urazy.

Jeszcze jedna uwaga.

Żyjemy w okresie sztuki hasła, czy ideału wychowawczego dla młodych pokoleń. Ani na chwilę nie wątpię, że ostatnia powieść Zegadłowicza przedostanie się do rąk naszej młodzieży. Co ona z niej wyniesie? Co sobie przyswoi?

Tu troska największa.

Odmalował szkołę galicyjską w niezbyt różowym świetle Nowakowski w swym „Rubikonie”. Jakżeż Nowakowski, nie obwijający zresztą także niczego w bawełnę, góruje nad Zegadłowiczem!!

Przypomniał Zegadłowiczowi jeden z młodych krytyków jego słowa z III tomu „Żywoć Mikołaja Srebrempisanego”: „Pisarza tworzy nie talent, lecz charakter, przekonanie, wiara w ideę”.

Zdaje się, że pisząc w jakimś zaślepieniu swe „Zmory” — zapomniał Zegadłowicz o tych swoich słowach. A tak wymowne nasze czasy przyniosły i to, że konfiskuje się np. nowele Burka za jakieś tam słowa o komorniku — natomiast bezkarnie ukazują się ohydne „Zmory”, cuchnąca plama na mniej lub więcej wzorzystym dywanie naszej beletrystyki.

A. J. M.

# Mikołaj czyżby pisa- ny — srebrzem...

Bywają książki, które autor sam sobą zasłania. Tak się właśnie zdarzyło z ostatnim utworem Zegadłowicza — „Zmorami”.\*) Nie sposób mówić o ich sprawie nie rozwikławszy wpieryw przygody natchnieńca z samotni w Gorzeniu Górnym. Dylemat, który własną swą osobą zadał krytyce i czytelniczemu światu jest intelektualnie jadowitszy, niż zawartość „Zmor”. One nas zdumiały i zaskoczyły, lecz to co w autorze nastąpiło, poczęło nową książkę, idąc więc genetycznym śladem spróbujmy naprzód się rozeznąć w jego nawróceniu osobliwym, bo w kierunku niejako wstecznym.

Każde nawrócenie posiada dwa elementy. Odwraca się od czegoś, by się ku czemuś dotąd obcemu zwrócić. Jest zerwaniem z wewnętrzną dawnością i nawiązaniem paktu z inną, nową sprawą. W naszym wypadku niełatwo ściśle obrysować tę dawność, oddzielić ją od nowości, natomiast bez trudu odnajdziemy zasa-

\*) Emil Zegadłowicz. „Zmory” — kronika z zamierzchłej przeszłości Część IV żywotu Mikołaja Srebrmpisanego. T-wo Wydawnicze „Rój” Warszawa 1935. Zł. 10.

de, wedle której się ten podział dokonał, ponieważ działa twórczo i dynamicznie, acz może nie zawsze konsekwentnie.

Do wczoraj jeszcze unosił się Zegadłowicz na skrzydłach łatwej tkliwości ponad ziemią, strugał światka, lekki w swym poetyzmie, z mgielką



Emil Zegadłowicz.

przed oczyma, poprzez którą wszystko mu się wydawało opalające i dlatego, co mówił, stawało się niewyraziste. Ten woal — jak hektoplazma — wydzielał się w nim z szczególnej ufności w przesłanną

laskawość nadprzyrodzonego ducha, który nad lukrowo dobrym, ludzkim sercem panuje. Tak sobie — na miękko — Zegadłowicz uporządkował rzeczywistość. Przyjął ją za dobrą i wiarę jego puszczono w obieg. Warujący zazdrośnie, aby się nasz padół nie zmienił, bo nie dałoby się wówczas eksploatować pozagrobowych koncesyj, obwołali autora „Rosistej Kantyczki” cudusiem. Wzniesiono nad nim baldachim i już się stało wiadome, kto w Polsce po Rostworowskim obejmie nadworną lutnię księżego mocarstwa.

Wtem jednak co się dzieje? Osobliwe widowisko. Zegadłowicz zwieka z siebie honorową sutannę, spotwarza z kim się dotąd na wszystkie kolory „Tęczy” zgadzał, z uniesieniem namiętnem rozdziara kotarę, poza którą kryje się do nadymania fałszywych wielkości wielka pompa, bluźni temu, co się zdało jego własną, już nie do wyrzeczenia, przeszłością. Dlatego protesty, stąd anatemy, więc pomstowania. Ale co to pomoże? Więc cap, kto za kadzielnice, kto za palmy, kto za feretrony, do onegdaj noszone przed apostata, i w nogi. Co ducha, co sił, co prędeży, aż zadudniało w „Prosto z Mostu” i po różnych „Warszawskich”, „Poznańskich” kurjerkach.

Dlaczego to wszystko? Ukazały się „Zmory”. A co w nich Zegadłowicz ukazał? Pustego snoba i jego obłudne nauczanie. Prawdę wielką, wykładaną zakłamanymi słowami. Owoce tych słów, gnijące w sercach młodych i pleśniejące w sercach starych. Krew szlachetną innym wprowadzaną nieczyście, tak iż ich nie pęknie, ale zakęca. Ukazał kiep-

skiego zadeklamowanego człowieka. Ale — mimo wszystko — nie złamano nad nim czarnych świec kłatwy, gdyby był ubrał inaczej swoje ładaco — nie w sukienkę czarną.

Zegadłowicz tworzył zawsze na zasadzie siklawy. Płynęło z niego kaskada, pienistym, niepowstrzymanym strumieniem. Bez żadnych filtrów, przytamał, przecedził. Raczej zjawisko geologiczne, niż estetyczne. Właściwie siła natury, nie jej zastosowanie. Dopiero „Zmory” ujawniły ten fakt nieoczekiwany, że jednak Zegadłowicz miał tam w środku sitko — nikt się go chyba nie domyślał! I to jest może w tem wydarzeniu najosobliwsze, najszcześniejsze. Nie — iż niema na to psychologicznych wyjaśnień, ale, że w stosunku do sprawy tworzenia zaufano niewątpliwej oczywistości, a ta się potem okazała pozorem. Bo co się tak potoczyło lało, było zalewaniem, topieniem własnej prawdy. Zegadłowicz, aby jej nie słyszeć, spławił ją w powodzi słów, zagadywał, zakrzykiwał. Poza tym frontonem swady, pod zastoną szczerobliwej mowy, którą się klinicznie nazwało „biegunka słów”, kryła się uparta, niewygubna prawda. Moc miała niesamowita, jeśli aż tak bogata, różnolita, wspaniała wywołała twórczość zastępczą. W „Zmorach” przemówiła wprost. Wyrzuciła, ostro, pewnie. Wypowiedziała się precyzyjnie, brzmieniem autentycznym, utrafionem. Nic dziwnego. Nowa jakość poszukiwała wyrazu może pociemku, potajemnie, pozaświadomie, ale przez lata. Zegadłowicz nosił ją w sobie, dobierał dla niej ton, po ciechu, lecz na rozmiarze czasu

wielkim, to też wykoncertywał ją wkońcu po mistrzowsku.

Jakaż to prawda? Zaczniemy od tego co ją dotąd wykluczało. Nie dopuszczał jej do głosu zegadłowiczowski mistycyzm. Koktajl panteistyczny, który miesząc naturę z Bogiem, obie strony zniesmacznia. Dla rzeczywistości, żaden panteizm nie jest trafny, bo albo czyha na Boga i wtenczas się staje religijną kointerją, albo dybie na świat, wtedy zamiast tłumaczyć jego sprawę i pogłębiać, tylko przydaje jej lotek, a zatem pozbawia ją wagi, siły tarcia i ciężkości. Tak postępował Zegadłowicz. Oceiakał z metafizycznej pobudliwości i brał to za kanon bytu, a tymczasem to sprawa psychiczna, nie prawo natury, rzeczywistości, życia. Badacz winien je schwytać nie przy nadprzyrodzonych sekretach, ale przy sekrecji gruczołów, bowiem nawet najoderwańszy świątek, wiały go od strony ziemi, zaczyna się nogami.

Panteizm od wieków pozostaje tą „zdawna upatrzoną pozycją”, ku której się wycofują witaliści, mistycy „życiowej siły”. Lecz postępując tak nie chcą uznać, że w tem się właśnie wyraża ich klęska, ich bezradność. Zegadłowicz był takiej przygody specimenem. Wielbił, wchłaniał, fascynowała go piękność, piennność, bujność natury, lecz nie potrafił poza ten zachwyt wykroczyć. Klęknął i popadł w ekstazę. Na szczęście z obłoków, z bujania i mgieł zratowała go jakaś wewnętrzna przekorność, niepokój, bystre oko. „Miał je silne” — jak się mówi w Impro: zacji. Trzeba mu było tylko szkieł, aby go wyleczyć z tego

wszystkie kontury zacierającego panteistycznego astygmatyzmu. Odnalazł je i ten kipiący jurnością miłośnik ziemi wciął się w nią z tak zacieklą mocą, że aż się spłynęły iskry i drzazgi.

Zegadłowicz rozwiązał siebie, udoskonalił swój stosunek do świata, ale się przez to nie stał realistą. Umowny wygląd jego i wersja, którą udostępniają zmysły, jest mu poniekąd obca. Świat to dla niego pokusa, nie widowisko. Nie barwy i tony go ku sobie ciągną, ale siły, ich źródła, ich wytryskanie. Stąd postacie ze „Zmór” oznaczają zawsze więcej, niż człowieka. Tu spotkania między ludźmi, to nie zejście się dwu osób, ale starcie dwu sił, one to do siebie dopadły, instynkty milionogłowe, a nie jednostkowe zachcenia. Z tego się wywodzi olbrzymość scen, ich kosmiczność. I dlatego też podział na złych i dobrych tak bezwarunkowy. Uparty i bezlitosny, bo to w istocie segregacja nie ludzi, ale samego zła i dobra, rozdział mocy, instynktów na niszczyielskie, bądź twórcze, nigdy połowiczne, względne. To też rysunek świata wypada tu zawsze niesamowity, wynaturzony, koszmarny. To nie pędzelek Gojawiczyńskiej, ale pazur Goyi. Prócz jednej postaci, tej, której się oczami świat postrzeża — samego Mikołaja Srebrmpisanego.

Przełom Zegadłowicza, ta głęboka wewnętrzna rewolucja, ma dla jego książki najróżnorodniejsze konsekwencje. Odciał się on od swej przeszłości i równie się odcinają „Zmory” od poprzednich tomów historii Mikołaja. („Godzina przed jutrznią” — 1921, „Spod młynskich kamie-

20 PAZ 1935

20.

# Pochwała wolności i anarchji

## Sensacyjna nowa powieść Emila Zegadłowicza: „Zmory”

D.

Dziwne i pełne niespodzianek bywa życie twórczości pisarskiej. Zdarza się — nazbyt często, — że zapowiada się ono wspaniale, ale ginie wnet przedwcześnie zwiędłe. Lub też po długich latach wegetowania zabłyśnie nagle dziełem rewelacyjnie doskonałym, jedynym.

Emil Zegadłowicz należał do niedawna do pisarzy, o dość nieustalonej pozycji we współczesnej literaturze polskiej. Jedni uważali go za genjusza, inni za grafomana. Trzymający się zasady złotego środka — powątpiewająco kiwali głowami. Aż nagle, niespodziewanie, rewelacja. Dzieło — choć dalszy ciąg dość słabej i przez krytykę prawie niezauważonej kroniki o Mikołaju Srebrmpisanym — dzieło prawie doskonałe i od razu stawiające autora w rzędzie najwybitniejszych pisarzy polskich, a nawet, jak głosi fama — w rzędzie kandydatów do państwo-

wej nagrody literackiej.

I stało się to zapewne nietylko dlatego, że Zegadłowicz, po ćwierćwieczu twórczej pracy — dojrzał jako artysta, sięgnął do wspomnień własnej przeszłości, z bogaczonej dorobkiem przeżyć i wspomnień.

Zrzucił z siebie autor cały balast przesądów i wierzeń, które kępowały go, które każały uważać Zegadłowicza za filar wojującego wsteczniwa.

Pochwała wolności i anarchji, śmiała i bezwzględna od rzucenia pęt państwa i kościoła — zacieśniających dla swych ciemnych celów widnokrąg człowieka, zmuszających do wyrzeczeń ze swej ludzkości, ze swego człowieczeństwa. „Zmory” — to właśnie obraz lat dziecięcych i chłopięcych, aż po dojrzałość (matura i... pierwsza kobieta!) zamkniętych w zatęchłej atmosferze prowincjonalnej „c. k. galicyjskiej” dziury. Owe zmory to

postacie mieszczań, ich życie, pełne nieprawdopodobnej, a troskliwie osłanianej obłudy — ponurości.

Wuj upijający się, urządzający sobie „trzydniówki” i ginący w obłąkaniu, babka, w której siedemdziesiąty rok życia budzi nowe żądze — i która poprostu kupuje sobie mężczyzn (u Zegadłowicza nazywa się to prościej i bez obsłonek), nauczycielowie — potworna galeria sadystów, pijaków i nikiemników, książka - katecheta, piorunujący na „chamów” — oto otoczenie, w którym kształtuje się młoda dusza Mikołaja. Inni, poddają się tym zmorom, sami zaczynają brać udział w tym życiu pełnym wódki i „dziewczynek” — pełnym zmór. Jeszcze inni uginają się i poddają. Ale Mikołaj buntuje się. Po libacji maturalnej, powraca do domu nagi, ale już dojrzały — pod każdym względem — aby roz-

począć życie, nowe, pełne walki o miłość, o sprawiedliwość, o wolność, walkę ze zmorami, które i w nim pokutują i straszą.

Już to samo — pochwała wolności i anarchji, bo Mikołaj, a za nim i autor, który przy słowie „państwo” pisze: (od pan, panować, panoszyć, pańszczyzna) to zdecydowani anarchiści. To poeci, ludzie wrogo usposobieni wobec wszelkiej władzy, biurokracji, hierarchji — to ludzie wolni i... aspołeczni.

Tę wolność wewnętrzną zdobył sobie Mikołaj długoletnią pokutą, życiem wśród zmór, które naznaczyły go stygmatem niejednego kompleksu i niejednego urazu psychicznego. Ale czy to wystarczył Czasu dzisiejsze są twardym zaprzeczeniem tej prawdy. Czy zechce to uznać Mikołaj Srebrmpisany? I co ważniejsze: czy zechce to uznać świątkarz beskidzki Emil Zegadłowicz?

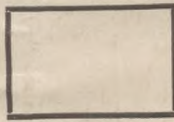
Andre Gide pisze w świeżo wydrukowanym w niemieckim, emigracyjnym miesięczniku, ustępie swego dziennika, że do socjalizmu doszedł poprzez chrześcijaństwo ewangeliczne, pierwotne, nieskażone. Czyżby miała to być droga Zegadłowicza — dziś wyznawcy pierwotnego chrześcijaństwa — jutro, kto wie, może w dalszej uczciwej ewolucji duchowej, sprzymierzeńca tych, którzy zmorom przeciwstawić chcą, nie beznadziejny w skutkach mistyczny anarchizm poety — lecz konkretną, zdolną do walki siłę? „Zmory”, to powieść wybitnie realistyczna. Jest to realizm zdrowy, znamionujący prawdziwą wielkość talentu i głębię idei. Nie szczędzi nam Zegadłowicz jaskrawych opisów, słów dosadnych, ale jakże prawdziwych, życiowych, które wymieniamy, lub słyszymy, codzień i dopiero w druku oglądamy je zdziwieni a nieraz i zgorznięci. Ale niema w „Zmorach” niczego z wybujałego erotyzmu (mimo, że pierwszy ten przesycę całą atmosferą), niema niczego z pornografii. Jest poprostu wyraz dobitny, a jędrny i obraz prawdziwy, w niczem niesklamany.

Usprawiedliwia się autor w jednym z miejsc powieści z tego go używania wyrazów t. zw. „brzydkich”. Ale cóż — dodaje — c'est la vie.

„Zmory” to osiągnięcie twórcze wielkiej miary. To książka najwybitniejsza w bogatym, bo dziesiątki tomów liczącym, dorobku pisarskim autora. Ale „Zmory” — to jeszcze coś więcej: to w literaturze polskiej, a nawet europejskiej — pozycja, z którą trzeba się liczyć.

Pozycja, która... — autora obowiązuje!

L. L.



31 PAZ 1935

### „Kanarek w kuble”.

Pojawiła się powieść E. Zegadłowicza p. t. „Zmory”. W „Wiadomościach Literackich” przywitał ją adwokat warszawski p. Breiter wyrazami zachwytu. Natomiast inni krytycy wypowiadają poważne zastrzeżenia. Nawet tak liberalny w sprawach moralności organ, jak „Kurjer Poranny” zamieszcza recenzję p. T. Brezy, który wprawdzie przyznaje „Zmorom” duże wartości literackie w pewnych ustępach, ale i wypowiada bardzo twarde zastrzeżenia.

„Bijąc się — pisze p. Breza — w piersi Zegadłowicz przyznał, że wolał świat, teraz zerwał tytuł z rzeczywistości, a z mowy owicia bawelny. Dokonał tego z takim oddaniem, z takim młodzieńczym, nawróceńczym, inwencyjnym zapalem, że aż się wydają łagodne egzorcyzmy, które nad wokabularzem ze „Zmór” odprawiła Katolicka Agencja Prasowa; bo powiedzieć o nim „plugawy” to spełnnością zdefiniować go jeszcze za delikatnie.

Cóż to za porzekadła sierdziste, cóż za piekielne przekleństwa, piosneczki, co za obmierzłe epitety.

Z mniejszą konsekwencją — niż w dziedzinie filologicznej — działał Zegadłowicz wobec tak mu jeszcze miłej obłoczności. W nowym Zegadłowiczu nie można się jednak na nią zgodzić, choć łatwo pojąć, że się od stylu bezmała dwudziestoletniej przeszłości trudno za jedynym psychicznym zamachem stanu uwolnić. Ale mgła przy jego odmienionej postawie mdli. Zwłaszcza, że przy tej popędliwości do księżycy, symbolów, nastrojów ostro przeciwstawiają jurne, zapalczywe, cielesne karty ze „Zmor” inne. Wykoszlawia to zwłaszcza epilog. Mroństwo w nim poświaty. Mokro od kłania, gdy przed chwilą było lekko od łajna. Te potkałe kłanie wygląda dęte. Brzmi jak kanarek w kuble. Może ptaszek rzetelny i takież naczynie, nikt jednak nie zwykł siadać nad kulem, żeby słuchać trelów”.

# Wśród nowych książek.

**Emil Zegadłowicz, ZMORY**, kronika z zamierchłej przeszłości (z cyklu: „Żywot Mikołaja Srebrzypisanego“), Warszawa, F. Hoeseik.

Nadając swym wspomnieniom z ośmiolletniego pobytu w gimnazjum wołkowickim (tj. wadowickim) tytuł „Zmory“, uprzedza autor, że nie będzie to wskrzeszenie dzieciństwa „sielskiego-anielskiego“, ale zrzucenie z siebie kompleksu chłopięcych „fobij“, czyniących z życia piekło. Źródłem tych fobij jest brudna, cuchnąca miasteczko z brudnymi cuchnącymi ludźmi (zwłaszcza należącymi do rodziny), brudna, cuchnąca szkoła z gronem nauczycielskim, złożonym z sadystów i pijaków, i brudny, cuchnący seksualizm. Od tych zmor uwalnia się chłopiec dopiero w księdze szóstej (przedostatniej) z chwilą odzyskania — zdrowia. Wtedy i miasteczko i ludzie w nim i profesory przedstawiają mu się w innym, sympatycznym świetle, a jeżeli już w klasie VI, w epoce pokwitania i mutacji głosu „drażniła go ordynarność wyrażań i począł się bać słów określających czynności pleiocy i nazw narzędzi pleiocy, poczęło go nękać natręctwo słów deklasujących“ (str. 242), to po przyjeździe do zdrowia nawet w relacji słów stryja Wacława, który dotąd przemawiał soczystą gwara kasarniano-pijacką, nieprzyzwyczajone wyrazy mają po inicjałach — kropki (str. 409).

Zwracamy uwagę na ten drobniak, by z niego wyciągnąć wniosek, że obfity słownik skatologiczny (*skor — skatos* oznacza ekskrementy), w którym autor lubuje się na sposób *Rabelais'a* i sceny drastyczne w stylu *Joyce'a*, *Lawrence'a* czy powieści *S. I. Wittkiewicza*, należą do koszmaru zmor, dręczących silnie obciążone chłopię, a nie do jakiegoś „naturalizmu“ autora. Bo trudnoby było z naturalizmem pogodzić „sposób pedagogiczny“ gospodarza klasy I, łacinnika Ptaszyckiego, który, pytając ucznia, trzymał w ręce pęk kluczy i „przy trzeciej (pomyłce ucznia) zwinnym ruchem, prawie tylko przegubem ręki wyrzucił pęk kluczy prosto w twarz ucznia... prawie zawsze krew trysnęła z oblicza chłopca“ (str. 32): „Tak tedy po godzinach łaciny kilka, a nawet kilkanaście głów i buź dziecięcych było srodze zapuchniętych i zapaćkanych krwią, łzami, smarkami i śliną. Było to bardzo śmieszne“. Rzecz dzieje się ok. r. 1900 w Wadowicach blisko Krakowa. Może tam kiedy wyjątkowo jaki zniecierpliwiony nauczyciel rzucił rzeczywiście jakimiś kluczykami na ucznia, ale żeby to była stała tortura, stosowana systematycznie przez nauczyciela z klasy I, temu trudno uwierzyć, jak i rzeczywistości innych (między innymi) księży — karykatur. Takie paszkwile na szkołę średnią są bardzo częste w ankietach, rozsyłanych przez badaczy do wybitnych absolwentów

jakiegoś zakładu średniego, ale wystarcza, że ze 100 odpowiadających na ankietę 10 uczniów zachowało o tych samych profesorach z tego samego czasu dobre wspomnienie, by podkopać wiarygodność takich liczniejszych oskarżycieli, powodowanych rozmaitymi kompleksami, urazami. „Pająk szuka jadu, ale pszczoła miodu“, to przysłowie A. M. Fredry sprawdza się i przy wspomnieniach szkolnych, o prawdziwości jego potwierdza i sam autor, gdy z przybyciem po r. 1900 do Wadowic nowych, młodych polonistów, ale tak samo filologów (autor podaje prawdziwe nazwiska) ukazują ich w bardzo sympatycznym świetle, w jakim przedstawiali się oczom ozdrowiałego wreszcie chłopca.

Zmora seksualna niknie przy pierwszym zakochaniu się w jakiejś Donci, a sublimuje się w miłości do symbolicznej „pani księżycowej“, Balbiny, która oddaje się pocię. Przez ten akt nudyżmu zaznacza autor powrót Mikołaja na łono natury, na które wrócił po doświadczeniu wielu „okropieństw życiowych“, odmalowanych w ten sposób, że można o ich przedstawieniu powiedzieć za autorem słowa, użyte przez niego o zwłokach starej Komendowej (babki Mikołaja): „leżała w kałuży cuchnących ekskrementów, w których topiły się krawki złotych monet“. Te złote monety (zwłaszcza liryczne), to odsetki od poetycznego talentu autora; ich odcienie, to naleciałość, narzucona chęcią dorównania — *Joyce'owi*, którego też autor „naśladuje“ udatnie w świetnym oddaniu natłoku urywanych myśli, wypełniających łańcuchami krótkich zdań, nieraz nie oddzielanych żadnymi znakami pisarskimi.

Poza obiema manierami, brutalnie-naturalistyczną, i asocjacionistyczną, indywidualny styl autora, wyzwolony z wszelkich klisz, z całej tradycyjnej retoryki, jest doskonale scharmonizowany z każdorazową treścią. Takiego stylu nie było dotąd w polskiej powieści, jak nie było dotąd w naszej literaturze publicznej czy jawnej skatologii czy ryparografii (*rypos* oznacza brud, nieczystość). Oba te pojęcia nie podpadają jednak pod kategorię pornografii, nawet w szopie przy ementarzu i wołkowiekiej yoshiwarze. Nie jest to jednak, oczywiście, lektura dla młodzieży wogóle, a szkolnej w szczególności.

21.

Wł. K. ... 28. X. 435 ... Tadeusz Liubo ...

POLSKA  
P R I  
O R S O  
S O R M  
A C J A  
AJENCJA WIADOMOŚCI  
W WYCINKACH Z PRASY  
CAŁEGO ŚWIATA  
WARSZAWA, BRACKA 5  
TEL. 9-41-53  
WYCINEK  
Z WYDAWNICTWA  
WIEK NOWY (Lwów)  
Nr. d. 29 LIST. 1935

KAZIMIERZ BUKOWSKI.

## DWIE SPÓWIEDZI.

Dwie książki polskie wysunęły się ostatnio na czoło ogólnego zainteresowania i zdobyły szeroką poczytność: Józefa Wittlina „Sól ziemi“ i Emila Zegadłowicza „Zmory“. Obie te książki zetknęły razem tylko przypadkowo, bo nie posiadają żadnych wspólnych więzów, lecz przeciwnie są krańcowo różne swoim charakterem. Może wspólny był jedynie dotąd stosunek obu pisarzy do świata. Obaj byli głęboko religijni, niemal franciszkańscy. Wittlin w pojęciu panteistycznym, Zegadłowicz w nastawieniu „świątnikowo“—balladowym. Wittlin pozostał nadal wierny swojej postawie duchowej, Zegadłowicz zaś dokonał rewolucyjnej przemiany, która wywalała niemal sensację.

Powieść Wittlina „Sól ziemi“ jest pierwszą częścią trylogii pt. „Powieść o cierpliwym piechurze“ i stanowi szeroko zakrojoną ekspozycję wielkiej, wojennej epopeji. U autora „Hymnów“, głębokiego poety, obejmującego mądrą spojrzeniem, pełnem miłości i zrozumienia, przyrodę i nieodłącznie związanego z nią człowieka, podejście do zjawiska wojny jest odrębne niż u Barbuse'a, Remarque'a, Zweiga czy Szolchowa. Dla tych pisarzy wojna była głównym przeżyciem, które pokazywało ludzi z ich całą nieznaną, nową prawdą, z ich przerażającą i bezdenną niedolą, z ich straszną męką samozatręcenia się i zguby. Dla Wittlina wojna jest zjawiskiem ubocznym, drugoplanowym, tylko tłem, na którym pokazuje jednego, zwyczajnego, prostego człowieka. Ta droga od człowieka do wojny jest charakterystyczna dla powieści Wittlina i nadaje jej cechę zupełnie oryginalną.

Wittlin przeżył wojnę osobiście. Dała mu ona różnolity, bogaty materiał, który w poetyckim jego umyśle przetworzył się w surogat do własnych, nieskończonych, głębokich refleksyj. Pragnąc refleksjom tym nadać charakter najbardziej bezpośredni i świeży, skupił je dokoła

osoby człowieka szarego, prostego, przeżywającego wojnę z naiwnością debjutanta, porwanego ślepa siłą przypadku w orbitę brzemiennych wypadków. Piotr Niewiadomski, bohater „Soli ziemi“, jest w chwili wybuchu wojny drożnikiem kolejowym na małej stacyjce podkarpackiej Topory-Czernielica. Prosty ten Hucul, obok którego przewala się błyskawiczna lawina pierwszych dni wojny, dostaje się sam w szeregi armji austriackiej, przechodzi wędrowkę z rodzinnej wsi do kadry swego pułku na Węgrzech, poznaje wszystkie skomplikowane arkania wojskowej dyscypliny, aby przy końcu powieści, po złożeniu przysięgi na wierność cesarzowi, otrzymać pierwszy mundur, przedzierzgaający go w żołnierza.

To jest pierwszy etap dziejów Piotra Niewiadomskiego i pierwszy szeroko zakrojony pamiętnik wspomnień i przeżyć wojennych Józefa Wittlina. Pamiętnik ten jest nawskróś liryczny, nabrałszy głębokimi wnękami i duszą ludzką, zawieszoną na krawędzi nieznanej przyszłości, płynący swobodnym i lekkim tokiem narracji, zasilanej plastycznymi obrazami i nieomylnie trafnymi porównaniami. Nurt prawdziwej liryki, wywołującej nastroj i dotykającą barwę atmosfery, w jakiej rozgrywa się akcja, przenika całą powieść, czyniąc ją, mimo poetyckości ujęcia tematu i charakteryzowania głównych figur, najbardziej rzeczowistą. To jest kwestja doskonałej harmonji między stylem i treścią, między surowym materiałem, z jakiego ulepiona jest powieść, a jego prawdziwie artystycznym wyrazem, którego najmocniejszym wykładnikiem jest pełen dynamiki i ekspresji język. Rozmach cechujący „Sól ziemi“, zapowiada, że dwie dalsze części, opowiadające losy Piotra Niewiadomskiego („Sól ziemi“, część druga i „Dziura w niebie“), otworzą Wittlinowi wolne pole do bravurowej i szczytowej ekspansji twórczej.

W inną sferę artystycznych wrażeń przenosi nas skrajnie realistyczna powieść Emila Zegadłowicza pt. „Zmory“. Zegadłowicz tkwił dotychczas w patetycznej liryce i bezpiecznej prozie, doszukując się prawdy o człowieku przez

niezdecydowane krańczenie po drogach pośrednich wypowiedzi, subtelnych wyznań, wzniosłych wzruszeń i doznań. Ta wysoce sublimowana, roztapiająca się w powodzi błędnych słów i nieskończonych obojętnych refleksyj twórczość Zegadłowicza, była wypływem wewnętrznej zahamowania i ciągłego szukania drogi do prawdziwego wypowiedzenia swojej treści. W końcu nastąpił wybuch szczerości, bunt krępowanej twórczości: „Zmory“. Jasne jest, że po tak długim zahamowaniu bunt musiał wcielić się w formę jak najskrajniejszą, „Zmory“, które są nowym tomem jego „Żywota Mikołaja Srebrzypisanego“ posiadają charakter autobiograficzny, demaskujący bez żadnych zatajeń i obsłonek prawdę o biologji i fizjologii jego młodości. Historja młodego Mikołaja Srebrzypisanego, rozgrywająca się przed wojną w zachodnio-galicyjskim miasteczku, nazwanem Wołkowicami, obejmująca lata chłopca od wstąpienia jego do gimnazjum aż do złożenia egzaminu dojrzałości. W tej kronice, pisanej z brawurą odwagą i niekrępowaną bezpośredniością, zawarł Zegadłowicz wszystkie najtajniejsze przeżycia chłopca, jego przejścia psychiczne i fizjologiczne, upadki, tragizmy i walki. Zetknięcie Mikołaja Srebrzypisanego z rzeczywistością w tych latach przeobrażenia się go z małego chłopca w dojrzałego mężczyznę jest tragiczne i brutalne. Z jednej strony otacza go jawny, dozwolony, narzucony przez szkołę, dom i kościół świat obłudy, z drugiej strony wciska się w jego świadomość wszelkimi chłonnymi porami umysłu i ciała zatajone, starannie ukrywane prawdziwe życie. To zawieszenie między dwiema sferami naciskających na młodego chłopca odmiennych krańcowo wpływów, staje się dla niego przerażającą zmorą. Z przykrych doświadczeń, wśród których zwycięsko dochodzi do głosu wznagający się w chłopcu pęd do poezji, wychodzi Mikołaj wyzwolony z krępujących go pęt. Przedstawiał to Zegadłowicz niemal symbolicznie w akcie miłosnym z piękną i młodą lunaticzką, po którym Mikołaj wraca po ośmiu latach udreżonej nagi do domu swego ojca, tak samo nagi, jak wszedł do niego przed osmnastu laty.

Powieść Zegadłowicza jest w literaturze polskiej pierwszą próbą bezkompromisowego spojrzenia życia w twarz. Jest ona nawet śmielsza od podobnych najnowszych prób w literaturze francuskiej, posiadającej bardzo drobniakowo analizy autobiograficzne w powieściach Marceline'a („Wilki“), Jeana Fayarda („Lowy snów“) i Roberta Francis („Szklany dom“). Powieść tego ostatniego pisarza francuskiego wykazuje nawet duże pokrewieństwo i zbieżność z powieścią Zegadłowicza. Realizm Zegadłowicza w przedstawianiu rzeczywistości bez żadnych obsłonek jest bowiem bezpośredni i nie cofa się nawet przed ujawnianiem wszystkich odmian wyuzdanego erotyzmu i makabryzmu, przed używaniem rynsztokowej gwary, skatologii i artystyczną pornografią. Pod tym względem wyprzedził Zegadłowicz, niezawsze kierowany artystyczną koniecznością, wszystkie najdalsze możliwości. Tęcza się wartkim nurtem narracji powieść jego, złożona właściwie z szeregu luźnie związanych epizodów, posiada mocną wewnętrzną dynamikę, która porywa za sobą nawet jego pełne patosu wysoki liryczne i niejasne symbole. Najlepsze są ustępy, poświęcone c. i k. galicyjskiej szkole i jej profesorom, jak również domowym i rodzinnym stosunkom młodego Mikołaja. Postacie wuja Wacława i ciotki Wilhelminy nakreślone są z niezwykłą ekspresją. Świadczą one, że Zegadłowicz przełamał już w sobie zdecydowanie bezkształtny i mglisty liryzm i wszedł na drogę męskiej, świadomego realizmu, który otwiera przed nim szeroko horyzonty nowej twórczości. Powieść „Zmory“ jest nie tylko odważnym czynem literackim, ale ciekawym dokumentem pierwszego w Polsce spojrzenia na życie odważnymi oczyma artysty.

Naczelnny redaktor:  
**BRONISŁAW LASKOWNICKI**  
Odpowiedzialny redaktor:  
**JOZEF KRZYSZTOFOWICZ**

## D. „Zmory”

O świeżo wydanych „Zmorach” Zegadłowicza mówi się ostatnio i pisze bardzo wiele. Jak zwykle bywa, z chwilą pojawienia się nowego dzieła, posiadającego dobitną wymowę i zdecydowany koloryt, krytyki są bardzo różne i bardzo krańcowe. W tym wypadku chcę ująć kwestję powyższej książki nie z punktu jej tylko wyłącznie, lecz raczej samo zagadnienie omówić bardziej ogólnie.

Jaki cel ma ujawnianie tego rodzaju spraw, a przede wszystkim, jak dane zagadnienie wpływa na psychikę czytelników?

Jeśli rzecz ta zostanie przeczytana przez osobnika o wybujałej erotycznie fantazji, o podłożu niezdrowej wyobraźni, o usposobieniu poszukującym sensacji właśnie na poziomie życiowym tego rodzaju — książka taka będzie oczywiście czynnikiem, idącym po linii jego upodobań, a nawet może pobudzającym te upodobania. Z tych przyczyn może być niewskazana. „Pocieszmy się” jednak, że, jeśli kogoś dana atmosfera specjalnie interesuje, to potrafi stworzyć tysiąc i jeden sposobów, aby ją sobie urobić.

Jeśli natomiast „Zmory” mają na celu wykazanie beznadziejnej vegetacji pewnych warstw ludzi, ich ciasnych zainteresowań, ich wykoślawionych pojęć, jeżeli mają tą drogą „ostrzec” umysły zdrowe przed tego rodzaju ewentualnym środowiskiem, zmaganiem i upadkiem wewnętrznym, to nie zdaje mi się, aby ten cel dał się w ten sposób osiągnąć. Jeżeli dany umysł jest z natury etyczny, szlachetny, rozsądny, umiejscawiający sprawy duchowe i fizjologiczne unormować w sposób odpowiadający poziomowi kulturalnego człowieka, jeśli poza tem posiada tyle siły wo-

li, aby się nie dać wciągnąć w niewłaściwe środowisko i temu środowisku wbrew swym poglądom ulegać — wtedy nad książką taką przejdzie do porządku dziennego. Jeśli natomiast ma to być środek ostrzegawczy i uodporniający dla umysłów szlachetnych, lecz niedoświadczonych i słabych, uważam, że dla takich jedyną skuteczną szkołą może być wyłącznie „szkoła życia”. Bezpośrednie zetknięcie się ze złem, „sparzenie się”, przetrwanie w sobie takich, czy innych przeżyć, wziętych nie z teorii, lecz z osobistego doświadczenia, będzie stanowić niezawodną odtrutkę na przyszłość. Jeśli moralistom chodzi, naodwrot, o ustrzeżenie społeczeństwa nie tylko od brudów faktycznych, lecz nawet i od ich reprodukcji, to niech będą przekonani, że każdy człowiek idący w życie o własnych siłach, od zetknięcia się z temi rzeczami się nie ustrzeże i tylko, jak wspominałam, jego etyka i kultura zdecydują o sposobie jego reakcji.

Biorąc pod uwagę oddźwięk, jaki „Zmory” wywołały na łamach pism, uważam, że byłoby one ciekawe ze względu na znany talent autora oraz na nie spodziewaną i krańcową ewolucję, jaka dokonała się z jego twórczości. Jednak sam „charakter” tej ewolucji czy ni ją ciekawą raczej dla szeregu grona osób, pozostających w kontakcie ze światem duchowym autora, dla nich „Zmory” będą dokumentem jego osobistych przemian psychicznych. Inni, albo nad książką tę przejdą do porządku dziennego, albo w niej znajdą odpowiednik swych własnych upodobań, czyż więc dla tych ostatnich warto ją było napisać?

Nina Okuszkó - Effenbergierowa

## D. Jeden z „Wawrzyniaków”

Różne rzeczy dzieją się u nas ostatnio, różne są na nie poglądy tak jak różni są ludzie. Najbardziej jednak różnym okazał się p. E. Zegadłowicz (literat urodzony przed wojną, a jeszcze żyjący). To jest poprostu fenomen, homo specificus, panopticum i okaz wart chociażby krótkiej wzmianki.

Za kulisami tajemnic smutnej pamięci „Wawrzynu Akademickiego” kryje się też między innymi wspomniany poeta. Jeden zdaje się ze wszystkich odznaczonych, który tę całą imprezę wziął serjo. Urosł we własnych oczach, nadął odwagi po nieudanych „Zmorach”, spojrzat na tłum uposledzony pod względem odznaczeń odpowiednio zgóry i przemówił stowiański epigon Rabele’go (erzac ale zawsze).

Przemówił głodny zemsty w obronie „Mikołaja Srebrzypisanego” (jednak znalazł się ktoś, kto wziął w obronę „Zmory”). Przed „Wawrzynem” nie śmiał, źle się czuł, teraz już śmie. Jak to laur może niejednemu przewrócić w głowie.

Wziął medal, powąchał czem to pachnie i zaraz wiedział, w którą stronę język wykręcić, stowem „do stał wigoru”. Tenor jego bojowej rozprawy jest ten: Tylu uczniów pisuje do mnie listy pochwalne, pełne gorących słów uwielbienia (przytacza urywki z listów jakichś młodzieniaszków, z pewnością żydłacków) dziwi się, dlaczego reszta jest innego zdania, przecież — jak powiada — „z własnych obserwacji stwierdzam, że 90 proc. inteligentnych moich kolegów zupełnie nie wierzy” (o towarzystwie autora „Zmory” mamy to samo wyobrażenie), więc jeżeli tak jest, to skąd tyle krzyku wokół mej osoby? Jeżeli jest tylu niewierzących, — zastanawia się — to dlaczego się dzieje, że „bez stopnia z religii w Polsce matury mieć nie można”. I tu zapalał gniewem do „Chrystusowych ludzi”, do tych „od klechistańskiej granicy”, do prasy poznańskiej et specifico modo do k. H. Rostworowskiego w związku z jego „Metamorfozą”, zamieszczoną w „Kurjerze Poznańskim”, trawił to, trawił, strawił nie mógł więc tylko krzyknąć dla dodania sobie animuszu: „O tem kłamstwie „zmienności” pomówimy kiedyś też!”. (Morgen, Morgen nur nicht heute...) „Prorok Grydzewski”, jak go nazywa „Pion” powinien wpłynąć ze swej strony na towarzysza i wyznawcę Emila, aby tego „kiedys” nie odwlekał ad calendas graecas!

J. TOM, POZNAŃ.

tem Olimpiady jest kopanie piłki. Często natomiast spotykamy się z niemi w kuchni, gdzie w postaci wykruszonych, wyblakłych, zasuszonych listków bobkowych służą do pietraszenia sosu, którym się podlewa dobrze zaprawiona czosnkiem i cebulą baraninę. Cielecine również.

Obecnie wyhodowaliśmy w Polsce jeszcze jeden nowy, specyficzny gatunek wawrzynów, których listki sypią się na budki suflerów, na właścicieli realności, na krasomówców, jakichś tam muzyków i gorgonjaków. Stąd dużo malkontentów. Każdy powiada: „Czemu nie ja?”. Wielu bowiem sądzi, że wystarczy mieć kamienie, aby zdobyć odznaczenie, inni znów rozumieją, że przecież nie tylko suflerzy, ale i publiczność bywa — cprawda rzadko — w teatrze. No, a procesem Gorgonowej interesowali się wszyscy i każde dziecko w Polsce pamięta, że ta pani nosiła seledynowe koszule.

Odkryłam w jednej z toruńskich wypożyczalni książek dzieło, którego tłumacz mógłby kandydować do listka bobkowego za zasługi położone na polu zdrowia publicznego w dziedzinie czytelnictwa. Śmiech to zdrowie! Wódka krzepi, lecz śmiech lepiej! Śmieję się, kto wie czy PAL potrwa trzy tygodnie!

A któż nie będzie ryczał z uciechy, czytając autoryzowany przekład „Klaudji” Arnolda Zweiga (Lwów, wydawnictwo Globus, Drukarnia Sztuka, Plac Strzelecki 2).

Jeden chyba biedny autor, Arnold Zweig. Ten nie będzie się śmiał, to pewne.

Gdy otworzymy tę książkę, od razu olśnie nasza wyobraźnia rewelacyjny wprost obraz: oto młody służący James wkłada do butów ze sztylpami swe białe spodnie, oraz „bladoczerwony płaszcz wieczorowy i cienki szal” swej pracodawczyni. Nie wiem czy ci wygodnie, biedny Jamesie, ale ręczę, że Klaudja rozplacze się na widok swego pomietoszonego płaszcza. Nie też dziwnego, że bohater powieści, zakochany doktor, stał „z nieobecnymi oczyma” (ciekawo dokąd one powędrowały?) i „rozmyślał o gorzkim wrzeniu serca, które go

pełnęło do westibulu teatru jak morze rzuca perle na skałę”.

„Tak oto narzucił sobie mekę tego wyobrażenia i środek odniósł skutek” (str. 8). Każdy środek jak wiadomo „odnosi” zwykle jakiś skutek. Tak też było w tym wypadku: „Zmieniona, niemal obca twarz Klaudji wynurzyła się uśmiechnięta z jedwabnej materji i wsunęła bez słowa rękę pod ramię zaprzyjaźnionego mężczyzny”, który „czuł z ostrym wstydem, że go prowadziła”.

Zaprzyjaźnionym mężczyzną był właśnie ów młody doktor, który jak perla rzucony został na skałę teatru. Wsiadł on tedy z twarzą Klaudji pod pachą do samochodu i pojechali. „Przez chwilę szeleścił szmer pedzającego pojazdu wśród ciszy jej myśli przeżywających jeszcze opuszczone właśnie przedstawienie. Kurtyna zapadła naderemnie. Szczękały jeszcze zbroje do wzniezionych gestów i mesko ostrej i wojowniczej prozy” (str. 9).

Klaudja, jak widzimy, snuje watek dość oryginalnych marzeń przy boku zaprzyjaźnionego mężczyzny. Niektóre z nich mają wręcz biologiczny charakter: „Gdy bujna genialność starszego jednym bogatym rzutem stworzyła i powołała do życia małżonkę złozonego rycerza” (str. 9).

„Równowaga utrzymująca się nieustannie między oboma (tym bujnie genialnym i tamtym mało złożonym) wtargnęła w dusze widzów drażniącą i rozpalającą entuzjazmem rozkoszą i wyskoczyła przy końcu nadmiarem hucznych oklasków z powrotem na scenę”.

W samochodzie, który to „warczał jak dzikie zwierzę”, to leciał w powietrze „po nocnym asfalcie”, to „wjeżdżał skwierczącym łukiem przed wille”, toczyła się interesująca rozmowa o teatrze, o niemieckich mężczyznach i o mamie, która „kazała się domyślać, że znajdzie się kawałek chleba z masłem”. Tymczasem zaś „tuba wołała głośnym, głęboko śpiewnym tonem. Tkwiła w tem siła i mądrość wielkiego zwierzęcia, pewnego swej drogi i dalekiego od szkodzenia słabszym”.

Wreszcie przyjechali.

„W pokoju można się było poruszać, miało się „rezonans, schronienie i zausznie ograniczoną przestrzeń do odpowiedzialnego współżycia i rozmowy” (str. 19).

Poruszał się tedy zaprzyjaźniony doktor po pokoju, a Klaudja „w tym krótkim czasie czekania włożyła obwisły brunatny szlafroczek, który bardzo lubił, obramowany szaro-zielonym szlachetkiem na szyi i na rekawach” (str. 22).

Różne, prawda, są gusta! Klaudja tedy w obwisłej szacie weszła do salonu i, ukazawszy swemu wielbielowi „szybkie roztropne oczy, których brunatne rogówki skupiały w sobie jedwabny kolor jej szlafrocza, gdy czarne włosy błyszcząły jak wielkie żrenice” w te oto ozwała się słowa: „Sądzę, że lepiej będzie, jeśli pan zostanie i pomoże mi jeść. I tak są tylko jaja!”

Weszli do jadalni. Czarne boazerje i czarne drzewo mebli nakazywały powściągliwość. „Przy rozpraszającym i lśniącem od białości stole” siedzieli naprzeciw siebie i gdy „palce jej zajęte były obieraniem jaj z łupiny i tworzyły z tej nieznannej czynności zabawę pełną uroku jak taniec dzieci”, rozpoczęła się rozmowa o przesyłce pocztowej, stanowiąca punkt kulminacyjny pierwszego rozdziału książki Zweiga. Biednego Zweiga!

Podobno w którejś z krakowskich wypożyczalni książek kursuje aż 18 tomów niesrebrzypisanego arcydzieła najnowszego laureata. Może rolę kropli laurów po spożyciu tej seksapeliacyjnej strawy literackiej spełni wyżej opisana opowieść o nocnych asfaltach, jedwabnych kolorach i kokieterji nie obwisłym szlafroku Klaudji, ozdabającej żrenicami swa fryzurę.

Ha! Chyba, że ktoś upiera się i woli Zmory, lub Mikołaja Doświadczyńskiego inne przypadki z czworaczkami, karmionemi dziwnie osobliwa i apetyczna siekaninka (Gusta Zegadłowicza, Skamander, październik 1935).

Powiedz mi, co chcesz czytać, a powiem ci, kim jesteś.

ZELSKA-MROZOWICKA.

## „NOCNE ASFALTY” I „JEDWABNE KOLORY”

Zapoznany kandydat do listka bobkowego.

Różne Zmory (Zega) dla kulture polska. Różna też bywa gleba, na której mniej lub więcej bujnie krzewią się laury. Na szczytach Olimpu wyrastają niezmiernie rzadko, zwłaszcza od czasu, gdy szczy-

27 PAZ 1935

# Na przelaj

„Nieobecność w tem, co zwykle, jasne, proste, —  
lęk, przerażenie, nieodgadnione poczucie umykające-  
go życia — zbakierowana pociwość — skojarzyły się  
i zetknęły się właśnie — czy raczej promotorem by-  
ły —?—... —?—: klecienia wierszy”.

Tak charakteryzuje się Srebrepisany Emil Ze-  
gadłowicz pisząc o sobie nietylko srebrem, ile fekal-  
jami w swych „Zmorach”, cham-pion koprofa-  
gów, piewca, poeta, wieszcz, hymnista, laudator, ado-  
rator, panegirysta, wyznawca odbyticy i — naprze-  
ciw...

Ten ponury sabat jest do pewnego stopnia kla-  
syczny. Mianowicie o tyle, o ile przypomina sposób,  
w jaki powstawały helleńskie wroźby.

— Siadała sobie taka dziewica apolińska (niby  
taka, którą Apollo pocałował w czoło) na trój-  
nogu nad pieczarą, skąd wydobywały się rozmaite,  
odurzające gazy. I potem wieszczyla.

— Siadł sobie taki starszejszy pan, dobrze odży-  
wiony, o pulchnych policzkach, którego Apollo (hel-  
wederski) kopnął w czoło (uwaga! — „pod” czo-  
łem mózg się mieści!) na trójnogu nad kloaką, skąd  
wydobywały się rozmaite, odurzające gazy. I potem  
— wieszczyla...

A że niewygodnie było, bo trójnog wysoki, a nóż-  
ki zło-wieszczka krótkie w powietrzu dyndały, więc  
się zeżlił i wszystkich w kloace potopił. Wszystkich!

Oprócz siebie nie darował nikomu. Wszystko —  
księża, profesory, ciotki, wujkowie, babka, znajomi,  
znajome, koledzy — to sadysci, masochiści, hipochon-  
drycy, geomanci, nekrotili, masturbanci, pederanci,  
paranoicy, koprotadzy, hipokryci — no i prostytutki.  
Brud, fekalja.

A wśród tego niesamowitego sabatu, on, Mikołaj,  
Nikuś (Nike = zwycięstwo), trzepotał oiaemi skrzy-  
dełkami cherubinka czystą, nieskaianą diecią, wolną od  
zmazy, bielszą ponad ten śnieg beskidzki, barziej wy-  
praną z brudu, niż jego późniejsze poezje z ta-  
lentu.

I choć tam „żydowskiego boga” nie uznawał, w  
djabła nie wierzył, ze spowiedzi sobie bimbał, był  
jako ten świętek z Korzenia Jurnego, on, „wędrowiec  
wietrzny”, rzewliwe koledziolki śpiewający.

To mu nie przeszkodziło, chociaż już wtedy  
żydowskiego boga nie uznaje i ninie nie uznaje, i  
małą literą dla większego aspektu, ku zgorszeniu  
Klechistanu pisze, w międzyczasie nietylko Boga, ale  
i świętych pańskich za pieniądze chwalić. A wszystko  
wielkimi, wołowemi literami — i to nie pierwsze  
głoski tylko, nie, — ale całe słowo szło wersalikami.

Oczywiście płacili w św. Wojciechu klasa, to się  
Boga cwałito, i łęczę między wiernymi a niebem  
rozpinano. Redagował i zzegadłował ci ją — na a-  
men! Zzegadłował, to znaczy zrobił tak nudną, jak  
to tylko jeden Zegadłowicz in universo potrafi.

To jest zastanawiające! Znam wielu ludzi, któ-  
rzy nie mogą się wyuznać, że też ten Emilek, tak  
przyjemnie w towarzystwie rozmawiający — umiał  
być tak genialnie nudnym, bezbarwnym, eunuchicz-  
nym, beztalenty w swych wierszytach.

Ani śladu oryginalności. Nawet interpunkcję  
szafnął sobie z Hiszpani — te kreski i myslniki, o-  
kolone kropkami i pytajnikami — przed zdaniem.  
To jeszcze — i jedynie było ciekawe — jako inten-  
sywna propaganda alfabetu Morse’a.

A to (widać po „Zmorach”) dlatego, że Zegadł-  
wicz jako fabrykanciarz wierszy, i to fabrykanciarz  
— grosista — był nieporozumieniem. To jest pro-  
zaik! Tu ma temperament, werwę i zacięcie i roz-  
mach i talent.

Ale talent — mają też np. rozpruwacze kas. Jest  
talent i talent.

Z tem wszystkim jednak, z temi ogromnemi Be-  
skidami brudu, które Zegadłowicz stworzył w „Zmo-  
rach” — nie jest to żaden demon. O, nie!

Tu przemówił — Jowialski „an sich”, Jowialski  
w lączkach, który sobie snut „takie myśli”, aby so-  
bie ulżyć w pewnym miejscu, przy pewnej, (co robić?)  
funkcji, od której nawet cesarz Abisynji nie jest  
wolny.

Przecież to kawał! Widzę, jak kilkudziesięcio-  
letni łośuzek siedzi sobie i nroy tem srebrem pisze.  
A co trywolniejszy zwrot, co większe świństwo od-  
chodzi, usmiecha się z satysfakcją: — Ale się będą  
wściekać! Ale się rzucą! Alem im dojechał! Ale  
bągiez hucek. Hucek! O! — To jest powód. „Da  
ist der Hund begraben”.

No bo janko! Cztery lata temu jakaś praska czy  
wiedeńska gazeta pisała, że Emil Zegadłowicz to dziś  
najcudowniejszy poeta katolicki świata! To duch  
prostoty i pokory, duch ewangeliczny. Nawet do  
św. Franciszka z Assyżu go porównano. Nawet...

A od tego czasu nic! Zupełnie nic. Więc kopnął  
Poznań i sam postanowił zrobić hucek dokota sie-  
bie swym listem Emilencji. — Pogadali trochę, ten  
i ów się oburzył. I znowu nic!

Strasne! Gotowi zapomnieć! Więc jeszcze jako  
dyrektor rozgłosni poznańskiej na prowincję jeździł  
i odczyty o sp. Marszałku wygłaszał. Może choć w  
Dzienniku Poznańskim pochwała. — Ale gdzie tam!

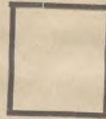
Więc jak się z Poznania wyniosł, to (kiedy wieś  
stała się modną) zaczął wsiowe pismo redagować.  
Po św. Franciszku, po katoliku, po radjocie, po pi-  
sudczyku — chłopca odstawił, na prawo, lewo i przed  
siebie spławał, w rękaw nos wycierał lub zgłotał na  
podłogę smarkał.

Ale i to nie!

Tak przecież nie może być!

Toć Boy w tym czasie i Ksawercię znalazł i Mic-  
kiewicza odbronzował, i Mickiewicza otrut i poradnie  
uświadamiającą stawił i pederastję zalecił, toć Skiński  
(też kolega od św. Wojciecha i dawny Dmowskiego  
i Wasilewskiego panegirysta po 15—20 groszy od  
wiersza) w tym czasie papieży spalił, chrześcijaństwo  
obalił i do katakumb zapędził. Toć nawet poczciwy  
Ułaszyn - Klechostraszyn nad ks. rektorem Cieszyń-  
skim zemsty dokonał i na Placu Wolności w Poznaniu  
ognistemi różgami go zgonił...

\*) Emil Zegadłowicz: Zmory. Kronika z za-  
mierchłej przeszłości. F. Hoescik, Warszawa,  
MCMXXXVI.



AGENCJA  
WIADOMOŚCI  
Z PRASY  
W WYCINKACH

**P**OLSKA  
**R**ASOWA  
**M**ACJ  
**A**

SPÓŁKA  
z ogr. odp.

Warszawa  
ul. Bracka 5  
telef. 9-41-53

WYCINEK  
Z  
WYDAWNICTWA

Nr. 10 d. 10 PAZ 1935

Czarne zmory. Ukazała się wspaniała wprost  
książka Emila Zegadłowicza, „Zmory” jako dalszy  
ciąg „Żywota Mikołaja Srebrepisanego”. Jest to  
jeden z najwspanialszych opisów męczeństwa współ-  
czesnej młodzieży, zdanej na łaskę i niełaskę waty-  
kańskich wychowawców. Niewolno tej młodzieży  
myśleć po ludzku, niewolno nazywać rzeczy po  
imieniu, niewolno czuć poprostu własnego ciała i  
tych tajemnie, które się w niem dokonywają. Wol-  
no najwyżej zwierzać się ze swoich uczuć i myśli,  
uczynków i pragnień ludziom siedzącym w konfe-  
sjonale i znających się na życiu akurat tak, jak ko-  
za na pieprzu. Mikołaj Srebrepisany żyje tedy w  
środowisku nawskroś załganem, to znaczy poboż-  
nem, obłudnem, pełnem jakiejś cuchnącej hipokry-  
zji. Poraz pierwszy chyba w dziejach naszej litera-  
tury znakomity pisarz odważył się nazwać rzeczy  
po imieniu i pokazać to środowisko drobno-  
szczańskie na klasycznym przykładzie. Uczynił to  
nie po zolowsku, ale z cudownym wdziękiem Ham-  
suna, przemieniając powszednie zdarzenia życia w  
najczystsze złoto poezji.

Mikołaj Srebrepisany w swoich tęsknotach,  
przeczuwaniach, nawet w podpatrywaniu uciech e-  
rotycznych starego Podrzwistka i w rozmowie z po-

\*) Już został naruszony. 2X włosi wkroczyli do Abisynji  
i rozpoczęli wojnę bez jej wypowiedzenia. Zdobyli nadgranicz-  
ną Adug 6.X, a 9.X już ją utracili. W dn. 8.X Liga Narodów  
uznała Mussoliniego za napastnika i przystąpiła do bojkotu  
Włoch, jako gwałciciela Paktu Ligi. Red.

bożną właścicielką mafomiasteczkowego burdeliku,  
Luizą, jest dziwnie czysty, szczery ciałem i duszą,  
zaciekawiony tajemnicami życia jakoś pięknie i rze-  
telnie. Oczywiście, wszystkie tajemnice życia musi  
sobie porozwijać sam, bo o nich z nikim po-  
mówić nie może. Więc marzy, pisze cudowne wiersze,  
gorączkuje, brnie ku tym blaskom jasnym, które  
prowadzą każdą młodą duszę, przytłoczoną straszli-  
wymi kompleksami obłudnej kościelnej ascezy. Na  
tę więc piękną książkę rzuciły się czarne zmory  
watykańskie w niej jakim „Dzwonie niedzielnym” za-  
to, że w niej jest mowa o pobożnej mafomiasteczk-  
kowej Luizie, kobiecie w miarę publicznej, porząd-  
nej, niedrogiej zresztą. „Najbardziej lubiła księży—  
rozpalonych i prędkich—dogadzał też taki stosunek  
z osobą uświęconą jej głębokiej, wrodzonej bogob-  
jności”. Zresztą całe jej mieszkanko było czyste,  
jasne, porządne, pełne obrazów świętych. Dostało  
się za tę szczerość autorowi od „Dzwonu”, który  
narzeka sobie, iż Zegadłowicz „w najplugawszy spo-  
sób sponiewierał stan kapłański”. Poczciwi ludzie  
nie czytali chyba dziennika ks. kanonika Burchar-  
da, który opisuje szczegółowo mniej niewinne ucie-  
chy erotyczne samych papieży. Książce Zegadłowi-  
cza te gadania nie zaszkodzą, raczej posłużą jako  
bezpłatna i skuteczna reklama.

A on, Emilencja Zegadłowicz — nic. Toć w tym  
czasie Edward Boyé „Skończonego Człowieka” Pa-  
pini’ego przetłumaczył, i wszyscy się dziwili, że tak  
o sobie mógł włoski pisarz szczerze napisać — a on  
dotąd nic.

Więc też napisał. I z „Człowieka skończonego”  
siła skorzystał. Jednak czekanie opłaciło się! Bo  
przecież Giovanni Papini, jako chłopak, pragnął  
wielkie dzieła pisać, encyklopedję nową ułożyć, hi-  
storję świata inną napisać — itd. to i Zegadłowicz  
też musiał chyba mieć takie zapędy. No i miał, bo  
opisuje, jak to jako uczeń o różnych dziełach ma-  
rzył.

Reklamę więc Zegadłowicz ma. Szkoda tylko, że  
jeszcze trochę nie poczekał, bo teraz ludzie nie wie-  
dzą, o kim mówić. Czy o „Zmorach”, czy o „Prze-  
wodniku po beletrystyce” Cz. Lechickiego. Zaiste,  
trudny wybór.

My z całego serca życzymy Zegadłowiczowi wiel-  
kiej sławy. Ze życzenia nasze są szczere, najlepszy  
dowód, iż napisaliśmy ten artykuł. Jeszcze z 5  
takich niech się ukaże, to „Zmory” cel osiągnęły.  
Ludzie zaczną je sobie wrywać z rąk, a o Zegadł-  
wiczu pójdzie fama!

A przecież tylko o to idzie Powsinodze z Korzenia  
Jurnego.

JAN MOTT.



Jerzy Wyszomirski

## ARTYZM I ŚPEKULACJA

„Zdobyte w bibliotece szkolnej książki wzbudzają wzdzięk i niechęć; zwłaszcza Sienkiewicz. Konstrukuje się w myśli szesnastolatka stwierdzenie, że jest w tej trylogii zwłaszcza coś jeszcze gorszego niż ohydne wojackie barbarzyństwo: gloryfikacja tępoty umysłowej. Może na buńczuczne zdanie to wpłynęły owocne słama i rozanielanie się nad temi bzdurami historycznymi (nie znalazł jeszcze rzeczy najgorszych: „Rodziny Polanieckich” i „Bez dogmatu”) i to bliższe jeszcze, że koledzy — i to ci najępszy, najnieinteligentniejsi szaleją za Sienkiewiczem...” Oto ustęp z powieści Zegadłowicza „Zmory” (\*), ustęp, który narówni z wielu innymi zastanawia, i zmusza do szukania przyczyn, nakazujących autorowi w ten właśnie sposób ocenić (mózgiem szesnastolatka) twórczość Sienkiewicza — i kiedyż to? — na długo przed wielką wojną, w pierwszych latach w. XX, w e-k. gimnazjum wolkowickim? Czy podobna, czy jest zgodne z prawdą historyczną, obyczajową i psychologiczną, że młodzieńcy Mikołaj Srebrem-

sany pacyfistycznie i intelektualistycznie przekreśla Trylogię, wówczas gdy żyjący Sienkiewicz stał na szczycie sławy, gdy nikt nie słyszał jeszcze o rewizjonizmach w ogóle i odkryciach dra Górki w szczególności? Chyba, że Mikołaja Srebremisanego zadrasnęło w jakikolwiek sposób ostrze myśli St. Brzozowskiego. Ale o wpływie tego niezależnego myśliciela na uczniów gimnazjum wolkowickiego ani słowa w książce Zegadłowicza. Nie dotarł był jeszcze do Wolkowic. Owszem, mamy Rydla — aczkolwiek w anegdocie — obrywającego guzik dzisiejszemu akademikowi Leśmianowi, kiedy to ten ostatni siedł na umówione spotkanie z dwoma lesbijkami: „a był w tej branży specjalistą”. Mamy więc Rydla (\*\*), i Leśmiana, wprowadzonego — kto wie? czy nie z tych powodów, z jakich Unifowski zajął się we „Wspólnym pokoju” niektórymi aktualjami; mamy i trochę innych; p. Adam Znamierowski, natchniony profesor Mikołaja, tak o nich powiada: „Przybyszewski, Nietzsche, Berent,

\*) „Rydel to kulturalne homo”; „Rydel to jednak klasa i ta kultura wiersza; taki pan od poetki” — w tych słowach poucza Mikołaja jego mistrz — prof. Adam Znamierowski.

Zeromski, Wyspiański, Kasprzowicz — no i ci: Baudelaire, Poe — naprawdę wielcy — ano, to ja cię muszę, plow chłopię, wprowadzić w tę nieprawdopodobieństwa”. I rzekłszy „ano”, począł deklamować Micińskiego, o którym znowu ozwie się w te słowa: „Fajny poeta — klasa, tu się czuje szlachetny metal”.

Mikołajek Srebremisany nie zna jednak jeszcze żadnej z tych „fajności”, i siedzi se — plow chłopię — jak na tureckim kazaniu, myśląc wszelako z satysfakcją, że oto on, pokorny uczeń, ważył się na krytykę Sienkiewicza, kubek w kubek tak jak profesorska. Bo profesor rozprawia się z Sienkiewiczem krótko: „zero, zero, zero”. Nie mam zamiaru bronić Sienkiewicza; chodzi o jedno; skąd nieoczytane plow chłopię, wychowywane przez zdeprawowanego wuja i pijaków — pedagogów, mogło trzydziści lat temu antycypować dra Olgerda Górke? I tu możliwe są trzy odpowiedzi: albo Mikołaj Srebremisany, z którego wyrósł w przyszłości poeta Emil Zegadłowicz, był już w chłopięctwie, naprzekór zabójczemu działaniu środowiska, genialny; albo Emil Zegadłowicz jest słabym psychologiem; albo też Emil Zegadłowicz zarówno w tem miejscu, jak i w wielu innych swej książki dąży celowo do tego, by oszołomiony czytelnik wyszeptał „najwyższą” dla każdego autora pochwałę: „co za śmiałość! co za

brutalna odwaga!”.

Która z tych trzech możliwych odpowiedzi dogadzałaby najbardziej Zegadłowiczowi? Co do mnie, sędzę, że każda z nich zawiera część prawdy: Emil Zegadłowicz nie jest wprawdzie genialny, ale nie ulega wątpliwości, że jest to (podobnie jak Rydel), „kulturalne homo” i „fajny poeta”; jednakże brak temu poecie głębszego zmysłu psychologicznego; na koniec — poeta ten, liryczny, świątnikowy i franciszkański dotychczas, a przeto niezbyt popularny i przez niektórych poczytywany nawet za grafomana postanowił ze świątka przestoczyć się — czy ja wiem? — w Friapa, by zdobyć to, czego nie zdobyły „Godziny przed jutrznią”: rzesze wzburzonych, zgorzszonych i entuzjastycznych czytelników, komentujących na różny sposób, w jakim to, powiedzmy, artystycznym celu wymienia autor dziewięć nazw falicznych lub siedem definicji „sypania z babą”.

Ważniejsza jest odpowiedź na pytanie: czy wpływ książki na czytelnika może mieć jakiegokolwiek znaczenie i stanowić o jej wartości. Mniejsza z nim. Czytelnik pozostanie zawsze miarą wpływu, i nigdy nie wiadomo, jaki w nim efekt może wywołać książka. Skala oddziaływania „Zmór” może być bardzo szeroka, lecz jakości ich nie sposób mierzyć tem oddziaływaniem. Któż zaprzeczy, że i Biblia potrafi zbudzić drastyczną ciekawość. Ważniejsza jest odpowiedź na pytanie:

nie: jakie cele artystyczne, obyczajowe i społeczne przyswieceły Zegadłowiczowi? Wszakże poeta ten był dotychczas bardzo czystoty, podniosły i religijny w swej twórczości. Jak to się stało, że teraz nawet pana boga i matkę boską pisze małemi literami? W przystępie jakich to przewrotów duchowych, jakiego „ból kosmicznego” doszedł do negacji?

I oto, przewrotu nie dostrzegamy, bólu nie czujemy. Ewolucja Zegadłowicza nie znajduje usprawiedliwienia. Gdyby „Zmory” były obrazem dzisiejszej, trudnej rzeczywistości, dzisiejszego wysiłku i nędzy człowieka... Gdyby wzięły się w dzisiejsze, zdezerentowane, i — jeśli wola czyja — zdemoralizowane społeczeństwo... Tak jednak, jak się rzecz ma, „Zmory” wydają się tylko nową fazą zakłamania Zegadłowicza.

Były koledziolki, powsinogi i świątki. Nie poplać. Zobaczymy, co przyniesie makabra i seksualizm.

„Zmory” są „kroniką” dojrzewania młodego chłopca — od dziesiątego do osiemnastego roku życia. Autor powieści w wywiadzie, że jest to „niezależna biografia lat dojrzewania”. Zapewne wywołają wiele zgorznień. W Goszeniu Górnym i w Wadowicach (Wadowice przemieniły się w powieści na Wolkowice) wybuchnęły już podobno skandale. Zegadłowicz, pisząc „Zmory” musiał je przewidywać.

Czy chciał być nieustraszoną pionierem nowych zdobyczy, czy też, mówiąc z beskudzka, nieco spekulował? Słowo to, acz mocne, jest bliskie prawdy. Do użycia go upoważnia przestudjowanie procesu dojrzewania, psychicznego i fizycznego, jakemu podlega Mikołaj Srebremisany.

Otóż, proces ten wydaje się schematyczny i szablonowy. Odnosi się wrażenie, że autor, naczytawszy się młodej dziś literatury pedagogicznej i seksologicznej, stworzył według niej schemat dojrzewania: jakiś wykres na pięknie pokratkowanym arkuszu, uwzględniając w nim bezkrytycznie absolutnie wszystkie odchylenia, jakie współczesna psychopedagogika w dojrzewaniu młodzieży wynalazła. I ten swój wykres, grzeszący przesadą, rozmalował jaskrawo na tle małomiasteczkowego życia ludzi, którzy (z małemi wyjątkami) odznaczają się skłonnościami do występku, do zbrodni i wynaturzeń. Powstała biografia dojrzewania nieprawdopodobna, nadmiernie przeładowana „przeżyciami” bohaterów, naciągana psychologicznie, zbrutalizowana do ostatecznych granic, wypełniona słownictwem fizjologicznym, używanem „odważnie”, „po męsku”. Lektura jej jest nużąca, nie tylko ze względu na właściwy Zegadłowiczowi — rozwichrzony, liryczny, młodopolski styl, ale i ze względu na mielizny psychologiczne, na który-

czytelnik raz wraz osiada.

Oto Mikołaj zaczyna dojrzewać i Zegadłowicz pisze: „Lata dojrzewania! Lata olbrzymich przemian fizycznych, a więc tem samem psychicznych. Anamnetyczna żarliwość płci, seksualizm dziecka, istota całej jego sfery odczuwania i myślenia stawia się genitalnie — z amebiczności, z obojnościwa nieomal wykuwa się decyzja falliczna — osobnik zyskujący prawo i obowiązek utrwalenia gatunku!”

Cóż za erudycja! — uśmiecha się wbrew woli czytelnik, a potem już widzi — bez żadnych złudzeń, że kiedy Mikołajek wacha koszulę matki — to ta „psychoanalityczna” scena jest swoistym, zbeskidziałym przejawem kompleksu Edypa; że kiedy snią mu się osłizgłe wzgórze, to będzie symbolika, zaczerpnięta od Freuda; że gdy zakocha się w „cudnym” profesorze literatury — „Parysie, Adonisie, Euforjonie”, to mamy do czynienia ze zjawiskiem sublimowanego homoseksualizmu, zjawiskiem „adotacji”, tak rozważkowanym przez współczesnych pe-

dagogów; że gdy pocnie wyliezać (na str. 312) kilkadziesiąt nazw znaczków pocztowych („oszałeć można, ozdrowieć i znów oszałeć!”), to znaczy, że wchodzimy w okres „kolekcjonersztwa”, na który współczesna seksuologiczna pedagogika zwracać zwykła wielką, o! bardzo wielką uwagę; że kiedy Mikołajek z uporem powtarza — ale dlaczego, niebardzo wiadomo — „będę świętym — będę świętym — będę świętym”, to już ostatni czas, by w analizie dojrzewania odnaleźć ferment religijny...

I tak skończy się ucieczka do natury, uczucie obcości i nieśmiałości, okres przekory (walka Mikołaja z księdzem o diabła), robinzonady i onanizmy, atawizmy i depresje, mutacje głosu i poezja. Nadejdzie wreszcie pierwsza miłość, potraktowana niestety zbyt pobieżnie i zgoła powierzchownie; po niej zaś niedopelniona próba pozbycia się niewinności w zakładzie pani Lujzy. Słowem, Mikołaj sumiennie i ściśle, według wykresu, przechodzi te wszystkie przemiany młodego życia, które mają u psycho-

pedagogów ustalone terminy: przedpokwitania, pokwitania i adolescencji. Ale przemianom towarzyszy zgroza, męka, niepojęte „fobje” — zmory. Można powiedzieć, że udręka chłopca jest wyjątkowa: Zegadłowicz z całą zaciekleścią nasyla wszystkie furje na Mikołaja, zatraconego w ohydnych, przekletem, zwyrodniałym środowisku.

W jakim celu Zegadłowicz wyolbrzymia niewiarogodnie i perwersyjnie ubarwia normalne stany młodzieńcze? Czy chce mimochodem załatwić porachunki z przedwojenną galicyjską kulturerją, z lodomeryjską hołotą? Chyba nie, bo przecie przedmiotem jego zainteresowań jest Mikołaj; reszta to tylko tło. Więc jakież cel? I tu powraca przykra myśl: „spekulacja”.

Zakończenie „Zmór” należy rozumieć symbolicznie. Osiemnastoletni Mikołaj oddaje się „księżycowej” Balbinie: na rynku miasteczka, w miesięczną nog, u studni osłoniętej kasztanami. Potem Balbina, „zapłodniona księżycem”, topi w studni ubranie Mi-

kołaja. Wraca on nagi do domu. Odmieniony, nowy, tak nagi, jak przed osiemnastu laty po raz pierwszy w tym domu się zjawił. Otwiera okno: „Dzień dobry! Ziemi i niebu dzień dobry!”.

Na szczęście nikt Mikołaja w tym powrocie do utraconego raju nie zaskoczył: w przedwojennych miasteczkach galicyjskich można było widocznie oddawać się miłości na rynku i wracać nago do domu. Zgoda. Ale poco w takim razie osiem lat koszmarów? By odmienić się i oczyścić całkowicie w jedną noc księżycową? Naturalnie, wielka miłość oczyszcza, ale nie tak przypadkowa jak Mikołaja, i nie po osmiu latach piekła. To piekło powinno spopielić duszę Mikołaja. Tymczasem: „dzień dobry niebu, dzień dobry ziemi...”

Oto przykład, do jakich zgrzytów prowadzi „spekulacja” i jak zagłuszyć one mogą kilka pięknych, poetyckich pieśni, rozbrzmiewających tu i owdzie na kartach księgi młodości Mikołaja.

JERZY WYSZOMIRSKI.

Wycinek z wydawnictwa

CZAS (Kraków)

Nr 26 d. 26 LIST. 1935 r.

## Nawiasem...

Mój znajomy zwrócił się do mnie z miną tajemniczą:

— Wiesz kogo zrobili dyrektorem biura w ministerstwie?

Tu wymienił szeptem nazwisko swego kolegi z ławy szkolnej. — Coś podobnego! Ktoby się tego spodziewał!...

Pytam, czy może mu coś istotnego zarzucić. Okazuje się, że nie, że poprostu podrażnił go, czy też zdziwił sam fakt, że taki sobie człeczyna, z którym ongiś rozmawiał po koleżeńsku „będzie mógł puszyć się” i „nadymać”.

Podobnych „znajomków” każdy może spotkać więcej, na każdym kroku. Przeciętnemu śmiertelnikowi wydaje się rzeczą dziwną, kiedy jakiś jego dawny przyjaciel czy kolega zajmuje wybitne stanowisko.

W krytycznym nastawieniu względem szczęśliwego kolegi nie gra roli zazdrość, lecz jakaś dziwna niechęć, nieufność, żeby ktoś „zwyczajny” mógł zastąpić „normalnie” na wyróżnienie.

Chciałoby się doszukać jakichś ukrytych i koniecznych nieczystych sprężyn awansu czy kariery. Chętnieby dowiedziano się o jakichś kompromitujących nadużyciach kolegi.

Nie znaczy to, rzecz prosta, żeby wyróżnienie zyskiwali najzasłużeńsi i najzdolniejsi. Owszem, często zdarza się, że wypłyńie jakiś ciemny typ. Ale to jest inna sprawa.

Mój znajomy nie przejmował się moralną wartością człowieka, poprostu tylko węszył za tematem do plotki.

Ta skłonność do rozdmuchiwania ujemnych wiadomości, złośliwych wersyj jest głęboko zakorzeniona. Z rozkoszą pograża się kogoś, zatapia w mętnej wodzie podejrzeń. Zamiast czuć się podniesionym, że znajomego czy kolegę spotkał zaszczyt — gryzie się taki pan powodzeniem innego.

Jeśli idzie o stosunki w dziedzinie kultury — utrapiona jest klanowość, brak samodzielności

krytyki. Wystarczy, żeby jakiś obóz dał hasło, a można niemal zgóry przewidzieć co kto napisze o książce czy widowisku teatralnym.

Naprzykład, kiedy „Wiadomości Literackie” triumfalnie przygarnęły Zegadłowicza za „Zmory”, podczas gdy sfery narodowe wystąpiły przeciw beśkidzkemu pisarzowi — bojaźliwi duchem radzili raczej przemilczać, niż występować przeciw autorowi, aby tylko nie powiedziano, że upodobniamy się do „endecji”.

A cóż to obchodzi sumiennego krytyka?

Od tego jest niezależna krytyka, żeby pisała wedle sumienia, a nie w imię drażnienia nieprzy-

\*) Jeśli mowa o Zegadłowiczu ujemną ocenę nowego „rodzaju” twórczości tego poety, przyniosła ostatnio również „Gazeta Polska” (artykuł Jerzego Wyszomirskiego).

jaciół czy jednania zwolenników.

Tej niezależnej krytyki jest u nas bardzo mało.

Jest zato, aż nadto dużo krytykierstwa.

Zrządzenia, węszenia, szermowania niesprawdzanemi plotkami, które niewiedomo komu służą.

Krytyka ostra, ale pochodząca od znawcy przedmiotu jest pożyteczna, bo wywołuje dyskusję, zainteresowanie.

Krytykierja — to sport szkodliwy i niezdrowy, odbierający smak życia, zatruwający atmosferę — miazmatami.

Krytykierja — to uczone rozmowy kawiarniane „wtajemniczonych”, (którzy nic nie wiedzą prócz tego, że muszą powiedzieć coś pikantnego lub sensacyjnego).

Krytyka to prostowanie ścieżek, to snop światła!

Próbę z Mordem  
nr. 45

## Listy do redaka

ZMORY.

Kochany Redaktorze!

Daruj mi ten list — pierwszy taki w moim życiu — a tysięczny pewnie w Twojem, redaktorskiem, ale — przybiegam — muszę go napisać. Zaczę od wspomnienia. Było to... mniejsza o to, kiedy. Przy stoliku, u Karpowicza w Zakopanem, siedziało liczne towarzystwo. Centralną postacią był jeden z największych aktorów w Polsce, a w fizycznym znaczeniu bodaj, że największy. W Zakopanem każdy ma dużo czasu, więc towarzystwo gwarzyło dość długo, a obecność pewnej zabójczo dystygowanej damy sprawiała, że tym razem czas bardzo się dłużył. Po odejściu (wroczo!) owej damy — ku ogólnemu zdziwieniu i szalonej wesołości, zerwał się wielki człowiek ze swego stołka i wyrzucił jednym tchem, przed siebie, w przestzeń, kilkanaście razy jedno słowo, nieskromnie skromne, bo tylko z czterech liter się składające. A potem z westchnieniem ulgi „ufl ulżyłem sobie” — opadł na krzesło.

A teraz skąd to wspomnienie. Właśnie skończyłam czytać (nareszcie!) — bo w rezultacie jakież to obrzydliwie nudne było! — podręcznik dla koniowodów (ludzie znani w wojsku z najobrzydliwszych, najsoczystszych wymyślań) pod tytułem „Zmory” Emila Zegadłowicza.

Biedny p. Emil! — sporo czasu musiał siedzieć i współpracować z t. zw. porządnymi ludźmi w wydawnictwie św. Wojciecha i trzymać się w ryzach i maskę — owszem sielską-anielską wdziac i sielskie-anielskie rzeczy pisać. Więc jak się tam coś popsuło i tłustą prebendę trzeba było zamienić na dzisiejszą samotnię (samotność uderza czasem do głowy) zerwało się sobie tamy, przestało się oszczędzać „chore obłudne uszeta”, bo to i „prościej i prawdziwiej” — i może pożyteczniej”. No tak — Frenklowi u Karpowicza też ulżyło.

No i napisało się dzieło, wiekopomne, na 486 stronach — wypełnianych przez pół roku, strona za stroną — strona za stroną — obrzydliwościami. Autor ulżył sobie! Ale czy to musi się zaraz tak publicznie — drukować? Nie można to w ściślejszym gronie, w czterech ścianach?

Nie! Bo ta strona książki, ta seksualno-spermatoidyczna, mówiąc autora językiem, jest potrzebna pour épater le bourgeois, a pozatem załatwiało się pewne porachunki. Znienawidzonemu klerowi trzeba było przecież zrobić — mówiąc po góralsku — „despet” — napisać różne różności: o tym „bożu (przez małe b) wymyślonym na własny lęk, i trzymaniu w ryzach innych, „bo to dobry interes”, o „komiżmie i płaskości nauk kościelnych”, o księżkach odwiedzających dom wesołej Luizy, a dręczących dzieci szkolne przy powiedzi, i t. d. i t. d. — cały cykl wyszarpanych od starości szablonów walki z „czarną majją” z czasów Młodej Polski.

Tylko z jednym się p. Zegadłowicz nie liczył, że jak się rzecz tak przeso- li, przejaszkawi, tak jednostronnie, bez poczucia umiaru artystycznego — doprowadzi do przesytu, to już po 50 stronach nie wierzy nikt w jedno słowo autora, choćby to miało wszelkie pozory autobiografii. Widzi się tylko jedno, że zwyrodniała wyobraźnia autora podsuwała mu pod pióro jedną po drugiej, makabryczne, nieprawdopodobne sceny i że się autor w nich wielce lubował.

Zarzuci mi ktoś może, że dzieło literackie nazwałam „podręcznikiem”, że nie zauważyłam talentu w tych pięknych choćby „smużkach”, o których wspomniał p. A. Jesionowski w swojej recenzji o tej książce. A jakżeż nazwać taką książkę, w której autor, nie w toku akcji, lecz tak wprost od siebie, „poucza” — ile wyrażen istnieje na tę lub ową część ciała (sypiąc z rzędu kilkanaście słów) lub jak się to lub owo „regjonalnie” odbywa? Bardzo, bardzo pouczający podręcznik. A co do wartości literackiej tego lub owego momentu — to czyż można zachwycać się zapachem lilji, wniósłszy ją do publicznej ubikacji? Albo podziwiać choćby najpiękniejszą strukturę, skoro tam cuchnie?

Muszę się jednak wytłomaczyć poco pisałam to wszystko. Chcę oddać przysługę tym wszystkim, których mogłoby pociągnąć nazwisko Zegadłowicza i ostrzec, by nie narażali swego powonienia na szwank. A autorowi też chcę oddać przysługę, tę samą, którą oddawałam zawsze pieskowi mojej przyjaciółki; odciągałam go gwałtownie, gdy chciał zjadać własne ekskrementy.

Zrozum mię Szanowny Redaktorze, wytłomacz i przyjm serdeczne pozdrowienia i wyrazy szacunku.

Janina Gluzińska.

# Zmory młodości<sup>1)</sup>

„Zmory“ nie oznaczają zupełnie djabłów ani duchów. Trzeba to od razu podkreślić, ponieważ osoba autora mogłaby czytelnikowi, nieznającemu jeszcze jego nowej powieści, taką właśnie interpretację tytułu książki podsunąć. Na szczęście — o autentycznych djabłach niema w niej mowy. A raczej — mówi się o nich w „Zmorach“ i mówi nawet dość dużo, lecz z wyraźnym sztychtem. I na tem polega m. in. rewelacyjność nowej książki autora „Powsinogów...“ Bo Zegadłowicz pisywał dotychczas utwory, napiętnowane „ludowością“ o sentymentalnym posmaczku. Religianckie to było często i mgliste. Z atmosfery tej niema jednak w „Zmorach“ ani śladu.

Nowa powieść jest epeją galicyjskiego miasteczka, a harcujące w niem „zmory“, to bezlik szykan i cierpień, na jakie narażony był dorastający chłopiec spowodu głupoty i zbrodni otoczenia. Otoczenie to kreśli autor z nieznaną dotąd w literaturze polskiej szczerością i pasją. Przed czytelnikiem przesuwają się barwne korowód typów i typków. Istne muzeum potworności: nauczyciele — sadyści, prowincjonalne dewotki, rabelais'owskie popijusy i zahukani przez życie pocziwcy. Tak: niewesoło bywa młodzieży w takim środowisku, zwłaszcza chłopcom w okresie dojrzewania; dla uczniów myślących — istne piekło.

Rewelacyjność tej książki polega przede wszystkim na niespotykanej gdzieindziej bezpośredniości. Zegadłowicz nie stylizuje postaci ani sytuacji. Zdarzenia i osoby kreśli nawskróś realistycznie, nie lękając się tzw. wyrażeń niecenzuralnych. Tych ostatnich rozsypanych całe bogactwo, od najpospolitszych do najbardziej wymyślnych. Nie cofną się przed włączeniem epizodów, które w pojęciu domorosłych moralistów uchodzą za niesłychanie drażliwe. Przeciwnie: zamieścił ich sporo, opisał rozlewnie i bez osłonek. Jeśli dołączymy do tego dygresje antyklerykalne i antimilitarystyczne, równie liczne, odważne i bezpośrednio, przyjdzie książkę porównać chyba z głośną „Podróżą do krańców nocy“. Jest w niej ta

<sup>1)</sup> Emil Zegadłowicz: „Zmory“. Warszawa — F. Hoesick MCMXXXVI.

sama beztraska o obowiązujący konwenans, ten sam brak jakiegokolwiek umiaru, usprawiedliwiony żywiołową pasją demaskowania napuszonej obłudzie, rozdrapywania kłamstw i kłamstewek, które zdołały się już oblec w pióropusz kuchennej moralności.

Książka Zegadłowicza spotka się niewątpliwie z atakiem tych właśnie kół, które dotychczas darzyły autora gorącą sympatią. Próbkę ataku już były, części dalsze prawdopodobnie nastąpią. Przedewszystkiem o niemoralność: że to niby erotomanstwo i deprawacja. A następnie, że szarga świętości, że bluźnierca. I że wogóle te „Zmory“, to jeden skandal.

Ostatni zarzut pomijam, bo świętości to nie mój resort. Zegadłowicz zna się zresztą na nich lepiej od innych: był redaktorem katolickiej „Tęczy“ i można mu w tej dziedzinie zaufać. Natomiast jeżeli idzie o „niemoralność“, to Zegadłowicz nie jest odosobniony. Byli już tacy, którym ten grzech zarzucono: Arystofanes, Lukjan, Moller, Rousseau, Wolter, Diderot, Balzak...; pocóż zresztą wymieniać połowę klasyków literatury powszechnej! W „Zmorach“ ustępy „niecenzuralne“ są mocne, lecz pisane z rabelais'owską bezpośredniością. Jest zdrowy rozmach, ale niema wstydlwego i lubieżnego zwykłe w wstydlwości, kołowania i dwuznaczników. Nie sądzę, aby szczerść ta była niemoralna. Temwięcej, że powieść Zegadłowicza jest w wysokiej mierze dokumentem, a rzeczywistość — wbrew konwencjonalnym eufemizmom, w jaskrawości na tem polu naprawdę obfituje. Zresztą pierwiastki te w „Zmorach“ bynajmniej nie przeważają i byłoby źle gdyby literacka ich nowość przesłoniła czytelnikowi rozdziały o zgoła odmiennym kolorycie. W powieści Zegadłowicza znajduje się bowiem szereg ustępów, dalekich od codopiero wspomnianej atmosfery. Taka naprzykład rozmowa bohatera utworu Mikołaja z ojcem, rozmowa o przesądach, zawiści i o głupocie ludzkiej, napisana jest znakomicie. Prosta ta tej sceny i oszczędność środków, wywołują silne wrażenie. Podobnych ustępów jest dużo (śmierć starego muzyka Komendy etc.). To samo z postaciami: obok menażerji ludzkiej, kreśli autor osoby, zyskujące szczerą sympatię czytelnika i naprawdę wzruszające.

Niewiele ich coprawda w „Wołkowicach“, gdzie odbywa się duża część akcji, ale już o to trudno winić pisarza.

Zmory młodości! Któż nie znał nauczycieli, podszytych sadyzmem, kto nie pomstował na nich? Osobiście kłamię coprawda pod ich adresem mniej niż inni uczniowie, bo też, gdy o dokuczliwość idzie, większą byłem — przyznaję — zmorą dla nich, niż oni dla mnie; wielu miałem też profesorów, których trudno byłoby potępiać. Mimo to, czytając książkę Zegadłowicza, raz po raz przypominałem sobie rozmaite typki i rozporaz zdumiewało mnie ich podobieństwo do powieściowych postaci. Ze też osobniki te tak twarde mają żywot! Na szczęście — są również inni. I trzeba przyznać, że Zegadłowicz nie zapomni o nich, lecz uwiecznił ich równie plastycznie i prawdziwie. Podobnie jak tamci, przywołują oni przed oczy znanych osobiście nauczycieli. Któż bowiem, obok pompatycznych głupców nie miał wśród własnych profesorów ludzi wartościowych? Kto nie zachował dla nich głębokiej wdzięczności i nie wspomina tych chwil, kiedy podawali mu pomocną dłoń, kiedy jedną serdeczną uwagą wytykali jego przyszłą drogę? Co do mnie, z prawdziwą wdzięcznością czytałem w „Zmorach“ opis rozmów Mikołaja z jego polonistą. Na chwałę autora powiedzieć należy, że — wbrew temu, do czego przyzwyczaili nas beletryści — „dodatnich“ charakterów nie wystylizował na manekiny, lecz obdarzył ich pełnią życia. I to najlepiej może świadczy o stopniu jego artyzmu.

Książka Zegadłowicza powinna podsyć wciąż aktualną dyskusję o „zmorach“ młodości. W dyskusji tej stwierdzi się zapewne — i słusznie — że w ostatnich dziesiątkach lat dużo uległo zmianie na lepsze. Ale nikt nie zaprzeczy, że — lubo wiele uczyniono w tej dziedzinie — „zmory“ wciąż jeszcze grasują i wciąż jeszcze młodzież smutne wynosi z tej walki trofea. Postęp na terenie szkoły tylko, sprawy nie załatwi. Zmorą jest cała obyczajowość współczesna, zmorami dla młodzieży jest większość ludzi, z którymi młodzież się styka. Dzisiaj więcej może niż kiedykolwiek. I dlatego jedna tylko jest skuteczna droga do poprawy: przewietrzyć rzeczywistość współczesną, przewietrzyć od podstaw! Niełatwe, istotnie zadanie.

Zegadłowiczowi, który z brawurowym rozmachem przekroczył granice dotychczasowej twórczości, stwarzając dzieło naprawdę odważne i nieprzeciętne, należą się słowa szczerzego uznania.

„Nana Walda“ Niedziela 20. X. 1935.

## INFORMACJA PRASOWA POLSKA

GAZETA GAZET  
W WYCINKACH ORYGINALNYCH

WARSZAWA  
UL. BRACKA 5 TELEF. 9-41-53

WYCINEK Z WYDAWNICTWA

PION (tyg.) (Warszawa)

Nr. d. 19 PAZ 1935

## EX LIBRIS

Utworem, o którym będzie się napewno sporo mówiło, jest powieść Emila Zegadłowicza pod tytułem *Zmory — Kronika z zamierzchlej przeszłości* (Warszawa, 1936. F. Hoesick. Str. 495). Rzecz ta łączy się z cyklem powieściowym *Żywot Mikołaja Srebrmpisanego*. Z cyklu tego przed paru laty ukazały się trzy tomy: *Godzina przed jutrznią*, *Z pod młyńskich kamieni* i *Cień nad falami*. Od roku 1929 autor nie kontynuował cyklu. Stosunek obecnie wydanego tomu do tomów poprzednich nie jest jasny. Mamy tu nietylko dalszy ciąg, ile jakgdyby próbę nowego i zupełnie odmiennego ujęcia dawnego tematu. Ujęcie jest rzeczywiście odmiennie, ale tylko pod względem ideologicznym. Artym pozostaje ten sam. Jest to dziwna mieszanina temperamentu, rozmachu, pewnych uzdolnień realistycznego ujmowania świata — z wielkim brakiem autokrytycyzmu, prowadzą-

cym do przesady w różnych kierunkach i do wszelkich wykołżeń i wynaturzeń w zakresie dobrego smaku. W poprzednich kronikach o życiu Mikołaja Srebrmpisanego autor często zgrywał się na punkcie idealizmu, religijności, tołstoizmu, franciszkanizmu, świątkowości i t. d. Tutaj uderzył w inny ton: brutalnego naturalizmu, zwłaszcza na temat życia seksualnego. Jaskrawości słownych i sytuacyjnych na ten temat jest tu rzeczywiście mnóstwo niesłychane. Tak samo w przedstawieniu życia szkolnego w przedwojennej szkole średniej galicyjskiej, zwłaszcza co do nauczania religji i stosunku katechetów do uczni. Wielu czytelników bardzo się tem zgorzsy. Ja też jestem zgorzsony; coprawda nie tem, że autor wypisuje *en toutes lettres* najnieprzyzwoitsze wyrazy, że wymyśla tak zwane potworne sytuacje, że w naturalizmie opisów nie uznaje żadnych granic; zgorzsony jestem czem innym: tem, że te wszystkie „śmiałości“ nie prowadzą do żadnych godnych uwagi osiągnięć artystycznych, że w opisie dojrzewania płciowego bohatera powieści jest dużo jaskrawizny, ale bardzo mało prawdziwej odkrywczości psychologicznej, że w przedstawieniu doświadczeń szkolnych i życia rodzinnego tegoż bohatera jest za wiele nieznośnej przesady, że wreszcie autor, pomimo forsowną zmianę „tonu“, coraz wpada w dawny swój „księżycowy“ sentymentalizm, będący epigonicznym echem *Młodej Polski*. W całej zaś „śmiałości“ naturalistycznej autora jest coś z pozy, coś z chęci zwrócenia na siebie uwagi za wszelką cenę. Dawniejszy Mikołaj Srebrmpisany nie-szczególnie się udał; ale i nowe jego przebranie nie uczyniło go bardziej interesującym.

LEON PIWIŃSKI

Kurjer Poznański, niedziela, 8 października 1935 = Numer 459

## W NOTATNIKU

### Emil „Emilencja“ odezwał się...

Pan Emil Zegadłowicz, przyhołubiony w swoim czasie przez Poznań, spoczął na łonie naszej miłośnicy, łapczywemi usteczkami przywarł do jej piersi i — okazał się wcale dobrym ssakiem. Utył chłopczyzna nie bylejak, dzierząc jednocześnie posadki: redaktora „Tęczy“, kierownika progr. Radja, kierownika literackiego Teatru Polskiego itd. Jednocześnie był bardzo grzeczny, powiedzmy, uniżony, nabożnie rączki składał, oczęta w górę wznosił i śpiewał nabożne „Godzinki“. Ale „przyszli czasy“, że skończyła z nim „Tęcza“, skończyło lukratywne Radjo itd. I wtedy „godzinkarz“ albo „głędziółek“ beśkidzki okropnie się na Poznań żeził i Poznaniowi nozwymyślał — za to poprosi, że Poznań wierzgnął i nie pozwolił się dłużej doić. Kropną tedy wielki „list łobuzerski“, podpisał się jako „Emilencja“ i strasznie się ośmieszył. Więc opuścił niewdzięczną naszą miłośnicę z protestem i zaczął okropnie budnąć. I milezał bardzo długo, kombinując, co by to należało zrobić, by jakoś utyć. I powiedział sobie: „Godzinki“ — nie! A możeby tak Goldberg-Krzywicka i Boy, albo Pitigrilli? I napisał „Zmory“, powieść antyreligijną (bo to chociaż coraz mniej, ale zawsze jeszcze modne), i plugawą (bo to chociaż coraz mniej, ale zawsze jeszcze popłaca). Książka ta wprawdzie nie „srebrmpisana“, ale najpospolitszem....

JAN N. MILLER.

## Zmory dzieciństwa\*)

„Zmory” Emila Zegadłowicza — to książka dość osobliwa jak na etapy dotychczasowego rozwoju beskidzkiego pisarza. Zналиśmy go dotąd jako świątkarza i mistyka bezmała, u którego wszystko się zaczynało i kończyło na paciorku. W „Zmorach” Zegadłowicz wywraca nagle koziołka: wszystko co dotąd było dla niego świętością, opluwa tak doszczętnie i z tak sadystycznym grymasem, że książka wydaje się bądź eksplozją utajonego urazu psychicznego, bądź też porachunkiem osobistym za jakąś niedawno zazzaną urojoną lub rzezywistą krzywdę.

Powieść przedstawia dzieje lat szkolnych Mikołaja Srebrepisanego, spędzonych w austriackiej przedwojennej szkole, pod opieką c. k. profesorów, w małej podgórskiej mieścinie galicyjskiej.

Autor nie poprzestaje na skromnej roli opowiadacza, wtarga czynnie w bieg akcji za pośrednictwem dygresyj i wycieczek, podkreślających jego poglądy osobiste i postawę wobec wielu zagadnień. Po wieść swoją rzuca autor na rozle-

\*) Emil Zegadłowicz: *Zmory*. 1936. Warszawa, F. Hoessick.

głe tło przemian kosmicznych, zdradzając skłonność do podopieczności części — całości.

Sam bohater powieści jednak wyróżnia się wybitnie społecznym instynktem, przedstawia archaiczną jednostkę, kształcąca się raczej wbrew i naprzekór otoczeniu.

Zegadłowicz z nielada epicznym zacięciem maluje nam środowisko swego bohatera, to małe galicyjskie miasteczko, wszystkie osobliwości zarówno topograficzne jak i obyczajowe. Kunszt bystrogo obserwatora i ciętego satyryka święci triumfy w tych karykaturalnie i groteskowo zniekształconych typach bliższej i dalszej rodziny bohatera (wuj Waclawa, ciotki Wilhelminy, Komandów) i środowiska szkolnego.

Są to postaci ujęte tak żywo, plastycznie, z tak karykaturalną wyrazistością swoich osobliwości, że wryją się w pamięć czytelnika na stałe jako „zmory”, mogące w każdej chwili nawiedzić naszą wyobraźnię.

Sam żywot owego chłopca-Mikołaja Srebrepisanego ze względu na szczególną uwagę, jaką autor darzy sprawy erotyzmu dzie-

ciniego, jest nieocenionym materiałem dla psychoanalityka, który w dziejach bohatera z łatwością wskaże na proces sublimacji (uwznioślenia) instynktu erotycznego i stopniowego przeobrażania go w instynkt twórczy, w artyzm.

Z tego punktu widzenia książka powinna się stać przedmiotem dociekań jakiegoś fachowego freudyisty w rodzaju dr. Gustawa Bychowskiego.

Niezależnie jednak od wielu zalet czy osobliwości tej książki szum, czy może rejwach, jaki wokół niej podniesiono, wydaje się mocno przesadny i naiwny.

Zegadłowicz używa „mocnych” słów, nazywa wszystko po imieniu, lubuje się nawet synonimiką nieprzyzwoitości, jest to jednak odkrywczosc, na jaką się w życiu codziennym każdy podchmielony jołop zdobyć może. Przeniesienie tej terminologii z życia na teren sztuki czasem ciekawe i szczęśliwe, czasem jest poprostu świadomą i zimną prowokacją czytelnika, metodą już cokolwiek zgraną i skompromitowaną w obozie „Młodej Polski”.

Emil Breiter („Wiadomości Literackie” Nr. 40) nazywa powieść Zegadłowicza „odważną książką”, twierdząc, że pisarz w niej „odnalazł samego siebie”.

Czy fakt, że „boga” pisze w tej książce Zegadłowicz od małej li-

tery ma być wystarczającym dowodem „znalezienia siebie” i gubienia w takim razie w poprzednich utworach? A może prościej należałoby stwierdzić, że p. Breiter odnalazł siebie w książce Zegadłowicza, co mu nastawa sugestię odnalezienia samego autora.

Za szczególną zasługę Zegadłowicza poczytuje p. Breiter odwagę, z jaką pisarz beskidzki porusza sprawy seksualne, ubolewając nad tem, że „przemilczanie spraw najważniejszych podniesiono na wyżyny obowiązku społecznego”.

Otóż właśnie nie dla każdego jest sprawą równie oczywistą, jak dla p. Breitera i p. Krzywickiej, że sprawy erotyczne są „najważniejsze”.

To co właśnie razi i dziwi w książce Zegadłowicza, że mimo szerokich ram patetycznego wstępu powieściowego, z przeraźliwą i nużącą jednostronnością autor się ogranicza tylko do sfery doznań seksualnych bohatera i jego środowiska, pomijając wszystkie inne ustosunkowania. Jedyną formą życia społecznego jest dla niego imaginacyjna lub rzeczywista — kopulacja. Poza tem ludzie są obcy, dalecy, godni pogardy lub obojętnego wyrozumienia.

Jedyny przykład szczerego i bardziej bezpośredniego ustosunkowania się do świata zewnętrznego dotyczy psa Znajdy nie czło-

wieka. Jest to jednak prawdziwie staropanieńskie przedstawienie pojęć.

Kontakt bohatera z „ludem” wyraził się w tem, że parobek Józek Nalepa wtajemnicza go w stajni w sens słowa „dupczyć”...

To chlubne samoograniczenie autora może olśniewać p. Breitera, którego razi „monotonny chór literackich zainteresowań społecznych i społecznikowskich... apostołstwo klasowe... i t. d.” i który radby przeweksłować literaturę na inne tory.

Wielbi więc w Zegadłowiczu filozofa, „który zrozumiał istotny sens życia” — prawdopodobnie wtedy, gdy cytowany powyżej filozof natury w postaci Józka Nalepy wtajemniczył bohatera w arkana „dupczenia”.

Pozostawiając jednak na uboczu p. Breitera z jego koncepcją „istotnego sensu życia”, należy stwierdzić, że Zegadłowicz, przedstawiając rader subtelnie i przenikliwie, choć w karykaturalnym wyolbrzymieniu psychologię seksualną dzieciństwa, celowo czy nieświadomie zuboża psychologię bohatera, odrywa ją od konkretnego podłoża społecznego, na którym się rozwija i kształtuje psychika dziecka.

Całe więc tak bluźniercze i świętokradzkie niemal wolnomysłiciel-

stwo tak świętoszkowatego jeszcze niedawno pisarza nie robi bynajmniej wrażenia ani „znalezienia siebie” ani nowego ustosunkowania się do świata, lecz jest wybitnie tramtadrackie, naiwne i prymitywne, jak prymitywny był cały jego poprzedni „regionalny mistycyzm”.

Podziwiać można, z jakim brakiem wszelkiego krytycyzmu „Wolnomysłiciel polski” zaakceptował „przemianę duchową” Zegadłowicza, udzielając mu nieopatrznie całego swego kredytu. Takich „przemian duchowych” zależnie od różnych konstelacji życiowych pisarz beskidzki przejdzie jeszcze niemało i nie należy bynajmniej znaczenia ich wyolbrzymiać.

Mimo prób pewnych i usiłowań Zegadłowicz nie może się wyzwolić z pod uroku obrazowości i gry wyobraźni „małopolskiej”.

Ostatnia przygoda bohatera u studni w nocy na rynku miasteczka z tą jakąś Alraune wolkowiczką, pomijając już to, że jest to jakaś spóźniona saninjada traci tak straszliwym szablonem pustej nastrojowości (jak i cały epilog), że trudno zrozumieć wprost autora, jak ten wytarty komunał poetycki mógł przypieczętować tyle tegich i jurnych stroniec tej nieprzeciętnej mimo wszystko i ciekawej powieści.

27.

Alfred Jesionowski

# Lata gimnazjalne Mikołaja Srebrempisanego

Osobliwą rzecz wydał na świat samotnik z Gorzenia. Przyznam się otwarcie — nie rozumiem poco książka została wydana, bo, że została napisana—to próbuję zrozumieć. „Zmory”—to jakaś djabełska mieszanina ohydy, plugastwa, ordynarnego świństwa z wybuchami najczystszej poezji, nieskładanym idealizmem; do białości rozpalonej złości, wściekłości, nienawiści — z głębokim współczuciem dla ludzkiej nędzy duchowej, moralnej przede wszystkim. Z kartek tej powieści wзира wykrzywiona wstrętnym grymasem twarz cynika, dla którego niema żadnej świętości, żadnego piękna, nic dobrego, cynika, który tłumaczy każdy gest człowieka w najbrudniejszy sposób — to znów oblicze zadumanego myśliciela, wyrozumiałego na wszystkie ludzkie czyny i myśli.

Bo oto z jednej strony postać Wacława, pijaka, dziwkarza, którego każde odezwanie się cuchnie zdaleka — z drugiej — postać Michała Srebrempisanego, — ojca Mikołaja, człowieka subtelnego, mądrego, dobrego. Obok wstrętnej starej Komendowej — jej córka Zofja, żona Mikołaja, całkowity kontrast matki. Tu sielanka wiejska, niemal à la „Wiesław” — tam brud małego miasteczka garnizonowo-gimnazjalnego, udrapowanego na współczesną Sodomę.

Pyta się czytelnik: Skąd tyle nienawiści w człowieku? Za doznane zawody życiowe?, za zmarnowaną młodość?, czy też tylko pour épater le bourgeois? I to, — i tamto — ale obawiam się, że przede wszystkim to ostatnie. Jasne momenty w powieści są bowiem tylko cieniutkiemi smużkami w tej potwornej nocy, w tym ohydny mroku — w tej atmosferze Podzwistaków, Luiz, Roiz i t. p. typków. To babranie się autora w słowniku funkcji seksualnych, opisy takie, jak śmierć starej Komendowej, wyprawa „miłosa” Wacława z Mikołajem do Luizy... Brrrrr...

slużbą — bez jakichkolwiek obserwacji tego rodzaju, w które obfituje tom czwarty. Czyżby teraz dopiero się wyłoniły z podświadomości owe straszliwe wspomnienia? Czy to szkoła uczyniła Mikołaja jasnowidzącym? I dziesiątki innych podobnych pytań na temat poszczególnych postaci i wydarzeń, i nowego naświetlenia.

Gimnazjum, jakie nam przedstawia Zegadłowicz — to ra-

czej jakaś wizja koszmarna, jakiś dom warjatów, zbrodniarzy, nieuków, gdzie profesorami są z małemi wyjątkami sami pijacy, sadyści, jakieś typy nienormalne. Wszystko to zgeneralizowano — stąd nieprawdopodobieństwo sytuacji. Uczniowie, przynajmniej wszyscy ci, których poznajemy jako kolegów Mikołaja — to typy erotycznie wcześniej rozbudzone i wcześniej praktykujące „mi-

łość”. Dwie ciekawsze jednostki pokazuje nam autor tylko mimochodem, nie próbuje nam obok Mikołaja pokazać wyraziście żadnej silniejszej indywidualności. Wszystkich ich obchodzi przede wszystkim seksus. Jeśli to ma być „odkłamaniem” — sielskości i anielskości — to nas to nie przekonuje. Za wiele tego — i za mało. Przecież dzisiejsza młodzież starsza... Ale co tu długo

gadać na ten temat. Faktem jest, że nie robi z tego takiej parady, jak ci młodzieńcy wołkowiccy, a nadto ma przeważnie inne zainteresowania. Więc co tu było do odkłamywania? Albo i ten dziwaczny zbiór nauczycieli. Zapewne, że poziom moralny nauczycielstwa w c. k. Austrii czy Niemczech pozostawiaj w wielu wypadkach sporo do życzenia, byli wśród pedagogów i pijacy, i sadyści —

ale przecież nie tylko tacy byli. Myślę, że nawet było wiele więcej takich Adamów, czy Farników — niż to pokazuje Zegadłowicz. Cały ten okropny obraz życia gimnazjalnego może mieć jedynie znaczenie dla formowania się duszy Mikołaja, mógł być mieć — ale, jak się okazuje — nie miał. Mikołaj się tam naprawdę trochę pomęczył — ale na ogół wyszedł z tego wszystkiego obronną ręką. Że dziś podobnie być może? Nie — dziś tak nie jest i być nie może. Kto odrobinę zna życie dzisiejszej szkoły średniej, życie nauczycieli i uczniów wie, że tak nie jest. Więc na co ten cały ponury obraz?

Bardziej zrozumiałym zdaje się być obraz życia mieszczaństwa wołkowickiego owych czasów. I widoczna jest tendencja autora, która nam ten obraz pokazuje. Kawałek obyczajowości miasta małopolskiego w początkach XX wieku i wpływ tej obyczajowości na duszę młodego człowieka, który kiedyś stać się miał poetą. Obraz ponury — jak się rzekło. Autor nie pomija żadnej sposobności, aby kpić, szydzić, wyśmiać życie tego małego światka we wszystkich jego przejawach. Posłużą mu do tego opisy jakiegoś pogrzebu, „kinderbalu”, uroczystości narodowej, odczytu organizowanego przez T. S. L., wypadek na ulicy. Zewsząd wзира kółtuństwo, małostkowość, wyrachowanie, brzydka interesowność. I wśród tej całej ohydy formował się młody Mikołaj. Pozbawiony po śmierci ojca wszelkiej serdecznej opieki, zdany we wszystkim sam na siebie, sam musiał mocować się ze swym bólem, ze swemi wątpliwościami różnej natury, sam - sam - sam...

INFORMACJA  
W WYCINKACH  
Z GAZET I CZASOPISM

WARSZAWA

UL. BRACKA № 5, TELEFON № 9-41-53

WYCINEK Z WYDAWNICTWA

PROSTO Z MOSTU  
WARSZAWA

Nr 48

d. 24 LIST. 1935

Robi się stanowczo niepo-  
miernie dużo krzyku wokół  
Zegadłowicza „Zmor”. Ot i nie-  
spodziewanie zrobiono sensa-  
cję! A głównie, dzięki tym, co  
to z oburzenia rozdzierali sza-  
ty.

Tymczasem, po prawdzie, te  
„Zmory”, to dosłownie zmory,  
taki zwyczajny nieudany lite-  
racki kicz.

Doprawdy — wiele hałasu  
o nic.

\*

Nie czytałem „Ulissa” Joyce’a, ani „Kochanka L. Chatterley” — Lawrence’a — znam je tylko z recenzji — ale wydaje mi się, że w pewnej dziedzinie opisów wziął Zegadłowicz rekord. Chodzi bowiem nie o to, że tam takie opisy wogóle są — ale że one zapełniają bez mała całą powieść, że wskutek takiego ujęcia rzeczy wszystko się wydaje jak z nieprawdziwego zdarzenia, że wszystko to jest tylko wytworem wybujałej, chorobliwej imaginacji.

Szukajmy powodów, jakie mogły oddziaływać na autora, by rzecz tak ująć — jak to uczynił. Do czego zmierzał powieściopisarz, publikując ten straszliwy pamiętnik, o pierwiastkach autobiograficznych, rozszerzonych, pogłębionych — lub zartowych fantazją twórczą? Przypomnijmy sobie pokrótce poprzednie trzy tomy „Żywota Mikołaja Srebrmpisanego”. Były w swem ujęciu sielsko-anielskie. Waclaw był człowiekiem całkowicie normalnym — nawet jako małżonek. Nie było wogóle mowy o jakichkolwiek zagadnieniach seksualnych, o żadnych wycieczkach przeciw religii i księżom. Był to jakiś świat — wyidealizowany niewątpliwie tak, jak on się mógł być przedstawiać małemu Mikołajowi, otoczonemu troskliwą opieką ojca. Zgoda! Ale przecież autor robił tak liczne dygresje nie dotyczące się bynajmniej bezpośrednio życia Mikołaja, miał tyle sposobności do załatwiania porachunków — bo jeśli istniało dziedzictwo bolesnej młodości — to ono się już wtedy u autora w jakiejś formie objawić powinno było. Tymczasem nic takiego. Kontemplacyjny żywot ojca Mikołajowego, szczęśliwe „lata szczenięce” Mikołaja, beztroskie zabawy z rówieśnikami, przebywanie z pasterzami i

INFORMACJA  
ORASOWA  
POLSKA

JEDYNA W POLSCE  
AJENCJA  
WIADOMOŚCI Z PRASY  
W WYCINKACH

Sp. z ogr. odp.  
Zał. w 1920 r.

WARSZAWA  
BRACKA 5  
TELEF. 9-41-53

WYCINEK Z WYDAWNICTWA

Kurjer Polski (Warszawa)

Nr. .... 15 GRUD. 1935

### Wieczór dyskusyjny na temat „Zmory” Zegadłowicza

Przed kilkoma miesiącami ukazała się powieść Emila Zegadłowicza „Zmory”, która ze względu na niesłychanie brutalne i gorszące zwroty i obrazy, wywołała burzę protestów.

Związek Literatów Polskich urządził wczoraj na temat utworu Zegadłowicza wieczór dyskusyjny. Przemawiali dr. Gustaw Bychowski i Stefan Essmanowski.

W dyskusji, która przeciągnęła się do późnej nocy, zabierali głos p.p.: Blüth, Wassowski, Zahorska, Stożek i Frühling.

W tej samotności i w tym brudzie zatrzymał jednak duszę czystą, wyrobił swą indywidualność — mimo i wbrew wszystkim złym okolicznościom. Czy autor chciał przez to powiedzieć — że dusza ludzka formuje się niezależnie od środowiska i otoczenia, że zasady i poglądy, zamiłowania i potrzeby zaszczepione w najwcześniejszej młodości są najsilniejsze, tak silne, że późniejsze wpływy już nie wiele znaczą? Czy też, że Mikołaj był taką wyjątkową jednostką? Powieść kończy się symbolem. Mikołaj po maturze, tuż po bie maturalnej, spotyka kobietę, tę jedyną kobietę, której zawdzięcza pierwszy dreszcz erotyczny — tu się spełnia jego przejście do „męskości” i do wyzwolenia. Ubranie gimnazysty wrzuca kochanka do studni. Oboje wracają nadzy do domu. Czysci. Zostawili brud dziecięcych lat za sobą. Rozpoczyna się nowy okres.

Trudno zaprzeczyć, że powieść wywiera silne wrażenie. Wiele w niej ciekawych i zastanawiających rzeczy. Dużo interesujących i poraż pierwszy wypowiedzianych obserwacji z życia dorastającej młodzieży. Kilka kartek czystego liryzmu. Przejmujące są owe rozważania Mikołajowe, to szamotanie się ze sobą, owe gawędy z Adamem, ta radosna miłość do ojca, owa tęsknota do dobra i jasności. Ale trudno to wszystko wyłuskać w właściwych proporcjach z tej erupcji nienawiści. Czy było trzeba tyle błota, tyle złości i niesprawiedliwości, tyle niejednokrotnie nieprzemysłanych, lekkomyślnie rzuconych sądów — aby wypowiedzieć to, co ma zastanowić, co ma trwać? Czy nie wybija się zanadto pragnienie zrobienia porządnego skandalu, załatwienia osobistych porachunków? Jak to mówi autor w części III. „Żywota Mikołaja Srebrmpisanego”?

„Pisarza tworzy nie talent, lecz charakter, przekonania, wiara w ideę”.

Czy autor „Cieni nad Falamami” pamiętał o tem pisząc „Zmory”?

30.

INFORMACJA  
PRASOWA  
POLSKA

WARSZAWA  
BRACKA 5

SP. Z OGR. ODP.

TELEFON  
№ 941-53

AGENCJA I PORADNIA  
W SPRAWACH  
WYDAWNICZYCH  
ORAZ BIURO  
WYCINKÓW

Wycinek z wydawnictwa

JUTRO PRACY  
(Warszawa)

№ 15 GRUD. 1935 r.

## List otwarty

do redaktora „Prosto z Mostu” p. Stanisława Piaseckiego

Szanowny Panie Redaktorze.

„Zmory” Emila Zegadłowicza spotkały się w Pańskim piśmie z krytyką raczej negatywną. Nie moją rzeczą jest ocena artykułów drukowanych w „Prosto z mostu”. Ale... zdaje mi się, że do pracy Zegadłowicza nie można podchodzić w stylu p. Czesława Lechickiego (Przewodnik po beletrystyce). Nie można się w niej doszukiwać tylko wybujałego erotyzmu...

Przyjechał kiedyś p. Emil Zegadłowicz z wieczorem autorskim do Białegostoku. Znany już był „Żywot Mikołaja Srebrmpisanego”, pyszna w trzech tomach powieść. Byłem wtedy uczniem klasy siódmej, miejscowego gimnazjum. Redagowałem szkolną gazetkę ścienną. Dla niej prosiłem Zegadłowicza o wywiad. Kiedy spytałem, który z dawniejszych poetów najbardziej mu przypadł do serca, odpowiedział z mocą: Słowacki. Jedne z najpiękniejszych, w prostocie budowy, kart „Zmór” Słowackiemu są poświęcone. Bo „lektura listów Słowackiego to była najdoskonalsza komunja myśli i uczuć, jaką kiedykolwiek Mikołaj przejął w siebie. Może jedyną...”

Teraz czytając „Zmory” przypomniałem ten pierwszy (w mem życiu) wywiad, a z nim szkołę. Zegadłowicz pisze o szkole obcej, austriackiej. Jego młodzież to młodzież polska z przed wojny. Inne posiadająca cele, idee. A jednak...

Przejście od klas, gdzie słowo „szkoła” znaczyło naukę i stopnie, podczas lekcji, — a zabawy w indjan, „policjanta i złodzieja” na pauzach, — ku tym gdzie poczęło symbolizować ludzi. (Nadewszystko ludzi. Złych lub dobrych, zależnie od osobistych sympatyj lub antypatyj).

Niepokojące objawy wieku dojrzewania. Bezsenne noce, niewyżyte pragnienia, cyniczne rozmowy kolegów... — „strasznie to brzmi dla biednych, chorych, obtudzonych usz”. (Jednak to prawda. Wszystko

prawda). ...Pierwsza miłość... w perspektywie wspomnień śmieszna, rozśmieszająca. („Ucałował białoczerwona wstążeczkę i schował do szuflady: — po chwili wyjął ją — ucałował raz jeszcze i przyszpilił do arkusza białego papieru — napisał datę i przenajśłodsze imię: Dorotka, Dorcia — a pod spodem malutkimi, najmniejszymi literkami: Kocham”). Prawdziwie sztubacka: owo łażenie po „deptaku”, rzeźbienie scyzorykiem na ławkach imion drogich i serc przebitych strzałą, pisanie „wierszy”, o tęsknocie, wiośnie, wargach, pocałunku...

Pierwszy krytycyzm i zajadle dysputy na tematy religijne, społeczne. Ścisłe tajne kółko samokształceniowe i „wielka niewiadoma”: s o c j a l i z m... „słowa przytłumione, rwane, najeżone cytalami, zjadliwe, buń czuczne, wyzwołone”... Świadomość, że jest źle. Nietylko w Polsce, wszędzie, nawet w klasie. (Klasa co za różnorodność typów).

Skrępowanie samodzielności, bezustanna nużąca opieka („na myślenie będzie miał czas, jak dorośnie, a już rzeczą pedagogów i troską jest, żeby nauczył się myśleć statecznie i prawomyślnie”) i rodzący się, z dniem każdym, przybierający na sile: b u n t. Przeciw komu? Przeciw tym, którzy mówią: „musisz iść do kościoła, musisz iść do spowiedzi, musisz się modlić” — inaczej „katabas” postawi ci dwóję i trzy otrzymasz ze sprawowania (a wszak bez stopnia z religii w Polsce matury mieć n i e m o ż n a).

Rojenia o micie Państwa, marzenia, improwizacje, tworzenie własnego, „skryzalizowanego” poglądu na świat („w przebudowę świata wnieść element miłości”). Wiew no-

wej sztuki: wówczas Rydel, Przyby-szewski, Wyspiański, dzisiaj awan-scena teatru i awangarda filmu, nowe formy reżyserskie. Chęć budowy „szklanych domów”: Gdyni, Mościc. Chęć ujęcia w dłoń, lub lepiej pi-sania o tem, o czem się czuje w przy-śpieszonym biciu tętna krwi — przy spoglądaniu na mapę przemysłu, wi-szącą w klasie. Opisywania wszystkie go (że Borysław znaczy nafta, Śląsk i Zagłębie — węgiel, Nowogródek — len) w najpiękniejszych słowach. Potrzeba tych słów prowadzących ku p o e z j i.

Ileż żywego podobieństwa, cech ży-wotnych młodzieży współczesnej, jej pragnień, jej dążeń, tęsknot...

Cały, osobny dział w literaturze polskiej zajmują książki z życia mło-dych. Dość wymienić tak popularne:

„Szyfrowe prace” Zeromskiego i „Bezgrzeszne lata” Makuszyńskiego, wspomnieć nazwiska Perzyńskiego (Uczniaki), Choynowskiego (W mło-dych oczach), Nowakowskiego (Ru-bikon). Książki o p i s u j a c e przeważnie, w oparciu na autentycz-nych przeżyciach, lata szkolne auto-rów. Opisuja i charakteryzują określony typ szkoły zaborczej. Kła-dące mniejszy nacisk na rozwój psy-chologiczny (tak dawniej, jak i dziś jednakowy) młodego człowieka. Przeto n i e a k t u a l n e.

Inne są „Zmory” Emila Zegadło-wicza. Inaczej należy je oceniać... Trzeba ... z r o z u m i e ć m ł o d y c h.

Przesyłając pozdrowienia i uścisk dłoni załączam wyrazy szacunku:

Witold Kosiński

Warszawa, 12.XII.1935 r.

NAKŁADEM RADY OKRĘGOWEJ UNJI ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH W POZNANIU ukazały się

### „IZBY PRACY”

PROJEKT USTAWY O IZBACH PRACY opracowany przez L. KORGOWDA  
Cena 1 egz. 1.50 zł. Związki przy kupnie 10 egz. korzystają z 20% rabatu  
Do nabycia w Adm. „JUTRA PRACY” Warszawa, Marszałkowska 87 m. 4 albo w RADZIE OKRĘGOWEJ UNJI w Poznaniu, Pocztowa 8. Konto P.K.O. 206.134 z zastrzeżeniem przeznaczenia wpłaconej sumy

## Czytamy...

Nietylko warto ale należy przeczytać „Granicę” Zofji Nałkowskiej, stanowiącą największy „przebieg” jesiennego sezonu wydawniczego (w najwyższej skali tego pojęcia). Twórczość naszej jedynej „akademiczki” stanowi wprawdzie przeciwny bieg literatury, dającej się pochłaniać t. zw. „jednym tchnem”, nie posiada jednak nie wspólnego z mętnym chaosem „niezrozumiałości” stanowiącego plagę pokąźnego odłamu współczesnej literatury. Złożona w swej istocie, proza Nałkowskiej jest krystalicznie przejrzysta na pozór. Temu, co zada sobie trud powolnego wsmakowania się w jej wielopłaszczyznowość, hojnie to wynagradza; ale i ci, co wolą prześlizgiwać się po gładkiej powierzchni słów, nie zostaną ograbieni z lekkostrawnych wrażeń dostępnych odbiorcom „ciekawych książek”.

Właściwie talentowi Nałkowskiej obiektywizm i tolerancja zostawiają szeroki margines wyobraźni i sumieniu czytelnika, działają na lewniawą myśl jak ostroga na wierzchowca, budzą potrzebę dyskusji.

Sądzę, że tragedia opuszczonej, zbrodniczej Justynki i pyrrusowe zwycięstwo szczęśliwej jej rywalki Elżbiety, samotnej wśród zmarnowanych skarbów najwyrozumialszej miłości i najwspaniałomyślniejszego przebaczenia, dostarczą bogatego materiału korespondentkom działu „Między Nami”.

Nie wiem, czy warto czytać, niepodobna jednak pominąć milczeniem kłopotów, jakich przyczynia wychowawcom ukazanie się „Zmor” Emila Zegadłowicza, beskidzkiego liryka o gołębiem (dotąd) wejrzaniu na świat, który z ostatniego

swego utworu uczynił istną zmorem ognisk rodzinnych. Nie zdradzający dotąd zainteresowań literackich chłopcy, gremjalnie żądają od matek, jako nagrody za postępy w nauce czy upominku imieninowego, nie nart czy roweru, a „tej nowej powieści” Zegadłowicza.

Osobnikom umysłowo dojrzałym dziwaczna ta mieszanina (chciałoby się powiedzieć — cocktail) tęsknot poetyckich buntu przeciwko ohydzie koftunerji we wszystkich jej wymiarach, i chorobliwie spaczony wyobraźni (to ostatnie w proporcji największej), może dać bodziec do rozważań nad wielostronnością ludzkiej natury. Jako pokarm umysłowy dla młodzieży — „Zmory” stanowią produkt szkodliwy, truciznę, (ostatniego określenia używam tu z całą świadomością, w pełni zrozumienia jego ważkości).

Bardzo warto przeczytać „Życiorys” Marji Skłodowskiej-Curie, wydany nakładem Tow. Instytutu Radowego. Znakomita uczona, z niezmierną skromnością i prostotą, opowiada o swojej młodości, o zmaganiach z niedostatkiem, trudnych warunkach mrówczej pracy i wspaniałych osiągnięciach, które rozślawiły imię polskiej kobiety na cały świat. Styl pamiętnika pozbawiony jest ornamentów stylistycznych, miejscami konwencjonalny, zawsze dyskretnie powściągliwy, nieco bezosobowy. Tem więcej wzrusza przebijająca poprzez szarą zasłonę beznamiętnego referatu ciepła serdeczność wspomnień o zmarłym tragicznie i przedwcześnie mężu - współpracowniku; tem mocniej przekonuje kategoryczne potępienie krwawego absurdu wojny.

Jadwiga Kieronarska.

BIURO WIADOMOŚCI  
W WYCINKACH  
Z PRASY CAŁEGO ŚWIATA

INFORMACJA  
PRASOWA  
POLSKA

Warszawa  
ul. Bracka 5  
Tel. 9-41-53

Spółka  
z ogr.  
odpow.

WYCINEK Z WYDAWNICTWA

KURJER WILEŃSKI

Nr. ... d. ...

10 LIST. 1935

## „Zmory” nadchodzącej starości?

Emil Zegadłowicz, członek dawnej grupy literackiej „Czartak”, we „Współczesnej literaturze polskiej” Wilhelma Feldmana figuruje na niebardzo poczesnym, ale temniejmniej zda je się zupełnie właściwym miejscu: „Wszystkie braki i jednostronności swego ubożego talenciku potrafił Zegadłowicz wydać z demagogiczną zręcznością do wyżyn posłannictwa, wyzyskując popyt na regionalizm, pseudoreligijność, na wspomnienia dzieciństwa i obniżenie poziomu umysłowego czytelników, sprzyjające wszelkiemu dadaizmowi intelektualnemu. Poważnie wielotomowej autobiografji Zegadłowicza wiąże się z modą na życiorysy w stylu powieściowym. Rozwlekły ten wytwór rozpanoszonego i bezkarnego — wobec braku opinji publicznej i niekompetencji wydawców — grafomanstwa ciekawym jest tylko jako signum temporis. Powieść autobiograficzna Zegadłowicza jest kombinacją nieporozumień i nieszczerości artystycznej”. (Stefan Kołaczowski, str. 640 i 641).

Te słowa, w słuszny sposób określające rolę „powsinogi beskidzkiego” w literaturze polskiej, można odnieść w zupełności i do ostatniej jego powieści „Zmory”, która jest dalszym ciągiem autobiograficznego „Żywota Mikołaja Scbrepisanego”. Tylko że Zegadłowicz usiłuje wyżyć się nieopłacającego dziś religijantwa, a żeruje na czem innym. Tę „zmianę” niektórzy w dobrej wierze chcą jeszcze szacować wysoko, nazywając nawet „olbrzymim przełomem ideologicznym”. „Płon, Zmór” świadczy nietylko o olbrzymim przełomie ideologicznym, jaki dokonał się w duszy autora, lecz o niemińszym postępie na drodze opanowywania techniki artystycznej. Dzieciństwo i wczesna młodość stały się w ostatnich czasach ulubionym miejscem popasu, na którym zatrzymuje się niejeden powieściopisarz w tematowej wycieczce „Bunt młodych” z 5 listopada 1935 r., Stefan Essmanowski).

„Na drodze do opanowywania” ciągle Zegadłowicz postępował. Ale rezultaty? Czy „opanowanie” nie jest już trochę spóźnione?

Wycieczki w dziecięctwo — pisarzy objawem sympatycznym i wartościowym, w tym jednak wypadku, gdy autor poza te „popasy” prawie nie wychodził — czy nie oznaczają one czasem artystycznej starości, tego, co się w języku naukowym zwie nawrotem do dzieciństwa, zwycajnem zdziecinnieniem?

Zegadłowicz chce właśnie „naukowo” podejść do okresu młodości. Oto jak „wnikliwie” i niekonsenkwentnie: „Odnosi się wrażenie, że autor, naczylawszy się modnej dziś literatury pedagogicznej i seksologicznej, stworzył według niej schemat dojrzewania: jakiś wykres na pięknie pokratkowanym arkuszu, uwzględniając w nim bezkrytycznie absolutnie wszystkie odchylenia, jakie współczesna psychopedagogika w dojrzewaniu młodzieży wynalazła... Naturalnie wielka miłość oczyszcząca, ale nie tak przypadkowa jak Mikołaja i nie po osmiu latach piekła. To piekło powinno spopielić duszę Mikołaja. Tymczasem: „dzień dobry niebo, dzień dobry ziemię”... „Zmory” wydają się być tylko nową fazą zakłamania Zegadłowicza”. (Jerzy Wyszomirski, „Gazeta Polska” z 3 listopada br.).

Taki to „olbrzymi przełom ideologiczny” i taka to prawda psychologiczna postaci. Nikt nie uwierzy w ten rzekomy autentyzm i realizm: „jak się rzecz tak przesoli, przejaszkrawi, tak jednostronnie, bez poczucia umiaru artystycznego — doprowadzi do przesytu, to już po 50 stronach nie uwierzy nikt w jedno słowo autora, choćby to miało wszelkie pozory autobiografji” (Janina Gluzińska, „Prosto z mostu” z dnia 3 listopada 1935 r.).

A jest tych stron aż 486! Czego tam niema? Niczego niema. I onanizm i „księżycowy stosunek” i rewizjonizm wobec Sienkiewicza i „będę świętym, będę świętym”. Wydaje się, że Zegadłowicz będzie tym, kim był dotychczas. Czyż jest to „krok naprzód”, gdy pisarz wprowadzając prawdziwe autentyczne nazwiska używa świadomie warsztatu literackiego, chwytów artystycznych, do utkania zwykłej awantury?

A. Mikulko.



# Rzeczy aktualne.

## ZMORY W LITERATURZE. — WAWRZYNY AKADEMICKIE. NAGRODY.

Zmory w literaturze polskiej nie są rzeczą nową. Straszyc już w niej od dość dawna wszelka grafomanja, pustka ideowa i kosmopolityczne paserstwo. Tym razem jednak chodzi nie o przenośnię, ale o „Zmory” — nowa powieść Emila Zegadłowicza, która wiele narobiła szumu w naszym światku literackim.

Nieciekawej postaci Zegadłowicza poświęcałmy już uwagę w związku z jego nieodpowiedzialnymi atakami na Wielkopolskę, co było zapłatą za to, że właśnie w Poznaniu znalazł kiedyś życiowy przytułek i honory ponad zasięgi. Długo żył w tych z Księgarni św. Wojciecha i redagując katolicką „Tęczę”, Zegadłowicz był poetą światków beskidzkich. Afiszował się swoim katolicyzmem, a nieczytelny zresztą i pełen bzdur cykl powieściowy — „Żywot Mikołaja Srebrmpisanego” przepoił mistyką i rozmodleniem. Ciepłe posady w Poznaniu niechlubnie się skończyły i Zegadłowicz zmienił odrazu front ideowy. Przeszedł do „Wiadomości Literackich” i przeliczył w zaprzańskiej gorliwości wszystkich współpracowników tego żydowskiego organu literackiego.

Na tem tle zrozumiała się staję zawartość „Zmor”, które są najnowszą częścią „Żywota Mikołaja Srebrmpisanego”. Jest to książka — krótko mówiąc — obrzydliwa, oczekująca wszelkiego rodzaju brudem. Zegadłowicz rozprawia się ze wszystkim, co święte i wielkie. Najgorsze wyrazy, najwstrętniejsze pojęcia — nagromadzone są w sposób w literaturze polskiej dotąd niespotykany.

I jedno jest pewne: te „Zmory” nie są dziełem prawdziwej potrzeby wewnętrznej twórcy. To jest likwidacyjna wyprzedaż kiepskiego handelku, którego właściciel dawniej zarabiał na dewocjonaljach, a teraz chce czerpać zyski z pornografii.

„Ale ta „spekulacja” — jak ją słusznie, a z góralską nazwą Jerzy Wysomirski w „Gazecie Polskiej” — się nie uda. Dla zdrowej opinii polskiej Zegadłowicz skończył się na zawsze.

Najwyżej będzie się nim jeszcze, jako

bezkonkurencyjną zmorą, straszyc Początkujących grafomanów...

Akademja Literatury nie cieszy się specjalnym uznaniem. Ta urzędowa kreacja b. premiera Jędrzejewicza nie ma kredytu moralnego u społeczeństwa. Ze wszystkich jej poczyniń — jak stwierdził ostatnio L. H. Morstin — wieje nuda.

Nuda jednak nie byłaby jeszcze najgorszą. Przykrejszą jest sytuacja, gdy do nudy dołącza się śmieszność. A to, niestety, dzieje się coraz częściej.

Nie można powiedzieć, żeby Akademja Literatury dużo zrobiła w ciągu swego dotychczasowego żywota. W sprawozdaniach z jej posiedzeń czytaliśmy jednak ciągle, że „robi się”. Mianowicie, że się przygotowuje listę odznaczonych „wawrzynem akademickim”. Ten wawrzyn ma przywiązać do Akademji społeczeństwo, a przynajmniej grono wybranych. Bardzo to piękna odznaka.

I oto w ostatnich dniach ukazał się wykaz tych pierś, na których ten nowy „order”, nie dający jednak praw wyborczych do Senatu, zawisnie. Obszerna lista wybrańców przeszła jednak wszelkie nadzieje. Została bowiem ułożona całkiem bezceremonjalnie. Znajdują się wprawdzie na niej nazwiska naprawdę zasłużone, ale zestawienie ich z niektórymi innymi robi wrażenie niemal groteskowe.

I tak za wybitną twórczość literacką złoży wawrzyn obok Dąbrowskiej, Artura Górskiego, Hłakowiczówny, Świętochowskiego, Struga — otrzymała Marja Wielopolska, której twórczość ostatnio ogranicza się do recenzji filmowych i do ataków prasowych na Kościół.

Za wybitną twórczość krytyczno-literacką i publicystyczną obok prof. Brücknera został odznaczony cieszący się specjalną sławą dziennikarz Wojciech Stpiczyński, natomiast nie znalazło się miejsce dla prof. J. Chrzanowskiego, prof. Pigonia czy Z. Wasilewskiego. Jak tu się zresztą dziwić, jeśli publicystykę w Akademji Literatury reprezentuje akurat — Wincenty Rzymowski.

Za krasomówstwo wyróżniono: Igna-

cego Paderewskiego („muzyka” — do tej bolesnej sprawy jeszcze wrócimy), generała Sosnkowskiego, Ignacego Daszyńskiego i... pułkownika Miedzińskiego, który jest wprawdzie zręcznym dialektykiem, ale nie mówca. Za to wspaniały mówca ks. arcybiskup Teodorowicz pozostał Akademji nieznany. Za krasomówstwo sądowe nie zdołano dosłyszeć adw. St. Szurleja. Im dalej jednak, tem jeszcze gorzej. Najwięcej srebrnych wawrzynów przyznano za szerzenie zamięłowania do literatury polskiej i za krzewienie czytelnictwa. Odznaczono więc wszystkich urzędników z Ministerstwa W. R. i O. P. — trzeba całować rękę, która chleb daje i nauczycieli z pod znaku „Ogniska”. Natomiast nie ma na liście nazwisk tych, którzy dziesiątki i setki tysięcy ludzi przywiedli do polskiej książki, a więc ks. Ludwiczaka i ks. Milika z T. C. L. i dyr. Stamera z Macierzy Szkolnej.

A wogóle to najmniej jest na liście odznaczonych Wielkopolan i Pomorzan. Książy wogóle niema.

Czy nas to martwi? Najbardziej poszkodowana jest sama Akademja. Skryształowała ostatecznie swoje oblicze. I pokazała społeczeństwu, co jest warta.

Nadszedł sezon nagród naukowych, literackich i artystycznych. Tymczasem przyznają nagrody miasta, potem przyjdzie czas na nagrody państwowe.

Nagroda m. Łodzi nie budzi zastrzeżeń. Przypadła przedstawicielowi nauki — prof. dr. Czesławowi Witoszyńskiemu. Dobrze się stało, że nagrodę otrzymał uczony, który położył podwaliny naukowe pod polskie lotnictwo i wykształcił pokolenie zdolnych konstruktorów.

Warszawę przyznaje aż cztery nagrody. Tymczasem jest wiadomem, że literacka dostała Pola Gojawiczyńska, a muzyczna — Karol Szymanowski.

Pola Gojawiczyńska zajmuje już wybitną pozycję w literaturze. Pisała o Śląsku w tomie nowel „Dzień powszedni” i w powieści „Ziemia Elżbiety”, a Warszawę odmalowała w „Dziewczętach z Nowolipek”. I za tą ostatnią powieść o ciekawem środowisku Warszawa ją nagrodziła.

Najznakomitszy przedstawiciel polskiej muzyki współczesnej Karol Szymanowski dopiero w tym roku otrzymuje nagrodę stołeczną. Lepiej jednak późno, niż wcale. Kompozycje Szymanowskiego znane są na całym świecie, dobrze więc, że i Warszawa nareszcie się na nim poznała. (hak)

Agencja Prasowa  
Informacja prasowa  
Warszawa  
Bracka 5, tel. 941-53  
Wycinek z wydawnictwa

1935  
9 LIST. 1935

### Nawiasem...

„Zmory” Zegadłowicza są książką mocną. Czyje się w nich gwaltowny, podzierny nurt latego serca. Pisaliśmy o nich dnak przelotnie, zaszeregując się je- dziecimna satysfakcją „wyger- nia” comajbrzydsze słowa i wy- najdując pomur, dziwnie sy- tuację. Wydałoby nam się, iż o war- tości tej książki nie stanowią pilnie Zegadłowicz. Niewą- wód niektórym krytykom „od- jego słownika”. Podnieśli też wysokiei. „Nie chce tu insyano- Jarosław Jarowski — jakoby uczyniono to tylko dla owego „Zmor”. Ale gdy podnosi się do niezwykłej wyżyny styl, język tej powieści — trudno nie do- strzec, że podoba się wlasnie owemu „odwaga” słownika. Dopiero w „Kurierze Poran- nym” P. Paderewski, że wlasnie to brutalność, to zerwanie z re- ligijnym nastrojem należy po- czytać za sukces Zegadłowicza. Jeszcze takich odstępstw Konrad (może Bał, może Górski) zstąpiłby między słowami po- zwoleń (1), braterstwa (?), równouprawnienia. — Przy- chodzi — jasno! Wiemy o co i p. Breza poucza: (Zegadłowicz) ociekał z me- natywnie pobudliwości i brał to za kanon bytu, a tymcza- sem to sprawa psychizmu, nie życia. Badać winien je schwy- tacz nie przy nadprzyrodzonych warunkach, ale przy sekrecji gru- strony świata, nawet najoder- gum. — Ładny program literacki!

# ZMORY JAWY

Emil Zegadłowicz: Żywot Mikołaja Srebremipsanego. Zmory. Kronika z zamierz- chłej przeszłości. Warszawa, F. Hoesik, 1934. str. 495 i Inl.

## JAWNA ZDRADA.

Największą sensacją polskie- go życia literackiego chwili o- becnej jest niewątpliwie nowa powieść znanego poety Emila Zegadłowicza. Zegadłowicz zaj- mował dotąd jako poeta dość szczególne stanowisko. Główny sławny i okadzany oficjalnie był jednak lekceważony i nieuznawa- ny w świecie literackim. Tu i ówdzie występowało nawet ostro przeciw beskidzko - „zdro- jowej” manierze tego poety. Wy- tykano mu mglistość, rozlewność, brak panowania i konstrukcji w jego obfitej produkcji lirycznie- balladowej. Nie zaważyło to jed- nak i w utworzeniu się konwen- cjonalnej opinii, że Zegadłowicz jest religijnym, regionalnym, chrześcijańskim, narodowym poetą, niezatrutym „miazmatami życia ułatwionego” i żywiącym wzniosłe ideały. Zaanektowany w ten sposób przez t. zw. sfery narodowe, uznany za „swęgo człowieka” przez endeków był już niemal paşowany na bogo- ojczyźnianego wieszczka, kiedy przed kilkoma laty wybuchł jego poznański „skandal”. Poeta zer- wał wówczas z obozem, który go wziął w pacht, wyrzekł się łask i zaszczytów i osiadł na ustro- niu, w swoim wiejskim dworku. A oto obecnie ukazuje się jego nowa książka, która jest już jaw- ną „zdradą”, jawnym przejściem pod sztandary „życia ułatwie- nego”...

## POWIEŚĆ POETY.

Zegadłowicz jest znany wy- łącznie niemal jako poeta, jako autor ballad, z których najwięk- szy rozgłos zyskał zbiór p. t. „Powsinogi beskidzkie”. Mniej znane są utwory dramatyczne i prozaiczne tego autora. Przed 10-ciomą laty rozpoczął Zegadło- wicz cykl powieści autobiogra- ficznych p. t. „Żywot Mikołaja Srebremipsanego”, z których do- tąd ukazało się kilka tomów, nie wzbudziwszy uwagi, ani zaintere- sowania czytelników. Były to bowiem rzeczy, utrzymane we- właściwej temu poecie manierze zwietrzałego ekspresjonizmu, jak- łaś niby „poezja prozą”, jakaś poetyczna pseudo-głębia tracąca gustem secesji. Obecnie ukazał się nowy tom z tego cyklu p. t. „Zmory”, lecz całkowicie od- mienny, zupełnie inny, świadczą- cy o zasadniczym przełamie ar- tystycznym, będący rewelacją wielkiego, świetnego talentu pro- zatorskiego Zegadłowicza poety.

## ROZWIĄZANY KOMPLEKS.

Podezas lektury tej książki to- warzyszy czytelnikowi nieodpar- te wrażenie, że autor dokonuje tu nieustannie, rozdział za roz- działem, stronica za stronicą ak- tu wielkiego wewnętrznego prze- zwyciężenia, że demaskuje, zdie- ra jakby zasłonę, wyzwala się z wewnętrznego skrępowania, ze spętania zmysłów i władz psy- chicznych. Jakby na nowo przejr-zał, odżył, odrodził się, jakby odzyskał wzrok, słuch, zdolność mowy, możliwość normalnego wi- dzenia, możliwość normalnego do- narządnie myślenia, co narządnie myślenia i czucia. Czytel- nik zostaje odurzony, oszołomio- ny, zafascynowany niezwykłą- ścią, buhucnością, bystrością, jas- krawością, dosadnością tej la- winy, tego wulkanu tego geje- ru rozpetanej, wyzwolonej, ży- wiołowej marzacji, tego kłębo- wiska barw, obrazów, scen, po- staci, myśli, obserwacji, aneg-

dot, epizodów. Każda stronica aż- przelewa się i pieni od nadmiaru, od obfitości, od wyzwolonego bogactwa wybornego, muskular- nego, drapieżnego, rabelaisow- skiego stylu. Zafascynowany, zaskoczony czytelnik, znający mławo- liryczne wloty poetyc- kie Zegadłowicza z jego wierszo- wanych „kołędziółków”, pyta zdziwiony: czy to ten sam?

## ZMORY JAWY.

Jest w powieści Zegadłowicza miejsce, w którym autor referuje wypracowanie szkolne swego ba- hafera, ucznia gimnazjalnego z- którejś tam klasy:

„Po dobrej godzinie coś tam zaczęło majaczyć — tak po swojemu majaczyć — po- swojemu nie po szkolnemu — bez rutyny i tej chęci pójścia na gust i zwyczaj nauczyciela — więc: że ja- wa jest zmurą (oczwiście), rzeczywistość to udręka i nędba”...

W tym „po swojemu” wyrażo- nym posłędzie centralnej postać- ci książki, „porte parole’a” autora i jego autobiograficznego sobowtóra mieści się wiaśniwie- nie zarówno tytułu powieści, jak i jej przewodniej idei. Zegadło- wicz zdemaskował te zmory

jawy, ukazał udręki i nędze rze- czywistości z odwagą i pasją, na jaką się nikt dotąd nie zdo- był w literaturze polskiej, oprócz chyba St. Ig. Witkiewicza, śmia- łego prokursora brutalnego realizmu. Pod tym względem po- szedł Zegadłowicz może nawet dalej, sięgnął głębiej, a przede- wszystkim uczynił to artystycz- nie, konsekwentniej i bardziej celowo.

## O CZEM SIĘ NIE MÓWI.

Powieść Zegadłowicza to je- szcze jedna rewolucja literacka, jeszcze jeden wielki bezkomp- romisowy przełom, jakich dokony- wują ostatnio coraz częściej pisa- rze europejscy w dziedzinie ist- niejących konwencji, nietykal- nych tabu i uświęconych przez społeczną obłudę przemilczeń. Treścią powieści Zegadłowicza są dzieje rozwoju fizyczno - du- chowego młodego chłopca, w- okresie przedwojennym, gdzieś w jakimś zapadłym, galicyj- skim miasteczku. A są to dzie- je, opowiedziane prawdziwie, najprawdziwiej, aż do przesady, aż do brutalnego przeziaskrawie- nia. Autor nie cofnął się przed całkowitą, jawną nagością po- wszedniej rzeczywistości. Uka- zał wszystkie zmory, wszystkie

potworności i nędze jawy. Od- stąpił całą ohydę, niesamowitą grozę i demoniczną grotesko- wość realnego życia. Chcąc po- wiedzieć wszystko, powiedział może zbyt dużo o tem, o czym się nie mówi. Może w tem wła- śnie przesadził, przeziaskrawił pro- porcję, ale z racji artystycznej konsekwencji był to bodaj nie- odzwone i nie do uniknięcia.

## ARTYZM POWIEŚCI.

„Zmory” Zegadłowicza są nie- tylko pod względem zawartości treściowej, ale i pod względem artystycznym rewelacją świetne- go, bujnego talentu. Z książką tą- wkracza Zegadłowicz do litera- tury polskiej jako jeden z najwy- bitniejszych współczesnych po- wieściopisarzy. Ujawnia bowiem niepospolite walory inwencji, przenikliwości psychologicznej, bystrości obserwacji, a także wy- sokiej próby kunsztu pisarskiego. Ar- tyzmowi powieści można by za- pewnie to i owo wytknąć. Więc może brak, czy raczej zbyt luźne ramy kompozycji. A ponadto (i co jest naprawdę nieznośne) manierę swoiście pojętej inter- punkcji oraz takie osobliwości słowotwórcze, jak „wniechętni”, „zabeskidził”, „stożyła się”, „otępnę” i t. d. Całość jednak jest niepospolita i jedyna w swo- im rodzaju. Naprawdę ciekawa i nieprzeciętna książka.

Stefan Pomer.

—:0:—

33.

„ILUSTROWANY KURJER CODZIENNY” Nr. 317. Plątek, 15 listopada 1935 r.

„szare, przykre, nudne, głupie, brzydkie, ponure, odpychające”, spowiednicy — de- moralizatorzy młodości, ciążo nauczyciel- stwa sadyści, pijacy, durnie, warjaci, gimna- zjalisci zdeprawowane draby z pod ciemnej gwiazdy i chamy. W podobny sposób od- nosi się Zegadłowicz do duchowieństwa, do religii, do dziejów polskich, do tradycji, do naszej literatury. W zakończeniu tej chłoszczącej analizy Rostworowski apeluje do prokuratora, a w danym wypadku, jeżeli ta książka nie zo- stała wydana dla interesu tylko z zewnętrż- nej potrzeby — do lekarza.

## Chłoszczący sąd Rostworowskiego o „Zmorach” Zegadłowicza.

dza. Funkcje fizjologiczne uważam za materiał nadający się wyłącznie do ba- dań naukowych. Zboczenia i zwyrodnie- nia piciowe również. W rękach litera- tów — którzy różnią się od uczonych- tem, że grają nie tylko na wiedzy, ale i na nerwach czytelnika; że żądają nie- tylko przemyślenia, ale i przeżywa de- nego tematu; że, zamiast operować czystemi pojęciami, operują plastyczne- mi obrazami wyobraźni; że, zamiast metody, stawiają na pierwszym miejscu fantazję, że zamiast zwracać się do „swoich ludzi”, zwracają się do „byle- kogo” — w rękach tak „skonstruowa- nych” literatów, Forele i Weininger- y zmieniają się w najpospolitszych por- nografów.

—W braku artystycznego ujęcia”. „Frazes. Pusty, zaklamany frazes. Istota pornografii nie polega bowiem na artystycznym lub nieartystycznym „ujęciu”, ale na wyborze odpowiedniej treści i na opracowaniu jej w ten spo- sób, żeby wizja była jak najbardziej plastyczna, sugestywna, przejmująca i podniecająca. Autor, który to osia- gnął, ujął rzecz „artystycznie”. Autor, który tego nie osiągnął, ujął rzecz „nie- artystycznie”. Ale czy tak, czy siak, pornografia pozostała pornografią, i to- tem pikantniejszą, im właśnie arty- stycznej jest „ujęcia”. Wszak artystycz- nie ujęty las musi pachnąć, ogień pio- ną — bądziny więc konsekwentni. Zegadłowicz w „Zmorach” jest kon- sekwentny. Nawet zadziwiająco kon- sekwentny. „Uszątkom biednym, cho- rym, obłudnym” (str. 232) nie oszczę- dza niczego. Nie pomija najdrobniej- szych szczegółów. Nie zapomina o ani- jednej kropce nad „i”. Podkreśla, ele- minuje, potęguje napięcie, nieuswiad- omionych „uświadomiam, uświadomionych „dostkonali, „zahukany” rozwiązuje je- zyki — Majster.

„Mateczka Kozłowska w portkach” pasowana przez samego Breitera (w Wiad. Lit.) na rycerza „sans peur et sans reproche”, z „Chrystusika” ani śladu — a z przeszłości pozostała tylko lada, za którą stał (przynajmniej- mojem zdaniem) świętej pamięci poeta. — I zastosował się do nowej roli wy- śmienicie. Zawiesił miłość na kolku, a- jakości towar nienawisci.” Powieść Zegadłowicza jest bowiem — zda- niem Rostworowskiego — pełna jadu nie- nawisli w stosunku do panów Wolkowic- kich (czytaj Wadwickich) — ordynaryj- nych świntuchów i draniów, Panie Wolkowickie

„Nie lubię czytać świństw — pisze Rostworowski. — Brzydzą mnie i nu- ...”

Najbardziej obecnie czytana książka są „Zmory” Zegadłowicza. W jednej z dużych egzemplarzy i mimo to nie można tej książ- ki dostąpić! Trzeba być wpisanim na liście protegowanych! Takim zainteresowaniem nie cieszyły się dotychczas utwory Zega- dłowicza. Ani o „Powsinogi Beskidzkie”, ani o inne kołędziółki nie dobiłali się lu- dzie. Zegadłowicz był dotychczas gdzieś na ostatnim miejscu wśród autorów, których się czyta. Nagle wydosłił się na pierwsze. Coż się takiego stało? Z Zegadłowicza liry- ka i mistyka stały się magie ku zdziwie- niu i przerażeniu jego dotychczasowych sympatyków pieśnia czystej rzeczywistości i to w najbardziej realistycznym tego słowa znaczeniu.

Krytycy podzielili się na dwa obozy. Jed- ni widzą w tym dziele prawdziwe objawie- nie, najspanialszą książkę Polski Odro- dzenia, a nawet jedne z największych arcy- dzieł literatury świata. Innego zdania jest druga grupa kryty- ków, również liczna, których może repre- zentować wielki poeta polski Karol Hubert Rostworowski. Sąd Rostworowskiego ma w- tym wypadku specjalną wagę i treść. Ro- stworowski był bowiem tym człowiekiem, który z największym entuzjazmem powi- tał przed kilkunastu laty nowy talent. Po przeczytaniu pierwszego utworu Zegadło- wicza (Powsinogi), po kilku stronicach wpadł — jak się przyznaje — w zachwy- t, który potęgował się z każdą kartką. Był wzruszony do łez. Następnie przy sposob- ności wystawienia prapremjery „Lampki Oliwnej” Zegadłowicza w teatrze krakow- skim, Rostworowski dał wyraz publicznie i w sposób najbardziej uroczysty swojemu entuzjazmowi dla nowego poety: Oto przed podniesieniem kurtyny, wyszedł Rostwo- rowski przed rampe sceniczną, ażeby pu- bliczności i literaturze polskiej jaknajro- deczej polecić to nowe natchnione dzieło Ze- gadłowicza. Parafrazując słowa Symeona biblijnego, oświadczył, że teraz już może odejść w spokoju, ponieważ znalazł się god- ny jego następcę.

Jak zawiódł się Rostworowski na swoim następcy! Następca okazał się odstępcą w najdrastyczniejszym tego słowa znaczeniu. I ten, który jakobyby namaszczał każdy utwór Zegadłowicza przed pójściem w świat musiał o ostatnim jego dziele wyrazić naj- surówcze słowa potępienia. Sąd o „Zmo- rach” wypowiedział Rostworowski w jed- nym z pism pomazanych w artykule p. t.: „Metamorfoza”.

„Nie lubię czytać świństw — pisze Rostworowski. — Brzydzą mnie i nu- ...”

34.

materji wprawione w ruch jego upadkiem nie uspokoją się we wszechświecie już nigdy, choć nawet ich ruch będzie dla oka niewidzialny.

Dookoła centralnej konstelacji powieściowej: Zenon — Justyna — Elżbieta, wiruje cały szereg konstelacji ubocznych: pani Kolichowska — Karol — rejent — Wąbrowski. Pani Ziembiewiczowa — Ziembiewicz ojciec — Zenon, Stara Borbocka — Franek Borbocki — Jasia Gołowska i t. d.

Kręgi ich żyć przecinają się i zająbiają o siebie wedle pozornie prostego, a w istocie tak skomplikowanego wykresu astro-nomicznego autorki. Wszystkie te kręgi, wszyscy ci ludzie wirują, kołują, a wkońcu kruszą się i rozbijają o jakieś podwodne skały życia. Ta zdradziecka skała życia to nie t. zw. kwestja społeczna (tak zresztą pięknie i przekonująco przedstawiona) tkwi ona gdzieś na dnie ludzkich dusz, a raczej na samym dnie życia w tajemniczej granicy dzielącej zło i dobro. Niektórzy krytycy tłumaczyli książkę autorki w duchu relaty-wizmu. Tłumaczeni tu bezwzględnie zło i od niczego niezatani w moralność. „W poczuciu niedopaść między pod... upojona sobą u w to, co się tylko chce w życie wbud rzeczywistość życia nego, buntuje się... szoną rozł... kę.



Wycinek z wydawnictwa PRZEGLĄD POWSZECHNY (Kraków) № 12 d. 1933 r.

tak wyraźnie wielką głębią i patetyczny ch na siebie

Emil Zegadłowicz, autor *Kolęzitek* i ślicznych *Powsi-nóg beskidzkich* rozpoczął już wiele lat temu szeroko zakrojoną powieść cykliczną: *Żywot Mikołaja Srebremipsanego*, „kronikę z zamierzchłej przeszłości”, jak w podtytule dzieło swoje nazywa. Miała to być powieść autobiograficzna. 3 pierwsze tomy *Godzina przed jutrznią*, *Spod młyńskich kamieni* i *Cień nad falami* opowia-dające w zwykłej Zegadłowiczowi rozlewnej, przewlekłej, choć nie pozbawionej pewnych lirycznych wartości, formie — pierwsze jego dzieciństwo — przeszły bez większego wrażenia i w prasie i wśród publiczności. Krytyka jakby z obowiązku notowała te książki, chwalać je bez przekonania i zapału, publiczność popro-

D. n.

NUMER ŚWIATECZNY 16 STRON.

# WRÓBLE na DACHU

Nr. 51 (288) 22 XII. 1935. Rok VI. Cena dla Czechosłowacji Kć. 1.20. Należytość pocztow

## POETYCKA REWJA WIGILIJNA.

Dbając zawsze o dostarczenie *pożytecznej i pożywej lektury* szerokim i głębokim ko-lom i trójkątom naszym Czytelników (iżek) redakcja „*Wróble na Dachy*” uprosiła kilku najliczniejszych choć przeważnie szesnastych *poetów polskich*, by do gwiazdkowego numeru naszego tygodnika nadesłali swe ostatnie utwory na temat śniegu, świąt i te-pe. — W tej rewji nie poskąpili swego udziału wy-bitni przedstawiciele naszego świata literac-kiego i nadesłali nam swe pozje. Oto one:

JULJAN TUWIM.

Proszę śnieg białośćcie, przejrzyście — na obrusie pachną ryby — ach, grzyb... czekani, namiętny i tułody, na twoe przysyście — a śnieg pada... na niby — o, gdyby...

JAN LECHOŃ.

Pytasz, co w mojem życiu z wszystkich miłością cię oślepią a szczęściem oniemię? Poco pytać, gdy teraz ziemia skryta śniegiem, a kiedy śniegiem ziemia, to śnieg skryły ziemią...

MARIA PAWLIKOWSKA-JASZCZKOWSKA.

Zapytasz śniegu i świąt, dlażęgo, poco i skąd — leż słowa nie zatopocą, dlażęgo, skąd i poco...

EMIL ZEGADŁOWICZ.

W obskurnych aźiurach biota ja nie jestem chory — byłem bocą beskidzkim i srebremipsanym, ale gdy spadły na mnie — nolens volens — zmory, już tylko wam beskidam z ambon wyklinany.

(wz).

stu ich nie czytała. Dopiero niedawno wydany tom czwarty tego cyklu *Zmory* narobił niemało huku w prasie a także, jak dowiaduję się, cieszy się tą rzeczą dziś w literaturze tak rzadką: kupcem, sukcesem handlowym. Czy nagle wstąpił w Zegadłowicza jakiś nowy genjusz? czy po trzech księżycowo-sentymentalnych, mdłych tomach napisał nagle książkę niespodziewanie świetną? Nie, poprostu, mówiąc językiem zwykłym, nieliterackim, napisał świetnie. Jeden z najwybitniejszych naszych pracowników w dziedzinie wydawniczej, człowiek, którego z całą pewnością ani o „klerykalizm” ani o „pruderję” posadzić nie można powiedział mi, mówiąc o handlowym sukcesie tej książki: „cóż pani chce, jak się u nas pokaże goliznę, sukces księgarski jest pewny”. Smutny to objaw i właściwie on zmusza do pisania o książce, która zasługiwałaby tylko na milczenie. Znamionym objawem tego nastawienia opinii, czującej się w obowiązku chwalić tego rodzaju książkę, zapewne aby uniknąć zarzutu zacofania, pruderji, ciasnoty i t. d. była entuzjastyczna recenzja o *Zmorach* w *Wiadomościach Literackich* p. t. „Odważna książka”. Krytyk podziwia autora, który odważył się wkońcu mówić o rzeczach, o których „zmowa społeczna” zabrania pisarzom mówić. Konstatację, że w tej książce odnalazł wkońcu Zegadłowicz swój długo poszukiwany wyraz artystyczny, że odkłamywuje fałsz społeczny i obyczajowy i t. d. i t. d. Twierdzenie, jakoby Zegadłowicz pierwszy przełamał milczenie, otaczające sprawy seksualne jest naprawdę zadziwiające; głośno o tych sprawach w literaturze współczesnej chyba aż do przesady, a zdaje mi się, że już i Boccaccio coś z tej dziedziny pisał... a co do odwagi bardzo trafnie i mądrze mówi o niej Jarosław Janowski w swej doskonałej, pełnej umiaru i rzeczywistej odwagi recenzji w *Czasie* twierdząc, że „odwaga” możnaby nazwać coś zupełnie przeciwnego stanowisku Zegadłowicza, coś idącego pod prąd zalewającego nas dziś w literaturze panseksualizmu. Odważnym było stanowisko Katarzyny Mansfield, potępiające ten przerosł niezdrowego erotyzmu w literaturze i nazywające je poprostu seksualnym exhibicjonizmem. Stanowisko Zegadłowicza robi raczej wrażenie stanu patologicznego, niż jakiegobądź przemyślanego stanowiska wobec życia. Jego *Zmory*, historia Mikołaja Srebrempisanego od pierwszej do ostatniej klasy gimnazjalnej, to jakby jakaś erupcja ordynarności, brudu, scen najbardziej odrażających, nagromadzenie wszelkich piciowych zboczeń i zwyrodnień. Tak często w moich recenzjach i artykułach występowałam przeciwko fałszywej pruderji, tak często walczyłam za prawem artystów do poruszania tematów nawet t. zw. drażliwych, do ich prawa nieprzemilczania wszelkich dziedzin życia, że muszę jasno postawić kwestję, jaka jest różnica między pewną artystyczną swobodą i prawem odmalowywania złych stron ludzkiej natury, nawet najniższych, a tego rodzaju plugawością jaką pod hasłem „artystycznej” i życiowej

prawdy zrobił Zegadłowicz. Jeżeli rozpatrzmy tę sprawę pod kątem prawdy psychologicznej, to zobaczymy, że jakkolwiek wiele spostrzeżeń autora co do niepokojów seksualnych okresu dojrzewania może być prawdziwych, to gdyby prawda pod tym względem była taka, jak prawda *Zmor* — świat cały byłby jednym domem zboczeńców erotycznych. Sprawy seksualne są w życiu człowieka ważne i doniosłe, ale nie są jednak wyłączne i jedyne. Gdy się niemi dla kogoś stają, wskazują to na jego stan chorobliwy. Nie łudząc się nawet co do niewinności naszej młodzieży, uznając, że te sprawy mogą być czasem karygodnie przez wycnowawców niedopatrzone, czy lekceważone, nie możemy, nie chcąc poprostu stanąć w sprzeczności ze zdrowym rozsądkiem i *commonsensem*, uwierzyć, żeby cała młodzież żyła w jakiejś wyłącznej obsesji erotycznej. Ktoś, co zawsze wszędzie i we wszystkim widzi ten jedyny motyw, sam najwidoczniej na chorobliwą pod tym względem cierpi obsesję. Jeżeli chodzi o prawo artysty do poruszania tych tematów, to musimy się tu oprzeć na zdaniu Maritaina, wielkiego katolickiego filozofa. Otóż Maritain idąc jak najdalej w bronienu swobody artysty, nie odmawiając mu prawa do poruszania wszelkich tematów „niemoralność” sztuki upatruje w t. zw. przez niego „*complaisance*” autora, gdy idzie o opisy złych czy brudnych stron człowieka. Twierdzi, że niema niemoralnych tematów, tylko moralne lub niemoralne wobec nich ustosunkowanie się wewnętrzne autora. To zdanie podziela zresztą i Zegadłowicz, mówiąc bardzo trafnie, że „książka każda jest przekrojem takiej a nie innej struktury myślowo-uczuciowej”. Otóż właśnie *Zmory* nie przez temat, ale przez sposób ujęcia go ukazują nam tę strukturę umysłowo-uczuciową autora w świetle jak najsmutniejszym, wykazują jak najdalej idącą *complaisance*, więcej, bo zupełnie rozmiłowanie się w tem, co jest brudem, deprawacją i exhibicjonizmem. Cała książka robi wrażenie jakiejś wyładowanej pasji w tym kierunku. Bardzo trafnie określa to Janowski w wyżej cytowanej recenzji: Zegadłowicz „jakby chciał się popisać, jakby chciał powiedzieć: Macie mnie za beskidzkiego świątkarza, za poetę cichej kontemplacji i zadumy? A właśnie, że wam pokażę co umiem; w dziedzinie drastyczności zdaje się to mówić Zegadłowicz, ale i w dziedzinie stosunku do religii: mieliście mnie za katolika, za klerykała, a widzicie, a macie, a macie i wylewa się cały zdroj złości i nienawiści na wszystko co religia, Kościół, ksiądz. Wszystko jest tylko bigoterją, fałszem, hipokryzją, tumanieniem młodzieży, ukrytą deprawacją. Zupełnie zdumiewająca jest ta siła nienawiści, równa tylko rozmiłowaniu się w sytuacjach najohydniejszych. I te właśnie walory zdobywają sobie sukces i uznanie!.. Trzeba dla sprawiedliwości przyznać, że szereg pism jak właśnie *Czas*, jak *Pion*, jak *Prosto z mostu* jasno i trzeźwo nową książkę beskidzkiego samotnika oceniły. Piwiński w *Pionie* nie uważa,

NUMER ŚWIĄTECZNY 16 STRON.

# WROBLE na DACHU

Nr. 51 (288) 22 XII. 1935. Rok VI. Cena dla Czechosłowacji Kć. 1.20. Należytość pocztowa

## POEYCKA REWJA WIGILIJNA.

Dbać zawsze o dostarczenie pożytecznej i pożywanej lektury szerokim i głośniejszym kołom i trójkatom naszych Czytelników (czek) redakcja „Wroble na Dach” uprosiła kilku najbliższych choć przeważnie szarych poetów polskich, by do gwiazdkowego numeru naszego tygodnika nadesłali swe ostatnie utwory na temat śniegu, świąt i t. p. — W tej rewji nie postąpili swego udziału wybitni przedstawiciele naszego świata literackiego i nadesłali nam swe poezje. Oto one:

JULIAN TUWIM.

Próży śnieg białokłóte, przejryste —  
na obrusie pachnący tybu — ach, grzyby...  
czekam, namiętny i wzdry, na twoje  
a śnieg pada... na niby — o, gółyby...

JAN LECHON.

Pytasz, co w mojem śniegu z wszystkich  
rzeczy biegiem  
miłością cię oślepią a szczęściem ontemią?  
Poco-pytaj, gdy teraz ziemią skryta śniegiem,  
a kiedy śniegiem ziemią, to śnieg skryty  
ziemią...

MARIA PAWLKOWSKA-JASNOZRZEWSKA.

Zapłasz śniegu i świąt  
dlażego, poco i skąd —  
leż, słowa nie zatopocą,  
dlażego, skąd i poco...

EMIL ZEGADŁOWICZ.

W obskurnych dziurach błota ja nie jestem  
chory —  
byłem bacią beskidzkim i srebrempisanym,  
ale gdy spadły na mnie — nolens volens —  
zmory,  
już tylko wam beskidom z ambon wyklinamy.  
(uz).

żeby ten stek ordynarności i ten exhibicjonizm dodały cokolwiek wartości literackiej dziełu Zegadłowicza, aby w czemkolwiek wzmocniły jego talent. Widzi w *Zmorach* tę samą księżycową, mdłą i mętną rozlewność, co i w tomach poprzednich. Że tak jak i w tomach poprzednich trafiają się piękne opisy, ustępy prawdziwie poetyczne, że nawet znajduje się miejscami sporo psychologicznej prawdy — przeczyć byłoby niesłusznie i niesprawiedliwie. W jednym miejscu swej książki opisując próby literackie młodocianego swego bohatera, zrodzone z seksualnych niepokojów, powiada Zegadłowicz, że były to sonety pornograficzne i dodaje znamienne słowa: „ten typ samolecznictwa, ukrytego w każdej twórczości”. Zdaje mi się, że to mądre i trafne zdanie doskonale dałoby się zastosować właśnie do książki Zegadłowicza. Ale od takich „samoleczeń” pisarskich chroń nas Boże! Może z podobnych obsesji seksualnych mogliby się pisarze leczyć bardziej prywatnie i bardziej dyskretnie, a temi swemi kuracjami nie zatruwać społeczeństwa i literatury.

Kilkakrotnie już zaznaczałam, jak trudno jest, pisząc recenzje z książek, tak jedną po drugiej, w miarę jak książki wychodzą, utrzymać w nich słuszną perspektywę, uczynić jasnym dla czytelnika, różnicę klas, różnicę ciężaru gatunkowego między taką np. *Granica* Nałkowskiej a *Ośmiornicą* Jerzego Marlicza. Gdy mając te obie książki do recenzowania napisze się, że *Granica* jest książką piękną, a na następnej stronie, że *Ośmiornica* jest książką dobrze pisaną i ładną — wygląda to na absurd. A jednak oba te twierdzenia wydają mi się słuszne. Nieporozumienie może wynikać stąd, że o obu książkach mówi się temi samemi słowami, bo innych niema, ale różnica jest ta że mówi się o nich jakby na innej płaszczyźnie, wogóle na innej planecie. *Granica* jest dziełem sztuki. Chwali się ją, czy nawet jak kto chce krytykuje, na platformie najwyższych zagadnień sztuki. Książka Marlicza nie jest dziełem sztuki i nie ma do tego najmniejszych pretensyj. W dzisiejszym głodzie czytelniczym, same dzieła sztuki i dla swej rzadkości i nawet dla swego poziomu, głodu tego zaspokoić nie są w stanie. Ludzie potrzebują książek lekkich, potrzebują czytać dla rozrywki i wypoczynku. Z tej potrzeby czytania powstała cała olbrzymia literatura, którą nazwaćby można rozrywkową. Autorzy tych książek, nie stawiają sobie żadnych celów artystycznych, ich celem jest dostarczyć czytającej publiczności opowiadań zajmujących, wzruszających, emocjonujących. I ci autorzy, którzy świadomi swoich celów i możliwości, stoją wyraźnie na tym gruncie, mogą w swoim rodzaju pisać książki „dobre”, które wprawdzie nie są dziełami sztuki, ale które też nie są tem co się nazywa grafomanją czy szmirą, które są dobrem rzemiosłem. Od takich książek żądamy jedynie, aby nas naprawdę interesowały i żądamy, aby się utrzymywały na pewnym kultural-

NUMER ŚWIĄTECZNY 16 STRON.

**WROBLE na DACHU**

Nr. 51 (288) 22 XII. 1935. Rok VI. Cena dla Czechosłowacji Kó. 1.20. Należność pocztow

## POETYCKA REWJA WIGILIJNA.

Dbać o dostarczenie pożytecznej i pozytywnej lektury szerokim i głębokim kołom i trójkątom naszych Czytelników (tętek) redakcja „Wroble na Dach” uprosiła kilku najlepszych choć przeważnie szarych poetów polskich, by do gwiazdkowego numeru naszego tygodnika nadesłali swe ostatnie utwory na temat śniegu, świąt i te-pe. — W tej rewji nie poskąpili swego udziału wybitni przedstawiciele naszego świata literackiego i nadesłali nam swe pozycje. Oto one:

JULJAN TUWIM.

Prószy śnieg białośćcie, przejrście —  
na obrusie pachną ryby — ach, grzyb...  
czekam, namiętny i miody, na twoje  
przyjście —  
a śnieg pada... na niby — o, gdyby...

JAN LECHON.

Pytasz, co w mojem życiu z wszystkich  
rzeczy biegiem  
miłością cię oslepią a szczęściem ontiami?  
Poco pytać, gdy teraz ziemia skryta śniegiem,  
a kiedy śniegiem ziemia, to śnieg skryty  
ziemią...

MARJA PAWLIKOWSKA-JASNOREWSKA.

Zapytasz śniegu i świąt,  
dlaczego, poco i skąd —  
leż słowa nie zatopocą,  
dlaczego, skąd i poco...

EMIL ZEGADŁOWICZ.

W obskurnych dziurach błota ja nie jestem  
chory —  
byłem bacz beskidzkim i srebrmpisanym,  
ale gdy spadły na mnie — nolens volens —  
zmory,  
już tylko wam beskidam z ambon wykłindany.

(wz.)

# ŚWIT WYŻENIE PRECZ ZMORY

W ciągu 17 lat naszej wskrzeszonej państwowości, nieważni godziny ciężkie, jakgdyby zaczynała nas dusić jakaś z mora. I bywały znowu lata, kiedyśmy jasnym okiem nadziei spoglądali w świat złotej przyszłości... A teraz... Właśnie zdaje się przemijać okres, w ciągu którego coś nas jakgdyby dławilo i w sam raz listopad, o tej porze zazwyczaj beznadziejnie smutny przez swą szarugę i przejmujące zimno, darzy nas wiosennym ciepłem słoneczną pogodą, jakgdyby nawet nastrój przyrody miał nas utwierdzać w powszechnej otusze, iż Bóg dal nam doczekać odwrócenia się złej karty. Podobnie obchód rocznicy odzyskania niepodległości upłynął w całej Rzeczypospolitej w blaskach słońca, tak rzadkiego około św. Marcina — i wszędzie radował młodych

i starych publicznym pokazem zorganizowanej obrony państwa przed wszelką złą zmorą, o której oddalenie od Ojczyzny przed Pańskie ołtarze zanosili błaganie Arcypasterze.

Kiedy jednak po defiladzie wojsk, rodzice ujrzeni zastępy młodzieży, jakaś chmurka troski przesłoniła im wzrok radosny. Takby chcieli cieszyć się na ten widok, przypominający, że im nie było dane w takich latach szkolnych oddechać w Polsce powietrzem wolności. A jednak z rozżaleniem myślą zapytując, co przeszkadza radować się bez zastrzeżeń. Niewiadomo co i gdzie, ale nad tą miljonową rzeszą młodych w mundurkach szkolnych i harcerskich oraz różnych organizacjach, od pewnego czasu zawisła jakaś z mora, która nie daje rzeszy rodzicielskiej

zaspiać spokojnie... Tymczasem to wyjątkowe słońce listopada budzi nadzieję, że może i w tej dziedzinie rodzicielskiej troski już świt przepędza niepokojące chmury...

Wzrok uspokojony kieruje się ku grupie osobistości przyjmujących defiladę. Na ich piersiach odznaczenia. Znać, że świeże. Mimowoli myśl biegnie między tych wszystkich, których orderami zasypał deszcz świąteczny i wyjść ze zdumienia nie może, dlaczego tylu na odznaczenie zasługujących ostentacyjnie pominięto, a nagrodzono legion ludzi, o których istotnej zasłudze kraj nie wie, lub uznaje, że za to, czego dokonali, należałoby się wszystko inne, tylko nie order... Jakaż więc zasadą kierowano się tam u góry! I przychodzi rozważa, że lista owych nagród dawno była przygotowana, że to więc jeszcze tamci, co odeszli, tak osądzi dla kraju zasługi, bo przecież ci nowi powiedzieli społeczeństwu coś innego o tem, toteż poczekałmy cierpliwie. Wszak ster gospodarki publicznej wziął w ręce człowiek, który zjednał sobie wdzięczność Polski, zrobiwszy jej godną oprawę dla okna na morze. Ufamy, że jemu właśnie, który miał rękę tak szczęśliwą w Gdyni, uda się strącić nam z piersi niejedną jeszcze zmorę, która nas dusi, która nam krew wypija, która nam życie nie daje, ani korzystać z odzyskanej wolności.

Natomiast lęk nas bierze, czy znajdzie się kto nareszcie, ktoby nas uwolnił od zmyru dławiącej polską kulturę. Jako jej szczyt dziś uchodzi żydowski poeta Tuwim. Kieruje jej rozwojem protektor zwyrodnialstwa Boy. A oto teraz jej wyrazicielem stał się autor książki „Zmory”. Dopóki Zegadłowicz pisał „Powsinogi Beskidzkie” i „Lampkę Oliwną”, podrywali sobie z jego talentu ci, którzy prawem kaduka stanowią w Polsce o wartości polskiej twórczości, a więc o jej powodzeniu. Kiedy zaś spostrzegł, że za ich podszeptem nawet za miernotę w rodzaju „Grypy w Na-

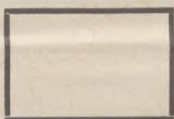
prawie” laury rozdaje Akademia Literatury, jeżeli tylko autor odważy się nacylić nad gnojówką i w niej z upodobaniem grzebać, zerwał Zegadłowicz z chlubną przeszłością i talent swój tym cynicznym znieprawiającym duszy polskiej zaprzędawszy, stworzył istną zmorę, o której trafnie Rostworowski powiada, że takich „świństw” jako dzieło sztuki nikt jeszcze w książce nie wydał jak Europa Europą. I od razu przed nim otwarły się wrota. „Zmory” reklamuje się jako najlepszą w świecie powieść, uznaje się talent genialny — wobec czego Akademia Literatury daje mu najwyższe odznaczenie, wawrzyn złoty.

Widzimy zatem, że jest w tem wszystkim już system, który musi niepokoić najdalej od spraw literatury i kultury stojącego obywatela, jak bolszewizm szerzący Legion Młodych, czy Straż Przednia lękiem przejmując rodziców, bo i tu i tam idzie o wpływ na dusze przyszłych pokoleń. Odszedł twórca tych niebezpiecznych organizacji młodzieży, i tej Akademii Literatury, za ohydę laurami wieńczącej cyników — Janusz Jedrzejewicz. Ale z mora, którą technął w to, co utworzył, musiała tam pozostać. I dopóki nie urzemy świtu, który w tej najważniejszej dla duszy społeczeństwa dziedzinie kultury nie wyżenie precz owej zmyru, dopóty nie przestaniemy wołać o odmianę i naprawę stosunków — dla ocalenia przyszłości Ojczyzny.

Ta przyszłość przedelflowa w tych dniach przed Arcypasterzami z okazji święta młodzieży katolickiej, krociowymi zastępami, które wszedłszy w życie, rozegrają na arenie walk Mędźw Katowickich, jak się wyraził Prymas Hłond, zagadnienie bytu naszego stulecia. Wraz z tymi młodymi ufamy, że z mgieł listopadowych wylania się już w życiu Polski ten świt, przed którym ostatnie pierzechną zmyry.

AGENCJA  
WIADOMOŚCI  
PRASOWYCH  
W WYCINKACH

INFORMACJA  
PRASOWA  
POLSKA



WARSZAWA  
UL. BRACKA 5. Tel. 9-41-53

WYCINEK Z WYDAWNICTWA

GŁOS NARODU (Kraków)

Nr. .... d. ....

## „Zmory” p. Zegadłowicza

„Zmorą” nazywa lud wiejski ciężki sen, wywołany zazwyczaj przyczynami fizycznymi (zła pozycja ciała, przejadanie żołądka itp.). „Zmorami” też nazwał p. E. Zegadłowicz swoje młodzieńcze poglądy na religię, na moralność i na szkołę i w powieści pod tym tytułem opowiedział bez żenady, w jaki to sposób pozbył się tych udręczeń.

Z wielu stron padły surowe wyroki na ostatnią książkę p. Zegadłowicza. Potępienia te są najzupełniej uzasadnione. Zdarzają się w „Zmorach” miejsca owiane szlachetnym i podniosłym sentymentem. Te jednak giną zatopione zalawem najskrajniejszej pornografii i koprografii. „Zmory” są najpaskudniejszą w polskim piśmiennictwie książką.

Treść powieści p. Zegadłowicza stanowi biografia autora, występującego pod zabawnym i pretensjonalnym nazwiskiem: „Mikołaj Srebrmpisany”. Autor opowiada koleje swej młodości, od I do VIII klasy gimnazjum w Wołkowicach (czytaj Wadowicach). W ramach tych 8 lat opowiada nam o „zmorach”, które go dręczyły w kole rodziny (ojciec, matka, wujostwo i babka), — w szkole (profesorowie), — w życiu osobistym (utrata wiary i zbudzenie się popędu seksualnego). Przed oczyma czytelnika przesuwają się szeregi postaci namalowanych bez wyjątku prawie samymi czarnymi, najczarniejszymi, kolorami. Profesorowie, członkowie rodziny, koledzy, prostytutki, obywatele i obywatelki Wadowie — wszyscy ogarnięci jakimś zawrotnym tańcem rozpusty, sadyzmu, najniższych instynktów. P. Zegadłowicz nikogo tu nie szędzi. Dość powiedzieć, że swoją 70-letnią babkę (!) na krótko przed jej śmiercią przedstawia jako ostatnią roz-

pustnicę, która sobie kupuje (!) „miłość” za drogie pieniądze. I drugi szczegół! O swoim jedynym — jak z powieści widać — przyjacielu i koledze szkolnym, którego nazwisko podaje, opowiada szczegóły poprostu obelżywe. Choćby tylko te dwa momenty wyjęte z książki stawiają uczciwość i lojalność p. Zegadłowicza jako człowieka, w szczególnym świetle.

Ale w szczególnym świetle wychodzi z powieści także uczciwość p. Zegadłowicza jako pisarza! Proszę pomyśleć! Oto p. Srebrmpisany, kwiatuszek i perła, chowa się w samym bagnie, — wśród ludzi złych, przewrotnych i obłudnych. Sam w jaskini gadów i potworów. Mimo to zachowuje hart woli, uczciwości i cnocie. Wszyscy koło niego podła się: on jeden pozostaje wiernym enocie. Wuj chce go weciągnąć w rozpustę; na próżno. Koledzy go psują; on się nie poddaje ich wpływowi. „Belfry”, chcą spaczyć jego umysł; napróżno, Mikołaj bez nich zdobywa gmach wiedzy i sztuki.

Tak bywa w książce, lecz nie w życiu. P. Zegadłowicz zapomni o prawach psychologii i o obowiązku pisarza budowania charakterów na podstawie tych praw. Skutkiem tego osiąga ten rezultat, że książkę zamyka czytelnik nie wierząc autorowi. Nie wierzy w jego zapewnienia, że „Mikołaj Srebrmpisany” był samą doskonałością, a jego otoczenie — zbiorowiskiem kanalii.

Ostatecznie więc, czym jest książka p. Zegadłowicza? Z artystycznego punktu widzenia — tworem nieudanym; znane z poprzednich pism p. Zegadłowicza gadulstwo psuje konstrukcję powieściową. Z punktu widzenia moralnego — przestępstwem. Z punktu widzenia zaś krytyki literackiej — dokumentem, szczególnie ciekawym, dla badań nad psychologią autora... Rostworowski kończy w „Kurjerze Poznańskim” swoją

recenzję powieści p. Zegadłowicza wyrażeniem wątpliwości, czy autorowi tej książki nie jest potrzebny raczej lekarz, niż krytyk lub prokurator. Wątpliwość zupełnie uzasadniona tym nadzwyczajnym skokiem, który p. Zegadłowicz w ostatnich latach wykonał. Przez szereg lat pisał poezję, które były niewątpliwie dziwaczne, ale owiane technicznie szczerą — zdawało się — religijnością i moralnością. Aż tu nagle, bez przygotowania, wyskok ateizmu i ordynarnego cynizmu, jakim są „Zmory”. P. Zegadłowicz pisze teraz „bóg”, przez małe „b”. P. Zegadłowicz zajmuje się w „Zmorach” wylizaniem kilkunastu ulicznych wyrażań na oznaczenie organów płciowych mężczyzn i kobiet. Autor „Godzinek”, „Gdy się Chrystus rodzi”, „Przyjdź Królestwo Twoje”... Jak to rozumieć? Kim właściwie i jakim właściwie jest p. Zegadłowicz?

Rostworowski nie kryje uczucia zawodu, jaki mu sprawia ostatnia powieść p. Zegadłowicza. Wielu ma to samo uczucie. A jednak prof. Kołaczkowski jeszcze w r. 1930 (w „Spółczesnej Literaturze Polskiej” W. Feldmana, str. 641 i 662), po przeczytaniu pierwszych trzech części „Żywota Mikołaja Srebrmpisanego” zarzucił p. Zegadłowiczowi nie tylko „grafomaństwo” i „potworne gadulstwo”, które były widoczne, ale „nieszczerłość” i „bezideowy mistycyzm, będący odwróconą stroną nihilizmu, co przed laty 5 można było raczej prorokować, niż stwierdzić. Diagnoza — bo tak to trzeba określić — prof. Kołaczkowskiego okazała się trafna. P. Zegadłowicz okazał się zwykłym nihilistą duchowym, a więc był cynikiem, gdy pisał swoje religijne poezje, i obłudnikiem, gdy wówczas składał hołd enocie.

Do najprzykrzejszych kart w „Zmorach” należy opis stosunków, które miały panować w gimnazjum wadowickim przed laty 30.

Profesorowie, których autor wymienia często pod ich właściwym nazwiskiem, to — sami sadyści, głupcy, pijacy i ordynarni brutale.

Przedwojenna szkoła galicyjska nie była ideałem, ani w dziedzinie metod dydaktycznych, czy psychologicznych, ani w zakresie treści wychowania. Ale też nie była katownią ducha, jak ją przedstawia p. Zegadłowicz, — a grona profesorskie nie były bandami zbrodniarzy, jakby ze „Zmór” wynikało. Podświadomie przyznaje to i autor powieści, wyprowadzając na scenę parę typów pięknych lub przynajmniej zyczliwych dla młodzieży. Ale, gdy tamtych „zwyrodniałcom” poświęca całe karty i rozdziały, tych lokuje na drugim planie i zbywa krótkimi wzmiankami. To się nazywa — obraz wzięty z życia. Trudno powstrzymać oburzenie. Zwłaszcza, gdy między ujemne typy profesorskie umieszcza autor s. p. Sobieskiego, b. kuratora okręgu szkolnego we Lwowie, jedną z najpiękniejszych i najlepszych postaci nauczycielskich przed wojną, — równie uczciwego Polaka, jak i znakomitego pedagoga.

P. Zegadłowicz pozrzucał z siebie wszystkie „zmory”, które go trapiły: wiarę w Boga, szacunek dla cnoty, wdzięczność dla wychowawców, przyjaźń dla kolegów i miłość dla rodziny. Powieść kończy się sceną, jak wyswobodzony z tych „zmór” pędzi autor rankiem ulicami miasta, nagi (!), goły, bez odzienia ku swej przyszłości. Jest to symbol, zresztą zamierzony przez autora. Symbol znamienity... Ale jest to także znak, że zrzucanie „zmór” przybrało u p. Zegadłowicza chorobliwe formy. Rostworowski ma rację. Jest to śmiałe powiedzenie, ale nie mniej trafne: — potrzebny byłby lekarz.

Ralph.

## „ZMORY” TRZEBA ZAŁATWIĆ

Biorę się do tej roboty niechętnie. Z dwóch względów: najpierw że z Zegadłowiczem wysuszyliśmy niejedną butelkę i występować teraz wobec niego w roli oskarżyciela — to żadna dla mnie przyjemność. Po drugie: nie czuję się w najmniejszym stopniu powołany do wygłaszania moralów i kazań, do „budowania” bliźnich. Ale cóż — skoro trzeba. *Zmory* narobiły w naszym bajorku literackim tyle wrzawy, wypisano o nich tyle bzdurstw, że staje się to już niepokojące, nawet groźne. Oto dla czego występuje. Czy to, co pisano o *Zmorach*, było wyrazem bezmyślności, czy snobizmu literackiego, czy tolerancyjności doprowadzonej do granic obłędu, czy wreszcie złej woli i tendencji destrukcyjnych — wszystko jedno. Dość że *Zmory* stały się modne, że robi się im karierę społeczną. Pisze się o nich jako o „odważnej” książce, powiada się, że są wyrazem walki z obłędą, zakłamaniami, czyni się z nich niemal ewangelję. Nie miałbym nic przeciwko spokojnej, czysto literackiej dyskusji na temat: „jak on to zrobił”. Może sam wziąłbym w niej udział. Ale skoro *Zmory* reklamuje się jako książkę heroiczną, skoro się je zaleca do czytania, to taka akcja z protestem spotkać się musi i powinna.

Istotną cechą *Zmor* jest ich antyhumanistyczne stanowisko. Kluczem do zrozumienia postawy autora jest pierwszy rozdział książki. Rozdział, o którym czytelnik rychło zapomina, oszołomiony makabryczno-pornograficznym balaganem rozdziałów następnych.

Znajdujemy tu coś w rodzaju kosmogonii. Zaczyna się od stworzenia świata. Kosmos, gwiazdy — i wśród nich zablakana ziemia. Na niej rośliny, zwierzęta — wreszcie człowiek. Rzecz charakterystyczna: dopóki mowa o gwiazdach, słońcach, zwierzętach i roślinach — poeta przemawia z entuzjazmem. Dla człowieka — ma tylko ironię. U podstaw tego nastroju tkwi jakaś naiwna „filozofia przyrody”, nie wystrzelająca ponad popularne broszury przyrządzone na sosie Häcklowsko-Bölschowskim. Dla Zegadłowicza człowiek jest punktem zwrotnym, od którego zaczyna się kompromitacja przyrody. Sprawy ludzkie są dla naszego autora śmieszne i niezrozumiałe. (Wartoż było ślezczyć nad Goethem!). Jego nieokrzesanie myślowe jest tak wielkie, że nie umie sobie dośpiewać choćby tak prostej rzeczy, jak to, że człowiek jest też rozdziałem w wielkiej księdze przyrody, że wszystko co się dzieje w ludzkim świecie, włącznie do granic wytyczonych na kongresach przez dyplomatów i do gwiazdek na kołnierzach oficerów austriackich, jest też — ostatecznie — jakąś artykulacją w wielkim królestwie natury, czemuś odpowiada, coś znaczy; że walki toczące się w świecie ludzkim są jednym z fragmentów odwiecznego dramatu przyrody. Świat ludzki, najmniejszy, niby to ostatnie jajeczko w wielkim jaju kosmicznym, ma dystynkcyjne najprecyzyjniejsze i to czego mu brak „wszerz” — to zyskuje „wgląd”. Nie jest ten świat ani trochę mniej realny, a to, co się w nim dzieje, ani trochę mniej ważne przez to, że istnieją słońca i drogi mleczne. Ale Zegadłowicz tej proporcji nie dostrzega; pokutuje w nim swoista estetyka chłopskiego dostatku: musi być dużo nawalone, żeby to wogóle coś znaczyło. Imponuje mu zawsze ilość. Zegadłowicz czuje się solidarny tylko z tym rozproszonym w przestworzach pyłem kosmicznym, ale nie czuje się ani trochę solidarny z człowiekiem. (W dalszym ciągu zilustruję to przykładami).

I tu wysuwa się sprawa zasadnicza. Kto tak myśli, kto tak czuje jak Zegadłowicz, dla kogo świat ludzki jest jakąś pomyłką, jakimś niepotrzebnym marginesem przyrody, — ten staje na stanowisku *anty*ludzkiem. Dla Zegadłowicza jedyną rehabilitacją człowieka jest jego reabsorpcja w kosmosie, powrót na bezkształtne łono przyrody.

W świecie Zegadłowicza sprawa ludzka jest skompromitowana raz na zawsze i ryczaltem. Nawet miłość płci jest mu obca w ludzkiej postaci; zna tylko jakiś księżycowy seksualizm. — Od gatunku *homo sapiens*, cywilizacji, z powrotem do mgławicy — oto jego program. Można i takie stanowisko rozważać, można je nawet chwalić i niejeden za niem przytoczyć argument. Nie można tylko jednego: nie można tego stanowiska nazywać ludzkim i nie można go scalać ze sprawą człowieka i z człowieczą rzeczywistością. Trzeba je nazwać *destrukcyjnym*, w sensie zupełnie obiektywnym, bez jakiegokolwiek domieszki moralizatorstwa, w tym sensie, że jest ono przeciwieństwem wszelkiego budownictwa społecznego, wszelkiej hierarchii, wszelkiej organizacji.

Książkę Zegadłowicza cechuje niezwykła niezdarność pisarska. Harmonizuje to z jej tendencją. Zegadłowicz jako artysta jest antykonstrukcyjny. Jedyną dostępną mu formą jest narracja; jednokierunkowa, tocząca się jak kula śnieżna, bezkształtna, wybiegająca w bezkres. Ta niemożność

konstruowania zbliża go do Jerzego Bandrowskiego, który jednak żyje w wyższym świecie duchowym. U Zegadłowicza nie się nie rozstrzyga, nie nie dojrzewa — wszystko ciągle tylko przelewa. Nie chodzi mi o to, żeby w powieści była koniecznie wyraźna „fabuła”, żeby się coś koniecznie „działo”. Fabuła może być zwrócona na wewnątrz. Ale chodzi o to, żeby spiętrzenia wypadków, przecięcia sytuacji, naświetlali człowieka w sposób, wydobywający z niego takie reakcje, jakich nie wydobędą nigdy jednokierunkowe i chaotyczne opowiadania o tem co kiedyś „zaszło”. Podobnie jak brylant trzeba odpowiednio ustawić wobec źródła światła, aby błyszczał, tak też pisarz musi w ten sposób obracać swoimi „modelami”, tak ciągle swoje postacie ze wszystkich stron zaskakiwać, ażeby z tych skrzyżowań wydobyć najaw to, co najważniejsze, co leży u spodu. Otóż tego sztuki Zegadłowicz nie posiada. W książce jego, będącej jak wiadomo biografją ucznia z galicyjskiego prowincjonalnego miasteczka, mamy tylko długi sznur faktów; nie brak tam zresztą scen pod względem artystycznym ciekawych, pełnych plastyki, niekiedy wstrząsających, nieraz uderzających swoim demonicznym humorem. Nie brak też postaci świetnie uchwyconych, takich jak naprzykład wuj Komenda, pani Wilhelmina, Oremus i inni. Ale to są wszystko niekończące się olbrzymie notatki. Gdyby te elementy zorganizować, przepuszczając przez nie elektryzujący prąd konstrukcji, wówczas byłaby to powieść może wstrętna ze względu na aureę, ale na swój sposób doskonała. Zegadłowicz jednak zatrzymał się u progu tej możliwości, u progu, którego przekroczyć nie zdołał.

Ilekróć biorę do ręki książkę typu *Zmor*, przychodzi mi na myśl głośna *Podróż do kresu nocy* Céline’a. Céline stał się dla tej literatury niejako kanonem, miarą. Przykładając tę miarę do książki Zegadłowicza, widzimy jak bardzo Céline nad nim góruje. Céline powiada: w człowieku odnalazłem zastrachanego szcureka, którego jedyną troską jest znaleźć pożywienie na śmietniku i utrzymać się przy życiu. Ja sam jestem tym szcurem, czuję się członkiem tego szcurego społeczeństwa. Jest to stanowisko desperackie, ale na dnie tego cynizmu tkwi jednak jakaś solidarność, jakaś zuchwałość w przyznaniu się do postawy, która — zgóry wiadomo — spotka się z powszechną pogardą. Otóż tej solidarności, tego wzięcia na siebie odpowiedzialności za ohydę świata, którą się opisuje, u Zegadłowicza nie ma. Ale jest co innego.

Osoba, z którą rozmawiałem o *Zmorach*, wyraziła zdziwienie, że Zegadłowicz, dotąd zawsze obstawiony świątkami, za panbrat z beszkidzkim Chrystusikiem frasośliwym, nagle świątki rzucił w ką. Złudzenie. Zegadłowicz świątków nie porzucił. Skupił tylko wszystkie świątki w jednego jedyne, którym jest on sam. I to jest właśnie w książce odpychające. Jest tu jakaś straszna małoduszność, jakiś cymesowy stosunek do samego siebie, naiwny, prowincjonalny egocentryzm, którego śmieszności autor nie spoprzeżyga i najobrzydliwiej przez cały czas nad sobą się roztkliwia.

Zegadłowicz umieścił bohatera swej opowieści w otoczeniu ludzi, którym odmawia tytułu człowieczeństwa. Jest to zgraja pijaków, chamów, rozpustników, sadystów, głupców, oszustów. Rehabilitacja ma być parą papierowych sentymentalnych dygresyj na temat ojca Mikołaja. To wszystko co Zegadłowicz znalazł dla ludzi. Zato dużo znalazł dla Mikołaja. Stworzył dla niego nawet osobny język. Wyraża się o nim w samych diminutivach. Mikołaj ma „rączki”, „nóżki”, „bladą twarzączkę”, ba nawet „członeczek”.

Miarą wartości ludzi jest to, co każdy z nich uczynił dla Mikołaja. A więc pani Wilhelmina, prowincjonalna kumoszka, potraktowana zimno i bezwzględnie (zresztą narysowana z dużym i trafnym humorem) nabiera w oczach pisarza wartości dopiero z chwilą, kiedy poczyna karmić młodego Mikołaja i tem forsownem tuczeniem stawia go na nogi. Na tem rola pani Wilhelminy w ludzkości tudzież kosmosie kończy się.

Peppek świata — to Mikołaj, wieszcz *in spe*, a pozostali ludzie mają znaczenie o tyle, o ile przeszkadzają lub pomagają Mikołajowi w wykonywaniu jego „misji”. Wszystko wolno obrócić na nice, opluć i skopać — wara tylko od Mikołajowych wierszyków: nie szargać świętości! Bóg przez małe *b* — ale niechby kto tknął Mikołaja! Zegadłowiczowi, ocierającemu się o swoje postacie, ani razu nie przyjdzie na myśl, że życie tych ludzi, mimo całej swojej szpetoty, jest jednak coś warte, że ma jakiś swój głębszy człowieczy sens, może wcale nie mniejszy od Mikołajkowego wierszorstwa. Może nawet znacznie większy. A już specjalnie niesmaczny jest ten zimny

i pogardliwy stosunek do ludzi u poety. gloszącego ideologię „miłości” i „pokory”, którym kokietuje nas również w *Zmorach*. Dopiero w *Zmorach* widać, co warta jest cała ta „miłość”, jakie są jej podstawy.

Jest w tej powieści jedna niewspółmierność, chwilami bardzo zabawna, jeśli ją zestawimy z pozą „odkłamywania świata”, którą autor przybiera. Oto ten święty Mikołajek, poeta, cudencko, aniołek w ludzkiej skórce, wtrącony w prowincjonalne bagno galicyjskie, opisuje jednak to bagno wcale dokładnie, z wielkim zamilowaniem i smakiem. Jedno drugiemu nie przeszkadza. Mikołajek ma anielską duszyczkę, ale i świrdujące oczki kumoszki, łasej na „szkandal”, a mającej dość talentu literackiego, by ten „szkandal” przedstawić pikantnie i plastycznie. Bohaterem powieści jest aniołek, ale obrazy, które się w jego wyobraźni odbijają, są to obrazy mogące powstać właśnie w wyobraźni kogoś z tych Raciatów, Ptaszyckich, Oremusów. Równoległość tych dwóch wizji: anielskiej i rynsztokowej jest źródłem efektów równie komicznych jak obrzydliwych.

Nie chce, mimo zasadniczo negatywnego stosunku do *Zmor*, umniejszać ich wartości artystycznej. Nie zawaham się nawet powiedzieć, że jest to najlepsza książka Zegadłowicza, jeśli przynajmniej chodzi o prozę. W porównaniu z ekliwami i nieszczerem trzema tomami *Żywota Mikołaja Srebrmpisanego Zmory* — to niewątpliwie postęp. Zegadłowicz rzucił z siebie pontyfikalne szaty i pokazał się w negliżu. Ten negliż jest robaczywy, to prawda, ale mimo wszystko wolę w sztuce prawdziwe robaki, niż fałszywą podniosłość. Zresztą mylili się swoich dawnych nałogów, że zapomnieli o wszystkich „załączonych cięszach”, i „godzinach jałowcowych”. Gdzie tam! Wszystkie jego znaleźć można w *Zmorach* poddostatkiem i — przynajmniej — w gatunku nawet lepszym, bo ożywionym szczerością.

Wychowanie austriackie pozostawiło na Zegadłowiczu niezatarte ślady. Jest w tej książce typowy przedwojenny austriacki cynizm, cynizm człowieka wychowanego w państwie z nieprawdziwego zdarzenia, w państwie, w którym nie się nie działo, które

miało historię tylko protokularną, nie przeżywaną przez naród jako odpowiedzialny proces dziejowy, w państwie, którego operetkowe urzędnicy i niewiara w to, aby cokolwiek na świecie miało się dziać serio, wżarły się w dusze ludzkie i położyły piętnem na całym ich życiu. Nie zmienia tego w niczem fakt, że właśnie ci ludzie na funty kpili z Franz Jozefa, że mieli wyostrzony kabaretowy zmysł persyflaży, który obraca się przeciw wszystkiemu co napotka, nie wyłączając samej monarchii Austro-Węgierskiej. Ale to ich nie rehabilituje. Wywodzą się mimo wszystko z Franz Jozefa. Są krwią z jego krwi, kością z jego kości — na to niema rady. A Zegadłowicz w *Zmorach* jest tej psychiki najwierszej odbiciem. Psychiki, w której nic nie waży poza naiwnym i kompromitującym egocentryzmem.

W rezultacie: Niagara pornografji, sporo dobrych realistycznych spostrzeżeń, scen, postaci, dużo patriotyzmu — czeskiego, a wszystko puszczone na stary poetycko-świątkarski sos.

Czy taka książka powinna się była ukazać? Mimo wszystko: *tak*. Jeśli ktoś mnie pyta, czy można pisarza ograniczać, odpowiadam bez wahania: *nie*. Każde ograniczenie, choćby najsluszniejsze, narzucone z zewnątrz i nieprzyjęte przez pisarza jako nakaz wewnętrznej konieczności, jest sprzeczne z samym procesem twórczym. To co Zegadłowicz miał do powiedzenia w *Zmorach* jako artysta, usprawiedliwia mimo wszystko napisanie tej książki. Ale jest rzecz niebezpieczną i groźną nietylko rozbicie jej kariery, co z przerwaniem spostrzegamy, ale poprostu oddanie jej bez zastrzeżeń w ręce społeczeństwa. Kiedy wyszedł *Ulisses Joyce’a*, jeden z niezyczących już dziś uczonych naszych, chcąc nabyć egzemplarz tej książki, musiał przeprowadzić korespondencję z wydawcą. I słusznie. *Zmory* Zegadłowicza powinny być również objęte tym przepisem. Staje się to tem więcej konieczne, że z powodu *Zmor* zaczynają niektórzy krytycy, dotąd lekceważący twórczość Zegadłowicza, z wielkim zapałem i pietyzmem robić zeń ojca narodu, świątko jakiegoś podejrzanego obłądka.

J. E. SKIWSKI

# LITERATURA \* SZTUK

## Sensacja czy ważna pozycja w literaturze?

Ostatnia powieść Emila Zegadłowicza pt. „Zmory” (wydana nakładem F. Hoesicka w Warszawie) wywołała już bardzo ożywioną polemikę. Jedni uważają ją za sensację, a drudzy za rewelację. Z pewnych stron atakują ją gwałtownie i namiętnie, oskarżają autora o ekshibicjonizm wyuzdania, z drugiej strony widzą w niej jeden z najpoważniejszych dokumentów ewolucji obyczajowości. Kto więc ma rację?

Niespodzianką jest w każdym razie. Zegadłowicz należy do najpłodniejszych chyba pisarzy polskich, ale ta fenomenalna wprost płodność niezawsze szła w parze z jakością. Był dotychczas poetą dużej miary, nie zasklepiającym się w ramach gotowych formułek, wciąż poszukującym nowych dróg, szukającym wyrazu dla nowych tęsknot, ale liryzm rozlewny i nieokiełzany przy fatalnej łatwości pisania rozsądzał wiązadła jego utworów, zalewał je często gęsto frazeologią, uniemożliwiał skoncentrowanie, podrywał intensywność szczyrych przeżyć poetyckich. Przyznajmy całkiem otwarcie: doszło do tego, że wiedziało się, że Zegadłowicz jest poetą, ale się go nie czytało. W tem nagle powieść soczysta, wprost jurna, niezwykle śmiała i odważnie atakująca zaśniedziałe już wartości

Okazało się jeszcze raz, że w powieści blagować nie można. Napewno i w poezji blagować nie można, ale kryteria nie są tak dostępne dla wszystkich, a przeciętny czytelnik niema w rzeczywistości żadnego sprawdzianu. Niebezpieczeństwo, jakie tkwi w słowie napozór tak uszupnionym i przytulnym, stanowi straszliwą pokusę dla poety, który nawet wtenczas, kiedy niema niczego do powiedzenia, ukryć może swoją jałowiznę i ma zawsze do swej dyspozycji cały arsenał retoryki. Napewno wyczuwamy odrazu, gdzie kończy się poeta a zaczyna się retor, ale możliwości mistyfikacji czytelnika są w poezji znacznie szersze i bardziej ułatwione. W prozie znajduje się pisarz na gruncie twardej rzeczywistości i wciąż musi kontrolować siebie i konfrontować swe zamiary twórcze z tą właśnie rzeczywistością. Swemi „Zmorami” okazał się Zegadłowicz twórcą, który bierze się za bary z rzeczywistością. Dotknął stopami ziemi i zdobył zwartość, jedrność, solidność i rzetelność. — Bohaterem powieści jest młody chłopiec Mikołaj Srebrempisany, znany z poprzedniego cyklu powieści o podkładzie autobiograficznym, treścią zaś jej są przeżycia młodego chłopca od pierwszej klasy gimnazjalnej aż do matury. Można tę powieść nazwać opowieścią o narodzinach poety. Bo młody Mikołaj urodził się poetą, ale stał się nim wśród mąk i prawdziwej gehenny duszy. Pierwsza część powieści jest opisem życia polskiego w małym miasteczku galicyjskim Wolkowicach (czytaj Wadowicach) w ostatnich dziesiątkach lat ubiegłego stulecia i z początkiem bieżącego stulecia. Lata szkolne były w owym czasie dla nas wszystkich jakimś snem koczowniczym i upiornym, bo nauczyciele nie byli naszymi wychowawcami, lecz naszymi katami. Taką upiorną groteskę daje nam Zegadłowicz w swej powieści, ale groteskę skąpą w rzeczywistości. — Galeria typów i typków tzw. ciała nauczycielskiego robi wrażenie pewnego przejawskrawienia, bo nawet w ówczesnej szkole galicyjskiej, w której nie brak było wcale sadystów, zne-

cających się nad uczniami, nauczyciele rzucający uczniom w twarz pęk kluczy i raniący ich do krwi, byli bądźco bądź rzadkiem i niecodziennym zjawiskiem. A jednak nawet ten epizod, budzący z początku nasze zastrzeżenia, ma na sobie stygmat prawdy, a w każdym razie nie psuje charakteru całości obrazu c. k. gimnazjum galic., za czasów „miłościwie nam panującego” cesarza Franciszka Józefa I. Przy wszystkich naszych zastrzeżeniach przyznać się musi, że „Zmory” Zegadłowicza są dokumentem, odzwierciedlającym nam piekło ówczesnej młodzieży, piekło, o którym dzisiaj pojęcia nawet mieć nie można.

Młody Mikołaj walczył w pierwszych latach swej młodości z demonem dojrzewania seksualnego. I dziś jeszcze są rodzice i nauczyciele, którzy nie są przyjaciółmi młodzieży i zostawiają ją własnym losom w tym właśnie tak bardzo niebezpiecznym okresie życia, i dziś jeszcze strona erotyczna jest nietykalnym tabu. Można sobie więc wyobrazić, jak straszliwą była młodość ówczesnej młodzieży. W dziedzinie seksualnej najbardziej się kłamię, najczęściej jest obłuda, trzeba też dużej odwagi, by tę obłudę zdemaskować i pokazać prawdziwe oblicze. Czy ni to właśnie Zegadłowicz i ściera datego na siebie gromy oburzenia, ale ten, co sam przeżył to piekło, co sam bliski był obłudy, ponieważ nie miał nikogo, kto by wyciągnął do niego dłoń przyjaciela, z najgłębszym wzruszeniem czytać będzie rozdziały, opisujące nam wstrząsające perypetje Mikołaja Srebrempisanego.

Ale właśnie dlatego ma się szczery żal do autora, że niepotrzebnie przekroczył granice umiaru i dał się unieść bujnemu swemu temperamentowi. Znajdujemy w powieści bogate słownictwo seksuologiczne, które uprawnici może jego przeciwników do oskarżenia o lubowanie się w kopolaidach. Nietzsche scharakteryzował swego czasu Zolę słowami: Die Lust am Stinken, — i nie miał racji, bo Zola był w gruncie rzeczy płomiennym moralistą, który nie pomijał brudów życia, ponieważ taką jest ponura rzeczywistość. I Zegadłowicz jest moralistą, oskarżającym społeczeństwo o zbrodniczą obojętność dla młodzieży w okresie dojrzewania płciowego, ale zupełnie niepotrzebnie i ze szkodą nawet dla powagi dzieła nazywa rzecz po imieniu tam, gdzie to zupełnie jest niepotrzebne. Pocóż dostarczać materiału do oskarżenia o ekshibicjonizm, gdy się jest tylko poetą i moralistą? Szkoda tylko, że tak się stało, bo dzieło Zegadłowicza jest poważne i uczciwe, a jego odwaga w walce z potęgami, zasługuje na najwyższe uznanie.

O wiele ważniejszy jest jednak zarzut aspołeczności. Autor wprowadza wprawdzie kółka, które wówczas objęły siecią wszystkie gimnazja podległe radzie szkolnej we Lwowie, ale nie okazuje żadnego zainteresowania dla tej strony życia młodzieży ówczesnej. Już wówczas socjalizm stoczył w duszach młodzi pierwszą kampanię z nacjonalizmem, który później przedzierzgnął się w endecję, a te wspomnienia należą bez sprzeczności do najpiękniejszych, jakie wynieśliśmy z ławy szkolnej. Zegadłowicz wobec tych problemów nie zajmuje żadnego stanowiska, względnie zepchnął je na tory uboczne. Zegadłowicz wprowadza wpraw-

dzie etymologię państwa od słów „panoszyć się” i „pańszczyzna”, ale czynnik właśnie krzywdy społecznej, moment wyzysku człowieka przez człowieka, który tak boleśnie odczuwa młode serce, interesuje go tylko mimochodem. Jest to obóstwo, które się mści na powieści, zubożając jej wartość jako dokumentu społecznego.

Bo bohater powieści jest poetą, a cała powieść jest jak już powiedzieliśmy opowieścią o narodzinach poety. Na tle groteski, mistrzowsko skonstruowanej, na tle bajecznych wprost epizodów, do których zaliczyć należy życie i śmierć wędrownego grajka czeskiego, osiadłego na stare lata we Wolkowicach, dojrzewa w oczach naszych poeta, krystalizuje się wyobraźnia poetycka, ujmująca świat w ramach wizji. I tu poeta spletał niejako figla rzetelnemu i solidnemu powieściopisarstwu, każąc mu zakończyć powieść kiczowym romansiem młodzieńckiego abiturjenta z anemiczną lunaticzką.

Ten epilog, w którym bohater wraca zupełnie nago do domu swego zmarłego ojca, jest niejako ostatniem echem sztucznej i operującej bogatemi tylko słownictwem poezji Zegadłowicza, którą scharakteryzowaliśmy na samym wstępie. Jest to ostatnia zemsta rozlewnego liryzmu, który czuje, że nadszedł dla niego już kres. Nie zmniejsza to jednak wcale walorów tej powieści, która doprawdy nie jest sensacją i w pełni zasługuje na miano rewelacji.

M. Kanfer.



38.

## K. H. Rostworowski o „Zmorach”

Niedawno zamieściliśmy ostre uwagi potępiające nową powieść Zegadłowicza „Zmory”. Sąd wyrażony w naszym piśmie nie jest bynajmniej odosobniony.

Oto co m. in. pisze o „Zmorach” Karol Hubert Rostworowski (w Kurjerze Poznańskim nr. 521), który swego czasu uważał Zegadłowicza autora „Powsinogów” za „nowego wielkiego poetę”.

„Utwór ten — powiada Rostworowski — poprzedziła fama: „Jak Polska Polska, jak Europa Europa, jeszcze nikt nigdy takich świństw nie napisał”.

Nie lubię czytać świństw. Brzydzą mnie i nudzą. Funkcje fizjologiczne uważam za materiał nadający się wyłącznie do badań naukowych. Zboczenia i zwyrodnienia picinowe również. W rękach literatów — którzy różnią się od uczonych tem, że grają nietylko na wiedzy, ale i na nerwach czytelnika; że żądają nietylko przemyślenia, ale i przeżycia danego tematu; że, zamiast operować czystymi pojęciami, operują plastycznymi obrazami wyobraźni; że zamiast metody, stawiają na pierwszym miejscu fantazję, że zamiast zwracać się do „swoich ludzi”, zwracają się do „byle kogo” — w rękach tak „skonstruowanych” literatów, Forele i Weiningerzy zamieniają się w najpopolniejszych pornografów.

— „W braku artystycznego ujęcia”.

Frazes. Pusty, zaklamany frazes. Isota pornografii nie polega bowiem na artystycznym, lub nieartystycznym „ujęciu”, ale na wyborze odpowiedniej treści i na opracowaniu jej w ten sposób, żeby wizja była jak najbardziej plastyczna, sugestywna, przejmująca i podniecająca. Autor który to osiągnął, ujął rzecz „artystycznie”. Autor, który tego nie osiągnął, ujął rzecz „nieartystycznie”. Ale czy tak, czy siak, pornografia pozostaje pornografią, i to tem pikantniejszą, im właśnie artystyczniej jest „ujęta”. Wszak artystycznie ujęty las musi pachnąć, ogień płonąć — bądźmy więc konsekwentni.

Zegadłowicz w „Zmorach” jest konsekwentny. Nawet zadziwiająco konsekwentny. „Uszatkom biednym, chorym, obłudnym” (str. 252) nie oszczędza niczego. Nie pomija najdrobniejszych szczegółów. Nie zapomina o ani jednej kropce nad „i”.

Podkreśla, cieniuje, potęguje napięcie, nieświadomionych uświadamia uświadomionych doskonali, „zahukanym” rozwiązuje języki. — Majster.

To też pierwsze wydanie „Zmor” podobno już rozchwytały, okopy „Wiadomości Literackich” zdobyte, „Mateczka Kozłowska w portkach” pasowana przez samego Breitera na rycerza „sans peur et sans reproche”, z „Chrystusika” ani śladu — a z przeszłości pozostała tylko lada, za którą stanął (przynajmniej moim zdaniem) świętej pamięci poeta.

I zastosował się do nowej roli wyśmienicie. Zawiesił miłość na kołku, a na laździe rozłożył barwny, pierwszej jakości towar nienawiści.

Rozłożył więc panów wołkowickich (czytaj: wadowickich), ordynarnych świńtuchów i draniów — panie wołkowickie „szare, przykre, nadęte, głupie, brzykie, ponure, odpychające” — spowiedników wołkowickich, demoralizatorów młodzieży — ciało nauczycielskie wołkowickie, złożone z sadystów, pijaków, durniów i warjatów, z koronowanym osłem (ma się rozumieć) księdzem katechetą na czele — gimnazjalistów wołkowickich, zdeprawowanych drabów z pod ciemnej gwiazdy i chamów — rodzinę Mikołaja Srebr-

pisanego, począwszy od kanaljowatych ciotek, a skończywszy na orgjastycznej, płacącej „za to” dukatami, przeszło siedemdziesięcioletniej babce — Boga, przez małe „b” — „ceremonjały religijnych zamawiań i szamańskie praktyki” w kościele katolickim — wreszcie historję polską „te próchniejące zwłoki, karmazvńskie fomy i huzarskie wojenkowatość. dobre dla Sienkiewicza”.

To szwarc.

A teraz powidło, słodkie jak miód:

Oczywiście Mikołaj Srebrempisany, jego ojciec, uważany powszechnie za „farmazona”, i matka, co prawda już trochę poszwarcowana. Jego jedyny przyjaciel, z którym można się było porozumieć, żydek Adolf Silberschütz. Stara, przepoczcziwa Żydówka, wędrująca po świecie z towarem. Powsinoga „drwał błędny” (na pamiątkę „dawnych czasów”). Suczka „znajda”. Profesor Znamirovski, wybitny i subtelny polonista, który mawiał: „Sienkiewicz? Uf! Zero, zero, zero”, a „Kraśniński powinien być zginać na kilku polach chwwały naraz — byłby nam oszczędził kilka tomów bzdu”. Wreszcie rodzaj triumfującej Putyfary, niejaka „Balbina miesięcznica”.

Z jej pojawieniem się na scenie troska autora o (str. 252) „użyteczność” publiczną bierze najwyższy ton, urywa łeb hydrze pruderi i dusi centaury obłudy. Nie pod dachem! Nie pod korcem! Ale pod gołym niebem! Na świeczniku!

Czytamy bowiem:

„Z bocznej, ciemnej uliczki podeszła (Balbina) wiewnie i szybko do Mikołaja

(przy księżycu srebrnym blasku), zaprowadziła go na środek rynku, ku kępie drzew kasztanowych, nakrywających szeroko ocembrowaną studnię... a gdy szturmem zdobyty Mikołaj „sięgnął leniwie po ubranie, nakryła je prędko ręką, zwinęła w kłębek i (mówiąc: „nadzy wróćmy do domu”) rzuciła do studni”, poczem „zniknęła za pnem, jakby weń wrosła”.

To zniknięcie nie zaskoczyło Mikołaja. Przeciwnie, „Nagi, radosny, odmieniony, nowy, inny” idzie „drogą odwieczną do Poreby Murowanej”... „idzie nagi naprzeciw góróm szumiącym”... „jest w tej chwili naga myślą globu”... „wraca (d. rodzimego domu) nagi, tak nagi jak nagi przed 18-stu laty po raz pierwszy się zjawił”... „zwinny (! jeszcze) nagi zwierz wspina się na klon, a z niego po gałęzi na balkon — z balkonu przez uchylone okno do pokoju — rozświeca świecę — patrzy w lustro” — widząc „oczy błyszczące, włos zmierzwiony, usta spalone”, stwierdza: „piękna jest nagość młodzieńcza”... zachwycony, jak Narcyz, tą swoją nagością, woła: „Dzień dobry! ziemi i niebu dzień dobry”... i... i... no i czytelnik zamyka książkę wzbogacony, uzdrowiony, szczery.

Cóż dziwnego, że interes idzie? Dotychczas brakuje tylko... mydła. Powinien go dostarczyć prokurator.

A jeśli to nie interes? Jeśli to rzeczywiście wewnętrzna potrzeba? Ha, w takim razie i lekarz”.



## Djagnoza „Zmor“.

Silną falę oburzenia wywołały „Zmory“ p. Emila Zegadłowicza. I istotnie: powieści tak brutalnej, tak ordynarnym słownictwem pisanej, powieści, powstałej z wyobraźni tak skatologicznej, tak kondensacyjnie przedstawiającej ohydę ludzi i życia, bez dostatecznej prawdy psychologicznej, tak obsesjonalnie seksualnej — nie mieliśmy dotychczas w beletryście polskiej.

„Zmory“ są rodzajem pamiętnika z lat gimnazjalnych niejakiego Mika Srebrempisanego. Małe miasto galicyjskie z początków obecnego stulecia, stęchła atmosfera drobno-urzędnicza, gimnazjum, nauczyciele, młodzież szkolna, szynki, zamtuzy — nieprzebrane morze antypatii autora do tego światka i lubieżne jakieś nurzanie się w tej właśnie antypatii.

Jeżeli ów Mik Srebrempisany jest figurą całkowicie wymyśloną, niczem psychologicznie z autorem nie związaną, to wśród innych domniemań na temat: co mogło p. Zegadłowicza skłonić do radosnego zanurzania się w podobnej ohydzie? — możnaby też przypuszczać, że książka powstała z dwóch intencji: 1) wywołania skandalu, jako że skandal jest też swojego rodzaju rozgłosem, więc gdy kto nie czuje się na siłach znaleźć poczytności na godziwszej drodze, to — jeśli go to nie brzydzi — chwytą się tematów skandalicznych; 2) chęć przypodobania się pewnemu odłamowi opinii literackiej, który to odłam istotnie przyjął „Zmory“, jako dzieło genialne. Wskazówkami byłyby te ustępy powieści, gdzie p. Zegadłowicz, autor, uchodzący przedtem za pisarza katolickiego, tutaj zaskarbia sobie benewolencję wolnomyślicieli atakami na kler i religję, a internacjonalistów kokietuje zgryźliwymi docinkami, czynionymi patryjotyzmowi polskiemu (do patryjotyzmu czeskiego odnosi się z sympatją).

Jeżeli jednak ten Mik Srebrempisany powstał z introspekcji autorskiej, jeżeli p. Zegadłowicz swoje własne lata gimnazjalne brał za model przeżyć bohatera „Zmor“ — to sprawa jest znacznie zawilsza, boleśnieszka, ale i domagająca się współczucia.

Wydaje mi się, że do analizy tego Mika należałoby przystąpić z aparatem środków badawczych raczej — medycznych, wtedy dopiero zrozumie się — powieść.

Chłopczyna wątły, „mikrusem“ przez kolegów nazywany za swój nikły wzrost, fizycznie słaby, w przedgimnazjalnych czasach jakby w cieplarni chowany przez uwielbiającego go ojca, zdolniejszy od wszystkich innych chłopców — jako przyszły poeta naładowany niewątpliwie nadmiarem ambicji, powiedzmy wprost: megalomanji — od drapichrustów i urwipolców w klasie znosić musi wszelakiego rodzaju dokuczania, kuksy, kopniaki, drwiny i obelgi. Gdyby był naturą odważną, rzuciłby się na nich z kulakami — i choćby pobity, wyżyłby swoją krzywdę. Mika nigdzie nam autor nie przedstawił, jako chłopaka z temperamentem, zuchwałego. Odcyfrowujemy go sobie raczej, jako istotkę nieśmiałą i tchórzliwą. Znosi więc zapewne udręki z pokorą i tylko coraz bardziej nie n a w i d z i tych, którym ulegać musi. Nauczycieli ma zapewne mentyków, wątrobiarzy, zgorzkniałców. Dokuczają oni uczniakom, jak uczniacy im. Koledzy Mika nie wiele sobie robią z dwój, z kar, z przejść wszelakiego rodzaju. Wrażliwy, wiecznie nastraszony Mik, przyjmuje te przejścia, jako piekło, a poeta, siedzący w nim, wyolbrzymia je do fantastycznych granic. Czemuż więc dla takiego Mika jest szkoła? Ogrodem udręceń, w którym całą rzeczywistość szkolną i pozaszkolną widzi w jakichś monstrualnych kształtach. Nigdzie na świecie tak nie cuchnie, jak na podwórzu gimnazjalnym w Wadowicach, nigdzie niema takich zbrodni a r z y, jak w ciele nauczycielskiem jego szkoły, a i całe Wadowice to jedno pandemonjum. I z tych, chorobliwym spojrzeniem widzianych Wadowic nie może się p. Zegadłowicz otrząsnąć po trzydziestu latach.

Słabość mięśni i lęklivość nerwów są gruntem urodzajnym dla obłudy i mściwości. Obłuda, bo nie mając śmiałości otwarcie walczyć, przybieramy się w przypodchlebny uśmiech wobec prześladowców. Mściwość, bo nie mogąc się zdobyć na doraźny odwet, magazynujemy w sobie nienawiść, która, oprocentowując się, cierpliwie czeka na swoją chwilę...

Znałem jednego z takich ludzi:

Przybył w pewne środowisko. Przyjęto go z otwartymi rękami. Wyrobiono mu dobrze płatną posadę w pewnej instytucji, potem drugą, trzecią. Zaczął porastać w pierze. Ale że był leni, więc posad swoich trzymał się nietyle pracą, ile zaskarbieniem sobie sympatii u osób kierowniczych w owym środowisku. Było to środowisko o tradycjonalistycznych zapatrywaniach, religijne, zachowawcze. Nasz typ, jak się potem okazało, daleki od tych zasad, udawał jednak bez przerwy konserwatystę, wiernego syna Kościoła, zagorzałego narodowca, manifestował to publicznie i gorliwie. Tylko widocznie wzbierała w nim m s c i w o ś ć, że musi dla chleba kłamać, że dobrowolnie spada do roli ślaza z „Lilli Wenedy“. Ale kłamał i udawał dalej, bo nie czuł w sobie sił i odwagi, by wyrzec się synekur. Tak to trwało kilka lat. I dopiero, gdy owo środowisko, nie mogąc już dłużej znieść jego próżniactwa, pozbawiło go posad — wówczas wybuchnął, zrzucił maskę i w publicznej enuncjacji wypowiedział się, jako zajadły wróg tego wszystkiego, co obłudnie wyznawał. Oprocentowana zemsta trysnęła nienawiścią!

W „Zmorach“ nienawiścią trysnęła duszona przez trzydzieści lat zemsta Mika Srebrempisanego za upokorzenia, doznane w latach szkolnych. Jest to furja historyczna, daleka od jakiegokolwiek obiektywizmu; natłok faktów, jednostronnie dobieranych, z eliminacją wszystkiego, co by dawało przeciwwagę opisywanej ohydzie; świat widziany chorobliwym afektem, czy też urazem psychicznym, mściwe topienie w gnojówce całej rzeczywistości swoich lat młodzieńczych.

Ale skąd ta predylekcja do kału, fekalji, skąd



Nr .....

d. ....

15 LIST 1935

tygodniowych kolonjach, kosztem ok. 20.050 zł. (przejazd, utrzymanie, ubranie). Zakończeniem pobytu było zwiedzanie Warszawy.

Okręg kielecki przyjął dzieci z nowogródzkiego w liczbie 42. Na zakończenie zawieziono dzieci na Jasną Górę, prócz tego wzięły one udział w wycieczce pieszej na G. Ślązk, gdzie pokazano im ośrodki przemysłowe.

Z poleskiego 80 dzieci umieszczono w maj. Ko-

ta uporczywa, natrętna koprolalja? skąd ta inklinacja do wokabularza, powziętego z szynkowni, koszar, wyrek stajennych, melin? Skąd wreszcie ta jakaś skłonność do nieustannego pławienia się w obrazach seksualistycznych?

Co do tego ostatniego, to nie zapominajmy, że dużą rolę gra tu moda. Nastal szyk w literaturze na „śmiałość fizjologiczną“. U autorek - kobiet wynika to ze specyficznych źródeł, u autorów - mężczyzn można sobie to tłumaczyć jedynie przedwczesną starczością wyobraźni.

A skatologia „Zmór“?

Opisuje nam przecie p. Zegadłowicz babcię, wuja, wujenkę Mika. Zwłaszcza wuj Komenda, ten cham nad chamy. Co mogło wyrosnąć z Mika, w takim otoczeniu wychowanego? A p. Zegadłowicz może bezwiednie przejął się jakością swojego bohatera. A może mu zaimponował wuj Komenda i chce go przelicytować?

Apologeci „Zmór“ twierdzą, że dzieło napisane jest z wielkim talentem. Osobiście tego talentu nie widzę. Poza kilkoma epizodami, rzecz raczej drugorzędna pod względem artystycznym, a pod względem poznawczym, jako dokument psychologiczny? Tak, ale dokument do psychologii autora, nie świata uczuć wogóle. Ale jeśliby nawet to było napisane z talentem? — W sanatorium dla umysłowo chorych, w Starogardzie bodaj — był pewien pacjent, z powołania malarz, który i tam biedak nieustannie malował. Podobno z niebywałym talentem, ale miał taką manję, że za farby używał wyłącznie własne lub cudze ekskrementa. Nie wystawiano publicznie jego dzieł.

A. Grzymała - Siedlecki.

## Kwiatek seraficki

Jedną dyscyplinę życiową posiadał Zegadłowicz w stopniu więcej niż doskonałym: sztukę robienia wiatru. Pamiętamy te czasy, kiedy najdosłowniej bacia beskidzki gaździl i czartakował w Poznaniu, kiedy go wielkopolski i wszechpolski poczciwy ludek sadzał na wszystkich opróżnionych stolcach, oczadzał dymem zachwyty i uwielbień, koronował na kameralnego genjusza i co także nie do pogardzenia, obdarzał „roztomilemi” remuneracjami.

Wieszczowi niczego zda się nie brakowało: bo i radio i teatr i „Tęcza”, ajakże, i św. Wojciech, i owszem. Pławił się Zegadłowicz w dostojnościach, zaszczytach, uznaniu adoracji i powoli, nieśmiało wierzył we własną wielkość w genjusz może, w każdym razie w nieprzeciętność.

No, popularność nie rozlewała się po całej Polsce, ale prasa i plotki... wcale... wcale: pochlebne. Ura stała legenda. Legenda zapoczątkował przekład „Fausta”. Potem przyszło dużo, za dużo dramatów, — potem ballady, odczyty, przemówienia — oredzia do wiernych poddanych i zasłuchanych. Niespodziewanie zepsuła się ta idylla: kukulczy syn namyślał przybranej mamie od dewotek, podziękował za służbę i posady i poszedł, że się tak po faustowski wyrazimy w „leśne ustronie”.

Złamał pióro, rozstroił lutnię — ucichł, wypoczywał.

Nie zasypał jednak Mikołajek gruszek w popiele — po siedmiu latach milczenia wydał książkę „Zmory”.\*) „Zmory” to dalszy ciąg Żywotu Mikołaja srebrem pisanego.

Nie sam tylko Mikołaj podrośli i dojrzał zmienił się przedewszystkiem autor. Kto miał zdrowie i odwagę przeczytać: „Godzinę przed jutrznią”, „Spod młyńskich kamieni” i „Cień nad falami” — ten może pamiętać ile tam było gadulstwa, bigoterji, świętoszkostwa i innych rzeczy, o których później „Zmory” są powieścią inną — z poprzednimi łączy je osoba bohatera i kilka innych postaci, tenor powieści komu innemu śpiewa.

Na czym w głównej mierze polega oryginalność, zaryzykujemy twierdzenie, „świeżość” tej powieści? Na obscaeniczej onomastyce i pornografii. Pomawianie tej powieści o męskość i odwagę jest austriackim gadaniem, jakby powiedział wuj Waclaw.

Świetną jest Zegadłowiczowska satyra na ciało pedagogiczne wołkowickiego c. k. gimnazjum, — przeprowadzone z szarżą, z bajecznym zacięciem i wybuchowym temperamentem —; w współczesnej literaturze polskiej daremnie szukalibyśmy kart równie doskonałych. — Satyra „artystycznie” godna najgłośniejszych oklasków, jako fakt literacki nie jest bohaterstwem; jest nieaktualna; porachunekki i porachunekki z przedwojennymi centusiami nie

\*) Emil Zegadłowicz: Żywot Mikołaja Srebrem pisanego. Zmory. Kronika z zamierzchłej przeszłości. Warszawa 1935. F. Hoese, str. 495 + 1 nlb.

są ani czynem za śmiałym ani za atrakcyjnym. W pewnych partiach satyra przechodzi w karykaturę lub w groteskę. Już w „Łyżkach i księżycu” ukazał się Zegadłowicz nieprzeciętnym mistrzem groteski — w „Zmorach” sztukę tę jeszcze spotęgował.

„Zmory” mają być niesfałszowaną kroniką wieku dojrzenia — a także ekspijacją za dawne poznańskie grzechy. Ekspijację tę przeprowadza autor „zahałom”. Ewangeliczny — mało, apokryficzny — dewotujący Zegadłowicz z „Godziny przed jutrznią” czy „Dziwan” staje się w „Zmorach” ateistą „na grubym kamieniu”. Ateizm ten podkreślony jest w sposób nietyle nonszalancki, co śmieszny. Ten bóg przez małe be rozsiany po stronach „Zmór” jest chwytem bardzo naiwniutkim, i tylko siedem lat minęło, jak się, trzeba nie trzeba, pisało Boga i Opatrzność rozstrzeloną majuskutą, jak się obrzydzało w sposób skuteczniejszy niebo i piekło właśnie apologią rzeczy niebieskich — Zegadłowicz gwałtem chce zapomnieć — wymazać przeszłość — zwalcza więc etykę i dogmatykę katolicką chwytami dialektycznymi. I znów ściegi grube i niechlujna robota — aż się chce zawołać: zostaw, niech to inni lepiej robią.

Nie miejsce i ochota bronić spraw które autor atakuje — irytuje nas tylko żaden poziom tego wolnomyślicielstwa o siedmiu boleści.

Ta chrystjanofobia autora w zestawieniu z niedawnym (a zaklinał się kiedyś, że) szczerem, religijantwem jest, użyjmy eufemizmu, rzawiskiem pikantnym. Zbyt pamiętamy autorskie roztkliwienia się nad powsinogami sławiąciami Boga, organistę i kościelnym — wyliczyć możemy, ile i jakich świętków wyrzeźbił stary Wawro — pamiętamy (owszem, owszem) wszystkie zaduszkowskie, i Bożonarodzeniowe owacje, drukowane w „Tęczy” i legendy, i apokryfy z poprzednich części „Żywota”. Tych zmór przeszłości nie przysłonią nam „Zmory”. Naprawdę lepiej już było zmienić nazwisko — bo „Zmory” mimo odwagi i męskości to jednak ciągle tylko — blamaż.

Ten gwałtowny, jak na „wiekowego” autora rozwój nie może żadną miarą znaleźć usprawiedliwienia — siedem lat milczenia tłumaczy wiele, lecz nie wszystko.

„Zmory” są kroniką wieku dojrzenia; w ciągu ośmiu lat Mikołaj przechodzi poszczególne fazy rozwojowe: od nieświadomych żądź przez masturbację aż po pierwsze posiadanie kobiety. „Zmory” po winne zgnać i zniszczyć bohatera w epilogu powieści, jest on jednak odrodzony i niewinny, uzdrawia go miłość. I tu autorowi nie możemy wierzyć; „Zmory” zamyka piękne, poetyckie łgarstwo — ale łgarstwo.

Energetykę „Zmór” podsycają dowcipuski skatologiczne, sublimowana pornografia i makabryzm. „Męskość” i „odwaga” Zegadłowicza osadza się nie na chrystjanofobii i satyrze, ale na bogatym słowniku

wyrazów nieprzyzwoitych. Tu Zegadłowicz błysnął erudycją — ale dla kogo wyliczał wszystkie znane sobie synonimy genitaljów — nie wiemy — chodziło mu widocznie tylko o „smaczek”.

W pornografii Zegadłowicz jest tradycjonalistą; operuje przeważnie dwoma pornografii właściwymi formami stylistycznymi: parabolą i elipsą. — I tu nie osiąga takich efektów, jak Witkiewicz czy Bandrowski; szczęśliwsze są partje realistycznie opisowe. Poetycką pornografię rozwiązał dużo wcześniej Tuwim.

W „Zmorach” nie ustrzegł się Zegadłowicz starych grzechów — mglistej symboliki i bródów psychologicznych; jest to ostatni ogarek spalany własnej przeszłości literackiej. Podeptał wszystko w co wierzył i w imię czego kłamał; nie mógł jednak uchronić się od destylowania lirycznego grafomanstwa.

A jednak mimo urągania — „Zmory” w dorobku Zegadłowicza są pozycją najsilniejszą — pozycją, w której talent bodaj częściowo wziął górę nad młodopolskim — lirycyzmem, nad grafomanją. Postać wuja Waclawa już dziś nosi stygmaty nieśmiertelności, już dziś może być pasowana na symbol, symbol przypadkowy, wyrosły poza intencjami autora. W całym wołkowickim zwierzyńcu tylko jeden wuj Waclaw jest typem zdrowym i rzeczywistym, tylko on jeden żyje własnym niepodległym życiem — reszta wraz Mikołajem, to kukły w ręku autora.

O tak zwanej stronie psychologicznej powieści możnaby wiele jeszcze napisać; tyle tam blagi i mielizny.

W sumie: „Zmory” warto przeczytać — nie, by wzbogacić swój słownik „wyrazów obcych”, ale by poznać wuja Waclawa. — Powie nam głęboką prawdę, o której nigdy nie pamiętał autor: „Mensch ist ein Mensch”.

Tadeusz Banaś.

## Wielki pisarz czy geniusz reklamy?

Pytanie to postawił już ktoś inny jeszcze przed laty. Pytanie mocne i drażliwe. Jak na nie odpowiedzieć z czystym sumieniem i niewątpliwym przekonaniem? Czy tylko geniusz reklamy, czy tylko wielki pisarz, czy jedno i drugie?

Jeśli to zagadnienie było postawione przed laty, gdy Zegadłowicz opływał w łaski świątków beskidzkich i niemniej pobożnych powinnogów, gdy przed Bogiem i Opatrznością bil poklony w każdej niemal myśli i w każdym zdaniu, i jak wtedy była ta wątpliwość uzasadniona i nasuwająca najgorsze przypuszczenia, to o ileż bardziej jest uzasadniona po przeczytaniu „Zmór“<sup>\*</sup>). Każdemu, kto zna bodaj część dawnych pisanin Zegadłowicza, kto zna jego modlący się i świętoszkowaty konterfekt duchowy, nasunie się odrazu mocne, gryzące podejrzenie: co jest w takim razie prawdą pisarza, gdzie spoczywa najistotniejsza część jego wnętrza? W dawnych „Dziennikach“ i „Powsinnogach beskidzkich“, czy też w najostatniejszych „Zmorach“? Gdzie jest trudna i zawila droga od dawnych — zresztą bardzo płynnie werbalistycznych, jak zawsze u tego pisarza, — wyznań religijno-katolickich, do całkowitego zaprzeczenia wiary w świat metafizyczny, (bóg — wszędzie przez male b), do wyrzeczenia się rozmodlonej w beskidzko-polskim krajobrazie kapliczki i przejścia do „pogańskiego“ kultu wyzwolonego z wszelkich grzechów, nagiego ciała? Gdzie jest bodaj kładka nad przepaścią pomiędzy temi wrogimi sobie światami? Nie widzimy też buntu przeciw przeszłości, jej wyrzeczenia się i przeklecia, nie umiemy dopatrzeć się poważnego, rozrywającego wnętrze człowieka na kawałki kataklizmu, któryby tę zmienną frontu usprawiedliwił, po literacku bodaj, jeśli nie etycznie, uczynił prawdopodobną. I odpowiadamy, że Zegadłowicza, obciążonego taką przeszłością, nie możemy zbyt łatwo rozgrzeszyć. Nasuwa się nam bowiem podejrzenie, bardzo przykre i bolesne, że pisarz był zakłamanym zarówno wtedy, gdy był autorem „Dębów pod pełnią“, jak jest nim teraz, gdy napisał „Zmory“, że w istocie nie się nie zmieniło. Podejrzenie straszne, które w konsekwencji pociąga za sobą wniosek, że Zegadłowicz-geniusz reklamy — zmienił tylko jej środek. Gdy jedne przestały działać i być efektywne, wynal-

azł inne, jaskrawe, krzykliwe, będące kontrastem poprzednich — oczywiście dla zwrócenia uwagi.

Ale czy tylko to jedno stanowisko można brać pod uwagę w cenie pisarza? Czy jest on zobowiązany do etyczno-moralnej konsekwencji i odpowiedzialności i czy brak jej unicestwia go jako artystę?

Wszelkie znaki na niebie i na ziemi wskazują, że nie, że dzieło może być ważne i wielkie niezależnie od wewnętrznych wartości twórcy.

I właśnie jeśli „Zmory“ będziemy czytać i oceniać niezależnie od Zegadłowicza, a przede wszystkim od jego przeszłości jeśli weźmiemy je jako zjawisko samo w sobie, wtedy okaże się ono czymś niezwykle, oszałamiającym, koniecznym i — mimo wszystko — najprawdziwszym.

„Zmory“ Zegadłowicza są w literaturze polskiej rewelacją. Została napisana książka, jakiej u nas jeszcze nigdy nie było — książka, ukazująca światu kawałek „zamierzchłej przeszłości“. Weale jednak nie zamierzchłej. Ta przeszłość jest teraźniejszością i długo jeszcze będzie sięgać w czasy przyszłe.

Bo trzeba znać życie dawnego miasteczka galicyjskiego, rozejrzeć się w niem od środka współżyjących w niem ludzi, aby ocenić niezwykłość — użyję tego słowa bez wahania — potwornej karykatury, w jakiej uchwycił Zegadłowicz mieszkańców Wołkowic. Koszmarnego życia jest naprawdę przerażający, niesamowity — właśnie taki, jak go przeświadczył Zegadłowicz. — Gimnazjum Wołkowickie, jedno z kilkudziesięciu wciśniętych w brud uliczek tych zakazanych osiedli ludzkich, skład jego grona, potworne typy nauczycieli, pedagogów od siedmiu boleści, zwanych popularnie „panami profesorami“, beznadziejnie nudny żywot inteligencji czy półinteligencji, nie mającej gdzie się wyżyć, więc zidjociałej, skretyniałej wśród równie idjotycznych warunków, — typy starego Komendy i jego żony, ciotki Wilhelminy, czy wujka Wacława — to przecież istota, to korzeń, to jedyny namacalny sens życia naszego kochanego prowincjonalnego miasteczka. To niemal symbol całego naszego życia. I w tem odsłanianiu tuszowanej publicznie, przykrywanej po jezuicku prawdy naszego codziennego bytowania, w jego bezwzględnej i ordynarnym demaskowaniu, w demaskowaniu jego brudów tępoty, beznadziejności — Zegadłowicz stał się oskarżycielem i rewolucjonistą.

Powtarzam: trzeba znać od spodu od wnętrza ludzi małomiasteczkowych, te gnijącą w

wytwarzanym przez siebie samą rozkładzie, drobną burżuazją, aby móc ocenić niezwykłość spowiedzi Zegadłowicza, epokowość ukazania się jego „Zmór“.

Nieważna jest rzekoma pornografja tej książki... Tak się w tem środowisku myśli, czuje, przeżywa, tak właśnie niestety, jak to przedstawił Zegadłowicz. Niestety, ale i k przecież jest naprawdę. Dobrze się więc stało, że ktoś wrzucił się na odwagę, aby odsłonić — nie wszystkie zresztą — tajniki tej prawdy.

Nie można mieć żadnych zarzutów, że to się stało. Raczej dobrze, że się stało i że tak przedk.

Zarzuty są innego rodzaju: W tem sięganiu do cuchnącego bagna i wyciąganiu zeń kawałek po kawałku śmierdzącej istoty okazał się Zegadłowicz zbyt powierzchownym. Te potwory wołkowickie są tylko schematami podniesionymi do godności potwornej, niesamowitej karykatury, żyjącymi zbyt jednostronnie, obszerwowanymi przez autora tylko od zewnątrz. On mimo wszystko nie widzi w nich ludzi, bardzo niedokończonych i beznadziejnie smutnych — a przecież ludzi. „Podróż do kresu nocy“ Celine'a jest „kupą flaków“, a w środku marzeniem“, jak jest nią „kronika“ Zegadłowicza. Jednak u Celine'a zarówno flaki, jak i marzenie są zupełnie uzasadnione, jedno i drugie wyrasta z wspólnego podkładu. Niema tego u Zegadłowicza. Marzenie jest przyćpione u niego do flaków, jak kwiatek do kożucha. Nie udało mu się koncepcja filozoficzno-optimistyczna: adoracja przyrody, panteistyczny, religijno-czcicielski do niej stosunek. Robienie „głębi“, zaró-

wno w odtwarzaniu świata „ciemności“ — światła wołkowickie typów i wołkowickiej atmosfery, — jak i świata „jasności“ — poezji Mikołaja Srebrepisanego — poszło na marne. Poprostu książka Zegadłowicza jest płytka; nie bierze czytelnika za serce, za myśl, nie targa, nie wstrząsa. Wyobrażam sobie, coby np. z takiego tematu zrobił Malraux, jak głęboko, prawdziwie ludzkim byłby u niego wuj Wacław, jak targałby nasze sumienie swoją samotnością, nieporozumieniem między nim a resztą świata. U Zegadłowicza należy się tego może domyślać, bo u niego są tylko słowa, słowa i słowa...

Ale nie miejmy o to do Zegadłowicza pretensji. Ileż mamy bowiem głębokich, prawdziwych powieści polskich, któreby można porównać z najlepszymi innych narodów? Chyba bardzo mało: Prus, Żeromski, trochę Reymont, Dąbrowska, Nalkowska („Granica“). I to wszystko, co wyrasta nieco ponad przeciętność. W stosunkach polskich „Zmory“ Zegadłowicza są rewelacją i pozycją poważną, jedną z nielicznych posuwających sprawy naszej literatury naprzód. I z tem trzeba się liczyć. A grunt, że wyrosła z naszej gleby.

Bo polski, galicyjsko-polski jest temat, jest środowisko drobnomieszczańskie i małomiasteczkowe, w jakim przebywamy razem z Mikołajem Srebrepisanym, jak polskim jest brak kultury pisarskiej u Zegadłowicza. Zegadłowicz ma styl literacki niczem nie różniący się od stylu typowego grafomana. Ta maniera młodopolska jest idjotyczna, irytująca. Woda łatwo rozlewnych słów zegadłowiczowskich przypomina potop i co tu dużo rozprawiać: „Zmory“, jak i poprzednie dzieła tego autora, są książką niechlujną. Nie ma racji Hulka-Laskowski, gdy zalicza ją do arcydzieł literatury światowej. Tak się w tej literaturze nie pisało i nie pisze.

Aby do niej wstąpić, trzeba najpierw — to bardzo ważne — zdać egzamin z kaligrafji.

Karol Kuryluk.

<sup>\*</sup>) Emil Zegadłowicz, Żywot Mikołaja Srebrepisanego. Zmory, Kronika z zamierzchłej przeszłości, str. 495+1 nłb., 1936, Warszawa — F. Hoessick.

411

## Ponura literatura.

Nasza najnowsza literatura naprawdę jest dziwna, jakby roztoczył nad nią czarne skrzydła p. Kaden Bandrowski. Niedosć, że pokolenie wieszczów: Sienkiewicz, Żeromski, Reymont, zamknęli jakby epokę w naszej literaturze a wśród młodszej generacji nie widać nikogo, kto by był godzien sięgnąć po berło osteroczone po mistrzach — ale ponadto w literaturze tej pojawia się coraz więcej dzieł, które biorą dalibóg swój moralny rodowód z Kadenowej trylogii i mają ten sam stosunek do człowieka, jako obiektu literackiego.

Chodzi bowiem właśnie o stosunek do istoty psychicznej człowieka. Dziś przyszła moda nie na to, co jest w nim wyższe, na wyższe pokłady jego osobowości duchowej, lecz na pokłady najniższe. Jeśli dawniej tywała literatura erotyczna, to dziś jest przede wszystkim seksualna, przyczem zwycięski seksualizm pojmowany jest tylko jako popęd fizjologiczny. Dzisiejszy obiekt literacki składa się w tej dziedzinie raczej z popędów, niż z myśli.

Objekt literacki bywa czasem obiektem społecznym. Społeczność jest w modzie. Ale obiekt bywa zwykle socjalnie uświadomiony i społeczność jego bywa zazwyczaj ponurej kategorii. Więcej rzeczy nienawidzi niż kocha i więcej radby burzyć

niż tworzyć. Jeszcze Baryka idąc na Belweder, więcej spraw polskich kochał niż nienawidził. Dzisiejszy obiekt, uwikłany w sieci niezmożonych instynktów neguje wszystko.

Przeczytaliśmy niedawno „Zmory” Zegadłowicza. Książka ta budzi nie tylko niesmak ale i zdziwienie i czytelnik niebardzo może się połapać. Bo jakże? Był Zegadłowicz pisarzem katolickim. Przywykło się w nim widzieć człowieka pewnych zasad, pewnego światopoglądu, o zdecydowanym sposobie ujmowania życia. I nagle wydaje powieść, która jest negacją całej jego przeszłości: jako ostateczny klucz do rozumienia człowieka daje w ostatecznej konsekwencji pracę jego gruczołów rozrodczych. Ich funkcje formują jego duszę. Ich funkcje kształtują jego stosunek do życia, religii. One to, wszechwładnie i zwycięsko prowadzą go przez lata młodości, aż „wyzwolony” i nagi, zerwie się biec od studni, na której posiadł tajemniczą kochankę, przez ulicę miasteczka, będącego w swych cnotach i grzechach uosobieniem najgorszego kółtństwa, jakie świat widział.

Ta nowa książka Zegadłowicza jest jakby żywiołową erupcją „prawd”, poglądów i przemyślań, które autor dusił w sobie oddawna. Robi wrażenie, jakby człowiek oswobodzony wykrzytał wszystko co miał w duszy, z czym się musiał tać a co zbierało się i wzbierało. Jest w niej siła i przekonanie.

Ale... czyż doprawdy tacy byli dojrzewający chłopcy w owym kraju dzieciństwa poety Zegadłowicza? Czyż doprawdy okres dojrzewania prowadził ich takimi drogami? Czyż doprawdy, poza ordynarnym seksualizmem nie w nich nie było? Pamiętamy młodzież gimnazjalną z tych właśnie mniej więcej czasów, i wydaje nam się, że była całkiem inna. Mniej w niej było seksualizmu i brutalności, więcej zainteresowań intelektualnych a swój okres dojrzewania przeżywała w sposób mniej wyłączny. I nawet słownik, który Zegadłowicz je kładzie w usta, wcale takim nie był. W młodzieży owego czasu, przed wielką wojną, więcej było idealizmu. W senach pailly jej się wielkie sprawy. Chyba tylko jednostki, wyjątkowo silnie opętane erotyzmem, były podobne do tego obrazka jaki Zegadłowicz wymalował.

Skąd więc się wziął ten ponury obraz galicyjskiego miasteczka i jeszcze bardziej ponury obraz jego młodzieży?

Skąd się wzięła ta cała niecznośna atmosfera wsi, która książkę przepelnia ów brud, którym ociekają niemal wszystkie osoby i sceny powieści?

Przecież to są pomysły całkiem makabryczne! Owa scena w trupiarni, owa prababka, która podzwaniając kosteczkami leci wyszukiwać sobie amanta; owa młodzież, która to wszystko podpatruje by zdobyć dreszcz emocji zmysłowej, to są rze-

czy nieprawdopodobne. A jeśli te rzeczy nawet były, to poeta — autobiograf dziwnie skierowaną miał spostrzegawczość jeśli nie widział nic innego. Bo w życiu zarówno miasteczka, jak i jego młodzieży szkolnej były napewno rzeczy również inne, znacznie donioślejsze dla kształtowania się jej charakterów i umysowości, wywierające znacznie silniejszy wpływ na formowanie się ich indywidualności. Owsich wszelkich innych zagadnień Zegadłowicz nie spostrzega, nie istnieją poprostu dla niego. Zgodnie z teorią Freuda uważa, że tylko tego rodzaju przeżycia mają znaczenie.

Gdy się pomyśli, że „Zmory” pisał autor „Powsinogów Beskidzkich”, przestaje się cokolwiek rozumieć. Chyba, gdybyśmy uwierzyć chcieli, że to sam Zegadłowicz jest tym, który rzuciwszy swoją nieświadomą przeszłość u studni, leci nagi przez miasto we wstający świt. Byłoby to w takim razie symbol odnalezienia własnej prawdy, otrząśnięcie się z szat konwenansu i obludy. Ale w takim razie następnego tomu „Zmor” nie byłibyśmy ciekawi...

Druga książka z tej serii — to nowy tom Jalu Kurka „Woda Wyżej”. Młody ten pisarz zadebiutował swoją „Grypą w Naprawie” i zdobył z niej sca ten sukces, że odznaczony został przez Akad. Lit. Akademia, jak Akademia. Miła to instytucja premjująca za państwowe pieniądze r z e z y zdecydowanie rozkładowe. Tym ra-

Nr. d. 24 BRD. 1935  
GROS LUBELSKI  
WYCINEK Z WYDAWNICTWA  
Warszawa  
Bracka 5  
Tel. 9-41-53  
Informacja  
Polska  
Agencja wiadomości z prasy  
całego świata w wycinkach

43.



# INFORMACJA PRASOWA POLSKA

WIADOMOŚCI W WYCINKACH

WARSZAWA  
ulica Bracka 5. Telefon 9-41-53

WYCINEK Z WYDAWNICTWA

Wiadomości Literackie (tyg.) (W-wa)

Nr. 48 d. 1 GRUD 1935

## Bezbożna młodzież i tęsknota Torquemadów

W nawale pracy nie mam poprostu możliwości (ochoty też nie mam) na zabranie decydującego głosu w sprawie nonsensownych napaści na „Zmory” (zresztą 90% tych bredni nie zasługuje na odpowiedź).

Ważniejsze od wszelkich pomstowań, wyzwisk i niedorzeczności są dla mnie listy (dziesiątki listów), jakie w związku ze „Zmorami” otrzymuję; zwłaszcza listy od młodzieży; kochane listy! poufne, tajne, niemal zakonspirowane! listy smutne; wszystko jest po staremu, a może jeszcze gorzej? — Lecz posłuchajmy (pisze gimnazysta): „słyszałem zdania, że „Zmory” nie przedstawiają prawdy, przejawiają rzeczywistość. Oczywiście, ci którzy tak twierdzą, czynią to dlatego, bo nie chcą poprostu zrozumieć, pojąc, że rzeczywistość jednak tak się przedstawia. Suggestują się. Jeśli chodzi o problem seksualny, sprawa przedstawiona została tak jak wygląda w rzeczywistości. Możemy to stwierdzić, bo te sprawy są nam bliskie i znane. W „Zmorach” przedstawione zostały jasno i prawdziwie. Zresztą inaczej tego można było przedstawić, bo musiałoby się albo owijać w bawełnę i nie powiedzieć nic. Natomiast sprawa wychowania religijnego w rzeczywistości wygląda jeszcze gorzej. Z całą pewnością mogę twierdzić, że 50 procent uczniów składających egzamin dojrzałości, to ludzie, którzy zdecydowanie nie wierzą wogóle albo te sprawy są im zupełnie obojętne. Nadto już z własnych obserwacji stwierdzam, że 90 procent t. zw. inteligentnych moich kolegów zupełnie nie wierzy, jedni z tem się kryją, drudzy zwierniają się w prywatnych rozmowach. Kto temu winien? ...ach... (pisze student): „czytałem ...i przed memi oczami przesunęło się życie — nie Mikołaja Srebrzypisanego, nie! — przesunęło się moje własne życie! Może odmienne w szczegółach, może w fabule inne — lecz to same w uczuciach, pragnieniach, tęsknotach. Po raz drugi — w ciągu dnia i nieprzespanej nocy — przeżyłem starą „budę” — lata smarkacza z pierwszej klasy, chwile przełomu w czwartej, dojrzewania w ósmej... Skrepowanie samodzielności, bezustanna nużąca opieka, i rodzący się z dniem każdym, przybierający na sile bunt! (podkr. w liście). Przeciw komu? przeciw tym, którzy mówią: „musisz” — „musisz iść do kościoła, musisz iść do spowiedzi, musisz się modlić — inaczej „katabas” postawi ci dwóje i 3 otrzymasz ze sprawowania; a wszak bez stopnia z religii w Polsce matury mieć nie można!” (podkr. w liście).

Mógłbym długo cytować, że — „ileż żywego podobieństwa, cech żywotnych młodzieży współczesnej”, że — „ma pan rację... fałsz, obłuda, pruderja na każdym kroku” i t. d. i t. d. Lecz dość.

Teraz kilka słów o „wypadku”, który mnie pobudził do zabrania głosu:

— ukazał się ponoć w jednym z pism poznańskich artykuł o „Zmorach” K. H. Rostworowskiego p. t. „Metamorfoza” (o tem kłamstwie „zmienności” pomówimy kiedyś też!). Nie czytałem go; znam jedynie streszczenie, jakie się ukazało w „Ilustrowanym Kurjerze Codziennym” z dn. 15 listopada b. r. Rozumiem, że reakcja polska potrzebowała wśród gryzmołających pętałów i pętaček poważnego, autorytatywnego głosu; że tym poważnym głosem

jest K. H. Rostworowski — to jasne; że sposób jego pisania jest impulsywny — wiemy; wszystko więc w porządku.

Zastanawia tylko jedno; drobiazg, takie nic; — otóż wszyscy ci od klechistańskiej granicy wołają nazbyt krzykliwie: pro-ku-ra-tor! — aresztować!! — i K. H. Rostworowski też! — W dziesięciolecie obrzydliwej kampanji przeciwko Żeromskiemu — znów woła: prokurator! areszt! zakład obłąkanych!! — Ten jubileuszowy okrzyk zastanawia! W tej wspólnocie szubienicznych hasel musi być jakiś utajony sens; nie połapali się, widać, ci Chrystusowi ludzie, że w pewnej chwili wymknęły się im z drapieżnych rąk sądy kościelne, że niema już (oficjalnej) inkwizycji; niestety! Wielka szkoda, ale cóż robić — trzeba się pogodzić z losem, odpady iluminowane pochodniami ludzkimi widowiska — zostało z wielkiego splendoru jedno: okrucieństwo bez egzekutywy!

Smutne to wszystko.

Emil Zegadłowicz.

# Chłozzczący sąd Rostworowskiego o „Zmorach“ Zegadłowicza.

Najbardziej obecnie czytana książką są „Zmory“ Zegadłowicza. W jednej z dużych wypożyczalni krakowskich zakupiono 18 egzemplarzy i mimo to nie można tej książki dostać! Trzeba być wpisany na listę protegowanych! Takim zainteresowaniem nie cieszyły się dotychczas utwory Zegadłowicza. Ani o „Powsinogi Beskidzkie“ ani o inne kolekcje nie dobijali się ludzie.

Zegadłowicz był dotychczas gdzieś na ostatnim miejscu wśród autorów, których się czyta. Nagle wyostał się na pierwsze. Cóż się takiego stało? Z Zegadłowicza liryka i mistyka stał się nagle ku zdziwieniu i przerażeniu jego dotychczasowych sympatyków piewca czystej rzeczywistości i to w najbardziej realistycznym tego słowa znaczeniu.

Krytycy podzielili się na dwa oboje. Jedni widzą w tym dziele prawdziwe objawienie, najwspanialszą książkę Polski Odrodzonej, a nawet jedno z największych arcydzieł literatury świata.

Innego zdania jest druga grupa krytyków, równie liczna, których może reprezentować wielki poeta polski Karol Hubert Rostworowski. Sąd Rostworowskiego ma w tym wypadku specjalną wagę i treść. Rostworowski był bowiem tym człowiekiem, który z największym entuzjazmem powitał przed kilkunastu laty nowy talent. Po przeczytaniu pierwszego utworu Zegadłowicza (Powsinogi), po kilku stronicach wpadł — jak się przyznaje — w zachwyt, który potęgował się z każdą kartką. Był wzruszony do łez. Następnie przy sposobności wystawienia prapremjery „Lampki Oliwnej“ Zegadłowicza w teatrze krakowskim, Rostworowski dał wyraz publicznie i w sposób najbardziej uroczysty swojemu entuzjazmowi dla nowego poety: Oto przed podniesieniem kurtyny, wyszedł Rostworowski przed rampę sceniczną, ażeby publiczności i literaturze polskiej jak najgorzej polecić to nowe natchnione dzieło Zegadłowicza. Parafrazując słowa Symeona biblijnego, oświadczył, że teraz już może odejść w spokoju, ponieważ znalazł się godny jego następcę.

Jak zawiódł się Rostworowski na swoim następcy! Następcę okazał się odstępca w najdrastyczniejszym tego słowa znaczeniu. I ten, który jakgdyby namaszczał każdy utwór Zegadłowicza przed pójsciem w świat musiał o ostatnim jego dziele wyrazić najsurowsze słowa potępienia. Sąd o „Zmorach“ wypowiedział Rostworowski w jednym z pism poznańskich w artykule p. t.: „Metamorfoza“:

„Nie lubię czytać świństw — pisze Rostworowski. — Brzydzą mnie i nu-

dzą. Funkcje fizjologiczne uważam za materiał nadający się wyłącznie do badań naukowych. Zboczenia i zwyrodnienia płciowe również. W rękach literatów — którzy różnią się od uczonych tem, że grają nietylko na wiedzy, ale i na nerwach czytelnika; że żądają nietylko przemyslenia, ale i przeżycia danego tematu; że, zamiast operować czystymi pojęciami, operują plastycznymi obrazami wyobraźni; że, zamiast metody, stawiają na pierwszym miejscu fantazję, że zamiast zwracać się do „swoich ludzi“, zwracają się do „byłego kogo“ — w rękach tak „skonstruowanych“ literatów, Forele i Weininger zamieniają się w najpospolitszych pornografów.

— „W braku artystycznego ujęcia“.

„Frazes. Pusty, zaklamany frazes. Istota pornografii nie polega bowiem na artystycznym lub nieartystycznym „ujęciu“, ale na wyborze odpowiedniej treści i na opracowaniu jej w ten sposób, żeby wizja była jak najbardziej plastyczna, sugestywna, przejmująca i podniecająca. Autor, który to osiągnął, ujął rzecz „artystycznie“. Autor, który tego nie osiągnął, ujął rzecz „nieartystycznie“. Ale czy tak, czy siak, pornografja pozostała pornografja, i to tem pikantniejszą, im właśnie artystyczniej jest „ujęta“. Wszak artystycznie ujęty las musi pachnąć, ogień płonąć — bądźmy więc konsekwentni.

„Zegadłowicz w „Zmorach“ jest konsekwentny. Nawet zadziwiająco konsekwentny. „Uszatkom biednym, chorym, obłudnym“ (str. 252) nie oszczędza niczego. Nie pomija najdrobniejszych szczegółów. Nie zapomina o ani jednej kropce nad „i“. Podkreśla, cieniuję, potęguje napięcie, nieświadomych uświadamia, uświadomionych doskonali, „zahukanym“ rozwiązuje języki — Majster.

„Mateczka Kozłowska w portkach“ pasowana przez samego Breitera (w Wiad. Lit.) na rycerza „sans peur et sans reproche“, z „Chrystusika“ ani śladu — a z przeszłości pozostała tylko lada, za którą stanął (przynajmniej mojem zdaniem) świętej pamięci poeta.

„I zastosował się do nowej roli wśmienienia. Zawiesił miłość na kolku, a na ładzie rozłożył barwny, pierwszej jakości towar nienawiści“.

Powieść Zegadłowicza jest bowiem — zdaniem Rostworowskiego — pełną jadu nienawiści (czytaj Wadwickich) — ordynarnych swintuchów i draniów. Panie Wolkowickie

„szare, przykre, nadęte, głupie, brzydkie, ponure, odpychające“, spowiednicy — demoralizatorzy młodzieży, ciało nauczycielskie sadyści, pijacy, durnie, warjaci, gimnazjaliści zdeprawowane draby z pod ciemnej gwiazdy i chamy. W podobny sposób odnosi się Zegadłowicz do duchowieństwa, do religii, do dziejów polskich, do tradycji, do naszej literatury.

W zakończeniu tej chłozzczącej analizy Rostworowski apeluje do prokuratora, a w danym wypadku, jeżeli ta książka nie została wydana dla interesu tylko z wewnętrznej potrzeby — do lekarza.

KURIER z dnia 2 października 1935

## OSWIADCZENIE

W związku z zajęciem, jakie miało miejsce w naszej księgarni, poczuwamy się do obowiązku wyjaśnić, że jako księgarnia polska, uważamy za swój obowiązek specjalnie popierać książki tak znakomitego twórcy i poety, jak E. Zegadłowicz, którego ostatnia powieść p. t. „Zmory“ spowodowała krytyków do stwierdzenia, że jest to najwybitniejsze zdarzenie literackie nietylko w Polsce, ale i w Europie, jakkolwiek porusza zagadnienia dość drażliwe i mówi o nich w sposób może — drastyczny, w każdym zaś razie jest dzisiaj najbardziej pasjonującą lekturą.

Zarząd Księgarni Gubrynowicz i Syn  
A. Krawczyński

AGENCJA WIADOMOŚCI Z PRASY W WYCINKACH  
POLSKA PRASOWA SPÓŁKA z ogr. odp.  
M A C J A  
Warszawa  
ul. Bracka 5  
telef. 9-41-53

WYCINEK  
Z  
WYDAWNICTWA

Nr. d. 8 PAZ 1935

## Plugawa książka

Ukazała się na półkach księgarskich nowa powieść Emila Zegadłowicza pt. „Zmory“. Jest to książka o charakterze wybitnie antyreligijnym — plugawa w swej formie i treści. — Nawet imię Boga Zegadłowicz — wzorem pisarzy sowieckich — pisze przez małe „b“.

Należy wyrazić tylko ubolewanie, że znalazła się firma wydawnicza (Hoesicka), która tak potworną książkę puściła w świat i, że władze zezwoliły na bezkarną obrazę uczuć religijnych przez autora książki.

## INFORMACJA PRASOWA POLSKA

JEDYNE W POLSCE  
BIURO WIADOMOŚCI  
PRASOWYCH  
W WYCINKACH

SP. Z O. O. ZAŁ. W 1920 R.  
WARSZAWA  
BRACKA 5. TEL. 9-41-53

WYCINEK Z WYDAWNICTWA  
NOWINY CODZIENNE (Warszawa)

Nr. 252 d. 10 GRUD. 1935

## Przeciw pornograficznym powieściom wystąpił J. E. ks. arcybiskup Sapieha

Na naczelnym miejscu dziennika urzędowego archidiecezji krakowskiej „Notificaciones“ umieszczono pełen silnych akcentów protest J. E. ks. Arcybiskupa dr. Adama Stefana Sapiehy przeciw pewnym powieściom, których akcja rozgrywa się na terenie archidiecezji krakowskiej. Jak łatwo się domyślić, chodzi tu głównie o „Grypę“ Jalu Kurka i „Zmory“ Zegadłowicza. Oto tekst odezwy Księcia Metropolity:

„Ukazały się w ostatnich czasach powieści, których fabuła rozgrywa się na tle wydarzeń w mie-

scowościach tutejszej diecezji. Obie wyrządzają wielką krzywdę społeczeństwu, które opisują. Brudne, ordynarne, prostackie, babrzące się w błocie bezwstydu opisy te blazgają też bezkrytycznie przeciw religii. Samo ukazanie się takich książek, choć zaw sze smutne, jednak jeszcze może tłumaczyć wykolejenie się moralne i chorobliwy stan umysłowy jednostek. Wyróżnianie zaś i nagradzanie właśnie takich utworów przez instytucje popierane przez czynniki rządzące jest oburzające i dlatego zasługuje na najostrzejsze napiętnowanie. Stanowczo też przeciw temu nadużyciu podnosimy protest.

Bolesnym też objawem jest, że takie ordynarne utwory są poszukiwane przez wielu. Daje to smutny dowód niskiego poziomu kultury, smaku i obyczajności szerokiej kół naszej czytającej publiczności.

Przestrzegamy wszystkich, do brze myślących katolików przed szerzącą się zarazą i wzywamy by wszystkimi środkami protestowali przeciw tej publicznej demoralizacji i zwalczali takie wydawnictwa w imię religii, dobra Kościoła i Państwa i honoru naszej narodowej kultury“.





## Gruba Berta

Dzisiaj (24 listopada) otrzymałem nr. 46 „Pionu”. Od tygodni dochodziły mnie głosy, że Gruba Berta, która rozbija „Zmory” w puch, będzie artykuł Skiwskiego; że to będzie dopiero coś! że ten mi już da rady. Nie wierzyłem w to coprawda, ponieważ wiem, że Skiwski pisze o mnie od kilku lat stale na łonie irytacji, pogardy, antypatii i t. d. — na elementach więc, które jego zdrowy sąd otepiają a rozsałek deprecjonują — pobudzają natomiast umysł do słownej agresywności, poprzestającej często na dokuczliwości.

I tym razem moje przewidywania okazały się słuszne. Gruba Berta zawiodła, jak to mówiono podczas wojny — skrepirowała.

Pierwsze już zdania artykułu pod buńczuczonym tytułem „Zmory trzeba załatwić”, zniechęcają; powiada autor, że niechętnie bierze się do tej roboty (!); nie wydaje mi się to stwierdzenie słuszne; przeciwnie, sądzę, że bierze się do tej roboty (skończenia ze „Zmorami”) bardzo chętnie — przecież od lat nie pomija żadnej sposobności aby mi zalać sadła za skórę; ktoś złośliwy zaryzykowałby przypuszczenie, że poprostu z tego żyje; byłoby to, oczywiście, życie nad stan.

W którymś tam wierszu dalej pisze z właściwym sobie wdziękiem i wyszukaną delikatnością, że (moje) „nieokrzesianie myślowe jest tak wielkie, że nie umie(m) sobie dośpiewać choćby tak prostej rzeczy jak to, że człowiek jest też rozdziałem w wielkiej księdze przyrody”. Tutaj z przykrością stwierdzić muszę, że pamięć krytyka nieco zawodzi; wszakże pisał (bodaj że nawet dwa razy) o „Podkowie na progę”, w którymto poemacie myśl, że człowiek jest częścią przyrody, przewija się jako zasadniczy leitmotiv, chyba że tego utworu nie czytał; w każdym razie pisał o nim (niezwykle ujemnie); jeśli nie czytał, cofam słowo o zawodzącej pamięci.

Sprytne i wcale efektowne są chwytły o moim niehumanitaryzmie, egocentryzmie, niezdarności pisarskiej i t. d. — lecz bardzo już wiecowo-demagogiczny, obliczony na poklask najniewybredniejszej publiczności, jest nelson, iż jestem najwierniejszym odbiciem psychiki cesarza Franciszka Józefa I; lękam się że to powiedzonko przylgnie do Skiwskiego i nie zechce się prędko odlepić; może nigdy? — Tem samym prawem kaduka mógłbym powiedzieć, że to przecież „wschodnie sapatrstwo” zaczynać recenzję od słowa „oskarżyciel” — tak zaraz sąd, kodeks karny, wizja więzienia? — a najbystrzejsze zdanie Skiwskiego, dotyczące mojego stanowiska **destrukcyjnego** (podkreślenie krytyka), nie jest niczem innym jak zastalym lękiem carskim przed — anarchizmem; a niedwuznaczne żądanie (tak je już znam!) skonfiskowania książki jest też tem samym; ochroną też czuć na sto kroków denuncjowanie mnie (w organie rządowym!) za patriotyzm czeski; dzisiaj! (nb. lubię i cenię Czechów); mógłbym tak to powiedzieć, lecz nie czynię tego — nie zależy mi bowiem na dokuczaniu Skiwskiemu.

Ale już dość! Brak mi w tym artykule Skiwskiego konsekwencji, domyślenia do dna; przecież aż się prosiło aby powiedzieć, że to ja sam „robię książkę karierę” i kreuję się „ojcem narodu” i że to ja sam sfabrykowałem wszystkie „dodatnie” recenzje i sfalszowałem podpisy. Szkoda!

Na końcu pragnę jaknajwyraźniej stwierdzić, że zdania:

1) „Zegadłowicz czuje się solidarny tylko z tym rozproszonym w przestworzach pyłem kosmicznym, ale nie czuje się ani trochę solidarny z człowiekiem”;

2) „W świecie Zegadłowicza sprawa ludzka jest skompromitowana raz na zawsze i ryczałtem”;

3) (takie stanowisko) „trzeba nazwać **destrukcyjnym**, w sensie zupełnie obiektywnym, bez jakiegokolwiek domieszki moralizatorstwa, w tym sensie, że jest ono orzeciwieństwem wszelkiego budownictwa społecznego, wszelkiej hierarchii, wszelkiej organizacji” —

są nader trafnym wyciągnięciem wniosków z lektury „Zmor”, są też odurzająca — acz niezamierzona — pochwała. Lecz o tem kiedyindziej.

Na cześć niewybuchających pocisków Grubej Berty mogą wysuszyć butelkę wina, o którym tak zręcznie wspomina Skiwski; to „trzeba załatwić”; ale też tylko to!

Emil Zegadłowicz.

P. S. Dziwnie nieco brzmi w ustach Skiwskiego słowo „obiektywny”; cały sens i smak jego artykułu jest hipersubiektywny; i pytanie jakby się ukształtował sąd Skiwskiego gdyby nie identyfikował Mikołaja ze mną!

# W krzywym zwierciadle samotnego poety.

Zegadłowicz nie jest pierwszym współczesnym lirykiem polskim, który przeszedł śmiało do prozy. Jak dotąd, to anteuszowe zetknięcie się z ziemią wychodzi pisarzom na dobre. Odnosi się to zaś bezwzględnie do Zegadłowicza, który po wielu bardzo różnego poziomu dziełach, zdobył obecnie w nowej powieści „Zmory”\*) chyba najwyższe swe i najciekawsze osiągnięcie pisarskie.

Zdobyl je, dając własną, poetycką prawdę o świecie i sobie. Prawdę nie-

## Stachewicz i Abrysowski

(CENTRALA TEKSTYLNA)  
LWÓW, PLAC HALICKI 12 A

obniżyli znacznie ceny

i polecają OLBRZYMI wybór wszelkich towarów tekstylnych.

mał dokumentarną. Bo któryż typ literacki bardziej wyladowuje najosobistsze żywioły, niż ten, którego przedstawicielami są: Goethego „Wilhelm Meister”, Gottfrieda Kellera „Grüner Heinrich”, Rolanda „Jean Christophe” i wiele innych — powieść biograficzna, powieść o dojrzewaniu i walce życiowej twórcy. A Zegadłowicz nie zacierą nawet rysów autentycznych nazwisk (np. Stanisława Maykowskiego), nie komponuje wspomnień w jakąś ciągłą akcję fabularną, prowadzi rzecz aż nazbyt kronikarskim porządkiem, rok po rok, a postaci, dopieroko dokładnie scharakteryzowane porzuca w dalszym toku.

Jest jednak w „Zmorach” dość obiektywizacji przeżyć, by z nich powstało dzieło dużego arcyzmu. W luźnej „Kronice” jest artystyczna kompozycja — wedle rytmu przeżyć głównej postaci, Mikołaja, którego dzieje młodości w „Zmorach” czytamy.

Są to dzieje chłopca, ustawicznie atakowanego przez brutalność świata. Zaczynają się one, gdy Mikołaj, syn emerytowanego profesora gimnazjalnego zostaje oddany do k. gimnazjum w Wolkowicach, w Beskidzkim. Na młodego chłopca odrazu napiera demoralizująca atmosfera wolkowickiego gimnazjum z jego okropnymi okazami profesorskimi, rozpijaczonymi, zidjociałymi, często bydlęcymi osobnikami. Pierwsze zderzenie następuje na lekcji religii, prowadzonej przez niemilego księdza Brzana. Wychowany przez wolnomyślnego ojca — samotnika, Mikołaj z całą szczerością dziecięcą powiada, że djabłów niema. To grozi mu wydaleniem, a kończy się narazie pobicciem parasolką przez ciotkę Wilhelminę, u której Mikołaj mieszka. Ojciec poucza go, we wrzuszającej scenie, że będzie się musiał niejedną raz jeszcze w życiu ugiąć przed znową silniejszych i głupich, zostając wśród nich samotny. A potem tych zderzeń i ciężkich prób jest coraz więcej. Z profesorami, po innych przygnębiających doświadczeniach, Mikołaj poradził sobie jakoś; opancerzył się obojętnością, odrabiając z mniejszym lub większym powodzeniem swoje i przechodząc tak z klasy do klasy.

Ale padają ciosy z innych stron. — Śmierć ojca samotnie dogorywającego w swej własności ziemskiej, w pobliskiej Porębie. Kontakt duchowy z smutną, chorą matką, Zofią jest słaby. Sama cierpi pod tyranją rodziców, emigrantów czeskich, Komendów, a zwłaszcza po śmierci Vlasta Komendy, pod tyranją bezwzględnej, samolubnej, stałej Komendowej.

A potem sprawy płci. U nieświadomego, słabo rozbudzonego chłopca, zwraca na tę stronę życia uwagę najpierw ów ksiądz Brzana, w sposób najmniej właściwy, bo strasząc piekłem za nagość i „nieczystość” i budząc w chłopcu wykładami i spowiedzią zmyślenia seksualne. Zmory te rosną i przytłaczają Mikołaja, wywoływane z instynktów przez zepsutych lub tylko

pozostawionych bez kierownictwa moralnego kolegów, wywoływane straszonymi widokami orgii starszych (koszmarna scena z Podrzwistakiem, zabawiającym się z prostytutkami w składzie trumien). Prowadzą one chłopca do fobii i wrót obłędu.

Mikołaj ratuje się — ucieczką w świat własnej duszy, w samotność natchnień. Z kolegów tylko Żyd, Adolf Silberschütz, w tym kręgu dotrzymuje mu kroku. W samotności i tych rozmowach Mikołaj wyzwala się od więzów i pojęć społecznych otoczenia, zbliżając się zbrataniem duchowym do wszelkich stworów ziemskiego globu. W samotni też dojrzewa w nim poeta. Podtrzymują go na tej drodze dwaj wyjątkowi nauczyciele: Maykowski i Adam Znamierowski. I podtrzymuje go jeszcze bezcielesny, bezsłowny nawet kontakt z smukłą panią, wędrującą po moście nad Skawą, pod czarem księżycy — Balbina.

Te siły pozwalają mu przezwyciężyć dalsze ataki świata: śmierć matki — wiele orgii birbanckich ordynarnego wuja Wacława — lubieżne, sabatowe wybryki 70-letniej babki — i pokusę domu publicznego, do którego prowadzi go wuj Wacław. — Po maturze, wyzwolony, spotyka się z Balbiną, na rynku, — w nocy, oddają się sobie jedyną, gorącą miłością, poczem Mikołaj, nagi, oczyszczony wraca do kochanej wsi, Poręby, gdzie wita go dzień. Pozdrowia go: „Ziemi i niebu dzień dobry!”

Oto cząstka bogatej zawartości książki Zegadłowicza. Przedstawiono w niej młode życie, na które napiera ciasne i zdeprawowane życie galicyjskiego miasteczka. Oba motywy znalazły wyraz w świetnych, mocnych, pełnych napięcia i ekspresji charakterystykach, scenach, obrazach, jak: wagarzy pokwitających chłopców, pierwsza spowiedź, biba u wuja Wacława, wizyta w domu Luizy, lekcje profesorów. Nie trzeba ich wylawiać, książka płodnego pisarza przelewa się ich nadmiar. Takiej pasji pisarskiej dawno już nie było w piśmiennictwie polskim, zwłaszcza w odsłanianiu brudów czy w bezwzględnie otwartym mówieniu o seksualnych wzlotach i upadkach. W „Zmorach” przeżywamy renesans krańcowego naturalizmu, z dążnością jednak do syntetycznego dynamizowania sceny. Z naturalistyczną pasją, a równocześnie z silną ironią obnaża i uwypukla się „komedia ludzka” w groteskowo, karykaturalnie wygięte kształty, nie przykrywane listkiem figowym słowa.

Łatwość pisarska, ponosząca ciągle autora, wyladowuje się w bujni krzewiacem się słownictwie, w spiętrzających się nad sobą synonimach, w mocnych nowotworach, w natężających opowiadanie urywanych zdaniach i dialogach. Przedewszystkiem zaś uderza w idealistycznej i wstydlivej naogół literaturze polskiej, niespotykana nawet we „Wspólnym pokoju” Unilow-

skiego — swoboda języka. Służy ona do oddania cech środowiska i jeszcze więcej do odklamywania rzeczywistości, poniekąd jak u Celine'a czy Remarque'a. Wypuszczone na wolność słowo hamowane i wstydlive, równo-uprawnione nagle z słowami uznane, klasą posiadającą ludzką mowę — z początku puszy się i drażni — by się potem coraz bardziej naturalizować i karnie prawie maszerować w kadrach słów — artystycznego tworzywa.

„Zmory” są zwierciadłem, w którym się przyjrzeć ma głupota i podłość miasteczka. Oczywiście ten świat profesorski okazów paleozoicznych, który góru-

je w obrazie powieści — w zasadzie należy do przeszłości. Dzisiejszy nauczyciel nie ma za co i przedewszystkiem kiedy popić i zdziwaczeć. Ale sprawy te nie znikły na tyle, by nie były ciągle żywe. Na to są zbyt arcy-ludzkie. Zresztą większości problemów wychowawczych tej powieści szkoła nadal nie rozwiązuje. A poza to, jak w każdym dziele prawdziwego arcyzmu, treść, obrona jako materiał, wyraźta w symbol rzeczy stałych i wielo-czasowych. W tym sensie „Zmory” są obnażaniem deprawujących duszę młodego człowieka fałszów społecznych, moralnych, religijnych, w imię...

Otóż chodzi jeszcze w imię czego. Tu budzą się zastrzeżenia czytelnika — ideowe i artystyczne. Kiedy Zegadłowicz wyprowadza w pauzach jakby powieściowych Mikołaja na samotność, o-trzymujemy inny ton, inny styl powieści, liryczny, młodopolski, odległy. Obok „Zmor” jest jeszcze nadtytuł cyklu: „Żywot Mikołaja Srebrempisanego”. Postawiony wśród złego świata czuły poeta, w ciszy lasów, zakochany w miłości księżycy, ten srebrempisany Eudymion — to autentyczny romantyk. Mikołaj osiąga zwycięstwo przez ucieczkę w samotność. Nie dąży do przemiany świata, ale do uratowania siebie wśród chaosu, siebie i swej poetyckiej miłości do całego globu.

I to jest — niespoleczne założenie tej ciekawej powieści.

Dr. W. Barbasz.

\*) Emil Zegadłowicz: Żywot Mikołaja Srebrempisanego. Zmory. — Warszawa, F. Hoe-silk 1936.

INFORMACJA PRASOWA  
POLSKA

SP. z OGR. ODP.

ZAL. W 1920 R.

WARSZAWA

BRACKA 5

TEL. 9-41-55

WIADOMOŚCI Z PRASY W WYCINKACH

WYCINEK Z WYDAWNICTWA

Nr. 5

d. 15

Życie szkolne Mikołaja Srebrenpisanego upłynęło w szkole wołkowickiej, w galicyjskim gimnazjum, z którego Zegadłowicz nie został w swoich „Zmorach” kamienia na kamieniu, moralnie je zburzył i ziemię pod nim zorał. W złej szkole średniej wyrastał Mikołaj na poetę, odrzucało go od niej, więc siedł w siebie, aby tam poszukać źródeł życia. Z takiej samej szkoły wyszedł także Zegadłowicz (skądżeby miał do niej tyle zawziętości?), autor swojej najcięższej książki, zdumiewająco krwistej, żywiołowej i mocnej w tem znaczeniu że nie rozsadziło jej od nagromadzonych na jednym miejscu i skotłowanych elementów. Gimnazjum w Wołkowicach nie było gorsze od innych szkół średnich, istniejących w rozlicznych innych Wołkowicach, a wszędzie obowiązywał ten sam, najważniejszy z pewnych względów, przedmiot nauki — t. zw. kultura klasyczna, pospolicie zwana greką i łaciną. Czemże byłyby „Zmory”, gdyby jakieś wołkowickie gimnazjum na swój zły czy dobry sposób nie podzieliło się z Zegadłowiczem temi umiejętnościami? Byłyby tem czem są, tylko że odczytując je, nie myślelibyśmy o wielkiej sztuce starożytnych — sztuce zaklinania w marmur największych męczarni człowieka, bez naruszenia harmonji i bez pogwałcenia piękna. To znaczy nie przysłyby nam na myśl posągi Laokoona i Niobe, i to znaczy że „Zmory” nie byłyby tem czem są, ale mogłyby być zbiegowiskiem okropności, panopticum koszmarnu, filmem natrząsającym się z bebeczów widza. Oto dlaczego szkoła wołkowicka nie była doszczętnie zła.

Przypuśćmy jednak na chwilę że szkoła ta była idealną, nietkniętą duchem austrjackości i galicyjskości, instytucją wychowawczą, a nie zaprzeczmy że w Wołkowicach byłaby oazą szczęścia dla młodych chłopców, oazą jedyną, bo wszystko co nie jest w „Zmorach” szkołą jest także albo chore i skazane na śmierć albo potworne i ohydne. Wszystko, z wyjątkiem Beskidów, samej młodości jako pory życiowej, księżycy uwodzającej lunatyczkę Balbinę, wreszcie jeszcze fragmentów lektury Mikołaja. Nie ostałaby się taka szkoła wobec nacisku osaczającego ją życia. Roznieśliby ją do ostatniej cegły zapici wujowie uczniów, zdziczałe ciotki Aninki, zatruliby ją swojemi wyziewami wściekły erotyzm wołkowicki; zamilkłoby chóralne skandowanie „Iljady”, zagłuszone pijackim przekleństwem i krzykiem zwierzęcia w człowieku.

Bo miasto Wołkowice okazało się miastem najbardziej pijackim i najjuźniej- szym ze wszystkich Wołkowic polskich. „Szkoła radosna” nie zagrzałaby tu miejsc. „Szkoła radosna” zrobiłaby nas obojętnymi na wszystko co wyprawiają star- si, bo chłopcy szkolni śmialiby się do nas, wolni od mrocznych zasadzek przebu- dzenia płciowego, krzykliwi i beztroscy. Zagrożeni na tym pierwszym, najważniej- szym odcinku życiowym, mieliby oparcie w szkole, nie znajdując go w rodzinach. Jeżeli nie w tak pięknych barwach zobaczylibyśmy Wołkowice szkolne, to już napewno nie w gorszych niż jakiś Kleryków Żeromskiego albo jakieś miasto matki i czyjś dobry przyrządek nadziei. Nad całemi więc Wołkowicami, nietylko nad ich szkołą, zawisło przekleństwo i trwało dopóty, dopóki nie przyszedł poeta i nie poddał miasta oczyszczeniu: aby je zwolnić z klątwy i przywrócić do łaski, za- znawanej przez wszystkie inne Wołkowice. Oczyszczenie miasta, oczyszczenie młodości Mikołaja, zwalenie z ramion wszystkich ludzi we wszystkich Wołkowi- cach ciężaru przecierpianego zła i przemarnowanego szczęścia lat dziecinnych, od-

każenie organizmu własnego z resztek niezasymlowanej z nim trucizny — tak widziałyby się prawda „Zmor”, poto zostały one wywołane, przerażając nas ostatnim już, bezsilnym atakiem szkieletów.

Gdyby bowiem cały ten świat „Zmor” został ruszony z posad na intencję same- mego tylko Mikołaja, jemu miał posłużyć, jego pokazać z nimbem zwycięstwa, że mianowicie z jakich opresyj chłopiec wyszedł i uchwalił się na człowieka i wier- sze będzie pisał, — nie pogodzilibyśmy się z tem łatwo. Pod każdą szerokością geograficzną ojcowie i wujowie uczniów gimnazjalnych piją wódkę i przeklinają, wszędzie bywają nieszczęśliwe i chore matki, i niemało jest na świecie starych kobiet oplacających sobie kochanków. Wszędzie też mały chłopiec ma do prze- zwyciężenia pewną rzeczywistość i jeżeli wyrósł, pracuje i żyje — widocznie ją jakoś przewyciężył. A w dodatku wątpliwość: czy Mikołaj naprawdę przewy- ciężył swoją rzeczywistość i opanował ją świadomie? Co w takim razie znaczy księżycowa wolta, piękne salto miłosne, wykonane w białej poświacie przez dwóch naraz akrobatów — małego Mikołaja i dorosłego poetę? Niema poprostu żadnej pewności że Mikołaj wyszedłby ze swoich oparów wprost na bite ścieżki twórczo- ści, gdyby mu autor nie podsunął w noc księżycową na rynku u studni niebiańskiej zjawy, która ani z pierza ani z mięsa będąc, obdarzyła chłopca pełnem szczęściem miłosnem. Scena to oczywiście symboliczna; Mikołajowi oddawała się w rozkoszy poezja, brała go w posiadanie jako jego pierwsza miłość, na zawsze już najwa- żniejsza. Czy jednak jest to wizja i nagroda za świadome przebycie wszystkich kręgów wołkowickiego piekła czy wyzwolenie go z nich siłą, bez jego własnego udziału? — a w takim razie siłą nadprzyrodzoną, boską, z gatunku sił wyraźnie zlekceważonych i nawet ośmieszanych przez autora aż do tej chwili księżycowej. Ten decydujący w powieści moment nie jest zupełnie jasny, a przyjęcie wykładu że ma on być jakimś spotęgowanym symbolem, jest uderzeniem w cały system realistycznej, do brutalności bezwzględnej, fascynująco śmiałej powieści.

Byłoby przecież rzeczą nierozważną zarzucać Zegadłowiczowi przeoczenie i pu- szczenie takiej niekonsekwencji. Wolta pozostaje wolta, wyjście z mrocznej pi- wnicy na światło dzienne jest niespodzianką. Ale mamy do czynienia z architek- tem doświadczonym, jego cała robota — robota ucznia wołkowickiego klasycznego gimnazjum — nie ujawniła ani jednej poważnej szczeliny w konstrukcji gmachu, pomyłka jest tu mało prawdopodobna. Co się więc stało?

Filologiczne nawyki, wyniesione z wołkowickich gimnazjów, radzą się trzymać tekstu, a w tekście powtarza się słowo: światło. Architekt pracował w ciemno- ściach, przy kagankach, w blasku nietrwałych pochodni. Tem większy budzi po- dziw że napamięć tak włada narzędziami i tak posługuje się tworzywem. Ale dla nas, którzy na długie godziny mamy wchodzić w posępny gmach, trzeba było oświetlić drogi powrotu. Dlatego w końcu spłynęło ze szczytu budowli światło i jest jak tęcza po burzy, jak znak nadziei że zło się przesili i że zawsze można oczyścić się z brudu życia. Światło jest blade, chłodne, księżycowe: wszelako ar- chitekt jest artystą i psychologiem; gdyby nas wyprowadził o wschodzie słońca, światło byłoby oślepiające, mimowoli cofnęlibyśmy się w ciemne nawy, powrócili do rozpamiętywania widzianych obrazów. A cofać się już nie należy, bo wierzymy że spełnił się dokładnie akt rehabilitacji i oczyszczenia.

Stanisław Rogoz

# Metamorfoza...

Napisał Karol Hubert Rostworowski



nego czasu przeżyłem naprawdę piękny dzień. Otrzymałem małą, szarą, nadzwyczaj wykwintnie wydaną książeczkę: „Powsinogi Beskidzkie” Zegadłowicza.

Zabrałem się do czytania. Po kilku stronicach wpadłem w zachwyt, który potęgował się z każdą kartką. Nie wstydzę się przyznać, że (pomimo już podeszłego wieku) byłem wzruszony aż do łez. I treścią, i formą — i sercem, i dyscypliną myśli — i poezją, i prawdą życiową — i temperamentem, i umiarem — krótko mówiąc, wszystkimi cechami, które składają się na skończone arcydzieło. „Nareszcie mamy nowego, wielkiego poetę” — wykrzykiwałem, gdzie się dało, narażając się na epitet „entuzjasty”, co w języku naszych literackich „speców” jest równoznaczne z „osielstwem”.

Niezrażony brnąłem dalej. Nie tak bezkrytycznie, jak się to moim przeciwnikom zdawało. O, nie. Widziałem dłuższy w „Wielkiej nowinie”, słabość trzeciego aktu „Lampki oliwnej”, ale machałem na te potknięcia ręką, wychodząc z założenia, że wielkich talentów nicować i szykanować nie wypada.

Literackie „spece”, grupujące się koło „Wiadomości Literackich”, machały również, lecz... piściami. Łupu cupu po Zegadłowiczu ile wiezie. Puszczano powiedzonka jak „Mateczka Kozłowska w portkach” — „Chrystusik za ladą” itp.

Zalewała mnie żółć. Jako? Gdzie ci ludzie mają oczy? Cóż to za przerażający daltonizm! Więc nie zdaje sobie sprawy, że „Ludzie stamtąd” — „browskiej i „Powsinogi Beskidzkie” — dwa klejnoty, z których posiadania powinniśmy być dumni?

Tak młotałem się w duchu (bo szkoda gęby), aż nagle kubek zimnej, lodowatej wody. „Zmory” i... zmora.

Utwór ten poprzedziła fama: „Jak Polska Polską, jak Europa Europą, jeszcze nikt nigdy takich świństw nie napisał”.

Nie lubię czytać świństw. Brzydzą mnie i nudzą. Funkcje fizjologiczne uważam za materiał nadający się wyłącznie do badań naukowych. Zbożenia i zwyrodnienia płciowe również. W rękach literatów — którzy różnią się od uczonych tem, że grają nietylko na wiedzy, ale i na nerwach czytelnika; że żądają nietylko przemyślenia, ale i przeżycia danego tematu; że, zamiast operować czystymi pojęciami, operują plastycznymi obrazami wyobraźni; że zamiast metody, stawiają na pierwszym miejscu fantazję, że zamiast zwracać się do „swoich ludzi”, zwracają się do „byle kogo” — w rękach tak „skonstruowanych” literatów, Forele i Weiningerzy zamieniają się w najpospolitszych pornografów.

— „W braku artystycznego ujęcia.”

Frazes. Pusty, zakłamaną frazes. Istota pornografii nie polega bowiem na artystycznym, lub nieartystycznym „ujęciu”, ale na wyborze odpowiedniej treści i na opracowaniu jej w ten sposób, żeby wizja była jak najbardziej plastyczna, sugestywna, przejmująca i podniecająca. Autor, który to osiągnął, ujął rzecz „artystycznie”. Autor, który tego nie osiągnął, ujął rzecz „nieartystycznie”. Ale czy tak, czy siak, pornografia pozostaje pornografią, i to tem pikantniejszą, im właśnie artystyczniej jest „ujęta”. Wszak artystycznie ujęty las musi pachnąć, ogień płonąć — bądźmy więc konsekwentni.

Zegadłowicz w „Zmorach” jest konsekwentny. Nawet zadziwiająco konsekwentny. „Uszatkom biednym, chorym, obłudnym” (str. 252) nie oszczędza niczego. Nie pomija najdrobniejszych szczegółów. Nie zapomina o ani jednej kropce nad „i”. Podkreśla, cieniuje, potęguje napięcie, nieświadomionych uświadamia, uświadamionych doskonali, „zahukanym” rozwiązuje języki — Majster.

To też pierwsze wydanie „Zmor” podobno już rozchwytało, okopy „Wia-

domości Literackich” zdobyte, „Mateczka Kozłowska w portkach” pasowana przez samego Breitera na ryceza „sans peur et sans reproche”, z „Chrystusika” ani śladu — a z przeszłości pozostała tylko ladą, za którą stanął (przynajmniej moim zdaniem) świętej pamięci poeta.

I zastosował się do nowej roli wyśmienicie. Zawiesił miłość na kołku, a na ładzie rozłożył barwny, pierwszej jakości towar nienawiści.

Rozłożył więc panów wołkowickich (czytaj: wadowickich), ordynarnych świętuchów i draniów — panie wołkowickie „szare, przykre, nadęte, głupie, brzydkie, ponure, odpychające” — spowiedników wołkowickich, demoralizatorów młodzieży — ciało nauczycielskie wołkowickie, złożone z sadyistów, pijaków, durniów i warjatów. z koronowanym osłem (ma się rozumieć) księdzem katechetą na czele — gimnazjalistów wołkowickich, zdeprawowanych drabów z pod ciemnej gwiazdy i chamów — rodzinę Mikołaja Srebręmpisanego, począwszy od kanaljowatych ciotek a skończywszy na orgjastycznej, płacącej „za to” dukatami, przeszło siedemdziesięcioletniej babce — Boga, przez małe „b” — „ceremonjały religijnych zamawiań i szamańskie praktyki” w kościele katolickim — wreszcie historję polską „te próchniejące zwłoki karmazyńskie fumy i huzarskie wojenkowatości dobre dla Sienkiewicza”.

To szwarz.

A teraz powidło, słodkie jak miód:

Oczywiście Mikołaj Srebręmpisany, jego ojciec, uważany powszechnie za „farmazona”, i matka, cprawda już trochę poszwarcowana. Jego jedyny przyjaciel, z którym można się było porozumieć, żydek Adolf Silber-schütz. Stara, przepoczcziwa Żydówka, wędrująca po świecie z towarem. Po-

wsinoga „drwał błędny” (na pamiętkę „dawnych czasów”). Suczka „znajda”. Profesor Znamirowski, wybitny i subtelny polonista który mawiał: „Sienkiewicz? Uf! Zero, zero, zero”, a „Krański powinien być zginąć na kilku polach chwały naraz — byłby

Mikołaj „sięgnął leniwie po ubranie, nakryła je prędko ręką, zwinęła w kłębek i (mówiąc: „nadzy wrócmy do domu”) rzuciła do studni”, poczem „zniknęła za pnem, jakby weń wrosła”.

To zniknięcie nie zaskoczyło Mikołaja. Przeciwnie. „Nagi, radosny, odmieniony, nowy, inny” idzie „drogą odwieczną do Poręby Murowanej”... „idzie nagi naprzeciw góróm szumiącym”... „jest w tej chwili naga myślą globu”... „wraca (do rodzinnego domu) nagi, jak nagi przed osiemnastu laty po raz pierwszy się zjawił”... „zwinny (i jeszcze) nagi zwierz wspina się na klon, a z niego po gałęzi na bal-

nam oszczędził kilka tomów bzdur”. Wreszcie rodzaj triumfującej Putyfa-ry, niejaka „Balbina miesięcznica”.

Z jej pojawieniem się na scenie tro-ska autora o (str. 252) „użyteczność” publiczną bierze najwyższy ton, urywa łeb hydrze pruderyj i dusi centaury obłudy. Nie pod dachem! Nie pod korcem! Ale pod gołem niebem! Na świeczniku!

Czytamy bowiem:

„Z boczej, ciemnej uliczki pode-szła (Balbina) wiewnie i szybko do Mikołaja (przy księżycu srebrnym błasku), zaprowadziła go na środek rynku, ku kępie drzew kasztanowych, nakrywających szeroko ocebrowaną studnię”... a gdy szturmem zdobyty

kon — z balkonu przez uchylone okno do pokoju — rozświeca świecę — pa-trzy w lustro — widząc „czy bly-szczące, włos zmierzwiiony, usta spalo-ne”, stwierdza: „piękna jest nagość młodzieńcza”... zachwycony, jak Nar-cyz, tą swoją nagością, woła: „Dzień-dobry! ziemi i niebu dzieńdobry”... i... i... no i czytelnik zamyka książ-kę wzbogacony, uzdrowiony, szczery.

Cóż dziwnego, że interes idzie? Do-tychczas brakuje tylko... mydła. Po-winien go dostarczyć prokurator.

A jeśli to nie interes? Jeśli to rze-czywiście wewnętrzna potrzeba? Ha, w takim razie i lekarz.

KAROL HUBERT ROSTWOROWSKI  
Kraków.

Burza wokół jednej książki

Freud, „Zmory”  
 i przedmiotowość

W ostatnią sobotę w lokalu warszawskiego oddziału Zawodowego Związku Literatów odbyło się zebranie poświęcone „Zmorom” Emila Zegadłowicza. Niewielka, ubożuchna, salka Związku wypełnili szczerze jego członkowie. Dyskutowało się do późna w nocy. I — trzeba przyznać — nieszczędnego nikogo. Stronników każdego skolei poglądu obracano na różnie, smaląc, piekąc i pieprząc. Zdumiewała różność sądów, rozpiętość — olbrzymia rozpiętość — tych sprzeczności, wyrażonych na wszelki sposób — już to słowem mądrym, myślą przenikliwą już to — co tu dożyć gadać — brednią i banalem.

Daniem zasadniczym tego wieczoru — i bojącej jedynym, które w całości można było wchłonąć — pozostała prelekcja dr. Z. Bychowskiego o freudyzmie wobec „Zmór” Zegadłowiczowskich. Dr. Bychowski znakomity znawca zagadnień i metod psychoanalizy, autor szeregu rozpraw, a między innymi poświęconej freudyście diagnozie Słowackiego dokonał na „Zmorach” niejako sekcji psychologicznej, aby odpowiedzieć na fundamentalne tu

pytanie, czy za ich erupcyjnym charakterem kryje się mistyfikacja, czy też w ten sposób wypowiada się konieczność.

Biorąc za punkt wyjścia rozważania p. Bychowskiego dyskutanci rozlegli się w różne strony. Każdy z nich prawie dosiadł jakiegoś konika i poskoczył, gdzie chciał. Niesposób zdać sprawę, jak ich te narowiste koniki swady daleko uniosły. To pewne, że poza tor wytyczony wykładem prelegenta i wyznaczony tematem zebrania. Toteż nie kusić mi się o pełną relację wieczoru. Zaznaczę kilka najistotniejszych w nim momentów. Poddane zostały przez wypowiedzi pp. R. Blütha, J. Wasowskiego, J. Fryhlinga, A. Prędskiego, S. Zachorskiej i in. no i rzecz prosta, wymienioną już prelekcję p. Bychowskiego.

★  
 Czy „Zmory” powstały z wyrachowania? Podejrzenie to wyrzuciło się w szeregu omówień książki. Powiadano więc że — „były kołędzinki, powsinogi i świątki. Nie poplacało. Zobaczmy, co przyniesie makabra i seksualizm” albo: — „a’or, naczyniawszy się modnejszą literatury

pedagogicznej i seksuologicznej, stworzył według niej schemat dojrzewania, uwzględniając w nim bezkrytycznie absolutnie wszystkie odchylenia, jakie współczesna psychopedagogika w dojrzewaniu młodzieży wynalazła. „Zmory” zatem to „spekulacja”, chytrusowstwo, ot poprostu uromansowanie modnych teorii Freuda.

Dr. Bychowski atakuje podobne naiwne rojenie (reprezentował je naczelnie p. Jerzy Wyszomirski w „Gazecie Polskiej”). „Zmory” bynajmniej nie są spopularyzowaniem odkryć Freuda, są natomiast stwierdzeniem ich słuszności. Psychoanalitik wzięcznie rozgląda się po tej książce, ponieważ w świetle jego metod wyraźnie zarysowuje się znaczenie i maszynierja całej sprawy. „Zmory” są typowym aktem oczyszczenia, klasycznym zabiegiem autoterapii, wynikiem parca i musu. Stłumienie Zegadłowicza w uprzedniej fazie twórczości nie ulega wątpliwości. Te wytykanie mu powyższej „kołędzinki” i „świątki” nieodparcie dowodzą procesów sublimacyjnych. Zegadłowicz wielbi złudzenie, hodował je w sobie, mniemał — co stwierdzają jego pisma — że utulony złudzeniami przejdzie przez życie. Dawna jego literatura jest absolutnie pod tym względem jednolita. Choćby: — trzy uprzednie tomy żywota Mikołaja Srebrempisanego.

Wiele krytyków — szczególnie i niemile uderzyła — że ją w skrócie tak nazwiemy — scena z koszułą. W scenie tej mały Miłk wyżywa swój kompleks Edypa. Krytycy podejrzliwi — ale niepamiętni dawnych tomów „Żywota Mikołaja Srebrempisanego” — uznali tę scenę za klasyczny dowód „epatystycznej” (od epater) polityki Zegadłowicza.

stylem, lecz koniecznym. I nagle — ale trzeba pamiętać, że w kilka dobrych lat po przedostatnim tomie Mikołaja Srebrempisanego — wybuchają „Zmory”. Mamy obraz brutalny, obraz rewolucji w stanie wrzenia. I to jest właśnie klasyczne. Oto zadygotwały wiązania psychiczne. Czemu? Widać Zegadłowicz nie należał do osobników, które ujmują siebie w normy bez tarć i konfliktów. Są ludzie i są normy niejako przystające. Bywają ludzie przy u normowaniu zadowoleni, ale bywają też i tacy, których ono uwiera. Poddani diagnozie psychoanalizy, bronią się jej wskazaniom. Oto bowiem lękają się o swe najwyższe wiązania duchowe. Ale wreszcie doprowadzeni do wypowiedzi wyrzucają z siebie treści, którychby po sobie nigdy nie oczekiwali.

Gwałtowność jest jedną z właściwości procesów oczyszczających. Istnieje tu poza tym absolutna proporcjonalność. Jakież psychiczne spełnienie prawa Newtona o akcji i reakcji. Siła erupcji dorównywa siłę sublimacji. Inna z cech takiego katarsycznego procesu to natręctwo. Stąd w „Zmorach” uporczywość w powtarzaniu pewnych słów, niepowstrzymanie w ich użyciu.

Wiele krytyków — szczególnie i niemile uderzyła — że ją w skrócie tak nazwiemy — scena z koszułą. W scenie tej mały Miłk wyżywa swój kompleks Edypa. Krytycy podejrzliwi — ale niepamiętni dawnych tomów „Żywota Mikołaja Srebrempisanego” — uznali tę scenę za klasyczny dowód „epatystycznej” (od epater) polityki Zegadłowicza.

Edyp modny! — dawajże do książki Edypa. A tymczasem — zauważa dr. Bychowski — urzeczenie osobą matki to sprawa u Miłka dawna. Aby jednak o tem wiedzieć należało sobie przypomnieć poprzednie tomy „Żywota”. Wówczas odnalazłoby się scenę, gdzie mały Miłk zachwycony matką (której nigdy prawie nie widuje, bo przecież rodzice nie mieszkają razem) śni w nocy o niej. I w śnie pojawia mu się ojciec, jako rywal. Miłk lęka się tego ojca, lęka się w śnie, choć na jawie niema w nim śladu podobnego lęku. Czy dziwne zatem, że w następnym tomie Zegadłowicz podejmuje sprawę owego urzeczenia i każe się jej wyżyć? Czyn to brutalnie. Lecz, zważmy, że brutalność to jedynie sposób w dopowiedzeniu dalszego ciągu rzeczy uprzednio rozpoczętej na seraficko. Oczywiście wyjaśniona w odmienniejszej akustyce, brzmi inaczej, ale czy przez to zmienił się ich stosunek do autentyczności.

Zegadłowicz był i pozostaje w mocy pewnej konieczności. Dawniej władała nim sublimacja, w „Zmorach” proces katartyczny. Psychiczna sprawa Zegadłowicza nie jest zamknięta, zresztą i „Żywot Mikołaja” nie zakończony. Ostatnie słowo o nich obu należy do przyszłości. Lecz już dziś, z całą pewnością, można orzec o autorze „Zmór”, że treść jego ostatniego dzieła jest własna, nieza pożyczona, a wypowiedź narzucona przez wewnętrzny, nie do odparcia przymus.

★  
 Wiele się mówi o — „właściwym” (od epater) polityki Zegadłowicza.

książki gniewają się, że się tej powieści czyni — jak mówią — „karjerę społeczną”. Choć tu o recenzje E. Breitera, Hulki-Laskowskiego, Syruczka, czy wreszcie zamieszzone na łamach naszego pisma. „Oceny te — powiada się — przechwalają Zmory”. Ale pamiętajmy, że nie te głosy były o książce pierwsze. Naprzód przemówili jej przeciwnicy. Czy dziwne, że gdzie krzyczą, trzeba podnieść głos, aby być usłyszonym. Kto się unosi nad dziełem być może utrudnia czytelnicy opinii orientację, ale znów trzeba przyznać, że wdeptywanie go w błoto, jest gorszą jeszcze metodą po mawca. Karol Hubert Rostworowski, Katedra Agencja Prasowa, a ostatnio książkę biskup Sapieha — wyliczmy tylko te głosy — narzyczy kancny obiektywizmu w sposób niezwykle gwałtowny, widać więc ta książka żadnej ze stron nie nastąpiła do umiaru.

Ala czy doprawdy ona to sprawa? Czy naprawdę w niej to zawarty jest materiał wybuchowy, czy też tylko padła na grunt łatwopalny?

Sobotnia dyskusja — i nie wyłączenie ona — ze swą niecierpliwą pasją do dygresyj, wskazuje na to drugie. Jest wśród nas olbrzymia liczba, których drażni nieswoboda. Można się domagać respektu dla przekonani i przesądów tylko tam, gdzie nikt nikogo nie ma władzy. Na sobie sprawiły „Zmory” własną potrzebność. Okazały, że nie przeciwi czemu protestują. Jeszcze nie czas, by takie książki były tylko krasopisarstwem Skoro nadejdzie — z pewnością krytyka literacka zważy je przedmiotowo. (t.)

49-55

## Z KSIĄŻEK

### Na szafcu Wolnej Myśli

Henryk Wroński, *Co Wolna Myśl „burzy”, a co wzamian daje?* Odbitka z „Wolnomyśliciela Polskiego”. Warszawa 1935. Wydawnictwo „Wolność”. Str. 70.

Wsteczniotwo twierdzi, że Wolna Myśl to jedynie przeczenie i burzenie czegoś, że zabierając coś, nie daje wzamian nic innego. Z takim zarzutem spotkał się już Wolter i odpowiedział: „Jakto? Ja wam niosę wolność ducha, a wy pytacie, jakie nowe pęta dam wam wzamian za odebraną niewolę?”

Z tym zarzutem spotyka się Wolna Myśl stale i dlatego stale trzeba nań odpowiadać tak właśnie, jak to w swej pracy czyni Henryk Wroński. Mamy dwa typy ludzi: biernych wierców i samodzielnych myślicieli. Obok biernych wierców istnieje typ wiercy czynnego, który przedmiot swej wiary bada wszelkimi dostępnymi mu środkami i bardzo często dochodzi do wniosku, że treść jego wiary jest nierealna. Ale wnioski praktyczne wysnuwają ze swoich spostrzeżeń i zdobyczy umysłowych tylko ludzie o prostym i czystym charakterze. Bierny wierstwo jest w gruncie rzeczy wiarą w czyjąś wiarę. Bigotka nie pyta, skąd ksiądz wie o tem, w co jej wierzyć każe, ale wierzy bez jakiegokolwiek zastrzeżenia, naślepo. Ten typ jest zgóry nastawiony na wiarę i wszystko mu jedno, w co mu wierzyć każe.

Inny jest typ umysłowca, badającego świat i życie. Zrazu i on przyjmuje, jako dziecko, wszystko, co mu do wierzenia podają, ale nie zatrzymuje się na tym fundamencie mitologicznym. Bada go, sprawdza jego trwałość, ogląda jego części. Nie chce wierzyć, ale chce wiedzieć dokładnie. Wolna Myśl nie burzy, ale buduje, tworzy, kształtuje, poznaje. Ze w jej świetle rozwiewają się pewne mity, jest rzeczą tak naturalną, jak to, że w blaskach wschodzącego słońca rozwiewają się mroki nocne. Religia pierwotną była wiedzą. Księgi święte różnych religij to nauka o powstaniu świata i człowieka, czasem także o powstaniu bogów, przepisy prawne i obyczajowe, lecznictwo, historia, polityka. W miarę jak rodzi się wiedza „laicka”, ta dawna „wiedza” kapłańska traci coraz bardziej na znaczeniu i wreszcie przestaje być wiedzą i staje się właśnie religią.

Henryk Wroński bardzo subtelnie i wnikliwie analizuje różnicę między bezkrytyczną wiarą a krytycyzmem naukowym i niejako na marginesie swoich rozważań ustala prosty fakt, że człowiek współczesny chętnie obywateli bez wielu rzeczy, które obiecywały religie starożytne. Dzisiaj nawet wielcy teologowie katolicy, odznaczający się wielką wiedzą, rezygnują z wiary w życie zagrobowe, a całą wartość religij sprowadzają do pewnych zasad moralnych, przyczem nie przeczą, że ludzie stojący na wyższym poziomie kulturalnym, bywają naogół wysoce moralni bez oglądania się na jakąkolwiek nagrodę. Z drugiej strony wiadomo, że ludzie ciemni i religijni potrafią być wysoce niemoralni. Myśl Wolna jest więc ruchem, uczącym myśleć twórczo,

a zarazem ruchem moralnym, wymagającym od każdego uczciwości.

Argumentacja Wrońskiego jest jasna, mocna, przekonywająca. Całe pokolenia ludzi głęboko religijnych trwają w stanie barbarzyńskim, półdzikim, a przysgodnie wybuchają szałem fanatyzmu. Nie brak natomiast przykładów, że przy podniesieniu się poziomu kulturalnego, podnosi się także poziom religij. Taki np. Schleiermacher, jeden z największych teologów naukowych, nie wahał się nazywać rzeczy po imieniu, uważając, że w tak zwanym „składzie apostoelskim” jest wiele rzeczy, które dla człowieka współczesnego mają wartość jedynie konwencjonalną. Znakomity teolog współczesny, Albert Schweitzer, jeden z najszlachetniejszych ludzi czasów naszych, który porzucił karierę uniwersytecką, aby stać się lekarzem murzynów w Kongo belgijskim, wyraził się, iż nadejdzie niedługo czas, gdy i teologia stanie się zupełnie szczerą. Stojący nad grobem wielki teolog francuski, Alfred Loisy (oczywiście, wyklety), pisze w swoim wielkim pamiętniku: „Stworzenie świata według „wyznania wiary” jest dzieciństwem. Czy Jezus jest naprawdę synem jednorodnym boga? Czy począł się z ducha świętego? Czy wstał z martwych? Czy zstąpił do piekieł? I czy wstał do nieba? Czy przyjdzie sędzić żywych i umarłych? Czy kościół katolicki jest naprawdę kierowany przez ducha świętego? Co ma znaczenie ciała zmartwychwstanie? Wydaje się mi dość jasnym, że jeśli wierzę w cośkolwiek, to nie w to, czego naucza kościół, a kościół nie jest skłonny nauczać tego, w co ja wierzę... Systemat katolicki, całkowity, doktryna i dyscyplina, przeczy rozsądkowi i życiu... Inny znakomity teolog, Heiler, powiada, że bez rzetelnego i nieustraszonego powątpiewania niema walki o prawdziwość, i bez niego niema też możliwości rozwiązania zatargu, istniejącego między wiarą a wiedzą”. Ta wolna myśl, która przeniknęła nawet do teologii, zrodziła się z najuczciwszych najszlachetniejszych intencji i z najgłębszej czci dla prawdy. Myśl Wolna nie burzy, ale buduje.

Razem z książką Wrońskiego czytałem ostatnie (kapitałne!) dzieło Zegadłowicza „Zmory”, i ze wzruszeniem odczytałem w niem słowa starego profesora, skierowane do młodego syna: „Czeka cię najcudniejsza na świecie rzecz: wydobyć z zamętu siebie; zratowanie siebie, a przez to innych — tych, co chcą być zratowani — niewielu ich — ale to najlepsi... Szkół, gdzieby mógł uczyć się człowiek swego człowieczeństwa, niema na świecie i pewnie nigdy nie będzie”. Chłopiec słucha z całą serdeczną ufnością i wreszcie pyta: „Tatusiu, dlaczego ludzie tacy niedobrzy i tacy głupi?” A ojciec odpowiada: „Bo im z tem wygodniej — chwilowo wygodniej...” I jeszcze czytam w tej wspaniałej książce, jak Mikołaj Srebrenpisany w siódmej klasie uczciwie i pracowicie wyzbywał się naliotów obcej mitologii. „Komicizm i płaskość nauk kościelnych dopomogły też walnie... Niewątpliwie też spostrzeżenie, że religijność babki, pani Wilhelminy, księdza Brzany, profesora Ptaszyckiego i innych, co najępszych, belfrów, — to coś nie w po-

rządku; obłuda, blaga, przewrotność i nieprawda; — i wśród kolegów — najgłupszy byli najreligijniejsi. To były pewniki”.

Te same doświadczenia zapisali niemal dosłownie współcześni powieściopisarze innych narodów: irlandczyk Joyce (w „Portrecie Artysty”), czech Szramek (w „Srebrnym wietrze”)... Zawsze to samo: bolesna walka o prawdę i prawdziwość, zmaganie się samotnych młodzińców z tymi, co mają władzę i z ich wygodą rządzenia. Rzeczywistość jest zdumiewająca: gdy się czyta książkę tego niestrudzonego bojownika o wolność myśli, jakim jest u nas wierny samemu sobie i wierny poznanej prawdzie, Henryk Wroński, mimowoli przypominają się wszyscy, którzy w walce o prawdę znaleźli się na szafcu Wolnej Myśli, naprzeciwko okopom, gdzie wygodna, intratna obłuda siedzi od wieków, wsparta na potężnej i niemożliwej ludzkiej głupocie. Tak to odczuł Mikołaj Srebrenpisany w przepięknej książce Zegadłowicza, gdy pisał pod adresem Chrystusa:

„...Ukuto łańcuch zbrodni z każdej twojej racji miłość przekuto w hasła na własną obronę — prawdy twoje rzucono na żer agitacji, aby tyć, by się tuczyć twoim strasznym zgonem!

Kłamstwem stało się wszystko, złem i potwornością, kościół wyrósł ostoją głupoty i zbrodni — kler frymarczy zbawieniem, frymarczy miłością — w imię twoje — mordują wyznawcy wyrodni...”

Temi słowami zakończę recenzję książki niestrudzonego bojownika-pisarza i jednego z najszlachetniejszych ludzi tych czasów, takich kompromisowych! Powiedziano słusznie, że wahadło historii odchyliło się w tej chwili najdalej naprawo. Tylko niewielu nie poszło za wahadłem. Ci nieliczni wiedzą, że wahadło najdalej odchyłone naprawo, zawróci nalewo już niedługo. I ci nieliczni wiedzą też, że wszelka myśl jest wolna, musi być wolna, i że nie burzy, ale buduje i tworzy.

P. Hulka-Laskowski

### Książki nadesłane

Zofja Nałkowska. — Granica, powieść, Gebethner i Wolff.

E. Schummer-Szermentowski. — Pod znakiem Pogoni, Książnica-Atlas.

Emil Zegadłowicz. — Zmory, powieść — kronika, pierwsza część „Zywota Mikołaja Srebrenpisanego”, W-wa F. Hoesicka.

Na nadesłanym nam egzemplarzu tej powieści autor jej, jeden z najwybitniejszych poetów współczesnych, dramaturg i tłumacz obu części „Fausta” Goethego, skreślił następujące słowa: „Wolnomyślicielstwo polskiemu i wszelkiemu — cześć!” Na to czujemy się w obowiązku odpowiedzieć: „Cześć pisarzowi polskiemu, który w swej prawie 500 stronicowej powieści miał odwagę rozwinąć nad głową sztandar wolnej myśli i rzucić snop światła w polskie „odrodzone średniowiecze”!

O „Zmorach” zamieścimy obszerniejszą recenzję.

AGENCJA WIADOMOŚCI Z GAZET I CZASOPISM W WYCINKACH

**INFORMACJA**

WARSZAWA  
UL. BRACKA 5  
TELEF. 9-41-53

**W**  
**POLSKA**  
**A**

WYCINEK Z WYDAWNICTWA  
**SŁOWO POMORSKIE** (Toruń)

Nr. .... d. **24 GRUD. 1935**

Informacja Prasowa Polska  
W WYCINKACH Z GAZET I CZASOPISM  
WARSZAWA

UL. BRACKA 5. TELEF. 9-41-53

WYCINEK WYDAWNICTWA

LWÓW

Nr. .... d. **20 GRUD. 1935**

## Nareszcie skonfiskowano „Zmory”

Kraków, poniedziałek. Prokuratura krakowska nakazała konfiskatę powieści Emila Zegadłowicza p. t. „Zmory”. Funkcjonariusze policji śledczej obeszlą już wszystkie księgarnie w Warszawie, Krakowie i Lwowie, konfiskując wszędzie egzemplarze drugiego wydania „Zmor”. W niektórych księgarniach — antykwariatach, usiłujących ukryć egzemplarze skonfiskowanej książki, przeprowadzono rewizje.

Powieść Zegadłowicza uległa konfiskacie dopiero w drugim wydaniu, jakie ukazało się nakładem krakowskiej „Księgarni Powszechnej”. Pierwsze

wydanie nakładu warszawskiej księgarni F. Hoesicka rozeszło się bez przeszkód.

„Zmory”, zawierające pornograficzne opisy, postępujące się ulicznym słownikiem i stanowiące niesłychany przykład na duchowieństwo, spotkały się, jak wiadomo, z jednogłosem niemal potępieniem polskiej krytyki. „Zmory” napłynęły także w swej odezwie, skierowanej przeciw księżkom niemożliwym ks. arcybiskup Sapięha. Spóźniona konfiskata nie naprawi, niestety, szkody, jaką wyrządziło rozpowszechnienie się pierwszego wydania demoralizującej książki.

## Konfiskata „Zmor” Zegadłowicza. Wczoraj policja zabrała egzemplarze w księgarniach lwów.

Jak informują, w dniu wczorajszym lwowskie organy bezpieczeństwa zabrały w księgarniach lwowskich egzemplarze powieści Zegadłowicza „Zmory”, która została skonfiskowana. Książka ta z powodu poruszania spraw seksualnych młodzieży spotkała się w kołach literackich z niejednolitą oceną.

Wystąpiło przeciw niej duchowieństwo katolickie. W Warszawie odbyła się w Związku literatów publiczna dy-

skusja nad tą powieścią z referatem prof. Bychowskiego. W rozmaitych pismach literackich i codziennych ukazały się artykuły polemiczne za i przeciw „Zmorom”. Dzięki tej miarowolnej reklamie popyt na książkę był duży. Tymczasem wczoraj usunięto książkę z rynku księgarskiego we Lwowie. Jak się dowiadujemy, konfiskata nastąpiła na polecenie prokuratury w Krakowie.

Ckliwą i mało przemawiającą do czytelnika historię dzieciństwa *Mikołaja Srebrzypisanego* czytaliśmy w trzech potężnych tomach bez specjalnego entuzjazmu. Wprawdzie z każdym nowowydanym tomem łudziliśmy się, że tym może razem Zegadłowicz powie coś nowego, zerwie z sentymentalizmem, mistycyzmem i całą tą uprzykszowaną manjerą cukierkowego liryzmu, ale nie mogliśmy jakoś doczekać się nic lepszego i plastyczniejszego.

Pod koniec października ukazały się na półkach księgarskich „Zmory”, stanowiące Mikołajowej epopei tom ostatni i najlepszy. I właśnie z chwilą ukazania się „Zmór”, bezwątpienia najdojrzałszej książki Emila Zegadłowicza, narodził się w naszej krytyce literackiej nowy jej rodzaj, bezmyślny, rozplotkowany, rozhisteryzowany i pływający, który nazwać tu chcemy „zmoryzmem” jako zjawisko specjalnie odrębne i charakterystyczne.

„Zmoryzmem” nie jest zjawiskiem bez precedensu w dziejach kultury polskiej. W ciekawym dziele „Przed 10 laty”, zamieszczanym ostatnio w Wiadomościach Literackich znajdujemy niezwykle charakterystyczne głosy prasy endeckiej i klerikalnej o Stefanie Żeromskim z lat 1924—1925, nie wiele odbiegające w metodach ataku od nagonki przeciw Zegadłowiczowi. Te napaści na Żeromskiego są jeszcze jednym przykładem „zmoryzmu”, nieprzebierającego w środkach, paszkwilanckiego demagogicznego, szafującego ekskhibicjonizmem, pornografią i porkografią.

W roku bieżącym prasa reakcyjna pisała o Stefanie Żeromskim zupełnie inaczej: apoteozując, entuzjastycznie, bogo-ojczyzniano, z leką rozczulenia i nieuzasadnioną dumą, że Żeromski był „ich”, niemal katolicki, prawie endecki. Obawiamy się, że jeśli Zegadłowicz za parę lat napisze jeszcze jedną i drugą dobrą książkę, spotka go los, podobny do losu Żeromskiego: byle endeck będzie twierdził, że Zegadłowicz jest jego, właśnie jego, a nie wszystkich innych, właśnie narodowy, mleczny brat Karola Huberta Roztorowskiego i Zygmunta (Anioła) Wasilewskiego. Przy wrodzonym przedstawicielom tego obozu braku pamięci i bezczelnym tupecie fakt taki nabiera cech zupełnego prawdopodobieństwa.

Ale żart na stronę. Zestawienie Żeromskiego i Zegadłowicza nie jest tu przypadkowe i jedynie paraliczne. Obok podobnych form ataku na obu pisarzy, podobieństwa łączą znacznie dalej i głębiej, do ematu ich utworów. W „Zmorach” Emil Zegadłowicz jest ścisłym obrwatorem wieku pobierania edukacji w szkole średniej, okresu psychicznego i erotycznego dojrzewania, nieśmiały prób samodzielnie formowania pierwszych światopoglądów. Zasadniczą treścią utworu jest walka. Walka z obcą, wrogą szkołą, ze zniechęconymi belframi c. i k. monarchii austriackiej, z najbliższą rodziną, z fałszem, zakłamaniem i pruderją, z rodzającą się zmysłowością, z kołtuństwem małego miasteczka, z apatją szarych, bezbarwnych dni. A więc tło niezbyt dalekie od „Syzyfowych Prac” Stefana Żeromskiego.

Na tle walki Mikołaja, a właściwie na jej marginesie, toczy się druga walka, nierównie głębsza i bardziej pasjonująca, walka samego pisarza z codziennie napotykanym kołtuństwem i zakłamaniem, z maczami reakcji i taniej demagogii, w których tak niedawno jeszcze znajdował się beskidzki czciciel świątków, słońca i drewnianych Chrystusików z przydrożnych figur i krzyży. „Zmory” są bowiem odzignaniem się artysty od całego świata, w który wierzył, zerwaniem z grupą ludzi, którzy jeszcze rok temu uważali go za jednego z chora-

zych swego leniwego i bezmyślnego pochodu. I znów żywiołowa namiętność, nieraz śmieszna i karykaturalna, z jaką prowadzi tę walkę Emil Zegadłowicz, dziwnie blisko stawia go od Stefana Żeromskiego. Tu pararele są nierównie istotniejsze i wyraźniejsze. Krytyka „Zmór” poszła w jednym, starym kierunku. Ekshibicjonizm, szarganie świętości, obrzoburzenie i świntuszenie. W krytyce tej zapomniano o wszystkich war-

tościach formalnych i konstrukcyjnych najlepszej książki Zegadłowicza, przycepieno się natomiast do kilku stron przejawionych, ryzykownych, przesadzonych w zamęcie i zapale walki. Najpiękniejsze fragmenty „Zmór” przeszły bez najmniejszego wrażenia. Przedziwnie piękny okres „słowaczczyzny” w życiu Mikołaja, jego pierwsze odczucia liryczne, spotkania z ojcem — profesorem i księżycowy roman-

tyzm pierwszego zbliżenia z luntką — Balbiną, uszły uwagi krytyków „z wysp nieoczekiwanych”. Zagonieni w poszukiwaniu sensacji, zapluci w atakach na myślący odłam polskiej inteligencji, przygodni rzemieślnicy pióra uderzyli na larum z powodu kilkudziesięciu stron książki najmniej charakterystycznych, najbardziej przypadkowych, najluźniej związanych z całością dzieła. Gdyby istniały jeszcze

sądy inkwizycji, Zegadłowicz miałby poważne szanse na powolną śmierć na stosie, gdyby ekskomunika była w stanie dosięgnąć kogoś praktycznie, wyklinano go z każdej ambony, gdyby kołtuństwo dzierżyło ster władzy państwowej, doszedłby do głosu prokurator, którego namiętnie i śmiesznie żąda Wasilewskiego „Myśl Narodowa”. Naturalnie rezultat tej nagonki nie dał na siebie długo czekać. Przeciwny czytelnik, biorący do ręki „Zmory”, nastawiony jest jedynie i wyłącznie na ich erotyzm i tylko te fragmenty książki zapamięta i przemyśli. Całość dzieła ujdzie jego uwagi, przejdzie bez wrażenia, zatrze się, zagubi.

Kto czytał Lawrence’a „Kochanka i obrona Lady Chatterley”, Joyce’a „Ulyssesa” i Celine’a „Podróż do kresu nocy” na całą tę hecę polskiego zmoryzmu patrzeć musi z uczuciem głębokiego wstydu i przerażającego przynębienia. Wiemy do brze, że są pewne tematy, o których nie przywykło się mówić głośno i przy każdej okazji. Wiemy jednak również, że nie mówienie o nich nie jest jeszcze walką ze złem. Życie płciowe i jego wszystkie przejawy, choćby nieomawiane głośno, przestały już być wstydliwym, nieobyczajnym tematem z cyklu „tylko dla dorosłych”. Każdemu wolno uprawiać strusia politykę chowania głowy w piasek i ze zwolennikami tej metody trudno byłoby polemizować. Ludzie, którzy przez całe życie przywykli wierzyć jedynie w to, co przyjemne i wygodne, napewno nie przejmą się „Zmorami”. Ponury aspekt pewnych odcinków naszej rzeczywistości w opinii ich zawsze będzie jedynie objawem pornografii i porkografii, przesadzonym, nieprawdziwym, wyssanym z palca. Nie chodzi więc tutaj o zagadnienie erotyzmu „Zmór” i napaści na ten erotyzm. Zagadnieniem czołowym jest tu raczej żądanie uczciwości w osadach czyjejsi pracy, żądanie odpowiedzialności, obiektywizmu i rzeczowości krytyki. Trzeba nareszcie zrozumieć, że książka nie dlatego jest dobra, że wyszła z pod pióra pana X czy Y, ale dlatego, że wnosi coś nowego, twórczego, własnego. Fakt pisania słowa „bóg” przez małe „b” jest bezwątpienia śmieszny właśnie u Emila Zegadłowicza, nie upoważnia on jeszcze jednak niepoważnych krytyków do wszczęcia dzikiej, bezmyślniej hecy, nie wiele różniące się od bicia żydów na uniwersytecie, czy sprawozdań „Warszawskiego Dziennika Narodowego” z poczynania rządu i tak zwanej „sanacji”. I znów nie chodzi tu o zaprzestanie dyskusji na temat zegadłowiczowych „Zmór”. Dyskutować można i należy — trzeba tylko uważać, żeby dyskusja nie stała się naszczekiwaniem, żeby nie wzywała z niej zapluta piana politykierstwa i taniej demagogii. O tym, że wiele fragmentów „Zmór” doskonale nadaje się pod zimny skalpel krytyka, wiemy dobrze i takiego właśnie sądu mamy prawo wymagać od tych, którzy go podejmą. Niestety, uczciwa krytyka jest w Polsce zjawiskiem niezwykle rzadkim, zarówno w odniesieniu do literatury jak i wszystkich innych przejawów czyjejsi aktywności. Tym razem jednak nagonka na Zegadłowicza nie ma nic wspólnego z najszerzej nawet pojmowaną krytyką. Bezmyślny atak na „Zmory” jest jeszcze jednym ogniwem łańcucha kołtuństwa, demagogii i reakcji, wciskających się coraz natarczywiej w nasze życie. Ten plugawy zmoryzmem, z którym przychodzi walczyć na każdym odcinku polskiej rzeczywistości, stał się zjawiskiem nagminnym, wymagającym jaknajszybszego rozwiązania i wypełnienia. Na jego tle nagonka przeciw Zegadłowiczowi nabiera specjalnego posmaczku, staje się znamieniem *signum temporis* naszych dni.

„ILUSTROWANY KURIER CODZIENNY” Nr. 353. Sobota, 21 grudnia 1935 r.

## Konfiskata „Zmor” Zegadłowicza.

Ze Lwowa donosi (C): We czwartek przedpołudniem obchodzili funkcjonariusze wydziału śledczego wszystkie księgarnie i konfiskowali powieść Zegadłowicza „Zmory”, powołując się na polecenie prokuratury krakowskiej. Skonfiskowane egzemplarze złożono w starostwie grodzkiem. Jak wiadomo, pierwsze wydanie „Zmor” nie uległo konfiskacie, i nakład został wyczerpany.

Warszawa, piątek 20 grudnia 1935 r.

WIECZOR  
WARSZAWSKIKonfiskata „Zmor” Zegadłowicza  
Policja zajęła drugi nakład książki

Prokuratura krakowska nakazała konfiskatę powieści Emila Zegadłowicza p. t. „Zmory”. Funkcjonariusze policji śledczej obeszli już wszystkie księgarnie w Warszawie, Krakowie i Lwowie, konfiskując wszędzie egzemplarze drugiego wydania „Zmor”. W niektórych księgarniach — antykwariatach, usiłujących ukryć egzemplarze skonfiskowanej książki, przeprowadzono rewizje.

Powieść Zegadłowicza uległa konfiskacie dopiero w drugim wydaniu, jakie ukazało się nakładem krakowskiej „Księgarni Powszechnej”. Pierwsze wydanie nakładu

warszawskiej księgarni F. Hołsiaka rozeszło się bez przeszkód.

„Zmory”, zawierające pornograficzne opisy, posługujące się ulicznym słownikiem i stanowiące niesłychany paszkwil na duchowieństwo, spotkały się, jak wiadomo, z jedynym niemal potępieniem polskiej krytyki. „Zmory” napiętnował także w swej odezwie skierowanej przeciw książkom nie moralnym ks. arcybiskup Sapieha. Spóźniona konfiskata nie naprawi, niestety, szkody, jaką wyrządziło rozpowszechnienie się pierwszego wydania demoralizującej książki.

GAZETA GAZET  
Z WYCINKÓW PRASOWYCH  
INFORMACJA  
KURIER CODZIENNY  
WARSZAWA  
REDAKCJA  
ADMINISTRACJA  
WARSZAWA, UL. BRACKA 5 TELEFON 9-41-53  
WYCINEK  
Z WYDAWNICTWA  
Nr. 20 GRUD. 1935

## „Zmory” Zegadłowicza skonfiskowano

Z polecenia prokuratury krakowskiej i lwowskiej skonfiskowano w księgarniach obu miast drugie wydanie „Zmor” najnowszej powieści Emi-

la Zegadłowicza. Jak wiadomo, pierwsze wydanie tej powieści nie uległo konfiskacie.





53

Informacja Prasowa Polska  
W WYCINKACH Z GAZET I CZASOPISM  
WARSZAWA  
UL. BRACKA 5. TELEF. 9-41-53

1125

WYCINEK Z WYDAWNICTWA

Nr. 31 d. 21 GRUD. 1935

**Konfiskata „Zmor“ Zegadłowicza.**

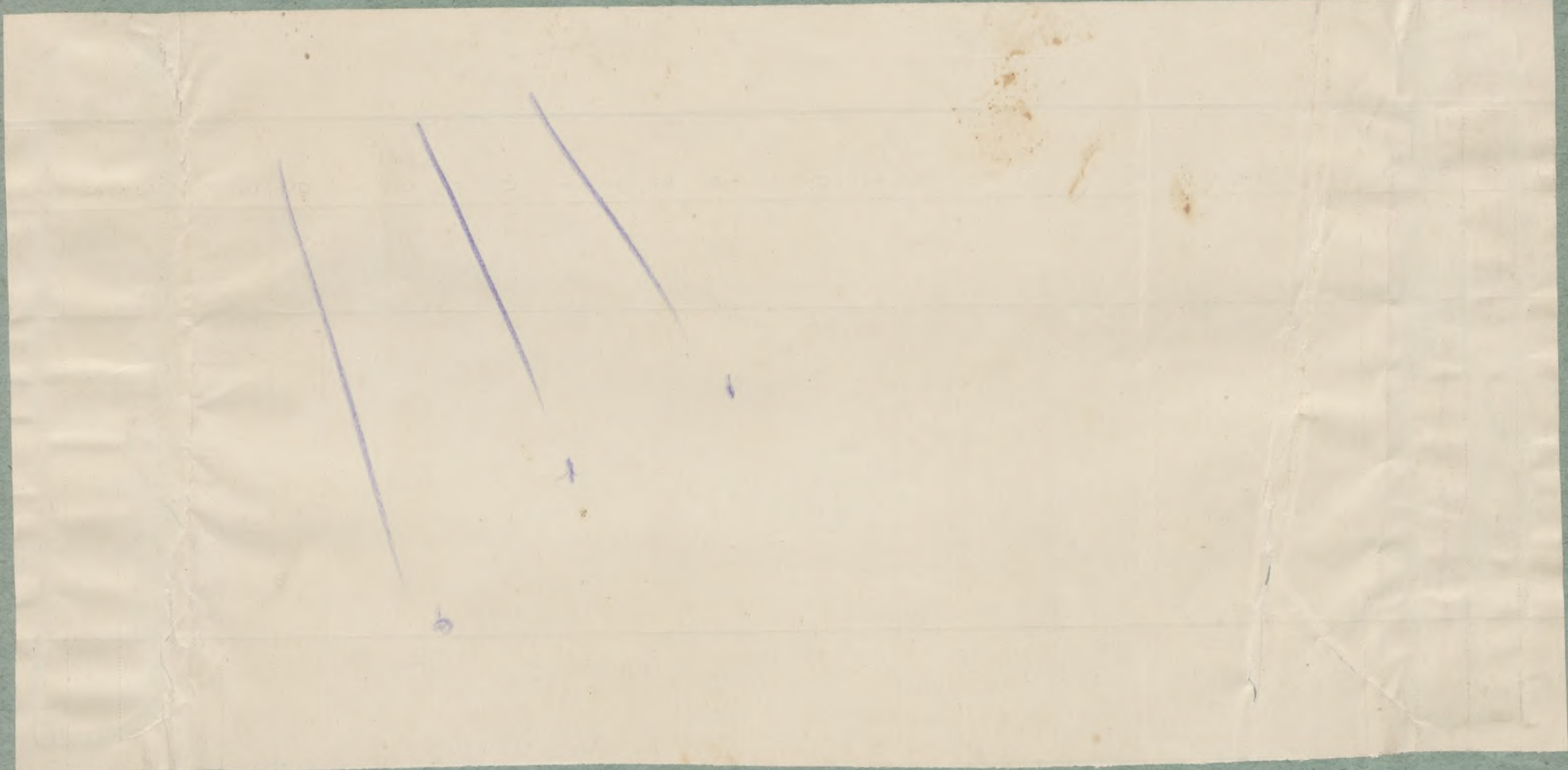
Ze Lwowa donosi (C): We czwartek przedpołudniem obchodzili funkcjonariusze wydziału śledczego wszystkie księgarnie i konfiskowali powieść Zegadłowicza „Zmory“, powołując się na polecenie prokuratury krakowskiej. Skonfiskowane egzemplarze złożono w starostwie grodzkiem. Jak wiadomo, pierwsze wydanie „Zmor“ nie uległo konfiskacie, i nakład został wyczerpany.

Informacja Prasowa Polska  
W WYCINKACH Z GAZET I CZASOPISM  
WARSZAWA  
UL. BRACKA 5. TELEF. 9-41-53

WYCINEK Z WYDAWNICTWA  
**DZIENNIK BIAŁOSTOKI**  
Nr. 23 GRUD. 1935

**Konfiskata „Zmor“  
w Krakowie**

Prokuratura przy sądzie okręgowym w Krakowie zarządziła konfiskatę powieści Zegadłowicza p. t. „Zmory“. W związku z zarządzeniem konfiskaty, policja zajęła egzemplarze tej powieści we wszystkich księgarniach krakowskich.



**INFORMACJA  
PRASOWA  
POLSKA**

1125  
AJENCJA WIADOMOŚCI W WYCINKACH Z PRASY  
BRACKA 5 WARSZAWA TEL. 9-41-53

WYCINEK Z WYDAWNICTWA

Nr. 22 d. 22 GRUD. 1935

**Skonfiskowane „Zmory“**

Z polecenia władz funkcjonariusze policji zabierają egzemplarze powieści Zegadłowicza „Zmory“, która została skonfiskowana.

Jak wiadomo, ks. Metropolita krakowski, Sapieha, w osobnym liście pasterskim potępił demoralizujące książki, mając, jak się domyślano, na myśli m. in. „Zmory“.

**INFORMACJA  
PRASOWA  
POLSKA**

1125  
AJENCJA WIADOMOŚCI W WYCINKACH Z PRASY  
BRACKA 5 WARSZAWA TEL. 9-41-53

WYCINEK Z WYDAWNICTWA

Nr. 353 d. 21 GRUD. 1935

**„Zmory“  
skonfiskowane**

We Lwowie skonfiskowano wszystkie egzemplarze książki Emila Zegadłowicza p. t. „Zmory“. Konfiskata nastąpiła ze względu na pewne zbyt drażliwe tematy, poruszające sprawy seksualne młodzieży. Konfiskata nastąpiła z polecenia prokuratury krakowskiej.

Informacja Prasowa Polska  
W WYCINKACH Z GAZET I CZASOPISM  
WARSZAWA  
UL. BRACKA 5. TELEF. 9-41-53

1125

WYCINEK Z WYDAWNICTWA  
**EXPRESS ZAGŁĘBIA  
SOSNOWIEC**

Nr. d.

21 GRUD. 1935

**„Zmory“ Zegadłowicza  
skonfiskowane**

KRAKÓW, 20.12. Z polecenia władz funkcjonariusze policji zbierają egzemplarze powieści Zegadłowicza „Zmory“, która została skonfiskowana.

Jak wiadomo, ks. Metropolita krakowski Sapieha, w osobnym liście pasterskim potępił demoralizujące książki, mając, jak się domyślano, na myśli m. in. „Zmory“, która to powieść wywołała ostatnio gwałtowną polemikę w kołach literackich, wśród krytyków i w prasie.

54.

~~Handwritten signature~~

Warszawa  
Bracka 5  
Tel. 9-41-53

# Informacja Prasowa Polska

Jedyna w Polsce  
Agencja wiadomości z prasy  
całego świata w wycinkach

WYCINEK Z WYDAWNICTWA

GŁOS LUBELSKI 31 STYC. 1936

Nr. .... d. ....

## Kim jest p. Zegadłowicz?

W miesięczniku „Wiara i Życie” (styczeń r. b.) profesor Ludwik Skoczylas kreśli sylwetkę Emila Zegadłowicza, autora skonfiskowanej za opisy pornograficzne książki pt: „Zmory”.

Profesor Skoczylas, na podstawie zebranych materiałów, zarzuca Zegadłowiczowi zakłamanie i fałsz w ujemnym przedstawieniu grona nauczycieli gimnazjum w Wadowicach, gdzie autor „Zmor” się wychowywał. Dyrektor Arzt, który otaczał Zegadłowicza serdeczną, choć dyskretną opieką, przedstawiony został przez poeetę, jako typowy czarno-żółty urzędnik, którego nawet żony nie oszczędził autor, powtarzając o niej obrzydliwe, małomiasteczkowe plotki.

Prof. Sobiński, nauczyciel geografii i polskiego, świetny pedagog i dydaktyk, został scharakteryzowany, pod imieniem Robińskiego, jako „tyran”. Profesor Sobiński — w okresie już niepodległości kurator lwowski — padł od kuli morderczej sfanatyzowanego Rusina.

Dalej pisze profesor Skoczylas: „Nieszczere również wydają się opisy przeżyć autora z ławy szkolnej w zakresie uczuć narodowych. Dziadek autora był Czechem, ojciec Rusinem, matka pochodziła z rodziny czesko-polskiej. Za co uważał się sam autor w okresie szkolnym? Za Rusina, Czecha czy Polaka? Kiedy dziadek autora robi testament, tak się wyraża o swym wnuku: „On to i czeski i pruski i ruski”. A sam autor za kogo się właściwie uważa? Kiedy natrzasa się z austriackich urzędników, podkreśla, że nienawidzi Austrii. Ale gdy się natrzasa z uroczyściwości patrioetycznych polskich, urządzanych nielegalnie przez współkolegów, wtedy chyba nie przemawia przez niego

rodowity Polak.”

Powstaje pytanie, czy za „zasługi” dla literatury narodowej, czy za pornograficzną powieść niedawno Polska Akademia Literatury odznaczyła p. Emila Zegadłowicza złotym wawrzynem? Ciekawem też jest, za jakie zasługi p. Emil Zegadłowicz obok piszącego przeważnie po polsku nie-polskiego Tuwima, jest wysuwany na członka PAL-u?

### Informacja Prasowa Polska W WYCINKACH Z GAZET I CZASOPISM WARSZAWA

UL. BRACKA 5. TELEF. 9-41-53

WYCINEK Z WYDAWNICTWA

GAZETA 24 GRUD. 1935

Nr. ....

### Konfiskata powieści „Zmory”

Donoszą z Krakowa, że z polecenia władz funkcjonariusze policji zabierają egzemplarze powieści Zegadłowicza „Zmory”, która została skonfiskowana.

Jak wiadomo, ks. metropolita krakowski Sapieha, w osobnym liście pasterskim potępił demoralizujące książki, mając — jak się domyślano — na myśli m. in. „Zmory”.

### INFORMACJA PRASOWA POLSKA

AGENCJA WIADOMOŚCI W WYCINKACH Z PRASY  
BRACKA 5 WARSZAWA TEL. 9-41-53

WYCINEK Z WYDAWNICTWA

EXPRESS PORANNY

KIELCE-RADOM

Nr. ....

d. .... 23 GRUD. 1935

### Konfiskata „Zmor” w Krakowie

Prokuratura przy sądzie okręgowym w Krakowie zarządziła konfiskatę powieści Zegadłowicza p. t. „Zmory”. W związku z zarządzoną konfiskatą, policja zajęła egzemplarze tej powieści we wszystkich księgarniach krakowskich.

AGENCJA  
WIADOMOŚCI  
Z GAZET  
I CZASOPISM  
W WYCINKACH

# INFORMACJA PRASOWA POLSKA

WARSZAWA  
UL. BRACKA 5  
TELEF. 9-41-53

WYCINEK Z WYDAWNICTWA

SŁOWO POMORSKIE (Toruń) 30 STYC. 1936

Nr. ....

## Kim jest p. Zegadłowicz?

W miesięczniku „Wiara i Życie” (styczeń r. b.) prof. Ludwik Skoczylas kreśli sylwetkę Emila Zegadłowicza, autora skonfiskowanej za opisy pornograficzne książki pt. „Zmory”.

Prof. Skoczylas, na podstawie zebranych materiałów, zarzuca Zegadłowiczowi zakłamanie i fałsz w ujemnym przedstawieniu grona nauczycieli gimnazjum w Wadowicach, gdzie autor „Zmor” się wychowywał. Dyrektor Arzt, który otaczał Zegadłowicza serdeczną, choć dyskretną opieką, przedstawiony został przez poeetę, jako typowy czarno-żółty urzędnik, którego nawet żony nie oszczędził autor, powtarzając o niej obrzydliwe, małomiasteczkowe plotki.

Prof. Sobiński, nauczyciel geografii i polskiego, świetny pedagog i dydaktyk, został scharakteryzowany, pod imieniem Robińskiego, jako „tyran”. Prof. Sobiński — w okresie już niepodległości kurator lwowski — padł od kuli morderczej sfanatyzowanego Rusina.

Dalej pisze prof. Skoczylas:

„Nieszczere również wydają się opisy przeżyć autora z ławy szkolnej w zakresie uczuć narodowych. Dziadek autora był Czechem, ojciec Rusinem, matka pochodziła z rodziny czesko-polskiej. Za co uważał się sam autor w okresie szkolnym? Za Rusina, Czecha czy Polaka? Kiedy dziadek autora robi testament, tak

się wyraża o swym wnuku: „On to i czeski i polski i ruski”. A sam autor za kogo się właściwie uważa? Kiedy natrzasa się z austriackich urzędników, podkreśla, że nienawidzi Austrii. Ale gdy się natrzasa z uroczyściwości patrioetycznych polskich, urządzanych nielegalnie przez współkolegów, wtedy chyba nie przemawia przez niego rodowity Polak.”

Powstaje pytanie, czy za „zasługi” dla literatury narodowej, czy za pornograficzną powieść niedawno Polska Akademia Literatury odznaczyła p. Emila Zegadłowicza złotym wawrzynem? Ciekawem też jest, za jakie zasługi p. Emil Zegadłowicz, obok piszącego przeważnie po polsku nie-polskiego Tuwima, jest wysuwany na członka PAL-u?

WYCINEK Z WYDAWNICTWA

ORĘDOWNIK WIELKOPOLSKI (Poznań)

Nr. .... d. .... 26 STYC. 1936

## Literatura ze szminką nierządniczy

Wszystkie narody, wszystkie jednostki normalne uważały zawsze sztukę za rodzaj kapłaństwa, za pośredniczkę z lepszym zaświatem, za dostojną służbę pięknu, które moralnie zobowiązuje. Artysta tworzący nazywał się zawsze ulubieńcem bogów, wodzem duchów, wybrańcem. W sztukę zapatrują się ludzie, jak w ideał swych żywotów, cel życia widzą w naśladowaniu wzorów sztuki. Sztuka formuje dusze narodów, kieruje ich czynami. Szczególna zatem jest jej waga, szczególna odpowiedzialność jej ideałów. Jakże potworne skutki może mieć n. p. literatura, gdzie za piękno podaje się grzechy, gdzie znajduje się rozgrzeszenie dla złych skłonności i postępów przez proste wykazanie ich powszechności, a więc tolerancji wobec nich! A jeżeli — jak chcą niektórzy — sztuka jest przyjemnością i służy pięknu tylko, to czyż można służyć pięknu, np. przez publiczne chwalenie nierządu? Dziwna rzecz, że ci literaci co najgłośniej krzyczą o służbie pięknu, najczęściej wkraczają w dziedzinę niepiękne. Można pięknem oświecać brzydotę. Ale radowanie się brzydotą...

Literatura narodowa ma na celu nie tylko czystość twórczości polskiej, ale i jej rasowość. T. zn. ma doprowadzić do rozkwitu najwłaściwsze, najidealniejsze pierwiastki duszy narodowej. Zaprzeczeniem takiej literatury jest dzieło, które rozeszło się z hałasem, „Zmory” Zegadłowicza. Autor nie jest Polakiem, lecz rasowym mieszancem. Jego niepolską z gruntu powieść przyjęło oczywiście z entuzjazmem żydostwo, zwłaszcza, że powieść bardzo bliska jest żydowskich ulubień. Rychło p. Breiter nazwał „Zmory” — „książką odważną”, a „Wiadomości Lit” zaliczyły ją do najlepszych w r. ub. Odwaga książki polega na opisie zbrodni, brudu życia i najciemniejszych jego zaułków słowami żargonu prostytutek (jest ich w powieści kilka z niekłamana sympatją, jako wzór dla „obłudnic” opisanych) i na opisie spraw, które w dziele literackim stają się szczególnie ohydne. Szerokie i wyczerpujące (a liczne) opisy wyuzdanej i zbrozonej rozpusty, zupełny cynizm wobec wszelkich spraw życia, uznawanie plwocin za płuca, ropy za krew. Naprawdę szczęście, że autor nie chciał na tem tle poza sobą szukać ideału. Jeden z idealnych jego bohaterów powiada: „ojczyzna — taki sam straszak, jak bóg, którego sobie człowiek wymyślił na własny łęk i trzymanie w ryzach innych; dobry interes!” A sam autor uważa, że religia tworzy „nierealnych bogów” i rozpłaszcza się „wśród przykazań, reguł, przepisów i nonsensownych praktyk, jak kropla spirytusu w kubie pomoy”. Wojsko, to ci, co „chcą bezpośrednio zabijać”, a księża, to tacy, co „błogosławią zabijanie” i t. p. Na „Zmorach” studjować można, jaka nie powinna być literatura piękna i dobra. Obserwować na tem dziele można typową histerję sławy. Podniecone bronzoburstwem i łaknieniem oryginalności pewne towarzysztwo, od jakiegoś czasu uważa, że sławę najdogodniej zdobyć opisem tematów i w sposób, jakich jeszcze w literaturze nie bywało. Licytują się ci „artyści” w słownictwie kłoczonym, w pornografii, w pochwałach zbrodni i ohyd. Krzywicka, Uniłowski, zakasował ich teraz stary Zegadłowicz. Nie stać go już na poezję. „Zmory” są rozpaczliwym ściganem wymykającej się poezji. Ale to nieopanowane ściganie za nią zrodziło tylko — wymioty. Szczytem poezji, pointą powieści jest akt płciowy, a żeby było poetyczniej — z damą księżycową, choć bardzo po ludzku. Całość — nudna i chaotyczna, wrażenie — odrzucającego niesmaku. Na ile zbrozonego, rozszwiniętego świata przedstawił autor cnotliwego niby młodzieńczyka, t. zn. siebie (bo to autobiografia). Nasuwa się pytanie: jak z takiego skromniaczka mógł wyrósć autor „Zmor”? Jakież trzeba było mieć w młodości chciwe oczy, żeby tak wszystko widzieć i pamiętać!

Obowiązkiem narodowego ruchu, czuwającego nad moralnością narodu jest tępicz czynnie plód zbrozonej sławy.

JAN BIELATOWICZ.

56.

# INFORMACJA PRASOWA POLSKA

AGENCJA WIADOMOŚCI W WYCINKACH Z PRASY  
BRACKA 5 WARSZAWA TEL. 9-41-53

WYCINEK Z WYDAWNICTWA  
DZIEŃ POMORSKI (Toruń)

Nr. .... d. 24 GRUD. 1936

## Konfiskata powieści

Donoszą z Krakowa, że z polecenia władz funkcyjarskiej policji zabierają egzemplarze powieści Zegadłowicza „Zmory”, która została skonfiskowana. Jak wiadomo, ks. metropolita krakowski Sapieha, w osobnym liście pa-sterskim potępił demoralizujące książki, mając — jak się domyślano — na myśli m. in. „Zmory”.

jem aphrodisiacum dla młodych dusz, czyliż trzeba o tem przypominać? Hic sunt leones — tu właśnie rodzą się straszliwe kompleksy, sublimujące się później w eroici furrori, albo w zbrodnie lustmörderów.

Druga rzecz. Weźmy najtkliwszą pieczętę dwojga kochających się ludzi. Będzie to źródło najwyższych ekstaz i natchnień, sprawa sublimująca się w najwyższe dzieła sztuki, bohaterstwa i poświęcenia. Ale zajrzyjmy do słownika i postarajmy się dowiedzieć, jak się ta czynność nazywa. Znajdziemy słowa pełne takiej ohydy, takiego sadyzmu, takiej pogardy dla człowieka i jego najwyższych spraw duchowych, że to poprostu przeraża. Kto stworzył takie słowa na oznaczenie najtkliwszych stosunków człowieka z człowiekiem? Przecież Zegadłowicz i nawet nie wuj Waclaw. Wuj Waclaw został na tych słowach wychowany. Gdyby te rzeczy były jakoś „adekwatnie” nazywane, rzeczy piękne nie byłyby plugawione po płotach i w stałych rozmowach mężczyzn lubiących pieprzne kawały.

Czy to źle, że Zegadłowicz powtarzał te rozmowy, słowa, uczynki, które uchodzą za nieprzyzwoite? Niedawno kierowniczka szkoły opowiadała mi, że dziesięcioletni chłopiec naponimany przez nią, aby nie zasypiał na lekcji, odpowiedział jej: „Ojciec przyprowadził sobie na noc jakąś babę i przez całą noc spać mi nie dali”. Nauczycielka przeraziła się, że chłopiec (synek wdowca) opowiada jej tak na-

(Dokończenie art. na str. 7-mej).

(Dokończenie art. „Środowisko Mikołaja Srebrempisanego”).

ownie rzeczy podobne, ale jeszcze bardziej przerażilo ją to, że klasa przyjęła to oświadczenie dość obojętnie. Realizm życia przerasta ogromnie realizm literacki.

Czy Zegadłowicz chciał się zareklamować? Niektórzy mniemają, że tak jest. Czy Zegadłowicz dawniej kłamał, gdy był świątkarzem beskidzkim? Nie wierzę ani w jedno, ani w drugie. Jako świątkarz był poprostu wytworem pewnego środowiska. Urobiła go szkoła, rodzina, całe wogóle środowisko. Konwencjonalizm środowiska to olbrzymia potęga. Któż z nas nie ulegał czarowi trylogii Sienkiewicza, aby po latach zrozumieć, że dawano nam tylko pół prawdy, że to krzepicielstwo słabych serc było w gruncie rzeczy pół-klamstwem.

Na wielką skalę walka z konwencjonalizmem odbywa się właśnie w społeczeństwie angielskim, gdzie młodzież literacka wali z całym sił w zmruszały zakłamaną purytanizm i wiktoriańską. Sprawy ciała, ziemi i życia ziemskiego wysuwają się na czoło i młoda literatura odcina całe stulecia prudencji, kłamstwa, nieszczerości. Czy Zegadłowicz musiał się koniecznie przekreślić? Nie wiemy przecie, jakie odbywały się w nim walki. Przed dobrmi paru laty publicystycznie atakował tępotę drobnomieszczaństwa i stawał zdecydowanie po stronie młodych. Co to było? Gdyby był takim spekulantem literackim, jakim chcą go zrobić niektórzy życzliwi krytycy, czyż byłby robił coś podobnego? Oczywiście nie!

Pisanie takich książek jak „Zmory” to rzecz niesłychanie trudna. Wiadomo przecie, że będzie się miało przeciwko sobie stateczną, solidną większość, prokuratora i cenzora. W Zegadłowiczu coś się tliło bardzo długo i bardzo długo on sam gasił ten płomień, który wreszcie strzelił czerwona płachta jak sztandar buntu. Człowiek dawny umiał być inny publicznie a inny prywatnie. Człowiek dzisiejszy domaga się prawa publiczności dla wszystkiego, co jest ludzkie. Braciszek Lipi miał sobie dziecko z kochanką-mniszką i malował ją z tem dzie-

kiem, jako Madonnę. Nie przeszkadzało mu, że zbliża niejako dwie rzeczy wykluczające się wzajemnie. Mniszka Heloiza w listach do Abelarda, kochanka swego i księdza, bardzo realistycznie opisywała tęsknoty swego ciała za pieczętami, które przepadły od chwili, gdy wrogowie jej kochanka pozabawili go męskości. Poważny Montaigne w trzeciej księdze „Prób” rozważa sprawy „drażliwe”, wzywając czytelników, aby nie wstydzili się mówić o rzeczach, o których nie wstydzą się myśleć i których nie wstydzą się odczuwać. Człowiek współczesny dość na narzuconej mu schizofrenji i sealed się nanowo. Zegadłowicz przeszedł pewien rozwój wewnętrzny: jego kompleks dojrzał i... jak powiadają behawioryści amerykańscy — zwerbalizował się.

Książka niechlujna? Dlaczego? Że może zamalała komponowana? Ależ ten zarzut stawiają krytycy nawet Balzakowi! A Céline, którego Kuryluk przeciwstawia jako wzór Zegadłowiczowi, nie grzeszy kompozycyjną zwartością. A jednak został rozchwytyany, tak samo, jak u nas rozchwytyano wlot „Zmory”.

Ludzie skądinąd zblazowani, przemęczeni w dodatku straszliwą literackością i „malarzkością” naszej literatury, wyczuli w „Zmorach” wybuch jakiejś odważnej prawdziwości i to ich wzięło. Wobec tej właśnie prawdziwości wewnętrznej sprawa formy literackiej schodzi na plan ogromnie daleki, maleje i znika. Pozostaje Mik, pozostaje jego środowisko i to wszystko, co każdy z nas w taki czy inny sposób przeżył wespół z Mikiem, przecierpiał z nim w odosobnionem życiu swoim i w milczeniu dorosłych, którzy nie umieli czy nie chcieli pouczyć biedną zblakłą młodzież i wszystko pozostawiali sztukom pedagogicznym Lujzy i ich pomocnic. To są „Zmory”. Wciąż jeszcze aktualne. Książka Zegadłowicza jest prawdziwą i tą prawdziwością wrasta w wielką literaturę. Droga toruje jej w przyszłość — nawet cenzor swojemi praktykami konfiskacyjnymi.

informacja prasowa polska  
gazeta wycinkowa z gazet

warszawa  
ul. bracka 5  
telefon 9-41-53

WYCINEK z WYDAWNICTWA  
Nr. .... d. 26 STCZ. 1936

PAWEŁ HULKA-LASKOWSKI

## Środowisko Mikołaja Srebrempisanego

W artykule swoim „Wielki pisarz czy geniusz reklamy” (Reduta z 24 grudnia r. z.) Karol Kuryluk segregując blaski i cienie „Zmór” Zegadłowicza kończy swoje uwagi wywodem, że książka Zegadłowicza „jest niechlujna” i że „nie ma racji Hulka-Laskowski, gdy zalicza ją do arcydzieł literatury światowej. Tak się w tej literaturze nie pisało i nie pisze”.

Myślę, że powieść Zegadłowicza jest zjawiskiem dość wybitnym, aby zastanowić się nad nią wszechstronnie. Śród kilkunastu znajomych, którzy powieść tę przeczytali i z którymi o niej rozmawiałem, spotkałem takich, którzy byli zachwyceni pięknymi stronicami, jak np. rozmowa ojca z Mikiem, śmierć starego Komendy, gorączka Mika, rozmowa bez słów nad rzeką, budzenie się poety i wreszcie piękno obrazu końcowego, spotkanie Mika z lunaticzką, rzucenie ubrania w studnię i powrót nagiego do nowego życia. Symbolika cudownie piękna i zarazem wyjątkowo wymowna.

Drudzy natomiast oburzali się na Zegadłowicza, że powtarzał słowa i śpiewki wuja Waclawa, że sportretował starą Komendzinę i Podrzwistakę, że dał cudowną minjaturę po-bożnej Lujzy itd. Podobnie jak pierwsi łatwo przechodzili nad „nieprzyzwoitościami” książ-

ki, tak drudzy nie dostrzegali przepięknych stronic idealistycznych w tej realistycznej i idealistycznej zarazem książce. Nadwrażliwość z jednej strony, pewien daltonizm z drugiej.

O cóż chodzi? Jeśli dobrze zrozumiałem powieść Zegadłowicza, centralną postacią jej jest Mikołaj, jego postawa wobec świata i piękna wyczuwanego coraz wyraźniej, aż wreszcie „dusza muzyczna” staje się buntownikiem i bluźniercą w najszlachetniejszym znaczeniu słowa. Chodziło pisarzowi o pokazanie tego środowiska Mikowego wszystkim, którzy go nie znają, znać nie mogą. Zdaje mi się, że i postać Mika i jego środowisko odtworzone zostały doskonale i to czyni z książki Zegadłowicza dzieło wielkiej wartości, do którego będziemy wracali przy wielu okazjach.

Czy Zegadłowicz przesadził? Czy może nawet skłamał? Czy realizm jego zrodził się w nim samym? Kto mieszkał w małym mieście, temu nie trzeba mówić, co mali chłopcy wypisują na murach i płotach. Zepsucie? Nie, ale najbardziej legitymne zainteresowanie sprawami tej fizjologii, która tkwi w nich samych, narzuca się ich uwadze i bywa przez wychowawców załamana, zmuszana do milczenia i ukrywania się. Że wychowanie takie staje się rodza-

informacja prasowa polska  
gazeta wycinkowa z gazet

warszawa  
ul. bracka 5  
telefon 9-41-53

WYCINEK z WYDAWNICTWA  
Nr. .... d. 26 STCZ. 1936

## Zygmunt Bartkiewicz Brwinów

EMIL ZEGADŁOWICZ: Zmory.

Książka Zegadłowicza jest tem, dla mnie, ciekawa, że przykra, jak — żadna. Przykra, jak nieskanalizowana ubikacja na Solcu, opatrzona napisami, obok wrażeń z chwil tam przeżytych, pod czem, wbrew zwyczajowi, podpisał się autor — utalentowany poeta, skądinąd. Książka osobliwa tem jeszcze, że trudno o niej mówić, w tych sferach, gdzie obowiązuje obyczajności poczucie, ale i tam, gdzie wszelka kulturalna forma stanowi przesad „burżuazji”, każdy stróż, czy dorożkarz, po przeczytaniu tych nowotworczych wysiłków, tylko cyknie sliną, przez zęby: — Lipa, przez żadnego pojęcia... Czyli że, trud — dla nikogo, więc ciekawy — poco? Zygmunt Bartkiewicz.

INFORMACJA PRASOWA POLSKA  
AGENCJA WIADOMOŚCI W WYCINKACH Z PRASY  
BRACKA 5 WARSZAWA TEL. 9-41-53

INFORMACJA PRASOWA POLSKA  
AGENCJA WIADOMOŚCI W WYCINKACH Z PRASY  
BRACKA 5 WARSZAWA TEL. 9-41-53

WYCINEK z WYDAWNICTWA  
GŁOS PORANNY  
Nr. .... d. 26 STCZ. 1936  
„Zmory”  
skonfiskowane  
ale tylko w Krakowskiem  
KRAKÓW, 21 12. (PAT) —  
Prokuratura przy sędzie okrę-  
powym w Krakowie zarządziła  
konfiskatę powieści Zegadłow-  
icza D. t. „Zmory”. W związku  
z zarządzeniem konfiskata, orga-  
nizacja policyjna zajęła szeregiem  
kioszków powieści we wszyst-  
kich księgarniach Krakowa.

INFORMACJA PRASOWA POLSKA  
sp. z ogr. odp.  
WARSZAWA  
Bracka 5, tel. 941-53  
Agencja wiadomości z prasy w wycinkach  
Wycinek z wydawnictwa  
TYG. ILUSTROWANY  
(Warszawa)  
№ 26 STYC. 1956

57

## O SENS WOLNOŚCI SZTUKI

### Dwie prawdy

Zagadnienie wolności artysty wypłynęło dziś znowu z całą ostrością, zwłaszcza w państwach, w których ustaliły się t. zw. reżimy totalne.

W państwach tych panuje pogląd, że artystę nie można gwarantować tej wolności, o którą dopominała się dla niego epoka ubiegła — absolutnej wolności wypowiedzenia tego co chce i jak chce. Ci, którzy tak mówią, wychodzą ze słusznego założenia, że literatura, zwłaszcza, a inne sztuki również, choć w mniejszym stopniu, są elementami wychowania społecznego. To znaczy, że twórczość artysty nie jest sprawą obchodzącą tylko jego i jego odbiorców, szukających w dziele sztuki wyłącznie artystycznego zadowolenia (pomijam tu dla uproszczenia zagadnienie: czy istnieje zadowolenie „czysto artystyczne“), lecz że jest to sprawa w ścisłym znaczeniu społeczna: książka (obraz, rzeźba) wyrabiają pewne upodobania, bronią pewnej postawy wobec życia i odwrotnie, podcinają inne postawy, zwalczają inne upodobania. A organizatorowi społeczeństwa, to znaczy człowiekowi, który urabia je w myśl pewnego ideału, nie może być obojętny fakt, że ktoś inny na tę robotę wpływa pozytywnie czy hamująco.

Dlatego najprostszym wnioskiem, który nasuwa się zwolennikowi systemu totalnego, jest, aby literatura i sztuka były ściśle podporządkowane nakazom politycznym i społecznym panującego reżimu. Ale to stanowisko, choć proste, następcza w praktyce wiele, sądzą nieusuwalnych, trudności. Najważniejsza z nich tkwi w samej psychologii twórczości artystycznej. Pisarz, artysta, skrzepowany nakazem zewnętrznym, nie może tworzyć swobodnie, to znaczy wogóle nie może tworzyć, gdyż twórczość skrzepowana nie jest już twórczością. Zresztą mamy dowody zupełnie obiektywne, przekonujące nas, do jak opłakanych rezultatów prowadzi tak bezwzględna polityka artystyczna. Jako przykład mógłbym przytoczyć współczesne komedjopisarstwo sowieckie. Jeżeli pomyślimy, że w narodzie, który wydał Gogola i Czechowa, mogą zyskiwać rozgłos, uznanie, ha, uchodzić za pisarzy reprezentacyjnych (import zagranicę!) tacy panowie, jak p. Kirszon z jego „Przedziwnym stopem“, jeżeli tego rodzaju bredzenia jaskiniowca mogą uchodzić za „sztukę“, to jest to najlepszy dowód, do jakiego uwstecznienia prowadzi polityka nakazów nawet w społeczeństwach o wielkich tradycjach artystycznych. Powie mi ktoś, że cytuję tendencyjnie, że obok utworów takich, jak przytoczony, mamy w Sowietach inną, znacznie lepszą literaturę, wolną od cech wysługiwania się reżimowi. Ale właśnie ta lepsza literatura jest tu raczej wyjątkiem, jest zwyczajem artysty nad reżimem. Tam wszędzie jednak, gdzie reżim podporządkował sobie artystę i ujarzmił go, mamy właśnie „sztukę“ panów Kirszonów.

Jeżeli więc niesłuszne jest i praktycznie niewykonalne stanowisko „reżimowe“, to, — zdawałoby się, — jedyną znajdziemy ucieczkę w bezwzględnym i nieograniczonym

liberalizmie, nie stawiającym artystę żadnych tam. Będzie to jednak złudzenie. Nie można bowiem zamknąć oczu na to, o czym wspomniałem na początku, mianowicie, że dzieło sztuki ma żywot niejako podwójny: jako źródło wzruszeń estetycznych i jako czynnik, urabiający społeczeństwo praktycznie, w pewnym określonym kierunku. Cóż więc dziwnego, że wobec tak ostro zarysowującego się antagonizmu między interesem społeczeństwa a interesem artysty powstają różne próby uzgodnienia. Dotąd rozważaliśmy tylko jedną z nich, polegającą na prostym podporządkowaniu artysty nakazom społecznym. Jest to próba najprymitywniejsza i — powiedzmy otwarcie — barbarzyńska, co uwalnia nas od dalszego zastanawiania się nad nią.

### Inne próby

Nieraz informowałem moich czytelników o kłopotach Mauriac'a, który usiłował udowodnić, że pomiędzy postawą wierzącego katolika a postawą artysty sprzeczność nie istnieje. Usiłowania te były tragiczne, a wielka uczciwość autora i jego przenikliwość psychologiczna, stały się przyczyną, że usiłując dowieść swej tezy konsultacyjnej, w rzeczywistości przedstawił nam niezbitą argumenty na korzyść tezy przeciwnej, o niemożności pogodzenia katolika z artystą. Monografiści znakomitego francuskiego pisarza, tacy, jak du Bos, a u nas prof. Konrad Górski, usiłowali pomóc Mauriac'owi w tem niewdzięcznym dziele, ale i to na nie się nie zdało. Sprawa się nie wyjaśniła, raczej zaciemniła. Zapewne, Mauriac był w położeniu szczególnie trudnym, chciał bowiem udowodnić, że stanowisko religijne, odwracające się od źródeł życia, da się pogodzić z twórczością, pograżoną w tem życiu i szukającą rozkoszy w jego poznaniu i odtwarzaniu. Społecznik, nieskrępowany takimi założeniami, naprzykład faszysta, czy komunista, miałby zadanie o tyle łatwiejsze, że sama istota wzruszenia artystycznego nie jest dla niego czemś już ze swojej natury wrogiem. Niemniej jednak i jego położenie wydaje się trudne. Sądzę jednak, że tylko pozornie; znalezienie formuły zgody między artystą i społeczeństwem dlatego wydaje się tak beznadziejne, że sprawę zamyka się w zbyt ciasnej ramie, zbliża się elementy sztucznie i żąda od sztuki jakiegoś bezpośredniego pożytku społecznego, „od zaraz“. Pożytku bezspornego, oczywistego i doraźnego. Oczywiście, tak stawiając sprawę, do zgody nie dojdziemy nigdy. Jest ona bowiem w tem ujęciu sztucznie uproszczona, tak dalece, że zniekształcone zostały elementy, które usiłuje się pogodzić.

Pojęcie pożytku społecznego, którym zazwyczaj operują publiczność, jest zbyt ciasne i szablonowe, aby mogło być dogodnym punktem wyjścia do nawiązania porozumienia między społeczeństwem i artystą. Weźmy przykład. Trudno o pisarza bardziej krytycznego, a nawet wrogo ustosunkowanego do własnego narodu, jak Nietzsche. Ten Nietzsche, który impertynencko wobec niemieckiej publiczności

przechwalał się, że obcokrajowcy biorą go za Polaka, który stworzył na wątych, jeżeli nie na żadnych podstawach legendę o swoim rzekomym polskim pochodzeniu; który w niesłychanie złośliwym pamphlecie na rodaków odmówił im wszystkich cech, stanowiących w naszym pojęciu istotę „człowieka kulturalnego“; Nietzsche, który zmieszał z błotem Wagnera i złośliwie poniżył jego sztukę — ten Nietzsche stał się jednak chlubą kultury niemieckiej, jej podporą, jednym z wielkich, walecznych argumentów na korzyść jej potęgi. Być może — powie ktoś — że stało się to dlatego, iż Nietzsche był propagatorem „woli mocy“, że zatem głosił moralność zgodną w swojej osnowie z postulatami niemieckiej zaborczości? Kto tak mówi, ten nie zdaje sobie sprawy z dystansu, jaki dzielił obłąkanego geniusza od tak zwanej *Junkermoral*, jak ją ujmowali patrijoci niemieccy. Filozofia jego była zbyt wyrafinowana, zanadto przesycona klimatem samotności, aby na serjo stać się mogła dogodną podstawą dla potocznej moralności społecznej. Zato pamflety Nietzschego, skierowane przeciw niemieczyźnie, były wyraźne i miały jaskrawą wymowę życiową. — Dlaczegoż więc Nietzsche, chociaż w tem co pisał był anty-niemcem, stał się, nie wiedząc o tem i nie chcąc tego, podporą niemieczyzny? Stało się to z przyczyny, której naogół nie dostrzegają społecznicy, z przyczyny prawa, które tutaj działało, a które możnaby ująć w tem zdaniu: geniusz czy talent, bez względu na to co głosi, za czem się opowiada, a co potępia, jest sam przez się, przez zawarty w nim ładunek siły ducha potęgą, która ponad wszelkimi koniunkturami politycznymi staje się czynnikiem samowidnym kulturalnej społeczności, czynnikiem budującym i pozytywnym. Ale dostrzec to można jedynie, patrząc z tej perspektywy, do której wzrok naszych społeczników dostosować się nie potrafi. Każdy talent i każdy geniusz jest pozytywnym czynnikiem budownictwa społecznego, ale nie zawsze w momencie bezpośredniego oddziaływania, lecz raczej w dalszym obiegu, w perspektywie czasu.

### Wybiegi liberalizmu

Nie wątpię, że nawet takie, nietylko w cudzysłowie, lecz naprawdę, ze swych naturalnych tendencji, rozkładowe książki, jak słynna już dzisiaj *Podróż do kresu nocy* Céline'a (o mało nie powiedziałem *Zmory* Zegadłowicza — ale nie, Zegadłowicz nie będzie nigdy *poète maudit*; brak mu ryzyka, tego prawdziwego!), staną się pozytywnymi czynnikami kultury. Te błotne wulkany wyschną, lawa zastygnie i kto wie — jakie z niej uformują się złoza i jakiej kultury staną się podwaliną. Ale czy stąd wynika, że słuszne jest stanowisko liberalizmu, który broni zasady absolutnej swobody dla artysty? Zanotujmy najpierw pewien charakterystyczny wybieg liberalizmu, wybieg, który liberalowie potrafią doskonale wygrać. Polega on na tem, że na każdą krytykę książki tak zwanej „rozkładowej“, występującą w imię moralności, odpowiada się: kołtuństwo! Że niby, jak to można: tu sztuka, wysiłek artysty — a tu nagle ni stąd ni zowąd przykładą się do tego jakieś kryterium moralno-utilitarne. Jest to, sprytny sofizm,

58.

który jednak nie trudno zdemaskować. Nieprawdą bowiem jest, że tylko krytyk wystąpił w imię moralności. W imię moralności występował również autor, tylko w imię *innej* moralności. Moralistą jest tak samo Bossuet jak Céline. Céline też broni pewnej moralności, mającej swoje postulaty, przyjmującej pewne postawy, odrzucającej inne, że wymienimy choćby jego apoteozę instynktu samozachowawczego, a nawet tchórzostwa i próbę wytłumaczenia całego życia ludzkiego temi wyłącznymi czynnikami. Jest to też moralność, tylko moralność sprzeczna z tak zwaną moralnością tradycyjną, która okazała się w społeczeństwach trwalszą i pewniejszą. Ale nikt nie podnosi tego, że widzimy tutaj walkę *dwóch typów moralności*; powiada się natomiast, że moralność jest tu jednostronnie i fałszywie przeciwstawiona czystemu artyzmowi. Tego rodzaju sztuczne zaciemnienie kwestji może mieć różne źródła. Raz będzie to zwykłe niewiedzenie rzeczy. Innym razem będziemy mieli do czynienia z umyślnym krzywieniem prawdy, mającym na celu ośmieszenie pewnych ideałów moralnych i propagowanie rozkładowej moralności pod hasłem czystej sztuki. Wreszcie znaczny procent wypadków przypisać należy (zwłaszcza w społeczeństwach tak słabo zorjentowanych, jak nasze) snobizmowi literackiemu, bijącemu czołem przed każdą nowością, zwłaszcza stempla zagranicznego i mającą posmak sensacji.

#### Dwa obiegi

Z powiedzianego dotychczas wynikają dwa obiegi. Jeden obieg między artystą i społeczeństwem nie możemy stanąć po stronie despotyzmu społecznego, usiłującego nagiąć pracę artysty do bezpośrednich celów społeczno-politycznych. I drugi, że to, co nazywamy potocznie stanowiskiem liberalnym, w istocie swojej polega na nieporozumieniu, albo jest szerzeniem prądów antyspołecznych i antykulturalnych. Rzecz prosta, nie każdy się ze mną zgodzi. Jak zawsze tak i w tym wypadku, zwracam się do tych tylko, którzy wraz ze mną przyjmują pewną sumę założeń i sympatyj kulturalno-społecznych, i to, co powiem dalej, mieści się ściśle w ramach tych założeń.

Otóż wydaje mi się, że położenie nie jest bez wyjścia. Pewne jest jedno: że *twórczości artystycznej w niczem kępować nie można*. Jeżeli pisarzowi jest psychicz-

nie nieodzowne wypisywanie najohydniejszych słów *en toutes lettres* — to na to niema rady! Nie powiem, żeby ci właśnie pisarze byli mi najbliżsi i najsympatyczniejsi, ale wiem, że jesteśmy tu w dziedzinie niezmiernie zindywidualizowanej, gdzie niesłuchanie trudno rozróżnić tak zwany „kaprys“ od prawdziwej potrzeby twórczej. To, co potocznemu rozsądkowi wydawać się może tylko wyuzdaniem i wybrykiem, to w istocie, ze stanowiska psychologii twórczości, może być zupełnie realnym warunkiem pracy. W tym więc zakresie, o ile chodzi o indywidualne niekępowanie artysty, zasada liberalizmu jest słuszna. Sprzeciwiając się jej, zubożamy się duchowo i wyzbywamy się dzieł, które nieraz w dalszym obiegu czasu wrócą się społeczeństwu, jako czynniki jego mocy i potęgi. Ale zasada ta kończy się u progu pracowni artysty. Z chwilą kiedy książka czy dzieło sztuki opuszcza pracownię autora i staje się przedmiotem użytku społecznego, z tą chwilą musi podlegać wszystkim prawom gospodarki nie indywidualnej, lecz społecznej. Nie powinno nas nie obchodzić, że różne tępaki, które się boją nietylko pojęć, lecz samych słów takich, jak „cenzura“ czy „reakcja“, będą się pieniły. *Obieg społeczny dzieła sztuki musi być ściśle regulowany*. Dzisiejszy sposób regulowania tej sprawy jest zły i szkodliwy zarówno dla społeczeństwa jak i dla

artysty. Sztywna instytucja cenzury nie odpowiada potrzebom ani tej ani tamtej strony. Nie odpowiada potrzebom społeczeństwa dlatego, że najsurowsza nawet cenzura nie śmie odmówić obiegu społecznego bardzo wielu książkom i dziełom sztuki, któreby na to zasługiwały. Jest równocześnie szkodliwa dla artysty, dlatego, że uniemożliwia mu wogóle twórczość, o ile pociągają go tematy albo ujęcia, kolidujące z polityką społeczną panującego ustroju. Słuszne wyjście polegałoby na *ściśle rozgraniczeniu* dzieł, mogących mieć swobodny obieg społeczny od innych, zarezerwowanych wyłącznie dla elity społeczeństwa. Nie jest rzeczą normalną i dopuszczalną, aby książka była przedmiotem spekulacji kapitalisty, który poprostu zbija pieniądze na deprawowaniu społeczeństwa. Jest to jeden z przykładów niemoralności ustroju kapitalistycznego; jest to zarazem przykład, godzący we frazes, jakoby kapitalizm był ustrojem, sprzyjającym indywidualizmowi. Bo jakież to „indywidualizm“ artystyczny rozwija w pisarzu wydawca, zorjentowany zgóry na konsumpcję pornograficzno-sensacyjną?! Taki wydawca właśnie zabija najlepsze indywidualności artystyczne, skazując je na nędzę.

Rzecz naturalna, ustawa, o której mówię, i którą określam tu jedynie „kierunkowo“, wymagałaby opracowania w szczegółach i przedewszystkiem musiałaby być dość elastyczna i przewidująca, aby z rozsądnego regulatora nie stać się narzędziem uciśku i kagańcem. Musiałaby być ponadto ściśle dostosowana do psychiki środowiska narodowego, dla którego jest przeznaczona. Już słyszę naszych snobów zagraniczności, powołujących się na „wielkie demokracje zachodu“, a przedewszystkiem na Francję, gdzie rozchodzi się wszelka literatura „i jest dobrze“. Nic szkodliwszego, niż takie sugestje. O sprawie tak złożonej, jak społeczny obieg książki i dzieła sztuki, nie mogą decydować dorywcze kryteria i efektowne przykłady, lecz jedynie głębokie zastanowienie i znajomość potrzeb własnego narodu. Wszakże zasada podziału książki na mającą obieg społeczny i pozbawioną go, wydaje mi się tu jedynie możliwą i słuszną.

J. E. Skiński



Dnia 16-go stycznia r. b. na Zamku Królewskim odbyło się posiedzenie rady do spraw opieki nad córkami ś. p. Marszałka Piłsudskiego; w skład rady wchodzi: Pan Prezydent Rzeczypospolitej, p. Marszałkowi Piłsudski, gen. Rouppert, prezes sądu Jaruzelski, Kazimierz Piłsudski, gen. Krzemiński, gen. Sosnkowski, b. premier Stawek, gen. Rydz-Śmigły i prezes sądu Kamiński



Nowy minister komunikacji pułk. dypl. J. Ulrych po złożeniu przysięgi na Zamku Królewskim

59.

## MOWA J. Em. X. KARDYNAŁA MARMAGGI'EGO, PRONUNCIUSZA APOSTOLSKIEGO

Po wręczeniu dnia 4 stycznia biretu kardynalskiego JEm. X. Kardynałowi Marmaggiemu, Pronuncjuszowi Apostolskiemu przez P. Prezydenta R. P., wygłosił X. Kardynał znamienne przemówienie, które poniżej w całości przytaczamy:

Panie Prezydencie!

Aktem, który przed chwilą Wasza Eksceleńcja dokonał na mnie, zobowiązuje mię Pan, Panie Prezydencie, mocno dla siebie i zobowiązywać będzie przez całe życie. Proszę przyjąć zań najgorętsze słowa podziękia.

Ten akt, łaskawie przez Waszą Eksceleńcję dopełniony, jest niejako epilogiem działalności, którą, w ciągu 8 lat, mogłem rozwijać ze szlachetnym Państwem w Panu, Panie Prezydencie uosobianem, nie mówiąc o stosunkach osobistych, które miałem zaszczyt podtrzymywać z Waszą Eksceleńcją w okresie Jego obecnie szczęśliwie dziesięciolecia dobiegającej prezydentury, okresie, którym całkowicie została objęta moja misja.

Lecz, pomijając te rozważania, powiedziałbym, okolicznościowe, ceremonia dzisiejsza pobudza do bardziej ogólnych myśli i wniosków bardziej zastanawiających.

Przed Głową tego oto Państwa stoi przedstawiciel Najwyższego Pasterza. Polska i Rzym. Polska wbrana i pełna chwały, silna i rycerska, i Roma Męczenników, Świętych, Apostołów i boskiego posłannictwa światła

... jest to symboliczne spotkanie! w niezwykłych ramach tych sal m, pełnych kształtów i obrazów, ducha pięknej sztuki włoskiej Baccio i Merliniego, w tak wielce uroczystym Wysłannika Papieskiego i tyłu dyplomacji, hierarchii, mężów nauki, my dwaj, — Pan, Panie Prezydencie — jak znani i związani i związani, jak gdyby spokrewnieni i złączeni siatecznym ideałem, gorętszym i zielkiem inne związki dziejowe! Zaiste, chciała, że religja rzymska była, od tej zawsze, religja Waszą, że religja i zachowywana w tym przez nią kraju stała się raczej religja ojczystą, pobożności, kultury, wielkoduszności się także hasłem Waszej rasy.

Wyjaśnia to wierność i ciągłość stosunków wszelkiego rodzaju między Polską i Rzymem w ciągu wieków, które to węzły tak ściśle i mocne myślicielom naszym zdają się nawiązane ręką Boga. Ze wszystkich misyj dyplomatycznych w Polsce — tak pisze o tem historyk — Stolica Święta szczyty się tradycjami najdawniejszymi i najbardziej czułymi, jak z drugiej strony Polska zarem swej pobożności i blaskiem swych czynów zasłużyła sobie w wielkim społeczeństwie chrześcijańskim tytuł „Semper fidelis“.

Nie ujrzy, być może, Zamek ten wspaniałych, jak w kalejdoskopie przewijających się scen dawnych protokołów, którymi przyjmowaliście, szczególnie umiłowani przyjaciele, legatów papieskich i nuncjuszów. Piękna ceremonia, jaką mi uprzejma dobroć Waszej Eksceleńcji dziś zgotowała, niemałem jest ich odbiciem. Lecz poprzez wieki i zmienności losów, czy radośnych czy bolesnych mimo różnych rządów i systemów politycznych, po strasznych wojnach i związkach różnych, poprzez cały świat miniony ludzi i rzeczy, pozostaje stałą i nietkniętą, a dziś tu ponownie nazawsze utwierdza się nasza stara przyjaźń, przyjaźń, którą — uświęconą ostatnio pobytem pierwszego Nuncjusza Polski Zmartwychwstałej, dziś miłościwie panującego Ojca św. Piusa XI, Jego miłością ojcowską i nieustraszoną charakterem, — Bóg zachowa i uczyni obfitującą we wzajemne dobro.

Leżało mi na sercu, by powiedzieć to Panu, Panie Prezydencie, albowiem wobec tych myśli, opanowujących w tej chwili mą duszę, osoba moja jest bardzo małą rzeczą, a mniejszą jeszcze moja zasługa. Gdy zwracam uwagę na biret, pierwszą oznakę godności kardynalskiej, który mi Pan, Panie Prezydencie, nadał, gdy widzę się odzianym w purpurę, nie tak łatwo z tej przyczyny wzruszać się będę ja, kapłan Boga Ukrzyżowanego, ale zawsze zwracać wzrok będę ku Panu, Panie Prezydencie, ku Pańskiemu umiłowanemu narodowi, by ze szczerością i prawdą dziękować i pozdrawiać Pana, Panie Prezydencie, pierwszą przyczynę mego wyróżnienia: „Non propter me, sed propter Polonia“.

ZAPRZYSIĘŻONY DOSTAWCA WIN MSZALNYCH  
Rok zał. 1847 **STADTMÜLLER** Rok zał. 1847  
LWOW, RYNEK 34. Sp. z o. o. Tel. 247-46.  
Wielki bezkonkurencyjny wybór najwykwintniejszych gatunków win węgier. austr. reńskich, bord. burgun. hiszpańskich, włoskich, greckich, krymskich etc. etc. oraz znany wykwintny ocet do potraw. 8-10

Informacja prasowa polska warszawa bracka 5 tel. 941-53  
biuro wiadomości z prasy w wycinkach

Wycinek z wydawnictwa  
GAZETA Kreszczan  
№..... d..... 193 r.

6 STCZ. 1936

125

## GAWĘDY LITERACKIE DEMON LITERATURY

Przyjęła się w literaturze od wieków personifikacja natchnienia artystycznego w postaci Muzy. Jest to symbol podświadomej energii twórczej, symbol w dodatnim tego słowa znaczeniu. Ale cóż powiedzieć, gdy z podświadomości pisarza wytryśnie nagle lawa brudnej pornografii — gdy zaskoczona tem

opinja zapytuje ze zdziwieniem, co mu się stało, dlaczego ni stąd ni zowąd to napisał? I mimowoli ciśnię się określenie: Tym razem nie natchnęła go Muza — ale opętał Demon.  
W ostatnich czasach mieliśmy smutne przykłady takiego „opętania“. Najpierw zelektryzowała społe-

D  
11  
12

# SPRAWA LECHICKIEGO I ZEGADŁOWICZA

Smiało możnaby zaryzykować twierdzenie, — że jeśli się chce dostać na łamy prasowe i zdobyć tego rodzaju sławę, — to niepotrzeba absolutnie dopełniać wyrafinowanego mordelstwa, — jak wielu sądzi, — ale wystarczy napisać przewodnik po beletrystyce z punktu widzenia katolickiego. Nikt nie wiedział absolutnie przed kilku laty o O. Pirożyńskim, a od chwili wydania przez niego książki „Co czytać” nazwisko to stało się dzięki Boyowi i osób jemu bliskich niemal przysłowiem. Wiedzieliśmy wprawdzie coś niecoś o Czesławie Lechickim i jego działalności, ale trzeba się było doszukiwać jego nazwiska gdzieś tam na przedostatniej stronie w drobnych wiadomościach z okazji wydawanych przez niego książek, — które nie wywoływały szerszego oddźwięku w społeczeństwie i opinii publicznej. Aż tu nagle gruchnęło po t. zw. prasie katolickiej: Lechicki napisał książkę pornograficzną, sprzeczną z religią katolicką, mało tego, książka jego jest nieuczciwa, wprost oszukańcza. Co gorsze Lechicki, to niebezpieczny erotoman, którego podejrzewają o chorobliwą obsesję na tle seksualnym, używający terminów z dziedziny koprologii w takiej ilości, jak to nikt dotychczas wogóle nie zrobił w Polsce i zagranicą. Niech się więc Lechicki zacznie leczyć skoro jest tak niebezpiecznie chory, a Naczelny Instytut Akcji Katolickiej w Polsce niech zaprzestanie wydawać jego książki, — gdyż właściwem do wydawania byłyby w tym wypadku np. Błyski Wolnomyślicielskie. Któż to taką „reklamę” robi p. Lechickiemu? — Tym razem nie Boy ani nikt z jego towarzystwa, ale sam... O. Pirożyński w artykule wydrukowanym w nr. 43 i 44 „Przeglądu Katolickiego”. Reklamował Pirożyńskiego Boy, chce się on odwziąć i reklamuje swego konkurenta Lechickiego, — powiedzialby ktoś. Ale żarty na bok, zajmijmy się głębiej analizą tego wydarzenia i uwagami jakie się w zwłazku z tem nasuwają.

## O. PIEROŻYŃSKI, BOY I PLEĆ.

Lechicki pisząc swą książkę miał na celu pomóc szeregu osobom w doborze książek, — mam wrażenie pewnej kategorii osób, — wychowawcom młodego pokolenia. Jego „Przewodnik po beletrystyce” nie jest przeznaczony do szerszego użytku np. wśród młodzieży szkolnej, — gdyż wówczas spełniłby rolę odwrotną niż były zamierzenia Autora, — młodzież przeczytałaby właśnie te książki, — które on dyskwalifikuje z punktu widzenia swoiście przez niego pojętej moralności, powiedzmy raczej płciowości. Książka Lechickiego ma więc odegrać rolę pomocniczą w pracy wychowawczej pedagogów katolickich. Ponieważ autor zna doskonale od szeregu lat stosunki panujące w kołach dla których chciał napisać książkę, — więc niewątpliwie zanim ją napisał dobrze się zastanowił, jaki nadać jej ton i charakter. Nie będzie żadną przesadą jeśli stwierdzi, że księga jako ci pedagogowie i wychowawcy dla których w pierwszym rzędzie pisał Lechicki swój podręcznik w nauczaniu i wychowywaniu bardzo wiele wagi przyswaja do momentów seksualnych i bardzo są na tym punkcie wrażliwi.

Wrażliwość ta ma nietylko miejsce w stosunku do młodzieży ale i w stosunku do starszych osób, — co przejawia się w sposób bardzo przejrzysty w treści kazań niedzielnych. To ustawiczne gromienie rozpusty i daleko idąca podejrzliwość nawet w tych wypadkach, które są dalekie od wszelkiej kolizji z szóstym przykazaniem jest bardzo wdzięcznym tematem dla naszych kapłanów. Niewątpliwie mają oni rację przykładając tak wielką wagę do życia seksualnego, jako tej jednej z zasadniczych podstaw dobrze funkcjonującego i zdrowego społeczeństwa, ale wydaje mi się, że mimo wszystko popełniają pewną przesadę, poprostu przeholowali w dopatrywaniu się wszędzie głównie seksualizmu. Nie będzie żadną niecisłością, — jeżeli zaryzykuję znów twierdzenie, że 90% ludności przynależącej się do katolicyzmu przez moralność rozumie przede wszystkim katolickie zasady życia płciowego na skutek tego jednostronnego nauczania. Jest to bardzo niepożądane i szkodliwe z punktu widzenia interesów katolickich, zacieśnianie pojęcia moralności. Cztery Ewangelje stosunkowo bardzo mało zajmują się temi zagadnieniami, — aczkolwiek doceniają ich wagę. Poza sferą życia seksualnego mamy przecież bardzo szeroką sferę innych stosunków, które są unormowane również przez zasady etyki katolickiej. Wymienię dla przykładu najbardziej aktualną obecnie dziedzinę stosunków społecznych. Obowiązują tutaj pewne zasady formułowane co pewien czas dla przypomnienia w encyklikach papieskich, — jak mało jednakże szerszemu ogółowi znanych. Piszący te słowa o istnieniu i treści „Rerum Novarum” nie dowiedział się na lekcji religii w gimnazjum ani też z ambon ale z dyskusji na terenie akademickim. Cóż dopiero mówić o masach. Skąd to wszystko płynie?

## CELIBAT KSIEŻY I MORALNOŚĆ.

Odnoszę wrażenie po głębszym przemyśleniu tego problemu, że częściowo zawiniła tutaj instytucja celibatu wśród księży, — której celowości nie neguję. Ksiądz jak każdy inny katolik jest człowiekiem walczącym z opanowaniem zmysłów, a wiemy jak niekiedy walka ta jest trudna, — jeśli się chce poprawnie chociażby stosować zasady katolickie. Ksiądz żyjący w celibacie jest o tyle w gorszym położeniu, że działają w stosunku do niego podwójne sankcje: 1) wpływające z ogólnych norm obowiązujących wszystkich katolików jako takich. 2) wpływające z przyjętych obowiązków kapłańskich. Laik wchodzący w kolizję z szóstym przykazaniem ściąga na siebie jedynie sankcje wym. w punkcie pierwszym, — ksiądz jedne i drugie. Stąd stanowisko księdza jest o wiele trudniejsze i bardziej odpowiedzialne, — jego walka wewnętrzna niewątpliwie bardziej silna i pełna dramatycznych momentów wywołujących niekiedy stan silnego napięcia ujawniający się również i nazewnątr. Na skutek tego ksiądz niejednokrotnie główny wysiłek skierowuje właśnie na uchronienie i uświadomienie laików o doniosłości problemów seksualnych zapominając, że przecież poza tem istnieje coś więcej o równej jeśli niekiedy nawet większej doniosłości dla życia społecznego. Efekt tych wysiłków jest przeważnie nieproporcjonalnie niski do włożonej pracy, bo poprostu ludzie tyle nasłuchają się o rzekomo panującej rozpucie, że przyzwyczajają się do tego stanu rzeczy. Zresztą słyszy się przeważnie twierdzenia, że właśnie ta epoka w której współcześni żyją jest najbardziej zepsuta erotycznie, — chociaż prymitywne badania historyczne temu przeczą. Śmiem wątpić czy tego rodzaju podmałowywanie ciemnego tła współczesnej rzeczywistości odnosi dodatni skutek.

## DUCH ZAKRYSTJI.

Z drugiej strony niema u nas w Polsce wybitnych pisarzy katolickich jako takich a co jeszcze ważniejsze krytyka katolicka jest kompletnie w powijakach. Nie wytworzył się jeszcze dotychczas w Polsce odpowiedni klimat, któryby sprzyjał ustaleniu i utrwaleniu w opinii katolickiej pewnych poglądów na wartości artystyczne. Wszelkie zdobycze Francji czy Anglii w tym względzie zamało przeniknęły do świadomości. Brak u nas kryteriów oceny, które byłyby zgodne z zasadami katolickimi jak i poglądami na piękno i sztukę jako taką. Nie mam zamiaru wdawać się w dyskusję na temat czy istnieje czysta sztuka i piękno jako takie w oderwaniu od katolicyzmu, — mnie chodzi tylko o silne podkreślenie, że na piękno nie

ADMINISTRACJA PROSI  
O ODNOWIENIE  
PRENUMERATY  
NA KWARTAŁ I-193

WIADOMOŚCI z PRASY w WYCINKACH  
Informacji Prasowej Polskiej  
w WARSZAWIE

Bracka  
Nr. 5

Telefon  
9-41-53

WYCINEK z WYDAWNICTWA

Nr. 1

25 STYC. 1936



można patrzeć przez okulary jednostronnie i ciasno pojętej moralności, — nie można się domagać od artysty który maluje rzeczywistość i człowieka takiego jakim on jest w danej epoce czy nawet momencie, — aby rozwiązywał problemy katolickie, albo też wkładał w dzieło katolicką tendencję, — bo wówczas cała nasza literatura byłaby zbyt ciasną, straciłaby zbyt wiele motywów które mogą posłużyć za doskonałe tworzywo do wielkiego dzieła. Przetłumaczono wprawdzie u nas na język polski doskonałą książkę J. Calveta p. t. „O twórczości i krytyce katolickiej”, — ale te lata przez które książka ta jest u nas w obiegu absolutnie nie działają. Posłuchajmy w obszernych wyjątkach co pisze znakomity Calvet w swej cennej książce: „Jak wszyscy inni pisarze mamy prawo malować życie takim jakie ono jest, — a ono nie jest budujące — i obrazować namiętności, których gra jest nietylko widowiskiem dla dzieci. Niektóre występy są dla niewierzących tylko zdarzeniami; — a dla nas przejawy ich są grzechami; grzech istnieje niestety i mamy prawo badać go i opowiadać o nim“ (strona 108). „Tymczasem dla artysty chrześcijańskiego szukającego prawdy i badającego prawdę tragiczną i wstrząsającą, grzech jest wybranym przedmiotem...” (str. 108). Nasi pisarze uchodzący w opinii za przedstawicieli piśmiennictwa katolickiego tworzą malowartościową sielsko-arielską o mocno tendencyjnej treści literaturę a podobni im krytycy katolicy wchwalają je, potencjając równocześnie w czambuł, — to co napisali utalentowani pisarze dla katolicyzmu obcy względnie obojętni. Zabrneliśmy już nawet tak daleko, że współpracownika tegoż „Przeglądu Katolickiego” w którym O. Pirożyński zabrał p. Lechickiego, — okrzyczano w prasie o tymże samym poziomie i nastawieniu „katolickim Boyem”. Wprawdzie nomina sunt odiosa, — ale napiszę dla zaspokojenia ciekawości czytelników, że chodzi tu o p. J. Czarneckiego i jego książkę p. t. „Zmysły na Licytacji” (akurat właśnie za te zmysły). Bardzobym był zadowolony, — abyśmy mogli napisać że mamy „katolickiego Boya”, — ale obawiam się, że jeszcze dużo wody upłynie zanim się on narodzi jak się przedko coś nie zmieni.

Ubożuchna jest nasza prasa katolicka zajmująca się w sposób poważny oświecaniem problemów kulturalno-literackich. Ta która wychodzi i oficjalnie chce reprezentować opinię katolickiej Polski jest wyłącznie w rękach księży, — jeśli już nie formalnie to faktycznie (uzależniona finansowo). Powoduje to niestety, że w nasze stosunki zakradł się duch zakryty. Nie będę się silił na własne ujęcie na czem polega ten duch zakryty w literaturze, wyreczy mi w tem Calvet z którego znów dłuższa cytata: „Duch zakryty to duch administracyjny, którego przedmiotem i prawem jest trzymać ład we wszystkich rzeczach, zawartych w określonej przegrodzie, a wyłączyć te wszystkie, których ta przegroda nie przewidywała. Duch zakryty jest konieczny w zakrytych i zasługuje na pełny szacunek, byle z niej nie wychodził. Zastosowany do krytyki, jest śmieszny i pożałowania godny. Polega on na po-

dziwianiu i chwaleniu automatycznie wszystkich książek napisanych na modłę tradycyjną i budująca, bez żadnego względu na ich wartość literacką, tak ma być dobrze, bo tak postępowano po wszystkie czasy. A gdy się zjawi dzieło szersze i lotniejsze, albo mocniejsze i głębsze w nauce, albo napisane w tonie swobodniejszym i radośniejszym, powstaje zgorzelenie; gdzie pomieścić te śmieszne dzieła. Niema szufladki przewidzianej, są nie do przyjęcia; a ponieważ mają one ten niedobry zwyczaj, że pojawiają się w złej godzinie i mają spokój urzędowy strażników zakrytych, przeto odprawia się je w przystępie złego humoru, a potem, aby usprawiedliwić tę prostą odprawę obarcza się je wszelkimi przywarami i grzechami. W taki sposób duch zakryty wprowadzi do niesprawiedliwości“ (str. 101, 102). Lojalnie muszę przyznać, że czasopiśmo „Verbun”, — które ostatnio wychodzi, wyrwało się z zakrytych i wprowadza krytykę katolicką na właściwe tory, — byle tylko ta szczęśliwa próba rozwijała się jaknajprędzej.

Podsumujmy więc nasze rozważania: duchowieństwo w nauczaniu i wychowaniu wyolbrzymiło i za wiele kładzie nacisku na zagadnienia i sprawy seksualne, — kierując prasą i trzymając mocno rękę na pulsie życia literackiego wprowadziło tam duch zakryty, pewien szablon i jednostronność w ocenie, z literatury chce uczynić aparat wychowawczo-propagandowy z tem jednakże nieszczęśliwym ujęciem, że sprawy seksualne mają być specjalnie potraktowane, — o czem pisało się wyżej.

Co to ma wszystko wspólnego z p. Lechickim i jego książką?

**II WYDANIE „NA USTACH GRZECHU“.**

Książka jego jest typowym przykładem niewłaściwie pojętej krytyki katolickiej w Polsce. To co się dotychczas ukazywało po kilkanaście wierszy w tem lub innym piśmie, — to zostało teraz zebrane w jedną całość i dlatego wrażenie jest tak przykre i oburzenie tak wielkie nawet wśród swoich. Swego czasu Mniszkówna napisała do dziś dnia poczytną powieść p. t. „Trędowata” i szereg innych a sparodjowała to kapitalnie Magdalena Samozwaniec pisząc „Na ustach grzechu”. Magdalena Samozwaniec napisała swą parodję świadomie, — p. Lechicki sparodjował krytykę katolicką nieświadomie. Pan Lechicki chciał się przysłużyć sprawie katolickiej pisząc swoją pracę pod tym specyficznym kątem widzenia, — który spowodował że zarzucono mu obsesję seksualną i miał nadzieję, że jego kryteria będą stosowane i znajdą uznanie, — przysłużył się bezwzględnie sprawie katolickiej przekonując opinię katolicką, że właśnie tych kryteriów nie należy stosować. Dlatego też należy z tych przyczyn bardzo zresztą doniosłych dla naszego życia kulturalnego uznać pracę p. Lechickiego jako bardzo pożyteczną. Oby więcej wychodziło takich parodji, świadomych i nieświadomych, które we właściwy sposób przejrzą odciłek katolicki w Polsce z takim skutkiem jak „Przewodnik po beletrystyce”. — Jedno jest w tej całej sprawie je-

szcze ważne. Nie można rzucać kamieniami na p. Lechickiego i wysyłać go do szpitala, jak to czyni O. Pirożyński. Pan Lechicki znając doskonale nastawienie naszej niewłaściwie pojętej krytyki chciał się przysłużyć jaknajbardziej i starał się prześcignąć dotychczasowych mistrzów. Nie on winien, że taka książka wyszła, — winien duch zakryty. Trzeba wreszcie po męsku powiedzieć, że nie można faktu wydania książki przez Naczelny Instytut Akcji Katolickiej tłumaczyć nieporozumieniem czy przeoczeniem i w ten sposób go rozgrzeszać. Niewątpliwie przed wydaniem tej książki musiał ją ktoś przeczytać, może czytała jakaś komisja? Ci zawiniłi na szczęście, że książka wyszła. Podkreślam, — na szczęście, — bo w ten sposób przez negatywny efekt od zamierzonego, — książka ta oczyściła może całą atmosferę i wyjdziemy z zakrytych, nie przestając bynajmniej w każdym calu być konsekwentnie katolikami. Zobaczymy co przyszłość najbliższa przyniesie nam.

**DWUCH ZEGADŁOWICZÓW.**

Prawie, że równocześnie z książką Lechickiego ukazały się Zegadłowicza „Zmory”. „Przewodnik po beletrystyce”, który O. Pirożyński uznał za sprzeczny z katolicyzmem napisał żywy członek Kościoła, nie wiem bliżej, ale prawdopodobnie nawet i członek Akcji Katolickiej, — Zmory”, które również zakwalifikowano jako antykatolickie napisał wedle głosów prasy były katolik. Temwięcej zasługuje ta sprawa na omówienie, że wedle głosów krytyki mamy do czynienia z apostazją i robotą antykatolicką świadoma ze strony bądź co bądź poważnego pisarza. Wolano o prokuratora, który jednakże trochę zwlekał ze swoim czynnościami i dopiero drugie wydanie skonflikował, okrzyczano również Zegadłowicza jako zбочeńca i wykołajca. Coś przynosi nam to sprawę p. Lechickiego, — który przy ocenie książki stosował właśnie te kryteria i jego jako krytyka, a nie jako autora rzekomo pornograficznych powieści wysyłałno do szpitala. Nie mam absolutnie zamiaru bronić książki Zegadłowicza „Zmory”. Uznaję w całej rozciągłości prawo artysty do używania takich środków do odmalowania jakie uważa wedle swego uznania za najlepsze. Mam jednakże wrażenie, że jak się wejdzie do stajni po to, aby odmalować tło i zapachy to niekoniecznie trzeba używać stajennych wyrazów. Tutaj Zegadłowicz stanowczo przeholował. Mnie chodzi o obronę Zegadłowicza jako człowieka, — staję w obronie godności człowieka jako takiej.

Gdy Zegadłowicz redagował „Tęczę” krytyka katolicka wyrażała się o jego książkach z zachwytem, pasowała go na sztandarowego pisarza katolickiego, podnosząc wysokie wartości literackie i artystyczne jego książek. Dziś ta sama krytyka z „Przeglądem Powszechnym” na czele twierdzi, że książki Zegadłowicza są rozwlekle, księżycowo - sentymentalne, słowem mało wartościowe. Coś jest tutaj nie w porządku. Odnosi się znów wrażenie, że w krytyce katolickiej powstała „rzeszopolita kamratów”, —

jak to świetnie określił cytowany wyżej Calvet, — która chwali bezkrytycznie to, co napisze swój, a jeśli ten „swój” zmieni kierunek i przynależność, gotowa natychmiast odwołać poprzednio wydany sąd i ocenę. Nie jestem specjalistą w dziedzinie krytyki, — dlatego trudno mi jest się wypowiedzieć o wartości literacko - artystycznej książek Zegadłowicza, — notuję jedynie tę podwójną miarę w ocenie, która czempredziej powinna zniknąć jeśli mamy uzdrowić stosunki panujące w tej dziedzinie. Jeszcze jedna rzecz jest ważna — zaatakowano Zegadłowicza przy tej okazji zarzucając mu obsesję seksualną (podobnie jak Lechickiemu) i okrzyczano jako wroga katolicyzmu. Nie wiem, czy można zaraz na niego rzucać anathemę. „Sądzić o wierze drugiego. Już na to trzeba odwagi, aby się ustanowić sędzią czyjegoś smaku i czyjejs wartości literackiej, a można tę odwagę uzasadnić i usprawiedliwić jedynie nieodpartym powołaniem. Ale sądzić o wierze, o czystości, o rzetelności wiary chrześcijanina, kto może nam dać do tego prawo? ...” „Ma chyba pisarz prawo domagać się, aby nienadużywano jego zmyśleń artystycznych w tym celu, żeby dokonać włamania się do jego wewnętrznego sanktuarium; wie on wprawdzie, że kiedy się pisze, to się należy do publiczności; ale należy się w tem, co się napisało, z zachowaniem jednakowoż własności nietykalnej tego, o czem się zamilało”, — pisze Calvet (str. 146). Każdy człowiek inteligentny przechodzi pewną ewolucję pojęć, — każdy katolik który chce umocnić w sobie wiarę, ma chwile w życiu pełne załamań, upadków i wzlotów, — ma chwile żarliwej wiary i chwile zwątpienia. Nikt nie jest od tego wolny, — nawet święci przeżywali takie momenty, a cóż dopiero mówić o zwykłych śmiertelnikach. Wykorzystywanie przez krytyków momentów pewnego szamotania się wewnętrznego danego pisarza po to tylko, aby go zabrać i okrzyknąć jako antykatolika i zбочeńca. — może jedynie pogłębić w danym pisarzu proces zwątpienia, może go jedynie jeszcze bardziej oddalić od Kościoła, a nigdy przybliżyć. Jakżeż niemile czyta się radosne wywody jednego z krytyków który ma pretensję uchodzić za katolickiego, — że „facet, co niedawno był światkowy, jeśli takiego susa świętego zrobił w wieku kiedy można zmieniać zdania i poglądy, to chyba kręgosłup ma z waty jak lalka, co się bez alegorii wyklada, że niema charakteru...” (Prosto z mostu nr. 1 z r. 1936). Inni jeszcze bardziej przejrzystej pisali, że dopóty Zegadłowicz pisał po katolicku, dopóki brał grubsze pieniądze z Księgarni Św. Wojciecha w Poznaniu redagując „Tęczę”. Zarzut ten godzi już nietylko w Zegadłowicza, ale także w szereg innych literatów i publicystów, którzy chcą być katolikami w swej pracy. Opinia im wroga, — gotowa powiedzieć, że napewno dlatego tak piszą, że są na utrzymaniu tej lub innej instytucji katolickiej, — a w rzeczywistości myślą co innego. Ta podejrzliwość, że wszystko robi się tylko dla tej mamony jest naprawdę podła i z punktu widzenia interesów katolicyzmu bardzo niebezpieczna.

Konkretyzujmy więc tezę: nie wolno absolutnie obrzucać nikogo błotem z tego powodu, że znalazł się na pewnym odcinku swego rozwoju w sytuacji dla nas może nie milej i niesympatycznej, — nie wolno nikogo z tego powodu osobiście szarpać, a książki jego określać jako „świństwo” bez głębszego uzasadnienia tak dotkliwego sądu. Być może, że to nie nastąpi, ale zaryzykuję następujące twierdzenie: „Zmory” kończą się tem, że bohater zdał maturę. Przymyślamy, że wyjdą dalsze tomy tego na szeroką skalę zakrojonego dzieła w których autor przedstawi wędrowkę bohatera do Boga. Cóż wtedy pocznie nasza krytyka? Zacznie znów wychwalać Zegadłowicza z powodu nawrócenia, zacznie podnosić jego zdolności. Czy będzie wówczas można rzeczywiście mówić o nawróceniu się Zegadłowicza. Nawrócił się bohater jego książki, — ale „sądzić o wierze, o czystości, o rzetelności wiary chrześcijanina, — kto może nam dać do tego prawo? ...” „Jeśli stróż naszych zakrytych nie wiedzą do jakiej przegródki schować „Zmory” to niech przestaną się niemi zajmować, a przedewszystkiem niech przestaną atakować osobiście ich Autora, — bo to naprawdę dalekiem jest od miłości bliźniego i od prawdziwego, czystego katolicyzmu.

**DLACZEGO ZEGADŁOWICZ, SKIWSKI I DEMBIŃSKI „OPUŚCILI KATOLICYZM“**

Zegadłowicz, Skiwski, Dembiński. Dwaj pierwsi redagowali i pisali w „Tęczy”, uchodzili za katolickich pisarzy, widziano w nich powiedzmy bez przesady luminarzy. Dembiński należał do „Odrodzenia” i dzięki swej indywidualności, zdolnościom wybijal się na czoło katolickiej młodzieży, niektórzy znający go bliżej widzieli w nim przyszłego przywódcę mas katolickich na większą skalę. Może trochę niezręcznie uczyniłem zestawiając te trzy nazwiska razem obok siebie, — ale uczyniłem to dla jednego bardzo moim zdaniem zasadniczego powodu: nie ciekawi mię to dlaczego szereg osób na łożu śmierci zawiera przymierze z Bogiem i Kościołem Katolickim, — interesuje mię jednakże bardzo to, — dlaczego zdolne jednostki, które uchodziły w opinii za sztandarowych katolików i do tego katolików żywych a nie z metryki, — miałyby się z Kościołem rozstać. Rozwikłanie tego zagadnienia byłoby wielkim pożytkiem dla sprawy katolickiej. Katolicyzmowi bardzo zależy na tem aby miał w swych szeregach ludzi zdolnych i wybijających się, a nie potulne miernoty, które większego pożytku nie przynoszą, a co więcej szkodzą ciasnóta swoich sądów ferowanymi na łamach różnych czasopism. Wielką przysługę oddałby sprawie katolickiej ten, ktoby np. pod tym kątem widzenia przeprowadził wywiady z wymienionymi wyżej osobami. Odnoszę wrażenie, że część winy ponosi w tym wypadku nasz katolicyzm, że nie potrafi odpowiednio postępować z wybitnymi indywidualnościami i wogóle ze zdolniejszymi jednostkami.

Poznanie istoty na czem polegają te błędy byłoby bardzo

W śród księzek

„ZMORY“ EMILA ZEGADŁOWICZA

Emil Zegadłowicz, poeta o wy-  
raznym obliczu, mistyk-ludowiec,  
rozkochany w folklorze beskid-  
skim i franciszkańskiej prostocie  
kmiotków, wystąpił z powieścią  
zuchwałą, obrazoburczą, pisaną  
z niepohamowaną pasją. Pokazał  
nam z wstrząsającą siłą „strasz-  
nych mieszczan“ przedwojennej  
Galicji (nie ludźmy się — niewie-  
le się od tego czasu zmieniło!) w  
ich „strasznych mieszkaniach“.  
Obraz, godny autora „Wędrowki  
do kresu nocy“: bezgraniczne  
chamstwo, tępa brutalność, znęca-  
nie się nad słabszym, chorobliwa  
chciwość, ponure pijaństwo, ponu-  
ra rozpusta. W centrum tego piek-  
ła — postać zahukanego, bezbron-  
nego chłopca-marzyciela, roman-  
tyka, wsłuchanego w muzykę łąk  
i wierszy — słowem przyszłego  
piewcy powsinogów.

Piekło ma dwa oblicza — domu  
i szkoły. Dom: wuj, wiecznie pi-  
jany i podniecony seksualnie, nie  
uznający innych wyrazów, oprócz  
związanych z procesem spółkowa-  
nia lub wypróżnienia; zarozumia-  
ła kretynka-ciotka; zdziwaczała  
chorowita matka; wreszcie bab-  
ka, upiorna w swej chciwości i  
starczej lubieżności. Szkoła: nau-  
czyciele-sadyści, zboczeńcy, pija-  
cy, kaci dziecięcych dusz i ciał. W  
tej atmosferze przeżywa chłopiec  
ostre wstrząsy okresy dojrzewa-

nia, przeżywa w samotności i w  
udręce. „Przebudzenie wiosny“ w  
kloace. Trzy możliwości: onanizm,  
homoseksualizm, lupanar. Zresztą  
jest jeszcze jedna możliwość: po-  
wiesić się na szelkach w ustępie.

Powieść Zegadłowicza ma war-  
tość podwójną: jako „dokument  
ludzki“ o wyjątkowej szczerości  
i otwartości (głupcy, zaskoczeni  
obfitością drastycznych scen i nie-  
cenzuralnych wyrazów gotowi naz-  
wać tę szczerość pornografią!) i  
jako wysoka klasa literacka  
(zwłaszcza część pierwsza). Tak-  
ie sceny, jak pierwsze lekcje w  
szkole, jak odwiedziny lupanaru,  
jak śmierć babki — to prawdziwe  
arcydzieła.

Powieść swą poprzedził Zegad-  
łowicz krótkim wstępem, zjadliwie  
charakteryzując państwo imperja  
listyczne, kultuwujące honor mun-  
duru, jako najdoskonalszą formę  
ujarzmienia poddanych. Nie wąt-  
pię, że endeków zaczęła zalewać  
czarna krew już podczas czytania  
tego wstępu. Grzymała-Siedlecki  
poprostu nazwał „Zmory“ najplu-  
gawszą książką naszych czasów.  
Wściekłość „strasznych miesz-  
czan“ jest zrozumiała: nikt jesz-  
cze z polskich pisarzy nie potra-  
fił pokazać całej ohydy i grozy  
dulszczyzny tak, jak to zrobił  
wczorajszy romantyk.

Z. MŚCISŁAWSKA

\*  
W styczniowym zeszytach miesięcznika  
„Wiara i Życie“ prof. Ludwik Skoczylas  
kreśli sylwetkę Emila Zegadłowicza, au-  
tora skonfiskowanej za opisy pornogra-  
ficzne książki p. t. „Zmory“.  
Prof. Skoczylas na podstawie zebranych  
materiałów zarzuca Zegadłowiczowi  
zakłamanie i fałsz w ujemnym przedsta-  
wieniu grona nauczycieli gimnazjum w  
Wadowicach, gdzie autor „Zmór“ się wy-  
chowywał. Dyrektor Arzt, który „otaczał  
Zegadłowicza serdeczną, choć dyskretną  
opieką, przedstawiony został przez Zega-  
dłowicza jako typowy czarnożółty urzęd-  
nik, którego nawet żony nie oszczędził  
autor, powtarzając o niej obrzydliwe, ma-  
lomieścickowe plotki. Prof. Sobiński, nau-  
czyciel geografii i polskiego, świetny pe-  
dagog i dydaktyk, został scharakteryzo-  
wany, pod imieniem Robińskiego, jako ty-  
ran“. Prof. Sobiński — w okresie już nie-  
podległości kurator lwowski — padł od  
kuli morderczej stanatyzowanego Rusina.  
„Nieszczere również — pisze prof. Sko-  
czylas — wydają się opisy przeżyć autora  
z ławy szkolnej w zakresie uczuć naro-  
dowych. Dziadek autora był Czechem, oj-  
ciec Rusinem, matka pochodziła z rodziny  
czesko-polskiej. Zaco uważał się sam autor  
w okresie szkolnym? Za Rusina, Czecha  
czy Polaka? Kiedy dziadek autora robi te-  
stament, tak się wyraża o swym wnuku:  
„On to i czeski i polski i ruski“. A sam  
autor za kogo się właściwie uważa? Kiedy  
natrzasa się z austriackich urzędników,  
podkreśla, że nienawidzi Austrii. Ale gdy  
się natrzasa z uroczystości patriotycznych  
polskich, urządzanych nielegalnie przez  
współkolegów, wtedy chyba nie przemawia  
przez niego rodowity Polak“.

Powieść Zegadłowicza skonfiskowana.

Kraków. Z polecenia władz funkcjonariusze  
policji zabierają egzemplarze powieści Zegadłowi-  
cza „Zmory“, która została skonfiskowana.

Jak wiadomo, ks. Metropolita Krakowski, Sa-  
pieha, w osobnym liście pasterskim potępił demo-  
ralizujące książki, mając, jak się domyślano, na  
myśli m. in. „Zmory“.

TROJGŁOS O „ZMORACH“ ZEGADŁOWICZA

Jeden z najciekawszych odczytów lwowskich.  
Do powieści odsądzonej od czei i wiary (i to  
pod niebiosami) przez jednych, a wychwalanej  
ze strony „Wiadomości Literackiej“ w Polsce  
absolutnego obiektu trzech fachowców z stro-  
gey i pedagog, lekarz-psychiatra (dr. Prae-  
gler), Włodzimierz Jampolski, przysta-  
ją wszystkim kategorię pisarską „Zmór“, które  
w wypowiedzi twórczej Zegadłowicza, pierw-  
szym tworem, który wyszedł z mglistości i pół-  
jawy, aby dać świadectwo najbardziej we-  
wnętrznej prawdziwości poety. Dziwiny to rodzaj

powieści autobiograficznej, w której pisarz  
staje się i dokonuje sam, wyzwała z własnych  
„Zmór“, daleki od sentymentalizmu wspomnień  
nowej literatury współczesnej, jaki tak mocno prze-  
żył Zegadłowicz w powieści „Zmory“, i pod-  
sobie i walkę z samym sobą prowadzić już do  
końca swego życia: tak silnie jest zespolenie  
dzieła z twórcą.

Dr. Praeger, stwierdziwszy świetne określe-  
nie typu psychologicznego Mikołaja (schyld-  
tymik) i znakomitą obserwację zarówno prze-  
sionowego wieku młodzieży, jak i odchyleń sek-  
sualnych, zaznaczył dobitnie odległość między  
„standardową“ zwłazszą dzisiejszą. Obsesja  
erotyczna powieści jest nad miarę wysunięta  
w czole, potraktowana artystycznie, nie z  
prawdą obiektywnego badacza psychiki ludz-  
kiej.

Podobne odchylenie od rzeczywistości, tym  
razem historycznej w obrazie szkoły galicyj-  
skiej z przed lat trzydziestu, udowodnił prof.  
Żygulski, odsyłając tych, którzyby się z po-  
wiesi zapoznawali z tą szkołą — do „Ru-  
bikonu“ Nowakowskiego, nie do Zegadłowicza.  
Ten bardzo precyzyjny i obiektywny trójgłos  
zamiącony został po słowie red. Jampolskiego  
na miejscu, gdzie prelegent wcale spótecozy  
„Zmór“ nie wygłosił, a jako krytyk literacki  
nie mógł odmówić tej książce wysokiego walo-  
row. Tak się jednak zwykłe dzieje, gdy „chry-  
ja“ jest uplanowana i tylko udaje „spontani-  
czny odruch młodzieży“.

J. Ł.

INFORMACJA PRASOWA POLSKA

WARSZAWA UL. BRACKA 5

TELEFON 9-41-53

BIURO WIADOMOŚCI Z PRASY W WYCINKACH

KORRESPONDENCI WE WSZYSTKICH STOLICACH W EUROPIE

WYCINEK Z WYDAWNICTWA

KURJER ZACHODNI (Sosnowiec)

Nr. d. 21 GRUD. 1935

### Powieść Zegadłowicza SKONFISKOWANA

KRAKÓW, 20.12 (tel. wł.). Z polecenia władz funkcyjarsze policji zabierają egzemplarze powieści Zegadłowicza „Zmory”, która została skonfiskowana.

Jak wiadomo, ks. Metropolita krakowski, Sapieha, w osobnym liście pasterskim potępił demoralizujące książki, mając, jak się domyślano, na myśli m. in. „Zmory”.

INFORMACJA PRASOWA POLSKA

BIURO WIADOMOŚCI Z PRASY CAŁEGO ŚWIATA

Warszawa ul. Bracka 5 Tel. 9-41-53

WYCINEK Z WYDAWNICTWA

GONIEC NADWIŚLAŃSKI (Grudziądz)

Nr. d. 25 GRUD. 1935

### Kontaskata „mor”

Na polecenie prokuratury krakowskiej policja zabrała z krakowskich księgarni wszystkie egzemplarze powieści Zegadłowicza „Zmory”.

Informacja Prasowa Polska W WYCINKACH Z GAZET I CZASOPISM WARSZAWA

UL. BRACKA 5. TELEF. 9-41-53

WYCINEK Z WYDAWNICTWA

SŁOWO CZĘSTOCHOWSKIE

Nr. d. 29 21 GRUD 1935

### Konfiskata „Zmor” Zegadłowicza.

LWÓW. We czwartek przedpołudniem obchodzili funkcyjarsze wydziału śledczego wszystkie księgarnie i konfiskowali powieść Zegadłowicza „Zmory”, powołując się na polecenie prokuratury krakowskiej. Skonfiskowane egzemplarze złożono w starostwie grodzkim. Jak wiadomo, pierwsze wydanie „Zmor” nie uległo konfiskacie, nakład został wyczerpany.

INFORMACJA PRASOWA POLSKA

Zal. w 1920 roku

Biuro prasowe wycinków

Warszawa Bracka 5, tel. 941-53

Wycinek z wydawnictwa

DZIENNIK POZNAŃSKI

Nr. d. 19 STYC. 1936

## „Artyście wolno wszystko...” Preliminarja do krytyki „Zmór” Emila Zegadłowicza

„Zmory” Zegadłowicza, skonfiskowane w Krakowie i Lwowie, wydane w stosunkowo niedługim czasie dwukrotnie, zdobyły sobie olbrzymi rozgłos tak w krytyce literackiej, jak wśród szerokiej rzeszy publiczności. Ten ostatni rozgłos niestety, nie przysparza zaszczytu piśmierzwi: wyrosł bowiem jedynie na nawozie sensacji, mającej podłoże dość plugawie. Ocenę krytyczną „Zmór” zamieściliśmy po ukazaniu się ich w artykule J. Kiewnarskiej „Jazur i błoto”. Autor poniższego felietonu rozpatrując objektivnie głos opinii, stawia ciekawy problem istoty prawa, na mocy którego artyście wolno wszystko”. — Red.

Ostatni, jak dotychczas, tom wielkiego cyklu powieściowego Emila Zegadłowicza: „Zywot Mikolaja Srebrzypisanego”, wydany niedawno pt. „Zmory” jest już dzisiaj nietykalnym utworem literackim, ale także publicznym, a więc w dziedzinie literatury. Reakcja opinii przypomniała tu w sposób uderzający dyskusję, jaka powstała po ukazaniu się „Przedwiośnia” — Stefana Żeromskiego. I w r. 1924 i teraz słyszy się jeden i ten sam głos: „Prawie powszechny głos



Emil Zegadłowicz.

### P. Zegadłowicz do P. A. L.

P. Zegadłowicz pogniwał się na K. H. Rostworowskiego za jego krytykę „Zmór” w „Wiadom. Literackich” zamieszczył artykuł w którym swoim krytykom insynuuje jakoby wzorem Torquemadów chcieli go spalić na stosie. Oczywiście myli się. P. Zegadłowicz nie na stos trzeba, ale pod opiekę lekarza oddać... Nieogrzekiwanie „Kurjer Poranny” bierze p. Zegadłowicza w obronę. — Naprzód zarządził zdrowo „Zmory”, a teraz broniąc go pisze o „oszczekiwaniach”.

„Oszczekiwacze — zapewnia organ samonacjonalnej lewicy — to głównie ci, którzy dla tegoż Zegadłowicza własnymi rękami zbudowali kapliczkę, a dziś kiedy jak Samson strząsnął z siebie zbutwiały jej cegły i odwrócił się od swych dawnych komilitonów, pragną dymisjonowanego świątka zadławić. Ich lamenty i wyzwiska mogą nawet wzruszyć. — Oto wrzeszcza i popłakuje, których Zegadłowicz porzucił”.

Samson i Zegadłowicz! Rzykowne zestawienie!.. Ale skoro już „Kurjer Poranny” winduje p. Zegadłowicza na takie wyżyny, to możeby wziął pod uwagę nasz projekt: — wprowadzić p. Zegadłowicza do „Polskiej Akad. Literatury”. Anibyśmy się zdziwili, Ani — gniewali. A w P. A. L. wakuje jedno krzesło... W sam raz!

na”, przecież to sztafeta każdego estetyzmu, piękno-duchostwa, kontemplacyjnego anarchizmu, indywidualizmu. Dla tej postawy wobec rzeczywistości dzieło sztuki jest fajerkciem: zimnym ogniem, który paląc się nie spala. Ze dla innych cenne są materjali użyte do budowy fajerwerku, że inni widzą w nim spoielone wartości moralne do których sa przywiązani to — jest nieistotne. Esteta w fajerwerku nie czuje ani goraca ani swadu spaleni. Ustawienie gąsienic albo ogląda z pogardą i litością, albo obraża się na szum spadającej z nich wody. Nie rozumie dlaczego popusto mu zabawię. Dalem powżej jejen przekroj sytuacji obronowej „Zmór”. Emila Zegadłowicza, a zarzem schemat kompromitacji jego wrogów. Ażeby wyjaśnić czemu wszelkie możliwe nieporozumienia, stwierdzam, że aczkolwiek rozumie konieczność estetyczną jako postawy, i głęboko sympatyzuje z wszelkim indywidualizmem i anarchizmem — schemat ten bynajmniej nie przypada mu do gustu.

Krzyknąć: „artyście wszystko wolno” i rozdrzeć szaty nad ubóstwem duchowym stróżów moralności publicznej albo zdemaskować ich obłudę, to nie wydaje mi się takoby demonstracją właściwego zrozumienia istoty sztuki. Istotnie — artysta nie wolno, wolno ale pod pewnymi warunkami. Wolność artysty to nie moźność mówienia czegokolwiek wbrew wszelkim tradycjom sakralnym środowiska. Wolność artysty to prawo takiego mówienia, a prawo to trzeba zdobyć dużym wysiłkiem moralnym.

Dlatego nie mają racji i ci, którzy „Zmory” Emila Zegadłowicza potępiają bezwzględnie za to, że poeta świadomie obrazil w nich pewne normy towarzyskiej przyzwoitości, że zaszarzał świętość skompromitował wiele nieetykalnych autorwielców. Takie zbrodnie na sumieniu ma każdy wielki arty-

sta. Gdybyśmy umieli czytać strofy „Beniowskiego” a nawet i wiersze Mickiewicza oburzenie nasze w stosunku do nich musiałoby być takie same... Gdyby oczyścić potępienie to było uzasadnione. Ale potępienie to nie jest uzasadnione. Ale potępienie nie to nie jest uzasadnione. Przynajmniej w odniesieniu do Słowackiego i Mickiewicza. Artyści ci bowiem zdobyli to prawo mówienia wszystkiego. To prawo, którego tak niedawno odmawiał Kasprzowski Stanisław Tarnowski. Gdy Kasprzowicz jeden ze swoich hymnów kończy słowami zdławionej rozpaczy: „Bo cóż być może kiedym ja zaginał”. Stanisław Tarnowski nazywa to bluźnierstwem zarozumiałego obłąkańca. A dziś te same „Hymny” sa obowiązkową lekturą szkolną. Mimo to podejmują się i dziś wykazać cytatami, że wszystkie zarzuty podniesione przeciwko Zegadłowiczowi w związku z „Zmorami” dadzą się doskonale zastosować do twórczści Kasprzowicza. A i Wspiańskiemu można by z całym sumieniem to samo zarzucić. Co do Zermńskiego nie potrzeba już fatygi — uczyniono to już niejednokrotnie.

Więc jakie właściwie przedstawia się ta sprawa? Nie mają racji ani obrońcy ani wrogowie. Argumenty jednych i drugich sa nieistotnymi uprzedzeniami.

Ażeby dłużej nie mącić czyszej wody, w celu wydobycia z jej dna złotego piasku zakończymy rzecz deklaracją ideologiczną.

„Artyście wszystko wolno, ale każde jego bluźnierstwo, każda kompromitacja rzeczy wzniósłych i sakralnych musi mieć wewnętrzne moralne pokrycie. Tajemnica tego pokręca jest tajemnicą sztuki. Wyzwaia się ona w twórczości artysty z wewnętrznych napędów moralnych. Jeżeli artysta zdobył wewnętrzny wysiłkiem tę nadbudowę moralną nad aktem kompromitacji, to nietylko, że nie popełnił

skandalu ale stworzył arcydzieło. Jeżeli tej nadbudowy niema to wówczas istotnie nie mamy do czynienia z dziełem sztuki ale z procederem, przypominającym handel pornograficznymi pocztówkami. Nie znamy tu możności bliżej wyjaśnić tej tajemniczej nadbudowy dokonywanej w dziele sztuki ponad kompromitowalą rzeczywistością. Może działa tu odwieczny dualizm formy i treści; artysta komponuje konwencjonalne formy wyrazu wzniósłych treści w imię właśnie tej „wzniołości”. To jedna możliwość. Druga wyznacza schemat tragizmu, podzasady pierwszej była postawa groteski. Tragizm wniósłości polegać może na małości zawartej w niej treści. Wzniołość może być wysoka, imponująca farsadą zaaranżowaną dla zakrycia kawałka nieczystości. I jest jeszcze kilka innych możliwości wydobycia się artysty na te wyższe moralną z której wolno mu dokonywać aktów publicznego zgrzeszenia”.

Wracamy do „Zmór” Emila Zegadłowicza. Jak widzimy może to być w równej mierze arcydzieło i skandal. Rzecz idzie bowiem o czy Zegadłowicz w swoich „Zmorach” dal nadbudowę artystyczną na kompromitującą rzeczywistość czy też aktu tej kompromitacji dokonal bez pokrycia moralnego? Tego w niniejszych orieliminarjach do krytyki „Zmór” rozstrzygać nie możemy. Postaramy się to uczynić osobno.

Dr. Konstanty Troczyński

63.

# Kim jest Zegadłowicz, autor „Zmór”

„On to i czeski i polski i ruski”

Warszawa. (KAP.) W miesięczniku „Wiara i Życie” (styczeń br.) profesor Ludwik Skoczylas kreśli sylwetkę Emila Zegadłowicza, autora skonfiskowanej za opisy pornograficzne książki p. t. „Zmór”.

Prof. Skoczylas na podstawie zebranych materiałów zarzuca Zegadłowiczowi zakłamanie i fałsz w ujemnym przedstawieniu grona nauczycieli gimnazjum w Wadowicach, gdzie autor „Zmór” się wychowywał. Dyrektor Arzt, który „otaczał Zegadłowicza serdeczną, choć dyskretną opieką, przedstawiony został przez Zegadłowicza jako typowy czarnożółty urzędnik, którego nawet żony nie oszczędził autor, powtarzając o niej obrzydliwe, małomiasteczkowe plotki. Prof. Sobiński, nauczyciel geografii i polski, światny pedagog i dydaktyk, został przedstawiony pod imieniem Robińskiego „tyran”. Prof. Sobiński w okresie już niepodległości kurator lwowski — pałki morderej sfanatyzowanego Ru-

„Nieszczęrze — pisał prof. Skoczylas — również wydają się opisy przeżyć autora z ławy szkolnej w zakresie uczuć narodowych. Dziadek autora był Czechem, ojciec Rusinem, matka pochodziła z rodziny czesko-polskiej. Zaco uważał się sam autor w okresie szkolnym? Za Rusina, Czecha czy Polaka? Kiedy dziadek autora robi testament, tak się wyraża o swym wnuku: „On to i czeski i polski i ruski”. A sam autor za kogo się właściwie uważa? Kiedy natrząsa się z austriackimi urzędnikami, podkreśla, że nienawidzi Austrii. Ale gdy się natrząsa z uroczyści patriotycznych polskich, urządzanych nielegalnie przez współkolegów, wtedy chyba nie przemawia przez niego rodowity Polak”.

Powstaje pytanie, czy za „zasługi” dla literatury narodowej czy za pornograficzną powieść niedawno Polska Akademia Literatury odznaczyła p. Emila Zegadłowicza złotym wawrzynem?

64.

...ry winna być czolobitność? ... nie posadam Cię o stano- ... — i tak nudne.

Czytając Twoją *Grubą Bertę*, raz poraz natykałem się na *zmierzzone* złośliwości. Ale widzisz, w polemice to jest odwrotnie niż w kodeksie karnym: tu, na naszym gruncie, karalne jest tylko *usiłowanie*. Zamach *udany* jest dozwolony. Oglaszam jednak amnestję polemiczną z braku czasu i ochoty do „przewodu”.

Pozostają jednak sprawy, dotyczące już nie nas osobiście, ale naszej pracy literackiej: Twojej jako poety i powieściopisarza — mojej jako krytyka i recenzenta.

Powiadasz, że piszę o Tobie stale „na łonie irytacji, pogardy, antypatii i t. d.”. To fantastyczne oświadczenie skłania mnie do stylu urzędowego (wiadomo, „organ rządowy” — wymagają!). Nieprawdą jest jakobyhym pisał o Tobie od lat na łonie irytacji. Natomiast prawdą jest, że byłem jedynym w Polsce recenzentem, który entuzjastycznie (tak!) podniósł wartość artystyczną Twoich *Koleżdiolatek Beskidzkich*. Ze szczególnym uznaniem pisałem też o innych Twoich tomach np. o *Zodjaku*, *Dębach pod Pełnią*. Również recenzja o *Podkowie na Progu* nie była pisana „na łonie irytacji”. Owszem, podniosłem bogatą i ciekawą fantastykę tego poematu. Nie mogłem jednak zachwycać się „syntezą myślową”, która wypadła bardzo mizernie.

Nieprawdą jest jakobyhym korzystał w każdej okazji aby Ci zalać sadła za skórę, z czego rzekomo „żyję” (dawnym kopyta wyciągnął przy tak wodnistej pożywece!). Natomiast prawdą jest, że dwukrotnie (dawniej w *Pionie*, a ostatnio w *Roczniku Literackim*) domagałem się dla Ciebie nagrody. Tylko że Ty, nihilista społeczny, jesteś „totalistą”, gdy chodzi o Twoją twórczość. Rozumiesz tylko ślepy entuzjazm — lub wrogość. Ale właśnie te „dwie formy są mi zupełnie obce; niweczą bowiem samą krytykę. Znam ten Twój *Standpunkt* — do znużenia. — Zalutuje mocno, tym razem nie galicyjskim ale warszawskim, podwó-  
ciem.

Krytykasz mi ostrość niektórych zwrotek — słuchaj, krytyka to nie jest czynność łombaradowa; to jest zawsze najprościej — walka o ideał: moralny, społeczny. Krytyk w literaturze używa się uczuciowo niemniej powieściopisarza. Dość zabawne patyczkowanie się o jakieś „zażalenie ze strony pisarza”, „w *Wzroczach* podeptał wszelkie prawa na zwykłą ludzką przyzwołość — w imię abstrakcyjnej racji; — wara tylko ojej drogi, to nie próbuje w literaturze na „odkłamywanie” — jednocześnie oceniać „go *sanoir vivre'u*.” i subiektywizm w — owszem, bronię prawa do laboratorium recenzyjnym, które

nie odbijają indywidu-  
mawiam nazwy kry-  
Z obrzydzeniem

Ci czolobitności-  
rych dotąd nie-  
żyli wcale Zega-  
talnych rz-  
Koled-  
ezali-  
w kt-  
słów,  
warzy-  
d, h, p

Ale n-  
mie sam-  
bie pew-  
ale może  
dzielam  
prokurat-  
rów z p-  
przypon-  
Torque-  
takim  
się na-  
kość za-  
władz. “  
w swoim p-  
steś nawet  
cieniem; ze-  
wym. Wciąż  
razczęła „chłop-  
niesympatyczne!

Pogarda? Ni-  
trzeba mieć tyle  
jej nie omaslać  
stety, nie domyśl-  
cia” jest wogóle  
dok. kiedy pisa-  
z tego  
przyppone się do  
nie  
ma nie wspólne  
zumię. A faktem je-  
nie naprawdę ważnego  
miłości tywidzieć. Jest C-  
ty-  
ko w postaci najmniej odpowied-  
jako  
liryczny obrazek, jak do niczego  
żujące wspomnienie. Nie znasz jej ścieżek,  
nie nie wiesz o jej zasadzkach, podstępach,  
rozkoszach, okrucieństwie. Nie umiałeś nig-  
dy *pokazać* jej dróg. Nie masz nic wspólne-  
go z rodziną pisarzy takich jak Tolstoj, Że-  
romski (których nie jestem zresztą entuzja-  
stą), z rodziną wielkich mężczyznów miło-  
sierdzia. Twoja „miłość” jest literackim fra-  
jezem — niczem więcej.

Małostkowość Twojej repliki, zbudowa-  
nej na zasadzie („święcie” przestrzeganej  
przez Warszawę): brać przeciwnika zawsze  
*in pessima forma*, pozwala mi przypuszczać,  
że słowa moje do Ciebie nie dotrą. Pragnę  
więc zakończyć ten list zdaniem, które zro-  
zumiesz napewno.

Insynuacje, iż denuncjuję Cię w opinii  
i t. p. są bezpodstawne. Mocniejszą stroną  
jesteś Ty. Za Tobą, nie za mną, stoją murem  
snohy najmłodniejszych odcieni (a oni jesz-  
cze „póki co” regulują giełdowy kurs po-  
wodzenia literackiego). Śpij więc spokojnie!

Przy Nowym Roku życzę Ci, abyś nie pi-  
sał więcej o „miłości”. Proszę Cię, zrób to  
dla mnie!

J. E. SKIWSKI

## SPROSTOWANIA

Stanisław Ignacy Witkiewicz w swoim zajmującym artykule o twórczości B. Schulza (*Pion* Nr. 99/100) polemizując z moją recenzją o *Sklepkach cynamonowych* używa mnie docentem Uniwersytetu Poznańskiego. Możnały te rozkoszną dowolność pominąć, jako szczerół bez znaczenia. Nie chciałybym jednak, bodaj milczeniem, przypisywać sobie tytułu, do którego nie mam żadnego uprawnienia.

Nietylko nie jestem docentem U. P. ale nie przysługuje mi nawet „dr.” ani „mgr.”, a umieszczenie tych czcigodnych zresztą skrótów przed moim nazwiskiem wydaje mi się czemś równie fantastycznym jak artykuł Stanisława Ignacego Witkiewicza bez „kotka”, „złotka” i innych wyrwasów, zaciemniających ciekawe mierz wywody.

Prof. Kridl, pisząc o *Granicach* Nalkowskiej (*Pion* Nr. 115), zauważa, że sprowadzając treść tego utworu do podsumowania opisywanych w nim wydarzeń, jak to czyniłem w mojej recenzji *Granic*, pomija się to, co jest w powieści najistotniejsze: jej psychologię i ciekawość właściwości konstrukcyjne; że w ten sposób „streszczając”, można by arcydziela takie jak np. *Pani Bovary* sprowadzić do paru banalnych ogólników.

Przyznaję, że wyrazu „treść” użyłem tu niewłaściwie. Należało powiedzieć „fabuła”. Może i ta zmiana nie zadowoliłaby prof. Kridla, który twierdziłby dalej, że fabuła jest tu bez znaczenia, a ważne jedynie dwa momenty psychologiczne i konstrukcyjne, o których tyle subtelnych i ciekawych uwag wypowiedział w swym artykule.

Jabym się jednak przy „fabule” upierał. Jestem nietylko krytykiem, ale i dziennikarzem. Właśnie z mojej praktyki dziennikarskiej wiem, jak bardzo czytelnikowi nie literatowi potrzebne jest takie bodaj ogólnikowe streszczenie fabuły omawianego utworu.

Drogi Zegadłowicz!

Ktoś ze znajomych mówił mi, że odpowiedziałeś w *Wiadomościach Literackich* na mój artykuł w *Pionie* o Twojej książce. Kupiłem numer tego pisma i przeczytałem Twoją *Grubą Bertę*. Widzę, że masz do mnie żal.

Przy-  
zmi-  
zi. G-  
Grubej-  
pozosta-  
nie wi-  
międz-  
leży si-  
Pr-  
— w do-  
ocenić i-  
wielką przyjemność.

Rzecz zasadnicza. Na koncu Twojej odpowiedzi piszesz: „Na końcu pragnę jak najwyraźniej stwierdzić że zdania:

1. „Zegadłowicz czuje się solidarny tylko z tym rozproszonym w przestworzach pyłem kosmicznym, ale nie czuje się ani trochę solidarnym człowiekiem”;
2. „W świecie Zegadłowicza sprawa ludzka jest skompromitowana raz na zawsze i ryczaltem”;
3. (Takie stanowisko) „trzeba nazwać *destrukcyjnym*, w sensie zupełnie obiektywnym, bez jakiegokolwiek domieszk moralizatorstwa w tym sensie, że jest ono przeciwieństwem wszelkiego budownictwa społecznego, wszelkiej hierarchji, wszelkiej organizacji”.

są nader trafnym wyciągnięciem wniosków z lektury *Zmór*, są też odurzająca, — acz niezamierzona — pochwała”.

Innemi słowy stwierdzasz, że właściwą tendencję *Zmór* i jej podłożę „światopoglądowe” ocenilem trafnie. Ucieszyło mnie to uznanie dla mojej diagnozy. Bo tylko ten jest sens obiektywnemu krytyka: zdefiniować trafnie *to co jest*. Pozatem krytyk ma prawo ustosunkować się do omawianego utworu, jak mu się podoba. Ganić go łub chwalić, wyciągać zeń takie czy inne konsekwencje myślowe, społeczne, estetyczne, moralne.

Z prawa tego skorzystałem, nazywając Twoją powieść „antyludzką”, lub, jeśli wolisz, nihilistyczną (tak to się nazywa). I nie pojmuję doprawdy isoty Twego zarzutu: skoro sam przyznajesz, że trafnie ocenilem tendencję *Zmór*, czemu zżymasz się na mnie, iż wyciągnąłem stąd konsekwencje zgodne z *moim własnym* stanowiskiem? Czyżbyś uważał, że jedyną postawą t. zw. krytyka

## Kim jest autor „Zmór”?

W miesięczniku „Wiara i Życie” (styczeń br.) profesor Ludwik Skoczylas kreśli sylwetkę Emila Zegadłowicza, autora skonfiskowanej za opisy pornograficzne książki p. t. „Zmór”.

Prof. Skoczylas na podstawie zebranych materiałów, zarzuca Zegadłowiczowi zakłamanie i fałsz w ujemnym przedstawieniu grona nauczycieli gimnazjum w Wadowicach, gdzie autor „Zmór” się wychowywał. Dyrektor Arzt, „otaczał Zegadłowicza serdeczną, choć dyskretną opieką, przedstawiony został przez Zegadłowicza jako typowy czarnożółty urzędnik, którego nawet żony nie oszczędził autor, powtarzając o niej obrzydliwe, małomiasteczkowe plotki.

Prof. Sobiński, nauczyciel geografii i polskiego, światny pedagog i dydaktyk, został scharakteryzowany, pod imieniem Robińskiego, jako „tyran”. Prof. Sobiński — w okresie już niepodległości kurator lwowski — padł od kuli morderej sfanatyzowanego Rusina.

„Nieszczęrze — pisał prof. Skoczylas — również wydaję opisy przeżyć autora z ławy szkolnej w zakresie uczuć narodowych. Dziadek autora był Czechem, ojciec Rusinem, matka pochodziła z rodziny czesko-polskiej. Zaco uważał się sam autor w okresie szkolnym? Za Rusina, Czecha czy Polaka? Kiedy dziadek autora robi testament, tak się wyraża o swym wnuku: „On to i czeski i polski i ruski”. A sam autor za kogo się właściwie uważa? Kiedy natrząsa się z austriackimi urzędnikami, podkreśla, że nienawidzi Austrii. Ale gdy się natrząsa z uroczyści patriotycznych polskich, urządzanych nielegalnie przez współkolegów, wtedy chyba nie przemawia przez niego rodowity Polak”.

Informacja Prasowa Polska  
W WYCINKACH Z GAZET I CZASOPIS  
WARSZAWA  
UL. BRACKA 5. TELEF. 9-41-

WYCINEK Z WYDAWNICTWA  
EXPRES LUBELSKI  
d. 18 STYC. 1936

## Konfiskata „Zmór” w Krakowie

Prokuratura przy sądzie okręgowym w Krakowie zarządziła konfiskację powieści Zegadłowicza p. t. „Zmór”. W związku z zarządzeniem konfiskata, policja zajęła egzemplarze tej powieści we wszystkich księgarniach krakowskich.

Stado  
Babiński

JÓZEF LITAUER

## Zagadnienie społeczne w pisowni

Znów jest mowa o reformie pisowni. Coś tam uchwalił specjalny komitet przy Akademii Umiejętności w Krakowie. Odbył się zbiorowy odczyt dyskusyjny w Akademii Literatury. Przez radjo przemawiał Boy-Żeleński. Znów toczy się walka między zwolennikami właściwie tylko ujednostajnienia pisowni, a tymi, którzy dążą do pewnego jednakże jej uproszczenia.

Wszystko to odbywa się tylko w świecie uczonych i publicystów stojących zdala od obozu lewicy społecznej, który zagadnieniem tym nie interesuje się wcale i wcale nie stara się włączyć na wyniki walki. Jedynie autor niniejszego artykułu wypowiedział się w tej sprawie na łamach kwietniowego (1935) zeszytu nieistniejącej już „Akcji literackiej”.

Tymczasem pisownia jest zagadnieniem społecznym. Literaci i działacze kulturalni obozu ludowego czy lewicowego winni zabrać głos i na tym odcinku nieść pochodnię postępu czy żagiew rewolucji, zupełnie radykalna reforma pisowni bowiem jest dopiero zawsze wynikiem rewolucji społecznej.

I tak zaraz po rewolucji sowieckiej przeprowadzono radykalną reformę pisowni rosyjskiej, dziś prawie zupełnie fonetycznej. Obecnie istnieje już tylko kwestja przejścia z t. zw. cyrylicy na alfabet łaciński. Jeden z powojennych radykalnych rządów chłopskich w Bułgarii na wzór sowiecki uprościł pisownię bułgarską. W Związku Sowieckim różne języki drobnych ludów uzyskały pisownię fonetyczną. Początkowo nadawano im alfabet rosyjski, te zaś, którym alfabet nadano później, otrzymały już alfabet łaciński. Alfabet łaciński został również wprowadzony przez Turcję w wyniku odbytej tam wielkiej rewolucji kulturalnej. W 1931 r. w Brazylii została wprowadzona uproszczona pisownia portugalska, a w socjalistycznym Meksyku pewne koła rewolucyjne starają się wprowadzić fonetyczną ortografię naukową hiszpańsko-amerykańską.

O tych wszystkich faktach, o ile wiemy, żadne pismo polskie w związku z pracami nad reformą ortografii nie napisało. Zresztą pisarze i dyletanci mogli nie wiedzieć o reformach zamorskich, trudno jednak sobie wyobrazić, że nie mieli informacji nawet o reformach rosyjskiej i tureckiej.

Czyżby reformy pisowni rosyjskiej, wprowadzonej przez Sowiety nie uznali, tak jak uczynili to emigranci polityczni z Sowietów, którzy wciąż używają w pismach i książkach bądź ortografii przedwojennej, bądź z niektórymi tylko zmianami?

Na tym przykładzie jaskrawo uwidacznia się, że pisownia zależna jest od poglądów politycznych osób piszących w danym języku. Bolszewicy, którzy mieli odwagę zerwać z tradycją, gdy jest ona tylko zaporą kultury, nie lękali się wprowadzenia radykalnego uproszczenia ortografii. Liberalowie rosyjscy, przebywający poza Z. S. R. R., ortografię rosyjską trochę uprościli, reakcyjniści rosyjscy piszą tak, jak pisali za carskich czasów. Biorąc do ręki druk rosyjski można prawie ściśle na podsta-

wie pisowni ustalić kogo pod względem społeczno-politycznym druk ten reprezentuje.

I u nas ludzie bardziej lewicowo usposobieni są za radykalniejszą reformą pisowni, konserwatyści zaś występują przeciw takiej reformie.

A tymczasem zmiany wszystkich pisowni powoli lecz konsekwentnie oddalają się od tradycji, a zacierają ku zasadzie fonetycznej, że jeden dźwięk może być wyrażony na piśmie tylko jedną literą, zawsze tą samą, a jedna litera może oznaczać zawsze tylko jeden i ten sam dźwięk („jeden dźwięk — jedna litera, jedna litera — jeden dźwięk”). Zasada ta najlepiej została przeprowadzona przed półwiekiem w języku Esperanto. Naturalny pęd ku takiej reformie powstrzymać chcą ludzie wrogo usposobieni wogóle do wszelkich nietylko językowych reform.

I oto jesteśmy w centrum zagadnienia. Jedni tkwią w tradycji, w dziejach, do językowych zażytków przeszłości podchodzą z religijnym celebrowaniem. Oczy i myśl ich zwrócone są ku przeszłości. Stamtąd czerpią natchnienie. Inni wpatrzeni są w przyszłość. Przeszłość biorą tylko pod kątem widzenia potrzeb przyszłości. Co w niej złe, niech w gruzy się rozleci. Co dobre, wiecznie będzie żyć.

Pisownia jest zagadnieniem społecznym. Dla jednych język jest przedmiotem kultu, dla innych przy całej doń miłości, przy całym jego ukochaniu, jest jednak najpierw środkiem porozumiewania się między ludźmi. Jedni walczą o język z pobudek jakby liturgicznych, inni bronią mowy ojczystej, jako najlepszego środka do wnikięcia w czyjąś jaźń, przemówienia w sposób najprostszy i najszybszy do serca i rozumu innego człowieka, zapomoć którego najłatwiej dziecko i dorosłego nauczyć i wychować, wykształcić i przekonać. Walka o język ojczysty jest walką o najlepszy sposób porozumienia się między ludźmi. Jeśli sposób ten może być uproszczony, to dla dobra mas, dla ułatwienia szerzenia kultury i oświaty — jak każdą rzecz, jak maszynę, sposób, czy urządzenie — należy starać się ulepszyć, ułatwić jego stosowanie i użycie. Ułatwienie zaś takie niewątpliwie wzbogaci treść, moc i piękno języka.

Porywy rewolucji nie omijały pisowni, upraszczały ją, aby język stawał się udziałem wszystkich dążących do kultury, udziałem mas. Nie pod kątem widzenia tradycji i możliwości czytania starych ksiąg reformowano pisownię, ale pod kątem — łatwości opanowania języka ojczystego przez wszystkich, pod kątem widzenia możliwości czytania ksiąg nowych. Po radykalnej reformie ortografii postęp kultury, oświaty i czytelnictwa stawał się bardzo intensywny i książki zaczynały przenikać w szerokie masy ludności.

Ci zaś, którzy sprzeciwiają się najradykalniejszej reformie pisowni, nie pomagają kulturze swego kraju, ale naodwrot utrzymują lud w ciemnocie i zacofaniu. Niektórzy czynią to świadomie, inni bez dostatecznego zastanowienia się. Jednych więc należy pouczyć, innym należy w imię kultury mas wypowiedzieć najostrzejszą walkę.

Ale co zrobić z takimi, jak p. Karol Ludwik Koniński, który w tygodniku „Prosto z mostu” z 5 stycznia r. b. wzywa cenzora, aby konfiskował te pisma i książki, w których słowo „bóg” jest pisane przez małe „b”. Czy warto wogóle dyskutować z takim Bogobojnym (przez duże „B”) i politycznym pisarzem? Przecież nie zdaje on sobie nawet sprawy, że Spinoza żył w innych czasach, właśnie gdy tacy, jak p. Koniński, władzę posiadali i nie tylko cenzurowali ale i surowo karali. Przecież żyjemy już w innych czasach i w innych nieco warunkach. To co kiedyś, za czasów Spinozy, wyrażano dyskretnie, my dzisiaj po wiekach postępu myśli ludzkiej mamy prawo wypowiedzieć głośno i wyraźnie. Nie zadowolimy się tylko prawem do

swobodnego myślenia, jakiego wspomniałomyślnie udziela nam p. Koniński. Właśnie jesteśmy od tego, aby myśli nasze publicznie szerzyć i rozpowszechniać. Pisownia jest tylko środkiem. Winna odpowiadać myślom. Dlatego też „bóg” piszemy przez małe „b”!!! P. Koniński nie zawróci dziejów świata. Jest do tego zamały nawet ze swoją największą literą „B” i policyjną cenzurą.

A nam przypomina się ustęp z obrazu 3 „Róży” Żeromskiego: Gdzie jest policja? Co robi policja? Wołać policji! Policja! Policja! W zmartwychwstałych niestety znów warunkach „Róży” radykalna reforma pisowni niema szans. Trzeba przeczekać do czasu aż ziści się marzenie Żeromskiego z „Przedwiośnia”.

A. NOWACZYŃSKI

# W OBRONIE „BELFRÓW”

Książki i profesor stali się ostatnio *m o r a m i* powieści polskiej.

Co wziąć do ręki nowy tom beletrystyki wyższego poziomu, to — albo ciemna postać duchownego, albo ciemne postacie pedagogów. To już stało się jakby obowiązującym szablonem, konwencją i glejtem do ziemi obiecanej sukcesu i poczytności.

Negatywna postać księdza katolickiego daje autorom gwarancję pozytywnej krytyki i sympatycznego oddźwięku u pewnej kategorii samodzierczów pióra. Debiutant nowelistsyczny musi się wykazać przed Aeropagiami ujemną postacią duchownego katolickiego. Może to być proboszcz, może to być wikary, ale musi być tusty, opasły, i trzymać z „dworem”, i iść ręką w rękę z kapitalizmem. Biskupów i sufraganów jeszcze nie wyciągają pod światło, ale proboszczów wiejskich, „krwiopijców”, siedzących na wozach ze złotem i srebrem pełno na kartach nowej beletrystyki. Niekiedy księdzu-egoiście przeciwstawia się idealizm, wcielony w... sjoniszcie (K. Alberti, W. Wasilewska). Taki tom, taka miksura przyjmowana była przez recenzorów jeszcze serdeczniej, już omal fanatycznie, a autor ma wielkie szanse, że prędzej, czy później zafunduje go sobie niezrządowa konieczność, ale w każdym razie przrządowa prasa. Można atoli obejść się jeszcze bez dodatknej postaci z mniejszościowej rasy, natomiast wykluczone jest, aby bez ujemnej postaci księdza katolickiego autor, czy autorka mogła liczyć na laurki, czy też na nieśmiertelność (trzechletnią).

Podobną fazę przechodziła beletrystyka francuska w drugiej połowie XIX wieku, oczywiście nie ta czołowa, reprezentacyjna, ale ta popularna, brukowo-bulwarowa w typie Paul de Coqua, Gaborieau, Ponson du Teraila, Suego itp. Nie było wtedy ni powieści, ni noweli bez jezuitów, bez arcybiskupa, lub kardynała. Nasi Coquowie i Kurkowie kontentują się jeszcze obsmarowywaniem na czarno proboszczów i jakoś z tej stery proboszczowej, widocznie li tylko im dostępnej, wybrnąć nie mogą, co zaczyna być już nieco monotonne i manieryczne. Czasby był, aby nieco rozszerzyli swoje pole widzenia w tym kierunku i dopuścili jakiś wariant w doborze postaci duszpasterzy katolickich. Taka powieść z życia Braci Albertynów, albo z życia „Niepokalanowa” jużby dała pewne urozmaicenie. Książkę Bliźniński z Liskowa, Kanonik Świekowsky z Gorlic, także kwalifikują się na powieściowych bohaterów, nie mówiąc już o jednym z purpuratów, który od lat lata po Europie w aeroplanach, a kiedy wraca powietrzną drogą z Rzymu np., to zmęczony podróżą siada do fortepianu i gra godzinami Szopena, Schuberta. Chyba też godny model dla nowoczesnej powieści! I wielu, wielu innych pracowników w Winnicy Pańskiej. To ciągle powtarzanie motywu z proboszczem-samolubem, pijawką, materialistą i groszorem zaczyna już być prostoprosta pęknięta i prawdopodobnie sprzykrzyło się już nawet tak subtelnemu recenzentowi, jak p. E. Breiter, który dość długo takich czarnych proboszczów w czerwonych powieściach mocno protegował.

Drugą *bete noire* narratorów młodej generacji stał się obecnie *profesor gimnazjalny*. Co wziąć do ręki, któryś nowy tom z „krajem lat dziecińczych” i szczenięciami latami, to — fatalnie obsmarowana edukacja gimnazjalna i sadzą malowane sylwetki pedagogów. Dopóki hipet autorzki kierował się przeciw dawnemu szkolnictwu rosyjskiemu, dopóty i dobór tematu i furja indygnacji autorskiej były całkiem usprawiedliwione i na swoim miejscu. Kolega Jan Adolf Hertz swoim „Młodym Lasem” zyskał sobie rzetelnie zasłużone aplauzy i objawy wdzięczności całej inteligencji, szczególnie z dawnego najazdu i zabóru moskiewskiego. Ale jeszcze przed nim kolega Kawecki Zygmunt dał nam także na scenie „Szkołę”, w której wyrasta „młody las” galicyjsko-lodomeryjski, a w tej „Szkołę” ciało pedagogiczne było także niezbyt urocze i pociągające. Od „Szkoły” Kaweckiego upłynęło sporo lat, a teraz znowu kilku z rzędu i to odpowiedzialnych pisarzy wspomnianiami swemi wraca do szczenięcych lat gimnazjalnych i prezentuje je w najgorszym świetle. Małopolanie piszą o małopolskich stosunkach szkolnych i swojej prawdy tendencyjnej nie obwiązują w bawelnę. Kolejno dostajemy obrazy tak koszmarnie i przynębiające, że wobec tych *m o r o w a t y c h* okropieństw błędnie martyrologia młodzieży, wychowywanej w szkołach... rosyjskich. Do jakichże smętnych, niespodziewanych i nieoczekiwanych

chyba refleksyj i wniosków dochodzi się po zestawieniu „Młodego Lasu” J. A. Hertza z puszcza i dżunglą... Zegadłowicza. O ileż sympatyczniejsze to o b e c i a c i a o n a u c z y c i e l s k i e o d t e g o s w o j e g o, r o d z o n e g o, k r e w z k r w i, k o ś c z k o ś c i! C z y m o ż e d a l e j z a j ę c j e s z c z e f u r j a s a m o o s k a r ż a n i a, s a m o b i e z o w a n i a, s a m o s z k o l a o w a n i a? J a k i ż j e s t t e d y p r o c e n t p r a w d y w t e m c z a r n o w i d z i w i e, j a k ą b y ł a r z e c z y w i ś c i o ś ć r e a l n a, j a k d a l e k o z a p e d z o n o s i ę w f i k c j i, z a s l a n i a j ą c s i ę t a r c z ą: l i c e n t i a p o e t i c a?

I oto teraz niespodzianka.

W obronie spotwarzanego stanu profesorskiego czuje się w obowiązku stanąć ten, który z profesji i z posłannictwa skazany jest na *c z a r n o w i d z t w o* i któremu chronicznie w obręb obserwacyjnej analizy nasuwają się najpierw rzeczy, strony i partje ciemne, a po nich dopiero partje jaśniejsze.

Autorzy, opisujący gimnazjalną edukację i stan nauczycielski w byłej Galicji i Lodomerji, w reminiscencjach swoich przesolili, przepieprzyli i przesadzili ponad wszelką miarę i w fikcjach jednak obowiązującą.

Tak źle i tak posępnie, ponuro, piekielnie nigdy nigdzie nie było i nie bywało!

Z autopsji znam i pamiętam nie jedno, ale cztery gimnazja galicyjskie, gdyż z powodu nadmiaru witalizmu i dynamiki młodzieńczej musiałem zmieniać tereny działalności, czyli poprostu dwa razy „repetować” (trzecią i siódmą), a z tak zwanych „obyczajów” miało się stopnie „niezadawalające”, albo niedostateczne. Nie z jednego tedy pieca chleb d u c h o w y się jadło. Pierwsze dwie klasy w gimnazjum właśnie Wadowickim, poczem Nowodworskie, Świętej Anny, potem siódma i ósma w Rzeszowie Popiarskie (i już nieco popiarskie), a wreszcie maturę u Świętego Jacka w Krakowie. Miało się więc dość sposobności i okazji poznać gatunek bakalarski w licznych i różnorodnych egzemplarzach swojskiej fauny. Z czystym sumieniem i pełną odpowiedzialnością zeznaję niniejszemu, że autorzy książek, oskarżających świat belferski w Galicji, jeżeli nie koloryzują na potęgę, to w każdym razie mijają się z rzeczywistością rzeczywistością o kilka mil na całym froncie. Za moich czasów gimnazjalnych, to jest lat temu — co tam ukrywać — czterdzieści (z małym ogonkiem), takich okazji i takich monstrów nie było, nie bywało i nie znaleźć by ich z latarką w ręce. Dziwadła i oryginały to tam bywały, ale — ani okrutników, ani sadystów, ani masochistów, ani terorystów i satanistów nie było. Wadowickie gimnazjum pamięta się stosunkowo najślabiej, gdyż studjowaniu i napełnianiu głowy rudymentami wiedzy poświęcało się stosunkowo mało czasu i zapалу, a nieproporcjonalnie więcej poznawaniu krajobrazu, zbijaniu bąków i szymb, walkom Mohikanów ze Siukami i Komanczami, kolekcjonowaniu motyli, marek, odbijanie i t. p. W każdym razie, jako „belfrów” pamięta się takich, jak Bednarski, Zajac, Bobrzyński, którzy nie w sobie nie mieli z monomanów okrutników, a więcej raczej z salfandulów i z fujarów dobroduszych.

Ze Świętej Anny w Krakowie wspomnienia mamy żywsze, no i raczej bardzo sympatyczne. Poświadczyć to mogą koledzy ze szkolnej ławy: prof. Kutrzeba, gen. Galica, autor Kończyński. Byli tam ci sami profesorowie, którzy kształcili Wyspiańskiego, Mehoffera, Rydla, Żuławskiego, Estreichera, Tetmajera, Zelenkich. Choć się tedy „repetowało”, choć konfliktów było sporo, i karcery, i groźby relegacji, awantury i afery, to wspomnienia ma się dotychczas jaknajmilsi i żalu nie żywi się do nikogo, wprost przeciwnie: — w d z i ę c z n o ś ć. Ale bo też była to galeria pedagogów wysokiej klasy, a każda indywidualność obrysowywana, jak gotowa na scenę. Łacina... prastary Rypel, z górali z Zarytego pochodzący; niemiecki: M o l i n entuzjasta; fizyka: T o m a s z e w s k i („Śrubka”); religja: impetyk książd R y c h l a d n y; z u c i o k o p a n y k i a s z d y w a d o l n y; geografja: Ś w i e r z; historia ogólna: wytwórny M i o d o w s k i; matematyka: n i e c o z g r y Ź l i w y K r a n t z; „polskiego”: Z i ę b a; historia kraju rodzinnego: M i k l a s z e w s k i; historia polska: A u g u s t S o k o ł o w s k i; przyroda: K u l c z y Ń s k i; p a j ę c z a r z, czyli arachnolog; greka: s a m C z u b e k. Jan Czubek! Niekiedy z nich wprost kochało się (Miklaszewski, Czubek, Zięba), z niektórymi drażniło się i igrało (Świerz), niektórymi w głos prze-

drzeźniało się (Rypel), pod innymi ryłowilcze doły i podkopy (Krantz, Tomaszewski). O całym zespole wspomnienia pozostały nam jaknajmilsi.

W stosunku do mnie nie mam do zanotowania żadnej „k r z y w d y”, aczkolwiek przez całe lata w szubie bywałem czynnikiem „burzy i rozpędu” (Sturm und Drang), szefem, wzdignie hersztem opozycji, aranzierem czynnego, albo biernego oporu, oraz *l’action directe*, jako to bitew maszanami podczas pauz, kocich muzyk, kasowego *exodus* na Panięskie Skały (i na panięskie randki). Ponieważ już w klasie czwartej i piątej bardzo pięknie tłumaczyłem klasyków (z „bryków”), trzy księgi z „Pana Tadeusza” umiałem na pamięć, pisywałem nowele i satyry na korpus profesorski (w stylu Krasickiego) i współredagowałem tygodnik, odbijany na hektografie, równocześnie fatalnie zaniedbując się z przedmiotów wiedzy ściślej (matematyka i fizyka), przeto ciało profesorskie dzieliło się w poglądach na mnie na dwie najsporniejsze grupy. Prof. Krantz (matematyka) wróżył mi o t w a r c i e i o f i c j a l n i e n i e d o b r ą p r z y s z ł o ś c i, n i e c o f a j ą c s i ę p r z e d t a k i m i s l o w a m i, j a k „p o d p l o t e m”, albo „kryminał”. Natomiast humaniści, poloniści, germaniści, historycy, a już szczególnie profesorowie Czubek, Miklaszewski, Zięba, Świerz dawali jasne i c o r a m p o p u l o d o z r o z u m i e n i a, ż e a l b o — „m i n i s t r e m”, albo profesorem uniwersytetu, albo będzie „drugim... Baulckim”. Można śmiało powiedzieć, że to nie my, lecz oni osiągnęli rekordy cierpliwości, wyrozumiałości, tolerancji, liberalizmu i świętej, męczeńskiej cierpliwości.

W setną rocznicę Konstytucji 3-go Maja, po raz pierwszy uroczyste w Krakowie obchodzoną, dyrekcja gimnazjum Nowodworskiego (prof. Leon Kulczyński) na dyrektywę władz wyższych zakazała uczniom brać udziału w nabożeństwie u Świętej Anny. Bramy gimnazjum zamknięto, a przed bramami — policja. Wtedy kilku z nas „śmieszłej natury” wpadło na pomysł, aby całe gimnazjum... „wyciekło” bokiem. No i jechał przez okna parterowe na Planty i do Kościółka, a w kościele: „Z dymem pożarów” i „Boże coś Polskę”. Oczywiście — śledztwo i prowodyrom groziło relegowanie ze wszystkich zakładów! Wtedy profesorowie solidarnie za nami, no i „s c h w a m d r u b e r”, czyli „kancy wodu” (końce do wody). Kiedy gimnazjum Nowodworskie obchodziło 300-lecie swego istnienia, młodzi profesorowie: jedni współpracowali z nami w dekorowaniu amfiteatru według pomysłów Mehoffera, Wyspiańskiego, Rydla, inni suplentowie śpiewali w chórze, który wykonał wspaniałą kantatę Wł. Zelenkiego pod batutą samego mistrza („O pozdrowiona bądź ty, starodawna kolebko sławna!”). Tak samo mile współzycie było z okazji pierwszych gimnazjalnych „Wieczorków Mickiewiczowskich”, na których grało się w „konfederatów”, deklamowało się „Ode” i „Powrót”: za co potem profesorowie przez palce patrzeli, gdy z logarytmami — ani rusz, o algebrze — ani słyhu-dychu, w termodynamice — nędznie, przy rurkach „Torricellię”, albo przy „naczyniach włoskowatych” — poprostu matoli, czyli kretyn.

Z powodu „reperki” siódmej klasy nastąpiły przenosiny do Rzeszowa. Uratowali siostra i szwagier, bo właściwie miał być „oddany do apteki” Rzewuskiego i już nawiązano pertrakcje „na prowizora”...

Z Rzeszowskiego gimnazjum — też same jasne koloru reminiscencje. Dyrektor L e r u r, katecheta K a r a k u l s k i, zaeny prof. C e t n a r o w s k i, mile dziwadio Ś w i s t u n! szykowny G e c i o w! Z n o w z p o l s k i e g o, z „historji” — celujący w „prywatnej lekturze” — p r y m u s, p o l s k i e „zadania” — czytane, jako wzory, a w ścisłych naukach — tuman, kaleska. Na majówce w Tyczynie gramy: „Zemsta na Mur Graniczny” (Cześnika). W ósmej klasie — pierwszy „Wieczorek Słowackiego”, a na pauzach kabarety, wiersze i piosenki na kolegów, kujonów i lizusów, na profesorów, na dyrektora, na osoby w mieście (schwarzgelberów i serwilistów) na Galicję, na Austrię, na żydków. I znow zespół profesorski wiedział o tych „kabaretach” gimnazjalnych w ósmej klasie (rok 1892!), ale patrzył przez palce i tolerował i odnosił się do nas z wyrozumiałością i cierpliwością. Choć Rzeszowskie prowincjonalne gimnazjum (popiarskie) było bardzo surowe i rygorystyczne, można powiedzieć k l e r y k a l n e (o siódmej codzień całe gimnazjum na Mszy św.), a jednak, a jednak i... Słowacki i...

Fredro i — kabarety i satyry, a dla talentów — respekt i *laissez-faire*, *laissez passer*! Niech się wyszumią, wykrzyczą i wybawią, to im i nauka lepiej pójdzie!

Maturę się zdało głównie przez protekcję inspektora szkół galicyjskich, świętej pamięci L. Germana, ojca Julka, dziadka Yvonki. Dzięki interwencji znakomitego germanisty i świętego krytyka znow collegium profesorskie przy maturze patrzyło na obwinionego przez palce: „O p i s a ć t e l e f o n” — Coś tam baka maturant trzy po trzy, błąduje, pojęcia niema. „Rachunek różniczkowy”? W ciemnie bity, ani du-du. „Romboidy skośnościęte”? Ani słowa. „Krytalografja”? Znowu coś baka, co się kupy nie trzyma. Arsen? Antymon? Bizmut? Pojęcia niema. Inni by chyba „spalili” i przepędzili, gdzie pieprz rośnie.

Tu całkiem coś innego zaszło. Dramat Eschylosa, otwarty na pierwszej lepszej stronie — tłumaczy *ex abrupto*. Na pamięć — oda Horacego i to samo po polsku. O sielankach Brodzińskiego niech opowie! I wtedy wykład formalny. O b s t u p u e r u n t i n t e n t i e u o r a t e n e b a n t. Dobry „k w a d r a n c”, mówiąc po krakowsku, trwał odpowiedz. Skończono! Schodzili z gradusu i winszowali jeden po drugim. A potem u jednego z profesorów były tańce z córkami i z pączkami (u Tułasiewiczów przy Małym Rynku). I podnosiło się profesorów do góry i obnosiło po mieszkaniu i szczypało w podłaski i śpiewało: Niech żyją nam! mnohaja elita!

Jak widzimy i jak widzicie z tego króciutkiego szkicu, nie było znow tak źle w gimnazjach galicyjskich *in illo t e m p o r e*, jak to oskarżają modni teraz beletryści. Jeżeli dość trudno do odwołania egzemplarz raczej zwyrodniałego, a w każdym razie nienormalnego Galiciandera antygalicyjskiego (od 8-go roku żywota) dawał sobie rady ze swoimi bakalarzami, a oni ostatecznie z nim doszli do jakotakiego *modus vivendi*, zatem nie musiało znowu być tam tak h o r r e n d a l n i e i z m o r o w a t o. To gimnazjum Wadowickie, które Heros-strateg Zegadłowicz w przystępie nieco szewskiej, czy przybyszewskiej pasji opisuje po Mirbeausku, czy Lawrenceosku, jako pandedemonium makabrycznego wyuzdaństwa, podgórską Gomorę i infernalne gniazdo zmij, poczwar, jaszczurów i ropuch, to ja widzę wprost przeciwnie w pełnym słońcu skapane, sielankowe w kolorach, jakby z „Silly Symphonies” Waltera Disneya, jako cichą jaszczę ze światem kolejną niepołączoną arkadyjską małą podgórską parafię „dziurę” pełną drzew i kwiatów i dziewczątek ślicznych i ślicznie uczesanych, z którymi szło się w krzaczkę i rwąc im agrest i porzeczkę, wycalaowało je i ściskało, głaskało, pieściło, ale bez żadnej złej myśli, a tak jakoś, dla obopólnej przyjemności i rozrywki...

A w tych Wadowicach-Dziadowicach był taki wspaniały gmach obrzyni, a w nim klasy takie duże i kancelarja dyrektora Krygowskiego, a na gradusach siadywały takie starsze jegomościę i wykładowcy i pytali „na wyrzyki”, a jak się człowiek tem znudził, to podnosił rękę do góry na znak, że mu się chce „n a l o k a”. I szedł na loka i tam widział, jak szóstaki i siódmaki wypalały w sześciu, lub siedmiu jednego „sporta”, albo jednego „damesa”. A raz to ich tam nadybał katecheta, zdaje się nazwiskiem Masny, książd Masny. I okropnie zaperzony skrzyczał ich i powiedział wyraźnie, że ten, kto kolegów gorszy i do czego namawia i papierosy pali i „się zaciąga”, a ojca na pieniądze naciąga, ten będzie gorzał w piekle po sam pas w kotle ze smołą, a djably będą go widłami żgały, a tymczasem dostanie w domu od papy po pysku i osiem godzin „hausarestu” o chlebie i wodzie.

Z groźby tej jednak nie się spełniło. Jeden z tych pałaców „sporty” (na lokach) jest kanonikiem, jeden radcą sądownym, jeden burmistrzem, jeden prezesem „Sokoła” i Macierzy, a jeden — oczywiście w Warszawie, oczywiście — senatorem, oczywiście — senatorem. Widocznie go — ięc dobrze edukowali i wszystkich innych także, skoro tak wysoko zaszli i resztą mocarstwa gubernują.

Niema tedy sensu i racji nadal tak obsmarowywać w powieściach i nowelkach pedagogów z Lodomerji, skoro oni to wychowali nam nadrzędną państwowotwórczą elitę, dzięki której państwo kwitnie, prosperuje, konsoliduje się, krzepnie i t. p.

WYCINEK Z WYDAWNICTWA POLONIA (Katowice)

## Rostworowski przeciw „Zmorom”

W ostatnim czasie ogromnego hałasu w prasie polskiej narobiła książka Zegadłowicza p. t. „Zmory”, powieść w stylu freudowskim, w gruncie zaś rzeczy okropnie pornograficzna. Opinia podzieliła się na dwa obozy. Szereg krytyków, reprezentantów zblazowanego bezdogmatyzmu etycznego, wynosiło ją pod niebiosy, zaliczając utwór do najwybitniejszych dzieł świata; obóz drugi, a zwłaszcza krytycy katoliccy, potępił ją surowo.

Do tych ostatnich głosów dołączył się wielki dramaturg współczesny,

Karol Hubert Rostworowski, umieszczając w jednym z pism poznańskich artykuł „Metamorfozy”, w którym o „Zmorach” twierdzi:

„Nie lubię czytać świństw — pisze Rostworowski. — Brzydzą mnie i nudzą. Funkcje fizjologiczne uważam za materiał nadający się wyłącznie do badań naukowych. Zboczenia i zwyrodnienia płciowe również. W rękach literatów — którzy różnią się od uczonych tem, że grają nie tylko na wiedzy, ale i na nerwach czytelnika; że żądają nie tylko przemyslenia, ale i przeżycia danego tematu;

że, zamiast operować czystymi pojęciami, operują plastycznymi obrazami wyobraźni; że, zamiast metody, stawiają na pierwszym miejscu fantazję, że zamiast zwracać się do „swoich ludzi”, zwracają się do „byłe kogo” — w rękach tak „skonstruowanych” literatów, Forele i Weiningery zamieniają się w najpospolitszych pornografów.

— „W braku artystycznego ujęcia”.  
„Frazes. Pusty, zakłamany frazes. Istota pornografji nie polega bowiem na artystycznym lub nieartystycznym „ujęciu”, ale na wyborze odpowiedniej treści i na opracowaniu jej w ten sposób, żeby wizja była jak najbardziej plastyczna, suggestywna, przejmująca i podniecająca. Autor, który to osiągnął, ujął rzecz „artystycznie”. Autor, który tego nie osiągnął, ujął rzecz „nieartystycznie”. Ale czy tak, czy siak, pornografia pozostała pornografią, i to tem pikantniejszą, im właśnie artystyczniej jest „ujęta”. Wszak artystycznie ujęty las musi pachnąć, ogień płonąć — bądźmy więc konsekwentni.

„Zegadłowicz w „Zmorach” jest konsekwentny. Nawet zadziwiająco konsekwentny. „Uszatkom biednym, chorym, obłudnym” (str. 252) nie osz-

czędza niczego. Nie pomija najdrobniejszych szczegółów. Nie zapomina o ani jednej kropce nad „i”. Podkreśla, cieniuje, potęguje napięcie, nieświadomych uświadamia, uświadomionych doskonali, „zahukanym” rozwiązuje języki — Majster.

„Mateczka Kozłowska w portkach”, pasowana przez samego Breitera (w Wiad. Lit.) na rycerza „sans peur et sans reproche”, z „Chrystusika” ani śladu — a z przeszłości pozostała tylko lada, za którą stanął (przynajmniej moim zdaniem) świętej pamięci poeta.

I zastosował się do nowej roli wyśmienicie. Zawiesił miłość na kołku, a na ladzie rozłożył barwny, pierwszej jakości towar nienawiści”.

Utwór Zegadłowicza jest bowiem —

zdaniem Rostworowskiego — pełen jadu nienawiści w stosunku do panów Wolkowickich (czytaj Wadwickich) — ordynarnych świętuchów i draniów. Panie Wolkowickie „szare, przykre, nadęte, głupie, brzydkie, ponure, odpychające”, spowiednicy — demoralizatorzy młodzieży, ciało nauczycielskie sadyści, pijacy, durnie, warjaci, gimnazjaliści zdeprawowane draby z pod ciemnej gwiazdy i chamy. W podobny sposób odnosi się Zegadłowicz do duchowieństwa, do religji, do dziejów polskich, do tradycji, do naszej literatury.

W zakończeniu Rostworowski apeluje do prokuratora, a w wypadku, jeżeli ta książka nie została wydana dla interesu, tylko z wewnętrznej potrzeby — do lekarza.

P O L S K A  
P R A S O W A  
I N F O R M A C J A  
A J E N C J A  
W I A D O M O Ś C I  
W W Y C I N K A C H  
Z P R A S Y  
C A Ł E G O Ś W I A T A  
W A R S Z A W A, B R A C K A 5  
T E L. 9-41-53  
W Y C I N E K  
Z W Y D A W N I C T W A  
W I E K N O W Y (Lwów)

14 STYC. 1936  
Z SALI ODCZYTOWEJ.

## Burzliwy odczyt. Trójęgłos o „Zmorach” Zegadłowicza.

Głośna powieść Emila Zegadłowicza „Zmory”, skonfiskowana niedawno przez krakowskiego prokuratora, była tematem interesującego i zarazem burzliwego wieczoru, który odbył się w ubiegłą sobotę w sali Tow. Technologicznego przy ul. Boularda. Głos zabrali trzej prelegenci, omawiając powieść Zegadłowicza z trzech różnych punktów widzenia: ze stanowiska literatury, psychologii i pedagogiki. Te trzy elementy reprezentowane są bowiem wybitnie w powieści Zegadłowicza.

Ze stanowiska literackiego omawiał powieść znany literat i krytyk Włodzimierz Jampolski, rzucając ciekawe światło na twórczość Zegadłowicza i jej związek z niespodziewanym wybuchem szczerości i autobiograficznego ekszhibicjonizmu w „Zmorach”. Przedstawiwszy następnie treść powieści, poczynił na jej marginesie szereg krytycznych refleksyj. Niezmiernie ciekawie wniknął w powieść Zegadłowicza drugi prelegent, dr. medycyny Norbert Präger, który omówił ją ze stanowiska psychonalizy. Stwierdził on u bohatera powieści Srebrempisanego, typowy objaw psychiczny nadmiernej sensytywności i wrażliwości, o dużej subtelności lecz nieumiejętności udzielania się światu. Subiektywizm ten z chwilą obudzenia się popędu płciowego wywołuje w bohaterze powieści nieokreślone tęsknoty i marzenia, które posiadają początkowo formę nierealną. Brutalna forma, w jakiej Srebrempisanemu dowiaduje się potem o życiu płciowym od otoczenia, wywołuje w nim najpierw wstręt do własnego ciała, a następnie męczącą walkę ze swoim seksem, kończąca się nerwicą. Dopiero miłość czysta wyzwala go z tej erotycznej i psychicznej zmory. Wywody dr. Prägera, niezwykle trafne i interesujące w swojej analizie, spotkały się z uznaniem całego audytorjum.

Trzeci prelegent dr. Zdzisław Żygulski skonfrontował obraz poetycki „szkoły galicyjskiej”, podany w „Zmorach”, z jej realnym wi-

zerunkiem, wykazując wszystkie odchylenia i wyjąskrawienia rzeczywistości.

Jak dalece „Zmory” stały się obecnie interesujące i aktualne, świadczy fakt, że zgromadzeni na tej zbiorowej prelekcji zwolennicy i przeciwnicy powieści wyrażali swoje zapatrywania w formie ciągłych okrzyków i przeraźliwych gwizdów, które zemocjonowały licznie zebraną publiczność na sali. Przy odgłosie tej niespodziewanej muzyki wieczór dobiegł jednak szczęśliwie do końca.

Informacja Prasowa Polska  
W WYCINKACH Z GAZET I CZASOPISM  
WARSZAWA

UL. BRACKA 5. TELEF. 9-41-53

WYCINEK Z WYDAWNICTWA

GAZETA JAROCINSKA  
d. 22 GRUD 1935

— Drogie wydanie „Zmor” Zegadłowicza zostało skonfiskowane na polecenie krakowskiej prokuratury.

W WYCINKACH  
P O L S K A  
P R A S O W A  
M A C J A  
W A R S Z A W A  
WYCINEK  
Z  
WYDAWNICTWA  
5-ta rano (Warszawa)  
Nr. d.

KONFISKATA KSIĄŻKI.  
Prokuratura krakowska naka-  
zała konfiskatę powieści Emila  
Zegadłowicza p. t. „Zmory”. —  
Funkcjonariusze policji śled-  
czej obeszli już wszystkie księ-  
garnie w Warszawie, Krakowie  
i Lwowie, konfiskując wszędzie  
egzemplarze drugiego wydania  
„Zmor”. W niektórych księgarni-  
ach ukryć egzemplarze skonfi-  
skowanej książki. przeprowadzo  
no rewizje.

Z SALI INSTYTUTU TECHNOLOGICZNEGO.

## Trójgłos o zbuntowanym świątku

Smiało można powiedzieć, że odczyt Zegadłowicza pisze, nie osiągnął takiego powodzenia i nie narobił tyle hałasu, co swemi „Zmorami”. Niesgodziewane przejście pisarza, znanego do tychczas ze swojego franciszkanizmu i oderwanego od życia mistycyzmu na pozycję bojową (a raczej bojową) w stosunku do oficjalnej moralności i panujących poglądów religijnych, a nawet niektórych prądów społeczno-politycznych, musiało wywołać zdziwienie, tembardziej, że dotychczasowa twórczość nie zdradzała wyraźniejszych zapowiedzi w tym kierunku. Wyłoniła się trudna do rozwiązania zagadka psychologiczna tego zjawiska i zagadnienie dalszych losów twórczości. Chodzi o to, czy „Zmory” są tylko chwilowym wyskokiem temperamentu poety, po którym nastąpi powrót do dawnego toru twórczości, czy też objawem trwałej zmiany nastawienia światopoglądowego, a także o to, czy obecny etap twórczości jest szczyry, spontaniczny, czy też „Zmory” zostały napisane tylko „pour épater les bourgeois”...

Toteż zrozumiałe zainteresowanie szerokiej publiczności wywołał zorganizowany przez Okręgowy Komitet Robotniczy P. P. S. trójgłos o „Zmorach”, w którym wypowiedzieli się

krytycy literacki, psychoanalitik i pedagog. Wypowiedzi ich rzuciły pewne światło na całą sprawę, aczkolwiek nie rozwiązały jej całkowicie.

Ze stanowiska estetyczno-literackiego ujął kwestję p. Włodzimierz Jampolski, usiłując na podstawie analizy utworu, odtworzyć pobudki, które remi się autor kierował. W myśl intencji poety, „Zmory”, jako dalszy ciąg „Żywota Mikołaja Srebrzypisanego” mają być odtworzeniem własnych przeżyć autora, na tle zmian społecznych, jakie zaszły w ciągu jego życia. Autorowi udało się osiągnąć tylko pierwszą część zadania. Tło społeczne wypadło blado i niewyraźnie. Świat zewnętrzny tworzy u Zegadłowicza, jak by tylko chmury psychiczne. Istnieje niewątpliwie związek „Zmór” z dwiema pierwszymi częściami cyklu. Są to momenty ideowe: pacyfizm, liberalizm, oraz momenty techniczne: brak konkretności stylu, brak kontaktu postaci ze światem otaczającym. „Zmory” w przeciwieństwie do innych tego rodzaju powieści „o kraju lat dziecińczych” stanowią obraz literatury wstępu. Trudno Zegadłowicza uznać za herolda postępu, gdyż odstęp między dawnym a nowym Zegadłowiczem nie jest zbyt wielki. Słowo jego nie wyzbyło się cech dawnych, dalej uważa je po-

eta za swego rodzaju lukier ozdobny. Poeta nie zdołał dotąd przezwyciężyć swego upodobania do samotnictwa. „Zmory” są tylko indywidualnym etapem walki z życiem.

Drugi prelegent, p. Norbert Präger rozpatrywał „Zmory” ze stanowiska psychoanalizy. Stwierdził, że do całkowitej analizy tego zjawiska brak ostatecznej ilości faktów z życia poety, tak, że psychoanalitik musi się z konieczności ograniczyć do zbadania, czy przeżycia bohatera „Zmór” tak, jak one zostały postawione w utworze, są zgodne z dotychczasowym stanem wiedzy psychoanalitycznej. Mik Srebrzypisany jest typem skrajnego schizotypika. Rozmawia ustawicznie ze sobą, zalewa się kosmosem, czuje się daleki od gromady społecznej. Otoczenie powoduje jego jeszcze większą izolację psychiczną. Prelegent przedstawił skolei szczegółowo psychoanalizę okresu pokwitania. U typu tak wrażliwego, jak Mik, budzą się w końcu refleksje psychopatyczne: natręctwa, nerwice, obawa przed dotykaniem, przed gruzlicą... Wreszcie dochodzi do sublimacji popędu płciowego. Mik, pod wpływem jednego z profesorów zaczyna pisać poezje. Otóż tu jest właśnie najsłabszy punkt powieści. Jest wykluczone, aby tak wytworna nerwica onkastyka mogła się sama z siebie skończyć. Możliwe właśnie, że „Zmory” są rezultatem niewyżytego do końca kompleksu oswię-

tego, objawem owej niewyleczalnej nerwicy.

Pewne ożywienie do nieco sztywnej atmosfery obu poprzednich referatów wniósł p. dr. Zdzisław Zyguński, omawiając sprawę materiału faktycznego powieści. Barwnie i ineresująco przedstawił stosunki w dawnym gimnazjum austriackim. Były one istotnie czasami przykre, tak, że u osób szczególnie wrażliwych mogły wywołać uraz psychiczny. Były typy nauczycieli, wcale pozostawiające do życzenia pod względem pedagogicznym. W gimnazjum gromadzili się wszelkiego rodzaju dziwacy, pokraki i t. p. Nienawisć uczniów do profesorów potęgował dysstans, jaki utrzymywali ci ostatni między sobą a młodzieżą. Mimo wszystko jednak, jak wykazuje sprawozdanie gimnazjum wadowickiego z owego okresu, kiedy doń uczęszczał Zegadłowicz, poeta stosunki mocno przeżył. Postaci profesorów są karykaturą żywych osób. Interesujące w wywodach prof. Zyguńskiego było stwierdzenie analogii między dramatem Franka Wedekinda „Przebudzenie się wiosny” a „Zmorami” Zegadłowicza.

Jak widać, z wypowiedzi trzech prelegentów, mimo różnicy ich postawy poznawczej, da się wyprowadzić wniosek, że „Zmory” Zegadłowicza są raczej indywidualnym wyskokiem poety, niż jakąś obiektywną zmianą jego przekonań.

(K)

### Zarzuty pod adresem Zegadłowicza.

Prof. Ludwik Skoczylas w miesięczniku „Wiara i życie” zajmując się autorem skonfiskowanej książki p. t. „Zmory”. Emilem Zegadłowiczem, oświadczając, że niesłusznie p. Zegadłowicz zaatakował grono nauczycieli w Wadowicach, przyczem okazał się niewdzięcznym wobec dyr. Arzta, otaczającego p. Zegadłowicza opieką oraz prof. Sobieskiego, który jako kurator lwowski padł od kuli morderczej sfanatyzowanego Rusina.

„Nieszczere — pisze prof. Skoczylas — również wydają się opisy przeżyć autora z ławy szkolnej w zakresie uczuć narodowych. Dziadek autora był Czechem, ojciec Rusinem, matka pochodziła z rodziny czesko-polskiej. Za co uważał się sam autor w okresie szkolnym? Za Rusina, Czecha, czy Polaka? Kiedy dziadek autora robi tesament, tak się wyraża o swym wnuku: „On to i czeski i polski i ruski”. A sam autor za kogo się właściwie uważa? Kiedy natrzasa się z austriackich urzędników, podkreśla, że nienawidzi Austrii. Ale kiedy się natrzasa z urzędników patriotycznych polskich, urządzonych nielegalnie przez współkolęgów, wtedy chyba nie przemawia przez niego rodowity Polak”.

\* \* \*

V POLSKU BYL KONFISKOVAN ROMAN EMILA ZEGADLOWICZE. Před nedávným vyšel nový román známého polského spisovatele Emila Zegadlowicze pod titulem „Zmory” (Přizraky). Nová práce Zegadlowicze vyvolala hned po svém vyjití vášnivou debatu v polském tisku pro svůj obsah a návání o pohlavních věcech. Část polských literárních kritiků vyslovila se pochvalně o nové Zegadlowicově knize, kdežto druhá část v čele se známým literárním kritikem a spisovatelem Grzymalou-Siedleckým odsoudila co nejostřeji tendenci díla. Před několika dny vydal pastýřský dopis, v němž nemravná díla jistých spisovatelů, jimiž je míněna právě poslední Zegadlowiczeva kniha, naprosto odsuzuje a dává je na církevní index. Na rozkaz krakovského státního návladnictví bylo nyní konfiskováno celé vydání „Přizraky” Emila Zegadlowicze.

rp.

Szanowny Panie Redaktorze  
W artykule moim p. t. „bóg” przez małe „b”, w nr. 1, w ustępie polemicznym o p. Zegadłowiczu, zostało użyte o nim słowo „powsinoga”, które byłoby obelgą, gdyby nie było błędem druku, gdyż w rękopisie ma ono pisownię „powsinoga”, która, zgodnie ze znaczeniem tego słowa w poemacie „Powsinogi Beskidzkie”, oznacza wędrownika po wsiach; naturalnie, ten „wędrownik po wsiach” miał w mojej inwektywie sens szyderczy, ale nie był przezwiskiem. Zależy mi bardzo na tem sprostowaniu, bo nie chciałbym sprawić wrażenia, że w polemice literackiej nie wystarczy mi ironja, ale pomagam sobie mechanicznie gnębieniem przeciwnika.

Z wyrazami szacunku

K. L. Koniński.  
Zakopane, 5.I. 1936.



# INFORMACJA PRASOWA POLSKA

AGENCJA WIADOMOŚCI W WYCINKACH Z PRASY  
BRACKA 5 WARSZAWA TEL. 9-41-53

WYCINEK Z WYDAWNICTWA  
**WIECZÓR WARSZAWSKI**

Nr. .... d. **13 STCZ. 1936**

## Kim jest autor „Zmor“? Zniesławienie ś. p. kuratora Sobińskiego

W miesięczniku „Wiara i Życie” (styczeń r. b.) profesor Ludwik Skoczylas kreśli sylwetkę Emila Zegadłowicza, autora skonfiskowanej za opisy pornograficzne książki p. t. „Zmory”.

Prof. Skoczylas na podstawie zebranych materiałów, zarzuca Zegadłowiczowi zakłamanie i fałsz w ujemnym przedstawieniu grona nauczycieli gimnazjum w Wadowicach, gdzie autor „Zmór” się wychowywał. Dyrektor Arzt, który „otaczał Zegadłowicza serdeczną, choć dyskretną opieką, przedstawiony został przez Zegadłowicza jako typowy czarnożółty urzędnik, którego nawet żony nie oszczędził autor, powtarzając o niej obrzydliwe, małomiasteczkowe plotki.

Prof. Sobiński, nauczyciel geografii i polskiego, świetny pedagog i dydaktyk, został scharakteryzowany, pod imieniem Robińskiego, jako „tyran”. Prof. Sobiński — w okresie już niepodległości kurator lwowski — padł od kuli morderczej sfanatyzowanego Rusina.

„Nieszczere — pisze prof. Skoczylas — również wydają się opisy przeżyć autora z ławy szkolnej w zakresie uczuć narodowych. Dziadek autora był Czechem, ojciec Rusinem, matka pochodziła z rodziny czesko-polskiej. Za co uważał się sam autor w okresie szkolnym? Za Rusina, Czecha czy Polaka? Kiedy dziadek autora ro-

bi testament, tak się wyraża o swym wnuku: „On to i czeski i polski i ruski”. A sam autor za kogo się właściwie uważa? Kiedy natrzęsa się z austriackich urzędników, podkreśla, że nienawidzi Austrii. Ale gdy się natrzęsa z uroczystości patriotycznych polskich, urządzanych nielegalnie przez współkolegów, wtedy chyba nie przemawia przez niego rodowity Polak”.

Powstaje pytanie, czy za „zasługi” dla literatury narodowej, czy za pornograficzną powieść niedawno Polska Akademia Literatury odznaczyła p. Emila Zegadłowicza złotym wawrzynem?

AGENCJA WIADOMOŚCI W WYCINKACH Z GAZET I CZASOPISEM  
**INFORMACJA PRASOWA POLSKA**  
WARSZAWA BRACKA 5. TEL. 9-41-53

WYCINEK Z WYDAWNICTWA  
**KURJER ŁÓDZKI**

Nr. **1125** d. **19 STCZ. 1936**

## Za co wawrzyn, czy za pornografię? Kim jest autor „Zmór”.

Prof. Skoczylas o fałszu i zakłamaniu Zegadłowicza,

W miesięczniku „Wiara i Życie” (styczeń r. b.) profesor Ludwik Skoczylas kreśli sylwetkę Emila Zegadłowicza, autora skonfiskowanej za opisy pornograficzne książki p. t. „Zmory”.

Prof. Skoczylas na podstawie zebranych materiałów zarzuca Zegadłowiczowi zakłamanie i fałsz w ujemnym przedstawieniu grona nauczycieli gimnazjum w Wadowicach, gdzie autor „Zmór” się wychowywał. Dyrektor Arzt, który „otaczał Zegadłowicza serdeczną, choć dyskretną opieką, przedstawiony został przez Zegadłowicza jako typowy czarnożółty urzędnik, którego nawet żony nie oszczędził autor, powtarzając o niej obrzydliwe, małomiasteczkowe plotki. Prof. Sobiński, nauczyciel geografii i polskiego, świetny pedagog i dydaktyk, został scharakteryzowany, pod imieniem Robińskiego, jako „tyran”. Prof. Sobiński — w okresie już niepodległości kurator lwowski — padł od kuli morderczej sfanatyzowanego Rusina.

„Nieszczere — pisze prof. Skoczylas — również wydają się opisy przeżyć autora z ławy szkolnej w zakresie uczuć narodowych. Dziadek autora był Czechem, ojciec Rusinem, matka pochodziła z rodziny czesko-polskiej. Za co uważał się sam autor w okresie szkolnym? Za Rusina, Czecha czy Polaka? Kiedy dziadek autora robi testament, tak się wyraża o swym wnuku: „On to i czeski i polski i ruski”. A sam autor za kogo się właściwie uważa? Kiedy natrzęsa się z austriackich urzędników, podkreśla, że nienawidzi Austrii. Ale gdy się natrzęsa z uroczystości

patriotycznych polskich, urządzanych nielegalnie przez współkolegów, wtedy chyba nie przemawia przez niego rodowity Polak”.

Powstaje pytanie, czy za „zasługi” dla literatury narodowej czy za pornograficzną powieść niedawno Polska Akademia Literatury odznaczyła p. Emila Zegadłowicza złotym wawrzynem?

Warszawa  
Bracka 5  
Tel. 9-41-53

Informacja  
Prasowa  
Polska

Jedyna w Polsce  
Agencja wiadomości z prasy  
całego świata w wycinkach

WYCINEK Z WYDAWNICTWA

Dziennik Kujawski (Inowrocław)

Nr. .... d. **9 2 GRUD. 1935**

## Coś się wyjaśnia na horyzoncie kulturalnym

Konfiskata książki Zegadłowicza — Jeszcze o p. Jędrzejewiczu

Prokuratura krakowska nakazała konfiskatę powieści Emila Zegadłowicza pt. „Zmory”. Funkcjonariusze policji śledczej o-  
beszli już wszystkie księgarnie w Warszawie, Krakowie i Lwowie, konfiskując wszędzie egzemplarze drugiego wydania „Zmór”. W niektórych księgarniach-antykwariatach, usiłujących ukryć egzemplarze skonfiskowanej książki, przeprowadzono rewizje.

Powieść Zegadłowicza uległa konfiskacie dopiero w drugim wydaniu, jakie ukazało się nakładem krakowskiej „Księgarni Powszechnej”. Pierwsze wydanie nakładu warszawskiej księgarni F. Hoesicka rozeszło się bez przeszkód.

„Zmory”, zawierające pornograficzne opisy, posługujące się ulicznym słownikiem i stanowiące niesłychany paszkwil na duchowieństwo, spotkały się, jak wiadomo, z jednomyślnym niemal potępieniem polskiej krytyki. „Zmory” napiętnował także w swej odezwie, skierowanej przeciw książkom niemoralnym ks. arcybiskup Sapiecha. Spóźniona konfiskata

nie naprawi, niestety, szkody, jaką wyrządziło rozpowszechnienie się pierwszego wydania demoralizującej książki.

Warszawska prasa poranna przynosi wiadomość, że b. premier i b. minister oświaty, p. Janusz Jędrzejewicz, ustąpił ze stanowiska prezesa Tow. Krzewienia Kultury Teatralnej (TKKT). Ustąpienie to jest dowodem ostrego kryzysu, jaki przechodzi koncepcja Towarzystwa, a również zapowiedzią dalszych zmian. P. Janusz Jędrzejewicz ma zamiar poświęcić się obecnie całkowicie pracy w komisji oświatowej Senatu, której jest prezesem. W kołach dobrze poinformowanych przypuszczają, że na stanowisku tem p. Jędrzejewicz rozpocznie ostre ataki na nowy kurs, zapoczątkowany przez Ministerstwo Oświaty pod kierownictwem min. Świętosławskiego.

Prezesem TKKT. zostanie prawdopodobnie wiceminister Korsak, który już przed p. Jędrzejewiczem był prezesem TKKT.

INFORMACJA PRASOWA  
POLSKA

SP. Z OGR. ODP. ZAK. W 1920 R.

WARSZAWA  
BRACKA 5  
TELEF. 941-53

BIURO WYCINKÓW

Wycinek z wydawnictwa

TECZA (Poznań)

Nr. 2 d. II 1936 r.

70.

INFORMACJA PRASOWA POLSKA  
WARSZAWA  
UL. BRACKA 5  
TELEF. 9-41-53



JEDYNA W POLSCE  
AJENCJA  
WIADOMOŚCI  
PRASOWYCH  
W WYCINKACH

WYCINEK  
Z WYDAWN.

CZAS (Kraków) — DZIEN POLSKI (Warszawa)

Nr. .... d. ....

5 LUT. 1936

### „Zmory“ w Wadowicach

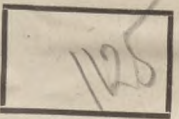
Jak się dowiadujemy, do burmistrza Wadowic zgłosiła się delegacja mieszkańców miasta z prośbą, by nazwa ulicy Emila Zegadłowicza została zmieniona na inną. Postulat, przedstawił przez delegację, pozostaje w ścisłym związku z ostatnio wydanymi przez Zegadłowicza „Zmorami”. Jej akcją, opisaną nieraz w sposób drastyczny, oraz charakterystyką niektórych postaci, czują się wadowiczanie dotknięci.

### NA MARGINESIE

Gdy Emil Zegadłowicz wydał „Zmory”, niektórzy krytycy wyrazili przekonanie, że ten nagły przeskok od świątkowości do pornografii musi mieć swe przyczyny w pewnym rozstroju władz twórczych. Zwolennicy tego poglądu nową publikację Zegadłowicza, która w ostatnich tygodniach pojawiła się w druku — musieli powitać jako argument na potwierdzenie swojej tezy. Tem wydawnictwem jest zbiorek wierszy, który z woli autora ukazał się... w czterech egzemplarzach nakładu!

AJENCJA  
WIADOMOŚCI  
PRASOWYCH  
W WYCINKACH

INFORMACJA  
PRASOWA  
POLSKA



WARSZAWA  
UL. BRACKA 5. Tel. 9-41-53

WYCINEK Z WYDAWNICTWA

GŁOS NARODU (Kraków)

Nr. .... d. .... 4 LUT. 1936

### Dyskusja nad „Zmorami” Zegadłowicza.

„Kółko Przyjaciół Żywego Słowa” na U. J., urządziło w sobotę dnia 1 lutego na Uniw. Jagiel. wieczór dyskusyjny o „Zmorach” Emila Zegadłowicza.

Po zagajeniu wieczoru wobec 400 około osób, zabrał głos p. Bielatowicz i w krótkim przemówieniu skrytykował „Zmory” ostro, nazywając je „nieuporządkowaną paplaniną”, „belkotem lirycznym”, napisanym z megalomańskim zacięciem, właściwym literaturze spobliza „Wiadomości Literackich”. — „Zmory”, to szkodliwa i zarażająca społeczeństwo patologia seksualna.

Następnie przemawiał prof. Skoczylas. „Zmory”, według niego, nie nadają się do dyskusji publicznej z wyjątkiem jednego od cinka tej powieści: wspomnień szkolnych Zegadłowicza. Swych byłych wychowawców, ludzi zewszecmiar nieraz godnych szacunku, obrzuca autor błotem niewdzięczności; byłego dyrektora Areta, który młodym Zegadłowiczem troskliwie, choć niewidocznie, się opiekował autor „Zmór” określił: „draństwo z niego wychodzi” — Z punktu widzenia katolickiego, książka jest w niektórych ustępach bluźniercza.

P. Dr. Leśnodorski, również zajął stanowisko negatywne wobec książki, traktując ją zresztą głównie ze strony literackiej. — Forma utworu jest b. dobra. Wysoki talent, furja, plastyka postaci, inwencja niesamowitości, a szczególnie pewne partie wstępu są zdaniem p. dr. L. godne pióra Anatola France’a. Bywają ustępy dające zadowolenie estetyczne, przewagę jednak mają wręcz przeciwnie i te wyciskają na książce piętno obrzydliwe. „Zegadłowicz pobił wszelkie rekordy nieobyczajności”.

P. Dr. Wyka zajął się utworem wyłącznie ze stanowiska krytyka literackiego. Aczkolwiek „Zmory” są dowodem dużej żywotności Zegadłowicza i odznaczają się wielką śmiałością, jednak cierpią wyraźnie na marną konstrukcję artystyczną. Uderzają: gadałnina i wylewy liryzmu połączone nikłą nicią zdarzeń. „Zmory” nie wniosły do literatury nic nowego. Witkiewicz dał już to samo; u niego jednak wszystkie obrazy erotyczne są tylko środkami, u Zegadłowicza celem. — W końcu jednak przyjął dr. Wyka postawę wyczekującą w stosunku do autora „Zmór” i powiedział: — czekajmy, — Mikołajek zdał dopiero maturę...

W obronie Zegadłowicza wypowiedziało się w dyskusji kilka osób; nie potrafiły jednak przeciwstawić się argumentom referentów — którzy z łatwością odparli zarzuty!

Z. C.

# O dawnej szkole galicyjskiej

(Na marginesie „Zmor” Zegadłowicza. „Głos pedagoga”)

Dyskusja na temat „Zmor” Zegadłowicza nie ustaie. Dwa zagadnienia pasjonują szczególnie dyskutantów: jedno — to kwestja literackich walorów powieści, drugie to pytanie, czy szkoła galicyjska z przed lat 40, wyglądała istotnie tak fatalnie, jak to autor przedstawia. Pierwszego z powyższych zagadnień dotykać tu nie będziemy, zajmijmy się natomiast drugim, niemniej ważnym i ciekawym.

Wspomnienia z dzieciństwa i z lat szkolnych są dziedziną, do której pisarze — zwłaszcza obecnie — chętnie powracają. I nietylko pisarze. I zwykli śmiertelnicy lubią też od czasu do czasu odgrzebywać wspomnienia ze „sztuzy”. Dla jednych są one owiane jakby miłą, różową chmurką rozrzwienia, wesołości i pobjaźnia... dla drugich przypomnieniem jakiegoś dawno minionego okresu „burzy i pędu”, w którym każdy kawał wypłatany profesorowi, dyrektorowi, czy też nawet współtowarzyszowi, urasta do rozmiarów wielkiego, bohaterkiego czynu, chętnie opowiadane go jeszcze i po wielu latach.

Gdybyśmy się tak retrospektywnie przyjrzeni utworom literackim o szkole i wspomnieniom szkole poświęconym, to moglibyśmy zauważyć, że im bardziej zbliżać się będziemy do czasów dzisiejszych, tem więcej rosnąć będzie niechętnie nastawienie autorów wobec szkoły, tem częściej jawić się ona będzie w satyrze a nawet w karykaturze. Od epoki naturalizmu to niezyczliwe nastawienie zyskuje coraz bardziej na sile. Dość wspomnieć takie dzieła jak „Przebudzenie się wiosny” Wedekinda, „Profesor Unrath” Henr. Manna, „Przedpiekle” Zapolskiej, obok wielu innych, których tu wliczać niesposób. Na wspomnianą sztukę Wedekinda pragnę zwrócić szczególniejszą uwagę. Problemami i nastrojem przypomina ona bowiem niewątpliwie „Zmory”, z którymi łączy się też epoka akcji (czas ok. roku 1900). I u Wedekinda mamy te same zasadnicze motywy, co u Zegadłowicza. Dzieci w okresie pokwitania, męczące się, udęczone, nieświadomione, niezrozumiane przez swych wychowawców (rodziców i nauczycieli), którzy odgradzili się od nich nieprzebytym murem hipokryzji i zakłamania i pozostawiają je w tak ciężkich chwilach własnemu losowi. I u Wedekinda i u Zegadłowicza szkoła jest sui generis katorgą, nauka torturą, nauczyciele tyranami lub groteskowymi dziwakami. Tylko u niemieckiego autora sprawa bierze obrót tragiczny, podczas gdy Mikołajek Srebrepisanawy jednak przezwycięża — acz z trudem — gnębiące go zmory.

Akcja powieści Zegadłowicza rozgrywa się na terenie dawnej szkoły galicyjskiej. Szkoła ta jest już dziś legendą, legendą w której uderzają przede wszystkim rysy ujemne: serwilizm, klerykalizm, ciasnota poglądów, zacofane metody nauczania, brak nowoczesnego podejścia do zagadnień wychowawczych.

Zarzuty te poczęści są słuszne, aby je jednak należyście ocenić, trzeba bodaj grubymi rysami naszkicować podłoże, na którym wyrastała dawna galicyjska szkoła średnia.

Była ona odroślą c. k. gimnazjum austriackiego, przystosowaną do stosunków lokalnych, jej głównym zadaniem było kształcenie zastępów t. zw. inteligencji, więc ściśle biorąc przyszłych urzędników wszelkiego typu, a ponadto pewnej ilości kandydatów do t. zw. wolnych zawodów (lekarzy, adwokatów i t. p.). W ciągu lat ośmiu nauki gimnazjalnej miał uczeń przyswoić sobie pewien zasób wiadomości, które umożliwiłyby mu pracę na uniwersytecie, gdzie na podstawie świadectwa dojrzałości dostawał się bez żadnych trudności. (Walki o przyjęcie na wydział medyczny były w Austrii zjawiskiem nieznanym). Wiadomości te opierały się przede wszystkim na językach klasycznych, do których przykładano największą wagę (w klasie pierwszej i drugiej np. poświęcano łacinie osiem godzin tygodniowo a językowi polskiemu trzy godziny!), na języku niemieckim i historii. Potem dopiero — nauka matematyki. Nauki przyrodnicze były zaniedbane; chemii nie uczono prawie wcale. Ponieważ zasadą było, że kto więcej umie, ten jest też lepiej „wychowany”, więc wbijano moc zbędnych niekiedy wiadomości do głowy ucznia, zwłaszcza form gramatycznych, dat, nazwisk, tytułów, które oczywiście rychło szły w zapomnienie i nie przynosiły żadnego pożytku. Aktywność ucznia była mała, werkalizm i kucie na pamięć triumfowały. Pod względem fizycznym uczniowie byli zupełnie zaniedbani. Gimnastyka stanowiła przedmiot „nadobowiązkowy”, o sporty nikt się nie troszczył; nie zajmowano się nimi zresztą i poza szkołą. Weszły one w modę dopiero na krótko przed wojną światową.

Siedzący tryb życia, nadmierna praca umysłowa, złe warunki higieniczne, brak opieki lekarskiej w szkole, odbijały się ujemnie na zdrowiu młodzieży. Stąd też okres pokwitania przechodziło wielu nader ciężko i wielu też opuszczało mury szkolne z nadszarpniętymi nerwami, niezdolnymi już do jakiegokolwiek poważniejszego wysiłku.

Strona wychowawcza również

niedopisywała. Między uczniami a nauczycielami wyrastał często nieprzebity gąszcz nieporozumień, niechęci, pogardy, nierzadko i nienawiści. O konsekwentnym rozwiązywaniu problemów wychowania, o współpracy domu ze szkołą nie było mowy, ograniczała się ona do urzędowych konferencji rodzicielskich.

Na pociechę powiedzieć trzeba, że podobne stosunki panowały i w innych krajach i Galicja nie była tu bynajmniej wyjątkiem.

W stosunku do innych dykasterij urzędniczych nauczyciel gimnazjalnych zajmował w Austrii stanowisko podrzędne. To też ludzie ambitni i zdolni rzadko poświęcali się temu zawodowi, chyba że zamierzali oddawać się studjom naukowym i przejść z czasem do szkolnictwa wyższego. (Podkreślić tu należy, że rząd austriacki otaczał „naukowców” opieką, udzielając im chętnie płatnych urlopów, stypendjów, zasiłków na druk prac i t. p.). Stąd też gromadziło się w szkolnictwie wiele jednostek miernych, wielu też ludzi zmęczonych i rozgorączonych, którzy później odbijali swe zawody życiowe na młodzieży. W dużych ośrodkach, jak Lwów, Kraków, pracowała niewątpliwie elita umysłowa ówczesnego nauczycielstwa, ale po mniejszych miasteczkach gnieździł się nieraz dziwacy, pijacy, łapownicy.

Atmosfera w dawnej szkole była wtedy duszna, zwłaszcza gdy się zważy wyhodowany na ówczesnej „racji stanu” nadmierny lojalizm wobec władz zaborczych, lekliwe unikanie jakiegokolwiek tarć natury politycznej lub społecznej, szczelne zamykanie szkoły przed kontaktem z współczesnym życiem. Mimo to jednak nie można twierdzić, aby duch młodzieży ówczesnej był zły. Przeciwnie. Młodzież ta, rozwijając się szybko intelektualnie, czuła i myślała po polsku i pielęgnowała patriotyzm. Ponieważ językiem nauczania był wyłącznie język polski a nauczyciele Polakami, nie odczuwano szkoły galicyjskiej jako czegoś obcego i wrogiego, jak np. szkoły rosyjskiej lub pruskiej. Stąd też ilość tajnych organizacji konspiracyjnych była wśród uczniów stosunkowo nie wielka i w ostatnich czasach przed r. 1914 rzadko kiedy przychodziło do prześladowań i procesów na tle politycznym (ostatni wielki proces młodzieży był — o ile się nie mylę — w Tarnopolu ok. r. 1895 i zakończył się uwolnieniem oskarżonych). Zresztą ok. r. 1905 zaczęła się i szkoła austriacka „reformować”. Na katedrach szkolnych pojawili się młodzi nauczyciele, owiani innym duchem i umiejący nawiązać bezpośredni kontakt z młodzieżą. (Wybitnych pedagogów miała zresztą i starsza generacja profesorska: ś. p. Samolewicz, Próchnicki, Tomaszewski, Petelenz, German). — „Zmory” w postaci różnych „cudaków, fanaberów, dziwaków, pokrak” o których opowiada Zegadłowicz, zaczęły z wolna znikać, przechodzić na emeryturę lub na cmentarz, robiąc miejsce innym, godniejszym. Moment ten jest zresztą wyraźnie w „Zmorach” podkreślony.

Powyższe uwagi scharakteryzowały, jak sądzę, środowisko, z którego wyrosła powieść o latach szkolnych Mikołaja Srebrepisanego. — Wyjaśniają też zarzuty, które autor głównie szermuje. Trudno bowiem uwierzyć, aby i w ówczesnej szkole nauczyciel mógł codziennie pękiem kluczy uczniom nosy aż do krwi rozbijać i nie spotkać się z żadną reakcją przeciw swjej brutalności.

Kończąc, pozwolę sobie jeszcze nadmienić, że obiektywny „reportaż” z dawnej szkoły galicyjskiej znaleźć można nie w „Zmorach” lecz w „Rubikonie” Nowakowskiego. Tam widzimy ją taką, jaką istotnie była.

Dr. Żdzisław Żygulski

JEDYNA W POLSCE INFORMACJA  
AGENCJA SPÓŁKA PRASOWA  
WIADOMOŚCI Z OGR. ODP. PRASOWYCH POLSKA  
W WYCINKACH

WYCINEK  
Z WYDAWN.

WARSZAWA  
UL. BRACKA 5  
TELEF. 9-41-53

Nr. 2 d. NOWE CZASY  
LWÓW

LUT. 1936

72

Informacja prasowa polska

warszawa  
bracka 5  
tel. 941-53

Jedyna w Polsce  
agencja wiadomości z prasy  
całego świata w wycinkach

Wycinek z wydawnictwa

PRZEGLĄD KATOLICKI (Warszawa)

Nr. \_\_\_\_\_ d. \_\_\_\_\_ 193 r.

### DEMON LITERATURY

„Przyjęła się w literaturze od wieków — pisze „Gazeta Kościelna“ — personifikacja natchnienia artystycznego w postaci Muzy. Jest to symbol podświadomej energii twórczej, symbol w dodatku tego słowa znaczeniu. Ale cóż powiedzieć, gdy z podświadomości pisarza wytryśnie nagle lawa brudnej pornografii — gdy zaskoczona tem opinią zapytuje ze zdziwieniem, co mu się stało, dlaczego ni stąd ni zowąd to napisał? I mimowoli ciśnie się określenie: Tym razem nie natchnęła go Muza — ale opętał Demon.

W ostatnich czasach mieliśmy smutne przykłady takiego „opętania“. Najpierw zelektryzowała społeczeństwo powieść Jalu Kurka pt. „Grypa Szaleje w Naprawie“, powieść nagrodzona przez Polską Akademię Literatury. Narobiła ona dużo wrażeń, nie tylko spowodowała bzdury pornograficzne, w jakie obfituje — ale i dlatego, że nie jest zgodną z rzeczywistością, że jest krzywdzącym paszkwilem na wieś podhalańską i to własną wieś rodzinną. „Gazeta Poranna“ z 1 maja 1935 Nr. 11000 podała reportaż Ignacego Kleszczyńskiego, stwierdzający, że sami naprawianie potępił tę książkę, jako wstrętą i niezgodną z prawdą. Węć nasuwa się pytanie: Cui bono ta książka napisana i w dodatku nagrodzona przez P. A. L.? Ma wartości literackie? Może! Ale czyż trzeba koniecznie zgnilizny moralnej te wartości wydobywać? Żebyż to był człowiek perwersyjny — aleć przecie potrafi inaczej pisać, choćby np. ostatnia powieść: „Woda wyżej“ — zupełnie pod względem moralnym inna. Niema innego wytłumaczenia, jak to, że jakaś chyba obsesja erotyczna opadła pisarza i zmusza go do pisania pornografii. Demon literatury.

Ucichł Kurek z swoją Grypą — a oto znowu wstrząsły społeczeństwem do głębi „Zmory“ Emila Zegadłowicza.

I oto znowu pytanie: Cui bono? Dlaczego? Emil Zegadłowicz znany jest z wcale dobrej strony. Najlepszym świadectwem jest opinia p. Lechickiego w „Przewodniku po beletryście“. Oto co pisze na str. 357: „Zegadłowicz Emil. Ur. 1888.

0

Zmanierowany poeta beskidzki. Od mdłego ekspresjonizmu przeszedł do „Ballad“, rzucając miasto, a wśląd Russa proklamując powrót ku przyrodzie. Głosi „religię serca“, rodzaj naiwnego fideizmu bez dogmatów i sankcyj moralnych. Nie uznaje ani cnót, ani win, jako naturalista i panteista każe ziemskość wchłonąć, ukochać i zrozumieć itd.“. Jak widzimy, zarzutów wprawdzie dość, ale ani słowa o erotyzmie, perwersji, czego p. Lechicki mu nie darował, gdyby tak było.

Znany jest Zegadłowicz, jako poeta. Sliczne jego „Powsinogi Beskidzkie“ wzbudzają zachwyt — swym dziwnym czarą i oryginalnością. I w prozie, w autobiografii pt. „Żywot Mikołaja Srebrepisanego“ nie zdradził żadnej deprawacji — choć 3 tomy tego wydał. Aż nagle czwarty tom, p. t. „Zmory“, jak grom uderzył w społeczeństwo. Pokazało się, że ten czwarty tom, to zwykłe, obrzydliwe świństwo. Nie mam zamiaru pisać recenzji tej książki — nie zasługuje ona na to w „Gazecie Kościelnej“ — zresztą uczynili to inni jak K. H. Rostworowski w art. „Metamorfoza“ — wspomina o nim „I. K. C.“ z 15 listopada 1935 r. — szeroko skrytykowała „Zmory“ Zofja Starowiejska-Morstinowa w „Przeglądzie Powszechnym“, grudzień 1935 r., str. 411 i in. W „Zmorach“ postąpił Zegadłowicz analogicznie jak Kurek Jalu w „Grypie“. Przejaskrawił życie seksualne młodzieży. Historia Mikołaja Srebrepisanego od pierwszej do ostatniej klasy gimnazjalnej, to jakby jakaś erupcja ordynarności, brudu, scen najbardziej odrażających, nagromadzenie wszelkich płciowych zbrodni i zwyrodnień. I po co?

W „Wiadomościach Literackich“ z 1 grudnia 1935 r. Nr. 628 broni się Zegadłowicz, że to, co napisał w „Zmorach“, nie jest przesadą, lecz prawdą — a dowodem tego mają być listy od studentów gimnazjastów — którzy mu za te „Zmory“ dziękują?! Według Zegadłowicza młodzież deprawuje katechetę, przymus religijny w Polsce (jest za maturą bez religii) — obłuda, pruderia — wszystko, tylko nie książka jego i jemu podobne. Przypomina się tu Zapolska — która, gdy ją pytano — dlaczego z taką pasją maluje życie pół i ćwierć-świata — odpowiedziała: Dlatego, aby kobiety odstraszyć od tego, co je czeka. I rzeczywiście po wyuzdanych opisach pornograficznych — dawała na ostatnich stronach... naukę moralną. Ciekawy system pedagogiczny. Ale Zapolska miała przynajmniej cel umoralniający, choć źle pojęty. A Zegadłowicz? W jakim celu te „obrzydliwe“ Zmory napisał? Może dla zrobienia „kasy“ jak przypuszcza Zofja Morstinowa, lub dla zdobycia sławy, której nie mógł zdobyć, jako poeta, jak ironicznie zauważa Karol Ludwik Koniński, który słusznie oburza się na autora w czasopiśmie: „Prosto z Mostu“ z 5 stycznia b. r. Nr. 55. Po długiej rozprawie, w której udowadnia, że jakkolwiek autorowi wolno myśleć i mieć przekonania, jakie mu się żywnie podobają — to jednak pisać wszystkiego mu nie wolno, pisze dalej tak: „Owszem, byłoby najlepiej bez cenzury obchodzić się! Ale skoro są ludzie, którzy wszystkim intymność orgji wynoszą na rynek publiczny, gdzie są młodzie, chłopcy i dziewczęta, młodzie, których się tem niepokoi dogłębnie, rozdrażnia i wycieńcza, skoro są ludzie tak bezlitośni dla młodzieży — tak nierodzicielscy, tak nieodpowiedzialni, nieopatrzni czy niesumienni — to co zrobić? Naturalnie, o zachowanie pewnej dyskrekcji nie tylko w literaturze idzie, lecz i w teatrze, kinie, reklamie, sporcie itd. Społeczna ochrona obyczajów musi zacząć działać. Nie nazywajcie tego pruderią, ani tyranją: głównie o dzieci idzie, o ich spokój, ich zdrowie, ich rozwój ku miłości, nie przyspieszany przedwcześnie, nie ekscytowany gwałtem i na wszelkie możliwe sposoby!“

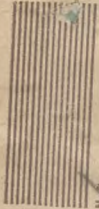
Jeżeli Zegadłowicz miał jakiś cel — to chyba deprawacji. I to ten, o którym wyżej cytowany recenzent pisze, że był przedtem taki romantyczny, idealny, taki świątkowy, taki assyżowy, taki franciszkański. Dlatego może i słusznie Mor-

stinowa w swej recenzji w „Przeglądzie Powszechnym“, chcąc sobie wytłumaczyć — co pchnęło Zegadłowicza do tego kroku, pisze, a raczej cytuje Janowskiego: „Zegadłowicz, jakby chciał się popisać, jakby chciał powiedzieć: Macie mnie za beskidzkiego świątkarza, za poetę cichej kontemplacji i zadumy? A właśnie, że wam pokażę, co umiem; mieliście mnie za katolika, za klerykała — a widzicie, a macie, i wylewa się cały źródło złości i nienawiści na wszystko, co religia, Kościół, ksiądz“. I to tak gwałtownie, że aż cenzura, ta nasza po-błażliwa cenzura, łapę na jego „Zmory“ położyła.

I gdy to wszystko się rozważy, uparcie wraca myśl, jak na początku, że to chyba Demon opętał czasem pisarza i każe mu pisać to, z czego sam się potem wytłumaczyć nie umie. Coś podobnego, choć na mniejszą skalę — było i z Iłakowiczówną — z jej niesmacznymi pastorałkami o Marszałku — ale ona rychło błąd naprawiła — pisząc litanję za Marszałka.

Trudno! Ma każdy człowiek — ma i pisarz swoje pokusy i grzechy i zbrodnie. Ale jedno pociesza: Zdrowy odruch społeczeństwa po każdym takim wyczynie. To otuchą nas napętniło, że źle jeszcze nie jest — a dla pisarzy, „demonem“ opanowanych, przestroga — że każdy taki ich wyczyn skończy się dla nich kompromitacją — a nawet... cenzurą“.

informacja prasowa polska



warszawa  
bracka 5  
tel. 941-53

agencja wiadomości z prasy w wycinkach

Wycinek z wydawnictwa

PRZEGLĄD FILMOWY i TEATRALNY (Lwów)

Nr. \_\_\_\_\_ d. \_\_\_\_\_ 193 r.

12 LUT. 1936

Trójgłós o „Zmorach“.

Wśród wielkiego zainteresowania publiczności odbył się w sali Instytutu techn. zbiorowy odczyt 3 prelegentów na temat świeżo wydanej książki Zegadłowicza „Zmory“. Odczyt zorganizował Okręgowy Komitet Robotniczy P. P. S. Trójgłós rozpoczął dr. Wł. Jampolski obracając pobudki, które autor kierował. Mają to być przeżycia własne autora na tle zmian społecznych, jakie zaszły w ciągu jego życia. Jednak zdaniem prelegenta to społeczne wypadło tu blade, a cała powieść jest tylko etapem jego indywidualnej walki z życiem.

Drugi prelegent dr. Norbert Präger rozprawywał „Zmory“ ze stanowiska psychoanalizy i przypuszcza, że „Zmory“ są rezultatem niewyżytego do końca kompleksu psychicznego ich autora.

Trzeci z prelegentów, dr. Zygmunt, omówił sprawę materiału faktycznego tej powieści bardzo zajmująco i przypomniał stosunki w dawnych gimnazjach austriackich.

JEDYNA W POLSCE  
A J E N C J A  
W I A D O M O Ś C I  
P R A S O W Y C H  
W W Y C I N K A C H

INFORMACJA  
S P Ó Ł K A  
P R A S O W A  
P O L S K A

WARSZAWA

UL. BRACKA 5

TELEF. 941-53

WYCINEK  
Z WYDAWN.

Dworn Niedzielski

Nr. \_\_\_\_\_ d. \_\_\_\_\_

12 LUT. 1936

Polska Akademia Literatury dała nagrodę młodym poeci Świątoplek Karpińskiemu.

Kim jest autor „Zmór“? W miesięczniku „Wiara i Życie“ prof. Ludwik Skoczylas na podstawie zebranych materiałów zarzuca Zegadłowiczowi zakłamanie i fałsz w ujemnym przedstawieniu grona nauczycieli gimnazjum w Wadowicach, gdzie autor „Zmór“ się wychował. Dyrektor Arzt, który „otaczał Zegadłowicza serdeczną opieką, przedstawiony został jako typowy czarnożółty urzędnik, którego nawet żony nie oszczędził autor, powtarzając o niej obrzydliwe, małomiasteczkowe plotki. Prof. Sobiński, świetny pedagog, który został scharakteryzowany pod imieniem Robinskiego, jako „tyran“, w okresie już niepodległości — padł od kuli morderczej sfanatyzowanego Rusina jako szkolny kurator lwowski. Dziadek Zegadłowicza był Czechem, ojciec Rusinem, matka pochodziła z rodziny czesko-polskiej. Za co uważał się sam autor w okresie szkolnym? Za Rusina, Czecha czy Polaka? Kiedy dziadek autora robi testament, tak się wyraża o swym wnuku: „On to i czeski i polski i ruski“. A sam autor za kogo się właściwie uważa? Kiedy natrzasa się z austriackich urzędników, podkreśla, że nienawidzi Austrii. Ale gdy się natrzasa z uroczyości patriotycznych polskich, urządzanych nielegalnie przez współkolegów, wtedy chyba nie przemawia przez niego rodowity Polak. Powstaje pytanie, czy za „zasługi“ dla literatury narodowej czy za pornograficzną powieść niedawno Polska Akademia Literatury odznaczyła p. Emila Zegadłowicza złotym wawrzynem, a teraz jeszcze zastanawia się, czy nie zrobić go swym członkiem dożywotnim.

Z Francji znowu 1300 Polaków powróciło z emigracji. Ćwiczenia rezerwistów, odbywane przeważnie w miesiącach letnich i jesiennych, rozłożono obecnie na okres całoroczny i n. p. rezerwiści narciarze dostają już wezwania na ćwiczenia zimowe.

JEDYNA W POLSCE  
AGENCJA  
WIADOMOŚCI  
PRASOWYCH  
W WYCINKACH

WYCINEK  
Z WYDAWN.

INFORMACJA  
SPÓŁKA  
Z OGR. ODP.

PRASOWA  
POLSKA  
WARSZAWA  
UL. BRACKA 5  
TELEF. 9-41-53

Nr. .... d. ....

1 LUT. 1936

Nr. 23

KUŹNIA MŁODYCH

3

## „ZMORY” i ZMORY

(Artykuł dyskusyjny).

Burza, jaką wywołała w prasie książka Zegadłowicza przyczyniła już niemal zupełnie — można więc na jej temat powiedzieć choć parę słów bez narażenia się na zarzuty „grzebania w aktualnych świństewkach” — „wywlekania rzeczy niegodnych pisma młodzieżowego, kalających świętość młodych dusz” i t. d. — całego steku nonsensów, na które jest narażony nawet najdalej posunięty obiektywizm, wykluczający stawianie wymownych kropek i znaków zapytania.

Nie naszą rzeczą byłyby rozprawy, czy zegadłowiczowe „Zmory” są odzwierciedleniem prawdy w całym tego słowa znaczeniu, czy też jej krańcowym zakłamaniem, czy książka ta odegra rolę obyczajowo i społecznie destrukcyjną, czy też nie, lub czy wreszcie jest dziełem artystycznym z literackiego punktu widzenia.

Natomiast śmiało możemy stwierdzić, że poruszone w niej zagadnienia, bez względu na sposób, zabarwienie i tendencję ich pisarskiego wyrazu, są dla nas rzeczą aktualną, której warto poświęcić choćby parę zdań.

Zegadłowicz (nie chciałbym tu powtarzać tego, co już rozwałkowano do najmożliwszych granic w prasie) dał w „Zmorach” studjum obyczajowe przedwojennych stosunków szkolnych, społecznych i obyczajowych i głęboką analizę psychologiczną „wieku szkolnego”, w którym znajduje się jego bohater *Mikołaj Srebrzempisany*. Oba zamierzenia autora zajął się ściśle o siebie: prześwietlenie pisarskie psychiki wieku dojrzewania, jego radości i cierpienia, ustosunkowania się do otaczającej, przeważnie b. brutalnej rzeczywistości, musiało siłą rzeczy dać równie mocny, nawet jaskrawy, obraz tejże rzeczywistości, w tym wypadku zwróconej do bohatera płaszczyzną obyczajową — było zwykłą koniecznością logiki i kompozycji artystycznej powieści. Obrazy tych dwu światów rzutuje nam autor przez wnikliwą obserwację i liryzm swego poetyckiego spojrzenia — w rezultacie otrzymujemy pewną wizję pisarską, której *dopasomywanie do rzeczywistości*, z której powstała, w celu znalezienia odpowiedzi na pytanie: czy to wszystko słowo jest prawdą — *byłoby zwykłym nonsensem*. Tembardziej, gdy rzecz nacechowana jest wysokiej klasy liryzmem i posiada niepospolite wartości formalne. (Dość przypomnieć bezpłodną dyskusję nad „Grypą” *Jalu Kurka* i bezsensowne zarzuty „falszowania rzeczywistości”).

Chodzi mi jedynie o to, że zajmując się problemem szkolnym, Zegadłowicz zdarł ohydny maskę zakłamania, świętoszkostwa, prudencji i fałszu z całego kompleksu zjawisk obyczajowych, społecznych, seksualnych, które osaczają jego bohatera w okresie dojrzewania i w wieku młodzieńczym, odsłonił cały szereg kwestyj, które były palącymi i aktualnymi zagadnieniami życiowymi przed wojną, w ówczesnych stosunkach, w tamtejszym środowisku. Z tego punktu widzenia, rzecz, choć spóźniona jako próba studjum obyczajowego, mogła wywołać szeroką dyskusję — choć zagadnienia w niej poruszone odnosiły się do przeszłości, przy-

krego okresu lat minionych. Nie chodziło więc tu bynajmniej o jakieś „oskarżenie społeczne”, wyraźny zarzut czy błąd wykazany na marginesie współczesnej rzeczywistości — lecz o sam fakt zdemaskowania pewnej sumy zjawisk, które w imię fałszywego świętoszkostwa, bigoterji i szeregu przesądów, tkwiących w społeczeństwie, są pokrywane milczeniem, a choć rozgrywają się obok nas i w nas samych, część społeczeństwa czyni z nich nietykalne „tabu”. Zarzuty stawiane Zegadłowiczowi dowodzą, jak czuły jest nerw t. zw. „opinji społecznej”, która nawet na zdemaskowanie systemu dawnego, należącego już do przeszłości, z pozoru nieaktualnego, znalazła gromkie słowo oburzenia.

Wiadomo — „świętości nie szargać!”.

Można sobie wyobrazić coby się działo, gdyby Zegadłowicz wziął za temat do swej powieści, jako tło, szkołę dzisiejszą. I tu właśnie widzę bolesną aktualność książki Zegadłowicza.

Cała dziedziną zagadnień seksualnych związanych z okresem dojrzewania, przełomów psychicznych i wpływających stąd zagadnień religijnych, przeżywanych w wieku szkolnym, pokryta jest ponurą maską obłudy i hipokryzji, młodzież musi ją wkładać w imię fałszywego świętoszkostwa — w myśl „opinji”, która z szatańską troskliwością dba o „czystość dusz, nieskażonych zgnilizną moralną”.

Gdy znajdzie się ktoś, kto chce sprawę postawić otwarcie, wskazać istotne zło, postawić je śmiało przed oczyma społeczeństwa — okrzyczy się go jako bezbożnika, demoralizatora, wyrotowca (!) i t. d. — żeby nie wymieniać tych wszystkich epitetów, które otrzymała swojego czasu Kuźnia od brukowych piśmideł i szmat, „małych dzienników”, i t. p. „organów”, żerującym na głupocie, bigoterji i obłudzie.

Mógłby ktoś rzec, że to nieprawda — fikcja, jakiś skrajny pesymizm może tylko ukazywać w podobnie ciemnych barwach i wyolbrzymionych konturach *zmory* naszego życia szkolnego.

Istotnie. *Zdaje mi się*, że zwarty front zakłamania i obłudy zaczyna się powoli przelamywać. Dużą rolę odgrywają tu zwłaszcza nowe, młode i postępowe siły, nauczycielskie, które potrafiły wytworzyć pomiędzy sobą, a młodzieżą *atmosferę wzajemnego zaufania*, przełamać mur, jaki dzielił dotychczas ucznia od profesora.

Spewnością są to nieliczne wyjątki. Nie każdy tak może powiedzieć o swojej szkole, o swoich wychowawcach, o swoich kolegach.

Być może również, że zdanie: „*Szkół, gdzieby mógł uczyć się człowiek swego człowieczeństwa, niema na świecie*” — przejdzie wraz ze „*Zmorami*” do smutnej historii. Może...

Narazie są to sprawy bardzo aktualne i bardzo palące.

Zbigniew Piłera.  
Gimn. im. Traugutta. Brześć n/B.



# KURJER PORANNY

Na dzień dobry

## Odebrana ulica

Mieć w mieście rodzinnem za życia ulicę swego imienia to zaszczyt wielki. — To pomnik. Nazwa ulicy czy placu trwa nieraz setki lat, wrasta w żywą tradycję miasta, a czasami staje się pamiątką po tradycjach zamarych. Przekazuje się ją wielu pokoleniom przyszłym z naszą niejaką sankcją, z naszą aprobatą.

Tam w dalekiej przyszłości bywa oczywiście rozmaicie. Niekiedy imię przeżyje ulicę i trwa w pamięci ludzkiej nadal swoimi własnymi wartościami. Tak bywa wówczas, gdy pamięć człowieka lub pamięć czynu trwalsza jest niż pomniki. Ale bywa i tak również, że nazwa ulicy staje się pogrobowym pomnikiem zapomnianej sławy, iż pamięć o człowieku trwa bardziej w nazwie ulicy niż w pamięci ludzi późniejszych jego czynów i zasługi.

A jednak szanujemy i takie nazwy, zachowujemy je. Niech będą, niech świadczą, że ktoś kiedyś u współobywateli miał mir i uznanie, że im lub ich miastu jakoś się zasłużył. W razie potrzeby ciekawość naszą zaspokoją historycy.

Nie trzeba dodawać, że w szafowaniu zaszczytów chrzczenia ulic imionami zasłużonych, nie należy być zbyt rozrzutnym. Jak się rzekło, to duży zaszczyt i duża aktualność powinien być wsparty zasługą. To nie jest grzecznościowy rewanż za przysługę, za wyrządzone dobro.

Ale gdy się raz kogoś tym zaszczytem uczciło, odbierać go się nie godzi. Gdy imieniem żyjącego i tworzącego człowieka nazywa się ulicę, zawsze się zdarzyć może, że ten człowiek, żyjąc, nie sprosta naszym nadziejom. To trudno. W takich wypadkach honorujemy jego czyny czy dzieła przeszłe, nie zaś przyszłe, niezrealizowane nam i z tego musimy zdawać sobie sprawę.

Miasto Wadowice nadało przed czterema laty Emilowi Zegadłowiczowi obywatelstwo honorowe i jego nazwiskiem nazwało ulicę dawniej zwaną Tatrzańską. Ale Zegadłowicz

napisał powieść „Zmory“, w której opisując w sposób wysoce niepoehlebny atmosferę i stosunki miasta prowincjonalnego — w powieści Wolkowice — wziął sobie za „model“ podobno rodzinne Wadowice. Ktoś się musiał w tych „Zmorach“ przejrzeć jak w krzywym zwierciadle, skoro radni miejscy postanowili odebrać pisarzowi obywatelstwo honorowe i pozbawić go „własnej“ ulicy.

Nie wiemy, czy Wadowice nie pospieszyły się za bardzo z takimi wielkimi honorami dla Zegadłowicza przed czterema laty. Ale gdy to już się stało, czyż wypada, doprawdy, w ten sposób likwidować swój aktualny spór z pisarzem? Przecież Wadowice nie uczciły Zegadłowicza, autora „Zmór“. Uczciły twórcę „Powsinogów Beskidzkich“. I tak przecieź mogłoby zostać.

Nie chodzi nam w tym wypadku o Zegadłowicza. Ale ojcowie miasta powinni zdawać sobie sprawę, że żonglowanie największym zaszczytem, który mają dla swych zasłużonych współobywateli, deprecjonuje wartość tego zaszczytu, a również trochę ośmiesza — niepotrzebnie.

Igrek.



**Konfiskata „Zmór“ Zegadłowicza.** Przed paru miesiącami ukazała się niezwykle jak na nasze stosunki książka Zegadłowicza, „Zmory“. Książka realistyczna w treści i w formie. Autor powiedział prawdę o pewnym środowisku i pewnych czasach i podał tę prawdę w formie odpowiadającej jak najściślej rzeczywistości. Ale ten realizm przepojony jest takim idealizmem pragnienia prawdy i prawdziwości, że budzi szczerzy szacunek i podziw dla odwagi autora. Książka jego została uznana za odważną i oceniona poważnie.

Jak było do przewidzenia, została rozhwytna i trzeba było przystąpić do rzucenia na rynek wydania drugiego. Wyszło w Krakowie i zostało skonfiskowane. Po paromiesięcznym bardzo bujnym życiu książka Zegadłowicza została wycofana z obiegu i oddana pod sąd. Jaki los ją czeka? Trudno to w tej chwili przesądzać, ale tradycja pewna istnieje u nas pod tym względem. Przed laty 35-ciu Andrzej Niemojewski wydał „Legendy“, a mianowicie u Altenberga we Lwowie. Prasa „galicyjska“ i to nawet najbardziej klerykalna, zachwycała się tem dziełem, a zakład sercanek zakupił 20 egzemplarzy tej książki na nagrody dla najlepszych uczennic.

Ale potem ktoś dał hasło do odrotu i prasa zawróciła. Okazało się, że „Legendy“ to stek bluźnierstw najgorszego kalibru. Naganka trwała dość

długo i książka została skonfiskowana. Zwyczajem ówczesnym pewni posłowie wnieśli interpelację w parlamencie wiedeńskim, odczytali miejsca skonfiskowane i książka poszła w obieg jako interpelacja parlamentarna, zimmunizowana słowem poselskim. Skonfiskowano jedynie tytuł: „Legendy“. Tak było w Galicji i Lodomerji. Inaczej miała się rzecz w Warszawie. Tu obowiązywała cenzura prewencyjna, a ponieważ cenzor rosyjski uznał się za niekompetentnego w sprawach religijnych, przeto starym dobrym zwyczajem panującym od czasów Piłata, Annasza i Kalfasza, odesłał rękopis konsystorzowi rzymsko-katolickiemu ten zaś oddał go do oceny kanonikowi Załuskowskiemu. Kanonik nie tylko, że nie dał tak zwanego „akceptu kościelnego“ dziełu literackiemu, ale uważał za możliwe i konieczne skonfiskować nawet rękopis. Andrzej Niemojewski rękopisu swego dzieła z rąk kapłańskich spowrotem nie otrzymał. Jak dżentlemani duchowni pokaże swoje dżentleństwo, to już na całego.

I cóż? Książka Andrzeja Niemojewskiego nie popadła w zapomnienie. Konfiskata zrobiła jej świetną reklamę, a dzisiaj każdy, kto tylko chce, może to dzieło kupować i sprzedawać bez jakichkolwiek ograniczeń. Tak też będzie z książką Zegadłowicza. Konfiskata zaktualizowała ją dla tych wszystkich, którzy jej dotychczas nie poznali. Jeśli dojdzie do rozprawy sądowej i do skonfiskowania pewnych miejsc świetnej książki, to czytelnicy kupować będą egzemplarze skastrowane przez cenzora i potrafią postarać się o potrzebne wypisy. Tak się to przecie zazwyczaj robi. Gdyby Jehowa nie był w raję zaczął mówić o drzewie wiadomości złego i dobrego, Ewa nie byłaby się zainteresowała owocami tego drzewa. Jest to więc kwestja psychologii.

10. II. 1936 r.

## Z dnia

### Zmiany nazw ulic

Wadowice odebrały Żegadłowiczowi obywatelstwo honorowe i zmieniły nazwę ulicy, ochrzczonej jego nazwiskiem. Z tej okazji „Kurier Poranny” zaznacza, że mamy w miastach polskich dużo ulic, noszących nazwiska ludzi dziś już szerszemu ogółowi nieznanych.

„A jednak szanujemy i takie nazwy, zachowujemy je. Niech będą, niech świadczą, że ktoś kiedyś u współobywateli miał mił i uznanie, że im lub ich miastu jakoś się zasłużył. W razie potrzeby ciekawość naszą zaspokoją historycy.

Nie trzeba dodawać, że w szalowaniu zaszczytem chrzczenia ulic imionami zasłużonych, nie należy być zbyt rozrzutnym. Jak się rzekło, to duży zaszczyt i duża aktualnie powinien być wsparty zasługą. To nie jest grzecznościowy rewanż za przysługę, za wyrażone dobro.

Ale gdy się raz kogoś tym zaszczytem uczciło, odbierać go się nie godzi.

Z tą ostatnią zasadą zgodzić się nie można. Cóż mają zrobić mieszkańcy miasta, którzy wcale nie pragnęli zmiany nazwy ulicy, a jednak musieli bezsilnie patrzeć, jak komisarz rządowy lub sanacyjna rada zmieniają nazwy?

W ostatnich latach zmieniano nazwy ulic w Polsce dość często. Celowali w tym autorzy. Rzecz jasna, że wszystkie wymuszone lub narzucone „chrzty” ulic nie będą trwałe.

*Polonia*  
14. 11. 1936

## „Polonia”

Nr. 4072 — 13. 2. 36.

### POD WŁOS

#### Holdomanja

Oto znówu interesujący list, który otrzymałem od mego przyjaciela p. Takiego i który przytaczamy in extenso w dzisiejszym „podwłosie”:

Kochany Panie Niejaki X! Czytał Pan zapewne notatkę w piśmie o uchwale rady miejskiej w Wadowicach, odbierającej znanemu pisarzowi Żegadłowiczowi godność obywatela honorowego miasta. Nawet ulicę, nazwaną imieniem jego, przechrzczone na nazwę dawniejszą. Wszystko to narobiła głośna powieść Żegadłowicza p. t. „Zmory”. Rajcy miejscy w Wadowicach są widać w ukropie kapani, gdy już przed kilku laty uczcić chcieli zasługi pisarza, nie przeczuwając, że bohater jego powieści, zdawszy maturę, tak skompromituje Wadowice. Codopiero wyczytać będzie po maturze!

Nauka z tego: czego się spieszyć?

W starożytnej Grecji istniał podobno zwyczaj, by nie spieszyć się z uwiecznieniem zasług ludzi żyjących, a nawet ze zmarłymi postępowano ostrożnie. Oczekiwano lat dziesięć. Niech się zasługi wielkich ludzi „uleżą”, niech w perspektywie przynajmniej 10 lat wytrzymają próbę czasu.

U nas inaczej! Pomniki stawiałoby się ciągle żywym i zmarłym! A inne formy uczczenia...

Znam pewne województwo, w którym panują specjalne stosunki. Ofiarą kultu czci jest urzędujący jeszcze dygnitarz wojewódzki. Z funduszy publicznych buduje się pałac-szkółki, nawet w miejscowościach, gdzie pałace te rażą swym luksusem i nazywa się je imieniem owego dygnitarza. Miasta i miasteczka roją się od ulic, przewanych także temsamem imieniem i nazwiskiem. Znałe są wypadki, że gmina zamierza budować wodociąg lub myśli o innych inwestycjach: wtedy na wszelki wypadek jedną z głównych ulic „zaszczyca się” imieniem dygnitarza — ad captandam benevolentiam.

Jest to wprost nieprzyzwołością w stosunku do interesowanego urzędnika, który pewnością nie raz musi się czuć zakłopotany, bo nie jest chyba tak naiwny, by wierzył w szczerą manifestację.

Powinna być specjalna ustawa, zabraniająca tego rodzaju niesmacznych komedii. Ustawa wyborcza nie pozwala np. kandydować na posła naczelnikowi urzędu skarbowego w powiecie, w którym pracuje on na rzecz skarbu i ministra p. Kwiatkowskiego. Podobnie ustawowo nie powinno być dozwolone zbieranie tego rodzaju dowodów rzekomej popularności urzędników w okresie, gdy pełni on w danym okręgu służbę i jest tu instancją, decydującą w wszystkim. Dowody te miałyby inne znaczenie, gdyby objawiały się wtedy, gdy ów urzędnik opuścił kraj, w którym działał i nie zachodziłoby już podejrzenie, że w manifestacjach główną rolę odgrywał najzwyczajniejszy serwilizm. Nie groziłoby też wtedy niebezpieczeństwo podobnie przykrej ewentualności, z jaką spotkał się Żegadłowicz.

Jeśli już owemu dygnitarzowi zależy na holdach, są przecież formy, więcej niewinne i dość nieszkodliwe. W województwie, które mam na myśli, na porządku dziennym są holdownicze depecze. Obraduje np. towarzystwo „Kropki Mleka”: pewnym jest, że między innymi uchwałami murowaną jest uchwała, by wysłać depeczę z wyrazami holdu wspomnianemu dygnitarzowi. Tak samo na innych zebraniach. Weszło to już zresztą w szablon i punkt porządku dziennego. W wyrażeniu holdu traktuje się, jak punkt o zamknięciu dyskusji. Sprawa nie wywołuje żadnego zainteresowania obecnych. Ważność polega tylko na tem, że organ przyboczny dygnitarza notuje skrzętnie te w ten sposób uchwalane holdy, w tym celu, aby wywołać i podtrzymać wrażenie, że dygnitarz cieszy się taką popularnością w kraju.

Manja jest to zresztą dość niewinna, a tyle przynajmniej z niej korzyści, że coś na tem zarobi poczta, gdyż holdy przesyłane są drogą telegraficzną.

Panie Niejaki X. Jeśli Pana zainteresują te uwagi, proszę je zamieścić w swym „pod włosie”. Łączę pozdrowienia.

Taki.

Czy p. Taki nie ma racji...?

N. X.

75.

Ogłosy

Kompromitacja Wadowic

Znakomity artysta - malarz p. Zbigniew Pronaszko nadsyła nam następujące uwagi:

Roda miejska w Wadowicach uchwalila odebrać E. Zegadłowiczowi honorowe obywatelstwo i nazwę ulicy jego imienia... za... „Zmory“.

76

dla „swego“ Zegadłowicza. Wtedy fundowano mu świetlicę, obdarzono obywatelstwem, przybijano tablicę. Dziś, kiedy wiaterek (mocno podejrzany) powiał inaczej, kiedy zawołano gdzieś o prokuratora, kiedy „Zmory“ skonfiskowano, — Wadowice poczuły się dotknięte, a rada miejska usiłuje obniżyć wartości Zegadłowicza, odbierając mu te wszystkie zaszczyty, którymi go niedawno raczyła.

„NOWY DZIENNIK“ niedziela 16 lutego 1936 r.

niu tego miasteczka właśnie dzięki Zegadłowiczowi. Jego to działalność poetycka i literacka, opiewająca Beskid z dworku pod Wadowicami, przyczyniła się do spopularyzowania tego zakątka.

Gdy sięgnie się pamięcią w parę-kilka lat wstecz, to ujrzy się liczne przyjazdy do Górz (pod Wadowicami) siedziby poety — wielu ludzi zasłużonych w sztuce i literaturze — zobaczy się zjazdy, obchody, jubileusze dla uczczenia talentu Zegadłowicza.

D.

informacja prasowa polska warszawa bracka 5 telef. 941-53 biuro wycinków

Wycinek z wydawnictwa KURJER POZNAŃSKI

11 LUT. 1936

AGENCJA WIADOMOŚCI PRASOWYCH W WYCINKACH

INFORMACJA PRASOWA POLSKA

WARSZAWA UL. BRACKA 5. Tel. 9-41-53

WYCINEK Z WYDAWNICTWA GŁOS NARODU (Kraków)

Nr. .... d. .... 9 LUT. 1936

Na ziemiach Rzeczposp.

Protest społeczeństwa przeciw pornograficznej książce.

Nasz korespondent z Wadowic, donosząc o znanej już czytelnikom uchwale Rady miejskiej w Wadowicach w sprawie książki „Zmory“ E. Zegadłowicza, w dalszym ciągu pisze: W ślad za powyższą uchwałą Rady miejskiej Wadowic pójdzie zapewne odpowiednia decyzja Państwowego Gimnazjum męskiego w Wadowicach i odbierze p. E. Zegadłowiczowi patronat nad świetlicą uczniowską.

D.

INFORMACJA PRASOWA POLSKA WARSZAWA UL. BRACKA 5 TELEFON 9-41-53 BIURO WIADOMOŚCI Z PRASY W WYCINKACH

WYCINEK Z WYDAWNICTWA KURJER ZACHODNI (Sosnowiec) Nr. 39 d. 9 LUT. 1936

WADOWICE ODWIDZICZAJĄ SIĘ ZA „ZMORY“

W związku z wydaniem przez Emila Zegadłowicza dzieła „Zmory“ w którym przedstawione są przedwojenne stosunki wadowickie, wpłynął do Rady miejskiej m. Wadowic wniosek o odebranie Zegadłowiczowi obywatelstwa honorowego miasta, nadanego w roku 1932 z okazji 25-lecia twórczości poety beskidzkiego i o przywrócenie ul. Emila Zegadłowicza z powrotem nazwy ul. Tatrzańska.

D.

Zegadłowicz na makulaturę

Donoszą nam: Jak wiadomo cała katolicka i narodowa opinja społeczeństwa polskiego potępiła zdecydowanie ostatnie wystąpienie Emila Zegadłowicza. Specjalnie ostro zareagowała opinja społeczna na jego ostatnią powieść p. t. „Zmory“, która ostatnio uległa konfiskacie.

D.

WYCINEK Z WYDAWNICTWA GŁOS NARODU (Kraków) Nr. .... d. .... 24 LUT. 1936

Rozumowanie dziecka.

W ubiegły piątek, staraniem „Miłośników wolnego słowa“ odbył się w sali Kopernika U. J. wieczór dyskusyjny na temat „Zmór“ Zegadłowicza. Słuchając wywodów prelegentów, przypomnieli mi się to, co Jan Piaget w swem dziele „Le jugement et le raisonnement chez l'enfant“ pisze o rozumowaniu dziecka.

D.

INFORMACJA PRASOWA POLSKA

AGENCJA WIADOMOŚCI W WYCINKACH Z PRASY BRACKA 5 WARSZAWA TEL. 9-41-53 KURJER PORANNY WYCINEK Z WYDAWNICTWA WARSZAWA 23 LUT. 1936

Na dzień dobry Szczególny argument

Wychodzący w Warszawie „Przebieg Pedagogiczny“ w N-rze 3-im zamieścił krytyczne rozważania dr. A. Ryniewicza poświęcone „Zmorum“. Bieg wywodów doktora przedstawia się tak mniej więcej: — Zegadłowicz dawna szkołę galicyjską szkaluje, natomiast pochlebne wystawiają jej świadectwa Makuszyński, Kaden - Bandrowski, Nowakowski, a poniekąd także Parandowski oraz „za mało ceniony i zdolny — jak dr. Ryniewicz powiada — powieściopisarz Barącz“.

D.

INFORMACJA PRASOWA POLSKA

WARSZAWA BRACKA 5 TELEFON 941-53 BIURO WYCINKÓW

Wycinek z wydawnictwa Právo Lidu-Praha 13 II 1936

KATOLICKÝ SPISOVATEL NA CÍ KEVNÍM INDEXU.

Obecní rada městečka Wadowice u Krakova se rozhodla odebrati polskému spisovateli Emilu Zegadłowiczovi rovněž u nás známému, čestné občanství, je mu bylo přiznáno před čtyřmi lety.

D.

O VECHLICKÉHO PŘEKLADECH Z SHELLEVE

prednášel v úterý v Literární historické společnosti čes. mládežnický badatel Vítězslav Tichý. Postavil se proti běžnému předcházení...

D.



INFORMACJA  
PRASOWA  
POLSKA  
Ajencja  
Prasowa  
Spółka  
z ogr.  
odp.  
Warszawa  
Bracka 5  
Telefon  
941-53  
Zal. w  
1920  
roku

Wycinek z wydawnictwa

FREIE PRESSE (Łódź)

№ 13. LUT. 1936 r.

### Sic transit gloria mundi

Wir berichteten am 8. Februar über die Aberkennung der Ehrenbürgerschaft des Dichters Jęgałowicz durch den Stadtrat von Wadowice. Ueber die Ursachen dieser besorgniserregenden Maßnahme finden wir in der Bielitzer „Schles. Ztg.“ die folgende Zuschrift aus Wadowice:

„Vor vier Jahren fand in Wadowice eine Feierlichkeit statt, die dem in Wadowice lebenden Dichter Emil Jęgałowicz aus Anlaß seines 25jährigen Dichterbiläum galt. In feierlicher Weise wurde dem Jubilar damals von dem Krakauer Wojewoden Dr. Kwasiński die Ehrenbürgerurkunde der Stadt Wadowice überreicht, und in Anwesenheit der Vertreter der Behörden, der Stadt und einer großen Menschenmenge die Friedhofsgasse, in der das Anwesen des Dichters liegt, in Emil Jęgałowicz-Gasse umbenannt und am Hause des Jubilars nach feierlicher Einweihung eine Gedenktafel eingemauert. Die folgenden literarischen Arbeiter des Dichters die den Karpathen und Beskiden galten, wurden überall mit wachsender Verehrung aufgenommen.

Da plötzlich ein Umschlag. Die Bürger der Stadt kamen in Unruhe und Aufregung. Jęgałowicz hatte ein Buch „Zmory“ (Der Alpdruck) veröffentlicht, in welchem er über seine Kinder- und Jugendjahre in „Wadowice“ (Wadowice) erzählt, über heute noch zum Teil lebende Menschen, die auch unter den ihnen beigelegten Namen zu erkennen sind, über seine Gymnasialzeit und seine Lehrer. über die Verhältnisse der Stadt usw. berichtet. Das Buch wurde anfangs im ganzen gut aufgenommen, wenn auch hier und da die Kritik nicht sanft mit der Neuerscheinung umging. Die Mißstimmung setzte sich mit der Zeit durch, schließlich gab ein Artikel im Krakauer „Kurjer“ aus der Feder des Dichters Kostworowski das Signal zum Gene-

ralangriff gegen den vor vier Jahren gefeierten Dichter. Die zweite Auflage, die illustriert herauskam, wurde in Lemberg (in Krakau „Fr. Pr.“) konfisziert, während die erste Ausgabe, die die Zensur passiert hatte, in den Krakauer Buchhandlungen ausgestellt ist und jetzt erst recht reißenden Absatz findet, da das Allgemeininteresse an dem Buch infolge dieser Fehde erwacht ist.

Endlich konnte auch das Gewissen der Wadowicer Stadtväter nicht mehr Ruhe finden. In der Gemeinderatsitzung wurde ein Antrag auf Aberkennung des Ehrenbürgerrechts und auf Rückbenennung der Jęgałowicz-Gasse in Friedhofsgasse eingereicht. Der Antrag, der nicht lauter Freunde fand wanderte in die Rechtssektion, von der er am 7. Februar wieder dem Gemeinderat zugeht. Nach einer fast zweistündigen Aussprache ging der vor vier Jahren im Beisein der höchsten Würdenträger der Wojewodschaft und des öffentlichen Lebens gefeierte Dichter all seiner Ehren verlustig: Er ist nicht mehr Ehrenbürger der Stadt Wadowice, und er wohnt nun wieder wie vor vier Jahren in der Friedhofsgasse — Sic transit gloria mundi. Ein gut Teil literaler Heße soll bei dieser Kampagne mit am Werke gewesen sein.

Diese Vermutung stimmt. Hat doch einer der galizischen Erzbischöfe in einem Hirtenbrief an die Gläubigen seiner Erzdiözese eine geharnischte Philippika gegen das Buch Jęgałowicz's erlassen. Die Ursache liegt klar auf der Hand: der Dichter hat sich in den „Zmory“ sehr scharf gegen einige Finsterlinge im Priestergewand geäußert.

Der Feldzug der Kleriker gegen Jęgałowicz geht weiter. Wie gestern in den klerikalen Blättern zu lesen stand, hat der St. Adalbert-Verlag in Posen (wie schon der Name besagt, ein katholisch gefärbtes Unternehmen), der einige frühere Bücher von Jęgałowicz verlegt hat diese Bücher aus dem Vertrieb gezogen und zum Einstampfen

bestimmt. — Also auch Bücher, die im literalen Sinn „stabenrein“ sind.

Armer Jęgałowicz!

### Reform des Sprachunterrichts

G. P. S. Gegenwärtig befaßt man sich im Völkerbund mit dem Studium eines Planes zur Reform des modernen Sprachunterrichts. Wollte man durch die Kontrolle des Geschichts- und Geographieunterrichts erreichen, daß alles Feindselige, den Friedensgedanken Hemmende ausgeschaltet werde, so bedeutet dieser neue Plan eine Weiterentwicklung der gleichen Idee. Man ist nämlich der Ansicht, daß der Sprachunterricht, besonders der Unterricht in den modernen Sprachen, dem Schüler auch einen Begriff von der Kultur des anderen Volkes geben muß. Um dieser Auffassung gerecht zu werden, will man den Unterricht in den modernen Sprachen in allen Mitgliedsstaaten kontrollieren und, nötigenfalls, auch reformieren. Der Völkerbund hat sich zu diesem Zweck mit den Mittelschullehrer-Verbänden der einzelnen Staaten in Verbindung gesetzt, um einen genauen Ueberblick über die Lehrmethoden zu gewinnen.

Das Niveau einer Insel wird gehoben. Das Niveau der Insel St. Marys, auf der die Hauptstadt Gambiens Bathurst in Westafrika steht, wird mit einem Aufwand von ca. 150 Millionen fl. gehoben werden. Gambien und Bathurst wurden bisher als die ungesündesten Orte der englischen Dominien angesehen, da deren niedrig gelegenes Niveau eine künstliche Abwässerung unmöglich machte und in Regenzeiten, wo im Laufe eines Tages fast 20 Zentimeter Regen fiel, die ganze Insel in einen Sumpf verwandelt wurde, der Malaria und gelbes Fieber verbreitete. Insel und Stadt haben etwa 15 000 Einwohner.

Handwritten blue ink scribbles at the bottom right of the page.

Kazimierz Halaburda, Łódź

## A zatem konfiskata...

„Zmory“ Zegadłowicza uległy konfiskacie. Fakt ten, obiektywnie biorąc, nie dziwi nas — bowiem forma owej powieści jest nazbyt „swobodna“, a treść upiorna. Jednak...

Jednak „Pożegnanie jesieni“ i „Nienasycecie“ Ignacego Witkiewicza, poniektóre powieści Ireny Krzywickiej, a zwłaszcza jej artykuły, świeżo przetłumaczona powieść Le wrance'a, skwapliwie przez Boya przełożony Brantôme nie wiele ustępuje „Zmorom“ — bardzo nie wiele. A jednak nie uległy konfiskacie. Oczywiście można powiedzieć sobie: nareszcie zaczęło się. I przejść do porządku dziennego z nadzieją, że wreszcie cenzura wzięła się do pornografii okrytej płaszczkiem sztuki. Można i tak, lecz można też zadać sobie pytanie, czemu właśnie Zegadłowicz...

Przedewszystkiem, jaką wartość mają „Zmory“?

Jako studjum psychologiczne „Zmory“ mają znaczenie niemałe. Dla badacza zbożeń na tle erotycznym aż do kaprolalji włącznie jest to bardzo obszerny i dosyć ciekawy materiał obserwacyjny.

Nie można sobie upraszczać zagadnienia przez stwierdzenie, że Zegadłowicz zapragnął na stare lata łatwej sławy i zdobył się na „Zmory“. Przedewszystkiem są one pisane z taką pasją, że trudno uwierzyć, aby był to podrobiony utwór — „Zmory“ tkwiły w autorze przez te całe lata, w ciągu których plodził on „Lampki oliwne“ i przeróżne „powsinogi“. Również nie mają racji ci, co twierdzą, że dopiero teraz Zegadłowicz pokazał właściwe swe oblicze, że tamto wszystko było „do pucu“ — „kant“ obliczony na zjednanie sobie sympatii sfer katolickich. W Zegadłowiczu tkwiły obie te rzeczy — przez lata pracy w zupełnie innym kierunku usiłował w sobie zdławić to, co się jednak zdławić nie dało i ostatecznie wydarło się na zewnątrz jako „Zmory“. Tamta część twórczości była właśnie próbą zabicia zmory, pokonania jej przez odejście w inny świat. Zegadłowicz jest głęboko nieszczęśliwym człowiekiem... „Zmory“ po „Lampce oliwnej“ dowodzą, że autor obu tych, tak różnych utworów jest omal nie somnambulikiem — to prawie rozdwojenie osobowości. Jednak nas i to nie wiele obchodzi — jest to sprawa prywatna Zegadłowicza i materiał dla specjalistów, badaczy procesów twórczości artystycznej i psychopatologów.

Największą wartość mają „Zmory“ jako dokument społeczny w artystycznym ujęciu. To, czego wielu nie zrozumiałoby w formie studjum politycznego, czy dySSERTACJI naukowej, Zegadłowicz podał w formie łatwostrawnej, bo powieściowej. „Zmory“, być może, mimo woli autora, są odpowiedzią na pytanie, skąd się w Polsce wzięła „galileja“.

Bo przecie nie każdy, kto pochodzi z południowo - zachodniej Małopolski jest „galileuszem“. Małopolska stworzyła wiele niezwykle dodatnich postaci i typów nawet. Lecz tylko tam wylągl się i ten typ specyficzny „galileusza“, jak kierz szerzący się dziś po Polsce. Gdzie tam?

Właśnie w małych miasteczkach K. und K. Galicji i Lodomerji, w sferach drobnych (i grubszych) urzędniczków, na tej żywej glebie cesarsko - królewskiej biurokracji i małomiasteczkowej beznadziejnej kulturerji. Dziadek był mandatarjuszem, ojciec koncyjentem, a syn... Wszyscy go znamy. I dlatego właśnie „Zmory“ są tak beznadziejne. Bo gdy chodziło o jakieś studjum powieściowe z życia zbożców-erotomanów, nie wstrząsałoby to nami tak do głębi. Lecz my wszyscy świadomie czy nieświadomie od czuwamy „Zmory“ jak coś znajomego, coś spotykanego na każdym kroku...

I nie to jest straszne, że chłopak cały swój młody świat zacieśnia do duszących ram delty seksu'su, lecz to, że wyrывая się do innego życia, nic nie znajduje właśnie poza tem. W ciągu długich lat tylko tem nasiąka i gdy wreszcie wyrwie się z potwornego kregu, gdy spróbuje zapalić lampkę oliwną i przy jej blasku szukać innych prawd i spraw, znajduje jeno martwe, papierowe twory — przedwcześnie poronione marzenia młodości, których nic już nie zdoła ożywić, które miną bez echa. Bo krew serdeczną tych marzeń wysały zmory małego miasteczka i K. und K. biurokracji.

Aby zrozumieć dzisiejszą polską rzeczywistość, trzeba poznać biurokrację i jej genezę. Ale „Zmory“ uległy konfiskacie...

BIURO WIADOMOŚCI  
Z PRASY  
W WYCINKACH

INFORMACJA  
PRASOWA  
POLSKA  
SPÓŁKA Z OGR. ODP.  
WARSZAWA  
BRACKA 5, TEL. 9-41-53

Wycinek z wydawnictwa

GŁOS

№..... LUTY 1936

INFORMACJA  
PRASOWA  
POLSKA

WIADOMOŚCI  
W WYCINKACH

WARSZAWA

ulica Bracka 5. Telefon 9-41-53

WYCINEK Z WYDAWNICTWA

A-ZET, PRAHA

13 2 1936

POLSKÝ BÁSNÍK V KLATBĚ

Emil Zegadłowicz, jeden z největších polských básníků, upadl doma v nemilost. Jeho poslední knihu „Zmory“ dal krakovský metropolit Sapiěha na index a státní návladnictví ji konfiskovalo — prý pro nemravnost. Nyní se k inkvizitorům připojilo také Zegadłowiczovo rodné městečko Wadowice u Krakova, které svému rodáku odejme čestné občanství a Zegadłowiczovu ulici přejmenuje na Tatranskou. Zegadłowicz je u nás ze současných polských básníků nejpobulárnější, už tím, že po babičce je českého původu a že i ve svém dile motivicky navazoval na Čechy (Budějovické louky) nebo na Bezkydy a pod.

INFORMACJA  
PRASOWA  
POLSKA

WIADOMOŚCI  
W WYCINKACH

WARSZAWA

ulica Bracka 5. Telefon 9-41-53

WARSZAWA-LISTY PRAHA

3. WYDANIE

1125 2 1936

POTRESTANI EMILA ZEGADŁOWICZE.

Obeční rada městečka Wadowice u Krakova se rozhodla odebrati známému polskému spisovatek Emilu Zegadłowiczovi čestné občanství, jež mu bylo přídáno před čtyřmi lety. Toto potrestání známého polského spisovatele stalo se po uveřejnění jeho posledního díla „Zmory“, které — jak bylo svého času oznámeno — bylo krakovským metropolitou Sapiěhou dáno na index a zároveň konfiskováno krakovským státním návladnictvím. Krakovský metropolit kniže Sapiěha uznal Zegadłowiczovo dílo jako nemravné. Obeční rada ve Wadowicích kromě toho přejmenovala „Zegadłowiczovu ulici“ v tomto městě na „Tatranskou ulici“.

TP.

# NIEKULTURALNY DOKUMENT

Książka Emila Zegadłowicza, pt.: „Zmory”, jest ciekawym dokumentem kulturalnym, a raczej — niekulturalnym. Fakt jej ukazania się w druku dowodzi, że brak nam świadomej postawy wobec zagadnień kultury i sztuki. Odnosi się to nie tyle do cenzora, który książkę „puścił” i do autora, który ją napisał, ile do tej części krytyki, która doparzyła się w niej wybitnych wartości literackich i wychowawczych.

Główny wysiłek społeczeństwa skupia się dziś w kształtowaniu życia politycznego, w organizacji trwałych form bytu narodowego. Nie wątpi się, że to zadania najważniejsze i wymagające najtroskliwszej dbałości. Nadszedł jednak moment, w którym należy energię społeczną mobilizować także na terenie kulturalnym. Nie chodzi o spełnienie przez państwo pieniędzy na teatry czy na stypendja. To się już robi — z niernym skutkiem. Coraz wyraźniej zaznacza się natomiast potrzeba naczelnej idei kulturalnej, gwałtowna konieczność ustalenia właściwych nadszej epoce drogowskazów moralnych i estetycznych. Nie wystarcza — słuszne zresztą — twierdzenie, że trzeba nam talentów: dobrych obrazów, dobrej literatury, dobrej muzyki. Artyści muszą mieć atmosferę ideową, która na nich dobrze oddziaływała. Ogólnikowe hasło: „był z talentem” — to zamało.

Co to jest dobra atmosfera?

Krępowanie twórców ciasnymi kanonami nie wychodzi na zdrowie ani twórczości, ani powadze samych kantonów. Wtedy mówimy o złej atmosferze kulturalnej. Ale czy atmosferą dobrą jest podniecanie bezideowej swawoli artystycznej? „Zmory” są wytworem lekomyślnego i płytkiej postawy pisarskiej, są rezultatem nieodpowiedzialności, która tkwi w obecnej atmosferze kulturalnej.

Książka Zegadłowicza porusza tzw. kwestje drażliwe, przede wszystkim problemy życia rodzinnego i życia płciowego. Autor wyszukuje takie motywy, jak rozpusta siedemdziesięcioletniej babki, spacer wuja z siostrzeńcem do „lirycznego zamiatnika” itp. Bohater opowiadania, Mikołaj Srebrmpisan, niby się brzydzi sprawami cielesno-familijnymi, ale z naczelnej roli, wyznaczonej im przez autora, bije coś więcej, niż zasada: naturalia non sunt turpia.

Tematy drażliwe, jakie wybiera Zegadłowicz, stają się estetyczne, o ile są użyte z poczuciem proporcji i gdy wywołują głęboki wstrząs mo-

ralny. Niestety w „Zmorach” nic nie wzruszyło mnie, ale przy ich lekturze często wzruszałem ramionami. Autor uprościł sobie zadanie w ten sposób, że zmontował kilkadziesiąt rozmówek koleżeńskich z czasów gimnazjalnych. Każdy pamięta te najwcześniejsze „męskie” kawały, anegdoty, wzajemne uświadamianie się, kolekcjonowanie odpowiednich określeń, słów i zwrotów. „Zmory” byłyby pożytecznym podręcznikiem, gdyby nie to, że każdy zgóry zna ich treść. Jeśli dla kogo „Zmory” powinny być frajdą — to dla sztubaków. Co prawda Zegadłowicz mógłby się od nich jeszcze niejednego dowiedzieć, bo już trochę zapomniał.

Postać literacka „Zmor” nie ma wyraźnego charakteru. Do sprawy tej jeszcze powrócimy; narazie wypada stwierdzić, że jednym z nielicznych wiazadeł tematu książki (lata gimnazjalne Mikołaja) z ekspresją literacką, jest wprowadzenie spisu treści poszczególnych rozdziałów, jak to się często uprawia w powieściach dla młodzieży.

Np.: Prolog. Rozdział pierwszy, w którym kronikarz stara się z niejaką dokładnością etc. Rozdział czwarty, w którym poznajemy kawalera orderu św. Salwatora oraz dowiadujemy się o żałobnej historii nitki wymotanej z kapelusza. Albo: Księga pierwsza. Krwawa przęga. Rozdział drugi, w którym poznajemy się z gospodarzem klasy Mikołajowej i z jego doskonałymi sposobami pedagogicznymi.

Ta poczciwa technika powieści dla

młodzieży zabawnie kontrastuje z ideologią „Zmor”. Bo „Zmory” mają swój światopogląd. A jakże!

„Wybitnie antyspołecznie kształtują się myśli i uczucia Mikołajowe. Wstręt do skupisk, antypatja do wszelkiej większości. Raduje jeño wyłączność, heretja, ekscentryczność” (s. 458).

To jest credo Zegadłowicza.

Nienawiść do ładu społecznego i do jego filarów: Kościoła, instytucji państwa, armji. Nienawiść, obejmująca wszystkie zasady cywilizacji rzymskiej, tradycyjne instytucje, w których wchuwają się narody europejskie. Nienawiść do hierarchji, dyscypliny, autorytetu. A równocześnie skłonność do mistyki religijnej i do absurdałnego radykalizmu etycznego.

„Zmory” można by określić jako sui generis, odrodzenie sełciarskiej ideologii Braci Polskich. Zegadłowicz sam nawiązuje parokrotnie do tradycji arjańskiej.

Wobec zasadniczej postawy antyspołecznej autora „Zmor”, nie zdziwi nas jego pogarda dla dzieł Sienkiewicza, w których widzi jedynie „ohydne wojackie barbarzyństwo” i „glorifikację tepoty umysłowej”. Jak na poetę wcale niezłe, prawda? Sienkiewicz pobudza zresztą w szczególny sposób uczucia rodzinne Mikołaja Srebrmpisanego, który tak sobie myśli: „gdyby babka lub ciocia Wilhelmina nisały książki, toby pewnie pisały jak Sienkiewicz. Nie mylił się”. Najlepsze jest to „nie mylił się”. Zegadłowicz nie ma zrozumienia dla

sztuki Sienkiewicza nawet tyle, ile miał Stanisław Brzozowski.

Oczywiście i Wawel budzi w Mikołaju tylko poczucie wstydu i wstrętu dla tych splendorów „afektowanych i buńczucznych, jak każda głupota” (s. 353).

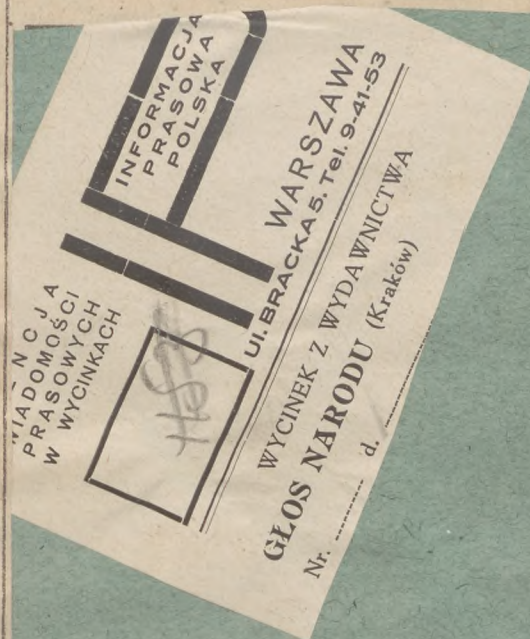
Jak stosunek do przeszłości historycznej, tak i do literatury układa się konsekwentnie:

„W tym okresie stosunek „wieszczów” — którzy jednak byli na pierwszym planie pobudliwości myślowej — do zagadnień patrijotycznych i erotycznych wydawał się dorostkowi podejrzany i mocno zakłamanym. — Patrijotyzm jako tematowość jest budulcem tanim — tak czuł; — erotyzm omotany dalekimi przenośniami jest mdłym eunuszeniem; — tak rozumował” (s. 371).

Od artysty nie można wymagać pruderji, świętoszkostwa ani poprawnych banałów, ale nawet pisarz bardzo radykalny powinien mieć jakąś postawę kulturalną, jakąś głębię spojrzenia (choćby krytycznego) na sprawy religij, narodu, obyczajów. Zegadłowicz zdobywa się jedynie na bunt, bezmyślny, ślepy, zaciekły. Bunt tego rodzaju jest w obecnych czasach wyczynem niezmiernie łatwym, dość powtórzyć komunistyczne wzory i oklepanki. Buntowiczność „Zmor” nie jest wyrazem indywidualności autora, ani jego talentu.

W książce Zegadłowicza są pewne lucida interwala. Ostra karykatura kultury w środowisku małomiejskim, kilka nastrojowych obrazów przyrody, opis śmierci matki Mikołaja, parę próbek psychoanalizy — to chyba wszystko. Stylizacja języka posiada swoisty charakter — wysilenia, sztuczności, ciężaru. Ten ciężar, jak kamień młyński, ciągnie martwą kreację powieściową na dno nudy i zniechęcenia. Brak wizji plastycznej i brak ekspresji stylu, zastępuje autor przytaczaniem soczystych zwrotów i słów gwarowych. Nie jest to jednak realizm. Pisarz realista, czerpiąc z materiału faktów życiowych i językowych, dokonuje subtelnej deformacji, nie przeinacza rzeczywistości, ale jej nadaje szczególny kształt artystyczny. Zegadłowicz czerpie z gwary bez wyboru, na surowo wtlacza do swych „Zmor” wielkie porcje prostactwa.

Sztuka wymaga pewnej perspektywy wobec świata otaczającego. Tej perspektywy niema w „Zmorach”. Są to zmory krótkowidza, spostrzegającego jedynie drobne fragmenty — zamiast całości obrazu.



Prawdziwa prawda poznańska.

Nieuzasadnione pretensje Sieroszewskiego do kościoła. — Jak to było dawniej z Zegadłowiczem? — Przez makulaturę do przekupek. — Inwazja bezpłatnych gazet.

Chochlik drukarski w ostatnim naszym liście (w nr. 33) wyrządził krzywdę...

Ustęp ten brzmiał: „W kościołach naszych np. wszechwładnie panuje twórczość obcych autorów...”

Rzecz zrozumiała, że chodziło o Wacława Szamotulskiego, a nie Wacława Sieroszewskiego...

Szczęście, że złośliwy chochlik obok Sieroszewskiego nie skreślił nazwiska Zielenieckiego...

I trzeba było właśnie tej „Zmory”, by ludziska dopiero teraz przekonali się...

Kłeska, jakiej rzadko dostępuje autor i to taki, który był otoczony świetlistym kręgiem...

Wielkiej szkody przez to p. Zegadłowicz nie poniesie, bo jak mówią, dzieła jego zblądzą pod straganami i do przekupek...

Tak, czy owak — p. Zegadłowicz wygrawa, Gorzej wiedzie się innym autorom...

Pogorszającym objawem jest to, że głód książki nie zmalał, ale owszem zwiększa się z każdym dniem...

Niestety, nędza obok tego jest tak wielka, że bezrobotny inteligent, szukający otuchy w cichych książkach...

Znamienne, że w poznańskiej dzielnicy żydowskiej płacze się dzisiaj więcej hula-dziarzy, niż dawniej...

Żydowskie mydło, fabrykowane w Poznaniu, ma poważny obdyt, a polska fabryka „Blask” walczy z trudnościami gospodarczymi...

Człowieka boli to, a nie może tego komentować.

Na bojkocie „Ekspressu Ilustrowanego” usiłują wybić kapitalne pisma, które na Poznaniu uczyniły formalną inwazją...

Ludzie powoli odzwyczajają się od kupna gazet, Przecież dostają bezpłatnie czy to na ulicy, czy w kawiarni...

Józef Lubicz.



EMIL ZEGADŁOWICZ.

Powód „dzieł” Zegadłowicza w Poznaniu według karykatury p. A. Bilskiego...

szewski, jak Boy-Zeleński mają niekiedy pretensje do kazalnicy kościelnych...

A czyż np. taki p. Zegadłowicz, ten bogobojny powsinoga, poczciwy Mikołaj, czy wnuk jego...

Co wtedy się działo! Z pod prasy drukarskiej, czarna farba owalane wychodziły coraz świętsze dzieła...

Owczesny poznański tygodnik „Od A do Z”, o którym mówiono, że jego redaktorzy zaczęli się tam uczyć fachu...

„Miał w zanadrzu kilkanaście toników (tak, toników!) poezji, po kilkadziesiąt wierszy w każdym...”

Panowie redaktorzy „Od A do Z” sympatyzowali z Zegadłowiczem, więc pozwolili sobie na takie serdeczne kpiny...

Informacja prasowa polska

warszawa bracka 5 tel. 941-53

Jedyna w polsce agencja wiadomości z prasy całego świata w wycinkach

Wycinek z wydawnictwa WIADOMOŚCI LITERACKIE (Warszawa)

1936 r. 23 LUT. 1936

Kompromitacja Wadowic

Rada miejska w Wadowicach uchwaliła odebranie Emilowi Zegadłowiczowi honorowego obywatelstwa...

Gdy sięgnie się pamięcią o kilka lat wstecz, ujrzy się liczne przyjazdy wielu ludzi zasłużonych w sztuce i literaturze...

Wtedy fundowano mu świetlicę, oddano obywatelstwem, przybijano tablicę. Dziś, kiedy wiaterek (mocno podejrzany) powiał inaczej...

W każdym razie wadowicka rada miejska przejdzie do historii — niezbyt wprawdzie pochlebnie...



Bydąc ilustratorem powieści Zegadłowicza, muszę i te moje słowa zilustrować, zwłaszcza, że mi się przypomniała świetna bajka Kryłowa „Słoń i Mośka”...

Zbigniew Pronaszko.

Diaczego należy zwalczać powojenną literaturę polską? Wiadomo ostro słowo padło z kądziej... Niechże ktoś powie, że literatura polska jest w stanie...

OZIENNIK BYDGOSKI telefon 9-41-6 16 LUT. 1936

WŁADYSŁAW T. WISŁOCKI

# BRONIE KSIĄŻKI

Umieszczamy artykuł dyskusyjny Wł. T. Wisłockiego, Kustosza Zakł. Nar. im. Ossolińskich we Lwowie, zaznaczając, iż w następnym „Dodatku” ukaże się odpowiedź pióra doc. dr. Mieczysława Piszczkowskiego.

Redakcja.

Wśród książek polskich, które pojawiły się w ostatnich miesiącach na rynku księgarskim, dwie wzbudziły szczególne zainteresowanie, mianowicie Czesława Lechickiego „Przewodnik po beletrystyce” i Emila Zegadłowicza „Zmory”. Wiele o nich mówiono i pisano i do dziś jeszcze, mimo upływu paru miesięcy od chwili ukazania się obu dzieł, odzywają się rozmaite głosy krytyków literackich i „fachowców” od zagadnień społecznych. Wymienione książki zostały naogół przyjęte ze srogą, moralizatorską miną. Nastąpiła pewna przemiana ról, bo właściwie nie kto inny, jak właśnie autorowie obu dzieł mieli pobożny zamiar być moralizatorami społeczeństwa, apostołować dobro i piękno, pojęte i spreparowane wedle własnej, oryginalnej formułki. Rezultat dyskusji w większości wypadków brzmiał: Książki obie są złe, należy je zwalczać, skonsfiskować i wycofać z obiegu.

Przeczytawszy bardzo dokładnie i gorliwie obie publikacje, wyrobiłem sobie przekonanie, że obu tym książkom, jako książkom, stała się krzywda. Powołane do życia myślą i czynem autora oraz wolą wydawców, były gotowe spełnić zadanie jakiegoby od nich wymagano, tymczasem zostały potępione i skazane na śmierć lub bezużyteczne życie w zakamarkach szaf bibliotecznych, skąd wolno im będzie czasem tylko wydostać się do rąk „odpowiednich” czytelników.

Konsekwencje tych rozważań doprowadzić muszą do wniosku, że w zasadzie niema książek ani dobrych, ani złych, są tylko książki bezprzymiotnikowe, a dobro i zło leży raczej w ludziach, i to albo w tych, którzy dzieła tworzą i powołują do życia, albo w tych którzy z gotowej już do pracy książki korzystają, a najczęściej tak w jednych, jak i w drugich. Przypomina to stare przysłowie o kowalu, który zawinił i ślusarzu, którego w jego miejsce powieszono.

Aby dojść do porozumienia odświeżmy sobie w pamięci, co to jest właściwie książka? Naogół przyjmuje się dziś twierdzenie, że jest to wytwór umysłowej i fizycznej pracy czło-wieka, który zapomocą pewnych umówionych znaków — najczęściej fonetycznych — umieszczonych na odpowiednim materiale, — dziś głównie na papierze — ma za zadanie zachować dla potomności pewne zdobycze myśli autora lub autorów, oraz udostępnić je jak najszerszym rzeszom ludzi, naogół bez względu na narodowość, płeć, język i inne szczególne właściwości istot określonych nazwą „homo sapiens”. Każdy, ktokolwiek ogranicza wymienione zadania książek, zachowywania i swobodnego rozpowszechniania pewnych myśli, działa wbrew zasadniczemu założeniu książek i odbiera im ich najistotniejsze cechy.

Mam to przekonanie, że gdyby książki mogły przemówić głosem ludzkim, słyszelibyśmy od wszystkich tylko o jednym pragnieniu służenia ludzkości. Przecież one są spełnione omal do najdalszych granic treści, która skrupowana materiałem, z którego książkę utworzono, zawiera w sobie ogrom związanej energii. Każda z nich zapewne z najwyższą niecierpliwością i życzliwością czeka na czytelnika, któryby rozpoczął ją eksploatować i wyzwolił przynajmniej część ukrytych sił i skarbów. Wzamian za to jest gotową, odpowiednio do jego nastawienia, pomoc mu do spełnienia ob- brzymich zadań twórczych lub dzieł strasznego zniszczenia. Wyobrażam sobie, że czuje się jak samica, która widząc w sobie ogrom zdolności czy możliwości utrwalenia i rozmnożenia gatunku, czeka z utęsknieniem na osobnika, któryby jej właściwości wykorzystał i dopomógł do spełnienia zadania.

Ale jakże często następuje tutaj w życiu książki srogi zawód. Oto z drzeniem dostaje się do rąk czytelnika, który po dokładnym a częściej pobieżnym przeglądnięciu jej treści wydaje sąd pozytywny lub negatywny, stosownie do swego chwilowego nastawienia duchowego. Podkreślam cechę chwilowości, gdyż niejednokrotnie sąd o dziele zmienia się pod wpływem przemian psychicznych człowieka, z oblubienicy staje się znienawidzoną i odwrotnie wzgardzona wraca do łaski i serca. Ta sama książka w ciągu krótkiego czasu może usłyszeć od jednego ze swych eksploatatorów pochwałę, obietnicę poparcia i protekcji, jeśli będzie po-wolnym narzędziem do osiągnięcia pewnych ściśle określonych celów, zaś drugi uzna ją za naczynie pełne trującego jadu i zła, a jako taką po-

leci ją bacznej uwadze instytucji pokrewnych sobie duchem, a noszących czasem nazwę cenzur, a czasem komisji oceny. W przeszłości książka taka kończyła często swe życie na stosie, którego płomień niszczyły doszczętnie niebezpieczne narzędzia szatana. Wraz z dziełem zginął w płomieniach niejeden autor, a nawet czytelnik.

Ogień od zamierzczliwych wieków aż po dzień dzisiejszy najczęściej i najradykałniej walczy z książką, którą pewni ludzie uznali za złą. Od średniowiecznego Omara, który oddał na pastwę płomieni całą słynną bibliotekę aleksandryjską, wychodząc z założenia, że jest zbędną, bo wszystko co cokolwiek jest dobrego, zawiera Koran, a czego on nie podaje, jest złem, przez niezliczone w wiekach średnich i liczne nawet w nowożytnej epoce, dojść musimy aż do ostatnich wypadków w niewątpliwie wysoko kulturalnych Niemczech, gdzie niedawno spalono na placach publicznych długie szeregi poważnych dzieł, które jeszcze poprzedniego dnia były troskliwie gromadzone i przechowywane w instytucjach publicznych, jako materiał twórczy, cenny i wartościowy.

My Polacy możemy o sobie powiedzieć, że naogół byliśmy bardziej tolerancyjnie usposobieni, niż inne narody, ale i w naszych dziejach znaleźć można niejednego ślad niszczenia ogniem książek, a nawet całych bibliotek. Synowie Radziwiłła Czarnego spalili całą bibliotekę brzeską, na którą ich ojciec wydał wielkie sumy, Joachim Bielski niszczył z zapalem wszystkie dzieła swego ojca Marcina, biskup wileński Protasewicz polecił w r. 1581 spalić mnóstwo ksiąg akatolickich, na mocy wyroku sądownego spalono w r. 1556 na rynku se-cymińskim piękną bibliotekę Szafranców.

Zastanówmy się w czym leży sedno zagadnienia? Przecież książka nie zmieniała się, a jednak los jej ulegał niejednokrotnie gruntownej zmianie, strącając ją z wyżyn triumfu w morze płomieni. Nie książka się zmieniła, lecz ludzie, ich myśli, zapatrywania, poglądy, ich usposobienia, konstelacje polityczne i społeczne. Odpowiednio do nich kształtowały się podatne na wpływy zewnętrzne dusze ludzkie, a wraz z nimi zmieniały się losy książek. Wygodne pozostawały w łaskach, obojętne szły do zaciśniętych magazynów bibliotecznych, by tam czekać na ewentualny powrót do pracy, niewygodne kończyły i kończą życie na stosie. A o wartości lub jej braku decydował współczesny człowiek wedle swego uznania, dobrej woli, a czasem nawet prywatnego interesu.

Więc kto tu właściwie zawinił, książka czy człowiek? I kto do kogo może mieć pretensję? Mam przekonanie, że złemi nie są książki i nawet być nie mogą. Złym może być w tym konflikcie tylko człowiek, to jest jego niezaprzeczalny przywilej. On tylko może oceniać książkę i przypisywać jej te wady i braki, które sam jest przesiąknięty, jemu jest danem widzieć w dziele złe strony i czynniki, których chwilowo obawia się pod wpływem pewnych wytworzonych warunków politycznych, społecznych, wyznaniowych, a chociażby osobistych. Przykro bowiem czasem patrzeć w zwierciadło.

Gdyby nie było tyle zła między ludźmi, napewno byłoby więcej „dobrych” książek. A być może, że te, które uznano w pewnym środowisku za „złe”, mogłyby odpowiednio użyte spełnić rolę ognia, wypalającego zło z serc i umysłów ludzkich.

## Kto się skompromitował?

W ostatnich „Wiadomościach Literackich” (Nr. 8) znakomity malarz i dekorator teatrów lwowskich, Zbigniew Pronaszko, wystąpił przeciw radzie miejskiej Wadowic.

Spowodu?

Spowodu odebrania Emilowi Zegadłowiczowi honorowego obywatelstwa i nazwy ulicy jego imienia za — „Zmory”.

P. Pronaszko broni „Zmor”, jako ich ilustrator. Wolno mu to i nikt nie może mieć do niego pretensji. Gorzej jest, że obrońca potępia wadowickich mieszczan za czyn rzekomo będący „wyjątkowym horrendum, godnym Abdery”. P. Pronaszko straszy średniowieczem, uzala się nad „biednymi prowincjonalnymi mózgami”, które kompromitują Wadowice, „okrywając je śmiešnością wobec ludzi kulturalnych”.

Nie jestem zwolennikiem terroryzowania artystów przez instytucje społeczne czy samorządowe. Uznaję prawa swobody twórczej, niemniej przecież uznaję prawo społeczeństwa do obrony w wypadkach szczególnie drażliwych. „Zmory” są niewątpliwie książką o charakterze wybitnie antyspołecznym i antykulturalnym. Stwierdziła to zgodnie większość krytyków polskich. I to nie tylko krytyków „reakcyjnych” i katolic-

kich, lecz również większość krytyków liberalnych. Nie ma więc p. Pronaszko powodu martwić się biednymi prowincjonalami z Wadowic, bo i w Warszawie osądzono książkę Zegadłowicza — ujemnie.

Czy rada miejska jakiegokolwiek miasta może się ośmieszyć odebraniem obywatelstwa honorowego za tzw. szkoldliwą książkę? Chyba nie. Jeśli instytucja społeczna może nadawać odznaczenia, to również ma prawo je cofać. Jest to zasada stosowana powszechnie. Słynny pisarz francuski, Margueritte, został ozdobiony Legią honorową, którą mu następnie odebrano za powieść „La Garçonne”. W wolnomyślnym i stołecznym Paryżu panują też fatalne zwyczaje Abderytów! Nie przypominał tego faktu na pochwałę Wadowic, stwierdzam tylko, że muszą istnieć jakieś głębsze i wspólne każdej zbiorowości cechy, skłaniające do obrony wobec nieodpowiedzialnych występów jednostek. Jeśli Francja mogła zastosować sankcje wobec Margueritte’a, dlaczego Wadowice miałyby się „skompromitować” sankcjami wobec Zegadłowicza? Czy to raczej nie skompromitował się sam kompromitacjonista niezrozumieniem praw socjologicznych?

MIECZYŚLAW PISZCZKOWSKI

# LITERATURA \* SZTUKA \* NAUKA

M. BORUCHOWICZ

## Podróż do zatoki dzieciństwa

W książce Papinięgo p. t. „Gog” jest mowa o pisaniu „historji naopak”. Pewien niezony zaczyna mianowicie swój wykład historii od r. 1919. i cofa się krok za krokiem do zarania dziejów. Metodę tę uważa za najlogiczniejszą i najbardziej naturalną, ponieważ tylko dalsze fakty ukazują — jego zdaniem — wcześniejsze wypadki w pełnem świetle: „Bez opowiedzenia historii Napoleona — mówi ów osobliwy badacz — nie zrozumie się niczego z Rewolucji Francuskiej a bez rewolucji nie można zdobyć głębszego pojęcia o Ludwiku XIV. i o Ludwiku XV...”

Jeżeli pogląd ten jest szaleństwem, to jednak szaleństwem z metodą. Jego paradoksalne racje śledziłem na sobie przy lekturze „Uśmiechu” Zegadłowicza. 1) Powieść ta jest pierwszą częścią „Żywota Mikołaja Srebrnypisanego”, którego część druga, a mianowicie „Zmory”, wywołała prawdziwą burzę.

Ale zacznijmy od początku: „Uśmiech” stanowi próbę odtworzenia przeżyć „sielskiego” dzieciństwa. Poeta notuje przyobfita liczbę wrażeń i wzruszeń. Niema w nich rozróżnienia na rzeczy ważne lub blahe, i słusznie, bo z punktu widzenia psychologii dziecka i kształtowania się jego charakteru, szablonowa hierarchja niema znaczenia. Na fali wspomnień unoszą się postacie krewnych bohatera i parobków wiejskich, nauczycieli i „beskidzkich powsinogów” Majacza na niej zasłyszane w dzieciństwie opowieści, bajki, przysłowia i piosenki, a lilipucie troski odzyskują wagę. Stronice książki zdobione stylowymi ilustracjami Zbigniewa Pronaszki, pachną przyrodą i zakwitają dziecinnyim uśmiechem.

Zdmiewa w tem wszystkim łatwość i bezpośredniość opisu, ale one także budzą rajsilniejszy sprzeciw. Jest w nich niewiarygodny brak artystycznej oszczędności. Potok słów nie spotyka żadnej zapory, wypadki toczą się bez głębszej więzi. Trudno mówić o konstrukcji utworu, ponieważ autor zbyt już bezczepko korzysta z najłatwiejszych skojarzeń, zbyt często „wraca” i zbyt naiwnie nawroty te motywuje. Wiem, że to jest celowe, że miało stworzyć, i stworzyło zresztą, atmosferę płynności, narastania. Tylko, że słowo zanadto rozlewnie powtarzane, traci siłę budzenia oddźwięku; obok wra-

1) Emil Zegadłowicz: Uśmiech z ilustracjami Zbigniewa Pronaszki. Wydanie drugie. MCMXXXVI. Kraków, Księgarnia Nowoczesna.

żenia swobody, wywołuje zmęczenie. To samo z mnogością szczegółów: cóż z tego, że w życiu tak bywa, kiedy nadmiar ich, nieujęty w dodatku celową konstrukcją, powoduje monotonię. Odbiorczość czytelnika ma jednak swoje prawa!

Można byłoby prawować się również o prawdopodobieństwo kreślanych przeżyć. Ołek przed naiwnością wzruszeń dziecięcych, napotykały rozporządzone refleksje, suflowane młodemu bohaterowi książki przez jej dorosłego autora. I jeszcze: żywioł epicki nacinają bezustannie apokryfy bezpośrednie; te ostatnie nie tylko zniekształcają wizję dzieciństwa, ale — jak na wyznacznik pisarza badaczobądź dużej miary — są za mało — powiedzmy — skomplikowane.

Mimo wszystko książkę czyta się z zachłannością. Zaaferowanie wywołują nawet braki. One pasjonują może nawet naiwiej. Ale tu dotykamy już innej kwestji. To już sprawa tej „historji naopak”.

Przed drugim wydaniem „Uśmiechu”, ukazały się bowiem „Zmory”. O ile głównym grzechem „Uśmiechu” było „przecukrzenie” wspomnień dzieciństwa, to w „Zmorach” nie cofnął się Zegadłowicz przed brutalnością ani słów, ani faktów. Miejsce eufemizmów zajął realizm, posunięty do dalekich granic: w miejsce nieszkodliwie śmiesznych ciotek i wuiów, w miarę złośliwego korepetytora i pompatycznie sympatycznych nauczycieli, przyszedł profesorowie sadyści, ciężący teror dulszczyzny i zmory tak okrutne, jak okrutną może być tylko głupota, zbroczenia i powaga namaszczone światoczkostwo.

Przepaść, dzieląca te dwa tomy, jest do tego stopnia głęboka, że musiała wywołać zdumienie. Nie mówię w tej chwili o zdumieniu moralistów, to nie mój resort. Chodzi o rzecz inną w tych dwóch książkach — dwa krańcowo różne spojrzenia na młodość. Które z nich jest udane, robione? „Zmory” pisane są z taką pasją, że niełatwo ustrzywać genę ich w wyrachowaniu, w chłodnem polowaniu na sensację.

Osobiście nie widzę wymienionej alternaty-



MARJA HOCHBERŻANKA

## ZAKOPANE

I tu, w dolinie — leży mialka cisza,  
— bialo — błękitna,  
której nikt nie słyszy.

I tu, drzewa kwitną  
srebrną śniegu okiścią,  
której nie widzą wszyscy  
— szkoda —

Zima, tam — wyżej, jest bielszą, jest młoda  
— ale i tu — w dolinie  
słowa się kładą między smreki cieniem,  
a cisza — waży, je na kruchej wadze milczenia.

Na wielkich tarasach Carltonów,  
urągają słońcu leżaki — kocie — szale — wygodne —

Tam — wyżej — nie sprzedaje się słońca, na  
halach —  
— pójdzmy — tam zima jest bielsza i młoda.

wy. Każdy z nas skłonny bywa, zależnie od nastroju, widzieć albo „anielskość” albo „widmowość” dzieciństwa, i w obu razach jest subiektywnie szczerzy. Przy lekturze „Uśmiechu” ciekawiła mnie inna kwestja, czytając konfrontowałem bezustannie jej treść z treścią „Zmor”. Zestawienia takie wskazują, że wszystkie inkryminowane motywy tej ostatniej książki, były już w stanie utajonym, w części poprzedniej „Żywota”. Wuj Waclaw, którego tabelais'owe słownictwo tak przerażało moralnych czytelników „Zmor”, klaje już tutaj. Bardziej umiarkowanie, ot — niewinne „donerwettery” i „krucyfiksy”, jednak trafi się również słoweczko mocno kosmate, wykropkowane, ale jest. Są także, chociaż także uszmińkowane, zrzędzenia: wypadki żółciowe i przysłowia — świętym ni w pięć ni w dziewięć przez nią przypisywane pani Wilhelminy. Jest przedsmak sadyzmu profesorów w systemie korepetytora Klemensa Lukasa. Michał Srebrnypisany, ojciec bohatera, już tutaj ukazany jest jako „nieodowiarek”, przytłoczony głupotą wierzących. Jego oogawędkę z synem, zwłaszcza opowiadanie o Prometeuszu, daje przedsmak wzruszającej rozmowy o przesądach, zawiści i o głupocie ludzkiej, tocznej w „Zmorach”. Szczegóły te świadczą, że bohaterowie „Zmor” nie byli doraźnie „falszowani”.

Czytając „Uśmiech” czuje się w tych postaciach liczne niedomówienia; są niedokrwiłe. Zrazu trudno pojąć przyczynę. Dopiero zestawienie rzecz wyjaśnia: stosunek autora do dzie-

„Zwierciadło kultury polskiej” na temat polemiki dokoła „Zmór”.

„Będzie to — pisze p. Z. — książka ponura co się zowie; nie mniej ponura niż „Zwierciadło katechetów” wielkiego Masaryka; raczej bardziej coś jak (odwrócony) „Młot na czarownicę”. Przyszłe pokolenia za głowę się złapią (gest archaiczny) czytając niesamowite brzdęknie z lat 1935/6”.

W dalszym ciągu spowiada się p. Zegadłowicz ze swoich religijnych przekonań.

„Nie jestem — pisze — (nie byłem i nie będę) ani katolikiem ani narodowcem; ci, których to interesowało, wiedzą, że nawet samo słowo „katolicyzm” wzbudzało we mnie niechęć i „abominację”; nie używałem go też nigdy (bodajże pierwszy raz w niniejszym artykule); powód: negacja w dziejowym postępowaniu tego wyznania istoty zasad głoszonych przez Jezusa z Nazaretu (choćby w tej formie i w tem brzmieniu, jakie nam przekazują stosunkowo dość późno powstałe pisma, znane pod nazwą ewangelji, czyli dobrej nowiny)”.

Poza tem całą kampanję przeciw „Zmorom” przypisuje klerowi, jak gdyby nie wie dział, że tę jego „powieść” równie gorąco zwalczał świat pedagogów i wogóle ludzi ceniących enotę i przyzwoitość.

0000

ciństwa przecukrzenie „Uśmiechu” nie pozwoliło pomieścić w tej książce całych ludzi. Pewne „powiedzionka” ich są niezrozumiałe, nie przylegają do osób. Znajac „Zmory” winny już jednak o co idzie; zablakane zdania otwierają psychologiczne perspektywy.

I wreszcie kwestja ostatnia. Skiwski, ubolewając swego czasu, że „młodości”: cała gama wzruszeń brzucha pełnego i pustego, tudzież podbrzusza, doczekała się w polskiej powieści monumentalnej monografji, przypomina sobie Céline'a: „Céline pisze, jeśli to możliwe, jeszcze okropniej. Ale Céline wie, poco to rabi. Céline wznosi się do metafizycznej wizji życia. Brnie my przez to błoto, ale przynajmniej wiemy dlaczego” („Naprzelaj” str. 254). Skiwski formuluje rzecz dość obecowo: „Metafizyczna wizja życia” jako nakaz, jako warunek zgóry, jest symplikacją. Cóż bowiem będzie, jeśli czytelnik, pobudzony treścią książki, niestawiającej nawet kropki nad i, sam pójdzie dalej? Czy także wówczas to wszystko, co Skiwski nazywa zamasyżycie „błotem” w literaturze, nie spełni swojej roli? A jeśli nie czytelnik, ale autor sam, po napisaniu książki, zrozumie konsekwencje „skatalogowanego” przez siebie „błota”? Zapytuje o to, bo „Zmory” Zegadłowicza otwiera wellsowski wstęp, będący swego rodzaju wyznaniem; wyznaniem przyznania. Przejrzenie to spowodowało prawdopodobnie, że przeciwko duchom i diablakom, które w „Uśmiechu” opisuje jeszcze z sympatją, w „Zmorach” wytoczy wojnę. I kto wie do jakiego „przejrzania” doprowadziło autora pisanie „Zmor”. Wykaże to zapowiedziana, trzecia część „Żywota”. Może w świetle tej trzeciej części również braki „Zmor” wyglądać będą inaczej; podobnie, jak inaczej wyglądać braki „Uśmiechu”, czytane po „Zmorach”.

Do refleksyj takich prowadzi lektura dwóch tomów „Żywota” w porządku odwróconym.

I czy nie miał wobec tego trochę słuszności osobliwy manjak, który w „Gogu” Papinięgo proklamował „historję naopak”?

AJENCJA  
WIADOMOŚCI  
PRASOWYCH  
W WYCINKACH

INFORMACJA  
PRASOWA  
POLSKA

WARSZAWA  
UL. BRACKA 5. Tel. 9-41-53

WYCINEK Z WYDAWNICTWA

GLÓS NARODU (Kraków)

19 MARZ 1936

P. Zegadłowicz wraca  
do swoich „Zmór”

P. Zegadłowicz pisze w „Wiadom. Literackich” o historii „Zmór” a to z racji artykułu p. Jerzego (nie Juliusza) Bandrowskiego w „Dzienniku Kujawskim”. Przedewszystkiem zapowiada, że wkrótce „jeden z młodych pisarzy” ogłosi książkę p. t.:

## NIEPOROZUMIENIE

czyli Zegadłowicz i Pitera jako „pogromcy świętoszków”.

Wolę się od razu przyznać, że „Zmór” nie przeczytałam. Należę do ludzi, na których tego rodzaju książki, abstrahując od ich wartości artystycznej, robią wrażenie przykre, odstręczające. Mimo to odważam się mówić (pośrednio) o książce, którą miałam zaledwie w rękę i to tyle tylko czasu, ile było potrzeba dla zorientowania się w jej charakterze. Pominę również zagadnienie granicy, do której wolno się pisarzowi posunąć w wyzyskiwaniu wszystkich możliwości, a chcącemu uniknąć zarzutu pornografii „Zmory” zostały omówione obszernie i, wbrew temu co twierdzi kol. Pitera, wszechstronnie, czego zresztą nie można powiedzieć o poprzednich książkach Zegadłowicza.

Nie chodzi tu zresztą o samą książkę, tylko o wnioski, które nasunęła kol. Piterze:

„Zegadłowicz zdarił ohydą maskę zakłamania, świętoszkostwa, pruderji i fałszu z całego kompleksu zjawisk obyczajowych, społecznych, seksualnych, które otaczają jego bohatera w okresie dojrzewania... Cała dziedzina zagadnień seksualnych... przełomów psychicznych i wynikających stąd zagadnień religijnych... pokryte jest ponurą maską obłudy i hipokryzji, którą młodzież wkładać musi w imię fałszywego świętoszkostwa, w myśl opinji, która z szatańską złośliwością dba o czystość dusz nie zrażonych zgnilizną moralną”.

Mój Boże! czy to aby nie zawiele dla biednego Zegadłowicza-artysty: owe „zazierante masek”, „Reformator obyczajów”, „pogromca świętoszkostwa” i czy nie za wiele dla młodego publicysty z nad Buga „ponure maski”, „ohydna hipokryzja”, „szatańska troskliwość”.

Nie chcę wchodzić drobiazgowo w enuncjacje kol. Piterzy, ale proszę się zastanowić choć przez chwilę czy zagadnienia religijne wypływają z przełomów religijnych i czy rzeczywiście zagadnienie jest wogóle czemś co można przeżywać.

Zegadłowicz napisał historję chłopca o wybujałej wrażliwości, wychowanego w jaknajgorszych warunkach; kol. Pitera uogólnił omawiane przeżycia, (nie sprawy, nie zagadnienia, a właśnie przeżycia) na całą młodzież przedwojenną i przeniósł na współczesną.

Wszyscy chorujemy na ogólniki i na druzgocące opnie, trzeba było Szanowny Kolego „zdrzeć ponurą maskę”, a nie opowiadać o jej zdzieraniu.

Te „obłudy”, „hipokryzje”, „szatańskie troskliwości” itd. są gatunkowo bardzo zbliżone do „czystości dusz skażonych zgnilizną moralną”, „małych dzienników” i t. p. organów.

Wszystkie twierdzenia kol. Piterzy są tak dalece gołosłowne, że nieledwie uniemożliwiają racjonalną dyskusję. Najsluszniej byłoby napisać: Nieprawdą jest, że a) Zegadłowicz zdarił ohydą maskę, b) że uczynił to kol. Pitera, c) że szkoła dzisiejsza jest zakłamana i obłudna. Natomiast prawdą jest, że a) „Zmory” są powieścią o charakterze autobiograficznym, b) kol. Pitera nic ciekawego nie powiedział, c) szkoła dzisiejsza jest taką jaką ją sami tworzymy, ani obłudna ani zakłamana.

Ostatnie twierdzenie postaram się jednak udowodnić.

Otóż zastanawiający jest fakt, że dotąd w tak licznej prasie szkolnej, obok szeregu niezmiernie drażliwych zagadnień sprawy seksualne są pomijane milczeniem. Przypuszczam, że nie chodzi tu o cenzurę, bo skoro mógł się ukazać artykuł kol. Piterzy, tembardziej mogłyby się ukazać inne, poważniejsze na ten sam temat. Jakiż więc powód milczenia? Poprostu nie tu nie mamy do powiedzenia. Nie widzimy celu rozprawiania o tych sprawach. Nie mówimy o zagadnieniach seksualnych tak samo jak nie roztrząsamy problemów etycznych. W tych dziedzinach nie mamy nic do wymiany. Tu szukamy samotni i samotni musimy znaleźć. A jeśli kto może nam tu pomóc to w każdym razie nie nasi rówieśnicy. My moglibyśmy co najwyżej dostarczyć pewnych przyczynków psychologicznych, ale w żadnym wypadku nie możemy się zdobyć na sąd. Nasze milczenie nie jest obłudą, tak samo jak powściągliwość hipokryzją.

Nasuwa mi się tutaj zabawne skojarzenie. Przeciek mogłabym zupełnie poważnie i w sensie pozytywnym użyć wysmianego przez kol. Piterę zwrotu „świętości nie szargać” nie użyję go jednak, bo sam zwrot jest brzydki.

Zresztą jeśli kol. Pitera nadal chciałby utrzymywać, że w szkole panuje obłuda i świętoszkostwo, to proszę wziąć do ręki obowiązujący podręcznik religji na kl. 8-mą „Etyka katolicka ks. Józefa Lubelskiego. Tam porusza się te wszystkie sprawy galelko dokładniej i oczywiście poważniej, niż czyni to kol. Pitera w swoim gromiącym świętoszków artykule.

I pomimo wszystkich druzgocących oskarżeń, czytając art. kol. Piterzy trzeba się domyślać o co właściwie chodzi i nie moja w tem wina, że Kolega szturmuję do drzwi, a ja wskazując na otwarte okno zapewniam go, że powietrze jest czyste.

Irena Górską  
kl. 8 MGŻ w Toruniu.

Z powodu strajku pracowników drukarskich w Warszawie, numer bieżący ukazuje się z opóźnieniem, za które przepraszamy naszych P. T. prenumeratorów i czytelników. Następny numer „Kuźni Młodych” ukaże się normalnie w dniu 1-go marca.

# Piast

Dodatek niedzielny oświatowo-społeczny Dziennika Kujawskiego

Rok VI

INOWROCŁAW WŁOCŁAWEK, dnia 23 lutego 1936

Nr. 8



Raj dla narciarzy.

Warszawa  
Bracka 5  
Tel. 9-41-53

Informacja  
prasowa  
polska

Jedyna w Polsce  
agencja wiadomości z prasy  
całego świata w wycinkach

1195

WYCINEK Z WYDAWNICTWA

Dziennik Kujawski (Inowrocław)

Nr. .... d. ....

23 LUT. 1936  
JERZY BANDROWSKI

## Sprawa Emila Zegadłowicza

Emila Zegadłowicza, czyli, jak się go w kołach literackich poufale nazywa, „starego Zegadłę”, znam dobrze i bardzo go lubię. Naturalnie jest w stosunkach osobistych bardzo miły, wymowny, dowcipny, niezrównany kompan przy winie, dobry kolega, uczynny i gościnnie.

Jako poetę cenię go i stawiam wysoko. Jego „Jałowczarz” jest prześliczny. Prawda, że aby go należyście zrozumieć i ocenić, trzeba znać Beskidy, ludzi w nich żyjących, trzeba też umieć zorjentować się w realjach, wiedzieć n. p., co to jałowcowe wino itp. Bez znajomości spraw i rzeczy beskidzkich trudno wczuć się i wmyślić w poezję Zegadłowicza. Tu inny, odrębny świat, zamknięty w sobie, żyjący swym własnym życiem. Ale ja znam Beskidy — są istotnie przepiękne — znam ten świat i wiem, co to wino jałowcowe. Przynosili je na sprzedaż do Krakowa górale, a właściwie tak zwane „kwiczoly”, jak nazywają mieszkańcy okolic podgórskich (do nich ida „gorce”

a potem „podhalanie”, mieszkający już u podnóża Tatr) i roznosili je po domach. Jest to gęsta i słodka wa ciecz, wonna, koloru kawy z mlekiem, podobno bardzo skuteczne lekarstwo na piersi. Ponieważ w dzieciństwie cierpiałem na chroniczne zapalenie oskrzeli, dawano mi to „wino” do picia. Jeśli chodzi o „Srebrmpisanego”, w którym są ustępy niezwyklej piękności, to znów znam Wadowice, nigdy nie zapomnę świetlistego migotania fal pięknej, wartkiej Soły, a po okolicznych górach tygodniami tułałem się pewnego maja, gdy na zboczach gór, na ciemnym tle świerków kwitły białe śliwkowe sady. A wtedy świat Zegadłowicza nie ma dla mnie tajemnic, jest mi bliższy i zupełnie zrozumiały.

Dlatego w pierwszej chwili w zdumienie wprowadziła mnie przykra historia ze „Zmorami”. Książki nie czytałem, trudno mi jednak wątpić, że musi w niej być coś nie w porządku, skoro Kościół ją potępił, władze skonfiskowały i to nie za jakąś rewolucyjną ideą.

motyw



24 LUT. 1933

## O „rassenschänderach” literackich

Wszyscy jesteśmy grzeszni. Obok mnogości błędów gromadzkich, przyroda obarczyła niejednego z nas grzechem dodatkowym. Bezbożnym, cynicznym uśmiechem Mefista. Wada okropna. Wystarczy posiadać bodaj resztki etycznych skrupułów, aby osądzić całą tę ohydę. Człowiek nią obarczony jest rozsądnikiem najgorszych miazmatów, jest toczącym zdrowie narodowe bakcylem. W chwili, gdy cała społeczność pochyla za'rosłane głowy nad objawami gangreny, osobnik, napiętno wany wymienioną cechą, uśmiecha się ironicznie odczuwając t. zw. „schadenfreude”. Profanuje tragizm sytuacji nikczemnością własnych refleksyj.

Piszę o tem, „bom smutny i sam pelen winy”. Siedzę przybity ogromem własnego grzechu. Smięję się mianowicie z bolesnych trosk, jakie nawieźdzyły ostatnio nasz literacki świat, rozumiejąc nietakt tego śmiechu, lecz uciszyć, mimo wszystko go nie potrafię. I jedna jeszcze uwaga: wyrazy w rodzaju „miazmatów”, „bakcyła”, „gangreny” i to sielsko - angielskich określeń, czerpię ze słownika prasy prawidłowej. Czynię to celowo. Ponury jest grzech, więc i określeń szukać trzeba w prasie ponurej.

Rzecz czytelnikom jest znana, ale mimoto powtórzmy ją krótko: temperaturę polemiczną ostatnich miesięcy podniosły dwa wypadki t. j. 1) słabe wiersze Iłakowiczówny o śmierci Marszałka Piłsudskiego i 2) „Zmory” Zegadłowicza. Iłako-

wiczówna, wyrażając ból po Piłsudskim, posunęła się do uszczypliwości pod adresem świętych, czyli do bluźnierstwa oraz do takież zbrodni nawoływała lirycznie czytelników i żołnierzy. Zegadłowicz dał pokaz bezbożnictwa, pornografii i wielu, wielu innych wykroczeń, przed których nazwaniem wzdryga się niewinne moje pióro. W następstwie, ruszyła do ataku szwależerka prawo wiernych literatów i publicystów, dając dowód, że „trza, aby święte było”. Zarzutów, kazań, gróźb obelg, wzgardy, wyrzekania się i denuncjacji było tyle i tak rozmaitych, że trudno je tu wyliczyć.

Krytycy „narodowi”, powiedziawszy o „Zmorach” wszystko co do powiedzenia mieli, uzupełnili jeremjady tradycyjnym epitogiem. Ogłosili mianowicie, że powieść Zegadłowicza poczeta jest z niarodowego ducha, że wszystko co ona zawiera, sprzeczne jest z tradycją, hasłami i atmosferą literatury polskiej, że działa na tę literaturę rozkładczo i dlatego, w imię czystości narodowego piśmiennictwa, niewolno dopuścić, aby heretyk - Zegadłowicz i t. d.

Ten argument jest znany i należało go oczekiwać. Pojawia się on zawsze, ilekroć albo inne argumenty zawodzą, albo trzeba wyższej, historyczoficznej niejako sankcji ataku. Jednak argument ten wówczas dopiero nabiera rozmachu i isni wszystkimi barwami, gdy autorem inkryminowanego dzieła jest Żyd. Mówi się wówczas, że to

85.  
rasa podyktowała mu bezceństwa, że prędzej woła da ogniovi niż duch semicki sarmackiemu nie zaszkodzi, bo cech pochodzenia nie ukryjesz, bo tak czy inaczej znajdują one wyraz w twórczości. Od wyroku takiego niema już odwołania, ponieważ rasa, krew, to rzecz natury, której człowiek nie zmieni.

Ale Zegadłowicz Żydem nie jest. Okoliczność ta była tragiczna, gdyż niedość, że nie pozwoliła na rozsownawcze kazania, dawał jeszcze broń w ręce tych, którzy sądzą, iż erotyka i t. p. ohydy nie są przywilejem wyłącznie żydowskim. Od czego jednak narodowego ducha wynalazczość? Myślano głęboko, solidnie, pobożnie i... Owszem, znalaziono: Zegadłowicz jest Czechem! Inna rasa — moja pani, moja pani! Wiadomo: obey. Nastąpił wybuch triumfu Okazało się, że z ta rasą, to jednak nie Żarty. Coprawda, to nawet Hitler nie poszedł tak daleko. Za „pobratymców krwi” uznał nietylko Niemców, lecz wszystkich german, a nawet „aryjczyków”. Polscy rasiści są mniej wstrętniejsi; wyrzekli się nawet słowian!

Do podobnych mniej więcej wyników dojrzała kampania przeciwko Iłakowiczównie. Iłakowicz to nazwisko tatarskie. Obca zatem, niepolska krew była przyczyną bluźnierczych wierszy. Huzia na tatarów!

Demaskowania te wyglądają na makabryczny żart, ale krytycy „narodowi” zatracili poczucie i żartu, i makabryczności.

W kartotekach literatury „narodowej” i Iłakowiczówna i Zegadłowicz byli doniedawna nofowa ni jaknajlepiej. I jedna i drugiego przeciwstawiono „obcoplemieńcom”. W endeckim „Głosie” poz-

Gena pojedynczego numeru 20 groszy.

1936 Nowy Sącz Rok VIII

Nr. 9

niedziela 1-go marca

Ceny ogłoszeń:

Cała strona 200 zł., 1/2 strony 100 zł., 1/4 strony 60 zł., 1/8 strony 35 zł., 1/16 strony 20 zł.

Ogłoszenie zwykłe za 1 mm. 30 gr., w tekście 40 gr.: przed tekstem 60 gr. — Kolumny ogłoszeń zwykłych składają się z czterech szpał. Przy miesięcznym względnie dłuższym ogłoszeniu znaczna zniżka.

W.F. Emil Zegadłowicz  
Gonczol Gorny.  
Wadowice.

# PODHALA

## „ZMORY” NA STOSIE

Od dłuższego czasu toczy się w Polsce zacięta walka o powieść znanego poety i dramaturga Emila Zegadłowicza. Powieść ta p.t.

„Zmory” rozeszła się w ciągu trzech dni. Drugi nakład uległ konfiskacji. W związku z tem dziełem rozegrała się polemika, której rezultatem z jednej strony był hołd krytyki dla prawdy, wyrażonej w powieści, z drugiej zniszczenie wszystkich dzieł przez księgarnię św. Wojciecha w Poznaniu, pozbawienie autora praw honorowego obywatela przez Wadowice i zdjęcie tablic z ulicy, noszącej imię Zegadłowicza. Bądź co bądź fakt tak złośliwego ustosunkowania się rady m. Wadowic do znakomitego poety nie świadczy o dużej znajomości rzeczy.

Cała ta nagonka na „Zmory” jest wymownym przykładem niezrozumienia prawdy artystycznej i dystansu, dzielącego umysły zacierze-



Emil Zegadłowicz

miasta, mogącego się poszczycić wydaniami takiej postaci jak Marcin Wadłowita.  
(sil.)

86.

INFORMACJA PRASOWA POLSKA  
GAZETA GAZET  
W WYCINKACH ORYGINALNYCH  
UL. BRACKA 5 WARSZAWA  
WYCINEK Z WYDAWNICTWA  
Nr. d. TELEF. 9-41-53

JESTEŚMY NAJPOSTĘPOWSI... Sympa-  
tyczne skądinąd pismo młodzieży szkolnej  
Kuźnia Młodych otworzyło dyskusję nad  
Zmorum i Zegadłowicza. Jeden z dyskutują-  
ców pisze: „Zegadłowicz zdarił ohydny nad-  
falezu z całego kompleksu zdati ohydny nad-  
falezu, społecznych, świętoszkostwa, pruderyj i  
na dyskutanta matką demagogii liberalnej ma-  
bro „powietrze w szkole, że to nie prawda, In-  
nie z zagadnieniem nieczyście”. Trudno  
nem, nie dostrzegając jego aspekty skomplikowa-  
logicznych i socjologicznych. Niemniej nale-  
ży się jak najpoważniej skomplikowa-  
rze, przedstawiając, polegając na psycho-  
le i jego ohydzie, z nia reklamą, niemniej nale-  
sobie, żeby podobna dyskusja (i połączone  
nie tylko dla Zachodzie mogła się w ca-  
żalnego, ale dla całej młodzieży gimnazjal-  
nej). Nie dla całej młodzieży gimnazjal-  
ważnego, ale dla całej młodzieży gimnazjal-  
szego, znanego, rocznika gimnazjal-  
go, któryby chciałby zadnego gimnazjal-  
we i celowe uznać za właściwe po-  
celu „świada reklamowanie” pod o-  
stepowicji... Bzik pająkrotyczny pod o-  
kol polskich i polaczone z nim demagogia  
liberalna święta triumfy. Dla demagogii  
ki tego bziaka i demagogii można przytoczyć  
mi, otrzymaniem od uczniów, oraz opinia-  
przedstawia. Czy brak poczucia odpowiedzial-  
działności, czy bezgraniczna naiwność nie z  
tego świata?

14 MARZ 1936

INFORMACJA  
PRASOWA  
POLSKA  
AJENCJA WIADOMOŚCI W WYCINKACH Z PRASY  
BRACKA 5 WARSZAWA TEL. 9-41-53

WYCINEK Z WYDAWNICTWA  
Nr. d.

29 LUT. 1936

# „Zmory” i „Grypa”

Zabierając głos o tych powieściach, chcemy na początku stwierdzić, że krytyka, w przeważającej większości, przyjęła je bardzo nieprzychylnie. Podnoszono to i owo: wyrażano nawet zdziwienie, że Zegadłowicz, ongiś pisarz katolicki, mógł napisać taką brzydką rzecz. Autorów tych powieści srodze „zbesztano” nie ukrywając nadziei na ich poprawę, talentu bowiem nikt nie odmawiał ani p. Kurkowi, ani Zegadłowiczowi.

Podkreślając takie stanowisko krytyki, musimy tutaj zaznaczyć, że jesteśmy nieco odmiennych zapatrywań na tę sprawę.

Owszem, podzielamy oburzenia recenzentów tych książek, najzupełniej zgadzamy się z faktem, że Naprawa jest obecnie inna i że Galicja nigdy nie była tak wstrętna, jak chce p. Zegadłowicz, ale... chcemy traktować powieść Kurka i Zegadłowicza jako zjawiska typowe i ze sobą spokrewnione. Nie chcemy uważać je za jakieś fakty w twórczości ich autorów przypadkowe, oderwane i nie wiążące z „poprawą” p. p. Kurka i Zegadłowicza. Natomiast jesteśmy takiego zdania, że powieści te reprezentują pewien światopogląd, pewien klimat psychiczny, pewien rodzaj „kultury” i nastawienia życiowego.

Jako takie są one zjawiskiem o wiele głębszym i niebezpieczniejszym, niżby to można byłoby przypuszczać.

Nie jest rzeczą istotną, że zawierają one „brudne, ordynarne opisy” i że autorowie ich używają, według określenia Grzymały Siedleckiego, „słownictwa „powziętego z szynkowni, koszar, wyrek stajennych i me’im”.

Grzymała Siedlecki, wysuwa przypuszczenie, że „Zmory” zostały napisane z „chęcią wywołania skandalu, ponieważ skandal jest też swojego rodzaju rozgłosem”. Twierdzenie najzupełniej błędne!

Eliminuję całkowicie wszelki „romans” p. p. Kurka i Zegadłowicza, a zatem wszelką „przypadkowość obiektywną”, jeśli chodzi o pojawienie się tych powieści na „rynku lite-

ratury”. Uważam, że p. p. Kurek i Zegadłowicz musieli napisać tak jak napisali. Nie dziwię się ich powieściom. Powtarzam — powieści ich są „typowe”, są nawet przeraźliwie typowe, jeżeli można tak się wyrazić.

I jeśli już pozwoliłbym sobie na jedno małe zdziwienie, to chyba jedynie z tego powodu, że p. p. Kurek i Zegadłowicz są... Polakami, że piszą i myślą po polsku, że żyją i tworzą w tej nowej Polsce, gdzie powstają naprawdę wielkie przemiany duchowe i gdzie tak niedawno, poprostu wczoraj zmarł Człowiek, który tę Polskę z bezkształtnej gliny prawie własnoręcznie ulepił...

Pisząc o typowości powieści Kurka i Zegadłowicza miałem na myśli cały szereg bardzo charakterystycznych „szczegółów, które każą zaliczyć tych autorów do tej a nie innej sfery, ściślej — sfery kulturalnej.

Pisząc o strefie kulturalnej mam na myśli strefę wpływów rosyjskich (dlatego nadaję tym powieściom tak duże znaczenie), uważam, że p. p. Kurek i Zegadłowicz są, w swych egzercycjach pisarskich jaknajtypowszymi przykładami powieściopisarstwa rosyjskiego i to dobrej, starej daty ze wszelkiego rodzaju „zmorami”, „gorączkami”, „praklatymi waprosami” i „wielkimi ideami”. Uważam właśnie, że p. p. Kurek i Zegadłowicz są galwanizatorami nie zupełnie jeszcze zapomnianej, ale wszakże umarłej już na naszych ziemiach „âme russe”, że stwarzają oni u nas specjalny klimat rosyjski (właśnie to, a nie żadne tam skandale, lapsusy i t. d.), że chcą nas poprostu zarazić swoją obrzydliwą, straszną wysypką, chorobą, trądem własnej nieudolności życiowej, własnego skarlania i zidjocenia, trądem niewiary, nieufności i bezwzględności, najprymitywniejszego materializmu.

I powiadam dalej, że wcale mnie nie interesuje czy autorzy omawianych powieści rzeczywiście aż tak głęboko przejęci są tak zw. „kulturą rosyjską”. Wiem, że pochodzą z b. zaboru austriackiego, może na-

wet źle władają językiem rosyjskim, może nie czytali tego lub owego, nie byli w Moskwie, nie podziwiali teatru rosyjskiego i nie słyszeli nigdy, jak dźwięczy „bałałajka”. Ale nie o to mi chodzi. Chodzi mianowicie o jedną jedyną rzecz, że powieści p. p. Kurka i Zegadłowicza są dla nas najzupełniej obce i że mentalność tych ludzi jest również obca i wroga, wyrosła na innej glebie, niebezpiecznie wroga, gdyż panowie ci piszą po polsku i chcą (pozwolimy sobie to przypuścić!) reprezentować literaturę polską.

Skąd ta „obcość” powstała: czy z „lektury”, czy z „krwi”, czy może poprostu przypadkowo — w to nie wchodzimy. Są to rzeczy intymne i ostatecznie niewiele mające wspólnego z istotną treścią naszego artykułu. Konstatujemy jedynie fakty ukazania się dwóch powieści — tak, a nie inaczej ujmujących życie.

A więc o „typowości” powieści Kurka i Zegadłowicza. Chcąc ten temat rozwinąć, pozwolę sobie na wstępnie przytoczyć znakomity cytat z pewnej naprawdę wspaniałej książki o literaturze rosyjskiej. Książka ta nosi tytuł: *Idiotenführer durch die russische Literatur* i napisana została przez wybitnego autora niemieckiego *Sir Galahada*, a cytat, odnoszący się do Tolstoja, którego autor niemiecki szczególnie nie cierpi, brzmi następująco:

„Tolstoj w swej tepej pysze i głębokiej nienawiści wobec każdego zwycięzcy dąży do zniszczenia w zarodku tego wszystkiego, co jest bohaterkie, niepowtarzalne, co się wspina na najwyższe szczyty ewolucji, przeszkadza powstawaniu czegoś mocnego, władczego, ognistego i dumnego.

Stąd właśnie on tak fanatycznie propaguje devaluację wszystkich wartości, stąd sprowadzenie czynu do pojęcia dobroczynności, uczucia do współczucia, życia zaś społecznego do prymitywnego popasu i chronienia się przed zimmem. A przedewszystkiem stąd degradacja erosu do naj-

prymitywniejszego rozmnażania się, tak, ażeby więziony w lochu skamiął w bezkształtnym Libido zamiast się rozwinąć z nieświadomego płodzenia w jego antytezę”.

Tyle *Sir Galahad*, autor u nas zupełnie nieznamy.

Ale nasz czytelnik zapyta: W jakim stosunku znajduje się przytoczony cytat do twórczości p. p. Kurka i Zegadłowicza? Odpowiem prosto: w stosunku bezpośrednim.

W innym miejscu swej arcydziełowej książki *Sir Galahad* pisze:

„Kretyn rosyjski może wycisnąć z siebie jedną jedyną formę erotyki — ubogą, dziecięcą — ukrytą, bezwstydną rozkosz „podnoszenia sukienki”, w myśl rozkazu etycznego: „odsłaniaj wszystko”.

I dalej, charakteryzując bohaterów powieści Tolstoja, uważa *Sir Galahad*, że ich istotną cechą jest ekshibicjonizm, z charakterystyczną maulją ciągłego, obnażania się i *koprofilija* — rozkosz babrania się w brudach ludzkich.

Jeśli weźmiemy pod uwagę, że *Galahad* pisze o Rosji wogóle, o literaturze rosyjskiej, o intronizacji „kretyna” rosyjskiego w literaturze europejskiej, że Tolstoj dla niego to najtypowszy przedstawiciel tych uzdolnionych „genjalnych” siewców kretynizmu, którzy przyszli z Rosji i najzupełniej nas oczarowali i upokorzyli — to sprawa dla naszego czytelnika będzie jaśniejsza.

Właśnie ekshibicjonizm i koprofilija, te dwie istotne cechy kretynizmu, charakteryzujące otoczonego nim „bohatera” i „wszechzłowika”, klasycznego idjota „Iwanuszkę duracką” Tolstoja — charakteryzują również i naszych autorów najpopularniejszych w Polsce powieści.

Piszą oni o „moczu i kale” o „międzynarodowym symbolu stosunku płciowego” i o innych niemniej pięknych rzeczach. Jeden (*Kurek*) pokazuje nam kastrowanie capy „który skakał na wszystkie zwierzęta obu płci” i psów, które „co rano uprawiają wyścigi miłosne”. Drugi

(Zegadłowicz) opisuje akt płciowy z niezwykłą ścisłością i z bezgraniczną naiwnością kretyna, który „odkrywa Amerykę”. Jak ów cap opisany przez Kurka, skaczą oni w zamiarze sprowadzenia na wszystkich co jest żywe, wesole, odważne i dumne. „Zmory” i „Grypa” — choroba, gorączka — rzeczy kliniczne — świat widziany przez ciemne, zakurzone szyby „zakładu”, oczyma paranoicznie rozszerzonymi, rozgorączkowanymi wizją nagiej kobiety, brudu, jakichś niestworzonych, fantastycznie chorych rzeczy. Kiedyś byli obłąkami spokojnymi. Marzyli w zaciszu swych gabinetów, potem choroba postąpiła naprzód. Zechcieli głosić, obwieszczać. Wydali książki.

Niedorozwinięty pastuch rosyjski — zwykły sodomista — wkłada „wierigi” i idzie w świat, staje się „jurodiwym”. Często wraca powtarza tylko kilka tych znanych iście rosyjskich wyrazów. Zna również wszystkie symbole aktu płciowego. Za pomocą tych „danych” staje się wieszczem. Brzęczy „wierigami” i pokazuje genitalja. Jest zagadkowy, fascynujący. Jest prorokiem. — W tem musi coś być — mówi ogół i pobożnie obserwuje obłąka.

Ale w tem nic nie jest. Ot poprostu zechciało się pastuchowi pokazać swe genitalja szerszemu ogółowi ludzi. Znudzilo mu się to czynić w kole rodzinnem. W krajach cywilizowanych takiego pastucha leczą, często biją, w każdym bądź razie izolują i wkładają nań odpowiednie koszule.

U nas tych „wieszczów genitacyjnych” nie izolują. Są oni otoczeni powszechnym szacunkiem. Reklamują ich wspaniale różne „wiadomości” i popularności ich prawie dorównywała popularności cadyka kalwaryjskiego. Są poprostu poszukiwani. Wywołują oburzenie — to prawda, ale na tem wszystko się kończy. Są czytani. Może częściowo są atrakcją, a może popularność ich wiąże się z tym podejrzany „klimatem”, który pocichu wędruje do nas przez zieloną granicę, przynosząc za sobą, poza różnymi „Katiuszami” i „Andriuszami”, również „poważne” przekłady z „poważnych” dzieł „mistrzów literatury rosyjskiej” — już dla elity, dla tych którzy lubią „sytuacje psychologiczne”, dla tych wszystkich „szkorników” dla pół czarnej w Ziemiańskiej, i dla innych myślących poważnie o dawnej „bogatej i pięknej Rosji”.

Ale mniejsza z tem. Chodzi nam o rzecz ważniejszą, a mianowicie o to, że p. p. Kurek i Zegadłowicz nie są zbieraczami intrygujących bagatelek i innych „sprośnych kawałów” li tylko dla własnego zaspokojenia erotycznego. Pozostawiają oni to zwicniętemu „bourgeois” europejskiemu, który niech sobie tam dyskretnie się pławi w chorobliwych manjackich urojeniach, niech sobie tam przegląda przeróżne „magazyny” i fotografuje okazałych dam półświatka paryskiego.

Nasi autorowie mają cele o wiele szersze. Idą w świat, głosząc pewne „prawdy”, idą w świat z „własną filozofją” z „własnym światopoglądem”, z „własnym”, że tak powiem, „buntem” (ach! to słowo, które wzrusza, rozczula i usprawiedliwia, przedewszystkiem usprawiedliwia).

W końcu ub. stulecia Rozanow pisał o Tolstoj, że świętobliwość, którą głosił Tolstoj, jest to świętobliwość zwiędłych policzków i mięśni — ideał świata z wydartym z niego kręgosłupem, z zamartwym poglądem..., jest to ślepe wydzieranie ze świata ożywającego nerwu, jest to nieokielznana miłość słowna bez miłości realnej, radośnej i wolnej.

Na innym miejscu tenże myśliciel rosyjski wyraził przekonanie, że w literaturze rosyjskiej nic się nie dzieje, że autorowie rosyjscy opowiadają tylko o tem, jak ich bohaterowie kochają i o czem rozmawiają.

Gdybyśmy chcieli wytłumaczyć tę formułkę rozanowską, to musielibyśmy powiedzieć, że literatura rosyjska, właśnie ta klasyczna, „wielka”, o którą nam tutaj ochodzi, nie jest literaturą ludzi czynnych i nigdy nie opowiada nam o ludziach, którzy coś robią, do czegoś dążą i coś zwyciężają. Z kart powieści klasyków rosyjskich zdążają ku nam w ponurym pochodzie „lisznicje ludzi”, „nieudacznici”

ki”, rozbici paraliżem moralnym bohaterowie czczego słowa i czczego wysiłków, dławiący się własną plcią impotenci, mętni filozofowie bez systemu i celu życia, degeneraci, przebywający w wiecznej rozterce duchowej i zdolni do wszystkiego.

Cale życie przebywają ci bohaterowie, jak Stepan Trofimowicz w „Biesach” Dostojewskiego, rozkładając „pasjans duchowy” na Boga i Antychrysta, na wzloty i upadki, na wszelkie przeciwieństwa i haniebne upokorzenia jęczące się w duszach ludzi.

Jest w tem Czechow, jest w tem Turgeniew i Tolstoj, ci wszyscy, którzy przyszli do społeczeństwa rosyjskiego z mdłą gadatliwością Rudinych, z nieusprawiedliwioną tęsknotą „inteligenta” czehowskiego i z niechludową formułą „nieprotiwienija”.

„Wszystko somniiest’ w siebie” — to inna formuła, formuła karamazowska, formuła Dostojewskiego, jego obłąkanej duszy, zdolnej „do łączenia najniebezpieczniejszych przeciwieństw, do tego, by oglądać równocześnie obie przepaści, przepaść nad nami, przepaść górnych ideałów i przepaść pod nami, przepaść najbardziej głęboką i cuchnącą upadku”. I zwłaszcza tę ostatnią — cuchnącą upadku!

Z ponurych podziemi swej fantazji wydostaje ten Iwan Groźny literatury rosyjskiej wszystkich tych, którym los polewał grzbiety — wszystkich bezsilnych i podłych, małych i zgnitych, chorych i obłąkanych i nad wszystkimi rozciąga pieczołowicie swą histeryczną, masochistyczną miłość.

Taki jest Dostojewski — inna strona medalu literatury rosyjskiej. Wreszcie nuda, straszna nuda w tej osławionej literaturze rosyjskiej. Ludzie zbyteczni, niezdolni do niczego, rozprawiają o różnych rzeczach. Czasem piją, upijają się, są demonami, gwałcą, plugawią, wymiotują a potem znów leżą bezsilni i słabi i myślą, że to właśnie świat jest taki nikczemny, że to otoczenie, środowisko (srjeda) ich zniszczyła (zajęła), że cały kraj jest do niczego, że wszyscy ludzie są „drania-mi”, że ostatecznie żyć nie warto, że trzeba się upić, powiesić, zrobić skandale, zresztą djabel wie co zrobić. Tutaj podchodzimy do genezy t. zw. „szerokiej duszy rosyjskiej” i do właściwego określenia tego „typowego”, morderczego nastroju rosyjskiego, który wieje na nas z kart powieści rosyjskich.

W świetle tych uwag może zaczęniemy rozumieć, dlaczego tym ludziom (tym bohaterom powieści rosyjskich i, zresztą, samym autorom rosyjskim) wszystko wołno — „wsio pazwoleno”, dlaczego mają oni przedstawić świat, kraj, ludzi i otoczenie w ponurych aż do banalności barwach, plugawie to, cośmy się przyzwyczaili uważać za święte i z lubością (sładostrastjem) oglądać cuchnące przepaści. Może zaczęniemy rozumieć, dlaczego chcą oni nas przekonać, że jesteśmy gorsi niż jesteśmy, że *cuchniemy* sami, że sami prowadzimy życie „lisznicje ludje” i nie nie możemy osiągnąć.

Rzecz jest bardzo prosta. Chodzi im o usprawiedliwienie swej nikczemności nikczemością innych, swego brudu brudem innych, swych chorób, przyzwyczajają, manjactw zboczeń, chorobami, przyzwyczajeniami, manjactwami i zбочeniami innych. Cały świat jest ciemny, niemrawy, słaby, bezsilny, zły i podły. Cały świat jest z wydartym kręgosłupem, z wydlubanymi oczyma, nie *my* jesteśmy winni swej bezsilności lub swej podłości tylko *inni*.

Po tych krótkich słowach ogólnych, po tem streszczeniu, koniecznym dla zrozumienia naszych dalszych wywodów, powracamy znów do powieści pp. Kurka i Zegadłowicza.

Cheśmy tutaj stwierdzić, że te powieści, poza koprowizją i ekshibicjonizmem, mają jeszcze inne właściwości, które zezwalają na zakwalifikowanie ich do rzeczy o pewnym typie, czyli, mówiąc prościej, do „rzeczy rosyjskich”. Przedewszystkiem ten ogólny koloryt, ten „esprit pesimiste”, unoszący się nad niemi. Ta beznadziejna „filozofja życia” i ci bohaterowie, z jednej strony maluczcy i zbyteczni á-la Czechow, z dru-

giej zaś nikczemni i „demoniczni” á-la Dostojewski. Ale przedewszystkiem filozofja życia.

Zacniemy od powieści Kurka. Zygmunta Szczepaniak z „Grypy” Kurka marzy o Paryżu, stanowiącym „kompleks jego tęsknoty”. Marzy tak samo beczynie, jak marzą o Moskwie trzy siostry w opowiadaniu Czechowa.

W tejże powieści mówi stary Korabiowski.

— Siedzę i palę fajkę... Teraz jest kryzys, jedni się modlą, drudzy kradną, oszukują, robią świństwa — ja tylko patrzę i czekam”. „Nieszcześnie kraj — kończy on swoje wywody, mówiąc o własnej ojczyźnie.

Nuda, nuda. Okropna nuda wieje ze stron powieści Kurka. Nie się tam nie dzieje w tym kiepskim, po rosyjsku spreparowanym pamfletcie na rzeczywistość polską.

19-letnia nauczycielka Helena Kryńska prawi: „Kraj nasz jest pozabawiony piękna. Jest w nim nieznośna nuda, a ludzie to są potwory”.

Nosiciel mądrości, niemrawy nauczyciel prowincjonalny, onanista i ostatecznie nicpoń duchowy — Andrzej, składa takie niezaprzeczalne zresztą, oświadczenie:

„Mam lat trzydzieści. Jestem stary i nic nie znaczę. Zgniję na Jordanskim cmentarzu”.

„Życie to rzeczy nieudane. Jedynie, co się nam uda to śmierć”, — głosi z przekonaniem skrzypek Zygmun, ten „tęskniący za rewolucją, niewiązany w porządek biurokratyzmu nędzarz napwół ślepy” — typ o suchotniczej mentalności nichlisty rosyjskiego z lat 60-ch minionego stulecia. Do tej „prawdy” dodaje inną. „Świat jest w nieporządku” — twierdzi i nie wie, że to właściwie on jest w nieporządku, on i ci wszyscy bohaterowie Kurka, te wszystkie bezgrzbiętowe kreatury, które się błąkają niewiadomo poci na stronicach mdłej i perwersyjnie nudnej powieści.

Tak, są w nieporządku! Są w nieporządku ci schizofreniczni inteligenci, identycznie tak jak bohaterowie rosyjskiego Czechowa, który pisał o nudzie w swojej ojczyźnie i o pustce w duszach swoich rodaków.

W r. 1930 tak charakteryzował Czechowa Piotr Struwe:

„Czechow należy do pisarzy, którzy przynieśli do literatury zmęczoną duszę, duszę spustoszoną. I cała twórczość literacka Czechowa polega na ciągłej walce z własną pustką duchową, walce tem cięższej, że nie opierała się ona na żadnym światopoglądzie”

Doprawdy jakgdyby mówiono to o Kurku. Bohaterowie Kurka nie chcą, nie robią do niczego nie dają. Są zmęczeni i nie pozatem. Jeden (Zygmun) „cierpi na melancholje erotyczną”, inny (Andrzej) „skazany jest na cierpienia seksualne o podkładzie neurastenicznym”. Dusze mają spustoszone, ogołoczone z piękna, mały skureczony światek „zwiędłych policzków i mięśni” o którym pisał Rozanow, mówiąc o Tolstoj.

Żyją mechanicznie, zewnętrżnie. Nauczycielka Hanka spędza czas „słuchając tęsknych melodyj tanga” i ostatecznie umiera, nie robiwszy, bezowocnie, pasywnie, czytając modną powieść pod dźwięki radja. Andrzej i Zygmun żyją w ustawicznej zgrozie własnej beczynności. Mogą obserwować tylko zewnętrzne przejawy życia, a myśleć tylko o rzeczach „realnych” o rzeczach bezpośrednio ich dotykających, o rzeczach związanych z ich marnym żywotem, o głodzie, o posadach, o protekcji i niesprawiedliwości i o miłości płciowej. Zławsza o miłości płciowej.

„Filozofja” ich sprowadza się do następującego zdania: „przedłużamy się sztucznie, zapładniając kobiety, ale jednak prędzej, czy później umieramy. Co nam z tego, że zrobimy pięcioro dzieci, które rozpoczną następną epokę kiedy my i tak musimy przejść w zmiernych śmierci” (46)

I dalej:  
„Miłość to jest najpiękniejsza rzecz. Nie każdy myśli o brzuchu. Ale każdy myśli o rozkoszy płciowej. W istocie to samo, tylko trochę niżej” (ibid).

A zresztą są zazdrośni, rozgoryczeni nudni i co najważniejsze przekonani o swej wyższości. Właśnie, przekonani o swej wyższości, nie mając

ku temu żadnych danych, będąc ostatecznie szarymi ludźmi, zjedzonymi przez własną melancholje życiową.

I tutaj, tutaj właśnie zbliżamy się do tej „prawdy” którą głosi Kurek. Polska? Polska dla Kurka nie istnieje!

Polak? Człowiek współczesny, który odzyskał siebie w wyzwolonej ojczyźnie, który po „wyścigu krwi i żelaza” stanął twardo do „wyścigu pracy” — tego „wschodnia” mentalność Kurka nie chce przyjąć.

W końcu swej powieści woła on ustami Zygmunta:

„Moje miejsce — po stronie słabych i uciśnionych!”

Słabych i uciśnionych! Ludzi silnych, zwycięskich, tworzących życie, radośnych i zdrowych Kurek nie przyjmuje. Tych ludzi Kurek odrzuca. Odrzuca prawdę faktyczną, istotną i tworzy sam dla siebie, dla zaspokojenia swego maluczkiego, chłozliwego serca, dla własnego usprawiedliwienia świat fikcyjny, ciemny i głuchy, ślepy i beznadziejny. W tym świecie żadnego jasnego promienia, żadnego potężniejszego głosu, żadnej nadziei.

Bezrobocie, podatki i komornik. Ludzie mówią o posadach i podwyżkach, ludzie są zachlani żli, podli, maluczcy, ordynarni, brzydzy. „Ludzie schodzą z pół, jak niewolnicy skuci wysiłkiem”. Istnieje wieś — „kraj głodem napuchły”. Kmiotki, parobki i dziewczuchy, głodują, narzekają i żyją ciemnym zwierzęciem życiem. Chłop według Kurka „niema żadnych zachwyłów nad ziemią, nie żywi żadnych uczuć”. Żyje i umiera — oto jest cały sens jego istnienia. Odczuwa mechanicznie, instynktownie: „miętoszy w krzakach dziewczynę”, „gładzi piersi i uda sprzodu”, — wszystko w granicach uczuć kretyna, prymitywny orgazm — surogat miłości i erotyzmu. Nafta, sól, zapalki, wydajone mleko, śmierć i urodziny, płodzenie dzieci, Bóg, wiara — wszystko jest zuteszane do kupy — ręce i nogi strzępy brudnych spodni, kłanie i skowyt, wycie psów i chrapanie jakiegoś Walka od Jantola. Taka jest wieś. Zmechanizowane, prymitywne życie. Gromada sekretu-nialych ludzi, porzucona na beczynnej wyspie, banda zbiedzonych głodomorów.

I na to wszystko przychodzi grypa. Śmierć, z którą nikt nie walczy i która ostatecznie rozprawia się z tą gromadą dzikusów, idjotów i zwierząt. Śmierć, jako ostatni akord wybijającego, do reszty schorzałego, pesymizmu. Śmierć, jako „jedyna rzecz udana” w tej okropnej książce, w tym strasznym dokumencie, który otwiera duchowe ubóstwo autora, jego zazdrość i niemoc i jego — ostatecznie niech już tak będzie — bardzo dziwną „rosyjskość”.

Przechodząc skolei do „prawdy” Zegadłowicza, do jego powieści o „zmorach”, musimy stwierdzić, że znajdujemy się tutaj w klimacie nieco odmiennym.

Jeśli Kurek z całym swoim asortymentem „zbytecznych ludzi” przypomniał nam ludzako Czechowa, to mówiąc o Zegadłowiczu trzeba już mówić o „klimacie” spokrewnionym z klimatem twórczości Dostojewskiego. Jest coś z Dostojewskiego w tym małym polskim, małomiasteczkowym i dużo — kawianianym „wieszczu”. Oczywiście z Dostojewskiego spłaszczonego, zbanalizowanego, sprowadzonego do lichego wykresu, do marnego schematu, ale wszakże, wszakże... Jego Srebrmpisany to ostatecznie odpowiednio spreparowany Alosza Karamazow — ten cichy „kretyn” (posłusznik) milcząco a może i wzgardliwie w swem zaparciu obserwujący świat. Idzie przez życie brudne, straszne i okrutne, przez życie najzupełniej ślepe, gdzie wciąż cuchnie, jak na tem podwórku gimnazjalnym, plastycznie opisany przez autora i jest święty, jest czysty ten zapłodniony przez widma i wylęgly w środowisku ludzi martwych, mściwy i obłudny, mały „megalomanek”. Jest święty i czysty, niewiadomo właściwie dlaczego, bez żadnej ku temu racji, chyba jedynie przez uwielbienie autora, który przecież uwielbia swego Mika Srebrmpisane-go, jak własne dzieciństwo, jak włas-

na „biografie”. Nic mu zresztą nie przeszkadza męczyc i dręczyc nie swego uwielbianego Mika. Czynie więc to na 500 stronicach, wykazując świetne kwalifikacje pierwszorzędowego „flagellanta” i ostatecznie nie wykażca go, nie uśmierca nie wie co z nim zrobić. Bo Srebrmpisany potrzebny mu nie jako „bohater”, nie jako „współczynniki” w akcji powieściowej, tylko jako niemy i bezduszny świadek chorób, brudów, błazeństw, pijaństwa i orgji.

Bo takie jest właśnie życie w dowiecipnej interpretacji Zegadłowicza. Taka jest „prawda życiowa”. A Srebrmpisany jest chyba tylko „cnotka” oszczędzana z jakichś niezwyklej pobudek zboczeniowych.

A więc o tej „prawdzie życiowej” Zegadłowicza.

Ziemia, zdaniem Zegadłowicza, to „mały, chłodny glob, pełen starczych zmarszczek”; kraj w którym się toczy powieść jest „ospały i niemrawy”, nad miastem unosi się „smród kłoczny” i miasto to właściwie tylko „propinacja, trafika i maleńka petitowa josiwiara zachodnio-galicyjska”.

Na tem tle, na tem beznadziejnie podłym tle, występują upiorne postacie, które Zegadłowiczowi chce się nazywać ludźmi.

Istoty te mają „często smutki i rzadkie radości, zależnie od awansów”. Interesuje ich „technika trawienia i rozmnażania się”. Żyją w oparach alkoholowych. Życie ich jest ślepe i nie ma uroku. Żyją ażeby umrzeć. Nie mają dusz, nerwów, myśli i wrażeń — tylko ciała. Na 500 stronicach autor tych ludzi babra się w ich wydzielinach, pokazuje w upartem manjactwie wszystkie te strony zewnętrzne ich ubogiego życia. „Rzuca pękiem kluczy” w „srodze zapuchnięte i zapaćkane krwią, łzami, smarkami i śliną” buzie dziecięce, wrleucie się wraz z wujem Komendą na brudnej pościeli prostytutki, wydobywa gdzieś z zanadru mrocznej fantazji Raciatego i odbywa z nim w trumnie akt płciowy, uśmierca starą babkę i wykonywa z nią razem przedśmiertne ruchy spółkujące. Jak z tej babki, „moc i kał wywieka z niego ustawicznie”. O niczem nie myśli, tylko aby jeszcze raz przeżyć jakieś beczenie, jakąś beznadziejną podłość, pokazać jeszcze raz ostateczne zezwieszenie ludzi, powtórzyc z manjactwem uporem uliczne nazwy organów płciowych i zanurzyć się w kał, brud, ślinę i inne wydzielin ciała ludzkiego.

Cuchnąca powieść. I możnaby było o niej nic nie mówić gdyby... gdyby znów, jak i powieść Kurka, nie była ona tak bardzo „typowa”, gdyby nie była jednym z tych niezliczonych sposobów „kuszenia rosyjskiego”, co propagują, wg. terminologii Nietzschego, „Wille zur Krankheit”, a według wyrażenia Rozanowa — odkrywają nam „świat z wydartym z niego kręgosłupem”.

Straszna rozkładowa siła Dostojewskiego polegała na tem, że on genialnie, ogromnie przekonywująco przebudował świat według swej chorej epileptycznej wyobraźni. Pokazał on nam ludzi rosyjskich, — starców, „klikusz”, „jurodwy”, „epileptyków” — całe życie rosyjskie, toczące się jakgdyby w mrocznych podziemiach, występku, zbrodni i „sładostrastja”. Nic pozatem nie widział.

I stąd płynie jego swoista filozofja, jakże silnie oddziaływująca na współczesną mu i późniejszą myśl europejską.

O Dostojewskim mówi jeden ze świetnych, acz mało u nas znanych znawców „ducha” rosyjskiego, prof. Bogumił Jasinowski („Wschodnie Chrześcijaństwo a Rosja”. Wilno 1933).

„Zboczenie na drogę zbrodni i występku zdaje się stanowić (dla Dostojewskiego) jakgdyby przedwczesne stadium oczyszczenia wewnętrznego, dla którego — co więcej — zbrodniarze i ludzie występni zdają się posiadać pewnego rodzaju wyższość nad zwykłymi ludźmi”.

To była właśnie filozofja Dostojewskiego. To była ta prawda, którą głosił. Sam chory i obłąkany, nie chciał on widzieć ludzi innymi, tak jak słaby i bezsilny Czechow widział świat również słaby i bezsilny.

Na str. 252 swej powieści, w notatce autorskiej, Zegadłowicz pisze:

„Niema co ukrywać! Już dość tych zakłamań o sielskości, anielskości, chmurności i górności. — Tak jest lepiej i prościej i prawdziwiej i może — pożyteczniej!”

To powiedzenie odsłania nam właściwie wszystko, pokazuje nam tę drogę, którą szła myśl Zegadłowicza i tę jego wewnętrzną rację, dla której on, według pewnego określenia, „wyrządził wielką krzywdę społeczeństwu” — wydał swoją obrzydliwą i jakże rosyjską książkę o własnych „zmorach”.

Niema co ukrywać. A więc deifikacja ciała i seksualności, święta cielesność (swiataja plot'), intronizacja kretynizmu, wieszczostwo o podejmowanie obłąkańczym zapachu. Świat jest podły, bo ja jestem podły, świat jest chory, bo ja jestem chory, niema nic, istnieje pustka i nicość. Niech żyje pustka, niech żyje nicość. Niech żyje śmierć.

\*

\* \*

Wnioski nasze są naprawdę smutne.

Książki, któreśmy omówili, należą do dzieł poczytnych, przez opinię publiczną wyróżnionych i roszczących pretensję do reprezentowania współczesnej literatury polskiej. Jalu Kurka i Zegadłowicz należą przecież do „elity” pisarskiej.

A więc mamy tutaj do czynienia z t. zw. „czystą” literaturą, z literaturą w mniemaniu ogółu „prawdziwą”, z literaturą, na podstawie której sądzić o nas będą inni, a która (oby tak nie było) wywierać będzie wpływ na kształtowanie się psychiki szeregu generacji.

I to jest najsmutniejsze.

Można byłoby poprzeć całym szeregiem przykładów twierdzenie, że współczesna t. zw. „czysta” literatura polska ubiera się w tożę nietykalności i patrzy na nowy polski świat ze szczerem „dziecięcym” zdumieniem.

W książkach Jalu Kurka i Emila Zegadłowicza i w książkach całego szeregu innych autorów (choćby Choromański i Wittlin) wpływa na wierzch „szary człowiek”, abstrakcyjny, martwy, nie polski, skopjowany z powieściopisarstwa XIX w., oparty na rosyjskich receptach fabrykowania, zanurzających się w „błocie środowiska”, nadludzi i „proroków”.

A właściwie wpływa na wierzch, wg. świetnego powiedzenia Czechowa o rzeczywistości rosyjskiej\*, „zwiądła, apatyczna, leniwie filozofująca inteligencja, niepatrjotyczna, bezbarwna która potrafi tylko narzekać i chętnie neguje wszystko bowiem leniwemu mózgowi łatwiej jest negować, aniżeli stwierdzać (utwierdzać), która nie chce się żenić i nie chce wychowywać dzieci...”

O tym przeraźliwie szarym człowieku, o tej inteligencji, o jej bólach, słówkach, miłostkach, czułościach, posadkach i rozpustkach chce się wypowiedzieć nasza literatura.

Polska? O, Polska jest tylko przeciętnym tłem, na którym występuje ów „szary” człowiek, podniesiony w swej „cielesności” do nowej godności, wytumaczony, usprawiedliwiony, otoczony aureolą i uświęcony w swojej przeciętnej brzydocie, w swoich błahych zachciankach i szpetnych, banalnych błazeństwach...

A. Podgórski.

\* A. Czechow list do A. Suworina z 27-XII 1889. „Litieraturnyj Kritik” 1935, 11.

**OPTYK S. Sł**

**OKULARY-BINO  
URO-ZEISS PER**

870

Warunki prenum

Redaktor odpow. i Admin.: MIECZYŚ

# NOTIFICATIONES

E CURIA PRINCIPIS METROPOLITAE CRACOVIENSIS

## Msze św. in festis suppressis.

Przypominamy WW. XX. Proboszczom, Ekspozytom i Administratorom parafij obowiązek wynikający z prawa pod grzechem ciężkim odprawiania Mszy św. in festis suppressis na intencje przez Kurję naszą wyznaczone. Ponieważ obowiązek ten był kilkakrotnie dokładnie podany do wiadomości XX. Proboszczów i Ekspozytorów cała odpowiedzialność za nieodprawienie Mszy św. in festis suppressis (zaznaczone w rubryce diecezjalnej), spada na rządców parafij.

Polecamy dokładne wykazy Mszy św. odprawionych w święta zniesione przesyłać za rok ubiegły do dnia 31 stycznia.

Ukazały się w ostatnich czasach powieści, których fabuła rozgrywa się na tle wydarzeń w miejscowości tutejszej Djecezi. Obie wyrządzają wielką krzywdę społeczeństwu, które opisują. Brudne, ordynarne, prostackie, babrzące się w błocie bezwstydu opisy te bluzgają też bezkrytycznie przeciw religii.

Samo ukazanie się takich książek choć zawsze smutne, jednak jeszcze może tłumaczyć wykołowanie się moralne i chorobliwy stan umysłowy jednostek. Wyróżnianie zaś i nagradzanie właśnie takich utworów przez instytucje popierane przez czynniki rządzące jest oburzające i dlatego zasługuje na najostre napiętnowanie. Stanowczo też przeciw temu nadużyciu podnosimy protest.

Bolesnym też objawem jest, że takie ordynarne utwory są poszukiwane przez wielu. Daje to smutny dowód niskiego poziomu kultury, smaku i obyczajności szerokich kół naszej, czytającej publiczności.

Przestrzegamy wszystkich dobrze myślących katolików przed szerzącą się zarazą i wzywamy, by wszelkimi środkami protestowali przeciw tej publicznej demoralizacji i zwalczali takie wydawnictwa w imię religii, dobra Kościoła i Państwa i honoru naszej narodowej kultury.

informacja prasowa polska

gazeta wycinkowa  
II. KURJER COBIENNY  
Kraków  
ul. Bracka 5  
telefon 9-41-53

WYCINEK  
z  
WYDAWNICTWA

Nr. ....

d. 27 LUT. 1936

## PRZEGLĄD PRASY.

### Niepożądana dyskusja.

Naogół na tem miejscu nie zajmujemy się literackimi plodami ducha naszej młodzieży gimnazjalnej, uważając, że różne pisma młodzieżowe są sprawą „wewnętrzno-szkolną”, która może interesować młodzież szkolną i ich wychowawców.

A jednak czasami warto zaglądnąć do „K u Ź n i M ł o d y c h”, czasopisma młodzieży szkolnej, które posiada zezwolenie ministerstwa WR i OP na kolportaż wśród młodzieży. Można tam bowiem znaleźć artykuły, poruszające tematy, których nie powstydziliby się nawet sam... p. Boy-Zeleński. Każdy nieuprzedzony przyzna, że np. publiczna dyskusja „koleżanki”, która gniecie ławkę szkolną w VIII gimnazjalnej i jakiegoś „kolegi”, niewiadomo, czy był w VI czy w V klasie — o pornograficznym charakterze „Zmór” Zegadłowicza jest bądź co bądź niecodzienna.

Otóż w numerze 24-tym tego czasopisma, „koleżanka” Irena Górska odpowiada „koleżce Piterze” na jego krytykę Zegadłowicza. Krytykę — a raczej zachwyty. Bo kolega Pitera tak pisal:

„Zegadłowicz zdarł ohydny maskę zakłamania, świętoszkostwa, prudencji i fałszu z całego kompleksu zjawisk obyczajowych, społecznych, seksualnych, które otaczają jego bohatera w okresie dojrzewania... Cała dziedziną zagadnień seksualnych... przełomów psychicznych i wynikających stąd zagadnień religijnych... pokryta jest ponurą maską obłudy i hipokryzji, którą młodzież wkładać musi w imię fałszywego świętoszkostwa, w myśl opinii, która z szatańską złośliwością dba o czystość dusz, niezrażonych zgnilizną moralną”.

Koleżanka Górska nie zgadza się ze swoim kolegą, choć nie czytała dokładnie „Zmór”, gdyż

„należy do ludzi, na których tego rodzaju książki, abstrahując od ich wartości artystycznej, robią wrażenie przykre, odstręczające”.

Ten spór o krytykę nie wyczerpuje wszystkiego, bo „koleżanka Górska” dodaje takie uwagi:

„Zastanawiający jest fakt, że dotąd w tak licznej prasie szkolnej obok szeregu niezmiernie drażliwych zagadnień sprawy seksualne są pomijane milczeniem. Przypuszczam, że nie chodzi tu o cenzurę, bo skoro mógł się ukazać artykuł kol. Pitera, tembardziej mogłyby się ukazać inne, poważniejsze na ten sam temat. Jakiż więc powód milczenia? Poprostu nie tu nie mamy do powiedzenia. Nie widzimy celu rozprawiania o tych sprawach. Nie mówimy o zagadnieniach seksualnych, tak samo jak nie roztrząsamy problemów etycznych. W tych dziedzinach nie mamy nic do wymiany. Tu szukamy samotni i samotnię musimy znaleźć. A jeśli kto może nam tu pomóc, to w każdym razie nie nasi rówieśnicy. Kończąc kol. Górska wskazuje na obowiązujący podręcznik religii „Etyka katolicka” ks. Józefa Lubelskiego”, gdzie porusza się te wszystkie sprawy daleko dokładniej i oczywiście poważniej”.

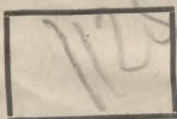
Odpowiedź Ireny Górskiej z VIII kl. nie

Jest pozbawiona słuszności. Jednakowoż uważamy, że dyskusja na temat pornografii, zagadnień seksualnych itp. wogóle nie jest właściwą dla czasopisma młodzieżowego. Widocznie cenzura szkolna jest innego zdania. A szkoda...

\* \* \*

AGENCJA  
WIADOMOŚCI  
PRASOWYCH  
W WYCINKACH

INFORMACJA  
PRASOWA  
POLSKA



WARSZAWA  
UL. BRACKA 5. Tel. 9-41-53

WYCINEK Z WYDAWNICTWA

GŁOS NARODU (Kraków)

Nr. .... d. ....

18 LUT. 1936

### Wadowice i Zegadłowicz

Artysta-malarz, p. Zb. Pronaszko, choć nie żył, jednak w „Nowym Dzienniku”, zaatakował miasto Wadowice za to, że p. Zegadłowiczowi odebrało obywatelstwo honorowe za „Zmory”. Wypomina temu zacnemu miastu, że „mlaskało” z zadowolenia, gdy przed paroma laty „wielu ludzi zasłużonych w sztuce i literaturze” spieszyło do Wadowic, by uczcić talent Zegadłowicza. Jest to oczywiście przesada. Tych „wybitnych” nie było „wielu”. P. Pronaszko w końcu radzi Wadowicom, żeby akt obywatelstwa honorowego dla Zegadłowicza i tabliczkę z nazwą jego ulicy schowały dobrze, bo — powiada

„Obawiam się, że trzeba będzie kiedyś w pokornych lansadach spowrotem wręczyć i przybijać, a to będzie przykre, nawet dla nowej rady miejskiej...”

Próżna obawa! Być może, że w tej całej historii nastąpi zmiana. Ale wówczas nie rada miejska Wadowic będzie się wstydzła swojej uchwały, tylko — p. Zegadłowicz swojej książki. A p. Pronaszko swojego artykułu...

**Podania na probostwa.**

W związku z wnoszeniem podań na probostwa Xiążco-Metropolitalna Kurja przypomina, że kandydaci, którzy byli obowiązani do składania egzaminów trzechletnich, winni dołączyć do podania świadectwo z tych egzaminów. Nadto do podania winni kandydaci dołączyć także świadectwo z egzaminu konkursowego, którego ważność trwa lat sześć, od dnia złożonego egzaminu. Po upływie tego terminu, jeszcze przed podaniem się na probostwo, należy wnieść prośbę do Kurji naszej o przedłużenie ważności egzaminu konkursowego i ewentualną dodatnią decyzję Kurji załączyć do podania na probostwo.

Zaznacza się przytem, że egzamin konkursowy, złożony „per maiora vota“ winien być powtórzony.

**Załączniki do podania o dopuszczenie do egzam. konkursowego.**

Zarządzamy na przyszłość, by Kapłani wnoszący podania o dopuszczenie ich do egzaminu konkursowego dołączali do podań świadectwa ze złożonych przed egzaminatorami, przez Nas wyznaczonymi egzaminów trzechletnich. Bez wspomnianych świadectw podania o dopuszczenie do egzaminu nie będą uwzględniane.

**Odsyłanie interesantów do kancelarii Kurji.**

Przypominamy tylokrotne tutejsze ogłoszenia, żeby P. T. Księża nie odsyłali wogóle do kancelarii Naszej Kurji interesantów, ale o ile możliwości sprawy załatwiali przez pocztę. A w żadnym razie nie wolno przysyłać stron bez pisma odnośnego Urzędu Parafjalnego, gdyż z reguły prośby samych stron pozostaną bez uwzględnienia — a odsyłający, który niepotrzebnie naraził je na koszta podróży lub inne straty — obowiązany będzie do ich wynagrodzenia.

88/a

**Zarządzenia prawno-państwowe.**

**Proboszcz nie jest obowiązany płacić składek za ubezpieczenie organisty.**

NAJWYŻSZY TRYBUNAŁ ADMINISTRACYJNY.  
L. Rej. 1473/32.

**W Imieniu Rzeczypospolitej Polskiej.**

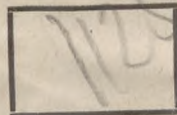
Najwyższy Trybunał Administracyjny w składzie: Przewodniczący Sędzia Dr. Rappe i Sędziowie: Waśkowski, Żeleński, przy udziale protokolanta Rady Sekretarjatu Prawniczego Ruzamskiego, w sprawie ze skargi ks. Marcina Florka w Olszynie na orzeczenie Urzędu Wojewódzkiego Krakowskiego z dnia 30 listopada 1931 r. L. P. III. 72/31 dotyczące ubezpieczenia na wypadek choroby organisty Wincentego Namysłowskiego, — po przeprowadzonej dnia 18 lutego 1935 r. rozprawie, a to po wysłuchaniu sprawozdania sędziego sprawozdawcy jakoteż wywodów zastępcy skarżącego adwokata Dr. Sarapaty i zastępcy osoby przypozwanej adwokata Temorowicza, — uchyla zaskarżone orzeczenie jako niezgodne z ustawą i zarządza zwrot wniesionej opłaty.

**Powody.**

Listą płatniczą z 26. lipca 1926 r. L. 4379/29 Zarząd Powiatowej Kasy Chorych w Bochni, zobowiązał księdza Marcina Florka, proboszcza parafji w Olszynie, do zapłacenia składek ubezpieczeniowych w łącznej kwocie 123 zł. 5 gr. za organistę Wincentego Namysłowskiego za czas od 1 stycznia 1926 r. do 20 lipca 1929 r.

Wniesionego przeciw powyższej liście płatniczej przez ks. Marcina Florka i organistę Wincentego Namysłowskiego sprzeciwu, Starosta Powiatowy w Brzesku decyzją z 26 lutego 1930 r. L. 54 (kch.) 29 nie uwzględnił, a Urząd Wojewódzki w Krakowie orzeczeniem z 30 listopada 1931 r. L. P. III. — 72/31, wydanem w załatwieniu dalszego odwołania ks. Marcina Florka, zatwierdził decyzję Starosty. W uzasadnieniu Urząd Wojewódzki powołał się na reskrypty Ministra Pracy i Opieki Społecznej bez dokładniejszego wymienienia tychże i zaznaczył, że w myśl art. 1. rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej z dnia 16 marca 1928 r. o umowie o pracę robotników

AGENCJA  
WIADOMOŚCI  
PRASOWYCH  
W WYCINKACH



INFORMACJA  
PRASOWA  
POLSKA  
**WARSZAWA**  
UL. BRACKA 5. Tel. 9-41-53

WYCINEK Z WYDAWNICTWA  
**GŁOS NARODU** (Kraków)

Nr. .... d. 18. LUT. 1935

**Wadowice i Zegadłowicz**

Artysta-malarz, p. Zb. Pronaszko, choć nie żyd, jednak w „Nowym Dzienniku, zaatakował miasto Wadowice za to, że p. Zegadłowiczowi odebrało obywatelstwo honorowe za „Zmory“. Wypomina temu znacnemu miastu, że „mlaskało“ z zadowolenia, gdy przed paroma laty „wielu ludzi zasłużonych w sztuce i literaturze“ spieszyło do Wadowic, by uczcić talent Zegadłowicza. Jest to oczywiście przesada. Tych „wybitnych“ nie było „wielu“... P. Pronaszko wkońcu radzi Wadowicom, żeby akt obywatelstwa honorowego dla Zegadłowicza i tabliczkę z nazwą jego ulicy schowały dobrze, bo — powiada — „Obawiam się, że trzeba będzie kiedyś w pokornych lansadach spowrotem wręczyć i przybijać, a to będzie przykre, nawet dla nowej rady miejskiej...“

Próżna obawa! Być może, że w tej całej historii nastąpi zmiana. Ale wówczas nie rada miejska Wadowic będzie się wstydzła swojej uchwały, tylko — p. Zegadłowicz swojej książki. A p. Pronaszko swojego artystyku...

(poz. 324 Dz. Ust.) oraz w myśl art. 3. ustawy z 19 maja 1920 r. o obowiązkowym ubezpieczeniu na wypadek choroby (poz. 272 Dz. Ust.) pracodawcą służby kościelnej jest proboszcz, ponieważ do niego należy przyjęcie do służby i kierowanie pracą danego sługi kościelnego, wobec czego w myśl art. 15. i 52. powołanej ustawy na proboszczu ciąży obowiązek zgłaszania służby kościelnej w szczególności organisty do Kasy Chorych i odpowiedzialność wobec tejże Kasy za uiszczenie należnych składek ubezpieczeniowych.

Orzeczenie to zaskarżył ksiądz Marcin Florek do Najwyższego Trybunału Administracyjnego, zarzucając sprzeczność zaskarżonego orzeczenia z istotnym stanem rzeczy i niezgodność z ustawą. — W uzasadnieniu podniesionych zarzutów skarżący wywodzi, że wymieniony wyżej organista nie jest zatrudniony u skarżącego, lecz wyłącznie w parafji, że nie pozostaje on również w służbie osobistej skarżącego, na którego korzyść do żadnej pracy nie jest zobowiązany, i że pracodawcą rzeczzonego organisty jest tylko parafja, która wobec tego jest zobowiązana do opłacania wszelkich świadczeń socjalnych.

W odpowiedzi na skargę władza pozwana podniosła, że pracodawcą służby kościelnej jest proboszcz osobiście, ponieważ do niego należy zarządzanie majątkiem probostwa, obejmujące także utrzymanie potrzebnej służby i że takie stanowisko zajęło również i Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej w zawierających obowiązujące wyjaśnienia reskryptach z 22 września 1926 r. Nr. 3811 (U. III. i z 27 stycznia 1928 r. Nr. 290/U. III., oraz Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego w reskrypcie z 14. XII. 1925 r. Nr. 10228/VI C.

Rozpatrując powyższe wywody skargi i odpowiedzi władzy pozwanej Najwyższy Trybunał Administracyjny rozważył co następuje:

Jak to już orzekł Najwyższy Trybunał Administracyjny w wyroku z 25 kwietnia 1933 r. L. Rej. 3901/31 w sprawie ks. Józefa Słazyka przeciw Urzędowi Wojewódzkiemu w Krakowie w przedmiocie ubezpieczenia organisty i kościelnego (zb. wyr. Nr. 643 A. z 1933) za pracodawców w rozumieniu powołanej wyżej ustawy o obowiązkowym ubezpieczeniu na wypadek choroby należy uważać osoby, które na swój rachunek i na swoje ryzyko zatrudniają pracowników przyczem jest obojętnem, czy dana osoba sama przyjmuje pracowników i kie-

88/6

ruje ich pracą, czy też działa za pośrednictwem swoich zastępców względnie pełnomocników. Wobec tego skarżący mógłby być osobiście uważany za pracodawcę organisty Wincentego Namysłowskiego tylko w takim razie, gdyby Wincenty Namysłowski był zatrudniony na jego rachunek i ryzyko. Ta okoliczność zaś w danym wypadku nie zachodzi. Jak to przyznaje bowiem w odpowiedzi na skargę władza pozwana skarżący jako proboszcz w myśl zasad prawa kanonicznego jest tylko zarządcą, czyli administratorem kościoła, a więc już z tego jego charakteru zarządcy wypływa, że zawierając umowę służbową ze służbą kościelną i w szczególności z organistą działa on w imieniu nie własnym, lecz w imieniu kościoła. Z czynności zaś przytem organisty (grania i śpiewania podczas Mszy św. i innych obrzędów religijnych) wynika, że organista jest ustanowiony przy kościele wyłącznie dla spraw kultu religijnego, nie zaś dla posług osobistych lub jakiegokolwiek innej pracy na rzecz proboszcza.

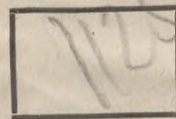
Powołana przez władzę pozwana w odpowiedzi na skargę celem udowodnienia osobistej zależności Wincentego Namysłowskiego od skarżącego jako pracodawcy okoliczność, że Namysłowski otrzymywał bezpośrednio od skarżącego wynagrodzenie w naturze, w postaci mieszkania i 1 1/2 m. gruntu, sama przez się nie daje jeszcze podstawy do przyjęcia, żeby skarżący osobiście w danym wypadku był pracodawcą Namysłowskiego, albowiem wypłata uposażenia służbowego służbie kościoła, należała do obowiązków skarżącego jako administratora; z faktu zaś i sposobu wypłaty pomienionego uposażenia wcale nie wynika, żeby obciążało ono osobisty majątek lub dochody skarżącego.

Gdy więc wobec powyższych okoliczności zobowiązano skarżącego osobiście do płacenia składek ubezpieczeniowych za organistę, należało zaskarżone orzeczenie uchylić, jako niezgodne z ustawą.

(—) Dr. Rappe, (—) Waśkowski, (—) Żeleński, (—) Moraczewski.  
(L. S.) (—) Ruzamski.

Warszawa, dnia 18 lutego 1935 r.

AGENCJA  
WIADOMOŚCI  
PRASOWYCH  
W WYCINKACH



INFORMACJA  
PRASOWA  
POLSKA

WARSZAWA  
UL. BRACKA 5. Tel. 9-41-53

WYCINEK Z WYDAWNICTWA  
GŁOS NARODU (Kraków)

Nr. .... d. 18 LUT. 1935

**Wadowice i Zegadłowicz**

Artysta-malarz, p. Zb. Pronaszko, choć nie żyd, jednak w „Nowym Dzienniku”, zatakował miasto Wadowice za to, że p. Zegadłowiczowi odebrało obywatelstwo honorowe za „Zmory”. Wypomina temu zacnemu miastu, że „mlaskało” z zadowolenia, gdy przed paroma laty „wielu ludzi zasłużonych w sztuce i literaturze” spieszyło do Wadowic, by uczcić talent Zegadłowicza. Jest to oczywiście przesada. Tych „wybitnych” nie było „wielu”... P. Pronaszko w końcu radzi Wadowicom, żeby akt obywatelstwa honorowego dla Zegadłowicza i tabliczkę z nazwą jego ulicy schowały dobrze, bo — powiada — „Obawiam się, że trzeba będzie kiedyś w pokornych lansadach spowrotem wręczyć i przybijać, a to będzie przykre, nawet dla nowej rady miejskiej...”

Próżna obawa! Być może, że w tej całej historii nastąpi zmiana. Ale wówczas nie rada miejska Wadowic będzie się wstydzila swojej uchwały, tylko — p. Zegadłowicz swojej książki. A p. Pronaszko swojego artystu...

### Podwody dla nauczycieli religji.

P. Wojewoda Krakowski rozesał Okólnik Nr. 81 SF. II. 3 b. 22/33 z daty 26 października 1935 r. do wszystkich Panów Przewodniczących Tymczasowych Wydziałów Powiatowych treści następującej:

Zdarzają się wypadki, że Zwierzchności poszczególnych gmin odmawiają dostarczenia bezpłatnych podwód dla księży, udzielających nauki religji.

Dla uniknięcia nieporozumień i ewentualnych niejasności przypomina poniżej obowiązujące w tej mierze przepisy:

Ustawa z dnia 20 czerwca 1872 r. (Dz. U. P. Nr. 86 Dz. rozp. Min. Wyz. Rel. i Ośw. Publ. Nr. 45. — częściowo zmieniona ustawa z dnia 17 czerwca 1888 r. Dz. U. R. P. Nr. 99) „O udzielaniu nauki religji w publicznych szkołach ludowych i średnich, jakoteż w seminarjach nauczycielskich i o pokrywaniu kosztów tej nauki postanawia w ustępie 3-cim § 3“. Jeżeli nauka religji udzielana jest poza obrębem miejsca zamieszkania nauczyciela religji, natenczas należy w tym celu w miarę potrzeby stosownie do odległości i innych lokalnych stosunków, dostarczać odpowiednich środków przewozowych lub wyznaczyć słuszne wynagrodzenie kosztów podróży“.

Pozatem ustawa z dnia 1 grudnia 1889 (Dz. U. Kr. Nr. 71) w art. 8 postanawia: „Wynagrodzenie kosztów podróży, które ma być przyznane z powodu udzielenia nauki religji, poza miejscem zamieszkania nauczyciela religji, ma być pokrywane przez strony, wymienione w art. 24 ustawy z dnia 2 lutego 1885 r. (Dz. U. Kr. Nr. 29) w stosunku tamże wskazanym, jeżeli strony te nie dostarczają stosownych podwód“.

O potrzebie tych świadczeń i o wysokości tych wynagrodzeń orzeka Rada Szkolna Okręgowa. „Kto jest stroną“ w znaczeniu w/w ustawy wyjaśnia art. 24 ustawy z dnia 2 lutego 1885 opiewający, że stroną tą jest „gmina“ i że ona ponosi te i inne wydatki, o ile nie są one pokrywane na podstawie prawomocnych zobowiązań trzecich osób, korporacji lub funduszków, albo zapisów.

W świetle powyższych przepisów wzbranianie się Zwierzchności gminnych dostarczania podwód nauczycielom religji, udzielającym nauki poza miejscem swego zamieszkania jest niedopuszczalne.

Powyższe wyjaśnienie podaje Panom Przewodniczącym do wiadomości i dalszego użytku służbowego.

Podając powyższe rozporządzenie do wiadomości P. T. Duchowieństwa parafjalnego zaznaczamy równocześnie, że w razie powstania trudności w tym względzie należy się zwrócić o interwencję do Gminy Zbiorowej, ewentualnie do Starostwa Powiatowego z powołaniem się na powyższe pismo Urzędu Wojewódzkiego.

#### Nowe książki i pisma:

X. Henryk Weryński: „Wzór Apostolstwa“ wydane drukiem w Kielcach, drukarnia św. Józefa, str. 32.

X. Gueranger: „Wielki Tydzień“, szósty tom Roku Liturgicznego w przekładzie polskim. Do nabycia u X. Dra Stefana Świetlickiego, Wierzbnik, p. loco.

„Cześć Świętych Polskich“ kwartalnik, wydawany w Warszawie, ul. Wilcza 25.

X. Franciszek Ksawery Lutz: „Kazania Pięciominutowe“, pomoc homiletyczna na niedziele i święta całego roku. Przekład z niemieckiego Ks. Wiktora Bilskiego. Nakładem tłómacza, czcionkami Zakł. Graf. A. D. K. Ziemi Sieradzkiej w Sieradzu.

X. Feliks Bodzianowski: „Zagadnienia najaktualniejsze“, przemówienia do młodzieńców i mężów z Stowarzyszeń Akcji Katolickiej, Sodalicyj i Bractw kościelnych.

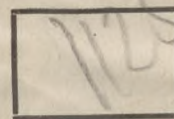
W Xiążęco-Metropolitalnej Kurji są do nabycia:  
„Ordo Divini Officii“ na rok 1936 po cenie 4 zł.  
„Elenchus Venerabilis Cleri“ na rok 1936 po cenie 8 zł.  
Prenumerata roczna „Notificationes“ wynosi 8 zł.

### Chronica Archidioecesisana.

#### Nominati:

- A. R. D. Joannes Góralik, decanus decanatus Oravaensis,
- A. R. D. Adam Górkiewicz, decanus decanatus Makoviensis,
- A. R. D. Leo Katana, decanus decanatus Mogilaensis.

AGENCJA  
WIADOMOŚCI  
PRASOWYCH  
W WYCINKACH



INFORMACJA  
PRASOWA  
POLSKA

WARSZAWA  
UL. BRACKA 5. Tel. 9-41-53

WYCINEK Z WYDAWNICTWA

GŁOS NARODU (Kraków)

Nr. .... d. ....

18 LUT. 1936

#### Wadowice i Zegadłowicz

Artysta-malarz, p. Zb. Pronaszko, choć nie żyd, jednak w „Nowym Dzienniku“, zaatakował miasto Wadowice za to, że p. Zegadłowiczowi odebrało obywatelstwo honorowe za „Zmory“. Wypomina temu zacnemu miastu, że „mlaskato“ z zadowolenia, gdy przed paroma laty „wielu ludzi zasłużonych w sztuce i literaturze“ spieszyło do Wadowic, by uczcić talent Zegadłowicza. Jest to oczywiście przesada. Tych „wybitnych“ nie było „wielu“... P. Pronaszko w końcu radzi Wadowicom, żeby akt obywatelstwa honorowego dla Zegadłowicza i tabliczkę z nazwą jego ulicy schowały dobrze, bo — powiada —

„Obawiam się, że trzeba będzie kiedyś w pokornych lansadach spowrotem wręczyć i przybijać, a to będzie przykre, nawet dla nowej rady miejskiej...“

Próżna obawa! Być może, że w tej całej historii nastąpi zmiana. Ale wówczas nie rada miejska Wadowic będzie się wstydzila swojej uchwały, tylko — p. Zegadłowicz swojej książki. A p. Pronaszko swojego artykułu...



**Condecorati privilegio utendi Rochetto et Mantoletto:**

- A. R. D. Thomas Czaplicki, Parochus in Trzebinia.
- A. R. D. Joannes Para, Catecheta in Krystynów.

**Instituti:**

- R. D. Stanislaus Mizia, ad benef. cur. in Niepołomice, die 14. Octobris a. c.
- R. D. Dr. Stanislaus Buchala, ad benef. cur. in Skawina, die 23. Octobris a. c.
- R. D. Stanislaus Chramiec, ad benef. cur. in Krzyszkowice, die 30. Novembris a. c.

**Administrator nominatus:**

- R. D. Franciscus Trocki, Sac. Dioec. Kamenec. in Skotniki a die 9. Novembris a. c.

**Cooperatores translocati:**

- R. D. Leo Bzowski, a Choczniã ad Białã a die 15. Novembris a. c.
- R. D. Joannes Marszałek a Spytkowice ad Skawina a die 15. Novembris a. c.

**Cooperator applicatus:**

- R. D. Stanislaus Tomczyk, in Osielec a die 5. Dec. a. c.
- Examen concursuale superaverunt diebus 19., 20. et 21. X. a. c.:**
- R. D. Eduardus Szczerzyński,
  - R. D. Thomas Wróbel.

**Commeatum obtinuerunt:**

- R. D. Eduardus Fic (valetudinis causa).
- R. D. Andreas Silan (valetudinis causa).

**IN DOMINO OBDORMIERUNT:**

- D. Josephus Tomasik, emer. Catecheta in Szymbark, die 28. Octobris a. c.
- D. Casimirus Kaszelewski, emer. Parochus in Zakopane, die 18. Novembris a. c.
- S. Theodora Chruślińska, antea M. Provincialis SS. Felicianarum, die 12. Novembris a. c.

Quorum animae piis ad Aram precibus commendantur.

R. in. p.

88/2

**E CURIA PRINCIPIS METROPOLITAE:**

Cracoviae, die 25. XI. 1935.

Stephanus Mazanek  
Cancellarius.

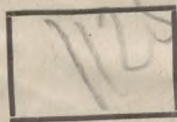
† ADAM STEPHANUS  
Princeps-Metropolita.

Nr. czeku P. K. O. Kraków 404.500. Nr. tel. Księcia-Metropolity 13006.  
Nr. telefonu kancelarji: 113-16.

Sumptibus Curiae Metropolitanae Cracoviensis.  
Cracoviae. Typis Drukarnia Polska.

AGENCJA  
WIADOMOŚCI  
PRASOWYCH  
W WYCINKACH

INFORMACJA  
PRASOWA  
POLSKA



WARSZAWA  
Ul. BRACKA 5. Tel. 9-41-53

WYCINEK Z WYDAWNICTWA  
GŁOS NARODU (Kraków)

Nr. .... d. 18 LUT. 1935

**Wadowice i Zegadłowicz**

Artysta-malarz, p. Zb. Pronaszko, choć nie żyd, jednak w „Nowym Dzienniku”, zaatakował miasto Wadowice za to, że p. Zegadłowiczowi odebrało obywatelstwo honorowe za „Zmory”. Wypomina temu zacnemu miastu, że „mlaskało” z zadowolenia, gdy przed paroma laty „wielu ludzi zasłużonych w sztuce i literaturze” spieszyło do Wadowic, by uczcić talent Zegadłowicza. Jest to oczywiście przesada. Tych „wybitnych” nie było „wielu”. P. Pronaszko w końcu radzi Wadowicom, żeby akt obywatelstwa honorowego dla Zegadłowicza i tabliczkę z nazwą jego ulicy schowały dobrze, bo — powiada — „Obawiam się, że trzeba będzie kiedyś w pokornych lansadach spowrotem wręczyć i przybijać, a to będzie przykre, nawet dla nowej rady miejskiej...”

Próżna obawa! Być może, że w tej całej historii nastąpi zmiana. Ale wówczas nie rada miejska Wadowic będzie cię wstydzła swojej uchwały, tylko — p. Zegadłowicz swojej książki. A p. Pronaszko swojego artystu...

INFORMACJA  
PRASOWA  
POLSKA

SP. Z O. O.  
Zař. w 1920 r.

WARSZAWA  
BRACKA 5  
TELEFON 941-53

BIURO WYCINKÓW

Wycinek z wydawnictwa

NARODNI LISTY - PRASA

4 3 1936

3. WYDANIE

1125

### Polka českou spisovatelkou.

80) Ve vzájemnosti jednotlivých národů hrájí velkou úlohu ženy, i když jejich působení jest zapomináno nebo když je dokonce skryto před širší veřejností. A přece jejich vliv na vzájemné pochopení odlišných národních individualit, na opravdové sblížení jest neobyčejný a kladný. Vzpomeňme, jak české ženy, matky, dovedly ovlivnit duše polských spisovatelů, jmenujeme-li jen básníka Zegadłowicza a mladého vědce a spisovatele J. Birkenmajera... A na druhé straně polská krev v rodě Mánesů u nás, polská krev v rodě potomků Zapových je svědectvím blízkosti obou národů. Před osmdesáti lety zemřela v Praze ušlechtilá polská žena, Honorata z Wiśniowských, žena českého spisovatele K. V. Zapa, rovněž česká spisovatelka. A bylo velmi vhodné, že její památky vzpomněla Československo-polská společnost na své valné hromadě přednáškou dr. I. Šaunové. Dr. Šaunová ve své řeči velmi působivě načrtla v prvé řadě životní román této krásky a podivuhodné ženy, její milostný vztah, který ji vedl do země, která jí byla stejně drahá jako vlastní otcina, na kterou ovšem nikdy nezapomněla, která na naši půdě pochopila plně duši našeho národa, sála se s prostředím tak, že se stala jednou z těch, které radíme k našim buditelům. Šaunová více než vlastní její tvorbu vyzvedla činnost paní Honoraty na poli pedagogickém, její ušlechtilé snahy o ženskou emancipaci, ve kterých byla předchůdkyní našich spisovatelek a bojovnic, zejména Podlipské a později i Krásnohorské. V dnešní době je zapotřebí stále opakovati, že tam, kde jest vzájemné pochopení a snaha spolupracovati, otázka sblížení a přátelství není již otázkou teorie, nýbrž praktickou skutečností. A to přednáška dr. Šaunové po právu vyzvedla. Bka.

INFORMACJA  
PRASOWA  
POLSKA

SP. Z OGR. ODP. ZAŁ. W 1920 R.

WARSZAWA  
BRACKA 5  
TELEF. 941-53

BIURO WYCINKÓW

Wycinek z wydawnictwa

TECZA (Poznań)

№ 3 d. 11 1936 r.

### NA MAKULATURĘ

Księgarnia św. Wojciecha zawiadomiła polski świat kulturalny osobnym komunikatem, że wobec wydania przez Emila Zegadłowicza „Zmór”, powieści, w której atakuje i zohydza katolicyzm, zmuszona jest poprzednie jego powieści wydane przez siebie wycofać z rynku księgarskiego i przeznaczyć na makulaturę.

Po raz pierwszy zdarza się w Polsce tego rodzaju wypadek. Jest rzeczą możliwą i zrozumiałą, że pisarz zmienia poglądy, jest przecież człowiekiem żywym i mającym prawo do swobodnego wyboru drogi. Lecz żeby zmieniając poglądy, równocześnie mieszać z błotem ideologję, którą się dotychczas żyło, i dawać do zrozumienia, że cała dotychczasowa działalność była jarzmem, które się z radością zrzuca — taki wypadek zdarza się w polskiej literaturze powojennej po raz pierwszy.

Księgarnia, która książki takiego pisarza wydawała, znalazłszy się w tak trudnej sytuacji miała tylko jedną drogę wyjścia. I tę wybrała.

Ajencia  
Prasowa

Informacja  
Prasowa  
Polska

Warszawa  
Bracka 5, tel. 941-53

Wycinek z wydawnictwa

PRZEGL.

№ d. 18/11 1936 r.

### „Zmory” Zegadłowicza i przedwojenna szkoła w Małopolsce\*).

„Zmory” tak, nie bez głębszej słuszności, zatytułowana jest ta obłądna powieść człowieka chorego. Niestłuchane lubowanie się nasz byt narodowy i państwowy, szydzenie z miłości Ojczyzny, ze stron rodzinnych, z przeszłości rycerskiej dawnej Polski, z religii, z szacunku dla wszelkiego autorytetu tak rodzinnego, szkolnego, jak i społecznego — oto co stanowi oblicze ideowe książki. We wszystkich tych kierunkach dochodzi autor do takiej skrajności, że już samo nagromadzenie ciemnych stron, sprawia wrażenie niemożliwej przesady i przez to zmniejsza niebezpieczeństwo potwornej satyry. Styl jej działa odrażająco. Zegadłowicz nie tylko nie cofa się przed słowami ordynarnymi, plugawymi, ale znajduje w używaniu ich wyjątkową rozkosz, gromadzi je z zamiłowaniem smakosza i rozsypuje te cuchnące słówka po wszystkich rozdziałach swego pamiętnika. Bolesne, że pisze to właśnie Zegadłowicz, autor cudnego „Żywota Mikołaja Srebrmpisanego”, książki, przepojonej świeżością, czystością, jakąś idealną atmosferą ludzi dobrych, prostych i zacnych. Krytyka, wyjątkowo zgodna w potępieniu książki, świadczy nie tylko o instynkcie zdrowym naszego społeczeństwa, ale i o żywym poczuciu samozachowawczem. Społeczeństwo, któreby takie książki tolerowało, byłoby niezdolne do życia. Okryte hańbą i odepchnięte przez inne narody moralne, zostałyby wkrótce usunięte z towarzystwa żyjących...

„Zmory” mają być kroniką życia ucznia gimnazjalnego w ciągu jego ośmioletniego pobytu w gimnazjum w Wadowicach, nazwanych w powieści Wołkowicami. Z natury rzeczy więc jest tu najwięcej mowy o życiu szkolnym, o profesorach i uczniach. Poznajemy długą galerię

\*) Dzienniki z dnia 8 lutego podają wiadomość, że w związku z wydaniem przez Emila Zegadłowicza powieści „Zmory”, w której przedstawione są przedwojenne stosunki wadowickie, wpłynął do rady miejskiej m. Wadowic wniosek o odebranie Zegadłowiczowi obywatelstwa honorowego miasta, nadanego w roku 1932 z okazji 25-lecia twórczości poety beskidzkiego, oraz o przywrócenie ulicy im. Emila Zegadłowicza zpowrotem nazwy ulicy Tatrzńskiej. Wniosek ten został uchwalony przez radę miejską 14 głosami na 21 radnych, uprawnionych do głosowania.

Jest to fakt niebywały: utracenie obywatelstwa honorowego, uzyskanego niedawno, bo dopiero przed trzema laty, przez uchwałę rady miejskiej swego rodzinnego miasta! Motywem tej wyjątkowej uchwały było przedstawienie stosunków przedwojennych, naturalnie nieprawdziwe i znieważające. Ponieważ lwia część rozdziałów tej ohydnej książki stanowią opisy stosunków szkolnych i nauczycielskich, zamierzaliśmy bezpośrednio po jej ukazaniu zabrać głos, by wyrazić nasz żal i nasze oburzenie, i wówczas to postaraliśmy się o ten artykuł. Wobec listu X. Arcybiskupa Sapiehy, następnie wobec konfiskaty książki, zarządzanej przez władze państwowe, uważaliśmy za słuszniejsze pominąć milczeniem książkę, powszechnie potępioną. Uchwała wadowickiej rady miejskiej, która odbija się niewątpliwie głośnie echem w polskiej opinii, czyni sprawę ponownie aktualną i zniewala nas do wyrażenia naszego sądu o tych sui generis pamiętnikach z życia szkolnego.

Redakcja

Wydaje mi się jednak, że sprawa godna jest głębszego rozważenia, bez względu na to, jak kto się do danych decyzji ustosunkuje. Powstaje przecież kapitalne zagadnienie! Przez kilkanaście lat pisarz publikuje utwory, które są niedwuznacznym wyrazem pewnej ideologii. Opowiada się jako katolik, jako człowiek, który granice kultury widzi w chrześcijańskim poglądzie na świat. Z niego czerpie swoje motywy, natchnienie, z niego oparcie materialne. I oto w pewnej chwili następuje raptowna zmiana. Wychodzi książka tego pisarza, która stwierdza nie tylko, że autor poglądy radykalnie zmienił (co można zrozu-

wem, a on sam posiada poczucie odpowiedzialności wobec swoich odbiorców — pozostaje mu jedyna droga: wycofanie książek, które obecnie w świetle nowej powieści, głosów krytyki i oświadczeń samego autora ukazują się w zupełnie odmiennym charakterze. W charakterze niemal wallenrodycznym. Tylko, że sprawa motywów tego literackiego wallenrodycyzmu nie byłaby łatwa do uzasadnienia.

Wycofanie dawniejszych książek Zegadłowicza i przeznaczenie ich na makulaturę odbija się szerokim echem w polskim świecie kulturalnym. Dobrze byłoby, aby pogłos tej sprawy nie zatrzymywał się na momencie sensacji, lecz aby sięgnął do samego zagadnienia. Wysuwa się ono u nas poraz pierwszy i warte jest głębszego zastanowienia.

wychowawców z dyrektorem, szablonowym niedołęgą i austriackim patryją, i woźnym szkolnym, Oremusem, dawnym wachmistrzem honwedów, posiadających wielką sztukę wlewania wody do gardła bez połykania. Ten to Oremus był „niezawodnie najinteligentniejszy mąż pośród wszystkich urzędników cesarsko-królewskiego gimnazjum z dyrekcją włącznie”. Zegadłowicz wymienia wszystkich profesorów po nazwiskach autentycznych. Tak przynajmniej można wnioskować z kilkunastu nazwisk znanych bardziej wśród nauczycielstwa. Nie jestem już pewny, czy pozostawił nazwiska autentyczne przy całym szeregu nauczycieli, ciemnych i głupich postaci. Zdaje mi się, że autor zadowolili się zmianą jednej czy kilku liter w autentycznym nazwisku. Podam teraz kilka przykładów. Przy egzaminie wstępnym pyta Mikołaja profesor:

- „a co to są Wołkowice — ?
- miasto —
- jakie — ?
- polskie —
- nie, dziecino, nie, galicyjskie to, widzisz, miasto, — powtórz! —
- galicyjskie —
- no tak, — a Galicja to jakiego państwa część, co? —
- Austrii —
- a czemże jest twój tatuś — ?
- profesorem —
- nie —
- nie — ?
- ce . ka . profesorem, dziecino, powtórz” i t. d.

W klasie pierwszej B gospodarzem klasy jest prof. Ptaszycki, jakieś okrutne i ordynarne stworzenie. Rozpoczął rok szkolny od takiego przemówienia:

— „jestem waszym gospodarzem klasy, mnie i was spotkało to nieszczęście, ale ja sobie dam rady, nie takim dawałem rady, za brojenia karcer i rżniętka — a wogóle powyrzucam wszystkich — hołoto!”

Zwyczajnie profesora Ptaszyckiego były zdecydowane. „Wyrwał ucznia niespodziewanie do odpowiedzi, z uśmiechem przywilnym i pełnym wdzięku zadawał pytanie. Równocześnie zagłębiał powoli lewą rękę w kieszeń marynarki i wydobywał z niej gruby pęk błyszczących kluczy, podrzucał nimi z lewej dłoni na prawą, potem bacznie wymierzał odległość między sobą a uczniem — bacznie i powoli — i czekał, cierpliwie czekał — i — prawie zawsze się doczekał: — przy pierwszej pomyłce ucznia kiwał przytakująco głową, prawie z zadowoleniem, przy drugiej podnosił w górę brwi — dziwił się, bardzo się dziwił — przy trzeciej zwinnym ruchem wyrzucał pęk kluczy prosto w twarz ucznia — i — rzadko chybiał. Gdy pokrzwawiony uczeń zaczął płakać — tłumaczył mu zamyślony profesor: — ślamazaro, mazgaju, niezgrabko — czemuż się nie usuniesz prędko — i t. d., tak tedy po godzinach łaciny kilka a nawet kilkanaście głów i buź dziecięcych było srodze zapuchniętych i zapaćkanych krwią, łzami, smarkami i śliną.

## NA MAKULATURĘ

Księgarnia św. Wojciecha zawiadomiła polski świat kulturalny osobnym komunikatem, że wobec wydania przez Emila Zegadłowicza „Zmór”, powieści, w której atakuje i zohydza katolicyzm, zmuszona jest poprzednie jego powieści wydane przez siebie wycofać z rynku księgarskiego i przeznaczyć na makulaturę.

Po raz pierwszy zdarza się w Polsce tego rodzaju wypadek. Jest rzeczą możliwą i zrozumiałą, że pisarz zmienia poglądy, jest przecież człowiekiem żywym i mającym prawo do swobodnego wyboru drogi. Lecz żeby zmieniając poglądy, równocześnie mieszać z błotem ideologię, którą się dotychczas żyło, i dawać do zrozumienia, że cała dotychczasowa działalność była jarmem, które się z radością zrzuca — taki wypadek zdarza się w polskiej literaturze powojennej po raz pierwszy.

Księgarnia, która książki takiego pisarza wydawała, znalazłszy się w tak trudnej sytuacji miała tylko jedną drogę wyjścia. I tę wybrała.

Na pauzie odbywało się gremjalne mycie gąb pod studnią. Chłodzili chłopcy spuchliznę, rozpalone zmywali twarze, pobok studni bajorzyła się czerwona kałuża”.

I żeby już nic nie brakowało w tym obrazie, opisuje autor, jak temu myciu przyglądały się inne klasy, wyższe nawet tworzyły zwarty krąg, zadowolony przyglądający taniec, wrzeszcząc *tomhawk scalp*, — a „wielu z profesorów własnym uśmiechem pobudzali młodzież do śmiechu”.

Głupie, nikczemne i bezczelne.

Prof. Robiński wsącał w uczniów systematycznie to przeświadczenie, że „byłeś i zostaniesz durniem, zbrodniczym typem”...

Prof. Guzdek bije uczniów albo sam, albo każe się wyręczać, polecając: — dej mu w kark, — a jeżeli wezwany uderzył za słabo, profesor wołał: — ja cię, szkucie, nauczę! — fest mu dej w kark.

Ten pan Guzdek często przychodził do szkoły o szóstej rano, siedział na schodach przed furką i drzemał smacznie. Noc przepędził na pijatyce i nie warto mu było do domu wracać na dwie godziny. Spotyka go tercjan i zaczyna się rozmowa:

— znowuś się urząnął stary byku? —

Trudno dalej cytować słowa tego porannego dialogu. Tercjan taszczy profesora do swej izdebki i zostawia go ze słowami:

— śpij, wieprzku — byś otrzeźwiał —

O wpół do ósmej budził chrapiącego, a pięć minut przed ósmą stawał u drzwi w służbowej postawie i raportował donośnie:

— panie profesorze, za pięć minut rozpoczynamy lekcje. —

Prof. Jan Nepomucen Lizła używał swoistej tytułatury dodając do nazwisk ucznia pytanego słowo: bydlę,

— „teraz będziemy czytać — zacznie bydlę Kosek —

— bydlę Salawa czyta dalej —

— dość, bydlę Salawa siada — bydlę Janas powie mi...”

Wśród takiego otoczenia wzrastał Mikołaj, czując się zupełnie obcym i samotnym.

Z kolegów z jednym tylko Silberschützem mógł o wszystkim rozmawiać. Jakże to były rozmowy:

„(Adolf Silberschütz) podsunął pod nachyloną ku sobie głowę Mikołaja słowa pełne łagodności i tęsknoty: —

— kiedyś to całe zakichane miasto zburzę —

I doszeptał miłośnie:

— gimnazjum — kasarnię — kościół —

Zgodził się Mikołaj:

— ja ci nie będę przeszkadzał, istotnie jest głupie i złe —

Po chwili, kontynuując swą myśl nieco przesuniętą na inny tor, zapytał Adolf:

— masz ty, Mik, jaką dziewczynę? — i t. d.

Nic dziwnego też, że kiedy Mikołaj karmiony takimi rozmowami z Silberschützem, zwiedzał pierwszy raz Wawel, to:

„Ani jednego, czulszego drgnięcia: przeszłość — minione wieki — bezpowrotnie!”

— „dobre to dla Sienkiewicza” i t. d.

wicza. Prawdopodobnie i ta wiadomość z Wadowic i ów komunikat księgarski powitany zostanie w ten sposób. Powierzchniwnie.

Wydaje mi się jednak, że sprawa godna jest głębszego rozważenia, bez względu na to, jak kto się do danych decyzji ustosunkuje. Powstaje przecież kapitalne zagadnienie! Przez kilkanaście lat pisarz publikuje utwory, które są niedwuznacznym wyrazem pewnej ideologii. Opowiada się jako katolik, jako człowiek, który granice kultury widzi w chrześcijańskim poglądzie na świat. Z niego czerpie swoje motywy, natchnienie, z niego oparcie materialne. I oto w pewnej chwili następuje raptowna zmiana. Wychodzi książka tego pisarza, która stwierdza nietylko, że autor poglądy radykalnie zmienił (co można zrozu-

wem, a on sam posiada poczucie odpowiedzialności wobec swoich odbiorców — pozostaje mu jedna tylko droga: wycofanie książek, które obecnie w świetle nowej powieści, głosów krytyki i oświadczeń samego autora ukazują się w zupełnie odmiennym charakterze. W charakterze niemal wallenrodycznym. Tylko, że sprawa motywów tego literackiego wallenrodycyzmu nie byłaby łatwa do uzasadnienia.

Wycofanie dawniejszych książek Zegadłowicza i przeznaczenie ich na makulaturę odbija się szerokim echem w polskim świecie kulturalnym. Dobrze byłoby, aby pogłos tej sprawy nie zatrzymywał się na momencie sensacji, lecz aby sięgnął do samego zagadnienia. Wysuwa się ono u nas poraz pierwszy i warte jest głębszego zastanowienia.

INFORMACJA  
PRASOWA  
POLSKA

SP. Z O. O.

Zał. w 1920 r.

WARSZAWA  
BRACKA 5  
TELEFON 941-53

BIURO WYCINKÓW

Wycinek z wydawnictwa

NARODNI LISTY - FRANK

4 3 1936


3. WYDANIE

1125

Polka českou spisovatelkou.

Ve svědomí jednotlivých národů hraji

Ajencia  
Prasowa



Informacja  
Prasowa  
Polska

Warszawa  
Bracka 5, tel. 941-53

Wycinek z wydawnictwa

PRZEGL.

Nr d. 18/11 1936 r.

89.

— 36 —

„wogóle z tą całą przeszłością i ta po tysiąc razy wałkoniona ojczyzna — taki sam straszak jak Bóg”... (str. 307).

Oto kilka przykładów, w jaki to sposób Zegadłowicz charakteryzuje swoją szkołę i jej skutki wychowawcze. Nie wiadomo, co bardziej potępić, czy ordynarność stylu (cytowane przykłady nie dają o tej ordynarności nawet przybliżonego pojęcia), czy zuchwalstwo w obelgach, niesumiennosc i straszliwą przesadę w treści. Nasuwa się poważne pytanie, czy wolno autorom, pod pozorem pamiętników, w sposób niesłychany oskarżać nauczycieli i wyrządzać im w ten sposób straszliwą krzywdę moralną, a często i materialną. Trudno byłoby znaleźć ściśle normy prawne i rozstrzygającym momentem będzie tu wrodzone normalnemu człowiekowi poczucie miary i pewnego, choćby najbardziej elementarnego, gentelmeństwa. Niestety brak tego hamulca nietylko Zegadłowiczowi (i trudno byłoby w nim kogokolwiek pod tym względem porównać), ale też często brak go i innym pisarzom, zwłaszcza autorom artykułów dziennikarskich, którzy dla popisania się lekkim piórem i dowcipem, jak też dla zdobycia łatwego poklasku, wypisują niewdzięczne i niesmaczne baśnie o nauczycielach i szkole. Odnosi się to zwłaszcza do przedwojennej szkoły polskiej dawnej Galicji. Zwie się ją zgryźliwie szkołą austriacką i zasypuje się ją najrozmaitszymi zarzutami; metody tej najbardziej reprezentatywnym przykładem są „Zmory”. Zwolna wytwarza się opinia, że to była jakaś koszmarna szkoła, stojąca na usługach obcego państwa, że praca nauczycielska w takiej szkole była „służbą zaborczą”, co znalazło wreszcie swój konkretny wyraz w ostatnim rozporządzeniu o uposażeniu emerytalnym. Dochodzi do tego, że oficjalnie się stwierdza, że Polak uczący Polaków po polsku przed wojną w Krakowie, był na służbie zaborczej i za te lata należy mu się gorsza zapłata, niż Polakowi, który w tym samym czasie uczył po polsku Polaków w Warszawie i któremu, zupełnie uczciwie i słusznie, zalicza się owe lata, jako czas przepędzony w służbie polskiej.

Obok tej krzywdy materialnej spotyka nas nauczycieli, którzy przed wojną, choć kilka lat pracowali w Małopolsce, i krzywda moralna, która jest jeszcze bardziej bolesna. Wśród ludzi ciemnych i małokrytycznych wytwarza się na ziemiach dwóch dawnych zaborów opinia ujemna dla nauczycieli Małopolan i staje się dla nich przyczyną wielu przykrości i prawdziwej goryczy. Działo tu znane prawo, że ciemne strony obrazu, niewątpliwie prawdziwe, jakieś sporadyczne wypadki ujemne, zaciemniają całość obrazu i wytwarzają niekorzystny sąd o całości. Nie pomogą tu książki innych pisarzy, którzy zgodnie z prawdą dają istotny obraz przedwojennej szkoły małopolskiej. Któż nie zna znakomitej książki Makuszyńskiego „Bezgrzeszne lata”, w której autor z nierównym talentem opisuje te same szkoły małopolskie i to prawie z tych samych czasów, co Zegadłowicz w „Zmorach”. Ileż tam widzi się przywiązania do murów szkolnych, miłości do swoich kolegów, czułości i wdzięczności dla profesorów? Ileż zadowolenia najczystszej i słusznej dumy musiał odczuwać np. dyr. Wojciech Grzegorzewicz, któremu, jako swemu dawnemu nauczycielowi języka polskiego, składa

— 37 —

w tej książce hołd dawny uczeń, a dziś świetny pisarz, zwracając się do niego, na wzór Homera, z apostrofą dowcipną i rzewną: „O Wojciechu Grzegorzewiczu, jeżeli” i t. d.

Podobnie wiele wdzięczności i przywiązania do dawnej szkoły miasta swojej matki okazuje w dłuższych utworach, jak i ciekawych niedzielnych feljtonach, umieszczanych w Gazecie Polskiej, Juliusz Kaden-Bandrowski. Doskonale też przedstawia stosunki w gimnazjach przedwojennych w środkowej Małopolsce za mało ceniony i zdolny powieściopisarz Barącz. W powieści „Maturanci” przedstawia on bez żadnego idealizowania życie biednych chłopaków wiejskich, którzy odbywają studia gimnazjalne wśród wielkich trudności finansowych. Poznajemy w niej życie burs, t. zw. stancje uczniowskie, i mnóstwo nauczycieli gorszych i lepszych, — tak jak jest w życiu. Ostatnia książka Porandowskiego „Płonące niebo”, daleka od entuzjazmu Makuszyńskiego, daje także obraz prawdziwy uczciwych wysiłków wychowawczych lwowskiej szkoły przedwojennej. A „Rubikon” Nowakowskiego, to arcydzieło subtelne, rodzaj pamiętników zdolnego ucznia, a więc osądającego na swój sposób wszystko, co się dzieje w szkole, czyż mimo swego satyrycznego zabarwienia, nie jest wyrazem wdzięczności dla gimnazjów krakowskich przedwojennych i wspomnieniem, uśmiechniętym do tych czasów, kolegów i do swoich ówczesnych kłopotów? A przecież książki te, nie idealizujące bynajmniej przeszłości, lecz przedstawiające wiernie jej dobre i złe strony, nie zrównoważą zła, jakie spowodują napastliwe artykuły, nie mówiąc już o samych „Zmorach”. Żaden z autorów wymienionych, mimo różnego nastawienia wobec dawnej szkoły małopolskiej, nie krzywdzi jej obelgami, że była zaborczą, że przy egzaminach nauczyciele kazali nazywać miasta małopolskie miastami galicyjskimi, a siebie ce. ka. profesorami.

Lecz nie powołujemy się tylko na świadectwa pisarzy, gdyż wielu z nas może o tych czasach dużo powiedzieć z własnej obserwacji. W ciągu 25-letniej służby nauczycielskiej, miałem sposobność poznać przedwojenną szkołę małopolską, której zresztą byłem i uczniem, jak i szkoły dwóch innych zaborów i to w roli, która mi dawała wyjątkowo wiele sposobności do bezpośredniej obserwacji. Spotykałem wszędzie dobre i ujemne strony i nie odważyłbym się tak lekko, z racji artykułu przygodnego, ferować wyroków potępiających, czy wypisywać sądów pochlebnych. Na jedną jednak stronę życia szkół małopolskich przedwojennych pragnę zwrócić uwagę, ze względu na krzywdę, jaka je spotkała ze strony Zegadłowicza. Byłem uczniem gimnazjum bocheńskiego. Bochnia przez swój charakter małomiejski, odległość jednakową od Krakowa, prawie zupełnie analogiczny zasięg materiału uczniowskiego, jest bardzo podobna do Wadowic. Byłem uczniem gimnazjum prawie w tych samych latach, co Zegadłowicz, i z najczystszej sumieniem mogę stwierdzić, że przez cały czas swoich studjów nie miałem nauczycieli, którzyby przypominali karykatury Zegadłowicza. Nie znaczy to, żeby ci nauczyciele wszyscy byli idealni, mieli oni rozmaite wady, lecz wszystko to było dalekie od tych obrazów makabrycznych, w które obfitują Zmory. Można by raczej zarzucać niektórym łagodność przesadną, dochodzącą do ślamazarstwa

89/6

## NA MAKULATURĘ

Księgarnia św. Wojciecha zawiadomiła polski świat kulturalny osobnym komunikatem, że wobec wydania przez Emila Zegadłowicza „Zmór”, powieści, w której atakuje i zohydza katolicyzm, zmuszona jest poprzednie jego powieści wydane przez siebie wycofać z rynku księgarskiego i przeznaczyć na makulaturę.

Po raz pierwszy zdarza się w Polsce tego rodzaju wypadek. Jest rzeczą możliwą i zrozumiałą, że pisarz zmienia poglądy, jest przecież człowiekiem żywym i mającym prawo do swobodnego wyboru drogi. Lecz żeby zmieniając poglądy, równocześnie mieszać z błotem ideologię, którą się dotychczas żyło, i dawać do zrozumienia, że cała dotychczasowa działalność była jarzmem, które się z radością zrzuca — taki wypadek zdarza się w polskiej literaturze powojennej po raz pierwszy.

Księgarnia, która książki takiego pisarza wydawała, znalazłszy się w tak trudnej sytuacji miała tylko jedną drogę wyjścia. I tę wybrała.

wicza. Prawdopodobnie i ta wiadomość z Wadowic i ów komunikat księgarski powitany zostanie w ten sposób. Powierzchnie.

Wydaje mi się jednak, że sprawa godna jest głębszego rozważenia, bez względu na to, jak kto się do danych decyzji ustosunkuje. Powstaje przecież kapitalne zagadnienie! Przez kilkanaście lat pisarz publikuje utwory, które są niedwuznacznym wyrazem pewnej ideologii. Opowiada się jako katolik, jako człowiek, który granice kultury widzi w chrześcijańskim poglądzie na świat. Z niego czerpie swoje motywy, natchnienie, z niego oparcie materialne. I oto w pewnej chwili następuje raptowna zmiana. Wychodzi książka tego pisarza, która stwierdza nietylko, że autor poglądy radykalnie zmienił (co można zrozu-

wem, a on sam posiada poczucie odpowiedzialności wobec swoich odbiorców — pozostaje mu jedna tylko droga: wycofanie książek, które obecnie w świetle nowej powieści, głosów krytyki i oświadczeń samego autora ukazują się w zupełnie odmiennym charakterze. W charakterze niemal wallenrodycznym. Tylko, że sprawa motywow tego literackiego wallenrodizmu nie byłaby łatwa do uzasadnienia.

Wycofanie dawniejszych książek Zegadłowicza i przeznaczenie ich na makulaturę odbija się szerokim echem w polskim świecie kulturalnym. Dobrze byłoby, aby pogłos tej sprawy nie zatrzymywał się na momencie sensacji, lecz aby sięgnął do samego zagadnienia. Wsuwa się ono u nas poraz pierwszy i warte jest głębszego zastanowienia.

D. 1125

INFORMACJA  
PRASOWA  
POLSKA

SP. Z O. O.  
Zał. w 1920 r.

WARSZAWA  
BRACKA 5  
TELEFON 941-53

BIURO WYCINKÓW

Wycinek z wydawnictwa

NARODNI LISTY - PRASA

4 8 1936

3. WYDANIE

Polka českou spisovatelkou.

Ve vzájemnosti jednotlivých národů hraje

— 38 —

i niedołęstwa, a nie okrucieństwa. Jeżeli zaś chodzi o t. zw. austrjackość, to ona ograniczała się do pozorów, a więc do napisów na budynku szkolnym, na świadectwach, do orła dwugłowego i do nabożeństw galowych. Trzeba przyznać, żeśmy mile widzieli te galówki, jako dnie wolne od nauki, ale nikt z nas nie brał na serjo wewnętrznego sensu tych świąt oficjalnych. Patrzyliśmy tylko z ironją na naszego dyrektora, jak zakłopotany i trochę zawstydzony szedł obok nas w mundurze austrjackim, który w tych dniach musiał wkładać na siebie. Natomiast całą duszę wkładaliśmy w uroczystości narodowe, wieczorki mickiewiczowskie, rocznice patriotyczne. Do dziś dnia żywe mam wspomnienia pięknych dni wiosennych, w których gimnazjum nasze obchodziło wraz z całym miastem stulecie powstania legionów Dąbrowskiego (1897), stulecie urodzin Mickiewicza (98) i pięćdziesięciolecie śmierci Słowackiego (99). Duchem polskim ożywione były nie tylko lekcje języka polskiego, historii, ale i wszystkich innych przedmiotów. Austrję traktowało się z pogardą i lekceważeniem, mimo ustępów o płaczu ces. Marii Teresy, gdy podpisywała pierwszy rozbiór Polski, lub o łzie monarchy, która padła na świeży podpis pod wyrokiem śmierci jakiegoś skazańca i t. p. Nastrój ten występował zwłaszcza przy odśpiewywaniu hymnu austrjackiego po nabożeństwach galowych. Sam Zegadłowicz, z widoczną niekonsekwencją, daje doskonały obrazek takiej chwili: „Po ite missa jest modlitwa za cesarsko-królewski dom. Organista intonuje „Boże wspieraj. Boże chroń”, kilka głosów podiera wysiłki ochryplego zawodzenia, ostatecznie nikt nie umie ani słów, ani melodji, organista śpiewa sam” (str. 20). Tak istotnie było.

Jako nauczyciel pracowałem w gimnazjum lwowskim. Młodzież, wychowywana wówczas przez nas, jest dziś stawiana całemu obecnemu młodemu pokoleniu polskiemu jako wielki wzór bohaterstwa i patriotyzmu. Wszak to są „Orleńskie lwowskie”. Uważałbym za coś bardzo niewłaściwego rozpisywanie się, że te gimnazja lwowskie nie wychowywały po austrjacku. Niech mi jednak wolno będzie przypomnieć jeden ciekawy moment. Było to w r. 1913. Monarchja austrj. obchodziła rzadką uroczystość 65-lecia panowania swego cesarza. Instrukcje z Wiednia polecały uczcić dzień obchodu jak najuroczyściej. Był to kłopot nielada dla dyrektora i nauczycieli. Na konferencji uchwaliliśmy, że odbędzie się nabożeństwo, a po niem uproszony przez nas ks. proboszcz Jurkiewicz, który uczył u nas dodatkowo parę godzin religji, wygłosi krótkie przemówienie. „Jakoś to będzie księdzu proboszczowi łatwiej coś powiedzieć w kościele, niż tutaj w szkole, bo to na ambonie można coś zacytować z Pisma Świętego, dać jakąś naukę moralną i w ten sposób utrzymać powagę przemówienia”. W istocie po nabożeństwie ks. proboszcz przemawiał kilkanaście minut, zatrzymując się dłużej nad sędziwym wiekiem monarchy i nad jego nieszczęściami rodzinnymi. Mowę swą zakończył mniej więcej temi słowy: „A teraz pomódlcie się ze mną serdecznie i zaśpiewajcie z całego serca hymn, który wyraża prawdziwie nasze uczucia i myśli”. Nastąpiła chwila ciszy. Ks. prob. uklęknął i zaintonował,

## NA MAKULATURĘ

Księgarnia św. Wojciecha zawiadomiła polski świat kulturalny osobnym komunikatem, że wobec wydania przez Emila Zegadłowicza „Zmór”, powieści, w której atakuje i zohydza katolicyzm, zmuszona jest poprzednie jego powieści wydane przez siebie wycofać z rynku księgarskiego i przeznaczyć na makulaturę.

Po raz pierwszy zdarza się w Polsce tego rodzaju wypadek. Jest rzeczą możliwą i zrozumiałą, że pisarz zmienia poglądy, jest przecież człowiekiem żywym i mającym prawo do swobodnego wyboru drogi. Lecz żeby zmieniając poglądy, równocześnie mieszać z błotem ideologję, którą się dotychczas żyło, i dawać do zrozumienia, że cała dotychczasowa działalność była jarzmem, które się z radością zrzuca — taki wypadek zdarza się w polskiej literaturze powojennej po raz pierwszy.

Księgarnia, która książki takiego pisarza wydawała, znalazłszy się w tak trudnej sytuacji miała tylko jedną drogę wyjścia. I tę wybrała.

Ajencia  
Prasowa

Informacja  
Prasowa  
Polska

Warszawa  
Bracka 5, tel. 941-53

Wycinek z wydawnictwa

PRZEGL.

Nr. d. 18/11 1936 r.

— 39 —

„Boże Ojczy, Twoje dzieci”. Nigdy nie zapomnę, z jakim przejęciem i z jaką siłą sześciolet nasi uczniowie zawtórowało dalsze słowa:

Płaczą, żebrzą lepszej doli.

Rok po roku marnie leci

My w niewoli, my w niewoli”.

Tak wyglądała nasza „służba zaborcza”.

Dr. A. Ryniewicz (Warszawa).

WYCINEK

WYDAWNICTWA

Nr. 9

PROSTO Z MOSTU  
WARSZAWA

1 MARZ 1936

Józef Kisielewski

## Makulatura

Prasa codzienna przyniosła ostatnio dwie wiadomości, dotyczące Emila Zegadłowicza. W pierwszej doniesiono o postanowieniu Rady miasta Wadowic cofnięcia Emilowi Zegadłowiczowi przyznanego dawniej obywatelstwa honorowego i przemianowanie ulicy, noszącej nazwisko autora „Zmór”. Drugie doniesienie podało komunikat Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu, która przed kilku laty wydała szereg książek Zegadłowicza, uchodzącego wówczas za czołowego pisarza katolickiego. Księgarnia św. Wojciecha wydanym „Zmór” uczuła się zmuszona do wycofania wszystkich dawniejszych książek Zegadłowicza i przeznaczenia ich na makulaturę.

Od kilku miesięcy każda nowa wiadomość, dotycząca świątka beskidzkiego, poczytywana jest za najlepszego rodzaju sensację. Ludzie zaczytują się każdym nowym szczegółem, dyskutują, opowiadają sobie niestworzone kawały na temat Zegadłowicza. Prawdopodobnie i ta wiadomość z Wadowic i ów komunikat księgarski powitany zostanie w ten sposób. Powierzchniwnie.

Wyda mi się jednak, że sprawa godna jest głębszego rozważenia, bez względu na to, jak kto się do danych decyzji ustosunkuje. Powstaje przecież kapitalne zagadnienie! Przez kilkanaście lat pisarz publikuje utwory, które są niedwuznacznym wyrazem pewnej ideologii. Opowiada się jako katolik, jako człowiek, który granice kultury widzi w chrześcijańskim poglądzie na świat. Z niego czerpie swoje motywy, natchnienie, z niego oparcie materialne. I oto w pewnej chwili następuje raptowna zmiana. Wychodzi książka tego pisarza, która stwierdza nie tylko, że autor poglądy radykalnie zmienił (co można zrozu-

mieć), ale która jest w całości ohydą, plugawą inwektywą na tę ideologję, w której przez dwadzieścia pięć lat pisarz żył. Pomijając wszelkie zagadnienia artystyczne, napaści na katolicyzm mają w „Zmorach” taki charakter, że trudno dopatrywać się w ostatnim dziele Zegadłowicza rezultatu jakichś głębokich, tragicznych procesów myślowych. Człowiek skłania się do przypuszczenia, że jest to pospolita kalkulacja, obliczona na uzyskanie rozgłosu. Co więcej, krytyka poczyna twierdzić (czemu autor nie zaprzecza wcale), że wszystko co dotychczas ogłaszał było rezultatem zatajenia się i konspiracji ideowej, było wykalkulowaną obłudą — a prawdziwy Zegadłowicz to jest dopiero ten, autor „Zmór”.

Dla wydawcy, który drukował książki takiego pisarza z jego pierwszego okresu — wytwarza się sytuacja nad wyraz przykra. Jeśli księgarnia jego nie jest przedsiębiorstwem wyłącznie handlowym, a on sam posiada poczucie odpowiedzialności wobec swoich odbiorców — pozostaje mu jedyna tylko droga: wycofanie książek, które obecnie w świetle nowej powieści, głosów krytyki i oświadczeń samego autora ukazują się w zupełnie odmiennym charakterze. W charakterze niemal wallenrodzycznym. Tylko, że sprawa motywów tego literackiego wallenrodzizmu nie byłaby łatwa do uzasadnienia.

Wycofanie dawniejszych książek Zegadłowicza i przeznaczenie ich na makulaturę odbija się szerokim echem w polskim świecie kulturalnym. Dobrze byłoby, aby pogłos tej sprawy nie zatrzymywał się na momencie sensacji, lecz aby sięgnął do samego zagadnienia. Wysuwa się ono u nas poraz pierwszy i warte jest głębszego zastanowienia.

## NA WIDNOKRĘGU

### Chlubna tradycja

Z okazji podjętego niedawno zbiorowego wydania dzieł Prusa dowiedzieliśmy się, że przez lat kilkadziesiąt czytelnik polski nie znalazł prawdziwych tekstów tego wielkiego pisarza — dziś dopiero odtworzono właściwe brzmienie szeregu fragmentów, zniekształconych swego czasu przez carską cenzurę. Wiemy też, że cała powieść Żeromskiego p. t. „Iskry” i znaczna część rękopisu „Popiołów” (w pierwszej redakcji) utonęły w piwnicach „ochrony”, wiemy, że wielu wybitnych pisarzy polskich owych czasów musiało drukować swe utwory poza granicami carskiego imperjum.

W dawnym „prywislinskim kraje” nie rządzi już car rosyjski — od lat kilkunastu. Możemy poznać prawdziwe teksty Prusa, możemy czytać jawnie, nie ukrywając się przed okiem szpicla i zandarna: „Szyjłowe prace”, „Różę”, „Rozdziobią nas kruki, wrony”, „Ludzi podziemnych”. Nikt nam już nie stawia zagadek; nie napisał Mickiewicz w zastąpionych kreskami wierszach „Reduty Ordoń”.

Tak. Ale...

Mamy dziś prawo znać pełne teksty pisarzy przeszłości. Ale jednocześnie pozbawieni jesteśmy prawa czytania pełnych, nieskażonych tekstów całego szeregu współczesnych pisarzy i poetów. Oto kilka na chybił trafił wybranych przykładów działalności cenzury na polu literackim w ostatnich latach: Kazimierzy Alberti „Ci którzy przyjdą”, Władysława Broniewskiego „Komuna Paryska”, „Dymy nad miastem”, Wincentego Burka „Droga przez wieś”, Marjana Czuchnowskiego „Trudny życiorys”, Władysława J. Grabskiego „Bracia”, Antoniego Gronowicza „Prosto w oczu”, Juliana Grota „Sprawy ludzkie”, Leona Pasternaka „Naprzeciw”, Tadeusza Peipera „Naprzekład”, Wandę Wasilewskiej „Oblicze dnia”, wreszcie — ostatnio — Emila Zegadłowicza „Zmory”. Przeważają tu nazwiska pisarzy lewicowych, którzy twórczością swą chcą służyć walce klas uciskanych o wyzwolenie społeczne — jest to zresztą zjawisko zrozumiałe. Cenzura broni panującego ustroju. Ale trafiają się też nazwiska pisarzy bynajmniej nie rewolucyjnych — jak np. wspomniany wzmiej Zegadłowicz, czy Wł. J. Grabski.

Okoliczności, towarzyszące konfiskacie ostatniej książki Zegadłowicza są szczególnie znamienne. „Zmory” omówimy w recenzji. Tu jednak podkreślić musimy, że konfiskata tej książki nastąpiła na wyraźne żądanie kleru katolickiego, wypowiedziane w głośnym liście pasterskim arcyb. Sapiehy. Nagonce kleszej sekundowała nagonka pism endeckich i endecko-sanacyjnych, które, pochwalając dokonaną konfiskatę i nawołując do dalszych tego rodzaju aktów, popierają antykulturalne poczynania cenzury. Takie „Prosto z mostu”, rozuchwalone powodzeniem kleszej agitacji, otwarcie domaga się — piórem niejakiego p. Andrzeja Mikułowskiego — zdjęcia z ekranu cieszącego się olbrzymim powodzeniem filmu sowieckiego „W walce z caratem”:

„Objektywnie film jest dobry, pełen prawdziwej poezji i prawdziwego przejęcia, które udziela się widzom i właśnie dlatego cenzura nie powinna była dopuścić do jego wyświetlenia...”

(„Prosto z mostu”, Nr. 2).

Z bezczelną otwartością p. Mikułowskiego równać się może chyba tylko słuzalecy cynizm p. Antoiniego Stonimskiego, który prawie jednocześnie pisze w swojej tradycyjnej tygodniowej spluwaczce:

AJENCJA WIADOMOŚCI  
Z GAZET  
I CZASOPISM  
W WYCINKACH

INFORMACJA

WARSZAWA  
UL. BRACKA 5  
TELEF. 9-41-53

P  
A  
S  
P  
O  
L  
S  
K  
A

WYCINEK Z WYDAWNICTWA

SŁOWO POMORSKIE (Toruń)

Nr. .... d. 5 MARZ 1936

### Jeszcze „Zmory”

W związku z uchwałą rady miejskiej m. Wadowic, odbierającą obywatelstwo honorowe Emilowi Zegadłowiczowi za „Zmory”, w jednym z czasopism literackich znany artysta Z. Pronaszko zamieszcza swoje uwagi, w których m. inn. czytamy:

„Wadowice poczuły się dotknięte, a rada miejska usiłuje obniżyć wartości Zegadłowicza, odbierając mu te wszystkie zaszczyty, któremi go niedawno raczyła. Chciałoby się zapytać, czy naprawdę nikt go już nie było w sławetnej radzie miejskiej, kto by wytłumaczył biednym prowincjonalnym mózgom, że to nie Zegadłowicz

obniżają, że to nie talent jego zmniejszają — bo tego na szczęście nie jest w stanie uczynić żadna rada miejska na świecie — ale że wyłącznie siebie i swoje miasto kompromitują, okrywając śmiešnością wobec ludzi kulturalnych.”

Ze swej strony dowiadujemy się, że rada miejska m. Wadowic ze skrupulatnością wykonała swą uchwałę i wywiesiła już nową tabliczkę na ul. Emila Zegadłowicza. Warto przy tej okazji zaznaczyć, że E. Zegadłowicz jest również prezesem Wojewódzkiego Związku Młodzieży Ludowej, który to Związek nie poddał się głośno robionej swego czasu „unifikacji” młodzieży.

AJENCJA WIADOMOŚCI  
W WYCINKACH Z PRASY  
CAŁEGO ŚWIATA  
WARSZAWA, BRACKA 5  
TEL. 9-41-53

WYCINEK  
Z WYDAWNICTWA

Nr. 2 d. 11

I  
N  
F  
O  
R  
M  
A  
C  
J  
A

Lewas 1125

„Przyznać musimy z wdzięcznością, że nie dławieni jesteśmy obłędem dyktatury miecza. Pozostawiono nam wolność sumienia, i nie łamie naszej sztuki terror faszystowski, hańbiący kraje rządzone przez dwu ponurych wrogów ludzkości”.

(„Wiadomości Literackie”, Nr. 3).

Ryba cuchnie od głowy — mówi stare przysłowie. Gdy prezes oficjalnej Akademii Literatury — były więzień polityczny — publicznie stawia obozy koncentracyjne i zachwala skuteczność terroru — cóż się dziwić małym pieskom literackim, że służą na dwóch łapkach przed batem cenzury? Ale uczeni pisarze, którzy nie sprzedają za srebrniki swego sumienia, nie mogą dopuścić do tego, by za nich i w ich imieniu przemawiali czynownicy reakcji. Swoboda artystycznego wypowiedzania się na wszelkie tematy, bez oglądania się na interesy bankierów, fabrykantów i klechów, jest jednym z podstawowych warunków normalnego rozwoju literatury. Szczególnie dziś, w okresie zagrożenia kultury przez faszyzm i reakcję, nie wolno uczciwemu pisarzowi cofać się przed walką w obronie

swobody twórczości literackiej. Pisarz, który dziś nie bierze udziału w tej walce, staje się współodpowiedzialnym za los Mühsamów i Rennów, za los najwspanialszych zdobyczy kultury ludzkiej, płonących na stosach faszystowskiej inkwizycji.

Walka o wolność słowa — oto hasło, które podjąć dziś muszą wszyscy uczciwi i świadomi swej roli społecznej pisarze. W walce tej liczyć mogą na poparcie szerokich mas proletariatu, pracującego chłopstwa, inteligencji i drobnomieszczaństwa — słowem, mas czytelnicy, które pragną mieć prawdziwe i pełne teksty dzieł literackich, choćby to nawet nie były dzieła, zakrojone na miarę artystyczną utworów Żeromskiego czy Prusa. Taka walka — o ile prowadzona będzie masowo i zdecydowanie — może osiągnąć konkretne rezultaty już dziś, w dobie panowania faszyzmu. Świadczy o tem choćby ostatnia głośna historia „Lwowskiej Wesolej Fali” radiowej, której istnienie udało się obronić przed zamachami cenzury dzięki energicznej akcji radiosłuchaczy.

Trzeba mobilizować uczciwą opinię społeczną w obronie wolności słowa.

AJENCJA WIADOMOŚCI  
W WYCINKACH Z PRASY  
CAŁEGO ŚWIATA  
WARSZAWA, BRACKA 5  
TEL. 9-41-53

I P P  
N R P  
F A S  
O R M  
W A  
S K A

W Y C I N E K  
Z W Y D A W N I C T W A  
**PROSTO Z MOSTU**  
WARSZAWA

Nr. 10 d. 8 MARZ 1936

O ANKIECIE.

Szanowny Panie Redaktorze!

Ma się nieprzeparty pociąg i dziwnie wielką sympatię czy to do osób, czy to wogóle do jakichkolwiek spraw, których szyldem jest — szczerłość. W takim stosunku jestem do „Prosto z Mostu”. Dlatego pragnę właśnie tak prosto, tylko... nie z mostu, ale... z serca parę słów przesłać.

Najpiękniejsze przedsięwzięcie, najlepsza sprawa źle ujęta, czyli źle postawiona, chyba celu. Najgłębszego przekonania jestem, że tak właśnie postawiona została w „Prosto z Mostu” ankieta p. t. „Jaką najciekawszą książkę przeczytałem w roku 1935”.

Chyba tygodnikowi „Pr. z Mostu” nie chodziło o reklamę dzieł lichych,

ujemnych, nie zasługujących na to, aby ludzie nawet wiedzieli o nich. Mówić winniśmy o dziełach pożytecznych dla społeczeństwa. Boć przecież nie wszystko, co najciekawsze, godne jest ludzkiej myśli, a tembardziej reklamy — pracy człowieka.

Zdaje mi się, że tego samego jest zdania W. Charkiewicz, kiedy pisze: „Książka najciekawsza? — To zwykle ta, której się zwykle nie przeczytało, albo z przeczytanych — utwory grafomańskie, szczególnie zaś takie, które swoją treścią wprowadzają w błąd nawet ludzi bardzo doświadczonych...” — chyba to samo chciał powiedzieć Z. Bartkiewicz, pisząc: „Książka Zegadłowicza jest tem dla mnie ciekawa, że przykra, jak — żadna. Przykra, jak nieskanalizowana ubikacja na Solcu... ..osobliwa tem jeszcze, że trudno o niej mówić, w tych sferach, gdzie obowiązuje obyczajności poczucie... Czyli, że, trud — dla nikogo, więc ciekawy — poco?” A jeżeli chodzi tylko o „najciekawsze”, to tu wszystko zależy od tego, kto do czego ma „ciekawość”, jak słusznie nadmieniał W. Jabłonowski. J. Pietrkiewicz pisze: „Chcąc traktować poważnie niniejszą ankietę, nie znam innej książki, którąbym mógł z równą odpowiedzialnością na tem miejscu postawić”. Tak! to tylko śmiało podnosić możemy, co podejmujemy z poczuciem odpowiedzialności, a więc i książki tylko pożyteczne, tembardziej te, które uważamy za najpożyteczniejsze, omawiać winniśmy, wszelkie zaś inne, choćby najciekawsze, ale złe, już nietylko jako balast zbędny, ale i jako bakcył chorobotwórczy, w cieniu zapomnienia zostawić winniśmy.

Wniosek z powyższego artykułu: tytuł ankiety winien brzmieć: „Jaką najpożyteczniejszą książkę przeczytałem w roku 1935”. Nadmienić należy, że ankieta, o której mowa, całkiem — oczywiście — nie chybiła celu, jednak nie całkiem ściśle i właściwie postawiona została.

Ks. A. Czajkowski.

AJENCJA WIADOMOŚCI  
W WYCINKACH Z PRASY  
CAŁEGO ŚWIATA  
WARSZAWA, BRACKA 5  
TEL. 9-41-53

I P P  
N R P  
F A S  
O R M  
W A  
S K A

W Y C I N E K  
Z W Y D A W N I C T W A

**PROSTO Z MOSTU**  
WARSZAWA

Nr. 10 d. 8 MARZ 1936

Ks. Franciszek Błotnicki

## Ostrożnie z makulaturą!

Wiadomości o wycofaniu przez Księgarnię św. Wojciecha i przeznaczaniu na makulaturę dzieł Zegadłowicza uderzyła mnie niemiłe. Coś zdawało mi się tu nie być w porządku. Lecz nie zastanawiałem się nad tem wiele i dopiero artykuł Józefa Kisielewskiego w „Prosto z Mostu”, nawołujący do wypowiedzenia się w tej sprawie, skłonił mnie do przemyślenia tej całej historii.

Nie byłem nigdy zbyt wielobiciem Zegadłowicza. Jego masowość produkcji literackiej i szalone tempo wydawnicze zmuszały ustosunkować się do całej tej twórczości krytycznie. Zbyt bujna łąka nie może być usiana samymi kwiatami, musi na niej wyrósć i dużo zwyczajnej trawy. Jednak mimo wszvstko niepoko-

Zachodzi najpierw pytanie, czy nakładca, płacąc za produkt literacki, kupuje go na tak wyłączną własność, by mógł nim rozporządzać dowolnie. Przecież umowa jest dwustronna; autor daje swoje dzieło, a nakładca zobowiązuje się go wydać i rozpublikować. Inaczej transakcja byłaby tak czemś niemoralnem, jak Propozycja Polskiego Radja uczyniona Słonimskiemu.

Niedawno kustosz Ossolineum, p. Wiślocki, napisał, że książka ma swoje życie i swoje prawa i nie można za grzechy autora karać książki, jak nie można za winę ojca karać jego dziecka. I słusznie. Zatrzymajmy się więc nieco przy tem porównaniu. Literackich „dzieci” ma Zegadłowicz sporo. Jedno mu się nie u-

Nr. 9

MERKURYUSZ POLSKI

Str. 223

wysoki przyrost naturalny, gdyż graniczymy z dwoma kolosami, wykrzykiwała, że Rosja Sowiecka nam nie zagraża, że nie jest imperjalistyczna. Tak, przez brak imperjalizmu zawładnęła republikami Kaukazu i szła w 1920 r. na Polskę. Tradycyjna zaborczość Rosji jest dziś spotęgowaną ideologią rewolucyjną. Każda rewolucja, realizująca pewną ideologię, ma tendencję do podboju nawiędrz dla rozszerzenia tej ideologii. Co najbardziej znamienne, młodzież z obu organizacji komunistycznych powoływała się na Mołotowa, jako na autorytet w dziedzinie polityki zewnętrznej.

Młodzież ludowcowa nie czuła się zupełnie swojsko w kompanii tych kandydatów na jej kombatanów. Przypominała mi jednak rosyjskich eserów. Ci także wy-

grabianie całej własności wielkiej w Rosji nie podniosło dobrobytu chłopu, lecz wytworzyło go spodarkę opartą na mało produkcyjnym drobny uprawiaczu. Nie było większych gospodarstw, produkujących dla rynku. Wówczas to front robotniczo-włościański przybrał dziwną formę. Posyłane były ekspedycje karne na wieś dla zabierania zboża u chłopów. Potem przyszedł okres Nepu, zezwolono na korzystanie z siły najejmej. Zaczęła wytwarzać się warstwa zamożniejszych, dzięki dla zabierania zwoła, chłopów. Uznano ich za „kułaków” wyzyskiwaczy, wywłaszczono, wysyłano na północ do ciężkich robot leśnych. Zniweczono około 5.000.000 najlepszych gospodarzy. Prowadzono więc selekcję in minus. Groźbą wygnania, konfiskat, nadmiernego opodatkowania, speżono chłopów do sowchozów, tworząc nową formę pańszczyzny na korzyść biurokracji.

Wyglupianie się młodzieży, aczkolwiek kryje w sobie konsekwencje niebezpieczne dla Państwa, może być usprawiedliwione. Lecz na tem samym posiedzeniu zabrała głos (piskliwy) starsza pani, agitatorka z 1905 r., i wykrzykiwała w różnych przypadkach wyraz „rewolucja”. Głupia baba nie rozumie, że rewolucja w Polsce, uczyniłaby z niej żer dla Rosji.

i niewinwiczka kaale i czye są wielżórczości, ć pokrzywienie im ków bes-

zi się staliczności ulnej po o winy, a e, należy ięś.

7 przemaunowienie ia, choć powzięte, e nierozystko jez wiskiem Wadowiu księgaria twór-

## INFORMACJA PRASOWA POLSKA

GAZETA GAZET  
W WYCINKACH ORYGINALNYCH

WARSZAWA

UL. BRACKA 5

TELEF. 9-41-53

WYCINEK Z WYDAWNICTWA

Nr. ....

Wywłaszczenie, a właściwie za

## OBIADY CZWARTKOWE

Nigdy chyba jeszcze osadniej i złośliwiej nie potwierdziła się prawdziwość obserwacji zapomnianego Terencjana, że i książkami rządzi nieublagany los. Księgarnia św. Wojciecha wycofała na makulaturę wszystkie utwory p.

Zegadłowicza, dotychczas przez siebie wydane.

Z początku, gdy mnie doszła ta wiadomość, nie chciałem wierzyć. Nie dlatego, bym przypisywał książkom p. Zegadłowicza większą wartość, niż wartość pa-

AJENCJA WIADOMOŚCI  
W WYCINKACH Z PRASY  
CAŁEGO ŚWIATA  
WARSZAWA, BRACKA 5  
TEL. 9-41-53

WYCINEK  
Z WYDAWNICTWA  
**PROSTO Z MOSTU**  
WARSZAWA

Nr. 10 d. 8 MARZ 1936

O ANKIECIE.

Szanowny Panie Redaktorze!  
Ma się nieprzearty pociąg i dziwnie wielką sympatię czy to do osób, czy to wogóle do jakichkolwiek spraw, których szyldem jest — szczerść. W takim stosunku jestem do „Prosto z Mostu”. Dlatego pragnę właśnie tak prosto, tylko... nie z mostu, ale z serca parę słów przesłać.

Najpiękniejsze przedsięwzięcie, najlepsza sprawa źle ujęta, czyli źle postawiona, chybia celu. Najgłębszego przekonania jestem, że tak właśnie postawiona została w „Prosto z Mostu” ankietka p. t. „Jaką najciekawszą książkę przeczytałem w roku 1935”.

Chyba tygodnikowi „Pr. z Mostu” nie chodziło o reklamę dzieł lichych,

ujemnych, nie zasługujących na to, aby ludzie nawet wiedzieli o nich. Mówić winniśmy o dziełach pożytecznych dla społeczeństwa. Boć przecież nie wszystko, co najciekawsze, godne jest ludzkiej myśli, a tembardziej reklamy — pracy człowieka.

Zdaje mi się, że tego samego jest zdania W. Charkiewicz, kiedy pisze: „Książka najciekawsza? — To zwykle ta, której się zwykle nie przeczytało, albo z przeczytanych — utwory grafomańskie, szczególnie zaś takie,

I P P  
N R A  
F A S  
O R S  
M W A  
A C J  
A

AJENCJA WIADOMOŚCI  
W WYCINKACH Z PRASY  
CAŁEGO ŚWIATA  
WARSZAWA, BRACKA 5  
TEL. 9-41-53

WYCINEK  
Z WYDAWNICTWA

Nr. 10 d. 8 MARZ 1936

Ks. Franciszek Błotnicki

## Ostrożnie z makulaturą!

Wiadomości o wycofaniu przez Księgarnię św. Wojciecha i przeznaczaniu na makulaturę dzieł Zegadłowicza uderzyła mnie niemiłe. Coś zdawało mi się tu nie być w porządku. Lecz nie zastanawiałem się nad tem wiele i dopiero artykuł Józefa Kisielewskiego w „Prosto z Mostu”, nawołujący do wypowiedzenia się w tej sprawie, skłonił mnie do przemyślenia tej całej historii.

Nie byłem nigdy zbyt wielkim wielbicielem Zegadłowicza. Jego masowość produkcji literackiej i szalone tempo wydawnicze zmuszały ustosunkować się do całej tej twórczości krytycznie. Zbyt bujna łąka nie może być usianą samemi kwiatami, musi na niej wyrósć i dużo zwyczajnej trawy. Jednak mimo wszystko niepokojącym jest nagłe przekreślenie tego wszystkiego, co się dotychczas uznawało, a nawet cenilo.

Nie wchodzę — i nie mam zresztą żadnych danych do tego, by wejść — w motywę nagłego zwrotu w sposobie myślenia i twórczości Zegadłowicza, lecz niepodobna przecież pierwszy okres jego twórczości określić jako jakiś „wallenrodyzm”. Musi się uznać przeszłość jego za szczerą, a tylko nowy etap osądzić albo jako rozstrój nerwów, albo jako rozstrój władz twórczych. Już list otwarty Zegadłowicza, wystosowany pod adresem kardynała Hlonda (po wystąpieniu Z. z „Tęczy”), a podpisany „Emilencja Zegadłowicz”, świadczył, że coś z psychiką autora jest nie w porządku. Ostatni numer „Tęczy” przyniósł wiadomości, że Zegadłowicz po „Zmorach” wydał zbiorek wierszy w czterech egzemplarzach. I toby coś mówiło. Ale mniejsza z tem. Sądźmy nie człowieka, lecz fakt przeznaczania na makulaturę jego poprzedniej twórczości przez firmę wydawniczą.

Zachodzi najpierw pytanie, czy nakładca, płacąc za produkt literacki, kupuje go na tak wyłączną własność, by mógł nim rozporządzać dowolnie. Przecież umowa jest dwustronna; autor daje swoje dzieło, a nakładca zobowiązuje się go wydać i rozpowieścić. Inaczej transakcja byłaby tak czemś niemoralnym, jak Propozycja Polskiego Radia uczyniona Słonimskiemu.

Niedawno kustosz Ossolineum, p. Wisłocki, napisał, że książka ma swoje życie i swoje prawa i nie można za grzechy autora karać książki, jak nie można za winę ojca karać jego dziecka. I słusznie. Zatrzymajmy się więc nieco przy tem porównaniu. Literackich „dzieci” ma Zegadłowicz sporo. Jedno mu się nie udało, zmuszono więc je usunąć z przed oczu ludzkich. Lecz dlaczego chce się i poprzednie, „udałe dzieci”, zmusić do nieistnienia?

Wycofaniem z obiegu niewinnych utworów Zegadłowicza karze się nietylko autora, ale i czytającą publiczność. Może są wielbiciele dawnej jego twórczości, czemu więc oni mają być pokrzywdzeni przez uniemożliwienie im nabycia różnych „świątków beskidzkich”?

A wreszcie, czyż godzi się stawić przed oczy publiczności człowieka w karykaturalnej postawie? Piętnować jego winy, a ukrywać zasługi? Co złe, należy potępić, co dobre, podnieść.

Te wszystkie względy przemawiają za tem, że postanowienie Księgarni św. Wojciecha, choć w „świątym oburzeniu” powzięte, jednak zostało powzięte nierozważnie. Boć to nie wszystko jedno zdjęć tablicę z nazwiskiem Zegadłowicza z ulicy w Wadowicach, a wycofać z obiegu księgarskiego jego poprzednią twórczość.

Str. 224

MERKURYUSZ POLSKI

Nr. 9

pieru, nie. Zawsze przypisywałem im mniejszą. MERKURYUSZ, był jedynym pismem w Polsce, które dwa lata temu, w okresie największego reklamowania p. Zegadłowicza, hołubienia go i cackania się z nim, odważyło się drwić z tej wydetej wielkości, określając p. Zegadłowicza, jako typowy przykład poety powojennego, czyli poety, który niema nic do powiedzenia. Który jest pusty w środku. Przykład poety - tykwy, albo krótko poetykwy.

### POETYKWA

Jeśli więc zawsze uważałem p. Zegadłowicza za poetykwę i jego dzieła ceniłem taniej, niż 18 groszy za kilo, nikt mnie o stronić nie posądzi, jeśli powiem, że nie chciałem spoczątku wierzyć wiadomości. Plotka, myślę sobie, tak doskonałej farsy nie spotyka się dziś i na scenie.

A jednak prawda. Księgarnia św. Wojciecha ogłosiła nawet coś w rodzaju komunikatu. Rzeczywiście: wycofuje całego Zegadłowicza na szmelc. Za „Zmory”.

Dopiero „Zmory” otworzyły dyrekcji księgarni św. Wojciecha oczy na wartość „Aleksandra Srebrnospisanego”, „Podbipiętów Beskidzkich”, „Konfesjonalek” itp. Dopiero teraz dostrzegli, że to się nadaje conajmniej na makulaturę. Ze nie warto było drukować. Ładna historia, niema co mówić. Czy li, gdyby nie „Zmory”, wciąż, we wszystkich komunikatach makulatura byłaby zachwalana, jako perły belletrystyki, wciąż karmieni bylibyśmy superlatywami o p. Zegadłowiczu, wciążby nam demonstrowano poetykwę, jako pisarza.

### CZEKAJ TATKA

A to ładna historia. Niema co

mówić. Pierwszorządne oko krytyczne.

No dobrze, ale co w takim razie będzie z resztą poetykw? Kiedy otworzą się oczy księgarzom, wydającym naprzykład p. Jana Nepomucena Millera, Zwierza - Alpuhary, Tragiczny - Produkt - Przymusu - Szkolnego? Albo p. Wincentego Rzymowskiego, Czarnego Akademia, Białego Abisyjca, Teklę Hawariatę honoris causa? Cóż ma napisać p. Irena Krzywicka, Wstrząsający - Dowód - Prawdziwości - Teorji - Freuda, aby p. Fruchtman wycofał na makulaturę jej wszystkie dzieła? Kwiatki Sw. Franciszka? Obawiam, że długo będziemy czekać w takim razie na przyływ fali krytycyzmu w stosunku do Madame Krzywickiej.

Starzy Polacy mawiali w tych wypadkach: czekaj tatka latka, aż ci dunder świnię.

### BOLSZEWIZACJA

Niestety, postępek księgarni św. Wojciecha nie jest drobnością. Przeciwnie, to groźny symptomat. To objaw bolszewizacji czasów, w których żyjemy. Pisarzynek, który odszedł od „generalnej linii” ukarało się. Eto nakazanie pisatiela uniczożeniem jowo produkcji. Rzecz prosta, wedle tego systemu myślenia, że jeśli p. Zegadłowicz „odwoła” swoją (excusez le mot) bujność, jeśli nastąpi z jego strony „pokajanie” — wróci na półki księgarskie.

Zjawisko jest tem bardziej groźne, że dotyczy placówki nietylko zasłużonej, ale właśnie walczącej z bolszewizacją życia polskiego. Nikt chyba nie zaprzeczy, że proces rozkładu posunął się już daleko, że niebezpieczeństwo jest już alarmujące, jeśli ulegają mu nawet ci, którzy z nim walczą.



MIECZYSLAW PISZCZKOWSKI

# WINA KSIĄŻKI

Z dziwnym uczuciem czytałem artykuł kustosa Ossolinem, p. Wł. T. Wisłockiego, p. t.: „Bronię książki” (druk. w poprzednim „Dodatku niedzielnym”). Wziąwszy asumpt z ostrej krytyki „Przewodnika po literaturze” Lechickiego i „Zmor” Zegadłowicza, autor, jako bibliotekarz i bibliofil, stanął w obronie książek wogóle, którym często działa się i dzieje krzywda ze strony społeczeństwa. P. Wisłocki gorszy się celowym niszczeniem książek oraz izolowaniem ich, aby nie dostały się do rąk szerokich warstw czytelników. Z artykułu p. kustosa Wisłockiego bije szczere, żywe współczucie dla dzieł palonych ogniem od czasów kalifa Omara aż do czasu kalifa Hitlera. Całą odpowiedzialność za szkodliwość książki składa kustosz W. na barki autorów, których intencje książka chce zawsze wypełnić jaknajlepiej, aby w miarę możliwości służyć społeczeństwu.

W artykule p. kustosa W. zachodzi, jak mi się wydaje, pomieszanie pojęć. Autor broni książki jako przedmiotu fizycznego, jako wytworu drukarskiego, który powinien być bezwzględnie uszanowany, skoro człowiek postanowił w systemie znaków zawartych w tekście przekazać swoje myśli i uczucia. P. Wisłocki podkreśla, że książki nie mogą być złe ani dobre, tylko człowiek jest zły lub dobry. Więc zostawmy książki w spokoju. obrońca nie docenia faktu, że książka jest organizmem, posiadającym byt społeczny. Gdyby książka była tylko pozycją bibliograficzną i numerem bibliotecznym, społeczeństwo mogłoby ją zawsze tolerować. Ale książka działa, podnieca, buduje lub niszczy. Grupa społeczna musi na to reagować. Rozumiem, że p. Wisłocki, jako bibliotekarz i bibliofil, oburza się na palenie książek. Zresztą, nikogo nie może zachwycać niszczenie przedmiotów, które — choćby szkodliwe — mogą być kiedyś ważnymi dokumentami epoki. Nie pojmuję jednak, dlaczego Autor smuci się zamykaniem pewnych książek przed czytelnikami niepowołanymi, dlaczego protestuje przeciwko izolacji, na którą niejedna książka zasłużyła. Grupa społeczna ma nietylko pra-

wo, lecz i obowiązek bronić się przed destrukcyjnym działaniem złych książek. P. Wisłocki mówi: to nie książka winna, lecz autor! Takie rozróżnienie niczego nie usprawiedliwia, ani nie wyjaśnia. Do rąk czytelnika trafia książka nie autor, to też ją właśnie, jeśli przekracza granicę godziwości, należy unieszkodliwić. Oczywiście, w potępieniu książki mieści się *implicitè* potępienie autora, ale to inna sprawa. Gdybyśmy poprzestali na osądzeniu autora, a pozwolili na rozpowszechnianie jego książki, efekt społeczny byłby chybiony.

Trudno mi zrozumieć następujące zdanie p. Wisłockiego:

„Każdy, ktokolwiek ogranicza wymienione zadania książek zachowywania i swobodnego rozpowszechniania pewnych myśli, działa wbrew zasadniczemu założeniu książek i odbiera im ich najistotniejsze cechy”.

Czyż nie wolno nam ograniczać np. akcji wywrotowej, szczerzonej w druku, aby tylko nie skrzywdzić ułotki czy broszury? Czy popełniamy grzech wobec istot żywych i skazujemy je na cierpienia, występując przeciw książkom pełnym bredni lub inwektyw antyspołecznych?

Względność sądów o poszczegól-

nych książkach nie jest argumentem decydującym. Prawda, że ten sam rękopis czy druk, który zrazu uważano za zły albo brzydki, później czasem wielbiono; jednakże nawet wobec tych książek — każda epoka i każda grupa społeczna, ma prawo zająć stanowisko zgodne z swym charakterem i z swymi dążeniami. Jeśli książka nie odpowiada postulatowi zgodności z interesem zbiorowym, musi ulce rygorom prawnym i moralnym. Nie znaczy to, że trzeba ogniem zniszczyć całe biblioteki, wystarczy odseparować książkę od społeczeństwa. Zapewne, bibliotekarz i bibliofil ma do tej sprawy inny stosunek, niż przeciętny czytelnik. P. kustosz Wisłocki wyraża się o zabronionej książce, jak o uwiecznionej kochance. Autor uznaje, że książki nie mogą być złe. Zły może być tylko człowiek, bo

„to jest jego niezaprzeczalny przywilej. On tylko może oceniać książkę i przypisywać jej te wady i braki, którymi sam jest przesiąknięty, jemu jest dane widzieć w dziele zle strony i czynniki, których chwilowo obawia się pod wpływem pewnych wytworzonych warunków...”

Ten sposób oddzielania książki od czytelnika nie wydaje się przekos-

nywający. Wprawdzie każda jednostka percypuje tekst indywidualnie, ale pewne zasadnicze wartości są dane w systemie znaków, skomponowanych przez autora. Niejednołitość poglądów krytyki panuje niemal zawsze i wszędzie, to też nie można jej wyzyskiwać na obronę złej książki.

Stanowisko p. kustosa Wisłockiego byłoby konsekwentne, gdyby on wogóle nie uznawał dobra i zła. Ale jeśli się uznaje dobro i zło w człowieku, będącym twórcą książki, to jakże można zaprzeczać istnienia zła w książce? Książka jest wytworem psychofizycznym; zawiera przeżycia i myśli ludzkie — szkodliwe i pożyteczne, głupie i mądre, grzeszne i święte.

W zakończeniu swego artykułu pisze p. kustosz Wisłocki:

„być może, że te (książki), które uznano w pewnym środowisku za „złe”, mogłyby odpowiednio użyte spełnić rolę ognia, wypalającego zło z serc i umysłów ludzkich”.

Zapewne, niektóre książki mogłyby spełnić taką rolę, ale to raczej wyjątki. Nie wyobrażam sobie, aby np. „Zmory” Zegadłowicza mogły spełnić dzieło oczyszczenia. Raczej — zanieczyszczenia.

# Kraków zaczyna wkraczać na nowe drogi

(Od własnego korespondenta „Kurjera Poznańskiego“)

K r a k ó w, 28 lutego  
Nareszcie!...  
Kraków nabiera rumieńca...

Zaczyna się w nim coś dziać, ludzie zaczynają się czemś interesować. Nietylko sensacjami w rodzaju procesu Gorgonowej, nietylko zagadnieniem — kto jest ojcem „Kropelki“... Od „Kropelki“ choćby do... „Zmór“ Zegadłowicza to już pewien krok naprzód. A narobiły te „Zmory“ w Krakowie wrzawy coniemiarą. Rozgorzała dyskusja

**W razie przeziębienia, grypy zapaleniu gardła migdałów przy bólach nerwowych i łamaniu w kościach, należy dbać o codzienne, regularne wypróżnienie w tym celu używać pól szklanki naturalnej wody gorzkiej Franciszka-Józefa. Zalecana przez lekarzy.**  
Tg 422

na dobre. Jedni za, drudzy przeciw. Ale tych drugich jest znacznie więcej. Objaw zdrowia moralnego? Zapewne. Szkoda tylko, że — zasłużone zresztą — gromy zaczęły się sypać na głowę niefortunnego autora dopiero wtedy, gdy policja jego książkę skonfiskowała i gdy krakowska Kurja Metropolitalna wezwała „wszystkich dobrze myślących katolików“, by „wszelkimi środkami protestowali przeciw tej publicznej demoralizacji i zwalczali takie wydawnictwa w imię religii, dobra Kościoła i państwa i honoru naszej narodowej kultury“.

Wkrótce przyszły sankcje: obrażone Wadowice odebrały Zegadłowiczowi honorowe obywatelstwo i skasowały ulicę jego imienia.

„Zmory“ były przedmiotem dyskusji na dwóch „wieczorach dyskusyjnych“. Oba odbyły się na Uniwersytecie Jagiellońskim. Pierwszy, urządzony staraniem „Koła Przyjaciół Żywego Słowa“, miał charakter poważny. Prelegenci pp.: Bielatowicz, prof. Ludwik Skoczylas, dr. Leśnodorski i dr. Wyka poddali „Zmory“ krytyce ze stanowiska społecznego i literackiego. Krytyka wypadła nieprzychylnie dla tej powieści.

W obronie „Zmór“ stanęli „miłośnicy wolnego (?) słowa“, którzy również urządzili na U. J. „wieczór dyskusyjny“. Tutaj dyskusja traciła demagogią „wolnomyslicielsko“ - lewicową.

Objawem wielce pociesającym jest ruszenie z martwego punktu teatru im. Juliusza Słowackiego pod kierownictwem dyr. Karola Frycza. Znać pewien rozmach. Widzi się wysiłki, zmierzające do zainteresowania teatrem publiczności krakowskiej. Dyrekcja dba więc zarówno o urozmaicenie jak i o odpowiedni dobór repertuaru. Duży nacisk kładzie dyr. Frycz (profesor Akademii Sztuk Pięknych) na stronę dekoracyjną przedstawień, co podnieść należy z uznaniem.

Wielkiem zdarzeniem dla miłośników teatru jest powrót na scenę Zygmunta Nowakowskiego. Występy Nowakowskiego w roli Lucjana Lanci w „Chimerach“ świadcza, że autor „Rubikonu“ nie stracił nic ze swej dawnej aktorskiej weny. Nowakowski nie ma jednakże zamiaru wrócić na stałe do teatru. Mimo wielkiego sentymentu dla teatru przeważa w nim człowiek pióra.

Dużo do podniesienia sceny krakowskiej przyczynia się dobrze przez dyr. Frycza dobrany zespół teatru. W szczególności krakowscy miłośnicy teatru wdzięczni są dyr. Fryczowi za pozyskanie dla sceny krakowskiej znakomitej artystki p. Alicji Matysiakówny-Radulskiej. Talent jej zabłysnął w całej pełni w „Rozkosznej dziewczynie“. Od czasu wyjazdu Malickiej brakowało na firmamencie krakowskim „gwiazdy“. P. Matysiakówna łączy w sobie talent aktorki, śpiewaczki i tancerki,

przy dużej urodzie i prawdziwie hiszpańskim temperamentie.

Długo zastanawiano się w Krakowie nad pytaniem: lepiej z operą czy bez? Przez kilka miesięcy (od sierpnia ub.r.) Kraków pozbawiony był

ignorować, zaczyna zdobywać wpływy na masę. Zdają sobie sprawę krakowscy „sanatorzy“ i już poważniej patrzą na „niebezpieczeństwo endeckie“...

Także Żydzi zaniepokojeni są wzrostem sił Obozu Narodowego. Niepochylnie jest tem większy, że czują słabą swoją dotychczasową podpórę — acji“.

rganizacja Stronnictwa Narodowego. Stronnictwo liczy obecnie rakowie dziewięć kół. Z powodu ywu nowych członków Stronnictwo musiało wynająć trzy nowe lo- (wśród Żydów powstała pogłoska, tronnictwo Narodowe zajmuje lo- po rozwiązaniem B. B. W. R.)

ubiegłą niedzielę odbyło się wielozesbranie Stronnictwa Narodowego li Domu Ludowego „Wisła“. Przewodził red. Stefan Sacha. Zaledwie na część członków, przybyłych na anie, mogła zmieścić się w sali. rój był podniosły. Wszyscy mieli wiadomość, że stanowią siłę, do j należy przyszłość.

kraków zaczyna wkraczać na nowe

T. MILDNER

**INFORMACJA  
PRAŚOWA  
POLSKA**  
WIADOMOŚCI  
W WYCINKACH

**WARSZAWA**  
ulica Bracka 5. Telefon 9-41-53

WYCINEK Z WYDAWNICTWA

**4** „DZIENNIK MŁODYCH“

WARSZAWA d. 11.02.1936

Nr. d. NAGANA P. KISIELEWSKIEGO I POCHWAŁA KS. FR. BŁOTNICKIEGO.

Redaktor poznańskiej Tęczy p. Józef Kisielewski pisuje od czasu do czasu w Prosto z mostu. Ostatnio w nr. 9 tego czasopisma ogłosił, artykuł p. t. „Makulatura“, w którym Przynym snuje uwagi na marginesie je się wyczynu księgarni św. Wojciecha, z adnym która przeznaczyla poprzednie księżki Zegadłowicza przez tę właśnie księgarnię wydane na makulaturę. Kisielewski nie szczędzi cierpkich uwag Zegadłowiczowi za to, że skalał to środowisko z którego czerpał m. in. także oparcie materialne, że wszystko co przedtem napisał to poprostu zatajenie własnego ja, konspiracja ideowa i t. d. (ten ostatni zarzut formuluje Kisielewski bardzo ostrożnie, pisząc (Dokończenie na str. 8-ej).

„krytyka poczyna twierdzić...“ W konsekwencji p. Kisielewski entuzjastycznie się postąpieniem św. Wojciecha i pochwała go w całej rozciągłości. Gdybym nie znał osobiście Autora jako człowieka, który ma swoje zdanie, gotówbym poprostu sądzić, że napisał to „Ad usum Delphini“ — jest przecież redaktorem pisma, które wydaje właśnie księgarnia św. Wojciecha. — jest właśnie następcą Zegadłowicza na stanowisku redaktora „Tęczy“. — ale ponieważ tego rodzaju wytłumaczenie byłoby dla p. Kisielewskiego niesłuszne i krzywdzące go i jak podkreślam daleki jestem od niego, — przeto tem więcej był dla mnie niezrozumiałym jego artykuł w Prosto z mostu. Miałem nawet zamiar odpisać p. Kisielewskiemu. Dobrze się stało, że wyręczył mi w tem ks. Fr. Błotnicki (dobrze, że ksiądz, bo głos jego ma większy walor), który w następnym numerze Prosto z mostu tak pisze m. in.:

„Wycofaniem z obiegu niewinnych utworów Zegadłowicza karze się nietylko autora ale i czytającą publiczność. Może są wielbiciele dawnej jego twórczości, czemu więc oni mają być pokrzywdzeni przez uniemożliwienie im nabycia różnych swiátków beskidzkich“.

A wreszcie, czyż godzi się stawiać przed oczy publiczności człowieka w karykaturalnej postawie? Piętnować jego winy a ukrywać zasługi? Co złe należy potępić, co dobre podnieść“.

Oburącz podpisuje się pod uwagami ks. Fr. Błotnickiego. To pisze prawdziwy kapłan katolicki. W art. p. t. „Sprawa Lechickiego i Zegadłowicza“ zajmę się obszernie tem szarganiem i poniewieraniem godności i dobrem nazwiskiem człowieka, pisałem również o „duchu zakrystji“, który tak trafnie został zdefiniowany przez ks. Calveta. Ks. Fr. Błotnicki należy do tych księży, którzy z tym duchem zerwali i z zatechłej zakrystji wyszli. Cześć mu za to i chwala.

**Warszawski Dziennik  
Narodowy** warszawa  
ul. bracka 5  
telefon 9-41-53

WYCINEK  
z  
WYDAWNICTWA

Nr. d.

## Dyskusje krakowskie

Życie kulturalne Krakowa związane jest nierozdzielnie z Uniwersytetem. Tu się ono organizuje, stąd promieniuje zbawczo na znudzonych, pozbawionych wszelkich zainteresowań mieszkańców „polskich Aten“. Działalność młodzieży akademickiej i inicjatywa organizacyj studentekich zwracają uwagę krakowian na zagadnienia polityczne, narzucają im tematy literackie, rozbudzają ich słabo rozwinięte poczucie humoru.

Nie dziwota więc, że życie krakowskie układa się nietylko dla studentów, ale prawie dla wszystkich podług trymestrów. A drugi, zimowy trymestr to pora najintensywniejszej pracy organizacyj naukowych, a przez to okres ożywienia całego kulturalnego życia Krakowa.

Ów sezon, bogaty w imprezy literackie, conajmniej dwie na tydzień, rozpoczęło Koło Żywego Słowa dobrą dyskusją o „Zmórach“ Zegadłowicza. Sprawę tę, zdawałoby się, zupełnie przebrzmiałą, zaktualizowała wadowicka rada miejska odbierając Zegadłowiczowi obywatelstwo honorowe. Dyskusja na temat tej książki mogła więc liczyć na powodzenie. Wieczór atrakcyjny już przez sam temat przyciągał również nazwiskami prelegentów: prof. L. Skoczylasa, dr. Z. Leśnodorskiego, J. Bielatowicza, K. Wyki. Wszyscy stwierdzili zgodnie, że od każdego pisarza wymagana jest zdecydowana postawa etyczna wobec wypowiedzianych w utworze poglądów i pełna za nie odpowiedzialność. A tego u Zegadłowicza niema. Podkreślono dalej nieprawdziwość „Zmór“ i ich społeczną szkodliwość. Ocena literacka powieści, przeprowadzona przez Wykę i Leśnodorskiego, również nie wypadła dla Zegadłowicza pochlebnie. Tenor wywodów tych pokrywał się całkowicie ze stanowiskiem zajętem wobec „Zmór“ przez prasę katolicką. Uznanie słuszności tego stanowiska jest szczególnie przekonujące, skoro zważymy, że prelegenci należą do zupełnie różnych środowisk politycznych, a reprezentują w krytyce literackiej, posługując się wyrażeniami sportowem, niewątpliwie wysoką klasę. Dyskusja jaka wywiązała się po przemówieniach stała niestety, poniżej najprzeciętniejszego poziomu.

Zegadłowicz znalazł jednak rychło obrońców. Socjalistyczne Koło Miłośników Dramatu Klasycznego urządziło drugą dyskusję pod hasłem: za „Zmórami“ a przeciw zmorom. Te zmory, bez cudzy słowa, to według żydowskich i socjalistycznych mówców, przesady katolickie

i nacjonalistyczne, ciężące nad życiem i krytyką literacką.

Im to wytoczono na wieczorze bitwę, nie skierowano ciężkie kolubryny, ale nabite ślepymi nabojami. Przemówienia były nieciekawe, pełne odgrzewanych kawalów i chwytów polemicznych. Słyszeliśmy o inkwizycji, o mrokach średniowiecza, przewrotności i potędze kleru; zarzuty przeciw religii były tak oklepane, że zbiły je z łatwością uceń 5-tej kl. gimnazjalnej. Znudziło to nawet Żydów, którzy prawie wyłącznie wypełnili salę. Opuszczali wieczór zawiedzeni; wbrew nadziejom zastrzyk optymizmu do walki z „endecką reakcją“, którego oczekiwali od socjalistycznych przyjaciół, był nikły i nader nieudolnie zaaplikowany.

Jakieś zmory musiały przesładować jednego z prelegentów z owej dyskusji, gdy w dzień potem usiłował wręczyć przybyłemu na odczyt dr. Königowi bukiet czerwonych goździków.

Zrobił

to widać, przejąwszy się wypowiedzianym na dyskusji o „Zmórach“ frazesem o humanitaryzmie. Ciekawa rzecz, czy ten „humanitarysta“ demonstrowałby na odczycie uczonego z Sowietów, które wymordowały miliony niewinnych ludzi, albo hiszpańskiego socjalisty, którego partyjni towarzysze palą kościoły i mordują prawników, lub przedstawiciela „czerwonego Meksyku“, gdzie dziesiątki tysięcy ludzi poszło pod ślupek za przyznanie się do katolicyzmu.

Pomijając nawet te zastrzeżenia demonstracja na odczycie prof. Königa była nieaktowna, zupełnie niestosowna wobec uczonego i to mówiącego wcale nie na temat, związany z polityką. Ucieszyła ona tylko żydowski „Nowy Dziennik“. Reporter tego pisma, jeśli nie był pod urokiem jakichś zmór — to w każdym razie miał halucynacje. Z wystąpienia jednego człowieka usiłował zrobić wielką manifestację antyhitlerowską, naturalnie gwoi; pokrzepienia serc swych rodaków. Chciał pokazać, że na Uniwersytecie jest młodzież filosemicka i że się rusza.

Od wszelkich zmór, łącznie ze zmorą żydostwa, wolny był tylko wieczór Koła Polonistów S. U. J. „Mówi Kraków Literacki“, dający przegląd najnowszych, niedrukowanych utworów pisarzy krakowskich: Rostworowskiego, Jasnorzewskiej, Gałuszki, Kudlińskiego i Suskiego. Ale to już nie należy do naszego sprawozdania.  
(M. P.)

grzymka do Rzymu", „Bl. Szymon z Lipnicy" (życiorys), „Sw. Kalwarja Zebrzydowska" (tłum. również na j. czeski), „Organizacja i Działalność Trzeciego Zakonu" (duża ósemka str. 384) i inne mniejsze. Wielką pracą, stanowiącą dzieło całego niemal zakonnego życia ś. p. O. Czesława, to: „Bernardyni w Polsce", Tom I, form. 70 x 100, str. XVI 504 obejmuje okres dziejów zakonnych od roku 1453 do 1530. Tom II (stron VIII 608) to: zakonnicy tego okresu, święci i wybitni. Reszta niedokończonej pracy została w rękopisach. O swojej pracy tak pisze w prologu sam Autor: „Wiem, że znajdują się tu zapewne braki, bo nie przechodziłem żadnej szkoły ani seminarjum historycznego, w dodatku rozpocząłem już 81 rok życia. Proszę nie szukać w tej pracy nowych metod historycznych lub dzieła ściśle naukowego, bo choć się wiernie trzymałem źródeł to jednak niestety unosił mnie jakby powiew płynący z zamiłowania przedmiotu, który opracowywałem. Z ręką na sercu powiedzieć jednak mogę, że starałem się pisać jaknajlepiej i dałem ze siebie wszystko, co jeno dać zdołałem. A przewodnią myślą tej pracy było: Zebrać ułamki, aby nie zginęły. (Tom I, str. VIII).

Te słowa dojrzałej i może nazbyt surowej samokrytyki, rzucają wiele światła na całokształt pracy pisarskiej ś. p. Zmarłego.

**Redaktor i Wizytator Trzeciego Zakonu.**

Chyba rzadko który kapłan pracował tyle w zawodzie redaktorskim, co ś. p. O. Czesław. Stał u kolebki rodzącego się czasopisma tercjarzkiego: „Dzwonek Trzeciego Zakonu", a gdy objął redakcję, pracował w niej od r. 1886 do 1922 z małą tylko trzyletnią przerwą. Ale i potem nie spuszczał nigdy oka z drogiej sercu swojemu pracy swoich następców. Redaktor to był surowy. Każdy miesięcznik opracowywał żmudnie, troskał się o jego aktualność, sam pisał wiele, korektę prowadził nadzwyczaj sumiennie tak, że „Dzwonek" cieszył się wielką popularnością i wzięciem.

Znał też na wylot kwestję tercjarzką. Gdy słynne encykliki Leona XIII: „Auspicatio" i „Misericors Dei Filius" z roku 1882/3, zbudziły z wiekowego uspienia Trzeci Zakon franciszkański, ś. p. O. Czesław, stanął na ziemiach polskich w rzędzie głównych i najgorliwszych wykonawców woli wielkiego Papieża tercjarzy. Naprzód zainteresował się Trzecim Zakonem regularnym. Przy boku świątobliwego br. Alberta Chmielowskiego jako jego doradca, przyjaciel i spowiednik, stał się czynnym współpracownikiem w dziele powstającego zgromadzenia albertyńskiego, tej najgenialniejszej koncepcji ducha religijnego ubiegłego stulecia w Polsce. Następnie zwrócił uwagę na kongregację świeckie. Przebiegł niepoliticzną ilość parafij, z innymi listownie się znośił, kanonicznie erygował gminy, budził ducha w tercjarstwie przez rekolekcje i pierwszy z kapłanów jako historyk na ogólnopolskim zjeździe rzesz tercjarzskich w Krakowie w r. 1921 mógł wykazać szczegółową statystykę Trzeciego Zakonu tak regularnego jak i świeckiego w Polsce i Polaków tercjarzy za granicą. Z pod jego też pióra wyszedł statut „Rady Gł. Trzeciego Zakonu", którą w r. 1921 założyli Prowincjałowie zakonów franciszkańskich.

Z innych dziedzin pracowitej działalności ś. p. Zmarłego warto nadmienić, że z wielką starannością u-

porządkował archiwum małopolskie w Krakowie, z trudem nad wyraz, zbierał całe mnóstwo cennych rękopisów tak z rozsypanego archiwum prowincji litewskiej jak i z różnych innych miejsc gdzie były kiedyś

lynów. Z nieubłaganą ręką zabranymi klasztorami zabrał z nich nieprawym posiadaczom minione dzieje z tych, jacy w ostatnich klasztorach zebrał szcze-

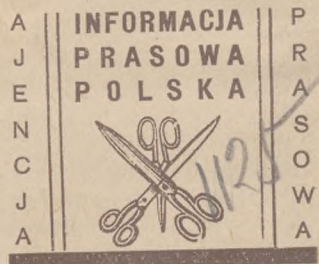
p. O. Czesław wysoka nauka i ujmująca uprzejmość i do siebie je przy-

bernardynów na Stradpada 1935.

sce postacią kapłana, grobu jeden z głównego i kulturalnego bernardynów w ostat-

face!

X. E. K.



WARSZAWA  
UL. BRACKA 5. TEL. 941-53.

Wycinek z wydawnictwa  
GAZETA

№..... d. 1 MARZ 1938

**GAWĘDY LITERACKIE  
NAJCIEKAWSZA KSIĄŻKA**

Znane z poglądów katolickich czasopismo „Prosto z Mostu" rozpisało ankietę na temat: „Jaką najciekawszą książkę przeczytałem w r. 1935". Rzecz jasna, że różne posypały się odpowiedzi — bo ankietę, to nie plebiscyt na jedną najciekawszą książkę. Ale taka ankietę, to dobra rzecz. Padają tu ważne słowa, (głos zabierają przeważnie wybitni literaci), wysuwają się na czoło książki dobre, zasługujące na przeczytanie, albo też złe książki otrzymują swoje właściwe naświetlenie. Jest to jakby kompas po morzu literatury — gdzie są rafy i „bałwany".

Ankieta czasopisma „Prosto z Mostu" jeszcze nie ukończona, ale podzielić się już teraz z czytelnikiem z jej dotychczasowym wynikiem.

Nawiązując do „Zmor" Zegałowicza — o czym pisałem ostatnim razem, posłuchajmy, co o tej książce pisze znany literat-krytyk Zygmunt Bartkiewicz (patrz Nr. 4, str. 2):

„Książka Zegałowicza jest tem dla mnie ciekawa, że przykra, jak — żadna. Przykra, jak nieskanalizowana ubikacja na Solcu, opatrzona napisami, obok wrażeń z chwil tam przeżytych, pod czem, wbrew zwyczajowi, podpisał się autor — utalentowany poeta-skadina". Trudno o silniejsze słowa potępienia.

Literatura w ostatnich latach wzbogaciła się o liczne nabytki i przyznać trzeba, poza niektórymi wyjątkami w rzeczy dobre — a jednak nie brak i takich, którzy chętnie wracają do dawnej lektury. I tak Jerzy Pietrkiewicz z Działynia utrzymuje, że dla niego najciekawszą książką są... „Chłopi" Wł. Reymonta. Píše, że: „w żadnej książce niema tyle Polski, tyle nieprzemijającej prawdy natury, co w „Chłopach" Reymonta. Język Chłopów to trud orki jesienniej, to ruń wiosenna i oberki weselne. Każdy wyraz korzeniami wrasta w wieś, w jej prace, gadki, miłość i śpiew". Kończy przekonaniem, że „Chłopi" to już nie dzieło literackie, ale coś tak nam drogiego i tak z nami zespolonego jak Wawel, jak mogiły lwowskie".

lo  
tak. A czego pan  
szcze niema ?  
B, potem przełożę  
zi dojadę do P,  
ego pisał : ~~xxx~~  
ładzę w ciemnościach..  
gnąły, cholery !  
ory w literach zaczy-  
nademną...Słyszycie  
.....? Rany...zmieniają  
.....  
,hau,hau !  
hau hau !  
ich

mostwory i potwory  
Hau hau hau !  
I Skiwskie Strowskie twory  
Hau hau hau !  
Pół balji koprolalji wylałbym  
Na chore te bachory,  
Te wyjące zmory  
Hau,hau hau !

Shaw How do you do ? Nareszcie pana znalazłem ! Będę do pana mówił " ty ", bo podobno pan jest również genialny.

Nowakowski Skądże tam ! Widzisz przecież, że noszę strój cywilny.

Shaw JAKTO ? Czy u was każdy genialny człowiek jest pułkownikiem ?

Nowakow. Odwrotnie, u nas każdy pułkownik jest genialnym człowiekiem.

Shaw Wiesz, stwórzmy razem coś, ale jakiś genialny kawał !  
Ja genialny, ty genialny,  
Dowcip nasz, jak stal,  
Stwórzmy twór paradoksalny,  
Będzie w Polsce bal !  
Ja

Rzecz jasna, że i aktualność wpływa na wybór najciekawszej książki. Wiadomo, że znakomita książka Nowaczyńskiego „Wielki Fryderyk” święciła w r. 1935 swój 25-letni jubileusz, uświetniony przez występy króla teatru — wielkiego Ludwika Solskiego i to u nas w naszym kochanym Lwowie. (Nawiasem dodam, że ze Izą w oku czytałem milutkie sprawozdanie o „Wielkim Fryderyku”, wystawionym na scenie lwowskiej z Solskim na czele — przez uczenicę SS. Urszulankę we Lwowie, którym to uczniom rozdawał później Solski autografy z dopiskiem: „Młodzieży lwowska — Kocham Was” (Dziś i jutro — styczeń 1936). — Pisze o tej książce Stanisław Stroński w Nr. 5: „Najciekawsze, że gdy to było pisane w r. 1910, wielki obraz z przed lat 155-ciu mniej wywoływał wrażeń i nasuwał myśli... dzisiejszych, niż teraz w r. 1935—6”.

Trudno się o wszystkim rozpisywać. Ankieta wylicza książki historyczne, klasyczne — z zakresu nauk ścisłych, jak fizyka i chemia — słowem, co kogo interesowało.

Ale jeszcze o jednej wartoby wspomnieć — ze względu na swą — na czasy dzisiejsze — niezwykłość i oryginalność. Nie chciało się po prostu oczom wierzyć, a jednak tak jest.

Oto w Nr. 3 znana literatka Wanda Miłaszewska odpowiada „prosto z mostu” — że dla niej najciekawszą książką jest... Tomasz z Kempis: „O naśladowaniu Jezusa Chrystusa”. Oddajmy głos samej autorce:

„Czytelników być może zdziwi autor i tytuł dziełka, jakie uznaje za najciekawsze z przeczytanych w roku ubiegłym. Wiele wszak przybyło „nowości”, krajowych i zagranicznych. Całe stopy książek. A po tę małą, czarną książeczkę sięgamy, jak po kromkę chleba, od stuleci — codziennie.

„Poemat, dramat, powieść, dzieło naukowe zaciekawia i niej zależnie od wrażliwości w danej chwili, zależnie od nastroju. Przeżywamy swoje wiosny, lata, jesienie i zimy — szukamy ich odbicia w odczuciach cudzych i zaspokoimy ciekawość — odkładamy przeczytaną książkę, przeważnie już na zawsze.

„A ta mała czarna książeczka zawsze nowa daje odpowiedź i zawsze mówi tylko prawdę. Czyż nie jest to więc najdziwniejsza i najciekawsza książka?”

Realizm psychologiczny zdobywa coraz więcej zwolenników w świecie literackim. W tym kierunku wybijają się na czoło znakomita — wysoce artystyczna książka Zofji Nałkowskiej p. t.: „Granica”. Posypały się o niej liczne pochlebne recenzje — bardzo obszerną i trafną napisała Zofja Morstinowa w Przeglądzie Powszechnym (grudzień 1935, str. 407) — toteż i w ankiecie kilkakrotnie ta powieść została podkreślona. Dodaję tym razem — że jest to i moja najciekawsza powieść, jaką w ostatnich czasach czytałem. Trudno w kilku słowach sprawozdawczych zamknąć całą wartość „Granicy”. To książka niezwykła. Nałkowska, wielka intelektualistka — nie rozwleka się w fabule powieści — nie o to jej chodzi. Nie chodzi jej też ani o moralizowanie — ani wyciąganie wniosków. Ona obserwuje życie — i pokazuje nam takim, jakie jest. I to nie tylko zewnętrzne, powierzchowne, tendencyjnie naświetlone — ale wnika w głąb psychiki ludzkiej i wydobywa na światło dzienne to, co najbardziej nasze, wewnętrzne — wyczuwane — lecz przez nas samych niejasno sformułowane. Każdy, kto przeczyta „Granice” Nałkowskiej — znajdzie siebie —

znajdzie sformułowaną odpowiedź na własne dręczące go pytania — zagadnienia. Nałkowska w „Granicy” dosięgła szczytu artyzmu i pod względem doskonałej kompozycji powieści i pod względem głęboko a tak prosto i realnie ujętej prawdy życiowej. Pod względem moralnym książka bez zarzutu — przebija wprawdzie z książki fatalizm, wprawdzie autorka z okrutną logiką maluje kręgi graniczne — w jakich obracają się ludzie i nawet nie myślą o tem, czy z nich wydobyć się można — podobnie jak pies Fitek — uwiązany na łańcuchu — nie zdawał sobie sprawy z swego więzienia i granicy swych możliwości życiowych — wprawdzie to niezupełnie pokrywa się z nauką o wolności woli człowieka — ale Nałkowska, w to nie wchodzi. Ona obserwuje życie i przedstawia je tak, jak je widzi — jak je widzą różni inni z różnych punktów widzenia. I nie można jej odmówić trafności spostrzeżeń i bystrości obserwacji. Książka bardzo ciekawa i pożyteczna.

Ciekawsze to — że z tą książką zesła się prawie równocześnie książka Marji Kuncewiczowej p. t.: „Cudzoziemka”, również stojąca na wysokim poziomie artystycznym i mająca za podłoże realizm psychologiczny. Ale najciekawsze, że prym w najwybitniejszych książkach ostatniego roku — wiodą... kobiety. Oto co pisze Jerzy Andrzejewski w Nr. 5. „Prosto z Mostu” — z okazji recenzji o książce Marji Kuncewiczowej pt. „Cudzoziemka”.

„Chciałbym jeszcze choć parę słów dodać, jak bardzo radosnym jest, że w naszej nowej literaturze coraz częściej znajdują oświecenie zagadnienia moralne, zagadnienia sumienia i odpowiedzialności człowieka. Mamy „Dnie i noc” Dąbrowskiej, mamy „Granice” Nałkowskiej, przybywa teraz „Cudzoziemka”. Wartoby się zastanowić, dlaczego naprawdę poważny stosunek wobec życia i człowieka reprezentują obecnie w polskiej prozie przedewszystkiem kobiety?”

Co na to męski świat literacki? Co na to „Grypy” i „Zmory”? Czy nie wstyd?

X. Michał Lewicki.

**Tow. „Biblioteka Religijna“**  
**KSIĘGARNIA I SKŁAD PRZYBORÓW LITURGICZNYCH**  
**WE LWOWIE ::::: UL. RUTOWSKIEGO 5**  
Tel. 283-57 P. K. O. 505.365  
3-3

poleca:  
Ks. Dr. Alojzy Jougan

**Kazania rekolekcyjne i pasyjne**

Str. 170

Cena 2\*40

Kazania rekolekcyjne w liczbie 13 zawierają całość nauki o Sakramencie Pokuty w jego wszystkich częściach składowych aż do nauki o wytrwałości włącznie. W 6 kazaniach pasyjnych pod ogólnym napisem: „Męka Zbawiciela a krzywdy Kościoła” podane są główne epizody z Męki Pańskiej na ich tle „Krzywdy Kościoła w czasach obecnych”.

**RESTAURACJA I POKÓJ DO ŚNIADAŃ**  
**„Góralka“ w Lwów, Piłsudskiego 11**

poleca wyśmienite obiady z 3 dań po 1 zł. Kolacje porcjowe od 40 gr. — Piwo żywieckie. — Główny skład wędlin wiejskich.

97c

Peipek Przepraszam, czy to tędy ?

Sokrates Zależy dokąd.... Naprzykład do Palu tak. A czego pan szuka ?

Peipek Przyszedłem zaglądnąć, czy mnie tu jeszcze niema ?

Sokrates Skoro go niema, poco szukać ?

Peipek Ponieważ rzekłem "A", muszę także rzec B, potem przełożę Zwrotnicę i po zakrętasach mojej poezji dojadę do P, czyli do Palu. Wiedział Włast, dlaczego pisał : ~~xxx~~  
Weź ten szal, chodź na Pal  
Tadeuszu.....  
Idę, skoro go niema, ale ja tu wrócę !

Zegadłowicz Jak oigany przez Erynje Edyp, błądzą w ciemnościach..

Sokrates Patrzcie ! Taki kawał drogi go zagnały, cholery !

Zegadłowicz Znikąd promyka lampki oliwnej, zmory w literach zaczone powstały przeciw mnie. Krążą nademną...Słyszycie szelest ich nietoperzych skrzydeł....? Rany...zmieniają się w psy, rudy, wstrętne kundle.....  
Gdzie tyko spojrzę, zmory  
Hau,hau,hau !  
Opędzam się od sfory  
Hau hau hau !  
I gdybym mógł dysputy zmor moich  
Słyszynym styłem wieść,  
Rzekłbym prosto z mostu :  
O zmory mam was gdzieś !  
Rostwory i potwory  
Hau hau hau !  
I Skiwskie Strowskie twory  
Hau hau hau !  
Pół balji koprolalji wylałbym  
Na chore te bachory,  
Te wyjące zmory  
Hau,hau hau !

Shaw How do you do ? Nareszcie pana znalazłem ! Będę do pana mówił " ty ", bo podobno pan jest również genialny.

Nowakowski Skądże tam ! Widzisz przecież, że noszę strój cywilny.

Shaw Jakto ? Czy u was każdy genialny człowiek jest pułkownikiem ?

Nowakow. Odwrotnie, u nas każdy pułkownik jest genialnym człowiekiem.

Shaw Wiesz, stwórzmy razem coś, ale jakiś genialny kawał !  
Ja genialny, ty genialny,  
Dowcip nasz, jak stal,  
Stwórzmy twór paradoksalny,  
Będzie w Polsce bal !  
Ja

## Refleksje na temat ostatnich sensacyjnych powieści

Czwarta część wielotomowego pamiętnika, wychodzącego pod tytułem „Żywot Mikołaja Srebrempisanego”, obudziła w całym polskim społeczeństwie zrozumiałe zainteresowanie, wywołując jako reakcję zgorznienie i oburzenie, zwłaszcza wśród wychowanków szkół Małopolskich, gdyż terenem, na którym rozgrywa się akcja „Zmor”, miało być miasto prowincjonalne, znajdujące się jakby w sercu Polski, bo w blizkim sąsiedztwie podwawelskiego grodu, owej skarbnicy narodowych pamiątek i relikwiarza kultu narodowego.

Fakt, że autor zatytułował swoje wspomnienia „Zmorami”, świadczy jak dalece uraz seksualny, doznany w latach pierwszej młodości, drażył jego jaźń wewnętrzną i spowodował, że usuwaniu tego kompleksu psychicznego towarzyszyć musiało, jak pełnięciu nabrzmiałego wrzodu, wylanie się tak straszliwie cuchnącej ropy.

Toteż wślad za słusznym oburzeniem czytelników, iż w literaturze pięknej tego rodzaju forma tolerowana być nie powinna, poszło wypowiedzenie się władzy państwowej, która utwór poddała konfiskacie. Krok ten godny uznania nastęrcza wszakże pewne pytanie: dlaczego cenzura nie potraktowała w podobny sposób i innych utworów po-

wieściowych, przeważnie tłumaczonych z literatur zagranicznych takich jak: „Na zachodzie bez zmian”, „U kresu nocy”, albo wcześniejsza jeszcze „Chłopczyce”, gdzie brutalność opisów i jaskrawość przedstawianych sytuacji dorównują scenom, ujawnionym nam przez Zeładłowicza; przecież wywołały te utwory w ich własnych krajach zasłużone oburzenie a nawet wycofywanie z rynku księgarskiego. Śmiem twierdzić, że wpływ tej obcej lektury na czytającą młodzież był równie szkodliwy, tembardziej że autorzy francuscy zachowali grozą przejmującą obiektywizm, podczas gdy w „Zmorach” sam tytuł dzieła stwierdza ustosunkowanie się autora do warunków w jakich kształtuje się strona obyczajowa młodzieży męskiej.

Nie wdając się jednak w dalszy rozbiór i znaczenie wychowawcze tej książki, tudzież w jej wartości jako kroniki „minionych” dziejów, chcę tu poruszyć inną stronę tej sprawy. Wszyscy krytycy i sprawozdawcy byli koledzy autora i wychowankowie szkół galicyjskich, broniąc szkolnictwa przedwojennego, czy omawiając jego złe strony nie zadawali sobie pytania, czy przypadkiem sprawdzianem owych przedwojennych stosunków nie mogą być do pewnego stopnia warunki moralne i

atmosfera obyczajowa, w jakich wzrasta nasza młodzież dzisiaj, w szkołach i wśród społeczeństwa Polski niepodległej, zwłaszcza młodzież szkół męskich? Czy są one tak dalece odmienne od Wołkowickich, że można spokojnie rozprawiać o przeszłości, nie troszcząc się o dzień dzisiejszy.

Wszak tryb życia dzisiejszego społeczeństwa „dorosłych”, nie wyłączając i sfer nauczycielskich, jest tematem nieustannych narzekań na upadek moralności zarówno w życiu publicznym jak i prywatnym. Aż nazbyt często ujawniane bywają skandale w różnych dziedzinach i warstwach społecznych, przybierające charakter nagminnego braku jakichkolwiek zasad etycznych.

W dużych miastach, sprawy tego rodzaju, zwłaszcza wkraczające w dziedzinę życia seksualnego, pokrywa ogólny rozgwar życia wielkomiejskiego, ale co się dzieje na prowincji, która przestała być stojącą wodą przedwojennego Obrzydłówka. Jej przysłowiową ciszę i rzekomą martwość przerywają aż nazbyt często wystrzały rewolwerowe, aresztowania defraudantów wszelkiego rodzaju i inne skandale, w które nie wkracza prawo, gdyż mają charakter życia prywatnego — osobniczego. Tutaj każde wydarzenie tego rodzaju dochodzi do wiadomości publicznej, wytwarza atmosferę sensacji, pobudza wyobraźnię młodzieży i oswaja ją z tą zatrutą atmosferą. A czy wychowawcy szkolni biorą te warunki pod uwagę, czy szkoła i ro-

dzina starają się uodpornić ją na te mijazmaty, jakimi wioną zaudki małego miasteczka? Czy w konferencjach wychowawczych zajmuje się zdecydowane stanowisko wobec alkoholizmu, i rozpusty? Niestety dokładna znajomość panujących stosunków zmusza nas do odpowiedzi negatywnej. Czyż może być uczciwym i szczerym wychowawcą ten, kto sam łamie stale głoszone przez siebie „święte” zasady, który przybywa do klasy nietrzeźwy, po nocnej libacji, o którym młodzież wie doskonale, jaki prowadzi tryb życia, w jaki sposób i w jakim towarzystwie się bawi, i na czym ta zabawa polega!

A jeżeli znajdzie się jakiś lekarz, który ma odwagę spojrzeć prawdzie w oczy i ujawnić rodzicom na zebraniu szkolnym, jaki jest stan zdrowotny ich synów, to naraża się tylko na wszelkie z ich strony przykrości, bo o takich rzeczach mówi się w „cztery oczy” a nie publicznie.

Niema potrzeby zająrzeć do sprawozdań wizytatorów szkolnych, aby się przekonać o prawdziwości powyższego. Życie w miastach prowincjonalnych to straszliwa szkoła, z której wychodziłaby młodzież z cynizmem w duszy i doszczętnie skorumpowana, gdyby jej nie ratował (niestety, jakże często zbyt późno) krytyczny stosunek do starszego społeczeństwa, noszącego w jej języku nazwę „przedwojennego” i gdyby nie obroniło jej od ostatecznego wyniszczenia wrodzone młodzieży dążenie do ideałów różni-

ających się od liberalnego humanitaryzmu i katechizmu państwowego, iż zmierzają do istotnego odrodzenia Narodu i jego istotnej mocarstwowości.

Wielka szkoda, że autor Mikołaja Srebrempisanego swoich wspomnień, tej bolesnej spuścizny po szkole galicyjskiej czy innej — równie sprawnie wyniszczającej młode dusze — nie ogłosił w odmienniejszej postaci, że nie podał ich jako naukowego przyczynku do dziejów szkolnictwa. Ze wspomnienia te nie byłyby odosobnione, świadczy „Rubikon” Nowakowskiego. Czyż i w tym pamiętniku krakowskiego gimnazysty nie spotykamy się z materiałem zbliżonym wielce do przeżyć Mikołaja Srebrempisanego? I tu i tam młodzież męska wchowywana jest nie przez dom rodzinny, nie przez szkołę, ale przez ulicę, jej cuchnące zaułki, trzeciorzędne nocne lokale i kolegów żydów. To teren, na którym i Nowakowski poznawał smak „prawdziwego życia ludzi dorosłych”!

Niechaj matkom otworzą obie te książki oczy na warunki, w jakich i dzisiaj może wzrastają ich synowie. Niechaj się nie zadawalniają odprawianiem zbyt agresywnych służących, jak czyniła zaprawdę święta matka Nowakowskiego — ale niechaj śmiało i odważnie zwalczają zło o „którym się nie mówi”, gdyż w uświadomieniu zastąpią je szumowiny uliczne i koledzy Silberschütze.

M. Godlewska.

95.

## Jeszcze jeden kulturalny pogrom Zegadłowicza „Zmór“

„Zmory“ Zegadłowicza z jednej strony znalazły swoich obrońców i entuzjastów, ale na drugim torze krytyki brzmi silnie zdanie odmienne. Poziom jej jest bardzo nierówny, wypowiada się o niej krańcowo i nie zawsze dotykając spraw istotnie merytorycznych. Mieliśmy zganięte Wadowice, które ulicę Zegadłowicza przemianowały spowrotem na Tatrzańską. Jedną z księgarń poznańskich wycofała wszystkie poprzednie „srebrne plamki“ dzieła Zegadłowicza, dopatrując się w dawnym „świątku“ mistyfikatora. A oto teraz ostatnio mieliśmy niezwykle interesujący wieczór w Salonie 35, poświęcony rzeczowej krytyce „Zmór“.

Referat dr. Troczwińskiego „Krytyka „Zmór“ Emila Zegadłowicza miał niepokojący pozór przejrzystości. Po przemysleniu problemów rzucanych słuchaczowi przez prelegenta, niepokój okazał się słusznym: skomplikowane metody podchodzenia do dzieła, wielość i różnorodność „zmór“, oraz szeroko stosowana w referacie „zasada lochów“, jeżeli termin ten można tak specyficznie zastosować, — stworzyły z referatu prawdziwe morze zagadnień, na powierzchni którego pływał Zegadłowicz. Subtelna konstrukcja rozważa dr. Troczwińskiego wkrótce niewątpliwie ujrzy światło druku w całości, obecnie zatem podamy je krótko i w ogromnym uproszczeniu.

Na wstępie prelegent nakreślił motyw stanowiska, które krytykowi estecie nakazały zająć się „Zmorami“ nie tylko jako dziełem sztuki, ale jako zjawiskiem społecznym, zaszambonowanym głęboko o kom-

pleks moralno-obyczajowy. Jak z dalszego ciągu referatu można było wnioskować, prelegent znacznie większe znaczenie przywiązuje oddźwiękowi jakie dzieło omawiane wydobyciło z życia, aniżeli jego stronie estetycznej.

Przed przystąpieniem do właściwego tematu: kwestii nadbudowy w dziele i jej roli decydującej o wartości dzieła, prelegent nasświetlił zagadnienie twierdzące, że „artyście wszystko wolno“. Kwestję: kiedy skandalizujące czwelnik dzieło ma prawo do miana arcydzieła a kiedy jest tylko pornografią, referent uzależnił od okrucia moralnego. Na jakie zdobywa się autor, od nadbudowy moralnej, którą twórca daje dziełu (Mickiewicz Słowacki w Beniowskim, Kasprzowicz w Hymnach, Wyspiański, Zeromski).

Scharakteryzowawszy następnie ze stanowiska krytyka estety krypto-autobiograficzne „Zmory“ jako powieść wybitnie niesharmonizowaną, kwalifikując ją jako dopiero materiał do dzieła sztuki, krytyk widzi w autorze „Zmór“ typowego liryka. Charakterystyka osób wpływa w dziele — uraz i wyróżnień, jakich autor od świata doznał: kwestja dojrzewania biologicznie interesuje go znacznie bardziej, aniżeli dojrzewanie umysłowe.

Rzadkie sięgnięcia wgląd („zasada lochów“) raczej autora „Zmór“ dyskwalifikują jako mściciela.

Po wyczerpującej i głębokiej analizie powieści, prelegent przedstawił w jaki sposób nadbudowa nad skompromitowaną rzeczywistością wygląda u innych, którzy osiągnęli sukces artystyczny, a mianowicie: u Celine'a, który widzi nędzę moralną rzeczywistości, ale korzy się i przed swoją słabością, u Erenburga (Juljo Jurenito) wiara w możliwość przebudowy człowieka, optymizm, u Dostojewskiego świadomość tragizmu rzeczywistości, ale siła wytrzy-

mania.

O ile referat, poświęcony bardziej zagadnieniom, niż osobie, zachował imponujący dystans do omawianego przedmiotu, o tyle dyskusja, w dalszej części stała się kulturalnym pogromem (jeżeli można zestawiać te słowa) Zegadłowicza jako autora „Zmór“.

Wyłamał się z tej postawy prof. dr. Ułaszyn, zaznaczając jedynie, że o ile „Kwiatki św. Franciszka“ ceni i chętnie czytuje, o tyle „świętofranciszkański“ styl dawnych dzieł Zegadłowicza nie odpowiada mu. Ze „Zmorami“ spotkał się w księgarni i zraziły go przejrzałe przelotnie, wrazami obscenicznymi. Poza to przypisuje Zegadłowiczowi duży talent.

Mecenas Pluciński rozróżnia dwie części „Zmór“: koprofaliczną, w której widzi nieprzetrawienie artystyczne zarzucone powieści Zegadłowicza przez dr. Troczwińskiego, i drugą część, zajmującą dwie trzecie książki. Ta część według p. Plucińskiego zawiera duże wartości estetyczne.

W dalszej części dyskusji dr. Michałkiewicz, dawny kolega Zegadłowicza, znający stosunki wadowickie, konfrontował swoje wspomnienia z zawartymi w „Zmorach“, w których widzi krzywdzący paszkwil na ludzi i społeczeństwo. Prof. dr. Rudnicki zarzucił z obrzydzeniem autorowi „Zmór“ ekshibicjonizm, a prof. Żukowski, na tle swoich wspomnień skreślił ponurą sylwetkę Zegadłowicza, i wspominał mu parę grzechów z okresu poznańskiego, i to, że „lubiał grosiwo“.

Na zakończenie prelegent odpowiedział wszystkim dyskutantom. Uznając słusność uwag mecenas Plucińskiego co do podziału „Zmór“ na dwie części, zaznaczył jednakże ze stanowiska krytyka estety, że „Zmory“ jako dzieło sztuki uważa za zwykły kicz.

J. P.

W S Z R A N K A C H

## LATA SZKOLNE EMILA ZEGADŁOWICZA

Sprawa „Zmór“ Emila Zegadłowicza nie schodzi ze szpalt prasy. Dzieje się to naturalnie ze względu na sensację, jaką pojawienie się tej powieści wywołało, ale kto wie, czy na długotrwałość tego zainteresowania nie działa również inny czynnik natury, mimo wszystko, moralnej. Czy stałe powracanie do tej książki nie powoduje zaskoczenie i niepokój wobec samego problemu aż tak daleko idącej metamorfozy pisarza, która go zwalnia ze wszystkich względów moralnych. Jeśli najważniejszym celem Zegadłowicza przy pisaniu tej powieści było zwrócenie na siebie uwagi, cel ten został osiągnięty nawet ponad nadzieję samego autora. W artykułach polemicznych, które teraz ogłasza Zegadłowicz, wadząc się ze swymi krytykami, brzmi burzliwym ton tryumfu. Wyczuwa się, że autor jest upojony wrzawą, jaka rozpełtała się wokół niego, a wszystkie protesty i sankcje karne społeczeństwa poczytuje sobie za odznaczenia najwyższego stopnia. Ale ten triumfalny nastrój, niema co do tego wątpliwości, jest tylko chwilowy. Trwać będzie tylko tak długo, dopóki potwa sensacja i zaciekawienie. Z chwila, kiedy opadnie wzdęta fala wrzawy — wyjdzie na wierzch zagadnienie moralne czynu pisarskiego Zegadłowicza i wówczas autor „Srebrnypisanego“ odczuje aż nadto bolesnie kruchość dzisiejszej „sławy“.

Prof. Ludwik Skoczylas w ostatnim numerze miesięcznika „Wiara i czyn“, dążąc do wyjaśnienia podstaw psychologicznych powstania „Zmór“, podał garść interesujących informacji, dotyczących rodowodu Zegadłowicza. Prof. Skoczylas twierdzi, że nie bez wpływu na niezwykłe zryżaki linii życiowej autora „Lampki oliwnej“ muszą pozostać stosunki rodzinne. Ojcem Zegadłowicza był Rusin, a matka Czeszka.

W sporze o odbronzowywanie pisarzy, czyli o prawo wkraczania do ich życia prywatnego, krytyka katolicka stała na stanowisku, przeciwnym do zapatrywań Bona-Zelenskiego. Uważa ona, że krytyk ma prawo wkraczania w życie pisarza tylko o tyle, o ile ten zabieg wyjaśnia i uzupełnia jego dzieła. Takim stanowisku krytyki Zegadłowicza ostała się książka, postawiła nielada trudność do rozwiązania. Przedmiotem powieści jest życie pisarza, i to życie obrane ze wszelkich zasłon koniecznej dyskrekcji. W ten sposób sam spowodował takie artykuły, jak prof. Skoczylasa.

Do jego informacji pragnę dorzucić kilka własnych, które — mojem zdaniem — są konieczne do pełnej oceny wartości „Zmór“. Chodzi o lata szkolne Emila Zegadłowicza. Wiadomo ogólnie, że w powieści Mikolaj, który jest alter ego samego pisarza, przedstawiony został niemal na miarę heroiczna. O ile całe jego otoczenie prawie bez wyjątku scharakteryzowane jest w barwach ponurych, o tyle sam bohater świeci blaskiem nie tylko niewinnej ofiary środowiska mie-

INFORMACJA  
PRASOWA  
POLSKA

Agencja  
i poradnia  
prasowa  
oraz biuro  
wycinków

Zal. w  
1920  
roku

Warszawa  
Bracka 5, tel. 941-53

Wycinek z wydawnictwa

DZIENNIK POZNAŃSKI

Nr ..... d. 193 r.  
8 MARZ 1936.

## Jeszcze jeden kulturalny pogrom

### Zegadłowicza „Zmór”

„Zmory” Zegadłowicza z jednej strony znalazł swoich obrońców i entuzjastów, ale na drugim torze krytyki brzmie silnie zdanie odmienne. Poziom jej jest bardzo nierówny, wypowiada się — na nieraz krótko i nie zawsze dotykając spraw istotnie merytorycznych. Mielśmy zagniewane Wadowice, które ulicę Zegadłowicza przemianowały spowrotem na Tarzańską. Jedną z księgarz poznańskich wycofała wszelkie poprzednie „srebrne piśmie” dzieła Zegadłowicza, dopatrując się w dawnym „świętku” mistyfikatora. A oto teraz ostatnio mieliśmy niewzruszenie interesujących wieczór w Salonie 55, poświęcony rzeczowej krytyce „Zmór”.

Referat dr. Tr. czynskiego „Krytyka „Zmór” Emila Zegadłowicza miał niepokojący pozor przebiegu. Po przemysleniu „obiektyw” rzucenych słuchaczowi przez prelegenta, niepokój okazał się słuszny: skomplikowane metody podchodzenia do dzieła, wielość i różnorodność „zmór”, oraz szeroko stosowana w referacie „zasada lochów”, jeżeli termin ten można tak specyficznie zastosować, — stworzył z referatu prawdziwe morze zagadnień, na powierzchni którego pływał Zegadłowicz. Subtelna konstrukcja rozważa dr. Troczyńskiego wkrótce niewątpliwie uirzy światło druku w całości, obecnie zatem podamy je krótko i w ogromnym uproszczeniu.

Na wstępie prelegent nakreślił motyw stanowiska, które krytykowi estecie nakazywały zająć się „Zmoramami” nietylko jako dziełem sztuki, ale jako zjawiskiem społecznym, zaszeregowaniem głęboko o kom-

pleks moralno-obyczajowy. Jak z dalszego ciągu referatu można było wnioskować, prelegent znacznie większe znaczenie przywiązuje oddźwiękowi jakie dzieło omawiane wydobycie z życia, aniżeli jego stronie estetycznej.

Przed przystąpieniem do właściwego tematu: kwestii nadbudowy w dziele i jej roli decydującej o wartości dzieła, prelegent nasławił zagadnienie twierdzące, że „artyście wszystko wolno”. Kwestję: kiedy skandalizujące czytelnika dzieło ma prawo do miana arcydzieła a kiedy jest tylko normografją, referent uznał od okrucieństwa moralnego, na jakie zdobycia się autor, od nadbudowy moralnej, która tworząca dzieło (Mickiewicz Słowacki w Beniowski, Kasprzowicz w Hymnach, Wyspiański, Żeromski).

Scharakteryzowawszy następnie ze stanowiska krytyka estety krytyko-autobiograficzne „Zmory” jako powieść wybitnie niesharmonizowaną, kwalifikując ją jako dopiero materiał do dzieła sztuki, krytyk widzi w autorze „Zmór” typowego liryka. Charakterystyka osób wpływa w dziele — uroznicznieni, jakich autor od świata doznał: kwestia dojrzewania biologicznie interesuje go znacznie bardziej, aniżeli dojrzewanie umysłowe.

Rzadkie sięgnięcia wgląd („zasada lochów”) rażą autor „Zmór” dyskwalifikują jako myśliciela.

Po wyczerpującej i głębokiej analizie powieści, prelegent przedstawił w jaki sposób nadbudowa nad skompromitowaną rzeczywistością wygląda u „Zmór”, którzy osiągnęli sukces artystyczny, a mianowicie: u Celine’a, który widzi nędzę moralną rzeczywistości, ale korzy się i przed swoją słabością, u Erenburga (Julio Jurenito) wiara w możliwość przebudowy człowieka, optymizm, u Mostojewskiego świadomość tragizmu rzeczywistości, ale siła wytrzy-

mania. O ile referat, poświęcony bardziej zagadnieniom, niż osobie, zachował imponujący dystans do omawianego przedmiotu, o tyle dyskusja, w dalszej części stała się kulturalnym pogromem (jeżeli można zestawiać te słowa) Zegadłowicza jako autora „Zmór”.

Wylamał się z tej postawy prof. dr. Ułaszyn, oznaczając jedynie, że o ile „Kwiatki św. Franciszka” ceni i chętnie czytuje, o tyle „świętofranciszkański” styl dawnych dzieł Zegadłowicza nie odpowiada mu. Ze „Zmoramami” spotkał się w księgarni i zraziły go przezirane przelotnie, wrazami obscenicznymi. Poza tem przypisuje Zegadłowiczowi duży talent. Mecenas Pluciński rozróżnia dwie części „Zmór”: kopolaliczną, w której widzi nieprzetrawione artystyczne zarzucone powieści Zegadłowicza przez dr. Troczyńskiego, i drugą część, zajmującą dwie trzecie książki. Ta część według p. Plucińskiego zawiera duże wartości estetyczne.

W dalszej części dyskusji dr. Michałkiewicz, dawny kolega Zegadłowicza, znając stosunki wadowickie, „konfrontował swoje wspomnienia z zarzutami w „Zmoramach”, w których widzi krzywdzącą paszkwil na ludzi i społeczeństwo. Prof. dr. Rudnicki zarzucił z obrzydzeniem autorowi „Zmór” ekslibionizm, a prof. Zukowski, na tle swoich wspomnień skreślił ponurą sylwetę Zegadłowicza, i wyponiwał mu parę grzechów z okresu poznańskiego, i to, że „lubił grosiwo”.

Na zakończenie prelegent odpowiedział wszystkim dyskutantom. Uznając słuszność uwag mecenas Plucińskiego co do podziału „Zmór” na dwie części, zaznaczył jednakże ze stanowiska krytyka estety, że „Zmory” jako dzieło sztuki uważa za zwykły kicz.

J. P.

BIURO WYCINKÓW

Wycinek z wydawnictwa

TĘCZA (Poznań)

Nr 5 d. 11 193 r.

W S Z R A N K A C H

## LATA SZKOLNE EMILA ZEGADŁOWICZA

Sprawa „Zmór” Emila Zegadłowicza nie schodzi ze szpał prasy. Dzieje się to naturalnie ze względu na sensację, jaką pojawienie się tej powieści wywołało, ale kto wie, czy na długotrwałość tego zainteresowania nie działa również inny czynnik natury, mimo wszystko, moralnej. Czy stałe powracanie do tej książki nie powoduje zaskoczenie i niepokój wobec samego problemu aż tak daleko idącej metamorfozy pisarza, która go zwalnia ze wszystkich względów moralnych. Jeśli najważniejszym celem Zegadłowicza przy pisaniu tej powieści było zwrócenie na siebie uwagi, cel ten został osiągnięty nawet ponad nadzieję samego autora. W artykułach polemicznych, które teraz ogłasza Zegadłowicz, wadząc się ze swymi krytykami, brzmi buńczuczny ton triumfu. Wyczuwa się, że autor jest upojony wrzawą, jaka rozpętała się wokół niego, a wszystkie protesty i sankcje karne społeczeństwa poczytuje sobie za odznaczenia najwyższego stopnia. Ale ten triumfalny nastrój, niema co do tego wątpliwości, jest tylko chwilowy. Trwać będzie tylko tak długo, dopóki potrwa sensacja i zaciekawienie. Z chwilą, kiedy opadnie wzdęta fala wrzawy — wyjdzie na wierzch zagadnienie moralne czynu pisarskiego Zegadłowicza i wówczas autor „Srebrnego pisanego” odczuje aż nadto boleśnie kruchość dzisiejszej „sławy”.

Prof. Ludwik Skoczylas w ostatnim numerze miesięcznika „Wiara i czyn”, dążąc do wyjaśnienia podstaw psychologicznych powstania „Zmór”, podał garść interesujących informacji, dotyczących rodowodu Zegadłowicza. Prof. Skoczylas twierdzi, że nie bez wpływu na niezwykle żyłki linii życiowej autora „Lampki oliwne” muszą pozostawać stosunki rodzinne. Ojcem Zegadłowicza był Rusin, a matką Czeszka.

W sporze o odbronzowywanie pisarzy, czyli o prawo wkraczania do ich życia prywatnego, krytyka katolicka stała na stanowisku, przeciwnym do zapatrywań Boya-Zeleńskiego. Uważa ona, że krytyk ma prawo wkraczania w życie pisarza tylko o tyle, o ile ten zabieg wyjaśnia i uzupełnia jego dzieła. Takim stanowisku krytyki Zegadłowicza ostatnią swoją książką postawił nielada trudność do rozwiązania. Przedmiotem powieści jest życie pisarza, i to życie obrane ze wszelkich zasłon koniecznej dyskrecji. W ten sposób sam spowodował takie artykuły, jak prof. Skoczylasa.

Do jego informacji pragnę dorzucić kilka własnych, które — moim zdaniem — są konieczne do pełnej oceny wartości „Zmór”. Chodzi o lata szkolne Emila Zegadłowicza. Wiadomo ogólnie, że w powieści Mikołaj, który jest alter ego samego pisarza, przedstawiony został niemal na miarę heroiczną. O ile całe jego otoczenie prawie bez wyjątku scharakteryzowane jest w barwach ponurych, o tyle sam bohater świeci blaskiem nietylko niewinnej ofiary środowiska mie-



zamieszczają bądź na ma-  
nesie ogłoszenia, bądź na  
dzy linjami, oddzielając  
ogłoszenie od innych o-  
szeń, radę: „Wyciąć i  
chować”.

96/6

szczańskich kabotynów i nieludzkich nauczycieli, ale również sławą przyszłego poety. Ta poetyckość wyraża się u Zegadłowicza, jak zwykle, stosowaniem wykrzykników, wielokropków, myślników i t. p. W każdym razie w powieści jest zaznaczona.

Tymczasem w gimnazjum, i to od pierwszej do ostatniej klasy, Zegadłowicz był uczniem zupełnie przeciętnym, jeśli się czemkolwiek wyróżniał — to chyba stałą nieporadnością. Był tem, co w gwarze uczniowskiej określa się „mamin-synkostwem”, lub rozlazłością. Być może ten rys własnej natury uważa Zegadłowicz za gwaranta swego przyszłego powołania poety. Przyszłego. Bo w gimnazjum tych aspiracji nie miał i nikt o jego poetyckich zamiarach nie wiedział. W gimnazjum mimoszowatość i mazgajstwo było raczej kokieterją, która miała ułatwiać prześlizgiwanie się przez życiowe trudności.

Jakoż ułatwiała. Przez całe gimnazjum doznawał Zegadłowicz zarówno ze strony kolegów, jak i profesorów ustawicznej opieki i wyrozumiałości. Był, jak to się określa, faworytem nauczycieli, którzy czynili mu ułatwienia, jakich inni chłopcy nie doznawali, otaczano go względami. Ojciec Zegadłowicza był dawniej profesorem w gimnazjum wadowickim i znał tu wszystkich. Profesorowie Mikołaja, byli kolegami jego ojca, i nieraz nawet powstawały wśród chłopców bunt przeciw faworyzowaniu „szczęściarza”.

Taki był stan faktyczny. Stwierdzenie jego jest potrzebne do konfrontacji z wersją powieściową. Tu Mikołaj przedstawiony jest jako ofiara ośmioletniej katorgi. Profesorowie jeden w drugiego — to okrutnicy i sadyści, którzy zadawali wątlęmu chłopcu katusze i męczarnie. Z tej konfrontacji wynika nietylko kłamstwo pisarza, ale jeszcze coś ponadto — niewdzięczność i mściwość.

Lecz nie jedyny to jej w powieści przykład. Zegadłowicz jest człowiekiem o chorobliwej ambicji. Przez całe życie, a zwłaszcza później kiedy zarobił sobie na pisarski rozgłos — lubił się otaczać adherentami, ludźmi, którzy załatwiali za niego różne sprawy. Nie wszyscy jego koledzy gimnazjalni, a później uniwersyteccy chcieli pełnić przy poecie rolę totumfackich, o książkach jego wyrażali się z umiarkowanym entuzjazmem, nie chwalili bezkrytycznie każdego słowa i postępu poety. Tego im nigdy nie mógł zapomnieć. Do powieści wprowadził autor kilku takich kolegów, przedstawiając ich w sposób hańbiący. Co więcej, pisarz nie zadowolił się zemstą na samym koledze — poszedł dalej, oczerniał jego rodziców, jego dom.

Nie był łaskawy również dla swoich krewnych. Obszedł się zwłaszcza okrutnie ze swoją ciotką, która otaczała go prawdziwą opieką i dawała mu więcej, niż zazwyczaj daje ciotka swemu siostrzeńcowi. Za tę opiekę i oddanie w latach nieporadności i słabości — dojrzały pisarz odmierzył sutą miarką zapłaty. Przykładów takich można cytować bardzo wiele.

Kiedyś, niedługo już, kiedy opadną okrzyki zachwyconych kabotynów — „Zmory” poczną występować w swojej właściwej postaci — w swej niskości moralnej. Poczną się odsłaniać, szczególnie po szczególe, motywy takiego właśnie a nie innego przedstawienia postaci, kreślenia atmosfery, a okaże się, że są to momenty, niestety, nic z pięknem nie mające wspólnego.

„Zmory” są dziełem olbrzymiej, nienasyconej ambicji. Ambicji pisarza, który chciał za wszelką cenę utrwalić swój rozgłos i sławę. Udało mu się to. Niestety, trzeba było zapłacić zdradą swojej młodości. Cóż warta jest taka sława?

Władysław Zaleski.

# D. „Zmory“ na tle współczesności

Kiedyś Tolstoj, krytykując współczesną sobie sztukę, stwierdził, że ponieważ wyszły dla niej źródła etyczne, dla sztuki najistotniejsze, zastąpiła je ona, chcąc bawić — erotyzmem, niejasnością, efektem. Zrezygnowała z żywienia uczuć na korzyść działania na nerwy. Sztuka — woła Tolstoj — jest „sumieniem religijnem epoki“ — to zapewne była przesada. Ale trudno nie zgodzić się na inny pogląd Tolstoja, że sztuka treścią swoją i ideami powinna zarażać — wywoływać jednorodne odczucia w duszy artysty i wszystkich jego czytelników. W każdym razie sądzić sztukę ze stanowiska tylko estetycznego, ze stanowiska przerafinowanego i punktualnego czytelnika nowości pisarskich — to za mało. Bo sztuka potrafi w duszy naszej nie jedną tylko strunę piękna, ale wszystkie jej władze. Sztuka oczywiście zależy przede wszystkim od twórcy. W nim wszakże doszukiwać się wolno ideałów moralnych.

„Więc — jak stwierdza prof. Chrzanowski w ostatniej swej książce p. t. „Literatura a naród“ — sądzić sztukę jedynie ze stanowiska estetycznego byłoby zapoznaniem nie tylko wszechstronnego wpływu sztuki, ale także jedności duszy ludzkiej“.

„Zapewne, — pisze dalej Chrzanowski — rozpatrywanie czyjejś twórczości ze stanowiska moralno-społecznego nie dla każdego twórcy będzie rzeczą miłą: bo rezultatem takiej krytyki może być wniosek, że w czyjej poezji nie dźwięczą zupełnie, albo, co jeszcze gorsza, dźwięczą fałszywie struny moralne i społeczne, ten w duszy swojej strun tych nie posiada“...

Dziś — o Polsce mówimy — literatura po największej części wskutek szczególnych warunków jej kultury, utraciła zasady już nie życiowo etyczne, ale wręcz postradała własne miary moralne, moralne kryteria sztuki. Zapatrzone się w przedziwne ideały — ideałem jest wszystko, co nieznanne i dziwaczne. Do znudzenia powtarza się o kimś, kto pisze, że dzieło jego jest „żywe“, że on sam jest lub ukazuje „żywego człowieka“, że „przełamał konwenanse“. Oto nowoczesne pasowanie na rycerza sztuki.

Dostrzegalną istotą moralności jest przymus albo dobrowolne ograniczenie. Na tem polega kultura, obyczaj towarzyski, stosunki między ludźmi. Są konieczne w życiu intymnym, prywatnym, rodzinnym, zbiorowym tajemnice, szyfry, symbole, milczenie. Szczerze niepojęta jest czasem głupota, czasem wyuzdaniem, czasem zabija. Jakżeby wyglądał człowiek, który mówi wszystko, co odczuwa i przeżywa, a po męsku spraw tych dzielić i hierarchizować nie umie? Byłby to śmieć ludzki. Czy dobrze — aby rzucić przykład aktualny — przysłużył się pilsudczykowi i pamięci swego wodza gen. Składkowski przez rozbrajającą szczerze „strzępów meldunków“ — trzeba wątpić. Potrzebne są ponadto w życiu zapory na drogach do wybujałej szczerości. Przecież szatańskie jest hasło: „Eritis sicut dei, scientes bonum et malum“.

W literaturze owym ograniczeniem, owym przymusem moralności — to stylizacja, konwenans, przyzwyczajenie pisarskie. Warto podziwiać, jak tej granicy dobrowolnie nie chciał przekroczyć Żeromski, choć chyba namiętność jego i „potrzeba nowego wyrazu“ była i jest nieporównana. Artysta prawdziwy walkę z błotem toczy wewnątrz duszy, od tego jest l'âme profunde — jakby powiedział Bergson. Nazewnątrz dzieło sztuki jest już tylko walną bitwą, wahania co do jej potrzeby są skończone. Wzięcie pióra do ręki jest już startem rakietowego wozu, nie czas na badanie toru. Tacy byli nasi wielcy pisarze, nawet i szczególnie osobisty Kasprowicz.

Tymczasem dziś obserwujemy literaturę umysłową, a co najmniej nerwowo schorzałą. Są to przejawy nicowania wszystkiego, gadulstwa, paplania, nieprzyzwyczajenia. Nierzadkie są dziś nawet opisy czynności fizjologicznych. Np. p. Goldberg-Krzywicka opowiada nam o intymnych kłopotach swej płci i nie tylko swojej — w literaturze oczywiście, nie w piśmie lekarskim. Unilowski nie powstydz się swego męskiego niedołęstwa, ba! — chce wyjść na jego apostoła. Tuwim zależnie od pory roku raz napisze wiersz „Do generałów“, innym razem na rocznicę 11-go listopada. Słomiński uważa, że „Rodzina“, to genialna obserwacja.

P. Hemar nawet wyda odezwę:

„Nie bądźcie tacy drażliwi!  
Nie bądźcie tacy surowi!  
Pozwólcie czasami trochę  
Poszargać satyrykowi!“

Pozwólcie mu trochę pohulać,  
Gdy go zaświerzbą jezór.  
Dość mamy jednej cenzury,  
Nie róbcie prywatnych cenzur.“

W takiej atmosferze kwitnie plotka, złośliwość, krytyka. Boy przecież jedną bajką chce stanąć ponad całym obozem uczonych. Cui bono to wszystko?

Nie chcąc być posądzonym o sugestję urojonych fantomów — ograniczę się do stwierdzenia, że to potrzebne jest naturze pewnego odłamu ludzkiego: Tuwim, Słomiński, Krzywicka, Hemar. A Unilowski? a Boy? a Zegadłowicz? Otóż — Zegadłowicz. Czytajmy ocenę naczelnego — chyba naczelnego? — krytyka obozu „Wiadomości Literackich“ p. Breitera, właśnie Breitera:

„Bo przecież Zegadłowicz był dotąd — i słusznie — poniekąd nieuznawany w świecie pisarskim (czytaj w „Wiadom. Liter.“). Raził w nim nadmiar nieopanowanego belkotu lirycznego...“ Nagle: rewelacja — „z entuzjazmem odnieść się trzeba do wytrwa-

lego samotnika z Gorzenia Górnego“. „Mądra i odważna książka, poświęcona walce człowieka ze światem i z samym sobą o własny, niezależny wyraz“. Sądziliby kto może, że w „Zmorach“ niema „belkotu lirycznego“? Aż się pieni! Ale jest i pogłębiony realizm. Tok pogłębiony, że głębszy już być nie może. Zegadłowicz umie być realistą i wyzbywa się liryzmu, gdy idzie o te głębie. Więc właśnie, gdy pokazał co umie, powitał go aplauz wstępny artykułu w „Wiadomościach Literackich“. Najwyższą cenę uzyskał od p. Breitera, taką także: „Zegadłowicz jest realistą w najwyższym stylu. Rzeczywistość jego składa się ze spraw blahych i tragicznych, śmiesznych i budzących grozę. Na wszystko patrzy z pobłażaniem filozofa i uśmiechem mędrca, który zrozumiał istotny sens życia.“

Już wiemy, co to jest istotny sens życia: ośmieszenie rzeczy poważnych, paplanina, opis domów publicznych i niewybrednych stosunków płciowych. Najwięcej porywa herolda „Wiadomości“ słownictwo Zegadłowicza: „Jakies surowe prawdy — pisze — podplynęły pod jego wzrok, nieznanne słowa nawinęły mu się pod pióro“. Rzeczywiście — w literaturze dotąd wielu słów, których użył w „Zmorach“, nie znano, znano je zato z parkanów na przedmieściach i jeszcze z innych miejsc. Oto ideał nieuprządkowanej paplaniny, szczeroci w imię niby prawdy. Oto to ideał firm skupionych koło „Wiadomości Literackich“ i wogóle literatury półoficjalnej (bo oficjalna jest państwotwórcza). Te firmy, a raczej ta firma ma swoją taktikę i swoje kryteria. Aby awansować do jej pochwał, trzeba chcieć i umieć przejść pewne stopnie. Umiejętnie są tam dobrane polskie nazwiska, albo mało warte, albo w sposób specjalny na pewne drogi zapędzone. Nie są to napewno ani katolicy, ani t. zw. reakcyjniści. Jest to chytra droga wpływu na umysłowość polską, w miarę możliwości przez samych Polaków. Szczególnie uderzający jest tu stosunek do katolicyzmu. Wszyscy ci konwertyci na ideologię „Wiadomości Literackich“ stają się od razu bojowcami, mało — męczennikami. „Tęsknotą Torquemadów“ nazywa Zegadłowicz potępienie jego dzieła. Zapomina, że Rostworowski odsyłał go tylko do lekarza.

Zdaje się prywatną własnością p. Zegadłowicza jest jego pycha. Taki Mik — cóż to za święte dziecko! Krótko pomyślał, że to święte dziecko tak do starości wszystko porządnie, dokładnie, głęboko, z pasją zapamięta. Jakież to przemile paniątko — czystuśkie, ale pod szopą Raciatego stało do końca, dopiero potem cierpiał. O zacięciu megalomańskim autora „Zmór“ świadczy zestawianie swojego dzieła z „Dziejami grzechu“. „Dzieje grzechu“ to nieskalany symbol walki z szatanem, to szlachetna utopia, a „Zmory“? „Zmory“ przez paplaninę chcą być oryginalne. Nie stać już Zegadłowicza na poezję. „Zmory“ są rozpaczliwym ściganiem uchodzącej poezji. Ale to nieopanowane ściganie za nią zrodziło tylko wymoty.

Współczesna powieść bieży po dwóch torach: faktograficznym i psychologicznym. Psychologiczna bardzo często przemienia się w psychopatologiczną. Są teoretycy, którzy myślą, że niema innych dróg dla powieści psychologicznej. Tą to drogą poszedł Zegadłowicz, drogą, literaryzowania patologii instynktu, przyczem wszczepił do swojej powieści i realizm nagi faktów. Nie dowodzi to wcale, że dobrze zrobił. Powieść psychologiczna ma cudowne możliwości. Przykładem „Noce i dzień“. W tej powieści seksualizm np. jest zupełnie stłumiony i dzieło to mimo to nie straciło.

Można się sprzeczać, czy celem literatury jest samo piękno, i czy wszystko, co jest tworzywem sztuki, musi być piękne. To jednak jest pewne, że omawiane dzieło Zegadłowicza jest szkodliwe, bo zaraża złemi uczuciami i wyobrażeniami. Czytelnik jest artystą uzupełniającym lub interpretującym w swojej duszy twórcę.

Czas, w którym powstają takie dzieła jak „Zmory“, jest okresem rozpadu dotychczasowej kultury. Kultury liberalnej, egoistycznej, wynaturzonej estetycznie, bezideowej, kultu plotki, paplaniny i efektu, a przede wszystkim nieodpowiedzialności. A są już znaki, że będzie w Polsce...

BIURO WIADOMOŚCI  
Z PRASY  
W WYCINKACH  
INFORMACJA  
PRASOWA  
POLSKA  
SPÓŁKA Z OGR. ODP.  
WARSZAWA  
BRACKA 5, TEL. 941-55

Wycinek z wydawnictwa

GŁOS

№ ..... d. .... 193 r.

15 MAR 7 1936

HENRYK KUMINEK.

## Z prawej strony barykady.

Z frontu walki o literaturę prawdziwie polską.

Przyczyny małości współczesnej literatury polskiej są już chyba dostatecznie znane. Wiadomo powszechnie, że ta literatura jest **Polską jedynie z imienia**, że większość jej przedstawicieli robi wszystko, aby w efekcie swej działalności pisarskiej odzębnić się jak najkategoryczniej od polskości i od uczciwej wspólnoty narodowej. Jakież zbankrutowane już wszędzie mrzonki kosmopolityczne, wyświechtane i nieszczerze hasła międzynarodowego humanitaryzmu, ideały marksowsko-leninowskie, a naprawdę to przeważnie żydowskie kombinacje handlowo-zarobkowe — mają wyrażać powołanie dzisiejszej literatury. I dlatego literatura zamiast iść w awangardzie nowej, krystalizującej się rzeczywistości wlezie się cuchnącymi rynsztokami, szerzy kulturę pomij i zgnilizny.

A najgorsze jest to, że w literaturze naszej rządzi mafia, która jej właśnie taki ton nadała. Garstka żydów i pół-żydów żeruje na snobizmie nielicznych warstw posiadających — tych, które dziś jedynie stać na konsumowanie kultury. Ta garstka, wyposażona w tupet i rasową arogancję wzięła w arendę literaturę, przywłaszczyła sobie prawem bezczelniejszego monopolu na ferowanie wyroków krytycznych i klasyfikowanie talentów. I ta obca duchowi polskiemu klika stawia wszystkim piszącym ultimatum: albo jesteś takim, jakim my jesteśmy, albo będziesz poza nawiasem literatury, która się liczy; poza nawiasem literatury wydawanej, czytanej, chwalonej, subsydiowanej, nagradzanej; albo wyrzekniesz się swoich ideałów a przyjmiesz nasz szablon, albo utoniesz w konspiracji milczenia i lekceważenia; albo pójdziesz z nami tam gdzie my chcemy, albo zostaniesz ogłoszony za beztalencie i — co gorsza — wsteczniaka, huligana rasistowskiego, klerykała, księżego sługę; i wtedy żaden wydawca nie da ci możliwości zetknięcia się z czytelnikami, książki twoje zapadną się w nicość, bo żaden wpływowy i dyktujący zdanie opinii publicznej krytyk toba się nie zajmie.

To jest właśnie ultimatum, które na każdym kroku wysuwają sprytni i bezwzględni dyktatorzy naszej kultury. A że przy tem rozporządzają pieniędzmi i dobrą organizacją, że umieli sobie zdobyć wysoką protekcję czynników decydujących i że wogóle wiedza, czego chcą, — osiągnęli swój cel. **Pisarze, słabi i zniechęceni niepowodzeniami materjalnymi, uginają się i idą pod żydowskie dyktando.** Uzyskują w ten sposób kilka nędznych srebrników, pozwalających im żyć czy tylko wegetować, ale jednocześnie usuwają się poza nawias kultury naprawdę i szczerze polskiej. Tracą łączność ze społeczeństwem, któremu dzisiaj przyświecają zupełnie inne ideały, i powodują, że literatura przestaje być literaturą potrzebną.

### Zmory i sumienie.

Oczywiście, że zarzutu tego nie można i nie wolno uogólniać. Są jeszcze i tacy pisarze, którym zbyt trudno jest ugiąć się przed tą konjunkturalną siłą złego i wprząc się w żydowską służbę. **Na szczęście nie wszyscy stoją na tych nizinach moralnych, co Zegadłowicz, który potrafił się zaprzeć całej swojej przeszłości literackiej i dla przypodobania się macherom z „Wiadomości Literackich” napisał — „Zmory”.** Zegadłowicz bez skrupułów przebył drogę od „Tęczy” i bezskidzkich świątków do aktualnego plugastwa i handlowego kombinatorstwa. I w krótkim czasie właśnie Zegadłowicz stał się sztandarowym mężem tej literatury szmoncesu i destrukcyjnej agitacji. Takich Zegadłowiczów jest więcej, ale są i inni. Poza tą subwencjonowaną i z urzędu chwaloną literaturą jest jeszcze literatura polska. Jest **prawie skrzydło literatury, które, mimo kuszące obietnice i groźby, nie wyrzekło się wielkich ideałów.** Ideałów narodowych i chrześcijańskich, które zawsze były fundamentem prawdziwej wielkości naszej literatury.

Poza modą i poza uznanym szablonem stoją jeszcze: Rostworowski i Rodziewiczówna, Artur Górski i Miłaszewski, Grzymała-Siedlecki i Ignacy Chrzanowski. **Ich postawa niema nic wspólnego z polityką ani z partją.** Stuprocentowy ostatnio endeck Nowaczyński nie waha się współpracować z „Wiadomościami Literackimi”, bojowa dziennikarka endecka Pannenkowa (— też z żydów!) również znalazła przystulek na łamach „Wiadomości”. **Więc, pisząc o literaturze prawego skrzydła, nie mamy na myśli literatury endeckiej.** Nomenklatura jest tu raczej przypadkowa, a przez pojęcie to rozumieć chcemy tę literaturę, która pozostała wierna wielkiemu posłannictwu ducha polskiego, przekazanemu przez tradycję wieszczów i przewodników narodu.

### Rodziewiczówna i Rostworowski.

Literatura ta istnieje mimo wrogą zmowę i konspiracyjne milczenie. I to jest wła-

I choćby nadworni krytycy lejborganu żydowskiej inteligencji chcieli utrzymać zmowę milczenia, jednak wartości tej pisarki na zawsze pozostaną, o czym świadczy już dziś źródłowa monografia o Rodziewiczównie, napisana przez niezależnego i obiektywnego krytyka krakowskiego Kazimierza Czachowskiego.

W literaturze polskiej pozostanie Rodziewiczówna, największą naszą chlubą będzie Karol Hubert Rostworowski. I może Słonimski po każdej premierze Rostworowskiego wypisywać swoje złośliwe bzdury, a Rostworowski i tak pozostanie największym dramatopisarzem Polski współczesnej.

Rodziewiczównę i Rostworowskiego przytoczyliśmy jako krzepiące przykłady lepszej literatury polskiej. Dziś w Krakowie odbywa się uroczystość jubileuszu Rostworowskiego. I wydaje nam się, że największym holdem dla jubilata będzie przypomnienie jego postawy ludzkiej i pisarskiej, jego odwagi w przeciwstawieniu się dyktaturze żydowskich kombinatorów. **Literatura polska wtedy dopiero stanie się literaturą potrzebną i przodującą, gdy za przykładem Rostworowskiego i inni pisarze talent, dany od Boga, poprą zrozumieniem tej prawdy, że pierwszym zadaniem twórcy jest służba Bogu i ojczyźnie.**

**Z sali odczytowej**

**„Krytyka Zmór Zegadłowicza”**

W zorganizowanym przez Towarzystwo Współpracy Kulturalnej odczycie we środę w Salonie 35 omówił dr. Konstanty Troczyński „Krytykę Zmór Emila Zegadłowicza”. Prelegent ujął temat ze stanowiska oceny dzieła jako zjawiska literackiego i ustosunkowania się do „Zmór” opinii społecznej. Zestawił „Zmory” z „Przedwiośnią” Zeromskiego, podkreślając w obu wypadkach podobnie intensywne reakcje społeczeństwa.

W przekroju opinii o „Zmorach” zaznaczył dr. Troczyński kompromitację krytyków przejawiających opinie o dziele w kierunku tak dobrym jak i złym.

Jedynym probierzem w tym wypadku może być wolność artysty i jedynie nadbudowa estetyczna dzieła daje owo wewnętrzne pokrycie, jest to prawo zdobyte wysiłkiem moralnym, które warunkuje wartość dzieła.

Zarzuty okropności i bluźnierstwa spotykały już nieraz twórców później rehabilitowanych — jak Słowacki, Kasprówic, Wyspiański, Zeromski. Hymny Kasprówicza, które uważane były za bluźnierstwo — stały się później obowiązującą lekturą w szkole.

Ze stanowiska więc owej nadbudowy dzieła oraz kompozycji podszedł prelegent do analizy tej krypto-autobiografii Zegadłowicza, jaką jest „Żywot Mikołaja Srebrmpisanego”. W języku „Zmór” naturalizm dąży świadomie do trywjalności, całość niesharmonizowana, niewykończona tak, że Zegadłowicz zatrzymał się na rzeczywistości, nie wyciągnął z niej wniosków w nieporadności przed treścią.

Prelegent porównał „Zmory” Zegadłowicza z twórczością Selina, w której autor korzy się przed swoją małością i przechodzi w hymn, w modlitwę poprzez równie trywjalną formę; następnie porównał przedmiot rozważań z twórczością Ehrenburga, który jednak poprzez powabną formę ucieka w inną rzeczywistość, do optymizmu; wreszcie porównał „Zmory” Zegadłowicza z Dostojewskim i jego tragizmem, rozwiązany po dionizyjsku. We wszystkich trzech porównaniach Zegadłowicz wyróżnia się brakiem owej nadbudowy, ratującej wartość dzieła artystycznego. Prelegent upatrywał cechy dodatnie jedynie w nieporadności artysty wobec głębi i wątpliwości istniejących przed twórcą zagadnień.

Jakkolwiek dr. Troczyński uważał dzieło Zegadłowicza za artystycznie chybione — jednak ze względu na twórczy wysiłek artysty wobec nieopanowanego ogromu, jako korzystny dla autora „Zmór”. Prelegent przedstawił słuchaczom nie tezy, a raczej zaproponował zajęcia

dowolnego, poprzez analizę przedstawionego, stanowiska.

W dyskusji zabierał głos prof. Ułaszyn, podkreślając ewolucję pisarza i przeżycie się koturnów jako zwrot do trywjalności, co nie ratuje jednak dzieła przed skandalem. Mec. Pluciński wspominał o traktowaniu twórczości artysty jako całości.

ści, prof. Michalkiewicz — naoczny świadek i kolega Zegadłowicza do-rzuczał ciekawe przyczynki dotyczące prawdziwości epizodów „Zmór”, przejawionych przez Zegadłowicza tak w charakterystyce typów z życia szkolnego, w wyidealizowaniu stanowiska uczeni wobec ruchu niepodległościowego. Zaznaczył stosunek Zegadłowicza do groteski Don Kichota. Prof. Rudnicki i p. Zukowski podkreślili niesmak i oburzenie jakie wywołuje w społeczeństwie potworny skok Zegadłowicza w treść „Zmór”.

Z. K.

100.

— 131 —

## Ś. p. X. Andrzej Gołąb

Nielitościwa śmierć, która w ostatnich miesiącach szerzy spustoszenie wśród kapłanów tarnowskiej diecezji, upatrzyła sobie nową ofiarę w osobie X. Andrzeja Gołąba, proboszcza w Baranowie.

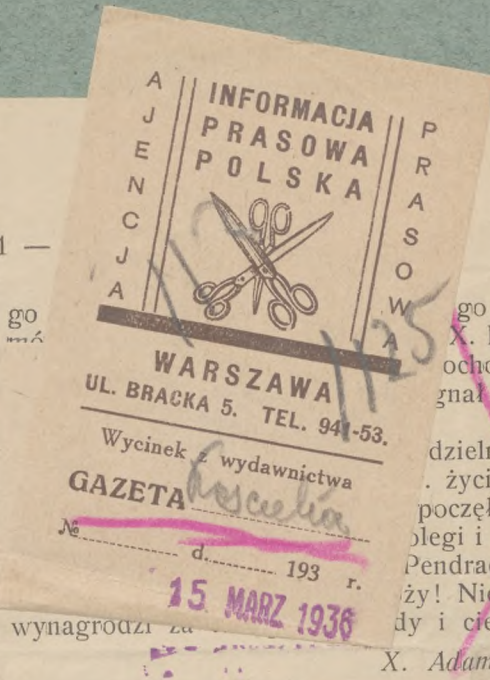
Był to kapłan pełen ducha Bożego, cichy i skromny pracownik, gorliwy o chwałę Bożą, nie goniący za zaszczytami ani popularnością, nader sumienny w spełnianiu swych obowiązków. Pochodził z włościańskiej rodziny z Ostrowa koło Ropczyc. Studja gimnazjalne odbył w Dębicy. Ukończywszy służbę wojskową, wstępuje do Seminarjum duch. w Tarnowie. Wyświęcony na kapłana w r. 1916, pracuje jako wikariusz kolejno w Rzewawie, Mszanie Dolnej i Bolesławiu. Od r. 1924 przez 11 lat jest proboszczem w starożytnym Czchowie nad Dunajcem, gdzie przezwyciężywszy liczne trudności, gorliwą pracą w kościele, szkole, w bractwach, w Akcji katolickiej i na polu społecznym wiele zdziałał dla sprawy Bożej. Władza duchowna, uznając jego pracę, mianuje go kanonikiem, wizytatorem szkół w dekanacie, notariuszem i instruktorem Akcji katolickiej.

W lipcu ub. r., spełniając życzenie Arcypasterza, udaje się na kresową placówkę diecezji do Baranowa, by tam pełnić obowiązki proboszcza. Parafia Czchowska żegna go z żalem i smutkiem. Na nowym posterunku cierpi wiele od garstki niezadowolonych. Obelżywe słowa, okropne listy anonimowe z pogrozkami i wyzwiskami, kartki urągliwe rozwieszane na miejscach publicznych i rzucane do konfesjonau, skargi ze zmyślonemi zarzutami i ciągle delegacje do władz — oto tortury, jakie przez pół roku cierpiał, a cierpiał cicho, z poddaniem się woli Bożej.

„Poszedł do Baranowa — mówił kaznodzieja X. Dr. Młodochowski nad jego trumną w Czchowie — po męczeńskie cierpienia, po zgrzyoty, które go do grobu wtrąciły. I oto tu leży ofiara spełnionego obowiązku, ofiara zaślepienia garstki ludzi, którzy przez swe nieprzyjazne stanowisko wobec swego nowego proboszcza wzięli na siebie straszną odpowiedzialność wobec Boga, którzy nie chcieli uznać słusznych zarządzeń swego prawowitego Biskupa i swoje zaślepienie obrócili przeciw temu kapłanowi, który nikomu nic nie winien, który spełniał tylko to, co mu obowiązki kapłańskie nakazywały. Lecz lepiej nie mówmy o tem w tym dniu pełnym smutku i żałoby. Zostawmy to wszystko cierpliwemu i sprawiedliwemu Bogu i Sędziemu żywych i umarłych. A tej garstce biednych, zaślepionych ludzi niech Bóg będzie miłościw!”

Cierpiał, bo chwale Bożej i dobru Kościoła działa się ujma, a wrażliwe jego serce, zdrowe dotąd, gwałtownie słabło, aż wreszcie 20 stycznia wieczorem nagle bić przestało. Śmierć zastała go przy biurku, gdy sporządzał odpisy aktów zgonu do starostwa. Widział naprzód tę śmierć zbliżającą się szybko, przygotowywał się na nią starannie częstą spowiedzią, a kolegów prosił o przewiezienie zwłok jego do Czchowa. O to samo prosiła po jego zgonie parafia czchowska. Życzenie zostało spełnione.

Pogrzeb jego w Baranowie, a zwłaszcza w Czchowie był wielką żałobną manifestacją. Tłum ludu żegna swego proboszcza rzewnym płaczem i modlitwą. Wielka liczba kapłanów (w Czchowie około 60) z Najprz. X. Biskupem Lisowskim na czele, świadczy o tem, jak



go pięknymi prze-  
X. Dziekan Drożdż,  
ochowski. Nad gro-  
znał go rzewnie p.

dzielny kapłan i pra-  
życia, a 20 kapłań-  
poczęły na cmentarzu  
blegi i dawnego współ-  
Pendrackiego. Spoczy-  
ży! Niech Ci ten Bóg  
dy i cierpienia!

X. Adam Stejański.

## GAWĘDY LITERACKIE

### „Co czyta i co pisze młodzież szkolna?”

W spólczesnym wychowaniu młodzieży szkolnej przyzwyczailiśmy się do wielu rzeczy, nawet do tych, które nas z początku bardzo raziły. Na niektóre niepożądane formy pedagogiczne przestajemy powoli reagować. A jednak zuchwałość niektórych poczynają zbyt przebiera miarę, by pominąć je milczeniem i nie założyć energicznego protestu.

W numerze I.K.C. z 27/II br. wyczytałem artykuł p. t. „Niepożądana dyskusja”. Oto ważniejsze ustępy:

„Warto czasami zaglądnąć do „Kuźni Młodych”, czasopisma młodzieży szkolnej, które posiada zezwolenie ministerstwa W. R. i O. P. na kolportaż wśród młodzieży.

„Otóż w Nr. 24-tym tego czasopisma „koleżanka Irena Górska odpowiada „koledze” Piterze na jego krytykę Zegadłowicza. Krytykę — a raczej zachwyty. Bo kolega Pitera tak pisał:

„Zegadłowicz zdarł ohydny maskę zakłamania, świętoszkostwa, pruderji i fałszu z całego kompleksu zjawisk obyczajowych, społecznych, seksualnych, które otaczają jego bohatera w okresie dojrzewania... Cała dziedziną zagadnień seksualnych, przełomów psychicznych i wynikających stąd zagadnień religijnych... pokryta jest ponurą maską obłudy i hipokryzji, którą młodzież wkładać musi w imię fałszywego świętoszkostwa, w myśl opinji, która z szatańską złośliwością dba o czystość dusz, niezrażonych zgnilizną moralną”.

Przeczytawszy to osłupiałem. Tak pisze uczeń gimnazjalny w piśmie szkolnym, aprobowanem przez Min. W. R. i O. P. Przeciera się oczy i wierzyć się nie chce. Wprawdzie koleżanka Górska odważnie i ostro przeciw Piterze wystąpiła, podkreślając, że w „Kuźni Młodych” niema miejsca na poruszanie spraw seksualnych, bo w tej kwestji młodzież nie ma nic do powiedzenia — a jeśli już ma szukać pomocy i uświadomienia, to w każdym razie nie u rówieśników — to wszystko słuszne uwagi, ale mała to pociecha wobec faktu — że tego rodzaju niepożądane dyskusje mają wogóle miejsce.

Słyszałem już skądinąd niepoehlebne zdania o czasopiśmie szkolnym „Kuźnia Młodych” — przejrzałem więc z ciekawości kilka numerów tegoż piśmieka. Forma estetyczna — rozmiary i redakcja, jak na piśmie szkolne, zbyt imponujące — czyniłyby, jako całość, wcale miłe wrażenie, gdyby nie ta buta, jaka